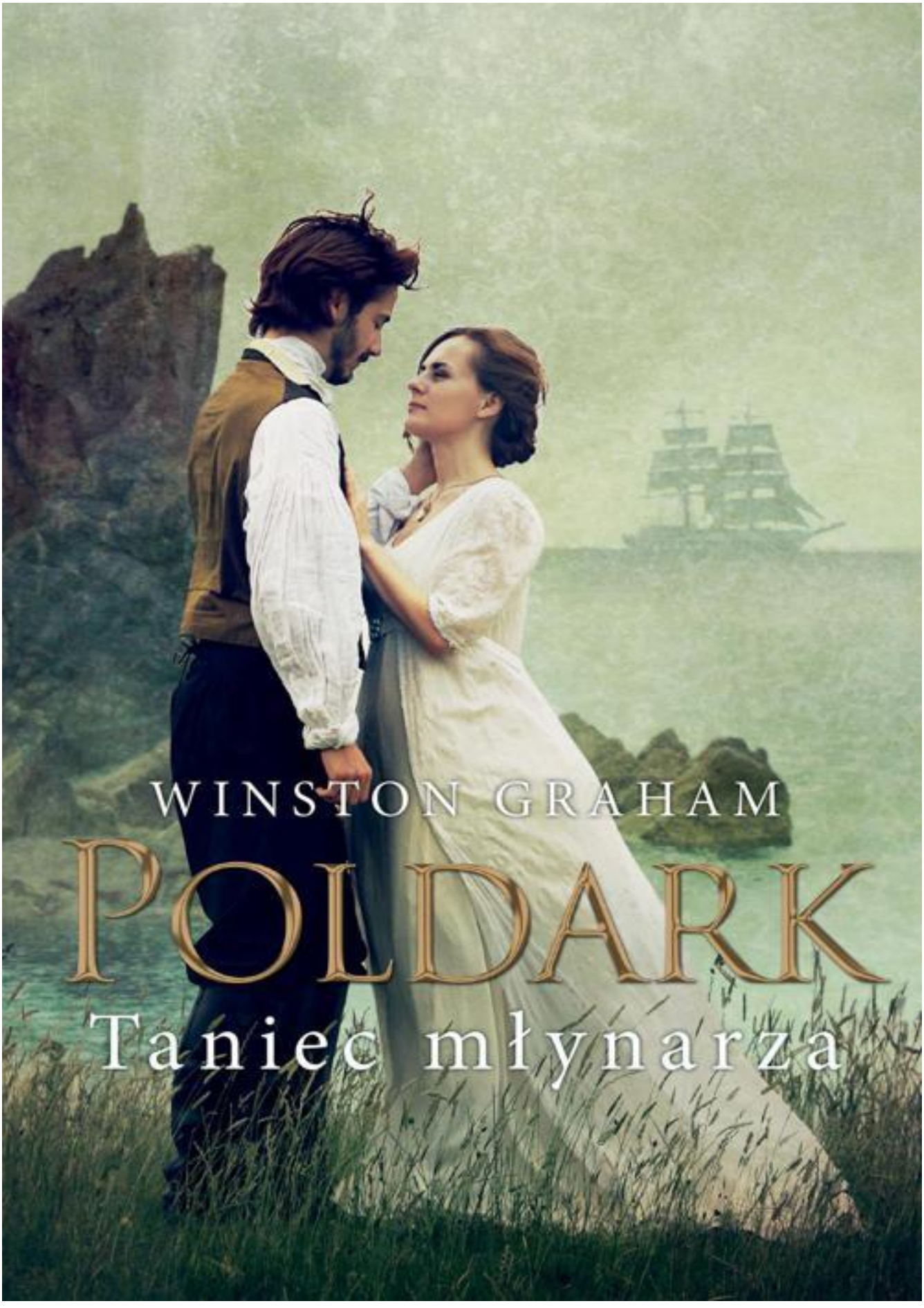
WINSTON GRAHAM
POLDARK
Taniec młynarza

WINSTON GRAHAM

POLDARK

Taniec młynarza

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1812–1813

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2018

Chciałbym podziękować Tony'emu Woolrichowi
za cenną pomoc i rady,
zwłaszcza dotyczące aspektów technicznych
wysokoprężnych kotłów parowych

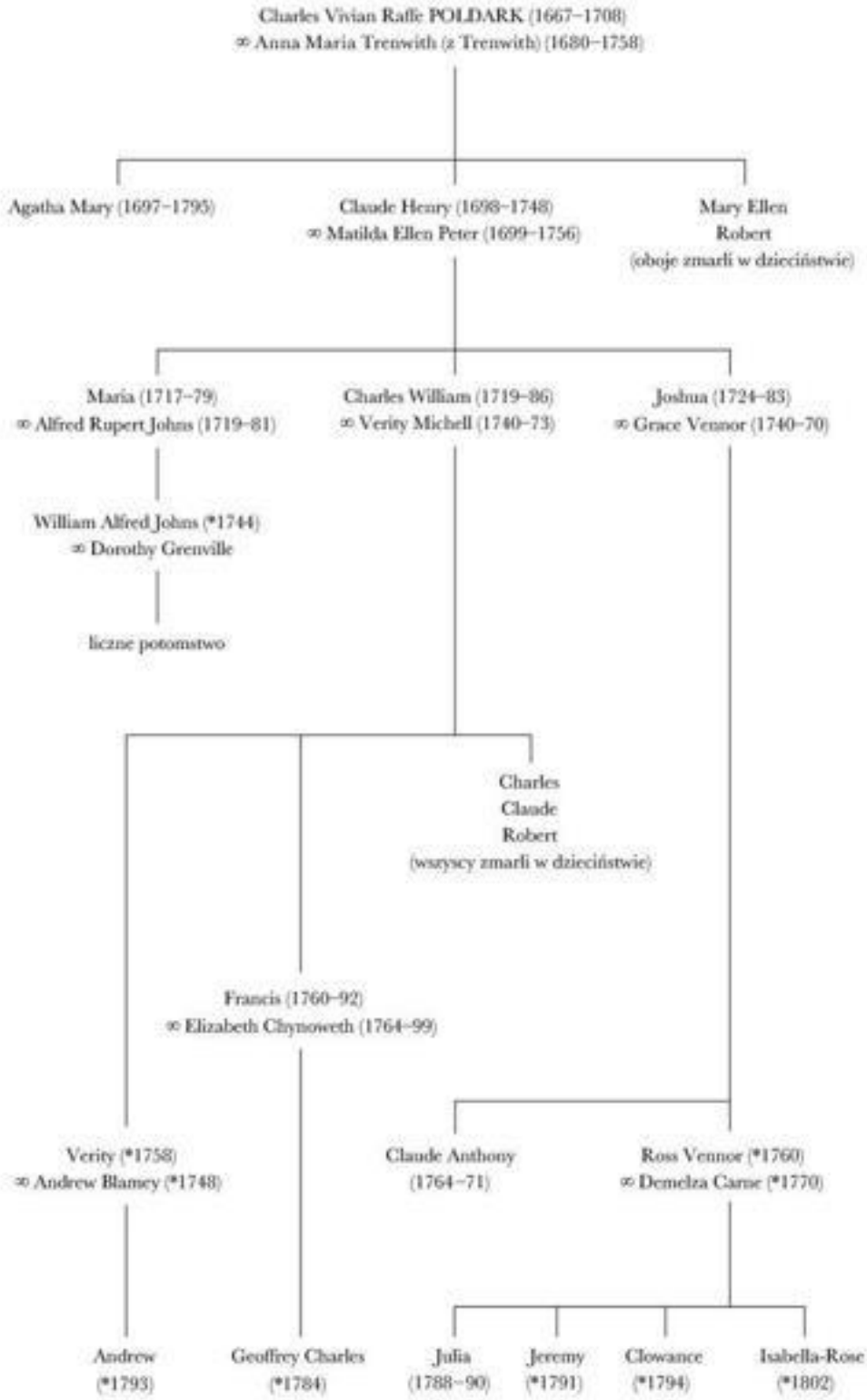
Charles Vivian Rafe POLDARK (1667–1708)
∞ Anna Maria Trenwith (z Trenwith) (1680–1758)
Agatha Mary (1697–1795)
Claude Henry (1698–1748)
∞ Matilda Ellen Peter (1699–1756)
Mary Ellen
Robert
(oboje zmarli w dzieciństwie)
Maria (1717–79)
∞ Alfred Rupert Johns (1719–81)
Charles William (1719–86)
∞ Verity Michell (1740–73)
Joshua (1724–83)
∞ Grace Vennor (1740–70)
William Alfred Johns (*1744)
∞ Dorothy Grenville
liczne potomstwo
Charles
Claude
Robert
(wszyscy zmarli w dzieciństwie)
Francis (1760–92)
∞ Elizabeth Chynoweth (1764–99)
Verity (*1758)
∞ Andrew Blamey (*1748)
Claude Anthony
(1764–71)
Ross Vennor (*1760)
∞ Demelza Carne (*1770)
Andrew
(*1793)
Geoffrey Charles
(*1784)
Julia
(1788–90)
Jeremy
(*1791)
Clowance
(*1794)
Isabella-Rose
(*1802)

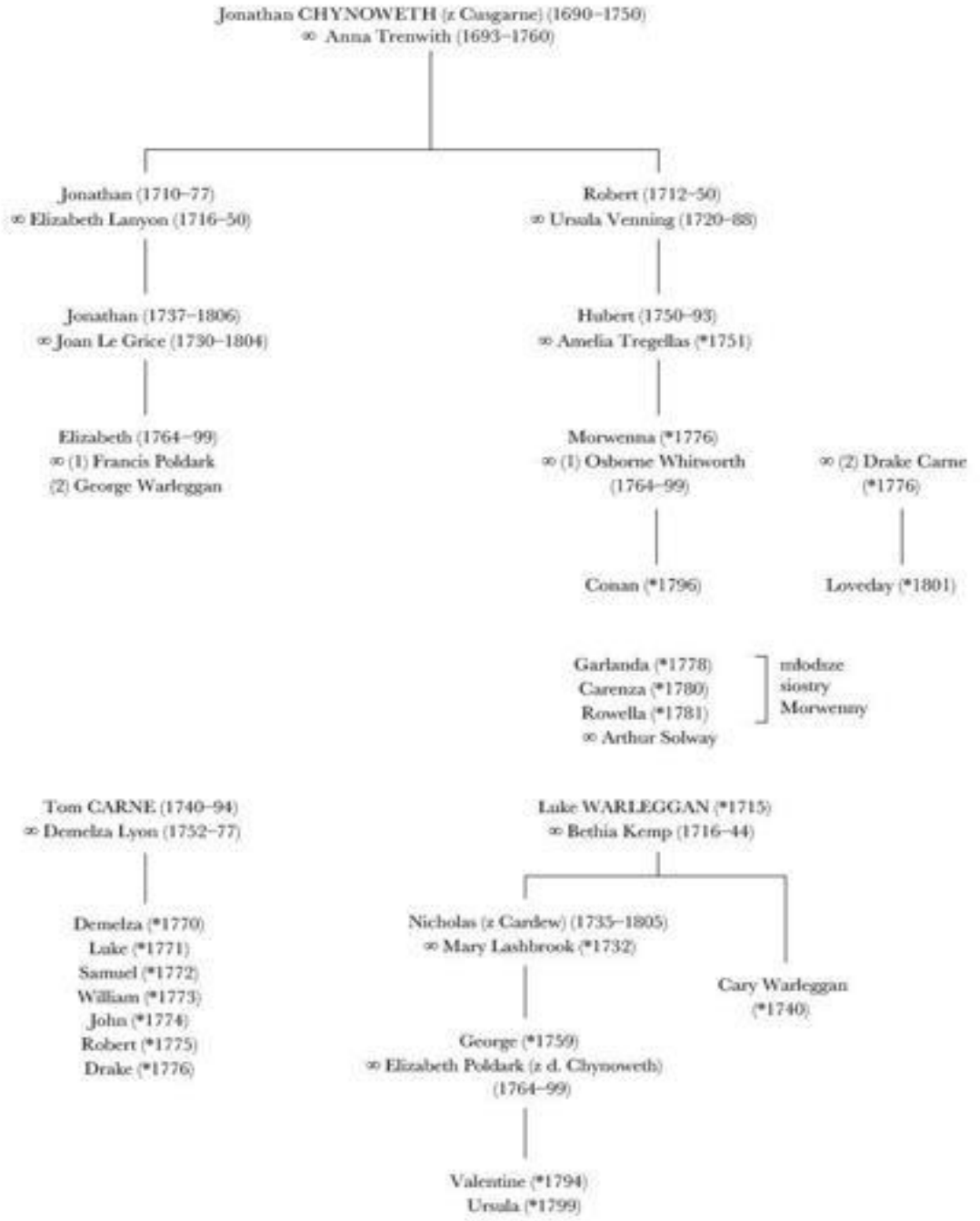
Jonathan CHYNOWETH (z Caugarne) (1690–1750)
∞ Anna Trenwith (1693–1760)
Jonathan (1710–77)
∞ Elizabeth Lanyon (1716–50)
Robert (1712–50)
∞ Ursula Venning (1720–88)
Jonathan (1737–1806)
∞ Joan Le Grice (1730–1804)
Hubert (1750–93)
∞ Amelia Tregellas (*1751)
Elizabeth (1764–99)
∞ (1) Francis Poldark
(2) George Warleggan
Morwenna (*1776)
∞ (1) Osborne Whitworth
(1764–99)
∞ (2) Drake Carne
(*1776)
Conan (*1796)
Loveday (*1801)
Garlanda (*1778)
Carenza (*1780)
Rowella (*1781)
∞ Arthur Solway
młodsze
siostry
Morwenny
Tom CARNE (1740–94)
∞ Demelza Lyon (1752–77)
Luke WARLEGGAN (*1715)
∞ Bethia Kemp (1716–44)
Demelza (*1770)
Luke (*1771)
Samuel (*1772)
William (*1773)
John (*1774)
Robert (*1775)
Drake (*1776)
Nicholas (z Cardew) (1735–1805)
∞ Mary Lashbrook (*1732)
Cary Warleggan
(*1740)
George (*1759)
∞ Elizabeth Poldark (z d. Chynoweth)
(1764–99)
Valentine (*1794)
Ursula (*1799)

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

I

W szarym dniu w lutym tysiąc osiemset dwunastego roku naprzeciwko plaży Hendrawna na północno-zachodnim wybrzeżu Kornwalii rzuciły kotwice dwa statki. Pierwszym był bryg Henry, a drugim slup o nazwie Elizabeth. Między nimi unosiła się na wodzie lichtuga z ogromną metalową konstrukcją przypominającą martwego wieloryba. Było także sześć szalup i dwa gigi, w tym Nampara Girl. Na plaży roiło się od pomocników i gapiów.

W normalnych okolicznościach żaden kapitan nie zaryzykowałby w lutym podpłynięcia tak blisko niebezpiecznej, niegościnnej plaży, ale po huraganach i wichurach szalejących w listopadzie, grudniu i styczniu nadszedł okres mrozów. Wieczorami pojawiał się szron, który znikał w południe – było to normalne zjawisko w tej okolicy; oznaczało, że wiatr ucichł i morze jest spokojne. Przez pewien czas obawiano się nawet, że plany pokrzyżuje nagła cisza morska, jaka czasem następuje po długotrwałych sztormach, ale dwa dni później powiał leciutki wietrzyk z północnego wschodu i w poniedziałek rano przed świtem statki wypłynęły z Hayle. Dotarły na miejsce w południe w czasie przypływu – był to pływ kwadraturowy, więc dużą część plaży pokrywał miękki piasek. Morze było spokojne i o brzeg uderzały niewielkie fale, niegroźne nawet dla dziecka.

Odległość między Namparą a Hayle, gdzie zbudowano maszynę parową, była taka sama na morzu i na lądzie, ale transport ciężkiego wyposażenia po błotnistych, pokrytych koleinami drogach i wrzosowiskach trwałby trzykrotnie dłużej, a wozy mogłyby ugrzęznąć. Droga morska wydawała się szybsza i łatwiejsza – po warunkiem że wybrano odpowiedni moment.

Najpierw rozładowano bryg. Ponieważ miał największe zanurzenie, części transportowanej maszyny należało przenieść na szalupy i tratwy daleko od lądu. W większości były to mniejsze elementy: mosiężne obejmy, zawory bezpieczeństwa, tłoki, trzony tłoków, cylindry, regulatory ciśnienia, sworznie, śruby mocujące kołnierz i pozostałe części maszyny parowej o długości stu piętnastu centymetrów. Slup Elizabeth, transportujący jedynie kocioł, podpłynął bliżej brzegu. W istocie rzeczy celowo wszedł na mieliznę na początku odpływu, ponieważ wiedziano, że gdy będzie lżejszy o siedem ton, natychmiast odzyska swobodę ruchów.

Ross Poldark przerwał na chwilę pracę, zjadł kawałek pasztetu rybnego przyniesionego przez żonę, popatrzył na plażę i powiedział:

– Nigdy nie widziałem na plaży tylu ludzi od czasu katastrofy dwóch statków po śmierci Julii.

– Nie mów o tym – odparła Demelza. – Wtedy…

– Cóż, wtedy byliśmy młodzi. Ale nie chciałbym przeżywać tego na nowo.

– Ani ja. I tego, co nastąpiło później. Jednak chciałabym mieć znowu dwadzieścia lat.

– Teraz mamy syna, który skończył dwadzieścia lat. Pracuje dziś jak szalony.

– Julia miałaby teraz dwadzieścia dwa? – zastanawiała się Demelza. – Nie, dwadzieścia jeden. W maju tego roku skończyłaby dwadzieścia dwa lata.

Ross jadł pasztet. Kiedy slup podpłynął do brzegu, na plaży ułożono pochylnię ze starych stempli kopalnianych – biegła od granicy wody do podnóża klifu. Wielki kocioł dźwignięto za pomocą kołowrotu i przeniesiono na drewnianą ramę stojącą na ośmiu lub dziewięciu drewnianych okrąglakach spoczywających na pochylni. Następnie robotnicy wskoczyli na ramę i obwiązali kocioł linami, by się nie przewrócił. Później potoczyli go pod górę po pochylni. Po każdej stronie ramy stało czterech ludzi ciągnących liny, a inni nieustannie przenosili gładkie okrąglaki z tyłu do przodu. O powodzeniu operacji nie decydowała siła, lecz zachowanie delikatnej równowagi, bo gdyby okrąglaki układano krzywo, kocioł zjechałby z pochylni i przewrócił się na piasek.

Ross popatrzył na niebo. Było ołowianoszare i zwiastowało bezgwiezdną noc. Zachowania morza naturalnie nie dawało się przewidzieć: w każdej chwili mogły się pojawić wysokie fale zapowiadające wiatr. Jednak do zmroku zostały jeszcze dwie godziny, a po wyładowaniu kotła na brzeg i przetoczeniu go do podnóża klifu nie trzeba się było już śpieszyć. Przypływ dotrze do tego miejsca

dopiero za dwa dni, jeśli nie później. Mieli mnóstwo czasu, by wciągnąć kocioł na przeznaczone dla niego miejsce.

– Napij się jeszcze piwa, nim odejdziesz – powiedziała Demelza, zauważając, że mąż ma ochotę wrócić do pracy.

– Gdzie jest Clowance?

– Na plaży razem z innymi. Koniecznie chciała to zobaczyć. O tam… Widzisz jej jasne włosy?

– Obok jasnowłosego mężczyzny.

– Tak, ostatnio często się spotykają…

Ross przypomniał sobie na chwilę dzień i noc siódmego stycznia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku, gdy w pobliżu plaży Hendrawna zatonęły w czasie sztormu dwa statki, po czym blisko tysiąc ludzi, w większości górników, doszczętnie ogołociło je z ładunku w ciągu jednego odpływu. Marynarze ledwo uszli z życiem i przedostali się na brzeg, celnicy i pluton żołnierzy nie zdołali powstrzymać plądrowania. Górnicy, doprowadzeni do rozpaczy przez głód i upici zdobytym alkoholem, byli nie do opanowania i próby odebrania im łupu mogły się okazać śmiertelnie niebezpieczne. Na plaży płonęły wielkie ogniska. Wokół nich tańczyły pijane postacie przypominające demony z otchłani piekielnych. Na morzu unosiły się żagle, reje, olinowanie, bele jedwabiu i baryłki brandy, o które bili się mężczyźni i kobiety. Czy to ci sami ludzie – przynajmniej część – którzy spokojnie wyładowują maszynę parową dla kopalni Wheal Leisure ponownie otwieranej na szczycie klifu? I setki mieszkańców okolicznych wiosek, którzy przyszli popatrzeć? Tamtej nocy przed wielu laty Ross oszalał z żalu po śmierci jedynego dziecka, a Demelza chorowała i znajdowała się o krok od śmierci – miała zapadnięte policzki i spoglądała na niego z łóżka pustym wzrokiem.

Teraz, przeszło dwie dekady później, nie był już udręczonym człowiekiem na skraju bankructwa. Miał pięćdziesiąt dwa lata, nie przytył (a może nawet stał się bardziej kościsty), często dolegał mu ból kostki spowodowany postrzałem otrzymanym dawno temu w Ameryce, lecz poza tym był zdrowy i nawet dość zamożny. Zasiadał w Izbie Gmin i choć nie odznaczył się w parlamencie niczym szczególnym, wyrobił sobie markę dzięki misjom zagranicznym, których się niekiedy podejmował. Zaledwie w zeszły piątek otrzymał list od George'a Canninga. Miał niewielki udział w Banku Kornwalijskim w Truro jako pełnoprawny wspólnik i odnosił coraz większe korzyści z rosnącego kapitału przedsiębiorstwa. Był właścicielem kopalni Wheal Grace, która przez blisko dwadzieścia lat przynosiła Poldarkom ogromne zyski, lecz obecnie powoli umierała z powodu wyczerpywania się złóż rudy, oraz drugiej kopalni, Wheal Leisure, którą właśnie otwierano. Posiadał udziały w zakładzie szkutniczym w Looe, zarządzanym przez swojego szwagra Drake'a Carne'a, a także udziały w piecach płomiennych w pobliżu Truro i kilka mniejszych inwestycji. Wszystko to zapewniało rodzinie komfortowe życie, choć deficytowa Wheal Grace pochłaniała trzy czwarte dochodów.

Obok Rossa stała jego żona, towarzyszka życia, z ciemnymi włosami rozwiewanymi przez wiatr, którą, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, w dalszym ciągu kochał. Była dziesięć lat młodsza, mądra i dowcipna, a z upływem czasu jej wygląd i figura niewiele się zmieniły. Lekką siwiznę pojawiającą się na skroniach starannie usuwała co tydzień farbą kupioną w St Ann's. Ross udawał, że tego nie zauważa.

Na plaży, pod opieką załamującej ręce pani Kemp, przebywał najmłodszy i najbardziej hałaśliwy członek rodziny, czarnowłosa dziesięciolatka o imieniu Isabella-Rose, obdarzona donośnym głosem i niespożytą energią. Chwilami pojawiała się obok niej siedemnastoletnia córka Poldarków, Clowance, ubrana dziś jak obszarpaniec w granatową barchanową bluzę i granatowe spodnie podwinięte do kolan; szybko krążyła między grupami robotników, a jej jasny kucyk kołysał się w obie strony. Syn Jeremy, najstarsze dziecko Rossa i Demelzy, znajdował się na pokładzie lichtugi i dyskutował z młodym Simonem Pole'em z kuźni Harveya. Sądząc po gestach Jeremy'ego, rozmowa dotyczyła udźwigu wyciągarek i sposobu ich mocowania. Nadzór nad wózkiem, gdzie miał spocząć ogromny żuraw z żeliwa, sprawował Ben Carter, wnuk Zacky'ego i kandydat na kierownika robót podziemnych w nowej kopalni.

Właścicielem jasnej czupryny, która pojawiała się obok Clowance i o której wspomniał Ross, był

Stephen Carrington, marynarz przypominający wikinga. Wyłowiono go ledwo żywego z morza szesnaście miesięcy temu, osiadł w Kornwalii i stał się znaną postacią w okolicznych wioskach. Co więcej, wyraźnie podobała mu się Clowance, która zdawała się odwzajemniać jego zainteresowanie.

W zeszłym roku, po niespodziewanym wyjeździe do Londynu i późniejszej wizycie w Bowood w Wiltshire, Clowance odrzuciła oświadczyny lorda Edwarda Fitzmaurice'a, młodszego brata markiza Lansdowne'a. To, że pozwolono jej odrzucić taką propozycję, wydawało się oczywistym dowodem nieuleczalnego, niewybaczalnego szaleństwa jej rodziców. Pani Pelham rozmawiała na ten temat z Caroline Enys, swoją siostrzenicą, i wyraziła następującą opinię:

– Byłabym w stanie to zrozumieć, gdyby lord Edward był chorym na podagrę starcem z wielkim brzuchem i słabym pęcherzem, ale ma dwadzieścia sześć lub siedem lat, zasiada w Izbie Gmin, posiada koneksje w najwyższych sferach i – dziw nad dziwy wśród naszych arystokratów – przykładnie się prowadzi. Nie jest najlepszym gawędziarzem, nie odznacza się najcelniejszym dowcipem, ale nie wygląda źle, jest silny i zdrowy. To, że panna Poldark okazała się tak nieopisanie głupia, można przypisać dziecinnej ignorancji, jednak reakcja twoich przyjaciół, jej rodziców, którzy w ogóle nie starali się przekonać córki, by przyjęła oświadczyny, to po prostu straszliwa zniewaga!

– Moja droga ciociu – odparła Caroline – musisz wiedzieć, że nigdy nie krytykuję swoich najdroższych przyjaciół, ale zdarzają się chwile – i nie jest to pierwszy taki przypadek – gdy mam nieelegancką ochotę chwycić ich za głowy i uderzyć nimi o siebie. Proszę, zmieńmy temat.

Wydawało się prawdopodobne, że najważniejsza przyczyna odrzucenia oświadczyn Edwarda Fitzmaurice'a to Stephen Carrington, nieprzewidywalny jasnowłosy przybysz z morza, człowiek czynu pomagający w budowie maszynowni kopalni Wheal Leisure w dalekiej Kornwalii, choć z racjonalnego punktu widzenia Clowance nie podobały się niektóre jego zachowania. Niewątpliwie na decyzję córki Rossa i Demelzy mogły wpłynąć również inne czynniki, zwłaszcza jej głęboka miłość do Kornwalii i zamiłowanie do życia na wolnym powietrzu, jakie prowadziła od dzieciństwa. Musiałaby zrezygnować z dzikich galopad po plaży, z kąpieli w morzu, ze spacerów boso po klifie, z beztroskiego życia dziecka natury. Zamiast tego czekałoby ją sztuczne życie w londyńskich wyższych sferach, przegrzane salony i nieszczere rozmowy. Jako młoda utytułowana dama znalazłaby się daleko od rodziny i przyjaciół.

Pani Pelham i w mniejszym stopniu Caroline uważały, że Demelza powinna rozmawiać na ten temat z córką i przekonywać ją, wskazując, że nawet w Kornwalii nie może przeżyć całego życia jak cygańskie dziecko, że musi dorosnąć, zawrzeć związek małżeński i mieć dzieci, że bogactwo, pozycja, wpływy i wybitny mąż to w obecnym świecie rzeczy niezwykle cenne, że powinna skorzystać z okazji uzyskania pozycji wielkiej damy choćby ze względu na przyszłość własnych dzieci. Jednak Demelza nie wywierała presji na córkę i okazja na zawsze przepadła.

Zamiast tego pozostał młody człowiek, Stephen Carrington, przedsiębiorczy, inteligentny, męski i niegodny zaufania. Jego obecność sprawiała, że Clowance czuła dreszcze i mocno biło jej serce. Edward Fitzmaurice nie budził w niej takich emocji. Ale czy można przewidzieć, który z nich okazałby się lepszym mężem?

Przed trzema godzinami lichtuga popłynęła prosto w stronę plaży i utkwiła dziobem w piasku. (Miała się uwolnić około północy). Długa zwłoka była celowa – czekano, aż stwardnieje piasek, by ułożyć na nim drugą pochylnię biegnącą na szczyt klifu. Gdyby zrobiono to od razu, stemple zapadłyby się w piasku pod własnym ciężarem. Była to najtrudniejsza część pracy. Gigantyczny żuraw odlany z żeliwa ważył osiemnaście ton – dwa i pół razy więcej niż kocioł. Wzdłuż drugiej pochylni z belek transportowano teraz inną, większą drewnianą ramę, pod którą znów zamierzano umieścić rolki z okrąglaków. Wciągnięcie żurawia na klif przekraczało ludzkie siły i miały tego dokonać dwa zaprzęgi złożone z dwunastu koni, po sześć z każdej strony. Rolki i ramę należało ułożyć na pochylni w ostatnim momencie, by spoczywał na niej jak najmniejszy ciężar. Wzdłuż pochylni czekało dwudziestu ludzi z workami, łopatami i łomami, na wypadek gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego.

Ross i Demelza obserwowali, jak napinają się liny oplatające żuraw. Mężczyźni z trudem obracali korby dźwigów, wydawało się, że liny lada moment pękną. Po chwili żuraw zawisł nad pokładem, wystając poza statek na dziobie i na rufie. Następnie dźwigi przesunęły się powoli w bok,

a tymczasem mężczyźni pilnowali klinów wbitych w burtę lichtugi, by się nie kołysała. Pod takim ciężarem musiała się poruszyć, lecz nastąpiło to powoli. Statek zakołysał się lekko, jego lewa burta zanurzyła się kilkanaście centymetrów głębiej w wodzie. W tej samej chwili żuraw opuszczono na ramę. Nagle wszyscy zaczęli się śpieszyć: robotnicy ustawili żuraw we właściwej pozycji – w odróżnieniu od kotła był płaski i istniało mniejsze niebezpieczeństwo, że zacznie się toczyć – następnie zeskoczyli z ramy i konie z wysiłkiem pociągnęły żuraw po pochylni.

Wcześniej prowadzono długie dyskusje, jak najlepiej przetransportować żuraw. Wybrano ten sposób, gdyż wydawał się najbezpieczniejszy. Ross podszedł do zaprzęgów; wyglądało na to, że wszystko idzie dobrze, choć była to wyczerpująca praca. Wózek z żurawiem powoli posuwał się do przodu. Konie brnęły po pęciny w piasku i trudno było nad nimi zapanować. Pierwszy zaprzęg prowadził Cobbledick, a drugi Jeremy.

Kiedy wózek dzieliło od klifu około trzydziestu metrów, znalazł się w miejscu, gdzie piasek był bardziej miękki, i zaczęły się kłopoty. Na plaży Hendrawna takich miejsc nie brakowało: nie było tam ruchomych piasków, lecz gdzieniegdzie prądy morskie tworzyły ławice, które nie twardniały w czasie odpływu. Pochylnia była tam lekko ugięta, a gdy znalazł się na niej wózek, zapadła się zbyt głęboko, by rolki mogły się toczyć. Konie nie były w stanie dalej ciągnąć wózka i nagle stanęły, po czym rozpętało się pandemonium. Zwierzęta cofnęły się i zaczęły wierzgać, Jeremy i Cobbledick bez powodzenia usiłowali nad nimi zapanować, wózek niebezpiecznie się przechylił i o mało nie spadł z pochylni.

Ross instynktownie chciał objąć dowództwo, ale się powstrzymał. Ben Carter wydawał już niezbędne polecenia. Pobiegł do wózka z ośmioma mężczyznami uzbrojonymi w łomy, którzy z powrotem ustawili wielki ciężar prosto na pochylni, a konie znów zaczęły równo ciągnąć. Wózek powoli ruszył naprzód, rozległy się wiwaty gapiów, lecz zaprzęgi straciły rytm. Każdy krok był gwałtownym szarpnięciem, wózek nierówno toczył się na rolkach po zapadającej się pochylni. Trwało to pewien czas. Żuraw zbliżał się z dręczącą powolnością do skał. Krok po kroku, podpierany i ciągnięty, sunął w stronę wysokiego klifu, a drewniane belki pochylni rozjeżdżały się na wszystkie strony.

W tłumie ludzi stojących na plaży Stephen Carrington chwycił Clowance za rękę.

– Gdzie byłaś wczoraj?

– W kościele. Chodzę tam od czasu do czasu. A ty gdzie byłeś?

– Szukałem cię.

– Niezbyt pilnie, jestem tego pewna.

– Dlaczego?

– Powinieneś się domyślić.

– Po co miałbym przychodzić do Nampary? Jest tam cała twoja rodzina.

– Mówisz, jakby byli zadżumieni.

– Tacy mi się wydają, gdy chcę być z tobą sam na sam.

– Więc teraz rozmawiasz ze mną sam na sam – odpowiedziała, spoglądając na trzymaną przez niego rękę.

– Chyba niewiele z tego wynika. Wokół tłoczy się pół setki ludzi!

– I wszyscy patrzą, jak mnie uwodzisz.

– Nie powinienem? Nie mam prawa?

– Nie publicznie. Jeszcze nie.

– Clowance, jestem zmęczony czekaniem. Prawie się nie widujemy…

– Och, w piątek przyszedłeś do nas na kolację. W czwartek długo rozmawialiśmy w kopalni. We wtorek…

– Ale zawsze wśród innych. Dobrze wiesz, że nie chcę się z tobą spotykać wśród ludzi. W zeszłym roku, przed moim odjazdem, znacznie częściej byliśmy sami!

Uwolniła dłoń.

– Chyba tak.

– Dobrze o tym wiesz. Kiedy możemy się znowu spotkać w Trenwith?

– Ach, nie wiem…

Do Rossa podszedł tęgi dżentelmen noszący czarny frak i biały halsztuk, bryczesy sięgające do kolan i wysokie skórzane buty włożone na pończochy. Rozmawiali wcześniej tego samego dnia, gdy Ross przesiadł się z Nampara Girl na bryg Henry. Pan Harvey, Henry Harvey, którego imię nosił statek. Miał trzydzieści siedem lat i był głównym udziałowcem firmy Blewett, Harvey, Vivian i Spółka, z siedzibą w Hayle, gdzie zbudowano maszynę parową. To on doprowadził do szybkiego rozwoju odlewni. Gdyby proces sądowy wytoczony wspólnikom zakończył się po jego myśli, wkrótce miał zostać jej jedynym właścicielem.

Nie nadzorował osobiście transportu wszystkich maszyn zbudowanych przez swoją firmę, ale to zlecenie było szczególnie interesujące. Po pierwsze, kapitan Poldark nie był zwykłym przedsiębiorcą górniczym. Po drugie, jego syn Jeremy osobiście stworzył ostateczny projekt maszyny parowej, łamiąc zasady obowiązujące w społeczeństwie tej epoki.

– Myślę, że wszystko jest w porządku, kapitanie. Bezpiecznie wyładowaliśmy części na brzeg.

– Tak. Jutro musimy je wciągnąć na klif.

W ostatnim momencie wózek ześlizgnął się z pochylni i nie dawał się poruszyć, jednak spełnił już swoje zadanie. Przez ostatnie kilka metrów żuraw można było ciągnąć po piasku.

– A zatem… Gdybym teraz państwa opuścił…

– Byłby pan mile widzianym gościem na kolacji, panie Harvey. Cały dzień byliśmy na głodowej diecie. Może pan również przenocować w Namparze. Byłaby to dla nas przyjemność.

– Dla mnie również, sir. I zaszczyt. Ale nie mógłbym spokojnie jeść ani spać, gdy trzy moje statki kotwiczą przy tym niebezpiecznym brzegu. Może innym razem.

– Rozumiem. Pana brat Francis zatrzymał się u nas przed… przed swoim wypadkiem.

– Skończyłby w tym roku czterdzieści cztery lata. Od tamtego czasu straciłem dwóch braci i siostrę. Oczywiście w ich przypadku z naturalnych przyczyn, z naturalnych przyczyn… Jak przewiduje pański utalentowany syn, kotły wysokoprężne z czasem na pewno staną się codziennością mimo związanego z nimi ryzyka. Będę obserwował działanie i wydajność tej maszyny ze szczególnym zainteresowaniem.

Ross spojrzał na ciemniejące niebo, które miało w sobie coś żałobnego.

– Myślę, że może pan odejść. Dziś w nocy nie będziemy mieli kłopotów, choć trudno przewidzieć, co nas czeka jutro.

Uścisnęli sobie dłonie. Częściowo uregulowano już koszt maszyny, resztę należało zapłacić po dostawie, lecz nie był to temat do rozmów między dżentelmenami. Kiedy wyprzęgano spocone konie, robotnicy zabrali się do rozbierania drewnianej pochylni na skraju wody. Ross odprowadził Harveya do łodzi, gdzie czekało dwóch ludzi, by zepchnąć ją na spienioną wodę. Konstruktor zamierzał popłynąć na bryg i wrócić do Hayle.

– Jutro? – spytał Stephen Carrington.

– Słucham? – odpowiedziała Clowance.

– Trenwith?

– To niebezpieczne. Zobaczą nas ludzie.

– Niech zobaczą.

– Nie. Mieszkasz tu od niedawna, Stephen. Nie zniosę szeptów, brudnych plotek. Skaziłyby… skaziłyby to, co powinno pozostać czyste.

– Więc gdzie? Gdzie?

– Może w Trenwith. Najlepiej po zmroku.

– To mi pasuje.

– Tak… Ale to znaczy… Znowu oszustwa… znowu kłamstwa.

– Mnie na nich nie zależy. Krzyczałbym o nas na cały głos, by wszyscy słyszeli.

Clowance z irytacją wzruszyła ramionami. Nie mogła wytłumaczyć Stephenowi, że targają nią sprzeczne uczucia. Nieprzeparty pociąg fizyczny zmagał się z zasadami wychowania i lojalnością wobec rodziny oraz przyjaciół, a sytuację dodatkowo komplikował stosunek Stephena wobec innych kobiet, czego nie dało się lekceważyć.

– Może w przyszłym tygodniu – powiedziała.
– To za długo. Chcę się z tobą spotkać jutro.
– Nie.
– A więc w środę.
– Nie… Może w piątek. Odwiedziłabym Paynterów i poszła stamtąd do Trenwith.
– O której?
– Około piątej.
– Będę czekał. Nie zawiedź mnie, dobrze?
– Spróbuję przyjść – odparła Clowance, dobrze wiedząc, że tak właśnie zrobi.

II

Zima była smutna i wietrzna, lecz nie nadeszły ostre mrozy. Względnie ciepła pogoda złagodziła największe cierpienia pogrążonej w kryzysie północnej Anglii i nawet na Półwyspie Iberyjskim – gdzie wojska francuskie i brytyjskie, wyczerpane po krwawych walkach i oblężeniach zeszłego roku, przeniosły się do kwater zimowych – nie panowało zwykłe lodowate zimno.

Długa kampania złożona z zażartych bitew o wzgórza, mosty i miasta Hiszpanii i Portugalii miała jedną szczególną cechę. Wellington zawsze zwyciężał. Próbował go pokonać każdy z wielkich marszałków Napoleona i każdy poniósł klęskę. Brytyjski generał nie stanął jeszcze naprzeciwko największego geniusza militarnego swojej epoki, ale mogło się to zdarzyć w czasie następnej kampanii. Chociaż Napoleon w dalszym ciągu panował nad Europą, Anglicy nosili dumniej głowy. Doskonałe wieści nadeszły również z Dalekiego Wschodu, gdzie korpus ekspedycyjny złożony z trzech i pół tysiąca ludzi pod komendą generała Auchmuty'ego pokonał dziesięć tysięcy żołnierzy holenderskich, francuskich i jawajskich, a następnie opanował Jawę – ostatnią z podbitych i z pewnością najbogatszą kolonię Francji. Sytuacja się zmieniała, ponieważ nieprzenikniony car Aleksander stanowczo sprzeciwiał się woli Napoleona, który z kolei groził, że Rosjan spotka surowa kara.

W Anglii stary król pogrążył się w szaleństwie, a książę regent z maniackim uporem w dalszym ciągu popierał swoich dawnych wrogów torysów oraz gabinet nieudolnego, niezdecydowanego Spencera Percevala. Tak przynajmniej uważali wigowie. Rok wcześniej, gdy książę Walii został regentem, niespodziewanie oświadczył, że nie chce odwoływać rządu mianowanego przez ojca, gdyż król może w każdej chwili odzyskać rozum i wpaść we wściekłość, że zdymisjonowano jego ministrów. Jednak z upływem czasu coraz bardziej wydawało się to szytą grubymi nićmi wymówką, jak zawsze podejrzewali dawni przyjaciele księcia. Przez całe dorosłe życie, wbrew ojcu, zwolennikowi torysów, popierał znajdujących się w opozycji wigów, lecz tuż przed objęciem funkcji regenta nagle zmienił zdanie i odmówił powołania gabinetu złożonego z Greya, Grenville'a, Whitbreada i Broughama, którzy przeprowadziliby niezbędne reformy i pośpiesznie zawarli pokój z Francją. Na księcia mogło w ostatniej chwili wpłynąć wiele czynników – nawet, w minimalnym stopniu, prywatna rozmowa z pewnym kornwalijskim kapitanem. Tylko regent wiedział, jakie motywy przeważyły nad innymi.

Pozostający w opozycji wigowie, również nastawieni patriotycznie, rzecz prosta zmienili zdanie na temat perspektyw działań Wellingtona na Półwyspie Iberyjskim i wielu z nich z większym optymizmem spoglądało na wysiłki wojenne Anglii. Mimo to część wigów wskazywała, że niepowodzenia Bonapartego to drobnostki w porównaniu z rozmiarem jego imperium. W Europie pod butem Napoleona nie znajdowały się tylko dwa kraje: uparta, nadąsana Rosja i niedawno wyzwolona Portugalia. Połowa Europy była w stanie wojny z Anglią, a jej wyroby przemysłowe nie mogły trafić do żadnego portu na kontynencie. Zakazu importu towarów brytyjskich pilnowały tysiące celników. Kontrabandę konfiskowano i często palono statki, które ją przywoziły, by pokazać, że dekrety cesarza muszą być przestrzegane.

Co gorsza, Anglia miała również kłopoty ze Stanami Zjednoczonymi. Z powodu morskiej blokady Europy – miała ona zapobiec dostarczaniu Napoleonowi surowców niezbędnych do prowadzenia wojny – Anglia rościła sobie prawo do przeszukiwania każdego statku przechwyconego przez flotę brytyjską na pełnym morzu. Amerykanie, którym nie podobało się to żądanie, odrzucili je, po

czym w odwecie i ze względu na dawne pretensje rząd Stanów Zjednoczonych wydał dekret zabraniający wszelkiego handlu z Anglią. Był to śmiertelny cios dla resztek przemysłu w Lancashire, ponieważ pozbawił fabryki dostaw surowej bawełny. George Warleggan był rad, że pozbył się nieprzemyślanych inwestycji na północy, choćby z ogromnymi stratami. Żywność kosztowała dwukrotnie więcej niż dwadzieścia lat wcześniej, a tkacze z Glasgow otrzymywali jedną czwartą ówczesnych wynagrodzeń.

Czy gdyby pozwolono wigom przejąć ster rządów, w dalszym ciągu uważaliby kompromisowy pokój za jedyny sposób zakończenia wojny? Nie tak dawno Paryż próbował wysondować stanowisko Anglii. Teraz miała ona dodatkową kartę przetargową… Francja mogłaby otrzymać z powrotem Jawę w zamian za zagwarantowanie niepodległości Hiszpanii i Portugalii. Anglia uznałaby niezbywalne prawa Francji w basenie Morza Śródziemnego w zamian za otwarcie portów bałtyckich. I tak dalej. Były to koszmary prześladujące Rossa. I nie tylko Rossa. Niedawno otrzymał list od George'a Canninga, który pisał:

Brakuje nam Ciebie, Ross, i potrzebujemy Cię. Nie tylko do udziału w głosowaniach – choć do tego również – ale z powodu Twojej energii. I wiedzy militarnej. Zapewne przypuszczasz, że rząd jest zasypywany raportami o przebiegu wojny – i jest to prawda. Ale Ty mówisz i argumentujesz na podstawie własnego doświadczenia, a poza tym nie masz nic do zyskania ani do stracenia. Ludzie słuchają Twoich opinii – jeśli nie w Izbie Gmin, to poza nią, w czasie prywatnych spotkań, kiedy podejmowane są decyzje polityczne. Czyli tam, gdzie wszystko się rozstrzyga.Czytasz gazety? Myślisz, że długo jeszcze zdołamy prowadzić wojnę, gdy na północy może wybuchnąć rewolucja? W Manchesterze zostało zaledwie sześć czynnych fabryk spośród trzydziestu ośmiu. Podobna sytuacja panuje w większości miast Lancashire, a w Nottinghamshire, gdzie pojawili się tak zwani luddyści, doszło do rozruchów – do czego to doprowadzi? Uczestnicy zamieszek zbierają się otwarcie w miastach i we wsiach, po czym bezmyślnie niszczą maszyny, ponieważ wierzą, że pozbawiły ich pracy. Oczywiście należy ich powstrzymać, lecz w samym Nottinghamshire zasiłki dla ubogich pobiera już przeszło dwanaście tysięcy operatorów maszyn. Czy można ich winić? Jak rozumiem, Perceval i jego ministrowie myślą tylko o represjach. Wysyłają całą brygadę dragonów, by spacyfikować hrabstwo, lecz jak mamy walczyć z Napoleonem, skoro nasze wojska muszą walczyć w kraju? Musimy jakoś pomóc głodującym ludziom, a jednocześnie utrzymać szacunek dla prawa i karać tych, którzy je łamią. Zamierzam się tego domagać i mam poparcie swoich stronników w Izbie, ale dodatkowy głos, dodatkowe przemówienie miałyby ogromną wagę. Potrzebujemy Cię, Ross.

– Pojedziesz? – spytała z rozpaczą Demelza.

– Naturalnie, że nie. Z pewnością nie teraz. Szczerze mówiąc, Jeremy nie może zupełnie sam uruchomić Wheal Leisure i zarządzać kopalnią. Za często wyjeżdżałem i zaniedbałem własne sprawy. Nieprędko zapomnę sytuację, którą zastałem w Wheal Grace po powrocie – kiedy to było? Dziewięć lat temu? Boże, czas ucieka! Cała ta szajka złodziei…

– Zajmowali się tym głównie Bragg i Nancarrow. To się nie może powtórzyć…

– Poza tym… – zaczął Ross.

– Poza tym?

– Panuje kryzys. Ludziom nie wystarczy ziarna na zimę. W przyszłym miesiącu wieśniacy zaczną głodować również w Kornwalii. To niezbyt miła perspektywa.

– Ale Canning pisze… bardzo przekonująco. Wiem, jak go cenisz.

– O tak, o tak. Nie byłby tak wielkim człowiekiem, gdyby nie potrafił być przekonujący. Powinnaś go usłyszeć w Izbie Gmin – panuje tam ogłuszający gwar! – ale kiedy wstaje Canning, po dwóch minutach zapada cisza i posłowie go słuchają! Tym razem jednak mam obowiązki wobec rodziny.

Demelza poruszyła się na fotelu, nieprzekonana.

– Obiecaj mi jedno, Ross.

– Spróbuję.

– Przyrzeknij, że nie dasz się namówić do kolejnego wyjazdu za granicę. Nie powinni cię o to

znowu prosić. Choćby sprawiało ci to przyjemność.

– Dlaczego przypuszczasz, że sprawia mi to przyjemność, do licha?!

– Przychodzi mi to do głowy po przeczytaniu starego listu Geoffreya Charlesa – odpowiedziała. – Zerknęłam na niego kilka dni temu. W czasie bitwy pod Buçaco w ogóle nie myślałeś o żonie i dzieciach! Co napisał Geoffrey Charles? „Odgryzałeś ładunki, przeskakiwałeś jak chłopiec głazy i martwych Francuzów, dzielnie robiłeś szpadą". Czy tak powinien się zachowywać odpowiedzialny poseł do Izby Gmin? Założę się, że Canning nigdy by tak nie postąpił.

– Canning nie jest żołnierzem… Kiedy człowiek uczestniczy w takim natarciu, zapomina, że jest stary, nieruchawy i połamany przez reumatyzm. Pojawia się uniesienie.

– Nie jesteś jeszcze stary i nieruchawy, a poza tym nie chorujesz na reumatyzm, choć czasem boli cię kostka. Ale skoro czujesz uniesienie tylko wtedy, gdy zabijasz ludzi…

Ross potarł się po uchu.

– Dostaliśmy ten list dziewięć miesięcy temu. Dużo czasu minęło, nim wysunęłaś to oskarżenie!

– Zostawiałam je na odpowiednią chwilę – odparła Demelza.

– Cóż, wreszcie się pojawiła, prawda?

Siedzieli na kanapie w salonie. Wcześniej zajmowali się różnymi sprawami i spędzili razem dopiero dziesięć minut. Wielki żuraw maszyny parowej wciągnięto na klif, jutro miał się rozpocząć montaż urządzenia.

– Dobrze. Muszę przyznać, że czułem… uniesienie – rzekł Ross. – To się po prostu zdarzyło. Nie znoszę zabijania, nienawidzę go, podobnie jak większość cywilizowanych ludzi, może nawet bardziej, bo nie lubię polowań. Zupełnie nie wierzę, że Geoffrey Charles lubi zabijać. Ale popatrz na jego ostatni list, przeczytaj go jeszcze raz. W czasie wojny pojawia się dziwne poczucie braterstwa, które sprawia, że człowiek zapomina o lepszych cechach swojej natury. Kto by pomyślał, że mały chłopiec, którego tak kochała Elizabeth – i z pewnością rozpieszczała – kto by pomyślał, że ten mały chłopiec będzie kiedyś walczył w krwawych bitwach, znosząc towarzyszące im cierpienia: głód, wilgoć, znużenie, śmierć lub okaleczenie przyjaciół… Mimo to jakimś cudem sprawia mu to przyjemność! Nasza armia na Półwyspie Iberyjskim ma w sobie coś niezwykłego, co nadaje wojnie nowy wymiar.

Do domu wpadła Isabella-Rose, krzycząc na całe gardło. Nie wydawała się rozgniewana, tylko po prostu podniecona. Pani Kemp podążyła za nią schodami, mówiąc cichszym tonem.

– Posłuchaj jej głosu – powiedział Ross. – Czy zostanie śpiewaczką, czy handlarką ryb?

– Chyba ma po prostu zdrowe płuca. Z pewnością jest najhałaśliwsza z trojga naszych dzieci, choć urodziła się w czasach, gdy prowadziliśmy najspokojniejsze życie.

– Tak czy inaczej, solennie obiecuję, że nie pojadę znowu walczyć w Portugalii – rzekł Ross. – Ani gdziekolwiek indziej.

– Nawet w Nottingham?

– Na pewno nie w Nottingham! Jak może pamiętasz, raz pomogłem tłumić tam zamieszki i pamięć o tym jest jak plama krwi, której nie daje się sprać.

Demelza z ponurą miną oblizała wargi.

– Chyba psuje mi się ząb. Rozbolał mnie zeszłego wieczoru, kiedy jadłam jabłko. Od tamtej pory stale mi dokucza. Myślę, że mam dziurę.

– Pozwól mi obejrzeć.

Otworzyła usta i wskazała ząb. Ross włożył jej palec do ust, ona zaś wydała z siebie ciąg nieartykułowanych dźwięków:

– Jee… li… dradze… eby… bedeee… yglondaa… jag… odka… ary… ogers.

Ross cofnął palec.

– To ciekawy język, ale nauczę się go przy innej okazji.

– Powiedziałam tylko, że jeśli stracę zęby, będę wyglądała jak ciotka Mary Rogers.

– Skończyłaś paplać?

– Tak, skończyłam.

– Powstrzymaj wszelkie myśli, które przychodzą ci do głowy. Pozwól mi popatrzeć.

Demelza znów otworzyła usta. Ross włożył palec.

– To ten ząb?

– Taaa…

– Masz obolałe dziąsło. Kawałek skórki od jabłka musiał wejść między dziąsło a ząb, który jest zupełnie zdrowy.

Zacisnęła zęby na jego palcu, ale nie mocno.

– Nawiasem mówiąc, jeśli w wieku ciotki Mary Rogers będziesz wyglądać tak jak ona, nie będzie tak źle – powiedział, wyjąwszy palec. – Skoro już o tym mówisz, rzeczywiście widzę pewne podobieństwo.

– Chciałbyś znowu włożyć mi palec do ust? – spytała.

Rozległo się pukanie do drzwi i do salonu weszła Jane Gimlett.

– Och, przepraszam, sir… Przepraszam, pani. Chciałam sprawdzić, czy trzeba rozpalić w kominku.

– Tak.

Siedzieli obok siebie na kanapie, gdy tymczasem Jane rozpalała ogień. Jane ma prawie zupełnie siwe włosy, pomyślał Ross. Jak długo ona i John wiernie nam służą? Od czasu, gdy wyrzuciłem Paynterów, co stało się przed dwudziestu siedmiu laty. John także się postarzał. Wcześniej był wędrownym szewcem. Prawdopodobnie zamierzają służyć Poldarkom do końca życia, a przynajmniej dopóki wystarczy im sił i zdrowia. Gdyby Ross zaproponował, że mogą przejść na ufundowaną przez niego emeryturę, byliby przygnębieni, dotknięci do żywego: doszliby do wniosku, że opuścili się w pracy. Choć tak nie jest. Dlatego należy korzystać z ich usług, cieszyć się z ich lojalności i głębokiego przywiązania…

– Dziękuję, Jane – rzekł, kiedy wychodziła; ona zaś ze zdziwieniem uniosła oczy, słysząc ton jego głosu.

Demelza też się zdziwiła, lecz nic nie powiedziała.

– Jeśli uznam, że wiosną powinienem pojechać do Londynu, pojedziesz ze mną? – spytał Ross.

– Nie mogę. Boję się. Chyba że z Clowance, ale wiem, że nie chce teraz opuszczać Nampary. Tak czy inaczej, Stephen zamieszkał w okolicy, więc byłaby to tylko ucieczka przed problemem. Po powrocie znowu musielibyśmy stawić mu czoło.

– Nie możemy kierować życiem naszych dzieci, Demelzo.

– Bardzo się staramy tego nie robić! – odpowiedziała z irytacją. – Może niewielka interwencja przyniosłaby Clowance jakąś korzyść!

Nie skomentował tej uwagi, zdając sobie sprawę, że narzucił Demelzie i dzieciom własne podwójne standardy.

– Clowance żałuje, że odrzuciła oświadczyny Fitzmaurice'a? Jak sądzisz?

– Nie… Trochę płakała pierwszej nocy. Mówiłam ci o tym, prawda? Bardzo jej współczuję. To koszmarnie trudna decyzja dla dziewczyny w jej wieku. Tak znakomita partia, że też chciało mi się płakać… Nie wiem, czy naprawdę zdawała sobie sprawę, jaką propozycję odrzuca. Obawiam się, że odziedziczyła po nas przekonanie, że szczęśliwe małżeństwo musi się opierać wyłącznie na miłości. Ukrywaliśmy przed nią swoje problemy i widziała tylko jasną stronę – oczywiście to ona przeważa. Nigdy się nie kłócimy o drobnostki, nie dogryzamy sobie, nie sprzeczamy się. Clowance chce, by jej małżeństwo wyglądało tak samo!

– Uważasz, że wyjdzie za Stephena? Chłopak ma w wiosce dziwną opinię.

– Wiem. Może to tylko plotki wywołane jego swobodnym sposobem bycia… Clowance ma przynajmniej dość rozsądku, by zachować dystans. Ale trochę go kocha – nawet bardziej niż trochę – a do Edwarda Fitzmaurice'a nie czuła absolutnie nic.

Zapadła cisza. Zarówno Ross, jak i Demelza chcieli powiedzieć coś więcej, lecz postanowili milczeć. Po chwili Ross wstał, podszedł do sekretarzyka, wyciągnął górną szufladę, wyjął ostatni list Geoffreya Charlesa Poldarka, po czym znów usiadł obok żony.

– Pora, by wrócił do domu – powiedziała. – Chciałabym, żeby wziął urlop. Mógłby zamieszkać

u nas i odwiedzać Trenwith w wolnych chwilach. Majątek potrzebuje jego opieki.

– Już mu o tym mówiliśmy.

– Przeczytaj mi ten list, Ross. Zapomniałam połowy.

Spojrzał zmrużonymi oczami na papier, zdając sobie sprawę, że tylko próżność powstrzymuje go od zakupu okularów do czytania.

Zaczął czytać:

Sabugal, 3 listopada 1811 roku

Drogi Stryju Rossie i Ciotko Demelzo!Zwlekałem z odpowiedzią na Wasz list z 12 sierpnia, ale na Półwyspie Iberyjskim działy się różne rzeczy, ważne i ciekawe, a także nieważne i nieciekawe. W tej chwili przebywamy w kwaterach zimowych, jak można barwnie nazwać to miejsce, i mamy mnóstwo wolnego czasu do Nowego Roku, gdy zacznie się kolejny sezon polowań na Francuzów.Proponujecie, bym poprosił o urlop i przyjechał do Nampary. Kiedy wrócę do Anglii i Kornwalii, natychmiast Was odwiedzę, a jeśli wspaniałomyślnie nie zmienicie zdania, zamieszkam u Was, aż Wasza cierpliwość się wyczerpie. Dziękuję za zaproszenie, bo czuję, że puste Trenwith przypominałoby nawiedzony zamek. Chętnie bym Was wszystkich zobaczył, mam wiele do opowiedzenia, ponieważ od szczęśliwego spotkania ze Stryjem przed bitwą pod Buçaco minął już przeszło rok. Pod względem wojskowym był to dla mnie wspaniały rok, gdy po wszystkich odwrotach i rozczarowaniach – nawet po odwrocie spod Buçaco! – wreszcie coś się zmieniło. Nieustanie atakujemy, okazując wielką zręczność taktyczną, działając powoli i stopniowo. Uważam, że przed Wellingtonem nikt w dziejach wojen tak błyskotliwie nie dowiódł zalet taktyki reculer pour mieux sauter. Przypominają mi się przypływy na plaży Hendrawna, gdy patrzyłem na nie razem z Morwenną – nieubłaganie posuwały się do przodu.Mógłbym w tej chwili otrzymać urlop i spędzić z Wami Wielkanoc – znakomity pomysł – lecz tego nie zrobię, ponieważ wśród oficerów i żołnierzy, którzy przeżyli ostatni rok, panuje takie braterstwo i przyjaźń, że miałbym wyrzuty sumienia, gdybym teraz wyjechał choćby na sześć lub osiem tygodni. Nie uwierzylibyście, jak się wzajemnie szanujemy – choć niewiele się o tym mówi!W czasie letniej kampanii prowadziliśmy spartański żywot – naprawdę spartański! – ale nie powinniście sądzić, że zimą brakuje nam wygód i rozrywek. Mamy przed sobą perspektywę tańców, zabaw, nowomodnych wyścigów konnych z przeszkodami i tradycyjnych polowań na lisy, zawodów pięściarskich, wyścigów osłów, polowań na wilki i dziki, amatorskich koncertów i przedstawień teatralnych. Może im brakować londyńskiej elegancji, którą niegdyś podziwiałem, lecz nie muszą się obawiać porównań pod względem entuzjazmu, z jakimi są wystawiane i podziwiane.Poza tym, moi Drodzy, damy są bardzo miłe, serdeczne i przyjazne. Istnieje subtelna różnica między tymi, których serdeczność powściągają wymogi cnoty, a tymi, które nie mają takich skrupułów. Ale wszystkie są bardzo sympatyczne – nawet zakonnice! Zanim przybyłem na Półwysep Iberyjski, uważałem, że Portugalki są mniej atrakcyjne od Hiszpanek, ale, na moją duszę, jest tu mnóstwo prawdziwych piękności. Może kiedy następnym razem do Was napiszę, będę już mężem jednej z nich! Szkoda, że wszystkie to papistki.Zanim udaliśmy się na kwatery zimowe, stoczyliśmy ostatnią wspaniałą potyczkę z marszałkiem Marmontem w miejscu o nazwie El Bodón. Nie mam wątpliwości, że na długo przed otrzymaniem tego listu przeczytacie o tej miejscowości w gazetach. Mogę tylko powiedzieć, że choć bez własnej winy zjawiliśmy się na polu bitwy trochę zbyt późno, było to jedno z najlepszych starć, w jakich uczestniczyliśmy. Oczywiście krew lała się strumieniami, ale był to modelowy przykład walki z przeważającym liczebnie przeciwnikiem. Szczerze wierzę, że bitwa pod El Bodón zajmie poczesne miejsce w przyszłych podręcznikach sztuki wojennej.Jestem w wyjątkowo dobrej formie. W ciągu całego roku walk ani razu nie bolał mnie brzuch i nie odniosłem nawet draśnięcia. Znów zginęło kilku moich dobrych przyjaciół, ale pozostało ich dość, by cieszyć się braterstwem broni i miło spędzać czas.Przesyłam Wam najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy szacunkuWasz szczerze oddanyGeoffrey Charles

PS Jakieś nowiny na temat ojczyma George'a? W czasie naszego ostatniego spotkania Stryj wspomniał, że może on myśleć o ponownym małżeństwie, ale nic o tym nie słyszałem. Koresponduję tylko z Wami i z Valentine'em, który czasem do mnie pisze. Przysłał list w zeszłym miesiącu, opowiadał o swoim flircie

z czyjąś ładną żoną, lecz nie wspomniał, że będzie miał macochę. Więc rozumiem, że zaloty George'a się nie udały, a może ciągle trwają?

PPS Na Boga, piszę nieprawdę! W czerwcu dostałem list od Drake'a. Są szczęśliwi! To wspaniała wiadomość! Po powrocie do Anglii muszę zobaczyć Drake'a i Morwennę!

Demelza wzięła list od Rossa i obracała go w palcach. Później wstała i schowała go do szuflady.

– Może gdyby George znowu się ożenił, Geoffrey Charles chętniej wróciłby do domu i zamieszkał wśród nas.

– Wątpię, czy naprawdę coś by się zmieniło. Nie, dopóki trwa wojna.

– Przynajmniej dziękujmy Bogu, że Jeremy nie wstąpił do wojska.

– Tak…

Wracając na miejsce, Demelza zdała sobie sprawę z tonu głosu męża.

– Na pewno nie chcesz, żeby służył w wojsku, prawda?

Ross zmarszczył brwi, zmagając się z pytaniem.

– Naturalnie, że nie! To mój jedyny syn. Choć powinnaś rozumieć, że mam mieszane uczucia. To nie wojna w koloniach – nie taka wojna, w jakiej uczestniczyłem, która była błędem od samego początku. To wojna o przetrwanie – przetrwanie nas wszystkich – i trzeba walczyć do końca. Gdybym był młodszy, jak się domyślasz…

– Tak, wiem. Ale Jeremy nie jest z natury wojownikiem, przynajmniej nie w ten sposób.

– Tak, nie w ten sposób.

– Pracuje w kopalni, prawda?

– Och, rzeczywiście! Nie mogę go winić. Jeśli podejmuje się jakiejś pracy, poświęca jej dużo czasu. Muszę go za to podziwiać.

– Musisz? – spytała łagodnie Demelza.

Ross zmienił pozycję.

– W ciągu ostatnich miesięcy lepiej się rozumiemy. Kiedy opowiedział mi o swojej fascynacji kotłami wysokoprężnymi – kiedy wreszcie wyjaśnił, dlaczego tak długo to ukrywał i niemądrze udawał, że łowi ryby – od tamtego czasu nasze stosunki układają się dobrze. Naprawdę, kochanie, mówię poważnie.

– Cieszę się. Mimo to czasem myślę, że Jeremy czuje…

– Że jest tylko synem właściciela kopalni? Rozumiem to. Gdybym mógł znowu wyjechać do Londynu…

– Nie.

Ross położył rękę na dłoni Demelzy.

– Oczywiście na początku byłem na niego wściekły za to, że postawił mnie w takiej sytuacji… Mimo to po pewnym czasie doszedłem do wniosku, że połowa winy leży po mojej stronie. Jeśli nie ma zrozumienia między ojcem a synem, z pewnością to ojcu bardziej brakuje intuicji i umiejętności nawiązywania kontaktu.

– Nie zawsze – odparła Demelza. – Widziałam, jak się starasz. Ale dajmy temu spokój. Zapomnij o tym, to przeszłość.

– Tak, przeszłość. Nie należy jednak o niej zapominać, bo to lekcja poglądowa dla nas obu. Dla mnie i dla Jeremy'ego.

– Nawet pan Harvey mówi, że mamy bardzo utalentowanego syna – zauważyła Demelza.

– Miło słyszeć, że ma taką opinię. – Po chwili Ross dodał: – Bogu dzięki, że Jeremy zapomniał już o rozczarowaniu Cuby Trevanion.

Demelza się odwróciła.

– Nie zapomniał, Ross. Jestem tego pewna. Wielka szkoda. Clowance nie może się zdecydować, a Jeremy za bardzo się zaangażował. Wiem o tym. Przez cały czas myśli o tej dziewczynie.

Rozdział drugi

I

Piątek był pochmurny, a morze i niebo miały ołowianoszarą barwę. Dopiero po południu, przed zachodem słońca, na horyzoncie rozbłysła czerwonawa łuna. W tym samym czasie deszczowe chmury odpłynęły w stronę lądu i nad wrzosowiskami pojawiło się kilka niepełnych, niewyraźnych tęcz obwieszczających zakończenie dnia.

Kiedy zapadał zmrok, dwór w Trenwith, należący do Geoffreya Charlesa Poldarka i odziedziczony po ojcu, który przed laty zginął w wypadku w kopalni, wydawał się wyjątkowo zimny i zaniedbany. Powstały w epoce Tudorów, wzniesiony z odpornego granitu, odznaczający się naturalnym smakiem cechującym dawno zapomnianych budowniczych, którzy zwykle nie korzystali z pomocy architektów, przetrwał trzy stulecia nieustannych sztormów i wichur. Jego konstrukcja pozostała nienaruszona. Gdzieniegdzie w oknach popękały szyby, rynny przeżarła rdza, w jednym z kominów pojawiły się szczeliny. Ale dach z ogromnych płyt łupku z Delabole – wydawało się, że wzniosło go plemię gigantów – oparł się wichrom i burzom, a granitowe ściany, nadproża i ościeżnice były równie mocne jak w roku budowy, w którym Henryk VIII poślubił Katarzynę Aragońską.

W trakcie swojej historii dwór stanowił siedzibę kolejnych pokoleń Trenwithów i Poldarków, którzy zależnie od usposobienia i kaprysów fortuny czasem go zaniedbywali, a czasem doprowadzali do świetności, okazując mniejszą lub większą troskę, jednak zasadniczo przez trzysta lat prawie nie zajmowano się ogrodami. Działo się tak częściowo dlatego, że uboga, piaszczysta gleba i częste wichury czyniły uprawę roślin mało satysfakcjonującym zajęciem, a częściowo dlatego, że Trenwithowie i Poldarkowie, niezbyt zainteresowani kwiatami i krzewami, dysponowali ograniczonymi środkami finansowymi, które przeznaczali na inne cele. Paradoksalnie, w ogrody zainwestowano pieniądze dopiero wtedy, gdy po raz pierwszy w historii dworem zaczął zarządzać obcy człowiek. Działo się to w dzieciństwie Geoffreya Charlesa, kiedy jego owdowiała matka, Elizabeth Poldark, wciąż młoda i piękna, poślubiła George'a Warleggana, wnuka kowala, potężną osobistość w świecie kornwalijskiej bankowości. Geoffrey Charles był małym chłopcem, a George uznał, że Trenwith przynajmniej przez najbliższe piętnaście lat pozostanie wiejską posiadłością jego i żony. Nie tylko odremontował i bogato wyposażył dwór (korzystając z rad Elizabeth, która odznaczała się doskonałym gustem), lecz również kazał oczyścić stary, cuchnący staw i przekształcić go w staw krajobrazowy. W tym okresie powstał także starannie rozplanowany park.

Trenwith rozkwitło na kilka lat wskutek tych niespodziewanych starań, a ogrody, choć niszczone przez wichury, w zaskakujący sposób wynagrodziły poświęcane im czas i troskę. W gorącym letnim słońcu rośliny bujnie się rozrastały i kwitły piękne kwiaty. Dobry okres trwał jednak krótko: po pięciu latach Elizabeth zmarła w połogu, a George, niedawno uszlachcony, nie mógł znieść widoku dworu. W Trenwith mieszkali aż do swojej śmierci rodzice Elizabeth, potem najlepsze nowe meble przewieziono do rezydencji George'a w Cardew. Dworem opiekowali się leniwi bracia Harry i niechlujna kobieta będąca ich wspólną żoną; mieszkali oni w oficynie i terroryzowali okolicznych wieśniaków. Geoffrey Charles Poldark miał w tej chwili dwadzieścia siedem lat i służył w randze kapitana w czterdziestym trzecim regimencie piechoty z Monmouthshire, wchodzącym w skład doborowej lekkiej dywizji. Uczestniczył w wojnie w Hiszpanii i od pięciu lat nie odwiedzał Kornwalii.

Przez cały ten czas, od śmierci starego Jonathana Chynowetha, dwór w Trenwith stał zupełnie pusty, a sir George przyjeżdżał tu raz na kwartał, by bracia Harry zupełnie się nie rozleniwili.

Niekiedy – na początku zupełnie jawnie – Trenwith odwiedzała również Clowance Poldark. Uwielbiała stary dwór i podziwiała swojego kuzyna, choć rzadko go widywała, i jako szczera, prostoduszna dziewczyna nie widziała powodu, dlaczego nie miałaby wpadać do Trenwith, gdy przyjdzie jej na to ochota – za wiedzą odrażających braci Harry lub bez niej. Pewnego dnia przez czysty przypadek spotkała sir George'a. Warczał na nią – była córką jego śmiertelnego wroga i wdarła się na teren posiadłości – lecz Clowance nie dała się zastraszyć i zmusić do wyjścia, a nawet George nie chciał

stosować przymusu fizycznego wobec szesnastoletniej bosonogiej dziewczyny z ładną cerą i bujnymi piersiami. W końcu Clowance zostawiła mu bukiet kwiatów i odeszła z własnej woli.

Ale kiedy do Kornwalii przybył Stephen Carrington, rozbitek wyłowiony z morza, a jego silne ramiona i męska witalność stały się pokusą dla Clowance, zaczęła odwiedzać Trenwith ukradkiem, w tajemnicy, i dlatego – choć nie miała innego wyboru – wizyty te budziły w niej wstyd, instynktownie nienawidziła bowiem nieszczerości. Co gorsza, to ona nalegała, by utrzymywać schadzki w sekrecie. Stephen nie przejmował się plotkami i chętnie pokazywałby się z Clowance publicznie.

Spotykali się na piętrze, w dawnej sypialni Geoffreya Charlesa z chłopięcych czasów. Sypialnia znajdowała się w wieżyczce, do której prowadziły kręcone schody, i wychodziła na dziedziniec. Na ścianach w dalszym ciągu wisiały stare obrazy olejne i rysunki Geoffreya Charlesa, poskręcane i poplamione od wilgoci. Łóżko i fotele przykryto pokrowcami, spłowiałe zasłony wisiały krzywo, oświetlone wieczornym słońcem. Dwór był zimny jak grobowiec i panowała w nim cisza. Clowance weszła do środka na chwilę przed Stephenem, a kiedy usłyszała na schodach jego ciche kroki, zaschło jej w ustach, coś nabrzmiało w ciele i ugięły się pod nią kolana, jakby wypiła napar z lubczyku przygotowany przez czarownicę.

Stephen ostrożnie popchnął dłonią drzwi i ze zmarszczonym czołem słuchał ich skrzypienia, kiedy się otwierały. Później jego twarz się rozjaśniła, gdy zobaczył stojącą koło okna Clowance w muślinowej sukience i grubej pelerynie.

– Clowance! Kochana! Grzeczna z ciebie dziewczynka! Bałem się…

– Że nie dotrzymam obietnicy?

– Nie, ale coś mogło cię zatrzymać. Wiem, że to dla ciebie trudne…

Podszedł do niej i ostrożnie ją objął, choć w istocie pragnął to zrobić gwałtownie. Znajomość z Clowance nauczyła go wyrachowania. Mimo krzepkiej budowy ciała dziewczyna przypominała delikatnego ptaka, którego łatwo spłoszyć. Na próbę położył jej ręce na ramionach, pocałował ją w oba policzki, a potem w usta, długo, lecz nie natrętnie. Posadził ją obok siebie na łóżku i objął.

– Zimno ci, kochana?

– Ktoś cię widział, jak tu szedłeś?

– Czekałem cały tydzień, liczyłem godziny.

– Dobrze tu być – powiedziała.

Rozmawiali, a Stephen gładził jej twarz i dłonie, delikatnie całował, dotykał jej pod grubą peleryną jak kogoś, kogo należy uspokoić i okiełznać.

– Ktoś cię widział, jak tu szedłeś? – spytała znowu.

– Nikt, zupełnie… Ale musiałem się uwolnić od Jeremy'ego. Chciał rozmawiać. Szybko wróciłem do Nanfanów, by się umyć i zmienić koszulę przed spotkaniem z moją ukochaną.

– To niebezpieczne – odpowiedziała. – Wieśniacy wszystko widzą.

– Niech widzą, nic mnie to nie obchodzi!

– Stephen, nie chcę, by to, co do siebie czujemy, zbrukały brudne plotki.

– Więc niczego nie ukrywajmy.

Clowance milczała. Stephen przestał nalegać i przez chwilę siedział w milczeniu obok niej.

– Co się dzieje z Jeremym? – spytał. – Też się męczy z powodu jakiejś dziewczyny, prawda? Nie chce nic powiedzieć, ale wiem, że właśnie o to chodzi.

– Nazywa się Cuby Trevanion – rzekła Clowance.

– Jest ładna?

– Nigdy jej nie widziałam. Poznał ją, gdy wyruszyliście na wyspy Scilly i dopłynęliście lugrem w okolice Mevagissey. Kiedy wyjechałeś na cztery albo pięć miesięcy.

– Pamiętam.

– Rodzina Trevanionów udzieliła mu schronienia i właśnie wtedy poznał tę dziewczynę. Pomogli mu w trudnym momencie. Nie chce powiedzieć, o co chodziło.

– Chyba się domyślam – odparł ironicznie Stephen.

– Tak, zakochał się w niej. Nie wiem, czy ona też go kocha.

– Mieszka w wielkim dworze? Zamku?

– Tak, zamku. Nazywa się Caerhays.

– Byłoby to dobre dla Jeremy'ego. Świetna partia, co? Na czym polegają kłopoty?

– Jej brat, głowa rodziny, uważa Jeremy'ego za nieodpowiedniego kandydata.

– Wielkie nieba, a więc o to chodzi! Ale nie rozumiem. Przecież Poldarkowie to też ziemianie. Kogo szukają, księcia?

– Nie chodzi o pochodzenie, tylko o pieniądze. Mimo wielkiego majątku mają kłopoty finansowe. Za dużo wydali na budowę zamku i teraz chcą, by panna Trevanion poślubiła bogacza.

Stephen pocałował Clowance, muskając ustami kącik jej warg i nieco je rozchylając.

– Mój Boże, współczuję mu! Czy panna Trevanion nie ma nic do powiedzenia w tej sprawie?

– Chyba uważa spełnienie życzeń brata za swój obowiązek.

– Skoro jest całkowicie bezwolna, to uważam, że Jeremy nie powinien się z nią żenić!

– Poczucie obowiązku wobec rodziny może mieć różne konsekwencje.

Była to znacząca uwaga.

– Zdaje się, że Jeremy i ja jedziemy na tym samym wózku – zauważył po chwili Stephen.

– Tak sądzisz?

– Cóż, obaj zakochaliśmy się w dziewczętach, których rodziny nie uważają nas za odpowiednich kandydatów.

– Moi rodzice jeszcze nic nie wiedzą.

– Na pewno się domyślają.

– Tak – zgodziła się Clowance. – Domyślają się.

– Właśnie dlatego dwa razy cię wywieźli, najpierw do Londynu, a potem do domu bogatego lorda w Wiltshire.

– Nie wywieźli mnie. Pojechałam z własnej woli.

– Dlaczego?

– Dlaczego? Bo chciałam być daleko od ciebie, zdobyć pewność.

– I zdobyłaś pewność?

– Chyba tak. Chociaż… ciągle słyszę różne plotki.

– Plotki! – rzucił pogardliwie. – Co znaczą plotki? Łączą moje imię z każdą dziewczyną, na którą popatrzę, nie mówiąc o krótkiej rozmowie przy szklance piwa!

Dla odmiany teraz pocałowała go Clowance.

– Wiem, Stephen. To kara za to, że jesteś taki przystojny.

Powoli, pod osłoną peleryny Clowance, rozpoczęli łagodną, lecz namiętną grę miłosną. Była równie złakniona jego jak on jej i wątpiła, czy ma dość siły, by odmówić. Po chwili wstała, wręcz się wyrwała, z rozpiętym ubraniem i pończochami wokół kostek. Oddychała głęboko, kołysząc się lekko.

– Przyjdź tu w przyszłym tygodniu o tej samej porze – powiedział. – Rozpalę ogień, pokój będzie ciepły i przytulny. Okno wychodzi na dziedziniec. Kto nas zobaczy? – Miał wrażenie, że Clowance kręci głową. Otarł usta wierzchem dłoni, usiłując się przy tym nie chwiać. – Nie jestem święty, Clowance, ale straciłem dla ciebie głowę jak dla żadnej innej dziewczyny i chcę cię poślubić. To wszystko, co mogę powiedzieć. To moje największe pragnienie. Ale to nie może trwać bez końca. Jeśli nic się nie zmieni, któregoś dnia…

– Któregoś dnia?

– Któregoś dnia kłamliwe plotki mogą się okazać prawdą.

– O tobie i innej dziewczynie?

– Tak.

Stała w zupełnym bezruchu.

– Kto wie, czy jeśli za ciebie wyjdę, nie będzie tak samo?

– Przysięgam, że nie. Pragnienie by znikło. Rozumiesz, Clowance? Rozumiesz? Mężczyźni nie są stworzeni do tego, żeby być mnichami. Przynajmniej nie ja i myślę, że większość też. Na pokładzie statku jest inaczej. Życie jest twarde, człowiek ciężko haruje, czasem walczy; myśli i pragnienia nie

przychodzą – przynajmniej jeśli interesuje się kobietami. Ale tutaj, w wioskach Grambler, Sawle i St Ann's, jest wiele dziewcząt, wystarczy się roześmiać, zażartować, a potem, no, sama wiesz. A mnie pożera pragnienie ukochanej dziewczyny, która nie chce mi nic dać! Za każdym razem, kiedy cię spotykam, jest gorzej!

– Myślisz, że ja nic nie czuję? Nic nie wiesz o kobietach.

– Może nie wiem. Ale pożądanie mężczyzny może dojść do punktu, kiedy trzeba je zaspokoić gdzie indziej.

Wschodził księżyc, lecz prawie nie oświetlił wnętrza pokoju. Clowance częściowo widziała, a częściowo wyobrażała sobie wyraz twarzy Stephena. Kiedy się uśmiechał, wyglądał zaskakująco chłopięco, natomiast w chwilach niezadowolenia wydawał się bardzo dojrzały i doświadczony. Zrozumiała, że mówi prawdę. Ofiarując mu namiastkę miłości, stawiała go w nieznośnym położeniu pod względem fizycznym. Gdyby jednak oddała mu się bez ślubu, społeczeństwo uznałoby to za niewybaczalny grzech. Oczywiście ubogie wiejskie dziewczyny często zachodziły w ciążę przed ślubem, udowadniały w ten sposób, że mogą mieć dzieci, a jeśli mężczyzna nie chciał się żenić, groziło mu więzienie pod zarzutem uwiedzenia. Ale taki skandal zniszczyłby dobre imię panny należącej do sfery pokroju Poldarków, nawet gdyby sprawę zatuszowano i przyśpieszono ślub.

Zaledwie w zeszłym miesiącu odebrała sobie życie dziewczyna, która zaszła w ciążę z żołnierzem niedawno przeniesionym w inne okolice. Pochowano ją w niepoświęconej ziemi w Bargus, gdzie spotykały się granice czterech parafii. Ile innych dziewcząt ukryło swój stan, urodziło dzieci w tajemnicy, a później wrzuciło je do morza albo szybu nieczynnej kopalni?

Jednak Clowance kochała Stephena, a on odwzajemniał jej miłość. Jeśli dalej będzie mu odmawiać, on zaś zwróci się do kogoś innego i ona go straci, kto będzie temu winien?

Obserwował ją.

– O czym myślisz, najdroższa?

– O tym, że masz rację. Muszę… dać ci to, czego chcesz, albo wyznaczyć datę ślubu.

Położył dłoń na jej nagim kolanie.

– Dlaczego nie jedno i drugie?

Pytanie nieco ją zirytowało. Pokręciła głową.

– Źle mnie wychowano, Stephen, właśnie tak. Chodzę do kościoła nieregularnie i bez większego przekonania, lecz mimo to przykazania coś dla mnie znaczą. Jeśli uniknę łamania siódmego przykazania, pomoże mi to uniknąć łamania piątego.

– Nic nie rozumiem. Jak brzmi piąte?

– Czcij ojca twego i matkę twoję [1]. Myślę, że to największa przeszkoda.

– Cóż…

– Muszę traktować rodziców uczciwie, a jednocześnie nie chcę być nieuczciwa wobec ciebie. Mogę ci coś obiecać?

– Jeśli obietnica będzie po mojej myśli.

– Daj mi czas do Wielkanocy. To tylko sześć, siedem tygodni. Może wszystko potrwa krócej. Powiedziałeś – słusznie – że moi rodzice czegoś się domyślają. Sprawię, że będzie to coś więcej niż domysły. Przygotuję grunt. Potrafię to zrobić. Może najpierw porozmawiam z ojcem. Jeśli się zgodzi, jeśli oboje się zgodzą, nie będzie dalszej zwłoki.

– A jeśli się nie zgodzą?

Pocałowała go.

– Nie będzie dalszej zwłoki.

II

Pod koniec lutego na południowym zachodzie rozpętał się wielki sztorm, a na północnym wybrzeżu Kornwalii rozbiły się cztery statki, jeden na plaży Hendrawna. Jednak rozruchy z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku się nie powtórzyły, nie atakowano marynarzy. Większość załogi uratowano, choć statek doszczętnie ograbiono. Metodyści z czystym sumieniem dołączyli do

pozostałych mieszkańców, ponieważ był to tradycyjny sposób walki o przetrwanie, która w tej chwili stawała się coraz trudniejsza. Kadłub brygu otoczyły wozy zaprzężone w konie, juczne muły oraz mężczyźni, kobiety i dzieci z drabinami, workami, toporami i piłami. Oglądani z Nampary, przypominali Pigmejów otaczających martwego wieloryba. Tylko Samuel Carne i kilku innych najbardziej pobożnych członków zgromadzenia miało pewne wątpliwości; niektórzy uważali, że epidemia ropnego zapalenia płuc, która rozszalała się w okolicy w następnych tygodniach, to kara za grabież. Porównywano ją z karami zsyłanymi przez Boga w Biblii. Doktor Enys prawie nie kładł się spać, a Caroline gwałtownie protestowała, uważała, że mąż się przepracowuje. Dwight wyjaśnił Demelzie, że Caroline nigdy nie uwolniła się od wpojonego jej za młodu przekonania, iż epidemie to pożyteczny sposób zmniejszania przeludnienia i regulacji liczby ludności. Dlaczego nie? „Skąd się wzięły epidemie? – mówiła Caroline. – Walka z nimi to występowanie przeciw naturze".

Mimo tych deklaracji wkrótce miała rozpocząć jedną ze swoich zimowych kampanii pomocy potrzebującym.

Dwight zauważył, że u silnych, dobrze odżywionych pacjentów choroba niewiele się różni od zwykłego przeziębienia i ustępuje w ciągu kilku dni. Z wiekiem nabierał coraz mocniejszego przekonania, że chociaż bogaci cierpią na równie wiele chorób jak ubodzy, są one zupełnie inne. Miał wrażenie, że leczy dwie różne rasy. Czy ktokolwiek słyszał o biedaku cierpiącym na bolesne oddawanie moczu, kamienie, wzdęcia albo podagrę?

Jedną z ofiar epidemii była Violet Kellow, która szybko zachorowała na zapalenie płuc, a kiedy wydawało się, że wraca do zdrowia, dostała ciężkiego krwotoku. Dwight uważał, że odznacza się ona dziwną odpornością jak na młodą suchotnicę, lecz nie sądził, że kobieta długo pożyje. Gdyby usłyszał, że rok wcześniej, w wigilię świętego Jana, poszła w środku nocy do kościoła, uznałby to za bzdurny wymysł, ale rodzina i przyjaciele Violet, którzy o tym wiedzieli, uważali inaczej.

Kiedy już można było ją odwiedzać, jednym z pierwszych gości okazał się Stephen Carrington, którego widziano, jak wchodził z nią do kościoła.

W drugim tygodniu choroby Violet Dwight otrzymał wiadomość z Place House, że chciałby się z nim zobaczyć pan Clement Pope. W czwartek, po krótkiej wizycie w Fernmore i sprawdzeniu, czy dziewczyna wraca do zdrowia, pojechał do większego dworu.

Dwight znał sir Johna Trevaunance'a, ponieważ w słabo zaludnionym okręgu wszyscy znali wszystkich, ale sir John nigdy nie był jego pacjentem. Brat sir Johna, Unwin Trevaunance, obecnie, po bezpotomnej śmierci baroneta, sir Unwin, był kiedyś prawie zaręczony z Caroline Penvenen. Obaj Trevaunance'owie wydawali się bardzo niezadowoleni, gdy Caroline zrezygnowała z małżeństwa z Unwinem, obiecującym posłem do Izby Gmin, po czym poślubiła ubogiego lekarza Dwighta Enysa. W późniejszym okresie dwaj bracia odnosili się do Caroline chłodno, na poły złośliwie, na poły żartobliwie, a chociaż często spotykali się z nią na polowaniach, nigdy nie wznowili bliskich stosunków towarzyskich. Pod koniec życia sir John coraz bardziej stawał się samotnikiem, a Unwin, wreszcie poślubiwszy bogatą pannę, na jakiej mu zależało – dziewczynę o nazwisku Lucy Frant, której ojciec, jak mówiono, wzbogacił się na produkcji butów dla wojska – miał mniej powodów, by odwiedzać brata w celu pożyczania pieniędzy.

Kiedy w tysiąc osiemset ósmym roku sir John zmarł, Unwin natychmiast sprzedał Place House panu Clementowi Pope'owi, surowemu mężczyźnie, który podobno zdobył majątek w obu Amerykach i chciał rozpocząć życie angielskiego ziemianina, wprowadzając się do dworu wraz z drugą żoną, ładną blondynką, i dwiema dość niemądrymi córkami. Jeremy nazywał nowego właściciela papieżem Klemensem Złowrogim, a jego dom Watykanem.

Po jakimś czasie opinia publiczna, jeśli w okolicy istniało coś takiego, zaczęła podzielać ironiczną ocenę Jeremy'ego. Pan Pope, zawsze noszący wysoki kołnierzyk, o bezkrwistej, surowej twarzy, długich, cienkich nogach i sztywnym, nienaturalnym chodzie, narzucał córkom bezwzględną dyscyplinę. Chociaż pierwsza miała dziewiętnaście lat, a druga osiemnaście, podobno dopiero niedawno przestał lać je pasem za najdrobniejsze wykroczenia. Ostatnio już ich nie bił, lecz groźba lania w dalszym ciągu wisiała w powietrzu.

Zupełnie inaczej odnosił się do swojej młodej, ładnej żony: traktował ją z wielką atencją i stale wodził za nią oczami, lecz nawet ona musiała przestrzegać surowych rygorów panujących w domu.

Kornwalijskie ziemiaństwo było dość otwarte wobec obcych, jednak Pope'owie nie potrafili stać się jego częścią. Pan Pope starał się być miły dla właściwych ludzi, ale przeszkadzała mu własna osobowość i zbyt pedantyczne maniery. („Wygląda jak jakiś przeklęty kupiec tekstylny" – powiedział stary sir Hugh Bodrugan, gdy go poznał). Smuciło to nie tylko pana Pope'a, pragnącego znaleźć mężów dla dwóch córek, lecz również panią Pope, której wrodzona elegancja, pozostawiona samej sobie, szybko zrekompensowałaby braki w ogładzie.

Caroline kilka razy próbowała nawiązać z nimi bliższe stosunki, choć nie potrafiła odgadnąć, czy docenili ten gest. Naturalnie należała do śmietanki towarzyskiej hrabstwa, ale z drugiej strony, jak sądzili, była jedynie żoną miejscowego lekarza. Rodzina pana Pope'a, z nim samym na czele, nie była pewna, jak się zachować w takich sytuacjach, i właśnie to sprawiało, że nie została zaakceptowana w okolicy.

Dwighta wpuściła do domu niezgrabna Katie Carter, młodsza siostra Bena. W dawnym gabinecie sir Johna czekała na niego pani Pope. Był to miły długi pokój z oknami wychodzącymi na zatokę. Wyszła zza kotary, a następnie przywitała się z Dwightem, podając mu cztery chłodne, smukłe palce, nad którymi się pochylił. Wdzięcznie poprowadziła go schodami w górę, furkocząc suknią przy każdym kroku, i wyjaśniła przyczynę wezwania. Wczesnym rankiem pan Pope poczuł silny ból. Obudził żonę, lecz gdy miała posłać po aptekarza, bóle ustąpiły. O jedenastej przyjechał Nat Irby, który uznał, że to błaha dolegliwość, jednak pan Pope, mający wysokie mniemanie o doświadczeniu lekarskim doktora Enysa, uznał za stosowne go wezwać.

Weszli do ciemnej, dusznej sypialni. Ciężkie aksamitne kotary z koronkowym wykończeniem nie dopuszczały światła dziennego. Kiedy znaleźli się w środku, zobaczyli smukłą dziewczynę, która natychmiast wstała z fotela.

– Dziękuję, Letitio – powiedziała pani Pope, a dziewczyna niezgrabnie wyszła z pokoju.

Pan Pope pachniał cynamonem, kamforą i korą peruwiańską. Na stoliku przy łóżku stały w równym rzędzie flakoniki z pigułkami i medykamentami w płynie.

Z przekrzywioną mycką na głowie spojrzał chłodno na Dwighta, wyraźnie niezadowolony, że nie jest panem sytuacji, w jakiej się znalazł, że musi polegać na opinii, werdykcie człowieka o niejasnym statusie towarzyskim.

Wyjaśnił, że bóle pojawiły się w okolicy mostka i objęły lewą rękę. Poczuł skurcz w piersi i nie mógł złapać tchu. Nie miał wątpliwości, że przyczyną jest gorączka panująca w okolicy, lecz wezwał doktora Enysa, lekarza o uznanej reputacji, by poznać jego opinię. W dalszym ciągu wyjaśniając, co mu dolega, pozwolił rozpiąć sobie koszulę nocną i zsunąć ją z kościstych ramion. Dwight ostukał mu pięścią pierś i plecy. Zbadał puls, który był wolniejszy niż normalnie, słabo wyczuwalny. Temperatura czoła nie wskazywała na gorączkę. Jak na mężczyznę w tym wieku język nie był zbyt obłożony, ale wiele zębów wydawało się zepsutych. Pan Pope niechętnie pozwolił zbadać sobie brzuch. Selina Pope stała w tym czasie przy oknie, marszcząc ładne brwi. Była ubrana w jasnoniebieską sukienkę, włosy miała związane granatową wstążką z drobnymi wzorkami.

Dwight poprosił pacjenta, by usiadł, po czym postukał mu młotkiem w kolana. Następnie kazał mu wstać, by sprawdzić, czy się chwieje lub dygocze. Po chwili pan Pope znalazł się z powrotem w łóżku, wyraźnie zirytowany tego rodzaju medycznymi nonsensami, lecz wolał nie obrażać ani nie zniechęcać do siebie męża Caroline Enys. Dwight zapisał swoje obserwacje w notatniku.

– A zatem, sir? – spytał pacjent.

– A zatem jest oczywiste, że nie ma pan zapalenia płuc – odparł Dwight.

– Chorowały na nie obie moje córki. Jedna ciągle leży w łóżku.

– Przykro mi to słyszeć. To nieprzyjemna choroba, choć rzadko miewa ciężki przebieg wśród ludzi zamożnych.

– Jaka jest zatem pańska diagnoza? Skąd ten ból?

Dwight dalej pisał, zastanawiając się, co może powiedzieć, ile może powiedzieć. Zauważył

pewne oznaki puchliny. A zęby Pope'a… Dwightowi udało się tchnąć w kilku pacjentów nowe życie dzięki wyrwaniu im wszystkich zębów. Zdawał sobie jednak sprawę z niepopularności takich środków: zarówno bogaci, jak i biedni uważali, że zębów nie należy ruszać, chyba że zmusza do tego ból. Kiedy zęby martwiały bez bólu, ludzie nigdy się ich nie pozbywali i gratulowali sobie szczęścia. Tak czy inaczej, zły stan jamy ustnej nie był główną przyczyną skarg Pope'a.

– Moim zdaniem zanadto się pan przemęcza – powiedział. – Codziennie powinien pan odpoczywać po obiedzie przynajmniej przez dwie godziny. Przygotuję panu specyfik, który zapobiegnie nawrotom bólu, i inny środek, który go złagodzi, gdyby mimo wszystko się pojawił.

Clement Pope poprawił myckę.

– Co to znaczy?

– To, że nie powinien pan zażywać mikstur, które dotychczas pan przyjmował. Nie chciałbym podważać kompetencji Nata Irby'ego, ale uważam, że nadmiar lekarstw nie działa korzystnie na pańskie zdrowie. Doradzałbym bardzo lekką dietę, pani Pope: jajka, mleko, kurczak i galaretki. Tylko lekkie wina lub żadnych. Codziennie trochę ćwiczeń fizycznych, sir: spacer wokół ogrodu lub na brzeg morza i z powrotem. Regularny tryb życia i brak nadmiernych wysiłków. Gdyby znowu miał pan problemy, proszę natychmiast mnie wezwać.

– Nie zamierza pan puścić mi krwi?

– W tym przypadku nie miałoby to sensu.

– Jakim przypadku? Jaki to pana zdaniem przypadek?

– Przemęczenie. Czy wolno spytać, ile ma pan lat, panie Pope?

– Pięćdziesiąt dziewięć. Żaden wiek.

– Och, całkowicie się zgadzam. Ale kiedy człowiek zbliża się do sześćdziesiątki, mądrze jest nieco zwolnić, prowadzić spokojniejszy tryb życia.

– Moim zdaniem winny jest niezdrowy klimat – odezwała się pani Pope. – Gorączka w większości przypadków to skutek szkodliwych wyziewów złóż mineralnych. Kiedy się tu osiedliłam, niestety nie brałam tego pod uwagę.

– W tej chwili pani mąż nie cierpi na gorączkę. Nadwerężył swoje siły. Musi pan wypoczywać, panie Pope, to wszystko. Spokojne, uporządkowane życie powinno znacznie poprawić stan pańskiego zdrowia.

– Dlaczego pan przypuszcza, że nie prowadzę spokojnego, uporządkowanego życia? – spytał z irytacją Pope. – Jak pan zapewne wie, przebywam na emeryturze. Zarządzam swoim majątkiem, zajmuję się edukacją córek, towarzyszę małżonce w czasie wizyt u sąsiadów. Dwa lata temu złamałem obojczyk, więc nie uczestniczę w polowaniach. Chodzę spać trzeźwy. Rzadko się przejadam. Wpadam w złość tylko wtedy, gdy dochodzi do przypadków jawnego nieposłuszeństwa. Moje życie jest spokojne i uregulowane.

– Istotnie, istotnie… – Dwight zerknął na panią Pope, po czym odwrócił wzrok. Nie miał prawa spekulować na temat łączących ich stosunków. Nie powinien się zastanawiać, czy Pope stara się sprawiać przyjemność żonie w szczególny sposób, a nie tylko towarzyszyć jej w czasie wizyt u sąsiadów. – Panie Pope, moim zdaniem pana serce jest przeciążone, forsował pan swoje siły, a w takim przypadku najlepsze lekarstwo to lekkie ćwiczenia fizyczne i odpoczynek. To wszystko, co mogę panu zalecić.

Po chwili Dwight szedł w dół po schodach wraz z panią Pope, która sunęła obok niego.

– Bardzo mi przykro, jeśli moja diagnoza wytrąciła pani męża z równowagi – powiedział. – Nie chciałem mówić nic więcej, lecz doszedłem do wniosku, że jeśli będę bardziej oględny, zlekceważy moje zalecenia.

– To prawda – odparła z lekkim uśmieszkiem pani Pope. – Mój mąż potrafi być bardzo uparty i jest trudnym pacjentem. Jest pan pewien, że ma zdrowe serce?

– Lekarz rzadko może być czegokolwiek pewny, pani Pope. Medycyna to w większości domysły, które można uściślić dzięki praktyce. Normalnie…

– Tak?

– Normalnie uznałbym, że są to najzwyklejsze objawy anginy. Przyczyną może być również

kamień w pęcherzyku żółciowym, a nawet niestrawność, gdy jedzenie tkwi w żołądku zamiast ulegać trawieniu. Możemy tylko czekać i obserwować.

Dwighta pożegnała Katie Carter, która wcześniej otworzyła mu drzwi. Nie była od niego wyższa, lecz sprawiała takie wrażenie, ponieważ wysokie, barczyste kobiety zawsze wydają się wyższe niż w rzeczywistości. Naturalnie Dwight znał wszystkich mieszkańców okręgu. Po raz pierwszy leczył Katie, gdy miała dziewięć lat i zachorowała na letnią biegunkę, a później kilka razy ją badał. Dziewczyna szeroko się do niego uśmiechnęła i upuściła cylinder, następnie pochyliła się, by go podnieść, i o mało nie spadł jej z głowy czepek. Dziwne, że jest taka niezgrabna, przecież jej brat to wyjątkowo zręczny chłopak, pomyślał Dwight.

Dlaczego Pope nalega, by jego służba składała się wyłącznie z kobiet? Przypomina chudego, niskiego sułtana władającego haremem. Jednak Dwight był pewien, że w tej chwili sułtan jest chory.

III

Dwight odjechał konno. Jeszcze nie opuścił terenu posiadłości, gdy zobaczył przed sobą jasnowłosego mężczyznę wspinającego się na wzgórze po drugiej stronie doliny w towarzystwie chudego, wysokiego młodzieńca w charakterystyczny sposób idącego na palcach. Pierwszym był Stephen Carrington, a drugim Music Thomas, najdziwniejszy z trzech nieżonatych braci Thomasów mieszkających obok chaty Juda i Prudie Paynterów w wiosce Grambler. Gdy nadarzała się okazja, Music pracował dorywczo jako stajenny w Place House. Dobrze radził sobie z końmi, zarabiał trzy szylingi tygodniowo i dostawał południowy posiłek – to wystarczało. Stephen niósł na ramieniu łopatę.

Kiedy Dwight się zbliżył, dwaj młodzi ludzie zatrzymali się i odwrócili.

– Dzień dobry, Stephen! Dzień dobry, Music! Idziecie w tym samym kierunku co ja?

– Dzień dobry, sir. Ładny mamy ranek – odpowiedział Music, choć zbliżał się wieczór.

– Dzień dobry, doktorze – odezwał się Stephen. – Jedzie pan do wioski Grambler?

– W tę stronę.

– Muszę niedługo skręcić, bo mam wiadomość dla Sally-Na-Rozgrzewkę w Sawle.

– Ja idę do wioski – powiedział rozpromieniony Music. – Wracam do domu.

Dwight zwolnił, by nie wyprzedzić młodych ludzi. Wieśniacy lubili go za towarzyskie usposobienie. Nie zmienił się ani na jotę od czasu, gdy był bezpretensjonalnym dwudziestoczterolatkiem mieszkającym w niewielkiej stróżówce kapitana Poldarka, a jego jedyne doświadczenie medyczne pochodziło z książek i studiów w Londynie. Nie posiadał wtedy prawie żadnej wiedzy o kobietach ani naturze ludzkiej. Teraz miał czterdzieści dziewięć lat, zdobył duże doświadczenie, korespondował ze sławnymi uczonymi, wzywano go na konsultacje do Londynu, poślubił właścicielkę sporego majątku i mieszkał w jednym z wielkich dworów, lecz w dalszym ciągu znajdował czas, by zwolnić konia i pogawędzić z wieśniakami.

– Jeśli dziwi pana moja łopata, doktorze, pracuję dwa dni w tygodniu przy nabrzeżu w St Ann's – powiedział Stephen. – Uszkodziły je sztormy. Wiele kamiennych bloków się obluzowało.

– Wątpię, czy uda się kiedykolwiek zabezpieczyć to nabrzeże przed najgorszymi huraganami – odparł Dwight. – Nie ma wystarczającej naturalnej osłony dawanej przez klify. Przynajmniej z północnego zachodu. Wiatr kieruje fale prosto na nabrzeże.

– Nigdy nie wytrzyma – rzekł piskliwym głosem Music. – Wiatr kieruje fale prosto na nabrzeże.

– Przyszedłem tą drogą, by przekazać Musicowi wiadomość – wyjaśnił Stephen. – Music pracuje w stajni w Place House.

– Tak, wiem.

– Jego bracia zamierzają wypłynąć dziś wieczorem łodzią – trzymają ją w St Ann's – ale Art dostał gorączki, która panuje w okolicy, więc nie może się z nimi wybrać. John i jego towarzysze chcą, by zastąpił go Music.

– Muszę przynieść swoje rzeczy – powiedział Music. – Są w wiosce Grambler. Brat kazał mi przyjść przed zachodem słońca. Chyba zdążę.

Dwight spojrzał na niebo.

– Zdaje się, że idzie wiatr.

Music się uśmiechnął.

– Nie, to nic. Niebo jako makrela w ciapki, sir. Wiatr powieje przez chwilę, gdy zajdzie słońce, a za godzinę lub dwie się uspokoi.

– Szkoda, że nie mogę z nimi popłynąć – powiedział Stephen. – Nigdy nie łowiłem ryb, ale chętnie spędziłbym noc na morzu.

– Wrócisz na nie?

Stephen zerknął na Dwighta, by się przekonać, czy to podchwytliwe pytanie.

– To zależy, doktorze Enys. Może kiedyś. Czuję się tu trochę jak na morzu.

– Ogólnie rzecz biorąc, wolę być szczurem lądowym.

– Nie może pan tak siebie nazywać, doktorze.

– Dlaczego?

– Służył pan jako chirurg okrętowy w marynarce wojennej.

Dwight się roześmiał.

– Bardzo dawno temu.

Doszli do miejsca, skąd do kotliny Sawle prowadziła bezpośrednia droga, i Stephen zaczął nią schodzić z łopatą na ramieniu. Wydawało się, że po rozmowie o morzu idzie bardziej rozkołysanym, marynarskim krokiem. Music szedł jak człowiek beztrosko kroczący przez pole minowe.

– Doktorze…

– Tak?

– Stephen Carrington nazwał pana chirurgiem okrętowym. Podoba mi się to. Czy ja także mógłbym pana nazywać chirurgiem?

– Jeśli chcesz.

– Służył pan w marynarce, sir.

– To prawda.

Dwight obserwował Stephena znikającego na stoku wzgórza. Zastanawiał się, dlaczego młody człowiek tak gorączkowo starał się wytłumaczyć swoją obecność w pobliżu Place House. Po co to robił? Czy ma to jakieś znaczenie? A może Dwightowi coś się uroiło?

– Doktorze…

– Tak?

– Co mi dolega, doktorze? – spytał z uśmiechem Thomas.

– Dolega? Nic o tym nie wiem. Źle się czujesz?

– O nie, bardzo dobrze się czuję, sir. Doktorze… Ha! Chciałbym pana o coś spytać.

– Jeśli masz ochotę.

– Nie chcę być zuchwały, sir. Zna pan pastora Odgersa? Wie pan, co kiedyś o mnie powiedział? Że jestem najbardziej zuchwały na świecie. Nie mam takiego zamiaru! Nie chcę być najbardziej zuchwały na świecie! Po prostu nie zawsze wiem, jak się zachować, rozumie pan, doktorze?

– Naturalnie.

– Więc jeśli nazywam pana doktorem wtedy, kiedy nie powinienem, nie robię tego z zuchwałości… – Przeszedł kilka kroków w milczeniu. – Sir, co mi dolega?

– Nie powiedziałeś mi jeszcze, co ci dolega.

– Nigdy w życiu nie chorowałem, ani razu, wie pan, doktorze? Ale ludzie się ze mnie śmieją! Chłopaki szydzą… Dziewczęta… – W dalszym ciągu się uśmiechając, Music poruszył grdyką, jakby miał anginę. – Nawet bracia, obaj! Traktują mnie jak półgłówka! Może nie jestem wykształcony, ale nie jestem też durniem! Pomyślałem sobie, że może doktorzy wiedzą.

Ruszyli dalej w milczeniu. Dwight zerknął na młodego człowieka. Chłopak miał dwadzieścia lat, lecz wydawało się, że nie przeszedł jeszcze okresu dojrzewania. Był dość dziwną postacią w wiosce: wyróżniał go chód, wysoka, zgarbiona sylwetka i głos. Wieśniacy rzadko odnoszą się z sympatią do dziwaków. Dwight zawsze uważał Musica za pustego młodego człowieka. Jego kontratenor brzmiał dobrze w kościele, ale gdy Music rozmawiał lub się śmiał, jego głos brzmiał fałszywie, bez uczucia.

Czasem oczy również wydawały się puste, pozbawione emocji. W okolicy było wielu młodych ludzi o podobnym wyrazie twarzy – chromych, ze śliną cieknącą z ust, cierpiących na konwulsje. Pochodzili ze związków między rodzeństwem albo ojców z córkami, niektórych okaleczyła w czasie porodu niezręczna akuszerka, przyczyną mogły być dziesiątki różnych chorób. Dwight zawsze uważał Musica za przypadek pograniczny: chłopak był wyraźnie dziwaczny, lecz nie przygłupi. Kilka razy wpadł w tarapaty, ale jak dotąd unikał skazania za przestępstwo.

Jednak zadawane przez niego pytania… Dwight wiedział, że niektórzy ludzie ociężali umysłowo potrafią być dość wrażliwi, choć uważają, że to świat ponosi winę za ich niepowodzenia, nie oni sami. Wydawało się, że Music przypisuje winę sobie i domyśla się przyczyn. Umieszczało go to w innej kategorii chorych. Jeśli Dwight się nie mylił, było to coś nowego. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że Music jest szczególnym przypadkiem.

– Golisz się?

– Cóż… trochę, sir. Najczęściej strzygę się nożycami. Gdybym poszedł do golibrody, śmiałby się ze mnie.

– Nie przeszedłeś mutacji. To niezwykłe u mężczyzny.

– Śpiewam jak ikuś pikuś – odparł Music z tajemniczym uśmieszkiem.

– Dlaczego chodzisz na palcach?

– Jako dziecko poparzyłem się na rozżarzonych węglach. Pięty goiły się tak długo, że nauczyłem się chodzić w ten sposób.

– Skoro się nauczyłeś, mógłbyś się oduczyć, prawda?

– Teraz już nie – odpowiedział Music z pochmurną miną.

– Dlaczego?

– Nie mógłbym.

Czterej chłopcy orali pole dwiema parami wołów i jak zwykle wykrzykiwali słowa zachęty: „Dalej, Piękny! Dalej, Tatar! Dalej, Brytan! Dalej, Chmurny! Ciągnij, Piękny! Ciągnij, Tatar! Ciągnij, Brytan! Ciągnij, Chmurny!”. Przypominało to chorał gregoriański śpiewany przez klasztornych nowicjuszy. Później jeden z nich zepsuł wszystko, gdyż zauważył Musica i ordynarnie gwizdnął na palcach.

– Na wsi ludzie nie lubią dziwaków – powiedział Dwight. – Aby być szczęśliwym, trzeba być podobnym do innych. Rozumiesz mnie?

– Chyba tak.

– Śmieją się z ciebie, bo jesteś inny. To rodzaj ignorancji, ale nie można tego zmienić. Możesz jednak spróbować zmienić siebie. Nie próbowałeś mówić grubszym głosem, z głębi gardła?

– Nie.

– Spróbuj. Nie musisz – jak to nazwałeś? – śpiewać jak ikuś pikuś. Znałem kiedyś w Londynie człowieka, który śpiewał równie cienkim głosem jak ty, ale gdy rozmawiał, mówił jak każdy mężczyzna. Warto spróbować.

– Będą się jeszcze bardziej śmiać.

– Może. Przestaną się śmiać, jeśli również zmienisz sposób chodzenia.

Wydawało się, że Music nie słucha, jakby nie mógł zbyt długo skupić uwagi. A może nie podobały mu się rady Dwighta?

– Gdybym chodził na piętach, czułbym się jak kaczka – powiedział.

– Tylko przez jakiś czas.

– Kaczki chodzą na piętach. Kwa! Kwa! Kwa! Tak samo kury. I gęsi.

– Większość ludzi stąpa i na piętach, i na palcach. Właśnie na tym to polega.

Zbliżali się do wioski Grambler.

– Cóż, muszę jechać dalej – powiedział Dwight.

– Doktorze…

– Tak?

– Co mi dolega?

– Już ci mówiłem.

– Tylko to?

– Nie mam pewności. Musiałbym cię zbadać.

– Zbadać? Jak to?

– Gdybym obejrzał twoje stopy, prawdopodobnie mógłbym powiedzieć, czy masz jakąś wadę fizyczną – na przykład czy choroba ścięgien uniemożliwia ci chodzenie na piętach. Coś w tym rodzaju.

– Mam normalne myśli – rzekł po chwili Music. Roześmiał się z zażenowaniem.

– To dobrze. Spróbuj robić to, co ci doradziłem. Jeśli nie będzie żadnych postępów, przyjdź do mnie, a ja zobaczę, czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc.

Music dotknął dłonią czoła i odsunął się na bok, a Dwight ruszył kłusem błotnistą śmierdzącą drogą biegnącą między chatami. Music potarł nos i spoglądał za oddalającym się lekarzem. Później ostrożnie stanął na piętach, jakby się obawiał, że coś w jego stopach może się złamać.

Dwight domyślał się, że wystraszył młodego człowieka. Wieśniaków przerażała każda wzmianka o badaniu lekarskim, zwłaszcza jeśli nie czuli się chorzy. Traktowali to jak groźbę pokrojenia na kawałki.

Doszedł do wniosku, że jeśli Music będzie ponawiał swoje pytania, proste badanie, o którym myśli, powinno się odbyć w obecności innego lekarza lub aptekarza. Dwight wiedział, jakie plotki mogłyby się rozejść po okolicy, gdyby zbadał Musica sam.

Rozdział trzeci

I

Pierwszego marca zmarła Mary Warleggan z domu Lashbrook. Miała osiemdziesiąt lat. W ciągu swojego długiego życia była świadkiem rozkwitu fortuny Warlegganów. Niewielki posag, który wniosła do małżeństwa, umożliwił Nicholasowi Warlegganowi sfinansowanie pierwszych przedsięwzięć handlowych, dożyła więc czasów, gdy rodzina posiadała wspaniałą rezydencję w pobliżu rzeki Fal, piękny dom w Truro, a jej syn stał się jednym z najpotężniejszych, budzących największy lęk ludzi w Kornwalii, posłem do Izby Gmin, szlachcicem i patronem okręgu wyborczego.

Pozostała prostą wiejską kobietą, której prawie nie zmieniło bogactwo, niezwykle przesądną i obdarzoną wielką serdecznością. Jeśli mąż i syn na to pozwalali, zadowalała się prostymi przyjemnościami życia. Interesowało ją przede wszystkim dobro rodziny i przejawiała ambicję tylko wtedy, gdy jej kazano. Umierała długo, ale bez bólu, a jej ostatnią świadomą myślą był żal, że przetwory nie są tak trwałe jak zwykle (czyżby gotowano je za krótko?) i że już nigdy nie zobaczy wnuczki, ukochanej małej Ursuli, w jej pierwszej sukni balowej. Piątego marca, nazajutrz po pogrzebie, sir George pojechał z wizytą do lady Harriet Carter, zastał ją w domu i poprosił o rękę.

– Może się pani wydawać, że przybyłem zbyt pośpiesznie w okresie żałoby, lecz nie opłakuję żony, tylko matkę – rzekł z bladym uśmiechem. – Moja małżonka… zmarła przed wielu laty. Pochlebiam sobie – mam nadzieję, nie bez podstaw – że w ciągu ostatniego półrocza zaczęliśmy się wzajemnie rozumieć, co sprawi, że moja prośba nie wyda się przedwczesna ani nagła. Jak już wspomniałem, nie jestem jeszcze tak bogaty, jak tego pragnąłem przed rozmową z panią. Wskutek niemądrych spekulacji w Manchesterze, podjętych…

– Tak – odpowiedziała niskim głosem, przeciągając głoski. – Wyjaśnił mi pan, dlaczego się pan w nie zaangażował.

– Może minąć pięć lat, nim stanę się równie bogaty jak przedtem, ale w tej chwili nie ma żadnego ryzyka. Nie istnieje zagrożenie, że przestanę być zamożny, a stwierdziła pani jasno, że kwestie finansowe nigdy nie będą decydujące… Śmierć mojej matki – choć przykra – sprawiła, że Cardew nie ma w tej chwili pani domu. Proszę, by pani nią została i przyjęła moje oświadczyny.

Lady Harriet nie uśmiechnęła się. Uniosła czarne brwi.

– Chce pan, bym została gospodynią czy żoną?

George nie dał się sprowokować.

– Jedno i drugie. Powinna pani już wiedzieć, jak bardzo pragnę, by została pani moją małżonką.

– Doprawdy? Czy na pewno? Skąd mam to wiedzieć? Czy kiedykolwiek wyraził pan taką ambicję?

– W jaki inny sposób mogę ją przedstawić?

– Cóż… – Lady Harriet wygładziła suknię silnymi, zadbanymi palcami. – Wiem, że oboje należymy do sfery angielskich właścicieli ziemskich – czy to właściwe określenie? – ale z moich obserwacji wynika, że również w tej klasie, mimo jej wyrafinowania, decydującą rolę odgrywają normalne ludzkie reakcje. Czy kiedykolwiek pocałował mnie pan w usta albo chociaż próbował to zrobić? Czy nie ma wyraźnego ryzyka, że bliższy kontakt fizyczny związany z małżeństwem nie stanie się dla pana nieprzyjemny, gdy będzie już za późno na zmianę decyzji? A może nawet nieprzyjemny dla mnie? Kobiety reagują równie silnie jak mężczyźni. Jak już wspomniałam, myśli o korzyściach finansowych nie zawsze są decydujące.

Popatrzył na nią uważnie, lecz spoglądała przez okno na drzewa rozkołysane na wietrze. Podejrzewał, że teraz, gdy wreszcie postawił sprawę jasno, Harriet stara się udawać wahanie, niechęć jedynie dla pozoru. (Przynajmniej raz, w zeszłym roku, w czasie Bożego Narodzenia, dała mu jasno do zrozumienia, że aprobuje jego zaloty). Była taką samą kobietą jak inne, ulegała kaprysom i nieprzewidywalnym impulsom, ale wkrótce wszystko dobrze się skończy.

Jednak czy mógł mieć absolutną pewność? Może zachowuje się zbyt sztywno? Staroświecko

i pedantycznie. Miał do czynienia z córką księcia i starał się przestrzegać wszystkich zwyczajowych form. Jak to teraz zmienić?

– Bardzo dobrze, Harriet – powiedział. – Jeśli zechcesz wstać, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by cię przekonać, że nie budzimy w sobie niesmaku.

– Dlaczego miałabym wstać? Nie sądzisz, że to ty powinieneś uklęknąć?

Niewiele brakowało, by to zrobił, ale nagle zrozumiał, że gdyby przystał na jej propozycję, darzyłaby go mniejszym szacunkiem. Wstał i wziął ją za rękę. Spojrzała na niego pogardliwie. Postawił ją na nogi. Kiedy się całowali, Harriet nagle się roześmiała i poczuł jej oddech na swoim policzku. Po chwili odwzajemniła pocałunek.

– Nie jest to chyba gorsze od zimnej kąpieli – powiedziała. – Można się przyzwyczaić.

Jeden z ogromnych dogów drzemiących przy kominku uniósł łeb i warknął gardłowo jak lew.

– Cicho, Polluks! – rozkazała Harriet. – Nie jest przyzwyczajony do oglądania swojej pani dotykanej przez mężczyznę. Kiedy niesławny Toby żył, były jeszcze szczeniakami.

George spojrzał z niesmakiem na dwa psy. Gdy po raz pierwszy zalecał się do Harriet, nie brał pod uwagę tego czynnika. Z zasady nie znosił psów. (W pokoju było jeszcze inne zwierzę, maleńkie i brzydkie, z wielkimi ślepiami, które niekiedy huśtało się na kotarach). Niewątpliwie po ślubie można będzie je wszystkie trzymać w stajni.

– Pierwszy maja? – spytał. – Czy to odpowiedni termin?

– Mam wrażenie, że otworzyłeś w myślach swój notatnik. Zamknij go i porozmawiajmy przez chwilę.

– Porozmawiajmy? Naturalnie, jeśli chcesz. O czym chciałabyś rozmawiać?

– O wszystkim i o niczym. Czy kiedykolwiek zajmujesz się *bavarderie*? Niepotrzebną paplaniną – wyjaśniła szybko.

– Naturalnie. Ale nie wtedy, gdy wyczekuję odpowiedzi na jedno z najważniejszych pytań mojego życia.

Nawet teraz nie potrafił przesadzać i powiedzieć, że to najważniejsze pytanie. Najważniejsze pytanie w życiu zadał czternastego marca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Harriet odsunęła się nieco, co nie było trudne, ponieważ gdy pies warknął, George zdjął dłonie z jej ramion.

– Powiedz mi, George, dlaczego budzisz w Kornwalii taki lęk? W mojej obecności nigdy nie zachowywałeś się w sposób, który sugerowałby, że należy się ciebie bać.

– Lęk? Cieszę się szacunkiem! W takim hrabstwie nie można być przedsiębiorczym i postępowym, nie robiąc sobie wrogów. Ale szczekają i warczą na próżno.

– Moja ciotka mówi, że w pewnych kręgach twoje nazwisko wywołuje strach i niepokój. Wśród drobnych kupców, przedsiębiorców górniczych i tym podobnych ludzi. – W istocie rzeczy ciotka niczego takiego nie powiedziała. (Po prostu oświadczyła: „Skoro zamierzasz wyjść za parweniusza, dlaczego nie wybierzesz takiego, który ma przynajmniej zadatki na dżentelmena?”).

– Domyślam się, że spytałaś ciotkę, czy mam opinię kobieciarza.

– Nie, nie pytałam, i nie przypuszczam, żebyś miał taką reputację.

– Może wolałabyś, żebym był osławionym dandysem?

– Raczej nie, byłam już żoną takiego człowieka. Przede wszystkim chciałabym mieć pewność, że po naszym ślubie nie będziesz mnie traktował jak pozycji w księdze rachunkowej.

Było to dość trafne i George zdawał sobie sprawę, że na jego twarzy pojawiła się irytacja. Z trudem się opanował.

– Nie, Harriet, szczerze cię kocham i proszę o rękę tylko z powodu swoich uczuć. Nim cię poznałem, nigdy nie myślałem o ponownym małżeństwie. Od tamtej pory to moje największe pragnienie. Chociaż gardzisz pieniędzmi…

– Bynajmniej, bynajmniej, wręcz przeciwnie!

– Mówisz, że nie robi na tobie wrażenia moje bogactwo, ale zdajesz sobie sprawę, że jestem zaangażowany w liczne operacje finansowe. Musisz rozumieć, że zaryzykowałem – i straciłem – ogromną fortunę, by mieć większe prawo do ubiegania się o twoją rękę. Nie możesz tego nie widzieć,

Harriet!

Uśmiechnęła się.

– Wiesz, że kobiety często pragną różnych rzeczy naraz. Ale rozumiem, co masz na myśli. Zrobiło to na mnie wrażenie. Wspomniałeś o pierwszym maja? Jaki to dzień tygodnia?

– Nie mam pojęcia.

– Czy zaręczyny mogłyby pozostać tajemnicą jeszcze przez miesiąc?

– Skoro sobie życzysz. Ale…

– Życzę sobie. Jeśli tak się stanie, muszę powiedzieć, drogi George, że jestem bardzo zadowolona z twoich oświadczyn.

Znów się objęli. Rozległo się warczenie doga. Kontakt fizyczny z lady Harriet okazał się dla George'a bardzo przyjemnym doświadczeniem. Miała miękkie, kobiece ciało – bardziej, niż można by przypuszczać na podstawie stanowczych manier i brawury okazywanej na polowaniach i w życiu. Za przeszło dwa miesiące ta kobieta znajdzie się w jego łóżku w koszuli nocnej, którą wkrótce potem zdejmie, a George ją posiądzie – ją, córkę i siostrę księcia – angażując w ten akt całą namiętność zgromadzoną w pięćdziesięciodwuletnim ciele. Był bardzo zadowolony, że tego popołudnia nie uległ pokusie i nie odpowiedział pięknym za nadobne na jej subtelne szyderstwa.

George, w najwyższym stopniu ostrożny i staranny, natychmiast po nawiązaniu romansu z lady Harriet poprosił swojego przyjaciela i totumfackiego, Hectora Trembatha, by zebrał informacje nie tylko o niej, ale również o jej przodkach. Trembath okazał nadgorliwość i przestudiował dzieje rodu książąt Leeds, zdobywając bardzo pikantne informacje. Na przykład to, że twórcą fortuny Osborne'ów był ubogi czeladnik terminujący w warsztacie bogatego sukiennika – skoczył z mostu Londyńskiego do Tamizy, by ratować życie córki chlebodawcy, a następnie ją poślubił i odziedziczył majątek sukiennika. Albo to, że pierwszy książę Leeds był wyjątkowo nieprzyjemną postacią, opisywaną jako nałogowy łgarz, pyszny, ambitny, mściwy, fałszywy, rozpustny, skorumpowany i w najwyższym stopniu pazerny; niektórzy utrzymywali, że był najbardziej znienawidzonym ministrem Karola II.

George, zirytowany sarkastycznymi uwagami lady Harriet, odczuwał wielką pokusę, by o tym wspomnieć i zauważyć, że jej ród, choć wybitny, również może podlegać krytyce, gdyż zależy mu na pieniądzach i władzy. Teraz był bardzo zadowolony, że się od tego powstrzymał. Nie byłby to dobry sposób rozpoczynania małżeństwa.

Poza tym, gdyby zaistniała taka potrzeba, informacje te można wykorzystać później.

II

Tego samego dnia, piątego marca, rozmawiano o innym małżeństwie.

– Dawno tak postanowiłaś? – spytał łagodnie Ross.

– Jakieś dwa tygodnie temu, papo. Ale czekałam na… na dobrą okazję. Byłeś w Truro, potem w Tehidy i…

– Matka wie?

– Nie ode mnie. Jestem pewna, że się domyśla…

– Więc przyszłaś najpierw do mnie?

– Obiecałam to Stephenowi.

– Nie powinien tu być? Ma obowiązek poprosić o twoją rękę.

– Tak. Oczywiście to zrobi. Ale czułam, że najpierw chcę z tobą porozmawiać, przekazać ci wiadomość… która dla ciebie i mamy może nie być dobrą wiadomością.

– Dlaczego?

– Cóż, Stephen jest… Nie ma pieniędzy i, jak wiesz, nie ma również odpowiedniej pracy. Nie pochodzi z dobrej rodziny… Och, wiem, że wam na tym nie zależy – ty i mama nie przejmujecie się takimi rzeczami – ale gdybym miała córkę, chciałabym coś wiedzieć o rodzicach człowieka, którego zamierza poślubić. Sam Stephen niewiele wie. Myślę, że trochę go lubicie, lecz może nie na tyle, by stał się członkiem rodziny.

– Ale go kochasz?

– Tak.

– Czy to nie wystarczy?

– Jesteś bardzo miły, papo. Czy naprawdę tak uważasz? Będziesz go dobrze traktował?

Ross odwrócił oczy pod szczerym spojrzeniem córki. Przebiegały mu przez głowę wspomnienia dwudziestu lat ojcostwa, jakby był konającym człowiekiem przypominającym sobie sceny ze swojego życia. Całkowite zaufanie, bezgraniczna miłość, sprzeczki rodzinne, nieskrępowany śmiech, bliska, choć czasem trudna więź. A teraz Clowance była zakochana – w obcym. Nie tylko kimś obcym dla rodziny, bo przyszły mąż córki z konieczności zawsze będzie obcy, przynajmniej na początku (im bliższe więzi wśród członków rodziny, tym większe ryzyko perturbacji), lecz w przybyszu z odległego hrabstwa, w kimś, kogo poglądy i opinie automatycznie staną się teraz dla niej ważniejsze od ukształtowanych w dzieciństwie. Czy wyczuwa w niej dziś cień niechęci? Ross zastanawiał się, czy w tym punkcie życia natura nie domaga się przełomu, wyraźnego oddzielenia starego i nowego, jakby owad, motyl wylęgał się z poczwarki. Coś zawartego w naturze ludzkiej: człowiek wyzwala się z ograniczeń rodziny, odwraca do niej placami, idzie naprzód.

– Jeśli, jak mówisz, jestem wobec ciebie miły – powiedział – nie możesz się spodziewać, że będę równie miły wobec niego. Jesteś moją ukochaną starszą córką i muszę poddać go dokładnemu egzaminowi, by się upewnić, że będzie się o ciebie troszczył. Jeśli każę mu tańczyć na rozgrzanej płycie, to tylko dla twojego dobra. Muszę wiedzieć, muszę nabrać całkowitego przekonania, że cię kocha, i dowiedzieć się, jak zamierza cię utrzymywać.

Clowance milczała, w dalszym ciągu spoglądając na ojca.

– W jaki sposób mógłby cię przekonać?

– Nie wiem. Zobaczymy, co powie.

Clowance wstała, podniosła pierwiosnek, który wypadł z żardiniery, włożyła go z powrotem do bukietu. Chciała powiedzieć znacznie więcej, tłumaczyć, sprzeczać się z ojcem, powiedzieć wszystko, co mogła, w razie potrzeby krzyczeć. Ale Ross spokojnie przyjął wiadomość. Chociaż odczuła ogromną ulgę, nie wiedziała, co mówić. Pojawiło się coś w rodzaju pustki. Chciała walczyć za Stephena.

– Ma trzydzieści lat – powiedziała wyniośle.

– A ty nawet nie skończyłaś jeszcze osiemnastu…

– Papo, to jedyny mężczyzna.

– Jedyny, jakiego jak dotąd widziałaś.

– Wydaje mi się, że kiedy mama cię poślubiła, nie miała jeszcze osiemnastu lat – odparła Clowance. – I chyba przez całe życie nie patrzyła na innych mężczyzn.

– Z jednym wyjątkiem – rzekł Ross.

– Tak? – Clowance nagle stała się czujna.

– Tylko na krótko. Nie miało to żadnego znaczenia.

– Właśnie o to mi chodzi.

– Nic z tego nie wynika. Ale mogłoby wynikać. Byłbym szczęśliwy – szczęśliwszy – gdybym był pewien Stephena, nie ciebie.

– Głupie kłamstwa, jakie o nim rozpuszczają…

– Nie słyszałem ich.

– Każdy człowiek ryzykuje, zawierając małżeństwo. Ryzykuje, bo chce.

Ross wstał i zaczął zaciągać zasłony.

– Przypuszczam, że ślub nie nastąpi szybko.

– Nie chcemy go odwlekać, jeśli się zgodzisz, papo. I tak długo czekaliśmy.

– Czekaliście?!

Clowance żachnęła się, słysząc twardy ton głosu ojca.

– Tak nam się wydaje. Przez pierwsze miesiące jego pobytu w ogóle go nie widywałeś. Potem minęło następne osiem miesięcy. Starałam się… starałam się postępować rozsądnie. Czy nie tak? Musisz to przyznać! Moim zdaniem pokochaliśmy się od pierwszego wejrzenia. W styczniu zeszłego roku pojechałam z ciotką Caroline do Londynu, a w lipcu do Bowood. Za każdym razem chciałam się

przekonać, czy go kocham, czy nie. Rezultat był zawsze taki sam.

– Dwa razy przyszedł na kolację, gdy wyjechałaś w lipcu.

– Tak, wspominał mi. To miło, że go zaprosiłeś. Czy to dlatego, że…

– Tak, przede wszystkim. Ale przyjaźni się z Jeremym, więc i tak mógłby nas odwiedzić.

– Wtedy zainwestował w kopalnię, prawda?

– Mimo moich ostrzeżeń. Jest miłym młodym człowiekiem, inteligentnym, bystrym. Wydaje się, że powinien osiągnąć w życiu coś więcej. Oczywiście, jeśli ktoś nie ma żadnych koneksji, niełatwo o okazje. Może kiedy… jeśli… jego życie się ustabilizuje, pojawi się w nim nowy rodzaj ambicji…

– Kiedy się z nim spotkasz?

– Spotkam? Nie jutro. W czwartek, o dowolnej porze. Najlepiej przed południem. Powiedz, żeby przyszedł do biblioteki. Nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Clowance podeszła i pocałowała ojca.

– Powiesz mamie?

– Oczywiście!

– Dziś wieczorem?

– Tak. Mamy przed sobą niewiele tajemnic, a to ostatni temat…

Clowance się uśmiechnęła.

– Chciałabym, żeby między mną a Stephenem było tak samo.

– Każ mu przyjść o jedenastej.

III

– Jaki to był statek? – spytał Ross. – Szkuner?

– Tak, sir, z ożaglowaniem gaflowym. Raczej niewielki.

– O jakiej wyporności?

– Jakieś osiemdziesiąt ton.

– A dowódca?

– Kapitan Fraser. Z Bristolu.

– Długo z nim pływałeś?

– To był drugi rejs. Dowódca pochodził ze Szkocji. Twardy, rudowłosy, lepiej z nim było nie zadzierać.

– Ale niezbyt dobry żeglarz?

– Dlaczego pan to mówi, sir?

– Wpakował statek na mieliznę koło przylądka Gris Nez. Co prawda był sztorm, ale zawsze…

– Nie, sir, kula armatnia, która zabiła kapitana Frasera, zwaliła fokmaszt. Na pokład spadły trzaskiem reje, sztagi i wanty. Nim je odcięliśmy, statek zszedł z kursu i o mało nie przewrócił się na burtę. Zrobiliśmy wszystko, co się dało, by złapać wiatr, ale w czasie ucieczki przed Francuzami zbliżyliśmy się do brzegu. Potem nie daliśmy sobie rady z falami i przypływem.

– Nie słyszałeś w Bristolu o innych uratowanych członkach załogi?

– Nie. Chyba wszyscy zginęli.

– Ile masz lat, Stephen?

– Trzydzieści.

– Całe życie pływałeś na statkach?

– Nie, jako chłopiec pracowałem na farmie. Później krótko byłem stangretem sir Edwarda Hope'a, który mieszkał na przedmieściach Bristolu. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem morze i statki. Chodziłem po porcie, o mało nie wcielono mnie siłą do marynarki wojennej i w końcu zaciągnąłem się na bryg płynący do Kanady. Potem…

– Dlaczego odszedłeś ze służby u sir Edwarda Hope'a?

– Nie podobała mi się.

– Czemu?

– Niewielkie szanse na awans. Pewnego dnia chciałem zostać swoim własnym panem.

– Ale nim nie zostałeś.

– To trudne, jeśli się nie ma wpływów. Sam pan to powiedział, sir.

– Wolisz pracę na dworze czy w czterech ścianach?

– Na dworze. Zawsze tak było. Nie mogłem wytrzymać w kopalni. Po prostu… chciałbym coś w życiu osiągnąć.

Ross podszedł do okna. Znowu lało.

– Masz trzydzieści lat, Stephenie. Musiałeś mieć już stosunki z kobietami.

Młody człowiek czujnie spojrzał na Rossa.

– Nie mogę zaprzeczyć. Ale jeszcze nigdy nie przeżyłem czegoś takiego. Nigdy się tak głęboko nie zakochałem.

– Słyszałeś kiedyś o Charlesie Dibdinie?

– Nie, nie wiem, kto to taki.

– Pisze popularne piosenki o morzu. Kilka lat temu były bardzo modne w Londynie.

– Tak?

– Pamiętam jedną, w której marynarz śpiewa: „W każdej gospodzie mam druha, a w każdym porcie żonę". Czy odnosi się to do ciebie?

Stephen oblał się rumieńcem.

– Bóg mi świadkiem, to niesprawiedliwe!

– Dlaczego niesprawiedliwe? Mogłoby to być naturalne…

– Myśli pan, że prosiłbym pana o rękę córki, gdybym już był żonaty? – spytał szorstkim tonem.

– Mogłeś być żonaty i owdowieć – odparł Ross. – Takie rzeczy się zdarzają. Skoro uważasz, że masz prawo prosić o rękę mojej córki, ja uważam, że mam prawo pytać.

Stephen przełknął ślinę, przesunął ręką po włosach. Wcześniej wyglądał groźnie, wysoki, barczysty, z nabrzmiałymi żyłami na szyi.

– Przepraszam, kapitanie Poldark. Ma pan prawo pytać. Odpowiedź brzmi: nie. Nie mam żony w żadnym porcie i nigdy nie miałem.

– Dobrze… Powiedz mi, jak utrzymywałbyś Clowance, gdybyś ją poślubił.

– Pracą własnych rąk. Przez całe życie nigdy nie unikałem pracy. Teraz też, jak pan wie. Trochę pracuję w kopalni, dwa dni w tygodniu pomagam naprawiać nabrzeże w St Ann's. Zarabiam grosze, ale znajdę coś lepszego. Proszę mi dać trochę czasu.

– Muszę ci powiedzieć, Stephenie, że nie jestem bogatym człowiekiem, choć tak ci się może wydawać, jeśli porównujesz mnie do siebie – rzekł Ross. – Mam udziały w różnych przedsiębiorstwach w hrabstwie, lecz są niewielkie. Dobrobyt mojej rodziny – lub jej nędza – zależy głównie od kopalni. Jestem właścicielem dwóch: pierwsza nie przynosi prawie żadnych zysków i wkrótce może zacząć przynosić straty, a druga jeszcze nie działa.

– W przyszłym tygodniu, prawda?

– W przyszłym tygodniu?

– W przyszłym tygodniu nastąpi otwarcie Wheal Leisure.

– Tak przypuszczam.

– Niechaj przyniesie to nam wszystkim szczęście!

– Rzeczywiście.

Zapadło milczenie.

– Nie proszę pana o jałmużnę, kapitanie… Zawsze potrafiłem jakoś się utrzymać i, z Bożą pomocą, potrafię utrzymać również Clowance… Może nie na takim poziomie, do jakiego jest przyzwyczajona, ale mówi, że jej to nie przeszkadza.

– Nie dziwi mnie to – odparł sucho Ross. – Clowance zawsze prowadziła proste życie.

– Więc czy mogę oczekiwać, że pan się zgodzi? – spytał Stephen.

Ross podszedł do konsolki i nalał dwa kieliszki francuskiego wina niedawno przemyconego z Roscoff. Podał jeden z nich Stephenowi, który początkowo zamierzał odmówić, lecz po chwili zmienił zdanie.

– Myślę, że przed podjęciem takiej decyzji muszę zasięgnąć opinii matki Clowance. Naturalnie od jakiegoś czasu wiemy o waszych wzajemnych uczuciach, ale plan szybkiego małżeństwa to coś nowego. Dla nas, a może również dla ciebie i Clowance. Porozmawiajmy o tym spokojnie, nie składając nierozważnych deklaracji. Przyjdź do nas jutro na kolację. Niech przez tydzień lub dwa sprawa pozostanie w zawieszeniu. Jeszcze raz porozmawiam z Clowance… Skosztuj tego wina. Podobno leżakowało w beczkach przez trzy lata.

Stephen wypił. Miał ochotę rzucić wyzwanie temu wysokiemu, kościstemu, utykającemu mężczyźnie i powiedzieć, że jego czas minął, że on, jego żona i ludzie w ich wieku to stare pryki, głupcy, że teraźniejszość i przyszłość należy do takich jak Stephen i Clowance, że tak czy inaczej zdobędzie Clowance, posiądzie jej ciało – pozna każdy centymetr, każdą krzywiznę jej jasnej skóry – i całkowicie zapanuje nad jej umysłem. Clowance będzie wierzyć w każde jego słowo i w słuszność każdego postępku – w razie potrzeby odda za niego duszę. Jeśli ojciec i matka zaczną się sprzeciwiać, zostaną odrzuceni jak porcelanowe figurki strącone z gzymsu kominka i leżące w kawałkach na podłodze salonu. Wystarczy, że kiwnie palcem, a Clowance pójdzie za nim na koniec świata, nie bacząc na konsekwencje.

Wypił łyk wina i milczał. Znał siłę więzów łączących rodzinę Poldarków i nie chciał ich rozrywać, jeśli nie jest to konieczne. Szczerze kochał Clowance i chciał, żeby była szczęśliwa. Wyczuwał, że nie mogłaby być zupełnie szczęśliwa, gdyby wyszła za mąż bez zgody rodziców. Dlatego dopóki zgadzają się na małżeństwo, lepiej utrzymywać z nimi dobre stosunki. Kapitan Poldark jest ważną osobistością w Kornwalii, choć nie ma wielkiego majątku i często narzeka na swoje ubóstwo. Status zięcia posła do Izby Gmin prędzej czy później musi otworzyć ciekawe możliwości. Stephen nie chciał być niczyim lokajem ani chłopcem na posyłki; byłby bardzo zadowolony, gdyby bez niczyjej protekcji ani pomocy potrafił zacząć nowe życie i stworzyć dla żony własny dom. Jednak prędzej czy później i tak może liczyć na protekcję i pomoc.

Pod warunkiem że szybko wezmą ślub.

IV

– O nie! – zawołała tydzień później Clowance. – Skończę osiemnaście lat dopiero w listopadzie!

– Listopad nie jest za sto lat – odparł Ross.

– Och, papo, to niemożliwe!

– Dlaczego? – spytała Demelza.

– Nie rozumiecie?! Wiem, że jestem młoda, ale to… to przyszło zupełnie nagle. To nie jest coś… – opuściła głowę – …to nie jest coś, nad czym można tak długo panować!

Demelza spojrzała na wysoką, jasnowłosą córkę, ciągle młodziutką, i miała zamiar powiedzieć, że nic się nie stanie, jeśli zaczeka dwa lata, a cóż dopiero osiem lub dziewięć miesięcy. Jednak doskonale pamiętała początki swojego życia w Namparze: wspomnienia były zbyt wyraziste, by je ignorować. Jak można wygłaszać reprymendy albo kazania, mając takie doświadczenia?

– Zastanówmy się nad tym jeszcze raz – powiedział Ross. – Tom Jonas niedawno zmarł i Wilf szuka pomocnika do młyna. To ciężka, męcząca praca, ale młyn znajduje się blisko Nampary, a ponieważ Wilf jest bezdzietny, mogą się pojawić nowe perspektywy. To najodpowiedniejsze zajęcie, jakie mogę w tej chwili zasugerować. Jak wiecie, jestem przeciwny, by zięć pracował wraz z teściem. Prowadzi to do tarć… nawet gdybym miał mu coś do zaproponowania. Jedyna rzecz, jaką mogę zaoferować, to stróżówka. Przed małżeństwem z Caroline mieszkał tam Dwight Enys. To miły mały dom i byłby odpowiedni dla was obojga…

– Wiem, papo, i dziękuję…

– Jeśli Stephen w przyszłym miesiącu rozpocznie pracę u Wilfa Jonasa – moim zdaniem da się to załatwić – może się wprowadzić do stróżówki. Przekona się, jak sobie radzi jako młynarz. Do listopada doprowadzi dom do porządku, bo w tej chwili jest on w kiepskim stanie. Młynarstwo to dochodowe zajęcie i nawet pracownik najemny będzie nieźle zarabiał – później może być jeszcze lepiej. Do listopada Stephen przepracuje w młynie siedem lub osiem miesięcy, będzie mieć gotowy dom i trochę oszczędności, by zapewnić ci utrzymanie. W razie potrzeby dołożę nieco, żebyście mogli zacząć własne

życie…

Clowance stała między rodzicami, młoda, wdzięczna, delikatna, absolutnie szczera.

– Nie wiem, co powie Stephen…

– Co może powiedzieć?

Zignorowała pytanie ojca, choć znała odpowiedź. Jeśli Stephen nie zaakceptuje propozycji rodziców i oświadczy, że nie może tak długo czekać, odda mu się – nie w małżeńskim łożu, lecz w dawnej sypialni Geoffreya Charlesa, stęchłej, zakurzonej i brzydkiej, wśród pająków, na wilgotnej pościeli ogrzanej przez ogień płonący w kominku. Wiedziała, że to się stanie, ale nie mogła użyć tego jako argumentu ani groźby. Cokolwiek spotkało ich w młodości, było zbyt odległe, by mieć związek z teraźniejszością.

– Nie mógłby to być środek lata? – spytała.

– Dlaczego środek lata?

– Minąłby rok od powrotu Stephena. Miałby czas zagospodarować się w stróżówce i przepracowałby kilka miesięcy u Jonasa. Do listopada jest strasznie daleko.

Ross popatrzył na Demelzę, która powiedziała:

– Dlaczego nie spytamy Stephena, co sądzi o pracy u Jonasa? I o reszcie naszej propozycji. Jeśli się zgodzi, zobaczymy, ile czasu zajmie mu zagospodarowanie się. W końcu moglibyśmy przyjąć kompromisowe rozwiązanie – na przykład koniec sierpnia? Albo po żniwach? Byłam w stróżówce w listopadzie zeszłego roku, wzięłam klucz, rozejrzałam się. Dom jest w bardzo złym stanie. Spróchniałe podłogi, brakuje wielu dachówek. Wszystko to trzeba naprawić, nim tam zamieszkacie. Stephen może woleć mieszkać jeszcze przez jakiś czas u Nanfanów. Będzie miał motywację, oboje będziecie mieć motywację, by wszystko przygotować. Moim zdaniem najodpowiedniejszy byłby wrzesień.

Clowance dotknęła swojej dłoni. Wczoraj wbił jej się w nią cierń, a Stephen go wyjął. Zadawany przez niego ból był przyjemny.

– Wiem, że oboje staracie się być dobrzy… i dziękuję, że okazujecie taką przezorność. Czy byłabym… czy mogłabym oficjalnie zaręczyć się ze Stephenem? Wkrótce. To by pomogło. Nie czułby, że coś jest odkładane na później. Zaręczyny oznaczałyby, że wszystko jest ustalone.

Zapadło milczenie.

– Wielkanoc? – zwróciła się Demelza do Rossa.

– Bardzo dobrze – odparł powoli Ross. – Niech będzie Wielkanoc.

Po wyjściu Clowance zwrócił się do żony:

– Zmieniłaś ustalenia, które uzgodniliśmy wczoraj wieczorem.

– Wiem, Ross. Przepraszam. Listopad jest trochę za daleko. Pamiętasz, jak byłeś dzieckiem i kładłeś się wieczorem do łóżka? Przypominało to trochę śmierć. Następny ranek wydawał się odległy o miesiąc. Clowance nie jest dzieckiem, ale nawet w jej wieku dziewięć miesięcy wydaje się połową życia. Nagle poczułam, że pośredni termin będzie dla niej bardziej zadowalający. Jeśli naprawdę mają się pobrać, dwa dodatkowe miesiące niczego nie zmienią.

Ross powoli spacerował po pokoju. Podnosił i odkładał na miejsca bibeloty i książki, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi.

– Wielu rozsądnych ludzi zabroniłoby córce tego małżeństwa, a nie dyskutowało, kiedy ma zostać zawarte!

– Wiem – odparła Demelza.

– Wiesz? A jednak…

– Nie jesteś człowiekiem tego pokroju. Nigdy nie narzucałeś dzieciom takich rygorów. Myślę, Ross, że powinniśmy się pogodzić z faktami.

– Wiesz, że przyłapałem Stephena na kłamstwie, gdy wypytywałem go o zatopienie jego okrętu korsarskiego? Powiedziałem, że wpadł na mieliznę w pobliżu przylądka Gris Nez, choć wcześniej mówił o wyspach Scilly. Nie poprawił mnie… Chociaż trzeba uczciwie przyznać, że moje pytanie dotyczyło czegoś innego i mógł przeoczyć tę nieścisłość, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Cieszmy się, że Clowance na razie nie uciekła z domu – powiedziała Demelza. – Jak dotąd

wszyscy zachowujemy się bardzo cywilizowanie.

Zapadło milczenie. Oboje zastanawiali się nad sytuacją.

– Myślisz, że istnieje takie ryzyko?

– Gdybyśmy zabronili jej małżeństwa… i jeśli kocha go dostatecznie mocno…

– Wtedy byśmy się przekonali.

– W niezbyt miły sposób.

Ross przykucnął, by poprawić ogień, po czym się wyprostował, bo zabolała go kostka. Poruszał węgle pogrzebaczem, pochyliwszy się do przodu. Jego twarz oświetlały płomienie.

– Czy to wszystko nie sprawia, że czujesz się stary? – spytała Demelza.

– Stary?

– Przyziemny. Ostrożny. Podstarzały! Nie możemy zabronić Clowance małżeństwa, a jednak musimy doradzać, by postępowała roztropnie i ostrożnie. Zmuszamy ich do czekania. Nigdy… nigdy się czegoś takiego nie spodziewałam!

– A czego się spodziewałaś?

– Radości. Że będziemy szczęśliwi. Ty i ja. Czy zawsze nie byliśmy skłonni do ryzyka? Myślałam, że rzucę się zięciowi na szyję, wołając: „Witaj! Witaj!".

Na twarzy Rossa przestało migotać światło, bo dorzucił węgla do paleniska i patrzył na unoszący się w nim szary dym.

– Moja sytuacja nie jest lepsza. Ja również czuję niepokój. Godzę się na jej małżeństwo ze Stephenem, a potem natychmiast robię się skąpy i proponuję, by podjął pracę u Jonasa. Powinienem mu znaleźć coś lepszego, wykorzystując swoje znajomości w hrabstwie.

– Może zrobisz to później.

– Tak… może zrobię to później. Przykro jest nie okazywać entuzjazmu, zwłaszcza wobec kogoś tak entuzjastycznego jak Clowance. To jej życie, jej decyzja. Nie wierzę, że mężczyzna, którego wybrała, nie zasługuje na naszą miłość, nasze wsparcie. Ale w tych okolicznościach wydaje się rozsądne, by początek ich wspólnego życia nie był zbyt łatwy.

Demelza milczała przez chwilę.

– Kiedy byłam w zeszłym roku w Bowood, damy rozmawiały o bogatej, młodej pannie, która w wieku osiemnastu lat poślubiła mężczyznę nazywanego przez nie nicponiem. Oczywiście nie wiem, czy ich ocena była słuszna! Ale pamiętam, że pani Dawson powiedziała: „Niestety, wszystkie wiemy, co męska ręka może zrobić z ciałem dziewicy: potrafi ją zmienić w niewolnicę". Dokładnie zapamiętałam te słowa. Później dodała: „Intelekt, umysł, dusza idą w zapomnienie. To jak czarodziejskie zaklęcie i nie ma prawie żadnej różnicy między dobrem i złem". To właśnie powiedziała. Od tamtej pory wiele razy o tym myślałam.

Ross gwałtownie uniósł oczy.

– Co sugerujesz?

– Nic, mój drogi. Tylko to, że kiedy ludzie się kochają, zasługi, dobroć i łagodność nie zawsze są najważniejsze. Nie możemy myśleć za innych. I nie możemy czuć za innych…

W dalszym ciągu patrzył na żonę. Znał ją dobrze i zastanawiał się, czy jest z nim zupełnie szczera, czy coś się kryje za jej słowami.

– Żałuję, że ustąpiliśmy w sprawie listopada… – powiedział.

W istocie rzeczy Demelza ukrywała coś, co usłyszała tego ranka. Było jej przykro, że dowiedziała się tego w chacie Paynterów, głównym źródle plotek w wiosce. Prudie odciągnęła Demelzę poza zasięg słuchu rozgniewanego Juda – skarżył się, że na jego łysą głowę przez całą noc kapały krople deszczu – po czym, przepraszając, zwierzyła się, że słyszała plotki, szepty, brudne plotki krążące po wsi. Zastanawiała się, czy w ogóle powinna o tym wspominać, czy stulić dziób, ale czasem najlepiej opowiedzieć o brudnych, kłamliwych plotkach, by zdusić zło w zarodku. Ludzie gadają, za przeproszeniem, że panna Clowance i ten obcy mężczyzna wchodzili do Trenwith i stamtąd wychodzili, podobno ktoś ich widział. Jestem pewna, że to nieprawda, wstrętne łgarstwo, ale uważam, że należy o tym wspomnieć.

Demelza podziękowała Prudie i nie skomentowała jej rewelacji, udając, że to nic ważnego. Jednak w głębi serca natychmiast nabrała przekonania, że to prawda, co wpłynęło na zmianę jej podejścia do całej sprawy. Uważała, że dobrze zna córkę, i wierzyła, że Clowance w dalszym ciągu jest dziewicą, lecz zrozumiała, z jaką presją się zmaga, nie tylko ze strony Stephena, ale również własnego temperamentu.

Nigdy nie wspomni Rossowi o uwagach Prudie. Musi aluzyjnie ostrzec Clowance, by pod żadnym pozorem więcej nie chodziła do Trenwith – za żadne skarby – bo jeśli te plotki dotrą do uszu ojca, dojdzie do straszliwej awantury. Reakcje Rossa na konkretne sytuacje rzadko dawały się przewidzieć, lecz tym razem sprawa wydawała się oczywista. Prawdopodobnie wyrzuci Stephena z domu. (Niesprawiedliwie, ponieważ tylko Clowance mogła zaprowadzić go do Trenwith. Jednak Ross, niezdolny do podniesienia ręki na córkę, wyładowałby złość na jej kochanku).

To dziwne, pomyślała Demelza, że w tym przypadku wściekłości Rossa nie wywołałoby oburzenie o charakterze moralnym – niewątpliwie uwierzyłby w słowa córki – lecz haniebny fakt, że spotykała się ze Stephenem w Trenwith. Wyobrażała sobie, jak by się czuł, gdyby George napisał do niego następujący list: „Moi gajowi, Tom Harry i Harry Harry, niedawno przyłapali Pana córkę, pannę Clowance Poldark, w kompromitującej sytuacji z jednym z jej kochanków w moim dworze w Trenwith, dokąd wdarła się bez mojego pozwolenia. Czy zechciałby ją Pan łaskawie poinformować…".

Ross nie zniósłby takiej hańby, nigdy nie wybaczyłby takiego upokorzenia ani Clowance, ani Stephenowi. Chwała Bogu, że jeszcze do tego nie doszło. Trzeba natychmiast przerwać te wizyty, niezależnie od tego, co się w ich trakcie dzieje.

Rozdział czwarty

I

Wheal Leisure otwarto w środę dwudziestego piątego marca. Przez ostatnie dwa miesiące wciągnięto kołowrotem na klif wszystkie części maszyny parowej dostarczone na brzeg – wielkie elementy nieskończenie powoli i ostrożnie – po czym zmontowano pod nadzorem Jeremy'ego Poldarka.

Stary szyb kopalni znajdował się około pięćdziesięciu metrów od miejsca, gdzie wzniesiono maszynownię, i niektórzy uważali, że niewykorzystanie go do wypompowywania wody to ogromna strata, ponieważ drążenie nowego szybu wymagało trzymiesięcznej katorżniczej pracy dwunastu ludzi, jednak Jeremy stanowczo obstawał, że niezbędny jest drugi szyb. Dawny szyb był zbyt wąski i chociaż na początku biegł pionowo w dół, na głębokości dziesięciu sążni załamywał się ukośnie, ponieważ kopiący go górnicy podążali za żyłą rudy. Jeremy nie chciał, by belki tłoków łączyć przegubami na głębokości dwudziestu metrów pod ziemią, choć często stosowano takie rozwiązanie. Poza tym umieszczenie maszyny parowej na platformie w pewnej odległości od starego szybu sprawiło, że znajdowała się ona przeszło dziesięć metrów poniżej jego otworu. Dzięki temu nie było potrzeby pompowania wody na wysokość ujścia starego szybu, wystarczył poziom najniższego kanału odpływowego, z którego przez cały rok tryskał na piasek u stóp klifu strumień żółtawej wody. Mniejsza wysokość oznaczała, że maszyna i belki tłoków będą mniej obciążone.

Belki tłoków były pniami sosen masztowych, które ociosano, nadając im kwadratowy przekrój. Połączono je długimi żelaznymi klamrami przymocowanymi do drewna z czterech stron; usztywniały one belki, zmieniając je w jeden ogromny pal połączony z ciężkim żurawiem maszyny. W szybie umieszczono w odpowiednich odstępach prowadnice, by pal się nie kołysał ani nie wyginał. Dziś nowa maszyna parowa miała po raz pierwszy unieść ciężkie belki z głębi kopalni; później powinny one opaść pod własnym ciężarem, by ciśnienie tłoka wypchnęło wodę do góry biegnącymi równolegle rurami, aż dotrze do coraz wyżej położonych zbiorników i osiągnie poziom kanału odpływowego, skąd bezpiecznie spłynie na plażę i do morza.

Kwadratowy szyb o boku dziewięćdziesięciu centymetrów podzielono grubymi drewnianymi deskami na dwie części. Mniejsza była przeznaczona do wyciągania rudy na powierzchnię w żelaznych wiadrach, okrągłych, by nie zawadzały o występy skał, przemieszczając się w górę lub w dół. W większej części poruszały się ogromne belki; znajdowały się tam również drabiny, którymi górnicy schodzili do kopalni i wracali na powierzchnię. Drabiny te pozwalały kontrolować stan belek i rur.

Około ósmej rano, zanim ludzie zaczęli się zbierać na uroczystość otwarcia kopalni, Jeremy poszedł do Wheal Leisure wraz z Horriem Treneglosem i Stephenem Carringtonem. Jak się spodziewał, w maszynowni byli już Dan Curnow i Aaron Nanfan, lecz po chwili wyszli na zewnątrz, by zerknąć na niedawno pomalowane okna i drzwi. Jeremy skorzystał z okazji i samemu obszedł budynek.

Na parterze znajdował się kocioł zamówiony w kuźni Harveya przed siedmioma miesiącami, w tej chwili otoczony murem z cegieł żaroodpornych z podwójnym przewodem spalinowym. Nad nim umieszczono cylinder tłoka w pojemniku z lakierowanego wiązu wzmocnionym mosiężnymi pierścieniami; otaczały go zawory, koła zębate, dźwignie dyszy wydmuchowej, regulatory oraz ciśnieniomierz – nie miał on tarczy, ponieważ wskaźnik poruszał się w górę i w dół jak w termometrze. W pomieszczeniu na parterze, gdzie dzień i noc miał czuwać maszynista, stał stół i dwa wygodne fotele.

Jedyna używana część wyposażenia znajdowała się na zewnątrz budynku: mniejszy żuraw zakupiony przez Rossa od zbankrutowanej kopalni i wykorzystywany jako przeciwwaga. Przymocowano go do tylnego końca głównego żurawia, a po drugiej stronie zawieszono dużą skrzynię wypełnioną kamieniami oraz bryłami żelaza i ołowiu o odpowiedniej masie. Kiedy belki tłoków opadały pod działaniem grawitacji, unosiły ciężką skrzynię przeciwwagi. Po chwili maszyna unosiła belki i skrzynia opadała, ułatwiając pracę urządzenia.

Jeremy wszedł po schodach na piętro, gdzie znajdowała się część cylindra i wypolerowany pręt tłoka sięgający następnego piętra. Pamiętał, z jakim trudem ulokowali na miejscu wielki żeliwny żuraw

– uniesiono go dźwigami przed budynkiem maszynowni, zawieszonego na linach, po czym wsunięto do otworu w murze i opuszczono na wsporniki.

Oczywiście wczoraj odbył się próbny rozruch i wszystko przebiegło zgodnie z planem, lecz mimo to Jeremy odczuwał powagę chwili i ogarnął go lekki niepokój. Wkrótce znów miano rozpalić ogień, który wygaszono na noc, i otworzyć przepustnicę. Później rozlegnie się syk kotła towarzyszący wzrastaniu ciśnienia pary.

Około jedenastej zaczęli się zbierać ludzie. Wielu z nich nie miało żadnych związków z kopalnią, choć zyskowne przedsiębiorstwo górnicze zwiększało zamożność całej okolicy. Chcieli obejrzeć ciekawe widowisko – z tego samego powodu oglądali połowy sardynek lub egzekucje. O wpół do dwunastej przed maszynownią zgromadził się chór kościelny wraz z instrumentami, a także kapitan Poldark z małżonką i dwiema córkami, pani Kellow, Charles Kellow, panna Daisy Kellow, John Treneglos z żoną i kilku innych ziemian.

Za kwadrans dwunasta chór odśpiewał pieśń *Jezus panuje w niebiosach*, przygrywając na instrumentach. Proboszcz Odgers – przyprowadzony przez żonę, by nie zapomniał, co robić, i nie błąkał się po plaży – odmówił trzy modlitwy. Następnie zabrał głos Samuel Carne, który odmówił kolejne dwie modlitwy. Odgers po raz pierwszy w życiu zgodził się wystąpić w czasie uroczystości wraz z Samuelem – uważał metodystów za wrogą, heretycką sektę, tylko nieco mniej zbrodniczą od papistów. Jednak Ross, choć nie miałby nic przeciwko bardzo krótkiej ceremonii, nawet całkowicie świeckiej, zdawał sobie sprawę, że górnicy byliby niezadowoleni, gdyby kopalnia nie otrzymała błogosławieństwa zarówno Kościoła anglikańskiego, jak i metodystów – uważali je za konieczne, podobnie jak zawieszenie nad drzwiami podków z ramionami skierowanymi do góry. Dlatego przekonał Odgersów, by zapomnieli o swoich uprzedzeniach w imię pomyślności o dwoistym charakterze – duchowym i materialnym.

Po zakończeniu modlitw Ross i Demelza weszli na trzecie piętro maszynowni i stanęli na drewnianej platformie bez barierki – tak zwanej galeryjce maszyny – wysoko nad zgromadzonymi ludźmi. Ross wykrzyczał krótkie przemówienie, a Demelza stała obok z włosami rozwiewanymi przez wiatr. Widziała z tego miejsca całą pięciokilometrową plażę Hendrawna, twardy żółty piasek oświetlony przez zamglone słońce, przybój huczący jak dzika szarża kawalerii. Z dwóch kominów Nampary buchały kłęby dymu, szybko odlatując w dal. Mary Gimlett prała prześcieradła, które trzepotały na sznurze i owijały się wokół niego – wyglądało to jak tajemnicze znaki dawane chorągiewkami.

Maszynownia była nowiutka i ładna. Drzwi i framugi pomalowano na czerwono, w skrzynkach pod oknami, gdzie w przyszłości miały rosnąć letnie kwiaty – aksamitki albo pelargonie – w tej chwili żółciły się żonkile zebrane wczoraj w ogrodzie. (Demelza nie widziała z galeryjki ogrodu, bo zasłaniał go komin). Jak będzie wyglądać to miejsce za rok? Cegły pociemnieją od dymu, dziedziniec pokryje miał węglowy, na kamiennych ścianach pojawią się rdzawe wykwity, lecz budynek w dalszym ciągu będzie wyglądał dość ładnie i porządnie – choć większość mechaników miała przygnębiającą skłonność do ignorowania plam brudnego smaru, dopóki mechanizmy pozostają w idealnym stanie.

A wydobywana ruda? Całe życie Demelzy – a przynajmniej całe jej prawdziwe życie, odkąd przybyła do Nampary – było związane z kopalniami należącymi do Rossa. Zależał od nich dobrobyt rodziny, wpływały na codzienne życie wszystkich domowników. Najpierw ta kopalnia, Wheal Leisure, gdy Demelza ciągle pracowała jako służąca. Pamiętała obiad wydany przez Rossa po podjęciu decyzji o rozpoczęciu robót. We dworze pojawili się dziwni, szacowni starsi dżentelmeni w perukach – już dawno zapomniała ich nazwisk, lecz pamiętała pytające, znaczące spojrzenia, jakie rzucali w jej kierunku. Kiedy wyszła za mąż, Ross zmagał się z Warlegganami usiłującymi przejąć kontrolę nad Wheal Grace, a później impulsywnie – przynajmniej tak się wydawało – postanowił ponownie uruchomić tę kopalnię. Niedługo potem zginął w niej jego brat stryjeczny Francis. Któregoś dnia Wheal Grace zalała woda z kopalni Wheal Maiden za wzgórzem i przez kilka lat zarabiali ogromne pieniądze dzięki odkryciu pokładów rudy cyny.

– Nie mogę nadać imienia tej kopalni, bo wszyscy je znamy! – zawołał Ross w chłodnym, wietrznym, słonecznym dniu. – Pozostanie Wheal Leisure, ale nowa maszyna parowa otrzymuje imię Isabella-Rose!

Uniósł butelkę białej madery i rozbił ją o żuraw, a kiedy rozlane wino zalśniło w słońcu, rozległy się wiwaty.

W dole Jeremy i Curnow zwiększyli ciśnienie pary, aż jej wskaźnik osiągnął osiemnaście centymetrów wysokości. Kocioł coraz bardziej się rozgrzewał, a z niewielkiego zaworu w rurze ściekowej wydobywała się para. Otworzyli zawór regulacji ciśnienia, zamknęli go i kilkakrotnie powtórzyli te czynności, aż wskaźnik opadł do wysokości dziesięciu centymetrów. Później Jeremy jednocześnie ustawił regulator dyszy wylotowej i zawór wtryskowy. Stopniowo tłok zaczął się poruszać, wprawiając w ruch wielki żuraw. Jeremy zamknął zawory regulacji ciśnienia, by uniknąć gwałtownego szarpnięcia, gdy obciążenie jest bardzo niewielkie. Tłok posuwał się w dół, aż nagle zawory maszyny głośno szczęknęły, odcinając dopływ pary. Belki pomp się poruszyły i nacisnęły tłoki znajdujące się w szybie, wypychając wodę do góry w stronę kanału odpływowego. Tom Curnow ustawił cztery zawory regulujące dopływ pary, a Jeremy stanął u stóp schodów i czekał na zejście rodziców, by obejrzeli co chwila powtarzający się cud pracy nowoczesnej maszyny parowej.

II

Zjedzono tradycyjny obiad, wzniesiono toasty, większość gości wyszła. W odróżnieniu od ojca, który nazwał założoną przez siebie kopalnię imieniem żony, Ross nie miał ochoty zmieniać nazwy Wheal Leisure na Wheal Demelza. Czuł, że tylko jedna osoba na świecie zasługuje na to imię. Pomysł nazwania maszyny parowej Isabella-Rose okazał się dobry: pochlebiło to Belli i wszyscy wydawali się zadowoleni.

Ross zarzucił sieci szeroko i na obiad zaproszono wszystkie osoby związane z kopalnią. Stephen i Clowance siedzieli obok siebie i nikt nie mógł mieć wątpliwości, że darzą się uczuciem. Jednak do Wielkanocy został jeszcze tydzień i Ross nie ogłosił zaręczyn córki. Kiedy stało się to możliwe, Jeremy znów wymknął się z domu i wrócił plażą do Wheal Leisure. Zauważył z przyjemnością, że żółta woda tryskająca z ujścia kanału odpływowego u stóp klifu od rana dwukrotnie zwiększyła swoją objętość.

Wspinając się po klifie, słyszał miarowe sapanie i zgrzyty maszyny parowej. Wydawało się, że w maszynowni czyha wielkie zwierzę szykujące się do wyjścia. Jeremy czuł, że maszyna, którą zbudował, choć nie może jeździć po drogach, jest żywą istotą mającą własny charakter. I humory.

Wszedł do ciepłego wnętrza budynku, stał przez chwilę, obserwując pracujące urządzenie: parę wznoszącą się wokół tłoka, szczękające dźwignie, podobne do głów łabędzi, automatycznie otwierające i zamykające zawory. Zgrzyt, cisza, sapnięcie… Zgrzyt, cisza, sapnięcie. Wypompowywano około tysiąca trzystu pięćdziesięciu litrów wody na minutę. Maszyna unosiła belki o wadze trzydziestu ton. Zgrzyt, cisza, sapnięcie… Zgrzyt, cisza, sapnięcie. Cóż za majestat…

Ale wyobraźmy sobie, po prostu wyobraźmy sobie tę samą maszynę, inaczej skonstruowaną, lecz działającą na tych samych zasadach, z tłokiem z boku lub pod kątem, która zamiast poruszać gigantyczny żuraw i pompę byłaby połączona korbowodem z dwoma tylnymi kołami pojazdu drogowego! Wszystko jest gotowe. W jakiś sposób gotowe. Należy tylko zaadaptować konstrukcję i przezwyciężyć trudności związane z wagą oraz tarciem. Genialnemu Trevithickowi kilkakrotnie udało się tego dokonać, nim zaczął realizować inne pomysły…

Po schodach zbiegł Dan Curnow z oliwiarką w ręku.

– Wszystko w porządku, Dan?

– Dobrze chodzi, panie Poldark. Moim zdaniem ładnie złapała rytm.

Dan odstawił oliwiarkę, wytarł ścierką rękę, otworzył drzwi paleniska, z którego buchnęło gorąco. Poprawił ogień, aż na dno półkolistego popielnika spadł popiół, po czym dosypał węgla. W tej samej chwili po schodach zszedł Ben.

– Witaj, Ben! Nie wiedziałem, że ciągle tu jesteś.

– Tylko się rozglądam – odparł Carter. – Już się skończył?

– Co?

– Obiad.

– Tak. Udał się. Wracasz do domu?

– Chyba tak.

Ben odrzucił zaproszenie na obiad pod pretekstem, że w chwili rozruchu maszyny musi obserwować, co się dzieje pod ziemią. Jeremy nie był pewien, czy rzeczywiście było to konieczne, ponieważ po uruchomieniu maszyny sam zszedł na poziom odpływowy kopalni, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Pozostałe sprawy związane z uruchomieniem kopalni miały zająć kilka tygodni: zawarcie umów z nowo zatrudnionymi sztygarami, wyznaczenie im odpowiednich stanowisk pracy, które należało pogłębić i osuszyć, co mogło doprowadzić do odnalezienia bogatych złóż rudy. Wiązało się to z pracowitym rozkuwaniem skały, wysadzaniem jej czarnym prochem i wybieraniem gruzu szuflami.

Naturalnie Ben był znany z braku zainteresowania życiem towarzyskim. Ten szczególny obiad mógł być dla niego szczególnie trudny. Milczał, idąc obok Jeremy'ego w stronę Nampary, ale zatrzymał się, gdy dotarli do ruin Wheal Maiden.

– Poszedłeś za daleko.

– Jeszcze nie mam ochoty wracać do domu – odparł Jeremy. – Nie mogę się uspokoić. Nie codziennie widzi się rozruch maszyny parowej.

– Tak – odparł Ben. – I sam ją zaprojektowałeś. Możesz być z siebie dumny.

– Tak, zaprojektowałem. Ale doradzali mi praktycy.

– Praktycy?! Sam jesteś praktykiem!

– Zawodowi mechanicy, nazwijmy to w ten sposób. Lecz owszem, zbudowali maszynę według mojego projektu. Kiedy się pożegnamy, natychmiast tam wrócę, by zobaczyć, czy ciągle działa!

Ben zaśmiał się ponuro. W domu modlitewnym metodystów paliły się światła.

– Chodzisz tam czasem? – spytał Jeremy, wskazując głową kaplicę.

– Co, ja? Nie. Ale kiedy mijam to miejsce, a robię to teraz każdego dnia, zawsze się zastanawiam.

– Nad czym?

– Co widzi w tym wszystkim twój wuj.

– Ach, wuj Samuel… To jego życie. Nie jesteś metodystą, Ben?

– O nie. Chyba nie wierzę w to, co mówią.

Z tego miejsca ciągle widać było kilka świateł Wheal Leisure, ale w Wheal Grace, gdzie trwała właśnie zmiana szycht, płonęło ich więcej. Kiedy stali obok ruin Wheal Maiden, na szczycie wzgórza pojawili się dwaj mężczyźni wracający do domów do wioski Grambler. Widać ich było na tle świateł.

– Cóż, zobaczymy się rano – powiedział Jeremy i zaczął się odwracać.

– Jeremy… – odezwał się Ben.

– Tak?

– Czy to prawda, że Clowance ma się zaręczyć z tym mężczyzną?

Więc wszyscy już wiedzą.

– Stephenem? Tak, rzeczywiście. Tak uzgodniono. – Jeremy kopnął kamień. Wiedział, że mówiąc to, rani przyjaciela. – Zdaje się, że zostanie to ogłoszone oficjalnie w przyszłym tygodniu.

– Ach… rozumiem.

W domu modlitwy śpiewano hymn:

O Chryste, Twe jasne promienieMrok rozpraszają i cienie…

– Kiedy miałem kilka miesięcy, moją matkę napadł szaleniec – powiedział Ben. – Właśnie stąd mam bliznę na policzku. Mój ojciec umarł z powodu gangreny, gdy wsadzono go do więzienia za polowanie na bażanty w majątku Bodruganów. Miał dwadzieścia cztery lata. Mój dziadek zmarł na suchoty w wieku dwudziestu sześciu lat, nabawił się ich w kopalni. W każdym z tych zdarzeń łatwiej dostrzec mi część Bożego planu niż w małżeństwie Clowance Poldark ze Stephenem Carringtonem.

Jeremy nie miał pojęcia, co odpowiedzieć. Znał głębię uczuć Bena i porównywał je ze swoją miłością do Cuby.

– To dla ciebie trudne, Ben. Bardzo, bardzo mi przykro.

– Jeśli powiem coś więcej, pewnie pomyślisz, że to z zazdrości, ale chyba wiesz, że Stephen spotyka się z Lottie Kempthorne. Niezłe z niej ziółko, jej ojciec donosił celnikom na ludzi z wioski.

Wiesz o tym, prawda? Jest jeszcze Violet Kellow. Co sądzisz o Violet Kellow? Widziano go z nią, gdy wrócił w te strony w wigilię świętego Jana.

– Tak, wiem.

– Wiesz także, że teraz co tydzień ją odwiedza? W każdy piątek wieczorem, około siódmej.

– Jest chora, Ben.

– Tak. Ale jak bardzo chora?

Jeremy milczał, przypominając sobie wizytę, którą złożył Violet w zeszłym tygodniu. Wyglądała olśniewająco, chuda jak patyk, z wypiekami na twarzy, błyszczącymi niebieskimi oczami, dowcipna. „Jak bardzo chora?" – spytał Ben.

– Bóg jeden wie. Nie udowodniliśmy mu winy, więc trzeba przyjąć, że jest niewinny.

– Nie udowodniliśmy? Naprawdę nie udowodniliśmy? Przysięgam, że w listopadzie spotykał się z Lottie. I mieszkał u Nanfanów…

– Nanfanowie to uczciwi ludzie, a poza tym twoi krewni. Nie pozwoliliby mu tknąć Beth.

– Jasne, gdyby o tym wiedzieli. Ale nikt nie zna prawdy. Słyszałem plotki.

– Zawsze są plotki, Ben. Nie myśl, że nie wiem, co czujesz.

– Nikt nie wie, co czuję – odparł szorstko Ben. – Jestem prostym człowiekiem, może nie zasługuję na Clowance. To jasne. Ale ten mężczyzna… Czuję się tak, jakby ktoś kroił mnie żywcem. Cały czas. Stale.

III

Valentine Warleggan, wróciwszy do domu na ferie wielkanocne przed ostatnim semestrem w Eton, napisał do Jeremy'ego i Clowance, zapraszając ich, by spędzili z nim jeden dzień, czternastego kwietnia, tuż po Wielkanocy. List brzmiał następująco:

Co wieczór w gmachu Assembly Rooms występuje trupa teatralna Shamrock Players i poniedziałkowy program wydaje się ciekawy. Występ zaczyna się o szóstej, ale możemy zarezerwować miejsca, więc najpierw zjemy smaczny obiad, a później kolację, a po przedstawieniu przenocujemy w Truro. Niestety, będzie tam mój ojciec – zamierza urządzić niewielkie przyjęcie, ale, jak sądzę, towarzystwo będzie mieszane, złożone i z młodych, i ze starych. Moim zdaniem wcale nie musi być nudno. Błagam, nie piszcie, że nie możecie przyjechać, bo zbieracie kartofle, zwozicie zboże z pola albo robicie coś równie przyziemnego i wiejskiego!

Wcześniej Jeremy i Clowance spędzili w Cardew jeden dzień tuż przed Bożym Narodzeniem. George był nieobecny, lecz poznali jego matkę i córkę Ursulę oraz licznych zabawnych ludzi zaproszonych przez Valentine'a. Wizyta okazała się sukcesem. Ross i Demelza z natury rzeczy uważali, że przyjaźń między ich dziećmi a Valentine'em Warlegganem nie powinna być zbyt bliska, zwłaszcza między Valentine'em a Clowance, którzy byli w równym wieku. Jednak Poldarkowie nie mogli nikomu zdradzić prawdziwej przyczyny swojego niepokoju, toteż ich brak entuzjazmu dla przyjaźni córki z synem George'a mógł zostać źle zrozumiany jako wyraz zakorzenionej niechęci do starego wroga.

Kiedy Ross przebywał w Looe, Demelza wykorzystała jego nieobecność, by porozmawiać o zaproszeniu z Jeremym i Clowance.

– Cudownie. Widzieliście zapowiedź przedstawienia?

– Nie. Valentine ma talent do odkrywania takich rzeczy z wyprzedzeniem – odparł Jeremy.

– Na pewno będzie to dla was ciekawe. Byłam w teatrze wiele lat temu… Jest jeszcze jedna sprawa. Jak wiecie – choć z pewnością tego nie aprobujecie – istnieją animozje między sir George'em a waszym ojcem. Wiem, że ma to niewiele wspólnego z wami… ale myślę, że ojciec byłby szczęśliwszy, gdybyście u nich nie nocowali. Moim zdaniem łatwo będzie przenocować gdzie indziej.

– Czy sama kiedyś nie nocowałaś u Warlegganów? – spytała Clowance. – Wspominałaś mi o tym.

– Naprawdę? Tak, chyba tak, ale było to dawno temu, przed waszym urodzeniem. I przed kłótnią

ojca z sir George'em. Tak naprawdę to, co się wydarzyło tamtej nocy, znacznie zaostrzyło ten konflikt.

– Co się wtedy stało? – spytała Clowance.

Demelza się zawahała.

– Skoro naprawdę chcecie wiedzieć, chyba nie ma powodu, bym wam nie opowiedziała… Wasz ojciec i kuzyn sir George'a – mężczyzna o nazwisku Sanson – grali w karty. Trwało to pół nocy, hazardowali się. Postawiliśmy więcej, niż było nas stać, prawie wszystko. W końcu wasz ojciec przyłapał Sansona na oszustwie, chwycił go za surdut i wrzucił do rzeki.

Ku zaskoczeniu Demelzy syn i córka głośno się roześmieli.

– Świetnie się bawiliście! – powiedział Jeremy.

– Muszę wam powiedzieć, że w tamtym czasie wcale nie wydawało się to zabawne!

– Czy odzyskaliście pieniądze?

– O tak, natychmiast!

– Tak czy inaczej, nie ma to związku z Valentine'em, prawda? – powiedział Jeremy. – Naprawdę chcesz, żebyśmy odmówili?

– Nie, nie, nie! Jedźcie, jeśli chcecie. Ale myślę, że ojciec byłby bardziej zadowolony – podobnie jak ja – gdybyście nie nocowali w rezydencji Warlegganów w Truro. Napiszę do pani Polwhele. Zawsze mówiła, że możecie się u niej zatrzymać.

– A Stephen? – spytała Clowance.

Demelza się zawahała.

– Zdążylibyście napisać wcześniej do Valentine'a?

– O tak… Ale Stephen chyba nie ma odpowiedniego stroju na taką okazję. Już mu o tym wspomniałam.

– I co mówi?

– Że pojedzie, jeśli uważam, że powinien to zrobić. Nie miałby jednak nic przeciwko pozostaniu w domu, bo zaręczyliśmy się dopiero niedawno.

Demelza nie chciała udzielać córce rad.

– W takim razie musisz sama zdecydować, prawda?

– Tak – odpowiedziała Clowance. – Moim zdaniem tym razem powinnam pojechać z Jeremym. Unikniemy w ten sposób komplikacji.

Wieczorem Stephen przyszedł późno. Zastał Clowance w bibliotece.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam! – powiedział bez tchu. – Pomagałem Willowi Nanfanowi przy narodzinach jagniąt i ostatni poród okazał się trudny.

Pocałowała go.

– Nieważne.

– Dziwne – rzekł. – Dziwne, że po tylu latach znowu pomagam przy jagniętach. Dawno temu, gdy miałem dziesięć lat, pomagałem przy jagniętach farmerowi Elwynowi, przez całą noc przynosiłem wodę, sprzątałem… Potem spałem na stojąco w środku dnia…! Pomyślałem, że odwdzięczę się jakoś Willowi Nanfanowi za to, że jego żona opiekowała się mną przez te wszystkie miesiące.

– Nieważne – powtórzyła Clowance.

Stephen rozejrzał się z podziwem po bibliotece. Kiedy ostatni raz tu przebywał, wypytywany przez Rossa, nie był w nastroju, by patrzeć na umeblowanie i ozdoby. Wcześniej również nie miał okazji, ponieważ Poldarkowie najczęściej spędzali czas w starym salonie lub jadalni, dawnej sypialni Joshui na parterze. Chociaż starali się korzystać z biblioteki w codziennym życiu, pozostała ona reprezentacyjnym pomieszczeniem wykorzystywanym w szczególnych chwilach. Urządzono ją w początkowym okresie dobrobytu po odkryciu w Wheal Grace bogatych złóż cyny i różniła się od reszty dworu. Jasna sosnowa boazeria, wysoki sufit ozdobiony sztukaterią z greckimi motywami i żłobkowany gzyms nabrały szlachetności wraz z upływem czasu. Perskie dywany przywiezione z Londynu, stoły z drewna jabłoni, z nogami w kształcie lwich łap, stoliki, książki ustawione na półkach tworzących eleganckie łuki, wysoki zegar firmy Alexandra Cumminga, piękne wazony ze szlifowanego szkła, srebrne lichtarze świadczyły o bogactwie, wyrafinowaniu i dobrym guście. Jedynym brzydkim akcentem był zaciek w rogu,

nieunikniony skutek działania kornwalijskiego klimatu, a Ross stale powtarzał, że każe osuszyć ścianę.

– Ładny pokój – powiedział Stephen.

– Tak… I spokojny w porównaniu z resztą domu.

Spokojny… Czy dlatego, że jesteśmy sami? – zastanawiał się Stephen. Spotkania w tym miejscu musiały być frustrująco przyzwoite nawet według niezbyt surowych standardów Clowance. Było to tymczasowe rozwiązanie, które można stosować tylko przez pewien czas. Clowance poinformowała Stephena, że od tej chwili nie mogą odwiedzać Trenwith. Udawała, że sama podjęła taką decyzję.

– Nigdy nie mówisz o swoim życiu, Stephenie. Mam na myśli twoje dzieciństwo. Nie domyślasz się, że chciałabym wszystko o tobie wiedzieć?

Uśmiechnął się.

– Nawet złe rzeczy?

– Nawet złe.

– Na początku było mnóstwo złych rzeczy. Byłem małym obdartusem z dziurami na łokciach – czasem również na tyłku! – głodnym, zawsze głodnym. Matka była koścista, miała szare oczy, była silną, postawną kobietą, ale ojciec odszedł zaraz po moim urodzeniu i musiała radzić sobie sama. Wiesz, jak to jest, gdy kobieta jest bez grosza i musi radzić sobie sama, nosząc płaczącego bachora? Na początku szorowała podłogi w gospodzie Pod Herbem w pobliżu Evesham, to pierwsza rzecz, jaką pamiętam. Nie kochała mnie – byłem dla niej cholernym utrapieniem – ale muszę przyznać, że nie oddawała się mężczyznom za pieniądze, ani łatwo. Kiedy miałem cztery lata, dostała propozycję: mężczyzna o nazwisku Adam chciał, by występowała w trupie aktorskiej w Gloucester. Jak mówiłem, była ładna, postawna, silna. Była mu potrzebna – może na różne sposoby, nie wiem. Ale nie chciał dziecka. Co miała zrobić?

Zapadła chwila milczenia.

– Czterolatka nie można wrzucić do studni jak czterotygodniowe niemowlę. Może pragnęła to zrobić. Było za późno. Znała kobietę o przezwisku Czarna Mańka. Niezbyt miłe imię, co? Mańka też nie była miła. Nigdy nie zapomnę jej smrodu. – Stephen otarł dłonią usta. – Nigdy w to nie uwierzysz, ale pracowała w więzieniu. W areszcie dla dłużników w Tewkesbury. Wiesz, co to takiego?

– Mogę się domyślać.

– Nie, nie możesz. Nic o tym nie wiesz. To miejsce, gdzie trzymają dłużników, nim staną przed sądem i pójdą do więzienia. Mańka miała dwa własne bachory. Powiedziała, że mnie weźmie. Matka obiecała płacić. Nie wiem, czy to robiła. Nigdy się nie dowiedziałem…

– Co było dalej?

– Cóż… Mieszkałem u Mańki dwa lata. Zwykle musiałem kraść jedzenie. Później uciekłem. Nikogo to nie obchodziło. – Stephen popatrzył na niebo. – Spójrz, płatki śniegu, o tej porze roku… Chodźmy jeszcze raz popatrzeć na stróżówkę, zanim się ściemni. Zostało jeszcze pół godziny.

– Opowiedz mi resztę. Chcę wiedzieć.

Daleko, w salonie, próbowała śpiewać Isabella-Rose. Dźwięki wydawały się odległe, ponieważ tłumiły je ściany biblioteki. Nawet z tego miejsca brzmiały fałszywie.

– Siedmioletni chłopiec, którym nikt się nie opiekuje, zwykle trafia do domu poprawczego… Albo do więzienia za kradzież jabłka. Właśnie to mnie spotkało.

– Zamknęli cię w więzieniu?

– Zgadza się. O tak. Nie wiedziałaś, że zaręczyłaś się z człowiekiem, który siedział w więzieniu, prawda? Na początku tylko przez miesiąc, bo wcześniej nie byłem karany. Kiedy odsiedziałem karę, nadzorcy sprzedali mnie do kopalni węgla w Forest of Dean. Pracowałem tam prawie rok, a potem uciekłem. Później przez jakiś czas mieszkałem pod płotem…

– Pracowałeś w kopalni?

– Tak. Obchodziłem ósme urodziny w kopalni węgla Avoncroft. – Stephen umilkł i potarł podbródek, który zaszeleścił. – To zabawne. Jeszcze nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Jesteś pierwsza. Opowiadam ludziom, że nigdy nie byłem w kopalni. Powiedziałem to Jeremy'emu. W zeszłym roku zszedłem do Wheal Leisure, żeby zobaczyć, czy to coś podobnego. Tak, to bardzo podobne. Zacząłem

się trząść, przypomniały mi się dawne czasy. Zabawne, zawsze udaję. Często udaję przed samym sobą. Chroni mnie to przed koszmarami.

– Ale w wieku siedmiu lat…

– Tak. Tak. Muszę przyznać górnikom z Kornwalii, że zabierają dzieci do kopalni dopiero wtedy, gdy mają dziesięć albo jedenaście, pod warunkiem że same chcą pracować. Kazali mi ciągnąć wózek. W uprzęży, jak koń – albo jak pies. Chodnik, którym ciągnąłem wózek, często był tak niski, że większe dziecko by się nie przecisnęło. Wózek jechał po metalowych szynach od miejsca, gdzie rąbano węgiel, do sztolni. Podobnie jest w kopalniach w Kornwalii, ale w Forest of Dean wózki ciągną dzieci. Mają pas na brzuchu i łańcuch między nogami, który przez cały czas ociera nogi do żywego. Pewnego dnia, kiedy się lepiej poznamy, pokażę ci blizny, jakie mi po tym zostały.

– Jak długo pracowałeś w kopalni? Rok?

– Mniej więcej. Człowiek traci poczucie czasu. Ale pewnego dnia uciekłem do lasu. Długo biegłem, bałem się zatrzymać, bo jeśli kogoś złapią, nie tylko dostaje lanie, zakuwają mu też w kajdany ręce i nogi i już nigdy nie może uciec, bo nie zdejmują ich na noc. Ja miałem szczęście.

– Szczęście…

– Tak, szczęście. Było lato i mogłem przeżyć w lesie. Nie jest to trudne, gdy są owoce. Dawałem sobie radę aż do zimy, a potem się poddałem. Poszedłem na żebry do gospodarstwa w wiosce o nazwie Harfield niedaleko Dursley. W poprzednim miejscu poszczuli mnie psami. Tutaj drzwi otworzyła kobieta, zlitowała się nade mną, dała mi skórkę chleba. Czarne oczy, podobna do Żydówki – ale nie była Żydówką, tylko Walijką, nazywała się Elwyn. Kiedy do domu wrócił jej mąż, myślałem, że wyrzuci mnie kopniakiem sprzed paleniska, przy którym się grzałem, ale kobieta przekonała go, by pozwolił mi przenocować. Mieszkałem tam siedem lat. Byli dla mnie dobrzy. Na swój sposób. Pamiętaj, pracowałem od świtu do zmierzchu, siedem dni w tygodniu. Ale po kopalni to był raj na ziemi. Nauczyłem się pisać i czytać, prowadzić gospodarstwo. Byłem u nich parobkiem. Może powinienem zostać. Nie mieli dzieci. Może odziedziczyłbym farmę, gdybym został? Mimo to uciekłem. Któregoś dnia ruszyłem do Bristolu i zobaczyłem morze.

– Nie byłeś jakiś czas stangretem?

Uniósł oczy.

– Mówił ci ojciec? Tak, u sir Edwarda Hope'a, niedaleko Bristolu, ale nie mogłem tam wytrzymać. Ciągnęło mnie do morza.

– Potrafisz gdzieś osiąść na stałe?

Uśmiechnął się i spojrzał na Clowance.

– Czyż mógłbym cię zostawić?

– Łatwo tak mówić!

– Wiem. Kto może coś obiecać? Na pewno nie zmienię swojej natury. Chciałabyś, żebym się zmienił? Ja nie chciałbym, żebyś ty się zmieniła.

Usiadł obok Clowance i pocałował ją, musnął wargami jej policzki.

– Każdego dnia mnie zdumiewasz. Jesteś cudowna. Im lepiej cię znam, tym bardziej tak uważam. Będziesz wspaniałą żoną!

– Po prostu cię kocham – odpowiedziała. – To wszystko.

– Ja też cię kocham, na Boga…

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wpadła Isabella-Rose z prędkością rakiety Congreve'a. Stanęła jak wryta na widok Clowance i Stephena.

– Clowance! I Stephen! Do licha! Och… nie wiedziałam. Mama nie mówiła, że tu jesteście. Niech mnie diabli! Co za historia! Myślałam, że całujecie się tylko na zabawach!

Nosiła różową sukienkę z bawełnianego płótna i lśniące czerwone wstążki we włosach. Z trojga dzieci była najbardziej podobna do Demelzy, długonoga, z oczami i szybkimi ruchami matki. Ale ciemne oczy nie miały takiej miękkości, mówiła ochrypłym głosem. W tej chwili trudno było odgadnąć, czy wyrośnie na piękność, czy brzydulę.

– Do licha! – powtórzyła. – Przeszkadzam, tak?

– Bello, nie klnij – powiedziała Clowance.

– Wczoraj był u nas stary pan Treneglos i bez przerwy mówił „do licha” albo „niech mnie kule biją”. Skoro on może, dlaczego ja nie mogę?

– Bo nie jesteś dorosła. Bo damy tak nie mówią.

– Damy? Kto chce być damą? – odparła Isabella-Rose. – Założę się, że Stephen przeklina, prawda? Przeklinasz?

– Często – powiedział Stephen.

– Słyszeliście, jak śpiewałam? Sama wymyśliłam tę piosenkę, jest o ślimaku. Kiedyś ci ją zaśpiewam, Stephenie!

– Dziękuję, kochana.

– Co za historia, całować się w bibliotece! – zawołała Isabella-Rose. Ruszyła w stronę drzwi. – Czy ja też będę się tak całować, jak dorosnę?

– Tak – odparł Stephen. – Jeśli nie wcześniej.

– Niech mnie kule biją! – zaklęła i wyszła.

Stephen i Clowance popatrzyli na siebie, zirytowani, że ich nakryto, po czym wybuchnęli śmiechem.

– Nigdy nie widziałeś matki od czasu, gdy miałeś cztery lata? – spytała po chwili Clowance.

– Słyszałem o niej kilka razy, jak pracowałem na farmie. Wstąpiła do trupy aktorskiej. Dwa razy przyjechali do Dursley. Ale pani Elwyn uważała, że przedstawienia teatralne to grzech.

– Nawet żeby zobaczyć własną matkę?

– Nic jej nie powiedziałem.

– Dlaczego?

– Myśleli, że jestem sierotą. Lepiej było ich nie wtajemniczać.

Clowance spojrzała na twarz Stephena, tak blisko jej własnej. Popatrzyła na jego włosy, oczy, usta.

– Na co się gapisz? – spytał.

– Pracowałeś pod ziemią, mając osiem lat. Nie mogę w to uwierzyć…

– To normalne. Nie wszyscy mają takie szczęście jak ja.

– Nie wyrosłeś na karła. Jesteś barczysty, silny.

– To od pracy na farmie.

– Czuję przerażenie, gdy wyobrażam sobie, jak wyglądałeś w kopalni.

– Ja też czuję przerażenie, nawet teraz. Więc o tym nie myślę.

– Nie powinnam pytać.

– Może powinnaś. Może lepiej nie udawać.

Ujęła go za ramię. Zmarszczył brwi. Po raz pierwszy zrozumiała, że można go zranić, i stał się jej przez to jeszcze droższy.

– Wcześniej trafiłeś do więzienia za kradzież jabłka… – powiedziała.

– Szczerze mówiąc, czterech jabłek. Oczywiście kradłem już wcześniej; przez cały czas, gdy pracowałem dla Czarnej Mańki.

– A później?

– Korsarstwo to rodzaj kradzieży, prawda? Niektórzy nazywają to legalną formą piractwa.

– Nie uważam cię za złodzieja.

– Kradłbym, żeby cię zdobyć!

– Nie musisz.

– Nie… nie… Chwała Panu w niebiosach! Chwała, chwała, chwała!

– Amen!

Położył dłonie na jej rękach.

– A niedziela? Co się wtedy stanie?

– Och, nic wielkiego, nic ważnego. Zjemy rodzinną kolację, przyjadą doktor Enys i jego żona, to nasi najstarsi przyjaciele. Już ci mówiłam: żadnych ceremonii, toastów, po prostu kolacja w gronie

przyjaciół, to wszystko.

– Chodźmy do stróżówki, dopóki jest jasno – powiedział Stephen.

IV

Szesnastego marca przystąpiono do oblężenia Badajoz. Wielka forteca już dwukrotnie przechodziła z rąk do rąk, lecz tym razem Brytyjczycy postanowili opanować ją na stałe. Oceniano, że oblężenie może potrwać miesiąc. Ostateczny szturm – jedna z najkrwawszych bitew w czasie wojny – rozpoczął się w Niedzielę Wielkanocną. Zaledwie godzinę po zakończeniu kolacji w Namparze, gdzie Poldarkowie z radością świętowali – a przynajmniej obwieścili – zaręczyny swojej starszej córki ze Stephenem Carringtonem, wokół dalekiej hiszpańskiej twierdzy rozpętało się prawdziwe piekło. Brytyjczycy, pozbawieni z winy rządu odpowiedniego wyposażenia oblężniczego, próbowali zdobyć mury za pomocą drabin. Geoffrey Charles Poldark, kapitan w czterdziestym trzecim regimencie piechoty z Monmouthshire, znajdował się wśród pierwszych oddziałów szturmowych, które przywitano minami, baryłkami z prochem, granatami i morderczym ogniem krzyżowym dziesiątkującym nacierające wojska. Tej nocy zginęło pięć tysięcy żołnierzy. Ale w salonie dworu Nampara trzaskał wesoło ogień, syci mężczyźni popijali porto i siedzieli z wyciągniętymi nogami, damy gawędziły i plotkowały. Isabella-Rose, której w uroczystym dniu pozwolono siedzieć do późna, zachowywała się grzecznie, choć zerkała z zazdrością na szpinet. Z pozoru nie można by sobie wyobrazić spokojniejszej, bardziej domowej sceny. Nie istniała żadna więź psychiczna ani duchowa, która mogłaby ostrzec Poldarków, że ich rodzona córka jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Dzwon mógł bić na trwogę, lecz nikt go nie słyszał.

Jest przystojny i jakoś się dostosuje, pomyślała Demelza. Już w tej chwili, gdy wyraziliśmy zgodę, zachowuje się swobodniej, jest mniej napięty. Są zakochani, Clowance jest pewna swoich uczuć, ja sama byłam od niej dwa lata młodsza, kiedy nabrałam pewności co do swoich. Wkrótce musimy mu znaleźć coś lepszego niż praca w młynie Jonasa, ale Ross chyba ma rację, niech zacznie od tego. Tak czy inaczej, nie będzie mu łatwo się przystosować, bo nie ma wykształcenia. Boże, czuję się dziwnie.

Dwight i Ross dyskutowali o zmianach zachodzących w medycynie. W ostatnich latach zyskali na znaczeniu aptekarze i powstał dwustopniowy system leczenia. Ubodzy i większość klasy średniej najpierw korzystali z usług aptekarzy. Lekarze i chirurdzy poświęcali większość czasu bogaczom, a do pospólstwa wzywano ich na konsultację, kiedy przypadek był dostatecznie poważny lub interesujący. Dwight („Naturalnie!" – wtrąciła Caroline) nie chciał się dostosować do tego systemu. Jeździł do wszystkich pacjentów w okolicznych wioskach, nie zwracając uwagi na to, czy może liczyć na zapłatę. Dzięki temu wyrobił sobie markę (co go nie obchodziło), a pacjenci darzyli go zaufaniem (co z kolei miało dla niego wielkie znaczenie).

– Słyszałam, że pan Pope wraca do zdrowia – powiedziała Demelza, po czym ironicznie uniosła brwi. – Przepraszam, wiem, że nie wolno pytać o pacjentów.

Rozległy się śmiechy.

– Kiedy pojechałem tam w poniedziałek, wiecie, kogo zastałem? – odparł Dwight. – Unwina Trevaunance'a.

– Unwina? – zdziwiła się Caroline. – Nie wiedziałam, że jest w Kornwalii!

– Wydaje się, że mieszka u de Dunstanville'ów. Oczywiście na początku był posłem z okręgu Basseta.

– Nie wspomniałeś, że Unwin jest w hrabstwie – powiedziała Caroline. – Jakie to podstępne z twojej strony! Przyjechał z żoną? Nigdy jej nie widziałam.

– Nie sądzę. Zdaje się, że załatwia jakieś interesy.

– Unwin zawsze załatwiał interesy! – zawołała Caroline. – Nawet kiedy się do mnie zalecał!

Znów rozległy się śmiechy.

– Mógłbym wydawać gazetę z plotkami, które słyszę – powiedział Dwight. – Podobno kiedy Unwin sprzedał majątek Pope'om, zachował prawa górnicze.

– To normalna praktyka – wtrącił Ross.

– Mówi się, że ktoś chce zacząć roboty poszukiwawcze w pobliżu Place House. Stoi za tym

Chenhalls z Bodmin, a Unwin finansuje przedsięwzięcie. Pope się sprzeciwia, bo to bardzo blisko dworu. Mówi, że roboty zrujnują posiadłość.

– Dawna odlewnia zepsuła widok na zatokę – powiedziała Demelza.

– Tak, ale w tej chwili to malownicze ruiny, a roślinność się odrodziła.

– Pamiętam, jak raz pojechałam z wizytą do sir Johna Trevaunance'a – odezwała się Demelza. – Byłeś wtedy w Bodmin. Odlewnię niedawno otwarto, zajmowała jedną ze stron zatoki. Piece płomieniowe, wielkie słupy dymu, żar, ludzie chorzy od wyziewów, muły transportujące rudę do nabrzeża.

– Odlewano tam cynę czy miedź? – spytał Stephen.

– Miedź.

– Dlaczego zrezygnowano?

– Chcieliśmy odlewać miedź w Kornwalii zamiast wysyłać ją do monopolistów w południowej Walii. Uważałem, podobnie jak sir John, że potrafimy zrobić to lepiej. Pomyliłem się.

– George Warleggan też się pomylił – wtrącił Dwight. – Przejął odlewnię, gdy się wycofaliście. To chyba jedyny przypadek, gdy stracił na jakimś interesie.

– Do niedawna – odparł Ross.

– Rzeczywiście – powiedział Dwight, a wszyscy unieśli brwi, słysząc dziwny ton jego głosu. – Ta nowa kopalnia w Trevaunance – ciągnął – ludzie mówią, że będzie tuż przed frontowymi drzwiami Place House.

– Czy pan Pope nie może ich jakoś powstrzymać? – spytał ojca Jeremy.

– Mógłby utrudnić im działanie: odciąć wodę, kwestionować prawo przejazdu. Ale nie przypuszczam, by jakikolwiek sąd w Kornwalii poparł ziemianina próbującego utrudniać roboty górnicze. Na miejscu Unwina zaproponowałbym panu Pope'owi niewielki udział w kopalni – dodał Ross. – Takie przypadki już się zdarzały. To zdumiewające, jak perspektywa zysków potrafi stępić wrażliwość estetyczną.

Kolejne śmiechy. To mili ludzie, dobrzy ludzie, prowadzą wygodne życie, pomyślał Stephen. Żaden z nich się dziś nie upił, z wyjątkiem Jeremy'ego. Tylko czy tak należy żyć, gdy ma się pieniądze? Tak zachowują się ludzie w średnim wieku. Większość z nich jest w średnim wieku. Ale nie zawsze wszystko dobrze się im układało. Zeszłego wieczoru u Sally ktoś opowiadał, jak Dwighta Enysa aresztowano pod zarzutem udziału w przemycie. A rodzice Clowance? Kościsty ojciec o szczupłej twarzy, matka o dziwnych oczach. Nie zawsze prowadzili spokojne życie. Podobno Rossa Poldarka omal nie powieszono pod zarzutem buntu czy czegoś w tym rodzaju. Ludzie szepcą, że Demelza Poldark to córka górnika. Prywatnie Stephen w to wątpił. Nie widywał w okolicy podobnych kobiet w rodzinach górników. Szkoda.

Cóż, ich życie powoli się kończy. Clowance wspomniała, że w czasie następnych wyborów ojciec zamierza zrezygnować z mandatu w Izbie Gmin. Prowincjonalny ziemianin jeżdżący na polowania… Ross nawet nie poluje. Prowincjonalny ziemianin z siną twarzą, cierpiący na podagrę. Teść. Za rok lub dwa umrze.

Dzisiejszego wieczoru Stephen czuł tylko dotknięcie czterech chłodnych palców. Wyższe sfery… Niech to diabli porwą! Z wściekłą namiętnością jelenia na rykowisku pragnął siedzącej obok dziewczyny. Zaręczyny niczego nie zmieniły. Wręcz pogorszyły sytuację. Wrzesień? Boże Wszechmogący, co ma robić do września – nadskakiwać Clowance, jeść cukierki jak eunuch?

W dalszym ciągu rozmawiano o medycynie.

– A Violet Kellow? – usłyszał własny głos.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Violet? – odpowiedział Dwight. – Stephen, obawiam się…

– Doktor Enys rzadko rozmawia o swoich pacjentach, Stephen, nawet ze mną – wtrąciła Caroline. – To jedno z jego dziwactw, niewątpliwie zasada zalecana przez Hipokratesa, Paracelsusa lub jednego z dawnych mędrców. Jego poprzednik, doktor Choake, który mieszkał w domu zajmowanym w tej chwili przez Kellowów, zachowywał się zupełnie inaczej. W czasie każdej z jego wizyt można było

poznać dolegliwości nerek, kłopoty z podagrą i problemy trawienne sąsiadów.

Następne śmiechy.

– Mówiąc poważnie, jeśli mam wygłosić prywatną opinię, która nie jest oparta na wiedzy medycznej mojego męża, uważam, że Violet długo nie pożyje – powiedziała Caroline.

– Ja również tak sądzę – dodał Stephen.

Rozmowa trwała, ale Stephen poczuł, że cztery palce, które trzymał, się cofnęły.

Rozdział piąty

I

W poniedziałek czternastego Jeremy i Clowance pojechali do Truro, gdzie spotkali Valentine'a i jego przyjaciół, po czym wszyscy razem poszli do teatru.

Przyjaciół było nieco więcej, niż się spodziewali. Jak przewidywał Valentine, grupa składała się z osób w różnym wieku. Starszą część tworzyli lady Harriet Carter, jej przyjaciółka Maria Agar, sir Unwin Trevaunance i major John Trevanion, a młodszą Valentine, Jeremy, Clowance oraz dwie córki Trevanionów – Clemency i Cuby. Nie był to najzręczniejszy dobór gości, lecz ani sir George, ani Valentine nie wiedzieli, że Jeremy i John Trevanion śmiertelnie się obrazili podczas ostatniego spotkania.

Zjedli obiad w rezydencji Warlegganów w Truro – nazywanej, nieco przesadnie, wielkim domem – i na kilka minut przed siódmą poszli pieszo do teatru.

Jeremy ostatni raz widział ukochaną przeszło dziesięć miesięcy wcześniej. Tego wieczoru Cuby miała na sobie zieloną aksamitną suknię z muślinowymi rękawami, ozdobioną koronką pod szyją i na nadgarstkach. Nie była naprawdę ładna – powtarzał to sobie wielokrotnie, by złagodzić ból – i jej dzisiejszy wygląd natychmiast potwierdził tę ocenę. Nie dorównywała urodą nawet Daisy Kellow. Miała proste włosy, oliwkową cerę, zbyt okrągłą twarz. Niczego to nie zmieniało: zawróciła mu w głowie. Każdy jej ruch i wyraz twarzy miał dla niego coś magicznego, mocno biło mu serce, jąkał się, wypowiadając najprostsze zdania.

Nie siedział obok niej w czasie obiadu ani w teatrze. Przeklinał własnego pecha, że znów ją spotkał, lecz jednocześnie czuł się jak nowo narodzony. Jeśli chodzi o brata Cuby – jak dotąd z powodzeniem się unikali, nawet w trakcie niewielkiego przyjęcia.

Shamrock Players, którzy mogli mieć jakieś związki z Irlandią ze względu na nazwę oznaczającą czterolistną koniczynę, odgrywali sztukę zatytułowaną *Tragedia hazardzisty albo fałszywy przyjaciel*. Mieli również wystawić *Modystki* i farsę pod tytułem *Wiejski adwokat*. Jedną z dwóch lóż zarezerwował sir George.

Teatr, w tej chwili wypełniony publicznością, działał od blisko ćwierćwiecza. Utrzymywano, że jako jedyny w Anglii został specjalnie wybudowany w taki sposób, by można w nim było również wydawać bale i przyjęcia. Miał trzy niewielkie galerie, gdzie zbierał się hałaśliwy motłoch, który jadł pomarańcze, rozrzucał skórki i niekiedy przerywał aktorom. Przed przedstawieniem usuwano większość drewnianej podłogi wykorzystywanej w czasie balów – publiczność siedziała na ławach ustawionych na gołej ziemi. Dzięki temu znajdowała się przeszło sześćdziesiąt centymetrów niżej od aktorów. Scena składała się z części drewnianej podłogi, której nie usunięto, a po prawej i lewej stronie były dwie loże. Zajmowali je bogaci ziemianie, którzy płacili trzy szylingi za wynajęcie jednej; siedzieli na ratanowych fotelach i mogli z bliska obserwować występ.

Widownia miała zaledwie osiemnaście metrów długości i dziewięć metrów szerokości, toteż w teatrze panowała przytulna atmosfera. Kiedy na scenie występował ktoś równie sławny jak Sarah Siddons, usuwano ławki i ludzie stali stłoczeni ramię przy ramieniu, by oglądać sztukę.

Chociaż dziesięć foteli znajdujących się w loży stało tuż obok siebie, Jeremy nie miał bezpośredniego kontaktu z Cuby, gdyż oddzielali go od niej Clowance i Valentine. Wcześniej, w domu Warlegganów, Cuby zarumieniła się na widok Jeremy'ego; ukłonili się sobie sztywno i przed obiadem kilka razy rozmawiali w tej samej grupce gości. Jednak nie zostali sam na sam. Prawie na siebie nie patrzyli. Cuby spoglądała wszędzie, tylko nie na Jeremy'ego. Zwilżała wargi i niedbale włączała się do konwersacji, od czasu do czasu się uśmiechając. W takich chwilach ledwo dostrzegalne dołeczki po obu stronach nadąsanych warg zmieniały się w czarujące półksiężyce, a twarz wypełniała się światłem. Jeremy spoglądał na to z rozdartym sercem.

Kiedy odegrano pierwszą ze sztuk, nastąpiła przerwa, po której miała być wystawiana farsa. Większość publiczności przeszła do westybulu, by odetchnąć świeżym powietrzem albo kupić

lemoniadę, sorbet lub nowy napój zwany piwem imbirowym, na który niedawno zapanowała moda. Niestety, westybul był niewielki i powstał tłok utrudniający zmianę miejsc. Starsi goście pozostali w loży, dokąd miano im przynieść napoje.

Jeremy i Cuby stali obok siebie, prawie przyciśnięci, a tymczasem Valentine kupował lemoniadę dla Clowance i Clemency.

– Mam nadzieję, że podoba ci się sztuka – powiedział Jeremy.

Popatrzyła na niego, jakby był niezgrabnym nieznajomym, który nadepnął na jej suknię.

– Nie za bardzo.

– Dlaczego?

– Nie lubię, gdy ktoś się na mnie gapi.

– Kto?

– W ogóle nie patrzysz na sztukę! Pewnie nawet nie wiesz, o czym jest!

– Mam ogólne pojęcie. Czy nie jest o…

– O czym?

– Czy nie opowiada o młodej damie, która czuła sympatię do znajomego młodego człowieka, a później zmieniła zdanie na prośbę brata?

– Ta sztuka dopiero zostanie napisana. Powinieneś obserwować przedstawienie.

– Chyba wolałbym farsę. Wierniej oddawałaby życie.

Cuby spojrzała na szklankę lemoniady podaną przez Jeremy'ego.

– Dziękuję, możesz to wypić. Ja nie mam ochoty.

– Na lemoniadę? Czyżby kolejna zmiana uczuć? Twój brat jest daleko i niczego nie usłyszy.

Odwróciła się, by się oddalić, lecz ludzie przez nieuwagę popchnęli ją w stronę Jeremy'ego.

– Nie przypuszczałam, że możesz być tak absurdalnie niegrzeczny.

– Absurdalnie? Uważasz, że nie mam powodu, przyczyny?

Zamierzała odpowiedzieć, gdy nagle obok rozległ się czyjś krzyk:

– Zostaw otwarte drzwi, Enry, dobra?! Jeszcze nie jest ciemno!

– Nie mogę! – dobiegła wrzaskliwa odpowiedź. – Zaklinowały się, jakby ktoś im zapłacił!

– Powiedz mi, dlaczego nie miałbym być rozgoryczony – odezwał się Jeremy.

– Bo widzisz tylko jedną stronę medalu.

– Nigdy nie pomogłaś mi zobaczyć drugiej!

– Miałam nadzieję, że nie jest dla ciebie ważna. Myślałam, że szybko o wszystkim zapomnisz.

– Tak się nie stało.

– Tak. Teraz to rozumiem.

– To wszystko, co rozumiesz?

– Nie możesz oczekiwać, że będę o tym rozmawiała w środku tego tłumu!

– Dlaczego? Nikt nie słucha.

Odetchnęła głęboko. Znów podał jej szklankę.

– Powiedz mi, jaka jest druga strona medalu – poprosił. – Chciałbym zrozumieć. Oświeć mnie.

Wzięła szklankę, wypiła łyk, lecz z taką miną, jakby próbowała trucizny.

– Oskarżasz mnie – obraźliwie – że zmieniłam uczucia na rozkaz brata. Nie możesz być pewny, jakie były te uczucia. Kto powiedział, że się zmieniły?

– Więc w co mam wierzyć?

– Wierz w to, co ci ostatnio powiedziałam w Caerhays. Myśl o mnie tak dobrze, jak potrafisz. To wszystko.

– Myślę, że jesteś piękna.

Oboje zdawali sobie sprawę, że rana w sercu znów się otworzyła.

– Nie! – odpowiedziała cicho, lecz z wielkim gniewem. – Nie, nie o to chodzi! W ten sposób niczego nie zrozumiesz! Nie jestem słaba, tylko silna! Nie jestem kapryśna ani frywolna, tylko twarda. Ja… – Uniosła głowę. – Zamierzam bogato wyjść za mąż.

– Tak mi mówiono.

Znieruchomiała.

– Wiesz o tym?

– Tak mi powiedziano.

– To prawda. Kto to mówił?

– Skoro to prawda, źródło nie ma znaczenia.

– Kto to powiedział?

– Ta sama osoba mówiła, że twoja rodzina stoi na skraju bankructwa z powodu głupiego zamku zbudowanego przez majora Trevaniona i że liczą na ciebie, by uratować majątek.

Odwróciła się w stronę Jeremy'ego.

– Jeśli nawet to prawda, kto ponosi za to odpowiedzialność? Nie tylko mój brat, którego wszyscy obwiniają! Od szesnastego roku życia, gdy projektowano zamek, ja też chciałam, żeby powstał! Kiedy zobaczyłam plany i rysunki, byłam oczarowana! Tak samo jak Charlotte i moja matka. Tak samo jak Augustus i Clemency. Wszyscy ponosimy odpowiedzialność! Nie spodziewaliśmy się tak ogromnego wzrostu kosztów. Mówiłam ci o osunięciu się ziemi. Było wiele innych wypadków. Wspólnie ponosimy winę.

– Ale to ty musisz się poświęcić dla pieniędzy.

– Och, kto mówi o poświęceniu? – Wzruszyła ramionami, nagle zimna. – Mogę znaleźć przystojnego bogacza, który będzie dla mnie ważniejszy od pieniędzy.

– Kiedyś to ja byłem dla ciebie ważny, prawda?

– Och, ty! – Zaśmiała się pogardliwie. – Jesteś po prostu Jeremym i do tego czasu zostaniesz już całkowicie zapomniany!

– Przywiązujesz dużą wagę do zapominania. Myślisz, że ja mogę zapomnieć? Kocham cię. Kocham cię, kocham, Cuby. Nic to dla ciebie nie znaczy?

– Przestań, mówię ci! Cicho! Milcz!

Ludzie przepychali się do tyłu audytorium. Zauważyła wyraz jego twarzy.

– Przykro mi, Jeremy.

– Ze względu na mnie czy na nas oboje?

– Przykro mi, że pozwoliłam sobie za bardzo cię lubić.

Mimo goryczy, zazdrości i rozpaczy jej słowa zasiały ziarno pociechy.

– Więc ciągle jestem dla ciebie ważny. – Nie było to już pytanie.

– Co z tego wynika? Nic. Wracajmy już. Chcę oglądać sztukę.

– Cuby…

– Już dość, proszę.

– Cuby, coś dla ciebie znaczę. Możesz temu zaprzeczyć?

– Nie jestem przesłuchiwana w sądzie!

– Możemy się spotkać później? Na przykład po kolacji.

– Nie! Gdybym wiedziała, że tu będziesz, w ogóle bym nie przyszła!

– Moglibyśmy porozmawiać. Tylko przez dziesięć minut.

– Nie!

– Ach! – powiedział Valentine, który przepchnął się przez tłum i uśmiechnął swoim olśniewającym uśmiechem. – Wracacie do loży? Clemency i Clowance już tam poszły, bo nie chcą stracić ani słowa. Rozchmurz się, Cuby, teraz pora na farsę. Chyba za bardzo wzięłaś sobie do serca tragedię.

II

Przed dziewiątą nastąpił kolejny antrakt, lecz Cuby nie ruszyła się z miejsca. Gdy przedstawienia dobiegły końca, wyszli na plac, gdzie czekały powozy i lektyki. Była ciepła, wietrzna kwietniowa noc, wszędzie płonęły latarnie. Dom Warlegganów znajdował się zaledwie o kilka minut drogi, więc pięcioro młodych ludzi odprawiło powóz i ruszyło piechotą, ostrożnie omijając kałuże, końskie łajno i stosy odpadków. Rozmawiając i śmiejąc się, przeszli od High Cross do kościoła Matki Boskiej, następnie

ruszyli wąską Church Lane, dotarli do Boscawen Street, a stamtąd do Prince's Street, gdzie po prawej stronie wchodziło się po schodach do miejskiej rezydencji Warlegganów.

Zjedli kolację, siedząc przy stole daleko od siebie. Tym razem major Trevanion zajmował miejsce na wprost Jeremy'ego. Spoglądali na siebie z kamiennymi twarzami i unikali rozmowy. Na szczęście stół był szeroki.

Trevanionowie spędzali noc u Warlegganów, lecz zgodnie z życzeniem Demelzy jej dzieci po kolacji musiały przejechać konno pięć kilometrów pod górę do Polwhele. Jeremy znów przeklinał swojego pecha, ponieważ Trevanionowie zamierzali wyruszyć do domu wczesnym rankiem, więc nazajutrz nie miał szans na spotkanie z Cuby. Ona zaś wyraźnie unikała z nim kontaktu tego wieczoru. Straszliwa rana znów została rozdrapana i czuł, że trzeba jakoś wszystko rozstrzygnąć. Spokój ducha, nadzieja albo śmierć.

Później, przypadkiem, gdy zaczynał wpadać w rozpacz, spotkał Cuby w sieni. Schodziła po schodach i oczywiście chciała go minąć, lecz zastąpił jej drogę. Za plecami Jeremy'ego znajdowały się półotwarte drzwi do salonu.

– Pozwól mi przejść – szepnęła z napięciem, ale się nie poruszył.

– Prosiłem o dziesięć minut rozmowy.

– Nie!

– A zatem pięć. Powiedz mi, trochę lepiej wytłumacz, co myślisz o tej sprawie. Jesteś mi to winna, prawda? Powiedziałaś, że zamierzasz się sprzedać, by zachować dom – nie starodawną, ukochaną siedzibę rodu, w której żyło dziesięć lub dwanaście pokoleń Trevanionów, tylko zamek, nowy zamek, piękny, ale nieco groteskowy, na który twoja rodzina szaleńczo wydała wszystkie pieniądze.

– Tak, skoro chcesz to opisać w taki nieprzyjemny sposób! To równie dobry powód do małżeństwa jak każdy inny. Z pewnością nie byłabym spokojna, gdybym wyszła za mąż jedynie z miłości, a później wyjechała do innej części kraju i przyglądała się z oddali, jak dwór, park i reszta majątku zostają sprzedane, a Trevanionowie opuszczają hrabstwo, gdzie żyli od wielu stuleci! Właśnie to by się stało, a ja bym się do tego przyczyniła!

– A Augustus i Clemency? Czy oni również mają takie szlachetne ideały?

– Dlaczego jesteś taki niemiły? Clemency tak, owszem. Augustus… nie wiem.

– Myślisz, że gdyby znalazł młodą damę z wielką fortuną, oddałby większość pieniędzy, by poprawić sytuację starszego brata? Bardzo wątpię!

Nie odpowiedziała.

– Oczywiście ciągle nazywa się Bettesworth… – zauważył.

– Dobranoc, Jeremy – odparła. – Żegnaj. Jest wiele miłych dziewcząt, które będą dla ciebie równie dobrymi żonami, jak mogłabym być ja. Namawiam cię do znalezienia takiej dziewczyny.

– Problem polega na tym, że znalazłem już taką, którą chcę – odrzekł. – Kocham ją niezależnie od tego, czy jest miła, czy niemiła.

Rumieniec sprawił, że skóra Cuby barwy kości słoniowej o perłowym odcieniu stała się nieco ciemniejsza.

– Kiedy się dowiedziałem… kiedy mi uświadomiono, że zależy ci na pieniądzach, a nie starożytnej genealogii, czułem się nieco bardziej wytrącony z równowagi niż wcześniej – ciągnął. – Jeśli dziewczyna, choćby wybredna i arogancka, pragnie mieć męża o wyższym statusie, jest to jednak w jakiś sposób zrozumiałe. Ta chęć sprzedaży samej siebie za pieniądze…

– Jeśli nie pozwolisz mi przejść, zawołam brata!

– Zawołaj! No już, wołaj!

Milczała.

– Dlatego – rzekł Jeremy, nie poruszając się – postanowiłem usunąć cię ze swojego życia, zapomnieć o tobie, do czego zawsze zdajesz się mnie namawiać. Chciałem uznać ten przykry epizod za lekcję tego, jak trudno oceniać ludzką naturę… płytkość, bezwartościowość, rozczarowanie… Ale na swoje nieszczęście znów cię dzisiaj spotkałem.

Z sąsiednich sal dobiegł ryk śmiechu. Był to Unwin Trevaunance, który zawsze się tak śmiał.

– Teraz, gdy cię spotkałem, zrozumiałem, że popełniłem błąd, myśląc, że potrafię o tobie zapomnieć. Ciągle jestem związany, niezależnie od warunków… Więc teraz… teraz… zastanawiam się, ile pieniędzy chcesz, Cuby? Skoro jesteś na sprzedaż, jaka jest cena?

– Czy są słowa, którymi mógłbyś mnie bardziej obrazić? – spytała cicho.

– Nie traktuj tego w ten sposób. Staję do gry. Chcę cię kupić. Obrabowałbym bank, żeby cię kupić! Powiedz mi, jaka jest twoja cena?

Rozpłakała się. Nie wydawała absolutnie żadnych dźwięków. Z jej oczu płynęły łzy i toczyły się po policzkach. Przez chwilę nie próbowała ich nawet otrzeć.

– Dziesięć tysięcy? – spytał.

– Och, Jeremy, idź do diabła i zostaw mnie! – odpowiedziała.

III

Wyszli wszyscy, którzy mieli wyjść. Ciemnowłosa, pełna werwy siostra księcia Leeds odjechała wraz z Marią Agar, u której spędzała noc. George zgodził się na przesunięcie o miesiąc terminu swojego pierwszego ślubu, co miało katastrofalne skutki dla jego szczęścia, i z niepokojem przyjmował nalegania przyszłej żony, by w dalszym ciągu utrzymywać ich plany w tajemnicy. W istocie rzeczy, jak zauważył tego popołudnia w rozmowie z Harriet, nie jest to już żaden sekret. Wczoraj po raz pierwszy ogłoszono zapowiedzi w kościele w Breage, w którego parafii mieszkała w tej chwili lady Carter, więc każdy obecny na nabożeństwie musi o tym wiedzieć. Niewątpliwie wie o tym jej ciotka, panna Darcy. Podobnie Maria Agar i Caroline Penvenen. A służba w Cardew potrzebuje co najmniej trzech tygodni, by przygotować dwór na przyjęcie nowej pani.

Pogładziła go po twarzy i spytała:

– Chcesz urządzić wielkie wesele z trzema chórami, pięciuset gośćmi i ogromnym namiotem?

– Wiesz, że nie! To ostatnia rzecz, na jakiej mi zależy. Ale to nie…

– Mnie także. Dzięki temu aż do ostatniego tygodnia nikt nie będzie o tym mówił. Cicha, prosta uroczystość, im mniej krewnych i przyjaciół, tym lepiej. To bardziej dystyngowane, prawda?

– Tak, zgadzam się, ale…

– Więc proszę, nie zachowuj się jak nadąsany chłopiec.

George'a już tak dawno nie nazywano w ten sposób, że nie wiedział, czy uznać to za komplement, czy afront. Harriet postawiła na swoim.

Jedną z zalet zachowania sprawy w tajemnicy było to, że Valentine dowiedział się o planach ojca dopiero po powrocie z Eton. W zeszłym roku ojciec zrobił mu awanturę za rozrzutne wydawanie pieniędzy i półroczne zawieszenie za niemoralne zachowanie, więc w tym roku Valentine postępował ostrożniej i animozje między nim a George'em się zmniejszyły. Ale w dalszym ciągu nie darzyli się sympatią. Wielu chłopców przechodzi okres cynizmu, zblazowania i utraty złudzeń, co zwykle oznacza, że nie są dostatecznie pewni siebie i mają trudności z dorastaniem. Cynizm Valentine'a był głębiej zakorzeniony i trwalszy, a ostre, sarkastyczne uwagi syna w połączeniu z jego chudością często wywoływały irytację i niepokój George'a. W trakcie sprzeczek czasem powracały dawne podejrzenia i George miał trudność z dotrzymaniem przysięgi złożonej nad ciałem martwej żony, że nigdy nie ulegnie wątpliwościom, które zniszczyły ostatnie lata ich małżeństwa.

Elizabeth, rodząc przedwcześnie córkę, dowiodła, że jej gniewne zaprzeczenia na temat okoliczności przyjścia na świat syna są zgodne z prawdą. W chwili jej śmierci George całkowicie przyznał jej rację. W późniejszym okresie szczerze wierzył, że Valentine to jego syn. Nie wątpił w to nawet teraz, choć wolałby, by chłopiec miał więcej wyraźnych cech Warlegganów, tak jak jego siostra Ursula.

Można by powiedzieć, że pod względem wyglądu i zachowania Valentine najbardziej przypominał swojego brata przyrodniego Geoffreya Charlesa Poldarka. Kiedy Geoffrey Charles mieszkał pod jednym dachem wraz z George'em, stale irytował ojczyma. W owym czasie George przypisywał to pochodzeniu pasierba z rodziny Poldarków, gdyż uważał, że z ich zatrutej krwi nie jest w stanie się narodzić nic dobrego. Ale matką Geoffreya Charlesa i Valentine'a była Elizabeth, więc może

wina leżała częściowo po stronie Chynowethów? Stary Jonathan przez całe życie był miernotą, jednak matka Elizabeth, z domu Le Grice, była upartą, trudną kobietą, a zatem krnąbrność i przekora mogła stanowić jej dziedzictwo. Wydawało się to dość rozsądnym wytłumaczeniem.

Tak czy inaczej, George nie musiał osobiście informować syna o swoich planach małżeńskich ani ich wyjaśniać. List to coś zupełnie innego. Valentine wróci ze szkoły już po ślubie, a w tym czasie sytuacja całkowicie się zmieni.

Kiedy córki Trevanionów udały się na spoczynek, w salonie na pierwszym piętrze pozostali tylko trzej starsi mężczyźni. Popijali porto, siedząc z nogami wyciągniętymi w stronę ognia.

Sir Unwin Trevaunance, który tego ranka opuścił Tehidy, nazajutrz o ósmej trzydzieści wyjeżdżał dyliżansem do Londynu. Powiedział, że jest senny, i zamierzał zostawić George'a i Trevaniona samych.

– Niewiele nam pan opowiadał o swoim projekcie górniczym – rzekł George. – Ufam, że dobrze się zapowiada.

– Nieźle – odparł Unwin. – Wzrost cen miedzi sprawia, że przedsięwzięcie wydaje się obiecujące. Nie wątpię, że wkrótce znów będę musiał przyjechać do Kornwalii. To piekielnie daleko od Londynu. Kiedy sprzedałem Place House, myślałem, że te bezustanne podróże po wyboistych drogach wreszcie się skończą.

– Chociaż w dalszym ciągu reprezentuje pan Bodmin – wtrącił major Trevanion.

– Phi! Kogo to obchodzi? Nie zbliżają się wybory.

– Czy Pope popiera projekt? – spytał George.

– Wręcz przeciwnie! Jest uparty jak osioł. Posłałbym go do diabła, gdyby nie ta ładna kobieta, którą jakimś cudem skusił do małżeństwa. Bóg raczy wiedzieć, co się czasem dzieje z kobietami! Takie łakome kąski kryją się w mysich dziurach, gdy człowiek szuka żony, a później pojawiają się jako mężatki starców chudych jak szparagi i, jak podejrzewam, znacznie mniej soczystych.

– Niewykluczone, że ważną rolę odgrywają pieniądze i majątek – zauważył sucho Trevanion.

– O tak, o tak. Niestety, niestety.

– Więc co pan zamierza? – spytał George.

– Słucham? – odrzekł zaskoczony Unwin, jakby odkryto jego sekretne myśli.

– Pytam o kopalnię.

– Ach, to. Cóż, będziemy kopać, oczywiście! Nie może nas powstrzymać. Nie przyznałby mu racji żaden sąd w Anglii… Ale, ale, jak sobie radzi pańska kopalnia? Kiedy jeżdżę do Place House, widzę kopcący komin.

– Wheal Spinster? Średnio. W zeszłym roku przyniosła niewielki zysk, a koszty stale rosną.

– Dlaczego zamknął pan Wheal Plenty dalej na wybrzeżu? Dobra miedź, prawda?

– Ruda wysokiej jakości, ale kopalnie tego rodzaju są zasobne tylko przez pewien czas. Kiedy widać oznaki wyeksploatowania, trzeba koniecznie je zamykać, by ograniczyć nadchodzące straty. – George zmrużył oczy. – Już to robiliśmy. Na przykład zamknęliśmy Wheal Prosper i Wheal Leisure.

– Jednak znowu ją otwarto, prawda? Treneglosowie i Poldarkowie.

– Nic im z niej nie przyjdzie – rzucił ze złością George. – Ruda miedzi pogarsza się na większych głębokościach.

– Cóż, my spodziewamy się znaleźć płytkie złoża. Prognozy są niezłe… Nawiasem mówiąc, szukamy nazwy dla kopalni. Mają panowie jakieś pomysły?

– Wheal Pope? – zasugerował Trevanion i głośno się roześmiał.

– Jeśli byłby pan zainteresowany, mamy w Wheal Spinster trochę niepotrzebnego wyposażenia – powiedział George. – Wózki i drabiny z zachodniego szybu, który likwidujemy. Moglibyśmy je sprzedać.

John Trevanion, któremu porto uderzyło do głowy, podążał za własnymi myślami:

– Skoro Wheal Spinster, to dlaczego nie Wheal Virgin, co? Albo Wheal Wife? A może Wheal Widow? – Kolejny wybuch śmiechu.

Unwin popatrzył na Trevaniona, jakby brał te propozycje poważnie.

– Chenhalls chce nadać kopalni jakieś wyszukane imię. Zdaje się, że Hannah, od imienia swojej dawnej kochanki. Ja sam, ponieważ pana najbliższa kopalnia została zamknięta, George, myślę o nazwie West Wheal Plenty.

– Plenty? Obfitość? – wtrącił Trevanion. – Czego obfitość?

Unwin się uśmiechnął.

– Wszystkiego, czego najbardziej pragniemy, przyjacielu. A teraz życzę panom dobrej nocy. Muszę wcześnie wstać.

IV

Warleggan i Trevanion, którzy w końcu zostali sami, przerzucili się z porto na brandy i rozmawiali przez pewien czas. Poza nimi jedyną aktywną osobą w domu był Valentine, który na trzecim piętrze z powodzeniem zalecał się do niedawno zatrudnionej pomocy kuchennej. George mógł uważać, że syn jest zbyt wysoki, ma za chude nogi, jedną nieco krzywą, i długi nos, który sprawia, że wygląda na stale niezadowolonego. Mimo to dziewczyna nie mogła się oprzeć jego śniadej, przystojnej twarzy, wesołości, zblazowaniu i uroczej pewności siebie.

W salonie sir George poprawił pogrzebaczem ogień, by zapłonął żywszym płomieniem.

– Jeśli chodzi o temat, o którym jak dotychczas prawie nie rozmawialiśmy, majorze Trevanion, muszę panu powiedzieć, że sugerowana przez pana zaliczka, praktycznie niezabezpieczona, musiałaby być wysoko oprocentowana.

John Trevanion ocknął się z lekkiego stuporu. Była to zbyt ważna sprawa, by dyskutować o niej ze zmąconym umysłem.

– Z pewnością ziemia…

– Już w tej chwili jest zadłużona hipotecznie. Jednak nie powinniśmy się sprzeczać. Tysiąc funtów, które wypłaci w tym miesiącu mój bank, i następny tysiąc w przyszłym miesiącu pozwolą panu przetrwać obecny kryzys. Czy mam rację?

– Ma pan rację. Czuję się zobowiązany. Mimo to będzie to tylko tymczasowe rozwiązanie.

– Pomoże panu wytrwać. Może do końca roku?

– Wątpię. Mam inne zobowiązania, na przykład…

– Ufam, że nie gra pan na wyścigach konnych?

Rumiana twarz Trevaniona jeszcze bardziej poczerwieniała. Jego nastroje zawsze szybko się zmieniały, nie dawało się ich przewidzieć. Gdyby nie miał ogromnych długów nie tylko wobec tego bankiera, lecz również kilkunastu innych osób, wyszedłby z tego domu.

– Powinien pan zrozumieć – ciągnął George, który zdał sobie sprawę z niegrzeczności poprzedniego pytania – że gdyby była to normalna pożyczka zabezpieczona hipotecznie, nie ośmieliłbym się komentować sposobów jej wykorzystania. Ale kredyt bez żadnych zabezpieczeń… Rozumie pan, że odpowiadam przed wspólnikami…

Trevanion prychnął.

– Sądziłem, że te pieniądze pochodzą z pańskiej własnej kieszeni.

– Tylko połowa. Naturalnie, gdyby w tej chwili było łatwiej o kredyt, z radością sam wziąłbym na siebie ten ciężar. Jednak… Mogę być z panem całkiem szczery, majorze?

– Sądziłem, że zawsze jest pan szczery.

George postanowił zignorować afront.

– Muszę wyjaśnić, że do niedawna miałem duże inwestycje na północy Anglii i poniosłem wielkie straty wskutek dalszego prowadzenia wojny. Gdyby książę regent okazał się człowiekiem honoru… Ale to nieważne. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu ostatniego roku zlikwidowałem te inwestycje, by w przyszłości skoncentrować swoje interesy w Kornwalii i w hrabstwie Devon.

– Nie wiedziałem o tym – odparł Trevanion, spoglądając czujnie na gospodarza.

– Więc w tej chwili musimy się zadowolić działaniami, które zapobiegną pogorszeniu się pańskiej sytuacji w tym roku. Dobrze? Do końca tego roku, nie sądzi pan?

– Skoro pan tak mówi – przyznał Trevanion.

Sir George skrzyżował nogi, znowu je wyprostował i obrócił kilka złotych monet, które stale nosił w kieszonce na zegarek. Zawsze starannie rozważał, co w jego życiu jest najważniejsze. Małżeństwo pociągnie za sobą duże wydatki, nie było co do tego wątpliwości. Po śmierci matki odremontowano Cardew, wymieniono podniszczone meble, przebudowano część stajni, by Harriet mogła w niej trzymać swoje konie, wysypano żwirem i ubito podjazdy, zainstalowano w kuchni nowe piece, by jedzenie podawane na stoły było cieplejsze. Kiedy Harriet wprowadzi się do rezydencji, niewątpliwie będzie chciała coś zmienić zgodnie ze swoim smakiem, może kupić więcej koni do polowań i lepszy lekki powóz do osobistego użytku.

Tymczasem George zajmował się wzmacnianiem kruchych fundamentów życia majora Trevaniona. Kolejne wydatki. Ryzyko finansowe. Naturalnie była to drobnostka w porównaniu z tym, co zaryzykował i stracił w Manchesterze. Ale wydatki mogą wzrastać. W rezultacie strat poniesionych na północy w dalszym ciągu brakowało mu gotówki. Było to bardzo irytujące. Tak czy inaczej, w perspektywie miał wielki sukces. Możliwość sukcesu. Zaledwie ewentualność. Czy na obecnym etapie należy mówić o tym otwarcie, czy czekać, aż sprawa dojrzeje? Czy popełni błąd, mówiąc o tym teraz? Czy wstępne wysondowanie Trevaniona może zaszkodzić?

– Jeszcze brandy, majorze?

– Tak, proszę.

Zabulgotał płyn nalewany z karafki do dwóch kieliszków.

– Straty poniesione na północy nieco pogorszyły moją sytuację finansową, a ponadto wkrótce zamierzam zawrzeć nowy związek małżeński…

Trevanion spojrzał ze zmarszczonymi brwiami na kieliszek brandy, jakby kryło się w nim wyjaśnienie zaskakującej nowiny.

– Doprawdy? – rzekł w końcu. – Moje… hm… gratulacje.

– Dziękuję.

– Czy to ktoś, kogo znam?

– Mój podstawowy obowiązek to pokrycie dodatkowych wydatków związanych z małżeństwem. Ale za rok sytuacja się ustabilizuje, a wraz z nią moje możliwości.

– Możliwości?

– Mam na myśli możliwości finansowe – odparł George. W jego głosie zabrzmiał cień irytacji.

– Ach, rozumiem. Tak.

– Z tego powodu mądrze byłoby przyjąć, że mógłbym pomóc panu w sposób bardziej znaczący dopiero w przyszłym roku.

– Tak, tak, skoro tak pan uważa. Jak już wspomniałem i jak pan dobrze wie, kroczę nad przepaścią. Nieustannie przychodzą rachunki. Części nie można prolongować, tak przynajmniej mówią wierzyciele. Inne…

– Ile lat ma panna Cuby? – spytał George.

Zapadło krótkie, napięte milczenie.

– Słucham?

– Cuby, pana siostra. Ile ma lat?

– Cuby? W zeszłym miesiącu skończyła dwadzieścia jeden. Czemu pan pyta?

– Wyjątkowo urocza dziewczyna.

– Niewątpliwie, niewątpliwie. Chyba tak.

– Na pewno kręci się wokół niej wielu adoratorów.

Trevanion miał zgagę. Przełknął ślinę.

– Słucham? Cóż, raczej tak. Cuby i ja bardzo dobrze się rozumiemy.

– Nie wątpię.

– I udziela mi bezcennej pomocy w opiece nad moimi dziećmi.

Znów zapadło milczenie. Trevanion spojrzał na kieliszek.

– Dobra brandy. Z przemytu, prawda?

– Z przemytu.

Na ulicy na dole kłócili się pijacy. Był to jeden z problemów życia w mieście: nie dawało się odseparować od pospólstwa.

– Po śmierci Charlotte Cuby jest dla mnie najbliższą osobą. To bardzo dumna dziewczyna.

– Kto nie byłby dumny na jej miejscu?

– Często rozmawiamy o przyszłości. Doskonale rozumie moją sytuację.

– Jak każda dobra siostra.

– O tak. Niewątpliwie.

– W lutym Valentine skończył osiemnaście lat – powiedział George.

Nie zauważył, by wyraz twarzy Trevaniona się zmienił. Zastanawiał się, czy major zwrócił uwagę na połączenie imion Cuby i Valentine'a: czy jest to dla niego całkowita niespodzianka, czy wręcz przeciwnie. Pili przez cały wieczór, lecz George nie potrafił wyczuć reakcji Trevaniona. Major nie był głupcem. Nie wydawało się także, że zamierza chwycić przynętę.

– W Eton Valentine osiągał znakomite wyniki w grze w piłkę – ciągnął George. – Z powodzeniem uprawiał wioślarstwo i można się spodziewać, że będzie sobie dobrze radzić w Kolegium Świętego Jana w Cambridge. Jego opiekun chwalił jego uzdolnienia matematyczne.

– Utalentowany młody człowiek, z pewnością.

– Mój jedyny syn.

– Ma pan również córkę?

– W grudniu zeszłego roku skończyła dwanaście lat. Wydaliśmy z tej okazji wielkie przyjęcie w mojej wiejskiej rezydencji w Cardew.

Trevanion wyciągnął nogi w stronę kominka. Wydawały się równie długie jak jego genealogia.

– Pana syn zamierza się zająć bankowością?

– Otrzymał edukację dżentelmena. Jeśli zajmie się bankowością, najpewniej będzie działał podobnie jak de Dunstanville, zarządzając interesami poprzez wspólników.

– Odziedziczy Cardew, prawda?

– Zamierzam przekazać je w posagu córce.

– W tej sytuacji nie będzie miał wiejskiej rezydencji.

– Można ją kupić.

– Tak, cóż… – Major spojrzał uważnie na pusty kieliszek i napełnił go ponownie. – Przepraszam za pytanie, sir George, ale ile pan ma lat?

– Prawie pięćdziesiąt trzy.

– A ja nie skończyłem jeszcze trzydziestu dwóch… Powiedział pan, że zamierza zawrzeć nowe małżeństwo?

– Tak, wkrótce.

– Czy pana przyszła małżonka jest młoda?

– Dość młoda.

– Więc może pan mieć dzieci. Mam na myśli kolejne dzieci.

– Bardzo możliwe. Ale związane z tym wydatki to kwestia odległej przyszłości.

– Nie jestem taki pewny. Matka może szybko rozpocząć starania o odpowiednie zabezpieczenie dla dzieci.

– Powinno wystarczyć dla wszystkich.

– Cóż, skoro tak pan mówi… Może ma pan rację. Najlepiej zna pan swoje interesy… Muszę przyznać, że piekielnie nie mam ochoty na nową żeniaczkę. Charlotte była aniołem – zwłaszcza biorąc pod uwagę, jak spokojnie znosiła moje humory – i nie widzę nikogo, kto mógłby ją zastąpić. Oczywiście zdecydowałbym się na małżeństwo, wręcz z ochotą, gdyby pozwoliło mi się wydostać z obecnych tarapatów finansowych. Ale czy znalazłbym wdowę mogącą wnieść w posagu dwadzieścia tysięcy funtów?

– To poważna suma.

– Tak. – Trevanion dopił następny kieliszek brandy. George, który nie dotrzymywał kroku gościowi, zauważył, że major coraz szybciej wypija kolejne kieliszki. – A zatem… – Zapadło milczenie.

– A zatem? – odezwał się gospodarz.

– A zatem, wobec braku odpowiedniej wdowy lub panny…

– Trzeba szukać innego rozwiązania, jeśli istnieje.

– Tak… owszem. Zastanawiam się nad tym.

Zbliżali się do sedna sprawy. George czekał, lecz Trevanion się nie odezwał. Major spoglądał w ogień, mrugając powoli. W końcu George zabrał głos.

– Pana siostra mogłaby bogato wyjść za mąż, prawda?

– Tak. Można by to zaaranżować.

– Bardzo trudno byłoby zaaranżować małżeństwo, które odpowiadałoby i jej, i panu, majorze.

– Nie rozumiem dlaczego. Caerhays jest dostatecznie duże, by mieszkały w nim dwie rodziny. Gdyby taki mariaż doszedł do skutku, za kilka lat mógłbym się przeprowadzić do niewielkiego dworu na terenie posiadłości, a mąż Cuby zostałby panem najpiękniejszego zamku w Kornwalii.

– Tak… Tak… – George opuścił powieki, by ukryć zadowolenie z przebiegu rozmowy. W końcu udało mu się wyciągnąć od Trevaniona kilka najważniejszych szczegółów związanych z planem.

– Nasz zamek naprawdę jest najpiękniejszy w Kornwalii, nie sądzi pan, Warleggan? Nash, niech go diabli porwą, prawie mnie zrujnował, ale wykonał wspaniałą robotę, musi pan to przyznać! Lanhydrock, Cotehele wyglądają znacznie gorzej. Wątpię, czy mogą się równać z Caerhays pod względem elegancji i piękna.

– Nie będę kwestionował pańskich słów, majorze.

Zapadło milczenie. Obaj rozmówcy zastanawiali się nad znaczeniem swoich słów.

– A zatem… – rzekł w końcu Trevanion.

– A zatem… – powtórzył George.

– Tak… Muszę powiedzieć…

– Zaczekajmy jakiś czas – powiedział George. – Zobaczmy, jak się rozwinie sytuacja. Valentine ma dopiero pojechać do Cambridge. Naturalnie nie ma żadnych przeszkód, by się ożenił w trakcie studiów, ale uważam, że powinniśmy ponownie przeanalizować sytuację pod koniec roku.

Major Trevanion dopił brandy, lecz tym razem nie wyciągnął kieliszka i nie poprosił o kolejną porcję trunku. Mimo bełkotliwej mowy i maślanych oczu w istocie rzeczy wciąż trzeźwo oceniał sytuację. Nie przepadał za George'em i w szczęśliwszych czasach nie szukałby jego towarzystwa. Nie myślałby także o zawarciu z Warlegganem takiej umowy, o jakiej w tej chwili rozmawiano. Myśl o powinowactwie z jednym z członków rodziny Warlegganów wydawała mu się obraźliwa i miał z tego powodu wyrzuty sumienia. Siostra – młodsza siostra – była jego przyjaciółką i powiernicą. W dzieciństwie zastępował jej ojca. Po śmierci Charlotte spadła na niego odpowiedzialność za całą rodzinę i szczerze rozmawiał z Cuby o wszystkim. Często spacerowali brzegiem morza, mówiąc o problemach finansowych rodziny. Opiekowała się jego małymi synami, zastępując im zmarłą matkę. Była niezwykłą młodą kobietą i zasługiwała na coś lepszego niż zaaranżowane małżeństwo tego rodzaju.

Ale pamięć o długach i terminie spłaty weksli zagłuszyła wątpliwości i wyrzuty sumienia. Kto jeszcze mógłby go uratować przed więzieniem dla dłużników? Właśnie to mu groziło. Nawet ucieczka na kontynent, nad którą kilkakrotnie się zastanawiał, nie wchodziła w grę, dopóki rządził tam korsykański tyran. Chociaż nie miał zamiaru znowu się żenić – wspomniał o tym Warlegganowi – chętnie poślubiłby bogatą wdowę, jeśli trafiłby na odpowiednią kandydatkę. Nie było nikogo takiego. Gdyby miał do dyspozycji pięć lat, pojechałby do Londynu, włączył się w życie towarzyskie, przeczesał okoliczne hrabstwa, zaoferował wybrance wspaniały zamek i arystokratyczne nazwisko. Ale wierzyciele nie dadzą mu pięciu lat. Tylko wsparcie sir George'a Warleggana pozwoli mu przetrwać rok – albo część roku.

Naturalnie, gdyby jego klacz Honoria wygrała w Epsom wielki wyścig dla trzylatków. I gdyby miał odwagę odpowiednio dużo postawić… Znając namiętność Trevaniona, jego sekretną namiętność, Warleggan wspomniał, że warunkiem pożyczki jest rezygnacja z gry na wyścigach… Ale czy kiedykolwiek się dowie? Z pewnością się dowie, jeśli Honoria przegra. Ostatnio cała rodzina próbuje mu wyperswadować hazard. Jego własna matka. Nawet Cuby. Cuby…

George – chyba musi się nauczyć tak nazywać tego kupca – zmarszczył gniewnie brwi na wzmiankę o dwudziestu tysiącach funtów. Jednak nie powiedział, że taka kwota nie wchodzi w rachubę. Właśnie tyle potrzeba. To naprawdę postawiłoby Trevanionów na nogi. Gdyby doszło do rozmowy o konkretach, darowizna powinna zostać odpowiednio zagwarantowana – być może wypłacona przed zawarciem małżeństwa. Posag pana młodego. Obietnice, umowy, ustne zapewnienia to za mało. Powinien w końcu postawić sprawę jasno. Wszystko należy spisać.

Może Cuby nie sprzeciwi się transakcji. Wydawało się, że zależy jej na zamku i posiadłości tak samo jak jemu. A młody Warleggan jest na swój sposób bardzo przystojny, a przynajmniej prezentuje się równie dobrze jak ten szczupły, bezczelny smarkacz Poldark, który znów pojawił się dziś wieczorem. Valentine z pewnością ma lepsze maniery i jest lepiej wykształcony. Niewątpliwie wystarcza jedno pokolenie, by stać się dżentelmenem. Nikt nie prosi Cuby, by wyszła za mąż za starego pijaka cierpiącego na podagrę.

– Myśli pan – spytał George, wyraźnie zastanawiając się nad podobnymi sprawami – myśli pan, że gdybyśmy zawarli wstępną umowę, panna Cuby z własnej woli by ją zaakceptowała?

– Hm, hm… Bardzo rozsądnie podchodzi do moich próśb. Jestem pewien, że rozumiałaby sensowność takiej umowy. A pana syn?

– Valentine wychował się jako syn bogatego człowieka, co ma swoje zalety i wady – odparł George. – Nie tylko spodziewa się życia w luksusowych warunkach, ale wręcz go potrzebuje. To naprawdę uroczy, wyjątkowo sympatyczny chłopiec, jak na pewno pan zauważył… – Urwał.

– Tak, tak – rzucił niecierpliwie Trevanion.

– Choć trochę kapryśny, jak większość młodych ludzi. W przeszłości zdarzało się nam sprzeczać o różne sprawy. Ustępowałem, gdy nie miało to dla mnie znaczenia. Ojciec powinien być czasem wyrozumiały. Ale kiedy coś miało dla mnie pierwszorzędne znaczenie, to Valentine ustępował. Zawsze. Jeśli musiał wybierać między posłuszeństwem i luksusem a nieposłuszeństwem i brakiem luksusu, zawsze wybierał luksus.

W tym samym momencie na trzecim piętrze nowa pomoc kuchenna powtarzała:

– Och, paniczu Valentine! Och, paniczu Valentine!

Rozdział szósty

I

– Więc mnie rzuciłeś! – powiedziała Violet Kellow. – To zupełnie oczywiste.

– Nonsens, kochanie – odparł Stephen. – Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobił.

Znajdowali się w sypialni Violet w Fernmore. Stephen siedział przy łóżku, trzymając ją za rękę. Wykorzystał wyjazd Clowance do Truro, by złożyć Violet dodatkową wizytę.

– Ale to prawda! Nic dziwnego, że jestem chora, marnieję jak kwiat wyjęty z wody. Odtrącona! Prawie przy ołtarzu. Wszystkie twoje słodkie obietnice…

– Wiem, wiem. – Stephen pokiwał z żalem głową.

– Wiem, co zrobię – ciągnęła Violet. – Postanowiłam umrzeć, zanim się ożenisz, a potem ukażę ci się przy ołtarzu. Kiedy proboszcz powie: „Zapytuję się, czy kto z was wie o jakiej przyczynie lub przeszkodzie, dla której by one nie mogły być prawnie połączone, i proszę, aby to teraz oznajmił” [2], zawołam: „Nie jestem mężczyzną ani nawet kobietą, tylko duchem…! Opowiem straszliwą historię!”. Mam nadzieję, że Clowance zemdleje, a ciebie wypędzą z wioski, na co zasługujesz. – Violet się rozkasłała głębokim, ciężkim kaszlem, który nie pasował do tak wiotkiej dziewczyny.

– Bylebyś mnie tylko nie straszyła w noc poślubną – odparł Stephen.

– Prawie żałuję tej dziewczyny, choć ci się narzucała. Kiedy cię poślubi, dostanie to, na co zasługuje!

– Wiesz, na co sama zasługujesz – powiedział Stephen. – Na lanie. I dostałabyś je, gdybyś nie była taka chora.

– Dotknij mnie, a będę krzyczeć!

– Co jeszcze?

Spojrzała na niego, a jej piękne błękitne oczy, blade wskutek choroby, wypełniły się łzami.

– Hej, co to takiego? – powiedział Stephen innym tonem. – Przecież tylko żartowaliśmy, prawda?

Oswobodziła dłoń i wyjęła chusteczkę.

– Och, zostaw mnie! To nic.

– Violet, kochanie, naprawdę… Nie chciałem cię dotknąć.

– To nic, głupcze!

– Powiedz, o co chodzi.

– Nie myśl, że płaczę z twojego powodu!

– Mam nadzieję, że nie!

– Teraz już wiesz, że nie.

– Dobrze.

– Jesteś po prostu nicponiem. Kiedyś skończy pan na stryczku, panie Carrington.

– Dziękuję za komplement. – Zawahał się. – Muszę przyznać, że jeszcze nigdy cię takiej nie widziałem.

– I więcej nie zobaczysz, zapewniam cię.

– Co się z tobą dzieje?

– Nie przejmuj się mną, proszę. Widzisz? Już mi przeszło. – Otarła oczy i uśmiechnęła się. – Zapomnij o tym.

– Spróbuję – odpowiedział.

– Teraz postaraj się mnie rozśmieszyć, jeśli potrafisz.

Nie spełnił prośby Violet. Siedział ze spuszczoną głową, obgryzając paznokieć.

– Nic ci nie będzie – rzekł.

– Tak myślisz?

– Na pewno. Przyjdą ciepłe dni i od razu poczujesz się lepiej.

– Nie chcę umrzeć – powiedziała cicho.

– Kto mówi, nawet żartem, że miałabyś umrzeć? Posłuchaj…

– Słucham! Śmierć jest blisko, bardzo, bardzo blisko. Nigdy się nie zestarzeję, więc nie dowiem się, jak się czuje stary człowiek. Ale przynajmniej wie, że żył. Pamięta dni, lata – musiały mu dać odrobinę szczęścia, do którego wszyscy mają prawo. A ja nie miałam nic.

– Ależ miałaś, kochanie, dobrze się bawiłaś. Na przykład…

– Przestań mnie pocieszać! Nie mogę tego znieść! Jesteś silny, zdrowy i przypuszczam, że nigdy nie myślałeś, jak to jest, kiedy człowiek umiera, staje się niczym, przestaje czuć i myśleć…

– Nie tak dawno, niespełna półtora roku temu, leżałem na tratwie po zatonięciu brygu Unique. Ja i laskar. Dryfowaliśmy bez jedzenia, bez wody, coraz słabsi. Wtedy myślałem, że umrę. Modliłem się… po raz pierwszy od lat.

– Ale miałeś nadzieję.

– A ty nie masz? Posłuchaj, na litość boską…

– Nie, nie mam nadziei – odpowiedziała.

Wziął ją za rękę.

– Co dziś w ciebie wstąpiło? Zupełnie nie przypominasz dawnej Violet…

– Nie, nie przypominam dawnej Violet, która zawsze promiennie się uśmiechała i żartowała. Już nie potrafię. Bo widzę w twarzy matki swoją śmierć. Doktor Enys próbuje być wesoły, uśmiecha się, mówi różne rzeczy, ale wiem, że powiedział rodzicom za moimi plecami! Nic dziś we mnie nie wstąpiło, głupcze! Noszę to w sobie już od Bożego Narodzenia, tylko to ukrywałam, a teraz już dłużej nie mogę! Dlatego w tej chwili nie jestem miłą towarzyszką…

Znów się rozpłakała. Stephen usiadł na łóżku, dotknął dłonią policzka Violet i oparł jej głowę na swoim ramieniu.

– Spokojnie. Wypłacz się, to ci ulży. Albo mnie przeklinaj, jeśli dzięki temu ulży ci jeszcze bardziej.

– Przeklinam cię! – szepnęła. – Przeklinam cię, ty wielka, bezduszna, podła, głupia bestio!

– To prawda, jestem bestią – odpowiedział. – Tak, to prawda.

– Teraz na pewno więcej do mnie nie przyjdziesz.

– Jasne, że przyjdę!

– Ona ci nie pozwoli!

– Nie, nie jest taka podła.

– Nie trzeba być podłym, żeby czuć zazdrość. Od wigilii świętego Jana zawsze była o mnie zazdrosna.

– Powiem jej. Wytłumaczę.

– Kochasz ją?

Stephen się zawahał.

– Jeśli powiem, że ją kocham, znienawidzisz mnie jeszcze bardziej. Jeśli powiem, że jej nie kocham, nazwiesz mnie kłamcą. Czy to ma jakieś znaczenie, kochanie?

– Dla niej tak!

– Obiecuję, że będę do ciebie przychodził w każdy piątek, aż wyzdrowiejesz.

– Wyzdrowieję… Wiesz, Stephen, to bardzo dziwne… Jakiś czas temu zasiałam w doniczkach trochę rezed, żeby zakwitły za oknem. Możesz je zobaczyć w oranżerii. To już duże rośliny. Codziennie się zastanawiam, jaki kolor będą miały kwiaty i czy kiedyś się tego dowiem. To… bardzo przykre.

– Rozczulasz się nad sobą.

Odepchnęła go, natychmiast reagując na prowokację.

– Ależ z ciebie bezduszny drań! Tak naprawdę żal mi Clowance Poldark. Odwiedza mnie, jest słodka i miła, myśli, że złapała Bóg wie kogo! Jakby poszła łowić ryby i wróciła z ośmiornicą!

– Widzę, że czujesz się lepiej – powiedział. – Zawsze sprawiam, że czujesz się lepiej, prawda? Powinni mnie nazywać doktorem Carringtonem.

– Chirurgiem Carringtonem z zakrwawionym nożem! Wbijasz go w serca niewinnych dziewcząt, jednej po drugiej! Odejdź, strasznie mnie irytujesz! Nie mogę tego znieść!

– Wrócę w piątek, kochanie – rzekł i pocałował ją w policzek, choć odwróciła głowę. – Obiecuję

przyjść w piątek.

II

Na parterze Stephen zastał Paula Kellowa, który siedział w przylegającym do salonu niewielkim pokoiku, gdzie dawniej miał gabinet doktor Choake. Pisał przy biurku zawalonym stosami ksiąg rachunkowych, ulotek, faktur, złożonych map, listów przewozowych.

– Przeszkadzam? – spytał Stephen.

Paul odłożył gęsie pióro i przekręcił się na obrotowym fotelu.

– Trochę, ale nie bardzo. Gdybyś dał mi dwa pensy, których pewnie nie masz, chętnie rzuciłbym to do końca dnia.

– Czym się zajmujesz?

– Piszę ogłoszenie do „West Briton" informujące o zmianach naszych tras w zachodniej Kornwalii w ciągu lata.

– Uruchamiacie nowe linie?

– Zamykamy część z nich. Kornwalijczycy nie doceniają korzyści z łatwego podróżowania.

W zeszłym tygodniu Paul Kellow skończył dwadzieścia jeden lat, lecz nie obchodzono jego urodzin, oficjalnie z powodu ciężkiej choroby siostry. Paul był szczupły i niewysoki, dość przystojny i nieco zniewieściały, ale ciemne, proste włosy, żółtawa cera oraz spokojne, pewne siebie zachowanie sprawiały, że wyglądał na dwadzieścia siedem lub osiem lat. Kiedy zmarł doktor Choake, Polly, jego sepleniąca żona, przeniosła się sprytnie do Truro, gdzie każdego popołudnia można było grać w wista, lecz zamiast sprzedać Fernmore wynajęła je jednemu z powinowatych, Charliemu Kellowowi, który prowadził nowe linie dyliżansowe w Truro i Penzance. Rozsądek podpowiadał, że powinien zamieszkać w pobliżu miejsca prowadzenia interesów, ale szeptano, że z powodu pokrewieństwa i ze względu na ciągłe kłopoty finansowe rodziny pani Choake wynajęła mu dom za symboliczny czynsz.

Zachowanie Kellowów nie zmieniło wrażenia, że brakuje im pieniędzy. Doktor Choake byłby głęboko urażony, że jego dawny dwór jest tak zaniedbany – w swoim najlepszym okresie Fernmore rościło sobie pretensje do elegancji i kultury. Choake zatrudniał ośmiu służących; teraz pozostało tylko dwóch, jeden pracował w domu, a drugi w gospodarstwie. Chociaż obie córki Kellowa, Violet i Daisy, spędzały cały dzień w domu wraz z matką, zasłony były podniszczone, meble odrapane, a ogród zaśmiecony i zapuszczony.

Przekleństwem Kellowów była skłonność do gruźlicy i chroniczny brak pieniędzy, a błogosławieństwem – miły wygląd i głęboka wiara w swoją ważność.

– W jakim nastroju była Violet? – spytał Paul.

Stephen wzruszył ramionami.

– Przygnębiona. To niezbyt częste. Co mówi Enys?

– Że w prawym płucu jest duży ubytek i że w tej chwili choroba zaatakowała również lewe płuco. Uważa, że następny krwotok może ją zabić.

– Myślisz, że ktoś jej to powiedział?

– Nie my. Ale może czyta między wierszami. To niezbyt trudne. W końcu to samo spotkało Dorrie, rok przed naszym przyjazdem. Violet widziała to na własne oczy.

Paul podszedł do baryłki piwa leżącej na koźle w rogu małego, ciemnego pokoju. Kellowom brakowało wielu rzeczy, ale nie piwa. Przyniósł dwa pełne kufle.

– Nigdy nie wybaczę proboszczowi.

– Jakiemu proboszczowi?

– Z pogrzebu Dorrie. Był tak pijany, że o mało nie wpadł do grobu. Chciałem, żeby wpadł i złamał sobie kark.

Wypili. Gdzieś w domu zadźwięczał dzwonek. Violet wzywała pokojówkę.

– Chyba powinienem ci pogratulować, co? – odezwał się Paul.

– Dziękuję. Tak, dziękuję.

– Zdobyłeś ładną dziewczynę. Kiedy wesele?

– Jeszcze nie wyznaczyliśmy terminu.

– Byłoby miło, gdyby wesele było podwójne.

– Co masz na myśli?

– Cóż, Jeremy'emu bardzo podoba się Daisy. Chyba chętnie by się z nią ożenił, gdyby się zgodziła.

– Zgodzi się?

Paul zmarszczył gładkie czoło.

– Nigdy nie można przewidzieć, co zrobi. Jest kapryśna.

– Ach… – mruknął z niedowierzaniem Stephen.

– Zdaje się, że będziesz pracował u Wilfa Jonasa.

– Tak.

– Kiedy zaczynasz?

– Za dziesięć dni.

Paul dopił piwo.

– Wilf jest kwaśny jak ogórek. Prawie się nie odzywa.

– Zauważyłem.

– Jeszcze jeden kufel?

– Tak, proszę.

– Moim zdaniem to tylko początek – rzekł Paul, kiedy wrócił z piwem. – Myślę, że Poldarkowie mogliby ci znaleźć lepszą pracę.

– Nie proszę o przysługi.

– Mimo to… Oczywiście skoro jesteś zadowolony…

– Poślubię dziewczynę, której pragnę. To najważniejszy powód do zadowolenia, prawda?

– Jak tam kopalnia?

– Kopalnia?

– Wheal Leisure.

– Nic specjalnego. Dopiero zaczynamy. Tak mówią.

– Przedwczoraj wieczorem spotkałem w gospodzie Pod Herbem Gwarków dwóch starych górników, którzy dwadzieścia lat temu pracowali w Leisure. Twierdzili, że jest wyeksploatowana.

– Kapitan Poldark tak nie sądzi. Ani Jeremy. Ani Ben Carter.

– Ach… Ben Carter. Powinieneś na niego uważać, Stephen.

– Dlaczego?

– Durzy się w Clowance. Moim zdaniem uważa, że gdy wyłowił cię z morza, popełnił największy błąd w swoim życiu.

Stephen przez chwilę nie odpowiadał. Nie podobało mu się zachowanie Paula tego popołudnia. Dwa kufle piwa, które teraz wypił, z pewnością nie były pierwsze i spowodowały, że Paul stał się zrzędliwy; wyraźnie miał ochotę irytować przyjaciela. Stephen nie zamierzał dać się sprowokować. Potrzebował czegoś i miał nadzieję, że to dostanie.

– Paul, masz ochotę na interes?

– Jaki interes?

– Coś, co wymaga inwestycji.

– Pieniędzy?

– Między innymi.

Paul szorstko się roześmiał.

– Oświeć mnie, o co jeszcze chodzi.

Stephen sięgnął do kieszeni i wyjął pognieciony wycinek z gazety.

– Czytałem w sobotę „West Briton". To ciekawa gazeta, można się wiele dowiedzieć o hrabstwie. Kiedy się tu pojawiłem, myślałem, że będzie wiele okazji dla kogoś takiego jak ja. Jesteś Kornwalijczykiem?

– Tak.

– Moim zdaniem Kornwalijczycy są niezbyt bystrzy.

– Dziękuję.

– Ale nie wtedy, gdy chodzi o pieniądze. Popatrz tylko na to. – Podał Paulowi wycinek. – W Penzance wystawiają na licytację pełnomorską łódź ratowniczą.

Paul spojrzał na anons ze zmarszczonymi brwiami.

– I co z tego?

– Wiedziałeś, że mają taką łódź?

– Nigdy o tym nie słyszałem.

– A jednak mają, od dziesięciu lat. Została zbudowana za pieniądze ze zbiórki publicznej. Wszyscy są z niej bardzo dumni, ale nigdy jej nie wykorzystano. Ani razu.

– Nie piszą tu o tym – zauważył Paul.

– Nie, ale to prawda. Wiesz, dlaczego przez te wszystkie lata nigdy jej nie wykorzystano? Potrafię się domyślić. A ty się domyślasz?

– Cóż, może…

– Może ludzie wolą, by statki rozbijały się na skałach, co? Domyślam się, że to prawdziwa przyczyna.

Paul wzruszył ramionami.

– Dlaczego ją sprzedają?

– By pokryć długi. Wydaje się, że przechowują łódź w szopie i nikt nie ma ochoty płacić zaległego czynszu za kilka lat. Kiedy kupiono łódź, nie zostało pieniędzy na nic innego. Tak słyszałem.

– Kto ci to powiedział?

– Nieważne. To prawda.

Paul wstał i wsunął dłonie do kieszeni.

– Widziałeś tę łódź, co?

– Tak.

– Kiedy?

– Wczoraj. Pożyczyłem kuca od Jeremy'ego. Było za późno na powrót, więc spałem pod żywopłotem.

– Jeremy w tym uczestniczy?

– Nie. Jeszcze nie. Nie byłoby z niego większego pożytku. Wydaje wszystkie pieniądze na pojazd parowy, który próbuje budować w Hayle. Nie ma nic oprócz niewielkiego kieszonkowego wypłacanego przez ojca raz w miesiącu. Mówił mi o tym.

– Ja też nie mam pieniędzy – odparł Paul. – Ile ty masz?

– Może dziesięć funtów. Kiedy tu przyjechałem, pieniądze przeciekały mi przez palce.

– Co planujesz?

– Chciałbym kupić tę łódź.

– Naprawdę?

– Tak.

– Zwariowałeś. Jaki jest sens…

– By ją sprzedać.

Paul popatrzył na przyjaciela.

– Myślisz, że da się ją sprzedać?

– Chyba dość szybko. Może nie w Penzance.

– Z zyskiem? Jak wygląda?

– Nie jest to łódź, którą chciałbym zatrzymać dla siebie, ani nie nadaje się do tego, co zamierzam. Ale to ładna szalupa. Prawie dziesięć metrów długości, trzy metry szerokości, dziesięć par wioseł, maszt. Dziób i rufa o podobnych kształtach, zakrzywiony kil, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Nie jest dobrze utrzymana, ale dokładnie ją obejrzałem i wszystko, co najważniejsze; jest w idealnym stanie – nigdy nawet nie pływała! Podobno kosztowała sto pięćdziesiąt gwinei i jestem skłonny w to wierzyć.

– Paul! – rozległ się kobiecy głos. – Jesteś tam, Paul? – Była to pani Kellow.

Paul zamknął drzwi.

– Co zamierzasz?

– Iść w czwartek na licytację z pieniędzmi w kieszeni i kupić tę łódź, jeśli będzie tania.

– Dlaczego myślisz, że będzie tania?

– Nikt nie wydaje się zainteresowany. Mógłbym ją kupić za czterdzieści gwinei. Tanio jak na taką łódź.

Paul spoglądał na biurko i kasetkę z pieniędzmi. Później pokręcił głową.

– Mógłbym pożyczyć ze skrzynki dziesięć… może dwanaście gwinei. Nie ma tam więcej pieniędzy. Za tydzień ojciec będzie budował dach. Jesteśmy bez grosza, Stephen. Zapomnij o tym pomyśle, chyba że obrabujesz jakąś nieszczęsną staruszkę.

III

Tego samego wieczoru, gdy dwoje starszych dzieci było ciągle poza domem, a Isabella-Rose udała się niechętnie do łóżka, Demelza powiedziała Rossowi, że znowu spodziewa się dziecka.

Ross ostrożnie odłożył fajkę na gzyms kominka.

– Wielki Boże!

– Tak, rzeczywiście – odrzekła Demelza.

– Boże Wszechmogący, nigdy nie przypuszczałem…

– Chyba nie powinniśmy winić Boga.

Ross wstał, spojrzał na księgę rachunkową, którą zamierzał się zająć przy biurku. Cała sytuacja rodziny nagle się zmieniła.

– Kiedy?

– Och… może w listopadzie. Tak czy inaczej, przed Bożym Narodzeniem.

– Źle się czujesz od jakiegoś czasu?

– Od dwóch tygodni. To już mija. Teraz będzie lepiej. Zawsze tak było.

Popatrzył na żonę, dowcipną, serdeczną, inteligentną kobietę o ciemnych oczach, która od dwudziestu pięciu lat była towarzyszką jego życia. Miała już czterdzieści dwa lata, lecz w towarzystwie nadal przyciągała wzrok mężczyzn.

– Nie spodziewałem się tego!

– Stare kobiety mówią, że dobrze mieć jeszcze jedno dziecko w moim wieku.

– W twoim wieku?! Jesteś jeszcze dzieckiem.

– Tak, dziadku. Mam nadzieję, że pozostałym nie będzie to przeszkadzać.

– Jakim pozostałym?

– Jeremy'emu i Clowance, oczywiście. Mogą uważać, że to trochę nie na miejscu. Czy to właściwe określenie?

– Jeśli choćby to zasugerują, walnę ich o siebie głowami. Ale… jak to wpłynie na twoje migreny?

– Mogą ustąpić. Tak czy inaczej, to mi nie zaszkodzi, Ross. Rodzenie dzieci to naturalna rola kobiety. Porody nie mają trwałego wpływu na zdrowie, nie pogarszają przebiegu zwykłych chorób.

– Nie jestem taki pewien – odparł, przypominając sobie znajome kobiety, które zmarły w połogu. – Mówiłaś Dwightowi?

– Jeszcze z nim nie rozmawiałam. Ty dowiedziałeś się pierwszy, oczywiście.

Ross wziął fajkę i zaczął ją nabijać. Każda kolejna ciąża Demelzy była dla niego trudniejsza. Miał coraz więcej do stracenia. Liczył, że okres straszliwego niepokoju już nigdy się nie powtórzy.

– Jestem okropnym egoistą – powiedział. – Myślę tylko o tobie.

– To nie brzmi egoistycznie.

– Ale jest. Im staję się starszy, im oboje stajemy się starsi, tym bardziej polegam na tobie.

– Wiem, Ross. Ja też to czuję. To działa w obie strony. Czy to się teraz zmieni?

Zawahał się.

– Wcale się nie zmieni, jeśli będzie tak samo jak poprzednio.

– A zatem właśnie tak będzie.

Ugryzł się w język, nie chcąc denerwować żony swoimi lękami.

– Zastanawiam się, jak go nazwiemy – rzekła po chwili.

– Jego?

– Nie powinien być to chłopiec? To dość prawdopodobne. Mieliśmy trzy dziewczynki i tylko jednego syna.

– Na Boga żywego, gdy osiągnie pełnoletniość, będę miał dobrze po siedemdziesiątce! – rzucił Ross.

– Nieważne. Daleko ci jeszcze do siedemdziesiątki. Jestem zachwycona.

Spojrzał jej w oczy.

– Naprawdę?

– Tak! O tak! To cofa czas! Czuję się znowu młoda!

– Dziwne – powiedział. – Zawsze wydawałaś mi się młoda.

– Nazwiemy go Vennor – odparła. – Albo Drake. A może Francis.

– Dlaczego nie Garrick? – zasugerował Ross i uchylił się przed rzuconą poduszką.

Mimo to nie był rozbawiony. Wcale nie było mu do śmiechu.

IV

Do Anglii dotarły wiadomości o upadku Badajoz. Wielką fortecę zdobyto za ogromną cenę. Mówiono, że gdy wstał szary świt, Wellington płakał z powodu śmierci wielu swoich najlepszych oficerów. Poległ nawet generał Craufurd, dowódca lekkiej dywizji. A później nastąpiło straszliwe plądrowanie miasta – było to zgodne z surowymi prawami wojny, które przewidują, że twierdza powinna się poddać po dokonaniu przez szturmujących pierwszych wyłomów lub ponieść sprawiedliwą karę, lecz mimo to odznaczało się skrajnym barbarzyństwem. Na ulicach lało się strumieniami wino, wyważano drzwi, mordowano starców, gwałcono kobiety, rabowano. Gazety w Anglii zachowały dyskrecję, ale ludzie powtarzali ohydne plotki.

Czy Geoffrey Charles żyje? Do kraju nie dotarły jeszcze wieści o losie konkretnych uczestników bitwy z wyjątkiem nazwisk poległych wyższych oficerów.

Jeremy, wytrącony z równowagi rozmową z Cuby, pierwszego dnia po powrocie do domu postanowił odwiedzić Hayle. Maszyna parowa w Wheal Leisure pracowała dość dobrze, a oprócz niej wyzwania związane z kuźnią Harveya były jedynym sposobem zapomnienia o nieznośnej udręce. Paul był nieobecny, więc Jeremy przekonał Bena Cartera, by z nim pojechał. Pal diabli kopalnię – to tylko jeden dzień.

W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Jeremy niezbyt często odwiedzał Hayle – znacznie rzadziej niż wtedy, gdy wypływał z Nampary łodzią i udawał, że wybiera się na cały dzień na ryby. Nie stracił zainteresowania ideą budowy parowego pojazdu drogowego, lecz przede wszystkim chciał zaprojektować odpowiednią maszynę parową dla Wheal Leisure. Był to dla niego punkt honoru. Ojciec się zgodził – choć otwarcie wyrażał wątpliwości – i teraz zadanie zostało wykonane. W trakcie pracy, zarówno w Hayle, gdzie powstawały elementy urządzenia, jak i w kopalni, w trakcie ich montażu, nie było czasu na inne sprawy. Teraz mógł się nimi zająć. W istocie rzeczy musiał to zrobić – był to jedyny sposób, by zapomnieć o dręczących myślach o Cuby.

Kiedy dwaj młodzi ludzie dotarli do Hayle, przez godzinę dyskutowali o konstrukcji pojazdu. Oczywiście najważniejszym elementem był kocioł Trevithicka, zbudowany według projektu samego mistrza, choć w innym celu, najpewniej do młockarni podobnej do niedawno zamówionej przez sir Christophera Hawkinsa. Kocioł leżał w kącie kuźni, brudny i obrośnięty pajęczynami, a Jeremy natychmiast się nim zainteresował i w końcu zdołał go kupić do własnych celów. Wtedy odkrycie to wydawało mu się darem niebios, ale w czasie niedawnych wizyt w Hayle zdał sobie sprawę, że kocioł ma pewne wady. Największa z nich polegała na tym, że nie zaprojektowano go specjalnie jako części pojazdu drogowego – to właśnie pojazd należało dostosować do istniejącego kotła. Z początku wydawało się to drobną przeszkodą, ponieważ pojazd, który zamierzali zbudować, należało przedłużyć zaledwie o sześćdziesiąt centymetrów, by miał łącznie przeszło trzy metry długości – wtedy kocioł

zmieściłby się na nim bez trudu. Richard Trevithick kilkakrotnie robił podobne rzeczy, wykorzystał jedną z maszyn stacjonarnych jako napęd lokomotywy. W tej chwili pojawiło się kilka innych trudności, sprowadzających się głównie do tego, że nie można zmienić kształtu raz odlanego żeliwa. Osłona tłoka i wiele innych ruchomych części musiały spoczywać w określonych miejscach.

Mimo to Jeremy posuwał się do przodu. Z pomocą dwóch robotników oddelegowanych przez Harveya skonstruowano drewniany szkielet pojazdu; w przyszłym miesiącu zamierzano wykonać koła i przymocować je do szkieletu. Przygotowywano również inne części, które powinny zostać zamontowane w miarę postępu prac. Czterodrogowy zawór kurkowy miał być uruchamiany przez pręt biegnący od krzyżulca; z kolei boczne korbowody przymocowane do górnej części krzyżulca uruchamiałyby czopy korbowe w kołach napędzających. Jedno z owych kół napędzających byłoby wyposażone w koło zębate czołowe znajdujące się w jego wnętrzu i poruszane przez przekładnię zębatą przymocowaną do wału korbowego.

Jeremy był gotów pozyskiwać wiedzę z każdego źródła i rozłożył przed sobą na ławie rysunki pożyczone od lorda de Dunstanville'a, sporządzone przez Williama Murdocka, szkockiego konstruktora i wynalazcę, który do tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku był przedstawicielem Jamesa Watta w Kornwalii. Rzekomo były to jedynie modele, lecz zostały zbudowane i działały – lady de Dunstanville pamiętała, że jeden z pojazdów poruszał się kilka lat przed uruchomieniem pierwszej lokomotywy Trevithicka. Jeremy skopiował także kilka ilustracji z dzieł Williama Symingtona i Jamesa Sadlera.

Ben Carter niewiele z tego rozumiał, ale można z nim było rozmawiać o maszynach i miał inteligentne, praktyczne podejście do pracy, które często okazywało się użyteczne.

Prowadzili obliczenia rozmiaru koła zamachowego, gdy za ich plecami rozległ się głos:

– Cóż, moi drodzy, zdaje się, że robicie postępy?

Wielki, niedźwiedziowaty mężczyzna, wyższy nawet od Jeremy'ego, z przenikliwymi niebieskimi oczami, kościstą, szeroką twarzą i czarnymi włosami przetykanymi siwizną, które wyglądały, jakby od tygodnia nie widziały szczotki ani grzebienia. Miał na sobie granatową drelichową koszulę rozpiętą pod szyją, podniszczone spodnie z szerokim skórzanym pasem, szare wełniane pończochy i połatane trzewiki.

Jeremy natychmiast go poznał i otworzył usta ze zdumienia.

– Pan Trevithick!

– Tak. Znam cię, chłopcze, prawda? Widziałem cię w Londynie, gdy byłeś jeszcze malcem. Jeździłeś moją lokomotywą. Ty, twój ojciec i twoja matka. Jeremy Poldark, prawda?

Uścisnęli sobie ręce. Szczupła, wrażliwa dłoń Jeremy'ego znikła w niedźwiedziej łapie starszego mężczyzny. Przedstawił wynalazcy Bena Cartera.

W ciągu sześciu lat Trevithick bardzo się postarzał i nie wyglądał dobrze, lecz mówił z werwą i wigorem, które Jeremy dobrze pamiętał. Po chwili się odwrócił i spojrzał na częściowo ukończoną konstrukcję stojącą za jego plecami.

– A więc to tym się zajmujecie, moi drodzy? Chyba pamiętam ten kocioł. Ojciec zawsze poznaje swoje dziecko. Zbudowano go w Hayle pięć czy sześć lat temu, ale nigdy nie widziałem, żeby tak ładnie błyszczał. Zdaje się, że jeszcze nigdy nie pracował. Szykujecie go na wystawę?

Jeremy wyjaśnił, czym się zajmują, choć był prawie pewien, że Trevithick dobrze zna przeznaczenie kotła. Teraz, gdy kornwalijski wynalazca wrócił do Camborne, wydawało się mało prawdopodobne, by Henry Harvey, jego szwagier, nie wspomniał o sprzedaży kotła Jeremy'emu ani ambicjach młodego człowieka. Wydawało się również prawdopodobne, że Trevithick pojawił się w kuźni na zaproszenie Harveya, który zasugerował, by przyjechał do zakładu i obejrzał wszystko na własne oczy.

Jeremy, zażenowany, że jego mistrz widzi pojazd w początkowej fazie budowy, jąkał się, udzielając wyjaśnień. Trevithick zadał kilka pytań, po czym poprosił o możliwość obejrzenia schematu konstrukcyjnego przygotowanego przez Jeremy'ego. Dotykał planu grubymi palcami i mrużył oczy, by lepiej widzieć precyzyjne szkice.

Po chwili odłożył schemat na ławę i zapadło milczenie.

– Ładny rysunek, starannie wykonany – rzekł. – Dobra robota.

– Dziękuję panu – odparł Jeremy.

– Szkoda, że nie potrafię sporządzać tak czytelnych planów. Nigdy nie umiałem ładnie rysować. Bazgrzę jak kura pazurem.

– Ale tworzy pan dobre konstrukcje – stwierdził Jeremy.

– Słucham? Och, tak. Zgadzam się z tą opinią…

Kolejna chwila milczenia. Trevithick dotknął kciukiem podbródka, który zaszeleścił, pokryty kilkudniowym zarostem. Później wynalazca powoli pokręcił głową.

– Nic z tego nie będzie, panie Poldark.

Jeremy spojrzał na niego pytająco, lecz się nie odezwał.

– Nic z tego nie będzie – powtórzył wynalazca.

– To pana własny kocioł, panie Trevithick. Sam pan to powiedział.

– O tak, to rzeczywiście mój kocioł.

– Zdaje się, że zaprojektował go pan do młockarni, prawda? Pomyślałem, że właśnie takiego kotła wysokoprężnego potrzebujemy. Czy się nie nadaje?

– Nadaje się do młockarni – odparł Trevithick, w dalszym ciągu pocierając podbródek. – Ale dla waszych celów jest po prostu za duży, panie Poldark.

– Nie rozumiem. Często pan mówił…

– Proszę mi wierzyć. Nie ma nikogo, kto znałby się na tych sprawach lepiej ode mnie.

Czekali. Trevithick znów zmrużył oczy.

– A maszyna, którą pan zbudował w Pen-y-daren w Glamorgan? – spytał po chwili Jeremy. – Czy nie powtarzał pan, że różnica między kotłem zwykłej maszyny a kotłem pojazdu jest niewielka?

– To prawda. Prawda. Zasada działania jest taka sama. Najważniejsza jest moc urządzenia.

– Więc nie…

– Proszę zaczekać. Pojazd potrzebuje maszyny o dużej mocy, ale to nie wszystko. Niech pan jeszcze raz spojrzy na ten kocioł, chłopcze! Zastanowi się nad istotą problemu. Moja maszyna z Pen-y-daren ważyła przeszło pięć ton. Ta byłaby jeszcze cięższa. A w Pen-y-daren pojazd jeździł po szynach!

Jeremy zaczerwienił się aż po czubki włosów. Ben Carter spoglądał na Trevithicka, jakby nie rozumiał jego słów.

– Opowiem panu o maszynie z Pen-y-daren, chłopcze. Chodziło o zakład. Samuel Homfray, właściciel huty, założył się ze mną o pięćset suwerenów, że nie zbuduję lokomotywy, która przejedzie dwadzieścia kilometrów, ciągnąc wagon ważący dziesięć ton. Więc to zrobiłem. Moja lokomotywa mogłaby ciągnąć trzy razy tyle. Łatwizna! Zajęło nam to cztery godziny. Wystarczyłyby dwie, ale szyny łamały się albo wykrzywiały pod ciężarem kotła. Rozumie pan? Pojazd był za ciężki. Jak pan sądzi, co by się stało z pańską maszyną na drogach Kornwalii? Ugrzęzłaby po przejechaniu stu metrów! A pociąg Spróbujcie Mnie Złapać!, którym jeździł pan w Londynie. Wie pan, dlaczego z niego zrezygnowaliśmy? Bo szyny nieustannie się łamały!

– Ale przecież… W Kornwalii, jedenaście lat temu, odniósł pan sukces.

– O tak, synu, i mógłbym znowu zbudować taki pojazd, nawet jeszcze lepszy. O wiele lepszy. Tylko komu to potrzebne? Kto to sfinansuje?

Jeremy nie wiedział, co odpowiedzieć, więc zaczął zwijać studiowane przez siebie projekty innych inżynierów.

– To rysunek Murdocha, prawda? – spytał Trevithick. – Murdock miał wielki talent. Mógłby znacznie ulepszyć pojazdy parowe, ale Watt mu nie pozwolił. Watt zachowywał się jak pies ogrodnika. Może nawet kot ogrodnika? Kondensator pary. Na swój sposób sprytny wynalazek. Ale Watt jest ostrożny, przebiegły, podejrzliwy, skąpy, podły… Czy udoskonalił kocioł? Nie, traktował go tylko jako zbiornik wypełniony gorącą wodą. Niczego w nim nie zmienił, a przynajmniej nie chciał zmieniać. Gdyby Watt mógł postawić na swoim, kocioł dalej byłby zbiornikiem gorącej wody. Wiecie, co powiedział na mój temat? Że powinienem zadyndać na szubienicy za to, że udoskonalam kotły

wysokoprężne! – Trevithick się roześmiał. – Wiecie, że kiedyś próbował nakłonić Izbę Gmin do wydania ustawy zakazującej stosowania kotłów wysokoprężnych? Wiecie o tym?

Jeremy słuchał dalekich uderzeń młota.

– Mimo to w dalszym ciągu wierzy pan, że pojazdy parowe mają przyszłość?

– Na litość boską, mój drogi, naturalnie! Ale z małymi kotłami, coraz mniejszymi kotłami. Z coraz wyższym ciśnieniem. Dziesięć atmosfer! Jeśli chcecie skonstruować kocioł napędzający pojazd drogowy, powinien być nie większy od dużego bębna – takiego jak w orkiestrach wojskowych. Przed dziewięciu laty zbudowałem coś podobnego w Coalbrookdale. Sto dwadzieścia centymetrów średnicy, osiemnastocentymetrowy tłok o posuwie dziewięćdziesięciu centymetrów. Czterdzieści ruchów tłoka na minutę, co wymaga trzech cetnarów węgla na cztery godziny. Prawdziwy cud! Wszyscy pozostali konstruktorzy mówili, że taki mały kocioł nie wytworzy wystarczającej ilości pary! Podłączyłem ujście pary do komina i okazało się, że im szybciej pracuje maszyna, tym większy ciąg w kominie, a zatem i w palenisku, więc ogień się wzmaga!

– Więc uważa pan, że nasz kocioł jest bezużyteczny? – spytał nieszczęśliwym tonem Jeremy.

– Nie, chłopcze, to dobry kocioł, jeśli go odpowiednio wykorzystać… Ale nie jako napęd do pojazdu poruszającego się po drogach. – Trevithick zerknął na Jeremy'ego. – Niewątpliwie mógłby pan go użyć, by urządzić pokaz, przejechać kilkaset metrów, prawda? Wzbudziłoby to pewne zainteresowanie. Jeśli naprawdę chce pan czegoś dokonać, mógłby się pan zwrócić do tych pogan transportujących rudę między Portreath a Poldice i spytać, czy nie chcieliby zrezygnować z koni i przestawić się na parę. Maszyna, którą pan buduje, niewątpliwie by się nadawała, gdyby ułożyć odpowiednio mocne szyny.

– Rozmawiał pan z nimi?

– Nie. Zajmuję się innymi projektami. – Trevithick odetchnął głęboko. – Budowa falochronu w Plymouth… Wysokoprężna maszyna parowa z żurawiem dla kopalni Dolcoath… Wysokoprężna pompa górnicza… Planuję skonstruować pionową maszynę parową systemu Barkera, by napędzała statek… Poza tym zamierzam zbudować kultywator i ulepszoną młockarnię. Nie, nie mam czasu na pojazdy drogowe. Nie ma w tym pieniędzy, panie Poldark. Jest pan dżentelmenem i może pan finansować eksperymenty. Ale ja – nie tak dawno uznany przez sąd za bankruta – muszę się zająć zyskowniejszymi projektami.

Zapadła cisza. Dalekie dźwięki młota ucichły. Obok przeszedł robotnik z pustą taczką. W brudne okno kuźni nagle uderzyły strugi ulewy.

– Cóż, Ben, wygląda na to, że robimy z siebie durniów… – powiedział Jeremy.

– Wręcz przeciwnie, chłopcze. – Trevithick chwycił młodego człowieka za rękę, gdy ten się odwracał. – To początek nowej epoki. Pana projekt to cenne doświadczenie. Zaczęliście przed innymi i zyskaliście przewagę! Ma pan talent, to oczywiste – nawet w tych rysunkach widać, że przewidział pan trudności i starał się je przezwyciężyć. Niewielu byłoby w stanie tego dokonać… Niech pan popatrzy…

– Tak?

– Obejrzyjmy razem te rysunki. Ma pan inkaust?

– Nie. Jest tylko ołówek.

– Dobrze. Mogę rysować na odwrocie?

Jeremy skinął głową.

– Proszę popatrzeć. – Trevithick zaczął szkicować grubymi kreskami, niezręcznie jak dziecko. – Potrzebujecie maszyny tego rodzaju. O tak, tak, tak. Nie kotła wypełnionego wodą, tylko kotła złożonego z rur. Wielu rur zawierających wodę. Wielu, wielu rur. Jak ludzkie trzewia, rozumie pan? Powinien być mały, bardzo mały, ale zawierać mnóstwo rur z paleniskiem w środku. Ciśnienie wzrosłoby nawet do czternastu atmosfer! Taka maszyna to praktycznie niewyczerpane źródło energii, a poza tym jest mała i lekka, rozumie pan?

– Tak – odparł Jeremy. – Jeśli…

– Oto kocioł parowy przyszłości, chłopcze – zwłaszcza do pojazdów. Jest jednak pewna przeszkoda.

– Jaka?

– Gdybym zaprojektował teraz taką maszynę, kto potrafiłby ją wykonać dostatecznie precyzyjnie? W Kornwalii nie ma nikogo takiego – na razie. To się zmieni. Nie brakuje nam pomysłów, idei, lecz praktycznego sposobu realizacji. To problem konstrukcyjny, chłopcze, nie wynalazczy. Mogę opracować projekt, inni muszą go zrealizować… Może w Londynie albo w środkowej Anglii – to precyzyjna praca mechaniczna, jak przy wyrobie zegarów. Właśnie tego nam potrzeba, ale jeszcze nie mamy odpowiednich fachowców. Z każdym rokiem robią postępy. To tylko kwestia czasu. Może dziesięciu lat? Może mniej? Później zbuduje pan swój pojazd parowy, chłopcze. A ja poproszę o pozwolenie, by przejechać się nim z panem jako pierwszy!

Rozdział siódmy

I

Wkrótce po powrocie z Truro Clowance spotkała się ze Stephenem w stróżówce. Opowiadała mu o przedstawieniu teatralnym, gdy chodzili po swoim przyszłym domu, trzymając się za ręce. Kiedy mieszkał tu Dwight, wygodnie umeblował dwa pokoje i zatrudniał jednego służącego. Clowance i Stephen patrzyli na zwieńczoną blankami wieżyczkę, w której znajdowały się dwie główne sypialnie, i wyglądali przez wąskie gotyckie okna salonu. Budynek był podniszczony, lecz tylko powierzchownie. Wzniesiono go z granitu, podobnie jak Trenwith, i nie mogły mu zaszkodzić nawet kornwalijskie wichury.

– Wprowadzę się za dwa tygodnie – powiedział Stephen. – Te pokoje są w dość dobrym stanie i będę mógł szybciej remontować resztę, jeśli tu zamieszkam. Zbliża się lato, nie boję się odrobiny wilgoci.

– Przykro mi, że dom nie jest ładniejszy, Stephen. Szkoda, że nie zamieszkasz w lepszych warunkach.

– To mnie jest przykro, że ty nie zamieszkasz w lepszych warunkach. A zresztą – jeszcze dziesięć lat temu ta stróżówka wydawałaby mi się zamkiem Windsor!

Ścisnęła mu dłoń.

– Jak ci się układa z Wilfem?

– Prawie się nie odzywa, po prostu kiwa głową i chrząka. Znałem kiedyś młynarza w pobliżu Dursley, zachowywał się tak samo. Może też powinienem kiwać głową i chrząkać, kiedy mnie o coś prosisz.

– Spróbuj tylko! Ale Wilf jest dość miły.

– Miły? Nie nazwałbym tego w ten sposób. Nie ma w nim złości, jestem pewien… Jego żona ma więcej rozumu.

– Mary? Wiedziałam, że to zauważysz. Bardzo pomaga w kościele. Nie wiem, co Odgersowie by bez niej zrobili. Szkoda, że są bezdzietni.

– Kapitan Poldark sugerował, że w końcu mógłbym przejąć młyn, ale Wilf nie jest jeszcze stary. Wątpię, czy jest dziesięć lat starszy ode mnie. Upłynie dużo czasu, nim pomyśli o przejściu na emeryturę.

– To dopiero początek, Stephenie.

– Tak, to dopiero początek. Mimo wszystko jeszcze raz zszedłbym do kopalni, żeby cię zdobyć.

– Cóż, nie musisz…

– Wiesz, co robiłem w niedzielę i wczoraj, gdy cię nie było?

– Nie.

– Jeremy nie powiedział ci, że pożyczyłem jego kuca? Pojechałem do Penzance. To daleka droga dla kuca, więc spędziłem noc pod żywopłotem. Wróciłem dopiero wczoraj rano. Clowance…

Popatrzyła na niego.

– Coś się stało?

– Nie, zupełnie nic… Clowance, czy masz jakieś własne pieniądze? Gotówkę.

– Trochę. Jaką kwotę masz na myśli? Szylingi czy funty?

– Funty.

– Na stróżówkę? Żeby zapłacić za remont?

– Nie, nie. Nie o to chodzi.

– Ale na coś ich potrzebujesz?

– Ile masz?

– W banku trzydzieści funtów. W domu sześć funtów i pięć szylingów.

– Pożyczyłabyś mi?

– Wszystko?

– Wszystko.

– Oczywiście.

Pogładził ją po dłoni.

– Musisz mi zaufać. Jak szybko możesz zdobyć pieniądze?

– Sześć funtów natychmiast. Trzymam je pod łóżkiem. Resztę musiałabym wypłacić z banku. Powinnam pojechać do Truro albo kogoś posłać. Kiedy chciałbyś je dostać?

– Najpóźniej w przyszły poniedziałek.

Clowance uniosła dłoń do włosów.

– Zdaje się, że w piątek Zacky Martin ma pojechać do Truro w interesach ojca. Załatwiłby to po cichu, jako przysługę. A może nie masz nic przeciwko temu, żeby powiedzieć ojcu?

– Mam. Widzisz…

– Tak?

– Jak wiesz, zainwestowałem w Wheal Leisure. Kupiłem dwa udziały za czterdzieści funtów. Ale po uruchomieniu maszyny akcjonariuszy wezwano do dokonania następnej wpłaty. Ostrzegano mnie przed tym, gdy inwestowałem pieniądze, a ja podjąłem to ryzyko. Wydałem kolejne czterdzieści funtów i zostałem prawie bez grosza. Chyba nie mam nawet dziesięciu funtów. Teraz chciałbym trochę pożyczyć, a twój ojciec by się nie zgodził, żebym je wziął od ciebie.

– W takim razie poproszę Zacky'ego. Wiem, że to dla mnie zrobi. W jakiej postaci chcesz dostać pieniądze?

– W gotówce, jeśli to możliwe. Mogą być banknoty, jeśli pochodzą z Banku Anglii. Najlepsze byłyby złote gwinee.

– W porządku – odparła Clowance. – Rano poproszę Zacky'ego.

Obok bramy znajdował się niski murek. Stephen delikatnie przycisnął do niego Clowance i pocałował ją.

– Nie chcesz wiedzieć, na co potrzebuję pieniędzy?

– Naturalnie. Umieram z ciekawości. Ale wiem, że i tak kiedyś mi powiesz.

Znów ją pocałował.

– Cudowna dziewczyna. Powiem ci teraz.

Zrobił to.

II

Pod koniec tygodnia zerwał się wściekły huragan, który całkowicie zniszczył ogród Demelzy. Stała przy oknie, patrząc na kolejne kwiaty złośliwie pozbawiane pąków, i po raz pierwszy w życiu była wściekła jak kocica. Cała rodzina zdawała sobie z tego sprawę, rozumiała przyczynę i zachowywała się ostrożnie w obecności matki. Demelza czuła się okropnie, ponieważ wiatr nie słabł ani na chwilę, aż wreszcie urwał wszystkie pąki. Pozostały tylko szpetne łodygi kołyszące się na wietrze. Można było odnieść wrażenie, że kornwalijski klimat szydzi z jej wysiłków – najpierw pozwolił kwiatom zakwitnąć w ciepłych promieniach kwietniowego słońca, gdy panował spokój, a potem zniszczył ogród jak złośliwe dziecko.

Wiatr wyrządził szczególne szkody w Penzance. Wcześniejsza wichura z południowego wschodu zmusiła kilka statków do schronienia się na redzie, po czym wiatr skręcił na południowy zachód i zmienił się w huragan. Nieliczne jednostki, które zdołały przycumować do nabrzeża portowego, wyszły bez szwanku, ale pozostałe, znajdujące się na zawietrznej, musiały przeciąć liny kotwiczne i wpadły na mieliznę. Kilka próbowało stawić czoło sztormowi i zatonęło. Wśród zniszczonych jednostek był transportowiec Gauge, dowodzony przez Johna Aldridge'a, wiozący drewno dla marynarki wojennej z Bideford do Deptford – wpadł on na skałę August, a pięciu członków załogi utonęło na oczach gapiów stojących na brzegu. Nimble, dowodzony przez Adama Gribble'a, płynący z Cardiff do Londynu, również zatonął, choć liczba ofiar była mniejsza. Taki sam los spotkał United Friends, dowodzony przez Henry'ego Geacha, płynący ze Swansea do Fowey; Williama Charlesa, pod dowództwem Edwarda Amery'ego, w drodze z Jersey do Swansea; Nancy, pod dowództwem Josepha Jolly'ego, w drodze z Bideford do Plymouth oraz Nettel, pod dowództwem Arthura Morrisa, w drodze z Falmouth do Fowey.

Lista nie obejmowała statków zniszczonych w okolicach Penzance.

Mimo to w środę, jak zapowiadano, zorganizowano licytację łodzi ratowniczej – zakupiło ją za dwadzieścia gwinei dwóch młodych ludzi spoza miasta.

Rossa, który nie zdawał sobie sprawy ze związku między tymi wydarzeniami, zirytowało nagłe zniknięcie przyszłego zięcia. W poniedziałek Stephen wziął kuca Willa Nanfana – zwykle pożyczał konia od Jeremy'ego – i zapadł się pod ziemię. Wilf Jonas myślał, że Stephen rozpocznie pracę w młynie w poniedziałek o siódmej rano, lecz został bez pomocnika. Clowance po raz pierwszy w życiu okłamała rodziców i oznajmiła, że nie ma pojęcia, gdzie jest Stephen. (Lecz może było to tylko częściowe kłamstwo, ponieważ nie pytali, czy wie, co robi Stephen, a jeśli chodzi o miejsce jego pobytu, mógł być w Penzance, bo tam się wybierał, tyle że od wyjazdu minęło kilka dni i w tej chwili mógł przebywać w zupełnie innym miejscu).

Nikt nie zauważył, że razem ze Stephenem zniknął Paul Kellow. Naturalnie Paul często przebywał poza domem, czasem nawet ponad tydzień, a Poldarkowie nie widywali się z Kellowami jeszcze dłużej. Clowance odwiedziła chorą Violet, wysłuchała domysłów, dokąd mógł pojechać jej podły brat, i wszystkiego się domyśliła.

Poza tym nikt nie wiedział, co się dzieje. Kiedy młodzi ludzie wrócili, jako pierwszy zobaczył ich Dwight Enys.

III

W następny czwartek, trzydziestego kwietnia, Caroline jeździła konno przez całe popołudnie i wieczór. Kiedy przybyła do domu, okazało się, że Dwight już wrócił, a dwie córki, Sophie i Meliora, czekają, by opowiedziała im bajkę na dobranoc.

Wbiegła do salonu, odświeżona i zarumieniona, po czym znów wybiegła, nie zwracając uwagi na rozdzierające krzyki dziewczynek.

– Kolacja za kwadrans, doktorze Enys! – rzuciła przez ramię.

Dwight wkrótce do niej dołączył i jedli dorsza w sosie krewetkowym, steki baranie z ostrygami i pudding cytrynowy.

– Naprawdę się upierasz, by jutro nie jechać? – spytała.

– Harriet wcale nie zależy na mojej obecności! W ogóle nie jestem potrzebny. To twoja przyjaciółka. Zresztą zależy im na cichym ślubie.

– Wiesz, że nie lubię chodzić bez ciebie na oficjalne uroczystości.

– Wiem, ale będzie z tobą Myners… Nie powinnaś w ogóle jechać, jeśli utrzyma się zła pogoda.

– Wspomniałam o tym Harriet. Oczywiście panna Darcy zaproponowała, bym spędziła u niej dwie noce, ale się nie zgodziłam. Ślub odbędzie się w południe, co oznacza, że powinnam wyjechać tuż po dziewiątej. Wrócę około szóstej.

– Cały dzień…

– Wiesz, że lubię jeździć konno. Spędzam połowę życia w siodle.

Przez chwilę jedli w milczeniu.

– Myślisz, że to małżeństwo będzie udane? – spytał Dwight.

– Nie mam pojęcia, mój drogi. Są zupełnie inni. Jednak podejrzewam, że Harriet mimo wszystko coś do niego czuje, co na pewno pomoże. Nigdy o tym nie wspomniała, ale czytając między wierszami – a raczej między pauzami – nabrałam takiego przekonania. A George jest nią zauroczony. Wiesz, jaki to niewiarygodny snob. Może jest w tym coś więcej… Elizabeth, zawsze delikatna, była damą w najlepszym znaczeniu tego słowa. Harriet, jeśli można tak powiedzieć, jest niedelikatna – to dama w najgorszym znaczeniu tego słowa, co zdumiewa George'a i sprawia mu ogromną przyjemność. Naturalnie nie mogę przewidzieć, jak to się skończy. Przynajmniej jeszcze nie mam poczucia winy, że tak jawnie zaaranżowałam ich spotkanie.

– Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży, choćby tylko ze względu na Harriet. Może również trochę ze względu na George'a. Nie jest przyjemnie oglądać człowieka, nawet niesympatycznego, tak samotnego jak George po śmierci Elizabeth.

Służący zabrał talerze.

– Baranina była twarda? – spytała Caroline.

– Kochanie, przed kilkoma godzinami zjadłem wspaniały obiad. Nie zmuszaj mnie, żebym jadł jak wtedy, gdy opuściłem francuskie więzienie.

– Wyglądasz tak samo… Cóż, jak spędziłeś dzień? Nie ośmielę się komentować, bo pomyślisz, że w dalszym ciągu stosuję teorie Malthusa do codziennego życia Sawle.

Dwight się roześmiał.

– W Sawle było prawie jak zwykle… Kilku nieuleczalnie chorych pacjentów. Jednego nowego się nie spodziewałem.

– Kogo?

– Znasz rodzinę Thomasów? Starszy brat ma na imię John. Młodsi to Art i Music.

– Music śpiewa w chórze?

– Tak. Jest trochę… trochę mało rozgarnięty, ale wcale niegłupi. Kilka miesięcy temu spytał, czy mógłbym mu pomóc.

– W jaki sposób?

– Nie staje się mężczyzną. Głos i sposób chodzenia. Inne kwestie. Wydawało mi się, że to zwykły defekt fizjologiczny. To się czasami zdarza, choroba krwi albo gruczołów, nigdy nie wiadomo. Niektórzy z moich kolegów obwiniają humory.

– Czego chciał?

– Czy mogę mu powiedzieć, dlaczego nie jest normalny. Jeśli ktoś o to pyta, to niezwykła oznaka. W ciągu ostatniego roku bardzo się zmienił. Dziś spytałem, co się stało, a on wyjaśnił. Spodobała mu się dziewczyna.

– Wielki Boże! – zawołała Caroline. – Nie przypuszczałam, że ma takie ciągotki!

– Ani ja…

– Kim jest szczęśliwa wybranka?

– To siostra Bena, Katie Carter. Jest pokojówką u Pope'ów, gdzie Music pracuje jako stajenny.

– Wie?

– Nie sądzę. Choć jeśli się nie mylę, kobiety zwykle zdają sobie z tego sprawę.

– Ja wiedziałam – odparła Caroline. – Sądzę, że byliśmy bardziej spostrzegawczy. Mam przynajmniej taką nadzieję.

– Zagadnął mnie dziś po południu, znowu pytał. Przyszło mi do głowy, że niekiedy – w jednym przypadku na sto – to umysł powstrzymuje rozwój ciała. Coś się wydarzyło w przeszłości i w rezultacie umysł nie akceptuje zmiany, rozwoju, odpowiedzialności. Człowiek pozostaje dzieckiem, nie jest zdolny do prowadzenia normalnego życia.

– A Music?

– Nie wiem. Przyszedł dzisiaj. Dla bezpieczeństwa poprosiłem Clotworthy'ego, żeby był obecny w czasie badania… Moim zdaniem Music jest normalny. Nie ma żadnych oznak atrofii ani niedorozwoju. Nie ma też oznak… Powiedział mi, że chodzi na palcach, bo jako dziecko poparzył sobie stopy, ale nie ma blizn ani śladów oparzeń. To sugeruje, że przyczyną jest psychika.

– Możesz mu pomóc?

– Kazałem mu ćwiczyć. Głos i mięśnie łydek.

Caroline wypiła łyk czerwonego bordeaux pochodzącego z przemytu.

– Może przestać śpiewać w chórze.

– Mam nadzieję. Życie to nie śpiew. Ale…

– Rozmawiałeś z jego braćmi?

Dwight znieruchomiał, trzymając łyżeczkę nad puddingiem.

– Nie. Ale to dobra myśl. Pomówię kiedyś z Johnem. Jest najbardziej odpowiedzialny z całej trójki.

– Może jeszcze zrobisz z niego mężczyznę, kto wie? – powiedziała Caroline.

– Dobrze, że próbuje coś zmienić. Sama chęć to połowa sukcesu. Jeśli okaże determinację

– a jestem pewien, że jeszcze nigdy tak się nie zachowywał – nie wiadomo, jakie będą rezultaty.

Obok chrząknął służący.

– Bardzo przepraszam, sir, ale przy drzwiach czeka dwóch młodych ludzi, którzy chcieliby się z panem widzieć. To chyba sprawa medyczna, sir.

– Podali nazwiska?

– Tak, sir. Pan Paul Kellow i pan Stephen Carrington.

– Paul?! – powiedziała Caroline. – Dziwne. Nie powinniśmy poczęstować ich kieliszkiem wina?

– Skoro to sprawa medyczna, może powinienem najpierw z nimi porozmawiać – odparł Dwight, wstając z fotela. – Nie masz nic przeciwko temu? Później mogą się z nami napić, jeśli będą mieli ochotę.

Na parterze w holu siedzieli w fotelach dwaj młodzi mężczyźni. Wydawali się zmęczeni. Paul miał głowę obwiązaną poplamionym bandażem i drugi bandaż na prawym nadgarstku, a Stephen trzymał sztywno wyciągniętą nogę.

Po kilku minutach zabłocone i zakrwawione ubrania leżały na podłodze gabinetu.

– Przyjechaliście w tym stanie z Plymouth? – spytał Dwight.

– Nie w ciągu jednego dnia – odpowiedział Paul. – Wczoraj opuściliśmy Plymouth i przenocowaliśmy w Falmouth. Musieliśmy odebrać swoje kuce w Penzance. Nie kursują tam dyliżanse, więc jechaliśmy wozem. Wróciliśmy do domu dziś wieczorem. Jazda była ciężka.

– Najniebezpieczniejsza jest rana Carringtona – rzekł Dwight, wycierając ręce. – Na szczęście kula z muszkietu przeszła przez mięsień uda i pojawiło się tylko lekkie zaczerwienienie. Kule z muszkietu są zwykle czyste. Opatrzę ranę i zobaczymy, jak będzie wyglądać jutro. Kiedy cię postrzelono?

– W poniedziałek wieczorem – odpowiedział Stephen. – Paul też został wtedy ranny.

– Jego obrażenia nie są poważne – ocenił Dwight. – Siniaki i rana na głowie przypuszczalnie przestaną sprawiać kłopoty za kilka dni. Podobnie zwichnięty nadgarstek… Doszło do bójki?

Stephen się roześmiał.

– Chyba można to tak nazwać. W przyszłości będę z daleka omijał Plymouth.

– Amen – dodał Paul.

– Pojechaliśmy do Plymouth w interesach, doktorze Enys – powiedział Stephen. – Zwykłych, niewinnych, uczciwych interesach, lecz spotkaliśmy kilku dżentelmenów, którzy usiłowali nas przekonać, byśmy wstąpili do królewskiej marynarki wojennej.

– Oddział werbunkowy? – spytał Dwight.

– Tak. Prowadzący przymusową brankę. Zgadł pan, doktorze. Nie miałem ochoty na służbę w marynarce, podobnie jak pan Kellow. Oni przekonywali, myśmy się wzbraniali. Doszło do sprzeczki, próbowali nas zmuszać i zaczęliśmy się bronić. Stąd nasze rany. Jego Królewska Mość ma teraz dwóch upragnionych marynarzy mniej, ale przysięgam, że kilku członków oddziału werbunkowego ma również siniaki i skaleczenia.

Dwight się roześmiał. Otrzymawszy pomoc medyczną, młodzi ludzie wyraźnie poweseleli, jakby teraz, gdy niebezpieczeństwo minęło, przygoda w jakiś sposób ich ożywiła. A może była jeszcze inna przyczyna?

– Dam wam wyciąg z kory peruwiańskiej – powiedział. – Zażywajcie ją trzy razy dziennie, dopóki rany się nie zagoją. A tymczasem moja żona życzy sobie, abyście wypili z nami kieliszek madery.

IV

W istocie rzeczy była to rozpaczliwa, krwawa walka.

Stephen wziął ze sobą Paula nie tyle z powodu dwunastu funtów pożyczonych z okutej kasetki z pieniędzmi, ile dlatego, że Paul był w Penzance dobrze znany w kręgach kupieckich i gdyby zakwestionowano *bona fides* Stephena, niewątpliwie mógłby znaleźć ludzi, którzy by za niego poręczyli nie tylko z uwagi na to, że dysponował gotówką. Spędzili pół godziny w obskurnym lobby hotelu Union wraz z przeszło dwudziestoma mężczyznami różnej kondycji, po czym wreszcie zakupili łódź ratowniczą, lecz po wpłaceniu wylicytowanej kwoty musieli jeszcze coś załatwić. Należało umieścić

łódź w porcie w Penzance – i zapłacić zaliczkę z tego tytułu – albo popłynąć do ruchliwszego portu, gdzie istniały większe szanse na szybką sprzedaż.

– Pogoda była dobra – stwierdził Stephen, gdy później opowiadał o wszystkim Clowance. – Wichury ustały, więc szybko się rozejrzałem. Po porcie kręciło się kilku odpowiednich chłopaków, trzymali ręce w kieszeniach, mieli dziurawe spodnie, żuli prymki tytoniu. Powiedziałem Paulowi, że powinniśmy sprzedać łódź w Plymouth. Nadbudują pokład, wyposażą i będzie się nadawała do różnych rzeczy. Ktoś natychmiast ją kupi, to tylko pół dnia rejsu, kilka godzin wiosłowania, jeśli zapadnie cisza morska. „Paul – powiedziałem – masz w Plymouth przyjaciół, którzy wiedzą, co jest grane. Ci chłopcy chętnie popłyną jako załoga za gwineę. Jeśli do rana pogoda się nie zmieni…". Zgodził się i popłynęliśmy do Plymouth.

– I sprzedaliście łódź?

– Znalezienie kupca zajęło prawie cztery dni – dłużej, niż się spodziewałem. Ale w końcu się udało. Popłynęło z nami dwóch chłopaków, okazało się, że nie trzeba wiosłować. Zapłaciłem każdemu gwineę i pokryłem koszty powrotu do domu. Byli w siódmym niebie. Oczywiście nie zostali w Plymouth. Następnego dnia pojechali wozami do Penzance, więc nie spotkały ich żadne przykrości. Żadne. Szkoda, że my mieliśmy mniej szczęścia, ale cóż, wszystko skończyło się dobrze.

– Jak to się stało, że natknęliście się na…

Twarz Stephena spochmurniała, później chrząknął i się uśmiechnął. Ogólnie rzecz biorąc, był uczciwym człowiekiem – uczciwym w stosunkach osobistych – i chciał powiedzieć Clowance szczerą prawdę, jednak zdawał sobie sprawę, że musi zrobić to oględnie.

– Myślę, że to moja wina. Bardziej moja niż Paula. Kiedy dostaliśmy pieniądze, policzyliśmy i upewniliśmy się, że wszystko załatwione, zatarliśmy ręce z radości, a ja powiedziałem do Paula: „Wrócimy do domu w wielkim stylu, kupmy bilety na dyliżans u jednego z twoich konkurentów i jedźmy jutro". Poszliśmy do hotelu Royal i dowiedzieliśmy się, że dyliżans o nazwie Samoobrona odjeżdża o ósmej rano i dociera do Truro, skąd można znaleźć połączenia do Hayle i dalej. Powiedziałem, że przejedziemy całą trasę, przenocujemy w Penzance, odbierzemy swoje kuce i ruszymy do domu. Paul się zgodził. Wiesz, że ojciec Paula i jego wspólnicy zlikwidowali linie dyliżansowe prawie na tych samych trasach?

– Jakich trasach?

– Tych, którymi wracaliśmy do domu.

– Nie, nie wiedziałam.

– Ich dyliżanse wyruszają z Torpoint, ale obsługują ten sam kierunek. Linia okazała się nieopłacalna i Paul chciał zobaczyć, jak działa konkurencja z Plymouth. Paul uważa, że pasażerowie wolą wsiadać w Plymouth i przekraczać rzekę w dyliżansie, a nie przeprawiać się na własną rękę i wsiadać do dyliżansu po drugiej stronie. Możliwe, choć to nie moja sprawa, ale Paul chciał przenocować w hotelu Royal i spędzić tam wieczór, by się czegoś dowiedzieć z rozmów z ludźmi. Znasz mnie, prawda? Mam nadzieję, że mi wierzysz, kochana. Nigdy przed tobą nie ukrywałem, że często robię rzeczy pod wpływem impulsu, jestem trochę lekkomyślny, skłonny do brawury. Byłem szczęśliwy z udanej transakcji! Chciałem przenocować w hotelu Royal, ale doszedłem do wniosku, że wieczór będzie nudny, więc poszliśmy do tawerny w porcie, o której wcześniej słyszałem. Pomyślałem, że można tam wypić kufel piwa, a Paul się zgodził.

– Znaleźliście sobie dwie dziewczyny? – spytała Clowance.

Stephen nigdy nie miał takiego zamiaru, więc wydawał się szczerze wstrząśnięty.

– Na Boga, czy naprawdę mnie o to podejrzewasz?!

– Przepraszam – odparła Clowance i pogładziła go po dłoni. Oburzenie Stephena nieco ją uspokoiło.

– Cóż… byliśmy tam zaledwie godzinę, gdy gwałtownie otworzyły się drzwi i do środka wpadło siedmiu lub ośmiu żołnierzy z oddziału werbunkowego. Dwóch oficerów. Przez kilka minut trwało pandemonium, ale żołnierze mieli muszkiety i wydawało się, że wszystko stracone. Wyobrażasz sobie, jak się czułem?

– Mów dalej – rzekła cicho.

W tym momencie należało zachować ostrożność. Przypomniał sobie całą scenę. Niska sala, kufle i kieliszki na szynkwasie, dwaj spoceni oberżyści, jednonogi mężczyzna siedzący na stołku w rogu i grający na harmonii, dwa parszywe psy, które wślizgnęły się do środka, grupa marynarzy z fregaty, ślepiec wybijający rytm pustym kuflem, dwaj pijacy śpiący w kącie na posypanej trocinami podłodze, hałas, dym, gorąc i chóralne śpiewy. A później nagła inwazja żołnierzy, przerwanie piosenki, krzyki, bieg wokół sali, by odciąć obecnym drogę ucieczki, głosy oficerów, wykrzykiwane rozkazy. Kilka osób zaczęło się szamotać, w tym Paul, który odepchnął jednego z żołnierzy i krzyknął, że jest dżentelmenem, po czym otrzymał cios w głowę.

– Mów dalej – powtórzyła Clowance.

– Nigdy nie zostałem siłą wcielony do marynarki wojennej. Wiesz o tym, prawda? Choć kilka razy było blisko. Po pierwszej kradzieży jabłek nigdy mnie nie złapano. Kiedy człowiek daje się złapać, nie jest to przyjemne uczucie. I nagle właśnie tej nocy znalazłem się w gospodzie z sakiewką wypełnioną złotem – połowa należała do ciebie, drugą połowę wziąłem niepotrzebnie. Pomyślałem, że… czekasz na mój powrót. Właśnie to było najgorsze. Czekałaś na mnie. Gdybym się poddał, wszystko bym stracił!

Skrzywił się, poruszywszy nogą. Clowance słuchała dalej.

– Kiedy służyłem na Unique, oddziały werbunkowe zawsze na nas polowały. Ludzie pływający na okrętach korsarskich to najlepsi marynarze, rozumiesz. Jeśli marynarka wojenna abordażuje okręt korsarski, nigdy nie zabiera szczurów lądowych. Często bardziej baliśmy się angielskich fregat niż Francuzów. Ale nigdy mnie nie złapali. Teraz… cóż, w gospodzie był tłok – na szczęście dla nas. Zajęło im trochę czasu ustawienie schwytanych ludzi, sprawdzenie, kogo mają w sieci. Za moimi plecami znajdowały się drzwi do drugiej sali. Pilnował ich marynarz z muszkietem. Widziałaś nóż, który noszę?

Popatrzyła na niego rozszerzonymi oczami.

– Drzwi nie były zamknięte na klucz, chodziły na sprężynie. Cóż, musiałem dźgnąć tego marynarza… Paul stał obok mnie, trzymając się za obolałą głowę, ale kiedy marynarz upadł, wypchnąłem Paula przed sobą za drzwi. Marynarze nie mogli strzelać, bo trafiliby innych ludzi w szynku. Przebiegliśmy przez te drzwi i przez następną salę, jakby goniła nas śmierć. I rzeczywiście goniła. Kiedy wypadliśmy na ulicę, otworzyli ogień. Właśnie wtedy dostałem w nogę, ale na szczęście mogłem dalej biec. Ta część miasta, nad rzeką, to labirynt zaułków. Skręcaliśmy, kluczyliśmy, brakowało nam tchu. To zabawne, jak człowiek staje się tchórzem, gdy zaczyna uciekać. Cały się trzęsie ze strachu… Przypomniały mi się czasy, kiedy wiele lat temu uciekłem z kopalni… – Stephen znów zmienił pozycję. – Nie ścigali nas daleko, bo inaczej straciliby resztę schwytanych ludzi. Udało nam się znaleźć pompę. Oderwałem kawałek koszuli, obwiązałem nogę i zatamowałem krwotok. Paul nie rzucał się w oczy tak jak teraz – siniaki pojawiły się później. Doprowadziliśmy się do porządku i postanowiliśmy jakby nigdy nic wrócić do hotelu. Nikt nic nie zauważył. We środę wsiedliśmy do dyliżansu. Przyznaję, że poczułem wielką ulgę, gdy wyjechaliśmy z Plymouth. Mogli skontrolować dyliżans i nas złapać.

Clowance wstała, podeszła do okna, po czym odwróciła się i spojrzała na Stephena z większej odległości. Kiedy znajdował się blisko, zawsze wypaczało to jej sądy.

– A marynarz?

– Który?

– Ten, którego…

– Och, lekko go ukłułem. Wstawał na nogi i zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem.

– Nigdy nie powinieneś się tam wybierać!

– Do Penzance? Plymouth? Czy do tawerny?

– Co mam odpowiedzieć?

– Clowance, kochana, podejmowanie ryzyka leży w mojej naturze. Wychowywałem się w trudnych warunkach, wiesz o tym. Życie zawsze było dla mnie walką. Czymś w rodzaju walki. Jeśli kot zdziczeje, trudno go oswoić. Tak bardzo chcesz mnie oswoić?

Wzruszyła ramionami.

– Nie jestem pewna.

Uśmiechnął się do niej, ukazując złamany kieł. Wyraz twarzy Stephena sprawił, że poczuła przypływ ciepła. Nie chciał z nią walczyć.

– Każdy, kto pojawia się w porcie, zawsze naraża się na przymusowe wcielenie do marynarki wojennej. Zwłaszcza marynarz. Powinienem wcześniej o tym pomyśleć. Przyrzekam, że następnym razem będę o tym pamiętał.

– Będzie następny raz?

– Może nie. To mało prawdopodobne, gdy mam tak wiele do stracenia, prawda?

– Popełniłeś błąd.

– Tak, przyznaję, jestem winien. Ale nie zastanawiałem się, co się może stać. Nie dostrzegałem ryzyka. Przynajmniej… Wszystko dobrze, co się dobrze kończy.

Lekko się uśmiechnęła, niepewna.

– Naprawdę?

– A nie?

– Chyba tak, skoro tak mówisz.

Wstał powoli i wyjął sakiewkę z wewnętrznej kieszeni luźnej bluzy.

– Oto twoje pieniądze, kochana. Trzydzieści sześć funtów. Po ślubie może przyjmę twoje pieniądze, ale teraz mogłem je tylko pożyczyć.

Spojrzała na sakiewkę, jednak nie wyciągnęła ręki. Postawił woreczek na stole z brzękiem, który sprawił mu wyraźną przyjemność.

– Bardzo dziękuję za pożyczkę. Sprzedałem łódź za osiemdziesiąt funtów. Co o tym sądzisz? Zyskałem pięćdziesiąt dziewięć funtów. Zapłaciłem Hoare'owi i Stevensowi po gwinei, a Paulowi dwadzieścia. Jedzenie, trunki i podróż kosztowały jakieś pięć funtów. Czysty zysk to około trzydziestu funtów. A ty odzyskałaś swoje pieniądze. Pocałujesz mnie za to?

Rozdział ósmy

I

George Warleggan i lady Harriet Carter zawarli święty związek małżeński w południe pierwszego maja tysiąc osiemset dwunastego roku w kościele w Breage w pobliżu Helston. Funkcję ojca panny młodej pełnił sir Christopher Hawkins. Ceremonię odprawił wielebny Richard Knava, proboszcz kościoła w Luxulyan, położonego w odległości pięćdziesięciu kilometrów, mający beneficja w Breage, Germoe, Cury i Gunwalloe. Był tęgim mężczyzną, kuzynem panny młodej, czerpiącym duże dochody z pięciu stanowisk kościelnych. Śniadanie weselne zorganizowano w Godolphin Hall. Ciotkę Harriet, pannę Darcy, przekonano, by przez jakiś czas nie okazywała dezaprobaty wobec małżeństwa z parweniuszem i pozwoliła gościom spożyć posiłek w swojej posiadłości. Książę i księżna Leeds, szwagier i szwagierka panny młodej, nie przyjechali na wesele z Londynu. George nawet nie liczył na taką oznakę aprobaty i sympatii.

Mimo to pojawiła się liczna grupa dalekich krewnych z południowo-zachodniej części Anglii. Wszyscy budzili lęk: mieli orle nosy, odznaczali się wyjątkowo wysokim wzrostem i zachowywali się arogancko. Chociaż George posiadał tytuł szlachecki i był wpływową osobistością zarówno w Kornwalii, jak i w Londynie, czuł się przy nich jak prostak.

Warleggan, któremu bardzo zależało na cichym ślubie i który po niedawnej śmierci matki nie musiał jej zapraszać, z oczywistych względów zrobił wyjątek dla majora Johna Trevaniona i jego dwóch sióstr, a także kilkunastu osób prowadzących z nim interesy – wiedział, że zaproszenie na wesele im pochlebi. Zawiadomił o ślubie również stryja Cary'ego, lecz go nie zaprosił, ponieważ brat ojca odmówiłby bez wahania – obcesowo i prawdopodobnie niezbyt grzecznie. Syn George'a, Valentine, przebywał w Eton i ojciec poinformował go o ślubie na tyle późno, by mieć pewność, że list dotrze do adresata dopiero po uroczystości. George doszedł do wniosku, że jego córka Ursula powinna w tym czasie przebywać w domu. Ursuli nie podobał się pomysł, by mogła nią rządzić macocha, ale zwyciężyło przekonanie, że wkrótce wszystko jakoś się ułoży.

George'a irytowała obecność jednego gościa – lady Whitworth, z jej tubalnym głosem, obwisłym podbródkiem, małymi oczkami i upudrowaną twarzą. Arogancko powołała się na związki rodzinne zarówno z George'em, jak i panną młodą. (Ponieważ pochodziła z rodu Godolphinów, była naturalnie daleką kuzynką Harriet). Po śmierci swojego barczystego, zarozumiałego syna, wielebnego Osborne'a Whitwortha, który zginął, gdy poniósł go koń, starała się podtrzymywać stosunki z Warlegganami pod pretekstem, że pierwsza żona George'a była kuzynką żony Whitwortha, nieśmiałej, krótkowzrocznej, długonogiej dziewczyny o sterczących piersiach, która później wżeniła się w rodzinę Poldarków. Małżeństwo między Osborne'em Whitworthem a Morwenną Chynoweth, zaaranżowane przez Warleggana, od początku okazało się katastrofą, a widok lady Whitworth, przemawiającej tubalnym głosem, mrugającej, wymachującej wachlarzem i spoglądającej na pana młodego z poczuciem wyższości, nieustannie irytował George'a i przypominał mu o odrażających wypadkach, o których wolałby zapomnieć.

Co gorsza, wśród gości znajdował się jedyny potomek nieudanego małżeństwa: John Conan Osborne Whitworth – otrzymał imię Conan po wuju – barczysty, krótkowzroczny, blady chłopiec, który wyglądał, jakby nigdy nie przebywał na świeżym powietrzu, z krótko ostrzyżonymi, gęstymi włosami przypominającymi mysie futerko. Lady Whitworth przywiozła wnuka, choć nikt go nie zapraszał. Wkrótce miał skończyć szesnaście lat, od ostatniego roku urósł dwa centymetry i nieco schudł, jednak jego żarłoczność się nie zmniejszyła. W czasie śniadania weselnego jadł z takim apetytem, jakby niedawno uratowano go z bezludnej wyspy, gdzie przez lata odżywiał się orzechami kokosowymi i dżdżownicami. George miał nieprzyjemne wrażenie, że ma przed sobą żywy obraz wielebnego Osborne'a Whitwortha – syn był do niego bardzo podobny – obraz karykaturalny, ponieważ Ossie, trzeba mu to przyznać, odznaczał się dobrymi manierami i dystynkcją. Kiedy nie zajmował się zaspokajaniem swoich żądz ani nie szukał możliwości uzyskania kolejnych beneficjów, miał również

dość sprawny umysł. Lubił jedzenie i picie, lecz nie przebierał miary jak wielu swoich współczesnych. Gdyby dopisało mu szczęście i zrobił karierę w Kościele anglikańskim, byłby znośnym biskupem.

Po śniadaniu weselnym na sir George'a i lady Harriet Warlegganów czekały dwie karety oraz faeton z pokojówką panny młodej i bagażami. Kawalkada powozów ruszyła wąską, pokrytą koleinami drogą do Helston, a stamtąd nowym gościńcem w stronę Truro. Osiem kilometrów przed miastem karety skręciły w prawo, przejechały przez strumień i wspięły się na wzgórze, do Cardew.

Tam na George'a i Harriet czekała tylko mała Ursula z guwernantką oraz dobrze wyszkoleni i dobrze opłacani służący. Warleggan chciał zaimponować małżonce, choć jako arystokratka z krwi i kości nie była osobą, której łatwo czymkolwiek zaimponować. Czekał na ten dzień od półtora roku. Należało go szczególnie uczcić. W salonie i jadalni płonął w kominkach jasny ogień. Podobnie w sypialni. Wnętrza oświetlały setki świec. Podano wyborny posiłek, lekki i smaczny, oraz najlepsze francuskie wina. Niczego nie żałowano. Kolacja godna utytułowanego wdowca szykującego się do spędzenia nocy poślubnej z siostrą księcia.

Zupełnie inaczej niż w dniu ślubu z Elizabeth. Ale trzeba o tym zapomnieć…

George spojrzał na swoją nową żonę. Jej oblicze miało w sobie coś twardego, arystokratyczną surowość, która stała się dla niego bardziej zauważalna po dniu spędzonym wśród krewnych Harriet – wysokich, o wyniosłych, kościstych obliczach. Albo mimo woli naśladowała ich zachowanie, albo to on zaczął dostrzegać rodzinne podobieństwo. Nie brakowało jej urody – czasem wydawała się piękna. I była młoda. Bardzo młoda w porównaniu z George'em. W kościele podała, że skończyła trzydzieści lat, i nie miał najmniejszych wątpliwości, że to prawda. Dojrzała, a jednak świeża. Ideał. W powozie siedzieli naprzeciwko siebie, lecz nagle zapragnął jej dotknąć. Należy teraz do niego. Bez dwóch zdań. Miał ochotę usiąść obok Harriet, pogładzić ją po policzku, szyi. Jednak nie chciał się zachowywać jak zakochany uczniak. Byłoby to poniżej jego godności.

– Wzięłam ze sobą Filberta – powiedziała.

– Kogo? – Popatrzył na żonę. – Ach… – Był to jej ulubieniec, dziwne, okropne zwierzątko mniejsze od wiewiórki, które budziło się ze snu w chwili zapadnięcia zmroku. – Gdzie jest?

– Z Camillą. W skrzynce. Nie będzie nam przeszkadzał.

George poruszył się niespokojnie.

– Camilla sobie z nim poradzi?

– Jest do mnie wyjątkowo przywiązany, ale jestem pewna, że nie będzie ci się naprzykrzał.

– Nie jestem przyzwyczajony do zwierząt chodzących po domu.

– Obiecuję, że Dundee nie będzie wchodzić dalej niż do sieni.

George popatrzył na Harriet, a potem się roześmiał. A przynajmniej było to coś najbardziej podobnego do śmiechu w całym jego dotychczasowym życiu.

– Przez chwilę myślałem, że mówisz poważnie.

Jechali dalej. Okolica nie wyglądała najlepiej. Chociaż żywopłoty kwitły wcześniej niż w pozostałych częściach Anglii, na zachodnim wybrzeżu Kornwalii drzewa jeszcze się nie zazieleniły, jakby obawiały się następnej wichury. To opóźnienie rzucało się w oczy w porównaniu z okolicami Londynu. Ranek był szary, lecz później nieco się rozjaśniło: między łukami niskich klifów przebłyskiwało akwamarynowe morze.

George zdał sobie sprawę, że gwałtownie pożąda tej kobiety. Przez ostatnie lata z powodzeniem hamował swoje instynkty, więc nie przyszło mu do głowy, że teraz może być inaczej. Było inaczej. Siedziała naprzeciwko niego. Należała do niego. Wiedział, co się stanie.

– Jutro masztalerz przyprowadzi Kastora i Polluksa – powiedziała.

Potarł dłonią podbródek. Powinien się ogolić przed nocą. Za chwilę mieli dojechać do miasteczka Helston. Później droga będzie lepsza – groźba przewrócenia się karety znacznie się zmniejszy. Konie zwolniły i szły stępa główną ulicą wybrukowaną kocimi łbami, a stangret cmokał i wywijał batem. Mijali niewielkie domy z granitu. W rynsztoku stał ostrzyciel noży; jedną nogą stał w wodzie, a drugą naciskał pedał swojego urządzenia. Obok karety szło czworo dzieci w łachmanach, dwoje po każdej stronie, wyciągały ręce po jałmużnę. Trzech chłopców toczyło bójkę, krzyczała na nich kobieta. Przed gospodą

Pod Aniołem wsiadali do dyliżansu pasażerowie. Ci, którzy mieli podróżować na dachu, byli okutani.

– Co powiedziałaś?

– O czym?

– O psach.

– Przyjadą jutro.

– Wypełnią cały dom.

– Obawiam się, że są częścią mojej świty. Uzgodniliśmy to.

– Naturalnie. – Nie uzgodnili, że będą mogły się włóczyć po całym Cardew, jak to robiły w Polwendron.

– W końcu, mój drogi George, pomyśl, jakie to miłe, że musisz się pogodzić tylko z obecnością dwóch dogów i galago, gdy tymczasem mogłabym przyjechać do ciebie wraz z sześciorgiem dzieci podobnych do tych, które niedawno minęliśmy.

Spoglądała z roztargnieniem przez okno na ostatnie domy miasteczka, dymiący komin kopalni, karawanę mułów, wielką hałdę na skraju drogi. Blade światło słońca oświetliło twarde rysy twarzy, piękną skórę, lśniące kruczoczarne włosy. Która godzina? George nie chciał patrzeć na zegarek, lecz doszedł do wniosku, że prawdopodobnie wpół do siódmej. Za dwie godziny zapadnie zmrok. Zapewne przyjadą do Cardew koło ósmej. Później miną jeszcze cztery godziny, a w tym czasie wezmą kąpiel, przebiorą się, zjedzą kolację i wejdą razem po schodach do sypialni. Za mniej więcej pięć godzin! Popatrzył na Harriet i zastanawiał się, czy jej nogi rzeczywiście są grube, jak od dawna podejrzewał. Nie blade i smukłe jak u Elizabeth, lecz prawdopodobnie śniade, o masywnych łydkach. Nie przeszkadzało mu to. Była kobietą o ciemnej karnacji, córką księcia i tego dnia pozwoli mu obejrzeć swoje nogi.

Uniosła wzrok i była zaskoczona tym, co zobaczyła, po czym miłosiernie spuściła oczy pod palącym spojrzeniem George'a.

II

Mniej więcej tydzień później Paul Kellow spotkał się z Jeremym i spytał, czy jego zdaniem kapitan Ross Poldark pożyczyłby jego ojcu pięćset funtów. Jeremy był zaskoczony i wyraźnie to okazał.

– Może uważasz, że to trochę dużo, ale w końcu jesteśmy sąsiadami, prawda? – powiedział Paul. – Mój ojciec i kapitan Poldark często się spotykają na gruncie towarzyskim, zresztą my też się przyjaźnimy: Clowance, ty, Daisy, Violet i ja. W ostatnich latach spędzamy ze sobą dużo czasu. Pracujemy razem w Hayle nad pojazdem parowym… A poza tym przyjaźnisz się z Daisy. Naturalnie nie prosilibyśmy o pożyczkę, gdyby sytuacja nie była krytyczna.

– Co się stało? Warunki się pogorszyły?

– Przesadziliśmy z inwestycjami. Wiesz, jak to bywa z innowatorami mającymi nowe idee – zwykli ludzie są ograniczeni i nie widzą korzyści z nowatorskich rozwiązań. Kornwalia jest okropnie staroświecka.

– Chcesz powiedzieć, że linie, które otworzyliście…

– Trzy nowe połączenia w zeszłym roku. Wszystkie bardzo potrzebne. Wszystkie znacznie poprawiające komunikację. Ale ludzie nie zdają sobie sprawy, co im proponujemy! Może za dwa lata przyzwyczailiby się do stałych kursów, gdy dyliżans wyrusza o tej samej porze raz w tygodniu. Ubodzy są przyzwyczajeni do podróży wozami, a bogacze jeżdżą własnymi karetami albo je wynajmują. Kiedy ludzie zmienią swoje zwyczaje, będzie już za późno. – Paul roześmiał się ochryple. – Za późno dla nas. Nie mam wątpliwości, że korzyści z naszego pomysłu odniosą kiepscy przewoźnicy, którzy pojawią się w przyszłości.

– Szkoda. Jeśli…

– Zastanów się, jakie znakomite warunki mają dyliżanse pocztowe! – ciągnął Paul. – Tylko się zastanów! Konkurują z nami na głównych trasach, ale są zwolnione z myta! A my musimy słono płacić na każdej rogatce, co oznacza, że albo bilety są droższe, albo ponosimy straty! Niewielu ludzi chce płacić więcej za podróż w ciągu dnia. Sytuacja jest okropna, mówię ci!

– Mogę tylko spytać ojca. Czy nie byłoby lepiej, gdyby pan Kellow przyszedł osobiście?

– Uznałem, że jesteśmy bliskimi przyjaciółmi i mogę się do ciebie zwrócić.

– Tak, tak, rozumiem.

Jeremy poruszył stopą na ziemi. Bardziej doceniałby zapewnienia kolegi o przyjaźni, gdyby Paul nie mówił takim tonem, jakby to Poldarkowie w jakiś sposób ponosili odpowiedzialność za kłopoty Kellowów. Ponadto ojciec Paula i ojciec Jeremy'ego wcale nie spotykali się często na gruncie towarzyskim: czasem wymieniali uścisk dłoni, gdy pojawiali się w tym samym momencie w kościele w Sawle; pozdrawiali się na drodze lub gościńcu. Przypadkiem Jeremy wiedział, że ojciec nie przepada za panem Kellowem. Podzielał jego zdanie.

Wydawało się, że wszystkim brakuje pieniędzy.

– Nie podoba ci się moja prośba – rzekł ostro Paul.

– Oczywiście przekażę wiadomość. Jeśli coś z tego wyjdzie, jestem pewien, że mój ojciec będzie chciał porozmawiać z twoim. Szkoda, że Wheal Leisure nie przynosi większych zysków – odparł. – Wtedy byłoby łatwiej.

– Ciągle nic?

– Och, coś już zrobiliśmy. Kopalnia jest całkowicie oczyszczona i odwodniona, ale jakość rudy okazała się marna.

– Tak czy inaczej, Poldarkowie przez lata dobrze zarabiali na Wheal Grace. Przypuszczam, że taka kwota nie byłaby trudna do zdobycia.

Jeremy nie odpowiedział. Byli blisko kościoła w Sawle. W pobliżu znajdowało się Fernmore.

– Dlaczego nie wejdziesz do domu? – spytał Paul. – Daisy stale na ciebie czeka, a ty nie pojawiasz się od Wielkanocy, chyba celowo.

Była to prawda. W pierwszych miesiącach roku Jeremy flirtował z Daisy, dość zręcznie stąpając po kruchym lodzie. Wszystko skończyło się po ponownym spotkaniu z Cuby. Jeśli chodzi o Daisy, czuł, że istnieją tylko dwie możliwości: zaprowadzić ją na najbliższą łąkę, poprosić o rękę i ustalić datę ślubu albo w ogóle jej nie widywać.

– Dzięki, ale… – Nie przyszła mu do głowy żadna zgrabna wymówka. A zresztą, czy ma coś do roboty w Namparze? Czy w ogóle ma coś do roboty? – Dobrze, dziękuję za zaproszenie. Jak się czuje Violet?

– W zeszłym tygodniu znowu pluła krwią, ale zdumiewająco szybko doszła do siebie. Sam się przkonaj. Będzie zachwycona, że cię widzi.

Pożegnał się dopiero przed zmrokiem. W ciągu dnia ojciec przebywał poza domem, lecz powinien już wrócić. Jeremy zastanawiał się, czy wspomnieć dziś wieczorem o prośbie Paula. Było mu niezręcznie poruszać ten temat i nie miał pewności, czy Paul i on sam powinni być wykorzystywani jako pośrednicy. Ale kiedy wierzyciele domagają się spłaty zobowiązań…

Podobnie jak wcześniej Stephen, często zauważał w domu Kellowów oznaki pozornej zamożności. Obie siostry Paula wydawały pieniądze na krawcowe, a on sam nosił porządne ubranie i buty, lecz pani Kellow zawsze wydawała się zmartwiona i przepracowana. Dom był wynajęty, więc nie mógł stanowić zabezpieczenia pożyczki ani zostać sprzedany, gdyby kryzys okazał się zbyt poważny. A ta zaskakująco pogodna suchotnica – co by się z nią wtedy stało?

Ross i Demelza kończyli kolację. Jeremy usiadł w fotelu, przeprosił za spóźnienie i powiedział, gdzie był. W trakcie posiłku prowadzili chaotyczną rozmowę. Wydawało się, że Clowance pojechała ze Stephenem do Treneglosów. Niedawno dostarczono zeszłoniedzielną gazetę z dalszymi szczegółami na temat triumfu pod Badajoz, ale wciąż nie nadeszły żadne wiadomości od Geoffreya Charlesa. Utarczki ze Stanami Zjednoczonymi stawały się coraz częstsze, gdyż statki amerykańskie próbowały łamać blokadę i były zatrzymywane przez brytyjską marynarkę wojenną. W artykule pod tytułem *Przypadkowa walka* gazeta relacjonowała bitwę, do jakiej doszło w Zatoce Biskajskiej między amerykańską fregatą a angielskim brygiem wojennym – zanim okręty się rozdzieliły, zginęło trzydziestu angielskich marynarzy. Gazeta zawierała również ogłoszenia o licytacji skonfiskowanych amerykańskich statków, które można było kupić wraz z ładunkiem.

– To jak krzesanie ognia w pobliżu beczek prochu – zauważył Ross. – W każdej chwili może

nastąpić wybuch.

– Masz na myśli kolejną wojnę z Ameryką? – spytała Demelza.

– Istnieje takie prawdopodobieństwo. Jestem pewien, że wielu amerykańskich kongresmenów zazdrośnie spogląda na ogromne przestrzenie Kanady i jej niebronioną granicę. Nie mamy tam prawie żadnych żołnierzy.

– Chyba nie możemy nic zrobić – powiedział Jeremy.

– Uważam, że powinniśmy anulować dekrety rządu i nie egzekwować blokady w przypadku statków amerykańskich. Nie mają dostatecznie dużej floty handlowej, by przechylić szalę zwycięstwa na korzyść Francji.

– Czy wiecie… – rzekł Jeremy po chwili milczenia.

Czekali, lecz nie dokończył.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz powiedzieć tego, co, jak sądzę, zamierzasz powiedzieć.

Jeremy uśmiechnął się ironicznie.

– Może…

Ross zmarszczył brwi.

– Czy to jakaś gra, w którą nie jestem wtajemniczony?

– W przyszłym tygodniu skończę dwadzieścia jeden lat – oznajmił Jeremy. – Może już czas?

– Myślę, że ten czas nigdy nie powinien nadejść – powiedziała Demelza.

– Sam zadaję sobie to pytanie, mamo. Maszyna parowa, którą zbudowałem, działa dobrze – nie widać żadnych oczywistych usterek, chwała Bogu – chociaż kopalnia na razie nie przynosi zysków. Mam wrażenie, że nie jestem szczególnie potrzebny w Namparze.

Ross popatrzył na syna i zrozumiał, o czym mowa. Był zdumiony i wstrząśnięty własnymi sprzecznymi uczuciami. Teoretycznie popierał ten pomysł, w praktyce był zdecydowanie przeciwny.

– Uważam, że w wojnie doszło do przełomu – powiedział. – Wątpię, czy jakiekolwiek twoje działania mogą wpłynąć na jej wynik.

– To mało przekonujący argument dla kogoś, kto chce walczyć – odparł Jeremy.

Teraz, gdy zaczęto rozmawiać otwarcie, atmosfera się oczyściła.

– Czy to skutek kolejnego spotkania z panną Trevanion? – spytała Demelza, nie okazując swojego normalnego taktu. Przeżywała tak głębokie emocje, że nie stać jej było na subtelność.

Jeremy oblał się rumieńcem.

– Do pewnego stopnia tak. Ale to nie wszystko. Nie wspomniałem wam, że gdy w zeszłym tygodniu pojechałem do kuźni Harveya, był tam Richard Trevithick. Pojawił się niespodziewanie. Myślę, że pan Harvey powiedział mu o moich planach i że Trevithick postanowił zobaczyć, co robimy… Oświadczył, że kupiony przeze mnie kocioł nie nadaje się do pojazdu drogowego.

– To z pewnością nie powinno oznaczać… – odezwał się Ross i urwał.

– To znaczy, że robiłem z siebie durnia, ojcze, choć pan Trevithick był na tyle uprzejmy, że nie zgodził się z tą oceną. Rzecz w tym, że kocioł jest zbyt wielki, by go wykorzystać w pojeździe poruszającym się po drogach publicznych. Oznajmił, że drogi nie wytrzymałyby ciężaru. Pojazd by ugrzązł albo połamałyby się koła.

– Ale za rok lub dwa drogi mogą się polepszyć – powiedziała Demelza. – Po wojnie…

– O tak. Tylko kiedy to nastąpi? Pan Trevithick okazał się tak miły, że naszkicował kocioł, jaki byłby potrzebny do skonstruowania pojazdu, jednak twierdzi, że brakuje zręcznych mechaników, by go zbudować.

Ross ukroił sobie kawałek pasztetu, lecz nie zjadł ani kęsa.

– A zatem?

– Kiedyś Trewithick skonstruował pojazd jeżdżący po drogach – powiedziała Demelza.

– Tak, w ramach eksperymentu, to wszystko. Mówi, że nie da się na tym zarobić: zyski mogą się pojawić dopiero za wiele lat.

– A pojazdy szynowe?

– Ach, Trevithick miał ten sam pomysł – odparł Jeremy i zaczął jeść. – Może chciał mnie

pocieszyć. Oczywiście nie konstruowałem maszyny w tym celu, ale wczoraj wieczorem pojechałem do kopalni Poldice, by się dowiedzieć, czy właściciele byliby zainteresowani lokomotywą jeżdżącą na szynach z kopalni do zatoki Portreath. Nie byli zainteresowani. Uważają to rozwiązanie za niepraktyczne, niebezpieczne i droższe od koni. Wspomniałem o sukcesie eksperymentu Trevithicka w Glamorgan. Odpowiedzieli, że ta lokomotywa już nie działa.

Jedli przez kilka minut w milczeniu.

– Zdaje się, że Francis de Dunstanville ma duże udziały w Poldice – rzekł w końcu Ross. – Zastanawiam się…

– Nie, ojcze… – Jeremy umilkł i uśmiechnął się, choć na jego twarzy nie było wesołości. – Myślę, że należy załatwić tę sprawę bez niczyjej protekcji, choć miło, że to sugerujesz. Niewykluczone, że zarządcy Poldice patrzą na to z handlowego punktu widzenia. Wydaje się, że przystąpiłem z wielkim entuzjazmem do budowy pojazdu drogowego, ale nie miałem pojęcia o trudnościach. Może wyprzedzam epokę – to niepowodzenie nie zniechęci mnie do następnych prób. Jednak nie zamierzam ich podejmować natychmiast…

Znów zapadło ciężkie milczenie. Demelza zerkała na męża i syna.

– A tymczasem?

– Cóż, właśnie o to chodzi. Odbywam ćwiczenia z ochotnikami. Czy oddziały ochotników nie są w gruncie rzeczy schronieniem dla ludzi, którzy uchylają się od służby w armii regularnej? Kiedy wierzyłem, że zajmuję się dostatecznie ważnymi rzeczami… Mam na koncie jeden sukces i jedną porażkę… Człowiek myśli, że wojna skończy się w tym roku, a potem, że w następnym. Ale teraz, jeśli włączą się Amerykanie…

– To prawie nie wpłynie na przebieg wojny – rzekł Ross. – Jeśli Amerykanie się do niej włączą, będzie to wielki błąd z ich strony – i z naszej. Tyle że Ameryka znajduje się zbyt daleko, by wywrzeć decydujący wpływ. Wojna zostanie wygrana lub przegrana w Europie.

– Myślę, że właśnie dlatego powinienem wstąpić do wojska.

Demelza spojrzała na Rossa, który w dalszym ciągu jadł, lecz z roztargnieniem, jakby nie był głodny.

– A ja sądzę, że powinieneś trochę zaczekać, Jeremy – powiedział.

Jeremy i Demelza byli zaskoczeni słowami Rossa.

– Dlaczego?

– To, co mówię, jest prawdą. Gdybyś wstąpił teraz do wojska, niewątpliwie mógłbym ci kupić patent oficerski w sześćdziesiątym drugim regimencie piechoty lub innym podobnym pułku. Ale uważam, że kryzys minie, nim zakończysz szkolenie. Moim zdaniem pokój jest bardzo bliski.

– A jeśli pokój nie nadejdzie?

– Wtedy nie będę cię powstrzymywał.

– A ty, mamo?

Oczy Demelzy niespodziewanie zaszkliły się łzami. Dwaj mężczyźni to spostrzegli i byli zażenowani niezwykłym widokiem. Niecierpliwie zamrugała, by strząsnąć z rzęs drobne krople.

– Nie wiem, synu. Przekonamy się, gdy nadejdzie czas, prawda?

– Tak, druhy miłe – odpowiedział Jeremy głosem Juda Payntera, starając się rozładować napięcie. Później zwrócił się do ojca: – Będziemy potrzebować w kopalni dodatkowej maszyny, a ja mam już idealny kocioł. To oznacza, że konstrukcja jest w połowie gotowa.

– Oby jak najszybciej powstała – rzekł Ross.

Jeremy zapomniał o prośbie o pożyczkę.

– Wiecie, o co prosił mnie dziś po południu Paul Kellow?

Nie próbowali zgadywać, więc wszystko opowiedział.

– Caroline mówiła, że w zeszłym roku pożyczali pieniądze również od Dwighta – zauważyła Demelza.

– Do licha! Powiedziała ile?

– Zdaje się, że pięćset funtów. Prosili o więcej, proponując w zamian udziały

w przedsiębiorstwie, ale Dwight się nie zgodził i udzielił im normalnej pożyczki. Któregoś dnia, gdy Dwight odwiedzał Violet, zwróciła się do niego pani Kellow.

– Proponują nam udziały w przedsiębiorstwie? – spytał ironicznie Ross.

– Paul nie wspominał o tym. Może nie ma już czego proponować?

– Wydaje się, że Kellow wysyła członków swojej rodziny, by zajmowali się tymi niesmacznymi zadaniami. Nie może przyjść sam? Brakuje mu odwagi?

– Powiedziałem Paulowi, że moim zdaniem jego ojciec mógłby z tobą porozmawiać – odparł Jeremy.

– Całkiem słusznie. – Ross spojrzał na żonę, która doszła do siebie po chwili słabości. – Niełatwo się przełamać, prawda?

– Trudno odmówić ludziom w takiej sytuacji. Dobrze pamiętamy, jak sami się czuliśmy.

– Przynajmniej nie pożyczaliśmy od przyjaciół.

Jeremy zerknął na rodziców.

– Było aż tak źle?

– Gorzej – odparł Ross. – Sprzedaliśmy część mebli, wszystkie zwierzęta, broszkę twojej matki.

– Co? Tę, która…

– Bardzo podobną – wtrąciła Demelza.

– Nie są jeszcze w takiej nędzy – stwierdził Ross. – Mimo to czułbym się źle, gdyby te dwie dziewczyny – zwłaszcza Violet – musiały opuścić dom. Niezależnie od tego, czy ponosiłbym za to bezpośrednią odpowiedzialność, czułbym się… Oczywiście dwa lata temu byłoby nam znacznie łatwiej im pomóc.

– To ja ponoszę odpowiedzialność za ponowne otwarcie Wheal Leisure – powiedział Jeremy.

– Owszem, ale kiedy to zasugerowałeś, ja także nie mogłem wybić sobie tego z głowy – zauważył Ross.

– Co z Kellowami, Ross?

– Z pewnością mógłbym udzielić im pożyczki, chociaż przyznaję, że wyrzucanie pieniędzy w błoto jest sprzeczne z moją naturą. Czy Paul mówił, co zrobili, by się ratować?

– O tak. Zamknęli dwie linie przynoszące straty. Inne działają raz zamiast dwóch razy w tygodniu. Paul ma więcej powozić końmi, przynajmniej przez jakiś czas. Zamierzają zwolnić sześciu woźniców.

– Czy to coś zmieni?

– Mają taką nadzieję. Nie mogę nic więcej powiedzieć. Może pan Kellow potrafi to wyjaśnić.

Pan Kellow w odpowiednim czasie rzeczywiście wyjaśnił. Charlie Kellow nie miał w sobie młodzieńczego poczucia godności syna. Zionął na Rossa przetrawionym alkoholem – z domieszką nieprzetrawionego alkoholu. (Ross czuł wyjątkową awersję do ludzi, którzy w trakcie rozmowy stają zbyt blisko i przysuwają się, gdy człowiek się cofa). Kellow dysponował imponującymi statystykami, które miały dowodzić, że w Kornwalii linie dyliżansowe są w zalążku i że firma Kellow, Clotworthy, Jones i Spółka jest najlepiej zorganizowana, dysponuje najlepszym wyposażeniem i pojazdami, co pozwoli jej wykorzystać koniunkturę, która musi nadejść. Potrzebuje jedynie kapitału obrotowego, by przetrwać obecny kryzys, po czym czeka ją nieprzerwane pasmo sukcesów.

Ross czuł, że jest w tym wszystkim część prawdy, bo gdyby ta przeklęta długa wojna kiedykolwiek się skończyła, sieć płatnych gościńców w zachodniej części Anglii musiałaby zostać rozbudowana, co powinno doprowadzić do zwiększenia ruchu dyliżansów, karet i wozów. Nie był tylko pewien, czy ten przypochlebny, natrętny, niechlujny mężczyzna o czerwonym nosie i wielkim brzuchu jest najlepszym kandydatem na pioniera ekspansji firm przewozowych. Kellow poprosił Rossa o pomoc głównie dlatego, że Paul przyjaźnił się z Jeremym. Gdyby sytuacja ułożyła się inaczej, Kellow mógłby nawet zostać teściem Jeremy'ego. Nawet teraz nie można tego wykluczyć! Czy to zupełnie nieprawdopodobne?

Ross zaproponował Kellowowi nieoprocentowaną pożyczkę w wysokości pięciuset funtów na dwa lata. Oznaczało to mniej więcej trzy tygodnie finansowania Wheal Grace, gdyby w końcu podjął

decyzję o zamknięciu kopalni.

Kellow przyjął pożyczkę bez wahania, choć z pewną dozą godności, której jak dotąd brakowało w jego zachowaniu. Ross podejrzewał, że w oczach Kellowa pojawił się błysk żalu – skoro otrzymał całą żądaną kwotę, powinien prosić o więcej.

III

Jedenastego maja Jeremy otrzymał krótki list od Valentine'a:

Niedawno dostałem wiadomość od Geoffreya Charlesa, napisał ją lewą ręką. Kazał Ci przekazać, że żyje i wraca do zdrowia. Odniósł trzy rany pod Badajoz, lecz ma nadzieję wrócić do pułku za kilka tygodni. Przestrzelono mu prawe ramię, ale na szczęście nie stracił ręki, jednak w tej chwili trudno mu pisać, więc prosi o wybaczenie. Przesyła wszystkim najserdeczniejsze pozdrowienia… IV

Tego samego dnia, około piątej po południu, Spencer Perceval, adwokat i premier Wielkiej Brytanii, wchodził do holu Izby Gmin, gdzie zamierzał wygłosić przemówienie na temat niepokojów wśród robotników fabrycznych na północy. Po chwili został zastrzelony przez niejakiego Bellinghama, zrujnowanego przez kryzys brokera z Liverpoolu.

Rozdział dziewiąty

I

Gospoda Pod Herbem Gwarków była niewielką oberżą w pobliżu kościoła w Sawle przy drodze do Fernmore, gdzie mieszkali Kellowowie. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych poprzedniego stulecia, za czasów starego Joego Tresiddera, brata Jonathana Tresiddera, niegdyś głównego udziałowca kopalni Wheal Radiant, gospoda dobrze prosperowała i była popularnym miejscem spotkań górników. Ale zamknięcie kopalni Grambler w listopadzie tysiąc siedemset osiemdziesiątego ósmego roku zadało jej śmiertelny cios, po którym nigdy się nie podniosła. Sytuację pogorszyło pojawienie się licznych piwiarni i szynków, gdzie serwowano przemycane trunki, a po śmierci Joego nie było nikogo, kto mógłby przejąć interes. Starą gospodę zlikwidowano. Przez jakiś czas w budynku mieszkały dwie liczne rodziny, Hoskinowie i Bartle'owie, lecz liczba ich członków stale się zmniejszała. (Kilku bardziej przedsiębiorczych Bartle'ów pracowało wcześniej w Trenwith). W końcu epidemie i nędza sprawiły, że wszyscy wylądowali na cmentarzach albo w przytułkach dla ubogich, a budynek pozostał własnością kuzynki Tresidderów. Niedawno sprzedała go Nedowi i Emmie Hartnellom, którzy znów otworzyli gospodę, zamieszkali tam z dwojgiem dzieci i mieli nadzieję przyciągnąć dość klientów, by związać koniec z końcem.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy radzili sobie dość dobrze. W wiosce była potrzebna nieco większa gospoda, a Pod Herbem Gwarków, choć obskurna, miała dwie prywatne salki, gdzie zamożniejsi wieśniacy mogli wygodnie pić i rozmawiać na osobności. Właśnie to przyciągnęło do gospody Jeremy'ego Poldarka, Stephena Carringtona i Paula Kellowa: spotykali się tam od czasu do czasu.

Jeremy ze złością wyrzucał Stephenowi, że nie zaproszono go do udziału w planie zakupu łodzi ratowniczej w Penzance.

– Nie rozumiesz, że jestem za bardzo zależny od Poldarków? Mam zostać twoim szwagrem, więc nie mogę cię prosić o pomoc, jakbyś już nim był. Nie rozumiesz tego?

– Nie, nie rozumiem.

Pożyczka otrzymana przez Stephena od Clowance była ciągle tajemnicą.

– Tak czy inaczej, czy mógłbyś być tak długo nieobecny w domu i w kopalni?

– Kopalnia doskonale poradzi sobie beze mnie. Zaczynam wierzyć, że mój kuzyn Valentine Warleggan ma rację, gdy mówi, że jego ojciec nigdy nie sprzedaje niczego wartościowego…

– Może następnym razem zrobimy jakiś interes.

– Będzie następny raz?

– Zawsze pojawiają się różne okazje, wierz mi. Trzeba po prostu mieć oczy i uszy otwarte, być gotowym na ryzyko.

Jeremy spojrzał na zegarek.

– Paul się spóźnia. Myślisz, że przyjdzie?

– Nie widziałem go przez tydzień. Wyjechał.

– Wiem. Stephen, poważnie się zastanawiam…

– Nad czym? Nad innym sposobem zarobienia pieniędzy?

– Nad wstąpieniem do wojska. Mam dwadzieścia jeden lat. Mój ojciec zaciągnął się do armii, gdy miał osiemnaście. Jego ojciec kupił mu patent chorążego w regimencie piechoty hrabstwa Wiltshire księcia Edynburga…

– Dlaczego?

– Dlaczego? Dlaczego wstąpił do wojska? Zdaje się, że miał kłopoty z powodu oskarżenia o przemyt i…

– Ach! To ciekawe. Kiedy był młody, nie miał nic przeciwko łamaniu prawa.

– Wszyscy łamią prawo, Stephen… Dostaliśmy niedawno wiadomości o Geoffreyu Charlesie. To mój kuzyn, właściciel Trenwith. Został trzykrotnie ranny pod Badajoz, a ja marnuję czas w Namparze.

– Chcesz znać moją opinię, Jeremy?

– Jeśli raczysz się nią ze mną podzielić.

– Myślę, że w wojsku byś zwariował.

– Może.

Do prywatnej salki weszła z dwoma kuflami piwa Emma Hartnell, wysoka, niebrzydka, dość młoda kobieta z lśniącymi czarnymi oczami i pięknymi ciemnymi włosami Cyganki. Była dwadzieścia lat młodsza od męża, który odziedziczył trochę pieniędzy po ciotce, a wcześniej pracował jako główny lokaj w Tehidy. Jeremy, Stephen i Paul lubili panią Hartnell, ponieważ zawsze była wesoła i pogodna, gawędziła z nimi oparta o framugę lub dyskretnie się wycofywała, gdy czuła, że chcą zostać sami. Jeremy czasem myślał z ironią, że gdyby nie kaprys losu, mogłaby zostać jego ciotką.

Kiedy wyszła, Stephen powiedział:

– Walka na lądzie to szaleństwo. Nawet jeśli człowiek nie zginie rozszarpany przez kulę armatnią albo nie straci ręki ani nogi, kończy z niczym – nie ma żadnych pieniędzy, żadnych nagród, nawet mu nie podziękują. Wszędzie można spotkać nędznie ubranych, ubogich weteranów, którym zostały tylko opowieści o bohaterskich czynach. Gdybyś w ogóle chciał walczyć – czego ci nie doradzam – marynarka wojenna daje przynajmniej niewielką nadzieję na zdobycie pryzowego. Pamiętaj, że wojna morska jest bardziej krwawa, ale istnieje szansa, że w końcu nie zostaniesz bez grosza przy duszy. Tak czy inaczej…

– Co chciałeś powiedzieć?

– Jeśli chcesz uczestniczyć w wojnie, dlaczego nie na okręcie korsarskim?

– To nie jest wojna, o jaką mi chodzi.

– Wierz mi, na morzu jest taka sama szansa walki z Francuzami jak w armii Wellingtona, a można na tym zarobić.

– Moim zdaniem wojna to nie tylko kwestia zarobku. Poza tym nie mam pieniędzy, które mógłbym zainwestować.

– Zaledwie w zeszłym miesiącu Percuil, okręt korsarski z Falmouth, odbił statek z bogatym ładunkiem jedwabiu z Walencji, który francuski korsarz prowadził do Cherbourga. Opanowali transportowiec po gwałtownej walce, a potem popłynęli do Falmouth. Podobno jest wart osiemnaście tysięcy funtów. Pomyśl tylko o pryzowym!

– Nie mam pojęcia, ile by wyniosło.

– Co najmniej trzy tysiące. Może dwa razy więcej, gdyby to dobrze rozegrali.

– Nie mam pieniędzy – powtórzył Jeremy.

– Wcale?

– Po bitwie pod Trafalgarem, by uczcić zwycięstwo, ojciec dał mnie i Clowance po pięćdziesiąt funtów. Trzymałem tę kwotę w banku w Truro, bo nie musiałem jej wydawać: mamy wszystko, czego nam trzeba, i hojne kieszonkowe. Ale w zeszłym roku kupiłem od Harveya kocioł Trevithicka i inne części – za pół ceny, bo budowali maszynę dla Wheal Leisure. Wydałem na to prawie całe pięćdziesiąt funtów… Ale nic z tego nie wyszło i okazuje się, że równie dobrze mógłbym ciskać pieniądze do morza.

Stephen uniósł brwi, zdziwiony goryczą w głosie Jeremy'ego.

– Masz udziały w Wheal Leisure, podobnie jak ja.

– Tak, dał mi je ojciec. Nie wiem, ile są warte, a zresztą nie mógłbym ich sprzedać.

– Teraz myślę, że może powinienem inwestować pieniądze w rzeczy, na których się znam – powiedział Stephen. – Wtedy dużo myślałem o Clowance i chyba chciałem zyskać przychylność twojej rodziny.

Do salki wszedł Paul. Sińce na jego twarzy były już prawie niewidoczne, a jeśli bolała go rana na głowie, w ogóle tego nie okazywał. Mimo to wydawał się zatroskany i napięty. Trzymał w ręku kufel piwa kupiony przy szynkwasie. Niósł pod pachą gazetę.

– Widzieliście to? – Rozłożył gazetę na stole i natychmiast zaczął czytać: – „Krwawa bójka w porcie w Plymouth. Marynarz zabity nożem. Wieczorem w zeszły piątek do tawerny Pod Dźwiękiem Dzwonów wkroczył uzbrojony oddział werbunkowy z okrętu HMS Arethusa, polujący na rekrutów do królewskiej marynarki wojennej. W gospodzie znajdowało się wielu marynarzy, kilku stawiało zaciekły

opór i w czasie bójki, jaka się wywiązała, jeden z członków oddziału werbunkowego, marynarz William Morrison, lat dwadzieścia sześć, został ugodzony nożem w brzuch, po czym zmarł wskutek odniesionej rany. Mordercy zbiegli, a rekrutów wcielonych do marynarki nie oskarżono o współudział w zbrodni".

Stephen jeszcze raz przeczytał artykuł.

– Cóż, zdumiewające podobieństwo do naszej małej przygody. I ta sama tawerna!

– To nasza przygoda – powiedział Paul.

– Bzdura! Byliśmy w Plymouth dwa tygodnie temu!

– Gazeta jest sprzed tygodnia.

Stephen wziął gazetę i obejrzał ją, jakby podejrzewał fałszerstwo. Później wypił duży łyk piwa.

– Nie zabiłem nikogo nożem. Chodzi o zupełnie inną bójkę.

Paul spojrzał znacząco na Jeremy'ego, którego twarz lekko poszarzała.

– Zabawne – dodał cicho Stephen. – Zawsze czytam gazety. Są warte sześć i pół pensa dla lokalnych wiadomości. Zabawne, że nigdy nie widziałem tego artykułu.

– Jeśli nas wytropią, to przestanie być zabawne – odparł Paul. – Przed pojawieniem się oddziału werbunkowego w tawernie widziało nas mnóstwo ludzi. Pamiętasz, śpiewałeś. Jak brzmi ta szanta? „Dziurawa łajba stoi na kotwicy, dziurawa, ach, dziurawa! Dziurawa łajba stoi na kotwicy, hura, hura, hura!".

– Cóż – odrzekł Stephen, mierzwiąc sobie włosy – jeśli to prawda, w co wątpię, bo gazety koloryzują, żeby ludzie je kupowali… Jeśli to nawet prawda, jesteśmy daleko od Plymouth i może przez kilka miesięcy powinniśmy trzymać się z dala od tego miasta, po prostu dla bezpieczeństwa. Przypuszczam, że ten marynarz umarł na coś innego, a potem przypisali jego śmierć draśnięciu w brzuch. Marynarka wojenna jest wyjątkowo przebiegła. Usiłują udawać… Ale nawet przypuśćmy, że… Po prostu przypuśćmy… Co miałem zrobić, Paul?

Pytanie zabrzmiało twardo, przypominało smagnięcie batem.

– Słucham? – spytał Kellow.

– Co miałem zrobić? Paść przed nimi na kolana? Iść jak baran na rzeź? Wolałbyś teraz pływać na fregacie wojennej i drżeć przed chłostą za jakiekolwiek wykroczenie? Wolałbyś? Po prostu powiedz.

– Nie – odparł ponuro Paul, wycofując się z oskarżenia. – Musiałeś zrobić to, co zrobiłeś, nie było innego wyjścia. Chcę cię jednak ostrzec, żebyś nie opowiadał o tej wyprawie. Im mniej ludzi wie, tym mniejsze ryzyko. Wielu wieśniaków widziało, że kulejesz, a ja miałem obandażowaną głowę. Na razie nie staraliśmy się trzymać tej przygody w sekrecie. Ucieczka przed oddziałem werbunkowym to to samo co ucieczka przed celnikami – można się tym chwalić. Ale nie kiedy zabija się marynarza z okrętu wojennego.

Zapadła cisza. Słyszeli pijaków w głównej sali, którzy hałasowali i żartowali z Emmą Hartnell. Jeremy dotknął palcem blatu stołu i wytarł wilgotny ślad po kuflu.

– Nie brałem udziału w tej wyprawie, choć jeszcze pięć minut temu tego żałowałem. Moim zdaniem jesteście prawie bezpieczni. Ta gazeta ma ponad tydzień. Wygląda na to, że nikt w okolicy niczego się nie domyślił. Chyba nie wspominaliście nikomu o gospodzie Pod Dźwiękiem Dzwonów, prawda? Jest szansa, że nikt tego nie skojarzy. Jednak Paul ma rację: nie powinniście nikomu więcej o tym mówić.

Stephen prychnął.

– Ledwie go ukłułem czubkiem noża. Jeśli to prawda, jego bebechy same musiały wypłynąć. Ale dalej uważam, że połowa to wymysły.

Siedzieli przez jakiś czas, popijając piwo i rozmawiając o innych sprawach, choć w dalszym ciągu mieli w pamięci artykuł, jakby pognieciona gazeta wciąż leżała przed nimi, a nie wylądowała w kieszeni Paula.

– Jak tam młynarstwo, młynarzu? – spytał Paul.

– Znośnie.

– Nie widzę w twoich włosach mąki.

– Woda i mydło są tanie.

– Miałeś zacząć w zeszły poniedziałek.

– Miałem.

– Wilf na pewno nie był zadowolony.

– Nie był. Powiedział, że za pół tygodnia pracy dostanę tylko pół tygodniowej stawki.

– I co ty na to?

– Odparłem, że nie spodziewałem się więcej.

– Tak czy owak, w tej chwili nie będziesz mógł brać sobie wolnego, kiedy zechcesz – zauważył Paul. – Nawet jak zostaniesz szwagrem kapitana Poldarka.

– Nie chcę przysług, za które nie mogę się odwdzięczyć.

Paul miał skłonność do uszczypliwości. Rzadko okazywał ją w rozmowach z Jeremym, lecz często wobec Stephena. Chociaż nigdy naprawdę nie zalecał się do Clowance, chętnie zawarłby prestiżowe małżeństwo z córką dziedzica. Żarty mogły być wyrazem zazdrości albo oznaką lęku z powodu śmierci marynarza. Stephen uratował ich przed przymusowym wcieleniem do marynarki wojennej, ale gdyby ich kiedykolwiek wytropiono, konsekwencje byłyby oczywiste.

Po chwili Stephen pociągnął za sznur dzwonka, wzywając Emmę Hartnell.

– Widziałem w Plymouth jedną ciekawą rzecz – powiedział Paul. – Chociaż to bezużyteczna wiedza, której nie można wykorzystać.

– Podziel się nią ze mną – rzekł Jeremy. – I tak znam większość waszych sekretów.

– Och, to wcale nie sekret. To spostrzeżenie, którego dokonałem wieczorem i następnego dnia. Miałem rany na głowie i zwichnięty nadgarstek, więc nie mogłem zasnąć. Niewątpliwie młynarz czuł się lepiej.

– Uchlałem się brandy – odpowiedział Stephen. – Kiedy człowiek ma ranę postrzałową, lepiej się upić, niż skręcać z bólu przez całą noc.

– Pamiętam, że chrapałeś. Boże, strasznie chrapałeś! Dopiłem twoją butelkę i ciągle nie mogłem zasnąć. Nigdy nie byłem piratem przyzwyczajonym do machania kordelasem…

– Stul pysk! – warknął Stephen.

– Cały czas trochę się niepokoiłem, że mogą nas ścigać, więc o świcie wstałem i usiadłem w fotelu przy oknie. Wychodziło na tylną część dziedzińca, gdzie stał dyliżans, do którego mieliśmy wsiąść o ósmej. Były tam trzy dyliżanse, ale poznałem Samoobronę po złotych ozdobach. O siódmej stajenni wyprowadzili konie. O siódmej trzydzieści pojawili się posłańcy niosący dwie żelazne kasety. Umieszczono je w skrzyni pod kozłem, którą zamknięto na kłódkę. Posłańcy dostali pokwitowanie i odeszli, a później zaprzężono konie i dyliżans podjechał do głównego wejścia hotelu, by zabrać pasażerów.

– Co w tym niezwykłego? – spytał Jeremy.

Paul odchrząknął.

– Tak naprawdę to już koniec historii.

Do gabinetu weszła Emma Hartnell.

– Mają panowie ochotę jeszcze się napić? Panie Poldark, pozwala się pan prześcignąć kolegom?

Jeremy dopił swoje piwo.

– Już. Teraz w porządku?

Roześmiała się i wyszła z brzękiem szkła.

– Co było w tych kasetach, jak myślisz? – spytał Stephen.

– Oczywiście pieniądze.

– Dlaczego oczywiście?

– Świadczył o tym kształt i rozmiar kaset. Sposób, w jaki były niesione. Znajdowały się na nich napisy: „Bank Devonu i Kornwalii”.

– Wiesz, dokąd jechały?

– Do Truro.

– Wtedy o tym nie wspominałeś.

– Przez większość jazdy miałem wrażenie, że za chwilę odpadnie mi głowa. Dopiero później

zacząłem o tym myśleć…

– Po co? – spytał ironicznie Jeremy. – Zamierzasz zostać rozbójnikiem?

Paul wzruszył ramionami.

– Naturalnie… Nie, po prostu byłem zaskoczony, że transportują tyle pieniędzy – i to nie dyliżansem pocztowym.

– Dlaczego nie dyliżansem pocztowym? – zagadnął Stephen.

– Na początku mnie to dziwiło. Znam z widzenia jednego z mężczyzn, którzy czekali na dyliżans w hotelu Pearce'a. Spotkałem go w banku Warlegganów. Nazywa się Blencowe.

– Bank Warlegganów współpracuje teraz z Bankiem Devonu i Kornwalii. W zeszłym roku gazety pisały, że zawiązali spółkę. Myślę, że od czasu do czasu przesyłają pieniądze w obie strony. Ale dlaczego tym dyliżansem… Dlaczego Samoobroną?

– Ach, nietrudno to wytłumaczyć – odparł Paul. – Warleggan zainwestował pieniądze w firmę przewozową, nie wiecie o tym? Samoobrona i trzy inne dyliżanse zaczęły kursować trzy lata temu jako własność firmy Fagg, Whitmarsh, Fromont, Weakley i Spółka, ale w listopadzie zeszłego roku, gdy kryzys przybrał na sile, przedsiębiorstwo wpadło w tarapaty i Warlegganowie spłacili jego długi. W tej chwili dają zarobić własnej linii.

– Nie widzę nic ciekawego w twojej opowieści – powiedział Stephen. – Dyliżans pocztowy czy prywatna firma, ryzyko kradzieży jest bardzo niewielkie. Myślisz o kradzieży, co? To spokojne hrabstwo, prawda? Rozbójnicy działają na bogatszych trasach. Poza tym w dyliżansie jest trzech ludzi – dwóch woźniców i uzbrojony strażnik! Lekki dyliżans niewątpliwie jeździ szybciej niż dyliżans pocztowy – i do tego w dzień.

– Tak czy inaczej, niech piekło pochłonie Warlegganów – powiedział Paul. – Od kiedy dofinansowali tę firmę, zaczęła nas wykańczać. Znacie rezultaty. Przynajmniej ty, Jeremy, bo niedawno ci o tym opowiadałem. Zamknęliśmy tę linię w lutym.

Emma wróciła, niosąc na tacy trzy szklanki. Hałasy w głównej sali ucichły i wydawało się, że miałaby ochotę zostać i poplotkować, ale gdy spostrzegła zaabsorbowany wyraz twarzy młodych ludzi, postawiła szklanki na stole, mrugnęła wesoło do Jeremy'ego i wyszła.

Przez chwilę pili w milczeniu, a potem znów zaczęli rozmawiać o lokalnych sprawach.

– Jak sądzicie, ile gotówki może być w tych kasetach? – spytał nagle z roztargnieniem Stephen.

– W dyliżansie? Och… część to prawdopodobnie papiery. Jeśli chodzi o resztę, wszystko zależy od tego, czy to srebro, czy złoto, prawda? Ale wielkość kaset, ich ciężar… Na pewno spora suma. Tysiąc, dwa tysiące funtów, kto wie?

Stephen gwizdnął.

– Warto by…

– Daj spokój, Stephen – powiedział z gorzkim rozbawieniem Jeremy. – Nie zapominaj, że masz się wżenić w szanowaną rodzinę. Nie wolno uprawiać korsarstwa na lądzie, bo przypadkiem można zadyndać na szubienicy.

– Już mu to grozi – wtrącił Paul.

– I tobie także, tobie także – odparł Stephen. – Czytałem gdzieś, że jeśli ktoś popełni przestępstwo w obecności innej osoby, zgodnie z prawem ponosi ona taką samą winę. – Zwrócił się w stronę Jeremy'ego. – Nie strój sobie żartów, muchomorze. Tak czy inaczej, gdyby istniał sposób zdobycia tych pieniędzy, nie odrzucałbym takiej możliwości z przyczyn religijnych. A wy? A wy? Przydałoby nam się kilka tysięcy funtów. Sam mówiłeś…

– Wiem, co mówiłem – przerwał ostro Jeremy, ponieważ nie wspomniał Paulowi o Cuby, by nie dotarło to do jego siostry.

– A zatem?

– A zatem – powtórzył szyderczo Jeremy – mnie też przydałyby się pieniądze. Ale nie z kradzieży.

– Kradzieży? – spytał Paul. – Masz skrupuły moralne? Uważasz, że odebranie pieniędzy bankowi jest równie nikczemne jak obrabowanie wdów i sierot?

Jeremy i Stephen spojrzeli na Kellowa.

– Nie – odparł w końcu Jeremy. – Istnieją różne stopnie zła. Ale to nie sprawia, że mniejsze zło staje się dobre.

Swobodna rozmowa zmieniła charakter. Twarz Paula pociemniała i wyrażała więcej, niż dotychczas powiedziano.

– Zrobiłbyś to, gdybyś mógł? – spytał z niedowierzaniem Jeremy. – Tak, Paul? Mówisz poważnie?

– Nie wiem. Może. Na świecie jest tyle niesprawiedliwości, nierówności. Pieniądze są zawsze w niewłaściwych rękach. Na szczęście nie mamy takiej możliwości. Przynajmniej sądzę, że to szczęście. Nie mogę udawać, że nie czułbym pokusy.

– Och, ja także – wtrącił Stephen. – Dwa tysiące funtów! Za połowę tej sumy mógłbym kupić statek korsarski, wyposażyć, opłacić załogę. Wiem, że na wybrzeżu Francji można zdobyć wielkie łupy.

– Cała ta rozmowa to głupota… – powiedział Jeremy. – Mówmy o czymś praktycznym.

– Amen – odezwał się Stephen, westchnął i usiadł wygodniej. – O jedno możesz być spokojny, Jeremy: nie zostanę rozbójnikiem. Mógłbym to zrobić, by zdobyć Clowance, ale już ją zdobyłem. W tym miesiącu uczciwie zarobiłem trochę pieniędzy. Kupowanie i sprzedawanie jest całkowicie zgodne z prawem. Przykro mi z powodu oddziału werbunkowego, ale kto mógł się tego spodziewać? Chętnie zajmę się jakimiś uczciwymi interesami…

Paul wypił duży łyk piwa.

– Niech mnie diabli, jednak trudno się nie zastanawiać.

– Nad czym?

– Naturalnie zgadzam się ze Stephenem. Napady, czarne maski, to nie dla mnie. Ale kiedy ma się jakiś pomysł, niełatwo o nim zapomnieć.

– Jaki pomysł?

– Znam woźniców dyliżansów. Spotykam ich od lat. Wiem, że lubią wypić. W połowie drogi część z nich ledwo się trzyma na koźle. Zastanawiam się, po prostu się zastanawiam, czy woźnice i strażnik Samoobrony kiedykolwiek razem wysiadają – w Torpoint, Liskeard albo St Austell. A jeśli tak, kto wtedy pilnuje dyliżansu?

KSIĘGA DRUGA

Rozdział pierwszy

I

Ross wyjechał do Londynu dwudziestego trzeciego maja. George Canning napisał:

To wielka tragedia. Jak wiesz, Perceval i ja od pewnego czasu toczyliśmy spory i przyznaję, że głęboko nie zgadzałem się z jego polityką, ale, szczerze mówiąc, nie był człowiekiem, z którym można się kłócić prywatnie. Naszą rywalizację powodowały okoliczności, na które żaden z nas nie miał wpływu – z pewnością nie powstała ona wskutek niczyjej wrogości ani decyzji. Jego wielkość nie opierała się na szerokich horyzontach, lecz przykładnej uczciwości i wątpię, czy inny polityk naszego pokolenia będzie tak szczerze opłakiwany. Następnego dnia żaden z mówców – byłem jednym z nich – nie potrafił wyrazić swoich uczuć w Izbie Gmin.Jak mogłeś słyszeć, żal jego stronników partyjnych nie jest podzielany przez mieszkańców północnej części Anglii. Głodujący motłoch raduje się ze śmierci Percevala, obwiniając go o wszystkie straszliwe nieszczęścia, jakie spotkały kraj, i uznaje mordercę za bohatera. Bito w bębny, wywieszono flagi rewolucyjne i tylko duże oddziały wojska oraz milicji mogą zapobiec wybuchowi powstania.

W tym samym miesiącu Napoleon Bonaparte zlekceważył nieistotne problemy stwarzane przez Wellingtona i pojechał do Drezna wbrew radom Cambacérèsa i Talleyranda, że nie powinien walczyć z Rosją, dopóki „hiszpański wrzód" w dalszym ciągu ropieje. Wystąpił uroczyście wraz z Marią Ludwiką, po czym przyjął hołd licznych królów i książąt europejskich. Później pomaszerował na Rosję z armią złożoną z sześciuset tysięcy żołnierzy. Cztery tygodnie później, gdy zbliżał się do Niemna, Stany Zjednoczone wypowiedziały Anglii wojnę, nie zdając sobie sprawy, że rząd brytyjski niedawno anulował dekrety, które stały się przyczyną konfliktu. Po przegrupowaniu wojsk Francuzi przekroczyli Niemen i po czterech dniach zajęli Wilno, opuszczone przez uciekających Rosjan. Jak daleko mogą dotrzeć?

Tymczasem w angielskiej Izbie Gmin trwał kontredans polityczny, odpowiednio uroczysty i całkowicie pozbawiony pośpiechu. Lord Liverpool, pełniący obowiązki premiera, mimo wielodniowych negocjacji i konsultacji nie zdołał niczego osiągnąć, po czym podał się do dymisji po przegranym głosowaniu w parlamencie. Później książę regent posłał po lorda Wellesleya. Starszy brat Wellingtona wpadł na pomysł zaproponowania części urażonych, niezadowolonych wigów, by stworzyli wraz z nim następny „gabinet talentów", lecz ci odmówili, ponieważ uważali, że wszystkie talenty znajdują się w szeregach ich własnej partii, i nie chcieli formować rządu, który nie dawałby im kontroli nad księciem. Następną próbę podjął lord Moira, również nieudaną, choć przez kilka krótkich dni wydawało się, że nie tylko powoła gabinet, ale też zaproponuje Canningowi stanowisko odpowiadające jego zdolnościom.

Próby te zakończyły się fiaskiem i lekko zdesperowany książę regent poprosił lorda Liverpoola, by podjął kolejną próbę sformowania rządu. Lordowie Grey i Granville oraz inni czołowi wigowie podejrzewali, że to wcale nie desperacja, tylko szatańsko podstępny fortel księcia pragnącego osiągnąć to, na czym mu od początku naprawdę zależy – przedłużenie istnienia chorego, nieudolnego gabinetu Percevala, który unikałby poruszania kwestii emancypacji katolików, lecz mimo to w dalszym ciągu energicznie prowadził wojnę.

W trakcie toczących się konsultacji i manewrów politycznych Ross czuł się coraz bardziej nieswojo, jednak coraz bardziej się w nie angażował. Pisał do Demelzy:

Wydaje się, kochana, że wymyślam preteksty, by nie wracać, lecz nie są to preteksty, bo naprawdę czuję, że nie mogę w tej chwili opuścić George'a. Teraz, gdy odrzucił propozycję Liverpoola, w prywatnych rozmowach w nieskończoność usprawiedliwia swoją decyzję i podejrzewam, że jej żałuje. Chociaż bardzo go cenię, przyznaję, że jestem nim zniecierpliwiony. Nawet książę regent, który dawniej wyjątkowo go nie lubił, zaapelował do George'a, by przyjął propozycję Liverpoola i zapomniał o różnicach zdań z Castlereaghiem i pozostałymi – jednak bezskutecznie.Cóż… to mój łabędzi śpiew,

chociaż nużący. Uważam, że kiedy parlament znów się zbierze, nie da się długo odwlekać wyborów. Przysięgam, że później mądry, dobry George Canning będzie mnie rzadziej widywać niż bogaty, zły George Warleggan snujący w Kornwalii swoje sieci.Widziałem kilka razy księcia i zawsze odnosił się do mnie bardzo grzecznie, choć mam obawy, że podczas naszego ostatniego spotkania w zeszłym roku nie zachowałem się wobec niego tak kurtuazyjnie, jak powinienem. Mówią, że po urazie kostki, którego doznał podczas tańca, musiał zażywać dziennie dwieście pięćdziesiąt kropli laudanum, a do tego napar ze szczwołu – żeby spać choćby przez trzy godziny!W zeszłym tygodniu otrzymałem list od Jeremy'ego, który napisał, że w Wheal Leisure nie udało się znaleźć rudy dobrej jakości. Musisz mu powiedzieć – albo pozwolić przeczytać ten list – że to dopiero początek naszego przedsięwzięcia. Znam kopalnię w pobliżu East Pool, gdzie udziałowcy prowadzili poszukiwania przez dwa lata, nim odkryli bogate złoża. Oczywiście teraz nie moglibyśmy ponieść takich kosztów – i czasem się zastanawiam, czy postąpiłem mądrze, zatrzymując większość akcji. To wielki ciężar, ale znasz moje motywy.Czas pędzi naprzód, a ja już za długo przebywam poza domem. Mam nadzieję, że Jeremy postępuje rozsądnie. Proszę, uważaj na siebie i dziecko. Wiesz, że rzadko okazuję swoje uczucia: komplementy i oznaki miłości zdarzają mi się równie często jak śnieg w czasie upalnego lata, lecz mimo wszystko proszę, żebyś dbała o swoje zdrowie i bezpieczeństwo. Nie wspinaj się na drzewa – nawet małe; nie próbuj nosić pod pachą szpinetu; nie kłóć się z krowami; nie spadnij z konia, nie wbiegaj po schodach więcej niż po cztery stopnie naraz. Odradzam Ci to wszystko.W końcu wrócę. Tymczasem przesyłam wyrazy miłości jako Twój zawsze wierny, choć często nieobecny mąż. II

W czwartek, w lipcu, żegnając się z Clowance przed szybko zapadającym zmrokiem, Stephen powiedział, że jak zwykle zobaczy się z nią w sobotę. Polubił jazdę konną i w czasie długich letnich wieczorów nic nie sprawiało im takiej przyjemności jak wspólny galop po plaży do Czarnego Klifu i z powrotem. W czasie przypływu było to nieco ryzykowne i ostatnio musieli dwa razy zsiadać z koni, prowadzić je przez wydmy do dworu Mingoose, po czym wracać do domu okrężną drogą.

– A jutro? – spytała Clowance, delikatnie gładząc spoconą szyję Nerona.

– Najdroższa, wiesz, że nigdy nie spotykamy się w piątek.

– Jutro poziom wody będzie idealny. Możemy przejść stępa na początku odpływu, a później wrócić galopem po cudownie twardym piasku.

– Tak. Tak, chyba masz rację. Ale w sobotę niewiele się zmieni.

– Będziemy musieli czekać na odpływ.

– Możemy wyruszyć godzinę później.

– Zamierzasz odwiedzić Violet? – spytała.

Koń Stephena potrząsnął łbem i parsknął.

– Tak – odpowiedział.

– Dlaczego nie zrezygnujesz z wizyty w tym tygodniu?

– Jest śmiertelnie chora, Clowance.

– Wiem. Ale jest chora już od dawna. Nie musi się z tobą widywać w każdy piątek. Idź w niedzielę rano.

– Spodziewa się mnie jutro.

– To ważniejsze od spotkania ze mną?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale to coś w rodzaju… umowy.

Clowance siedziała na koniu, a jej jasne włosy rozwiewał wiatr, zawsze wiejący na plaży.

– Więc pójdę z tobą.

Znów zapadło milczenie.

– Najdroższa, wiesz, co do ciebie czuję – rzekł Stephen. – Jeśli nie wiesz, przykro mi, że nie potrafiłem wyrazić swoich uczuć. Spotkania z Violet Kellow to… to coś innego. Naturalnie jej nie kocham, ale kiedyś udawałem, że tak jest. Dla żartu. Nawet ona sama w to nie wierzy. Jednak udaje, że wierzy – podobnie jak ja. Więc spotykamy się w piątki. Siedzę przy niej przez godzinę, trzymam ją za rękę, próbuję ją rozweselić. Jest dobra i bardzo słaba. Wkrótce się załamie.

– A zatem nie pozwolisz mi nawet ze sobą pójść. Na pewno bym ci przeszkadzała okazywać jej dozgonną miłość.

Stephen się zawahał.

– Tak, kochanie, przeszkadzałabyś – powiedział w końcu.

Zamierzała zawrócić konia, lecz chwycił go za uzdę.

– Clowance, okaż choć odrobinę rozsądku! Jesteś zbyt wspaniałą dziewczyną, by tak reagować. Violet jest śmiertelnie chora. To coś innego, niż gdybym się spotykał z jakąś wiejską dziewuchą, Beth Nanfan albo kimś takim. Nawet…

– Skąd mam wiedzieć, że się z nimi nie spotykasz?

Popatrzył na nią.

– Chcesz mnie sprowokować do kłótni, kochanie?

– Nie, ale zamierzam wyjaśnić tę sprawę. Zamierzam…

– Nieważne, co zamierzasz wyjaśniać, nigdy nie będziesz traktować tego normalnie, jeśli mi nie zaufasz!

– I tak jest dość plotek.

– Jakich plotek? Co masz na myśli?

– Chodzisz do szynków, zwłaszcza do Sally-Na-Rozgrzewkę. Chodzisz do Nanfanów. Mam wrażenie, że gdziekolwiek bywasz, spotykasz wiejskie dziewczyny.

Usiłowała uwolnić uzdę, ale trzymał ją bardzo mocno. Neron przewrócił ślepiami i parsknął, niezadowolony, że ktoś krępuje jego ruchy. Koń Stephena próbował się cofnąć.

– Posłuchaj mnie – powiedział Stephen. – Nie wyrzekam się przyjaciół, kimkolwiek są! Nanfanowie byli dla mnie bardzo dobrzy, gdy u nich mieszkałem, i w dalszym ciągu są. Beth to sympatyczna, ładna dziewczyna i lubię ją. Ale tak samo lubię Willa i Char, jej rodziców. Myślisz, że traktowaliby mnie przyjaźnie, gdybym romansował z ich córką, będąc z tobą zaręczony? A jeśli chodzi o Sally… w ostatnim roku poznałem wielu ludzi z okolicy – w tym starego Tholly'ego, który jest wyjątkowym draniem, ale był przyjacielem twojego dziadka! Bez przerwy opowiada o starym kapitanie, jak go nazywa. Musiał być prawdziwym diabłem.

Neron, albo reagując na czyjś ruch, albo z własnej inicjatywy, szarpnął łbem i o mało nie wyrzucił Stephena z siodła. Młody człowiek puścił uzdę. Clowance nadal widziała w półmroku jego twarz.

– Chodzi zwłaszcza o kobiety – ciągnął Stephen. – Stary Tholly opowiada, że uwodził je tuzinami. Podobno żadna kobieta nie była od niego bezpieczna. Przyprawił rogi wielu mężom i aż dziw, że zmarł we własnym łóżku. Tak mówi Tholly.

Clowance wpadła we wściekłość.

– Nie wiem, co mówi Tholly, i nic mnie to nie obchodzi! Jeśli mój dziadek uwodził kobiety, a ty tak go podziwiasz, może zamierzasz iść za jego przykładem!

Uderzyła Nerona piętami i pogalopowała przez bramę w stronę stajni. Stephen ruszył za nią i zawołał jej imię, lecz się nie odwróciła. Matthew Mark Martin wybiegł, by pomóc jej zsiąść z konia, a Stephen zaklął pod nosem i zawrócił. Pojechał drogą obok przysiółka Mellin do stróżówki, gdzie mieszkał w tej chwili samotnie.

III

Kiedy następnego wieczoru przyjechał do Fernmore, zastanawiał się, czy cotygodniowa wizyta jest warta awantury z Clowance. Był na nią zły z powodu jej zachowania, które uważał za aroganckie, a irytacja była tym większa, że mimo zaręczyn w dalszym ciągu miał wobec Clowance poczucie niższości, co raniło jego męską dumę. Ale czy Kellowowie są dla niego aż tak ważni? Tak czy inaczej, Daisy pojechała do Truro w odwiedziny do ciotki, pani Choake, a Paul przebywał z ojcem w Falmouth. Pani Kellow zaprowadziła Stephena na górę, po czym spytała, czy zaopiekuje się Violet, a tymczasem ona odwiedzi panią Odgers, żonę proboszcza. Chociaż matka bardzo kochała Violet, wyraźnie uważała Stephena za regularnego gościa i godnego zaufania przyjaciela domu, którego można zostawić z córką

sam na sam.

Stephen przyjechał głównie ze względu na Violet. Wszedł po schodach na piętro i przekonał się, że dziewczyna wygląda lepiej. W zeszłym tygodniu była blada jak śmierć, lecz teraz nabrała wigoru, miała zaróżowione policzki, a opryszczka na wardze zniknęła. Stephenowi przyszło do głowy, że może Clowance ma rację – Violet choruje od dawna i ten stan może trwać jeszcze bardzo długo.

Ale gdy zaczęli rozmawiać, zauważył, że wesołość Violet jest powierzchowna. Na początku jak zwykle wymieniali żartobliwe uwagi.

– Stephen, kotku, nareszcie jesteśmy sami! Przyszedłeś skorzystać ze swoich praw małżeńskich?

– Naturalnie, kochanie. – Pocałował ją. – Powiedziałem twojej matce, żeby wracała nie wcześniej niż za dwie godziny. To powinno wystarczyć, prawda? Mogę zaciągnąć zasłony?

– Proszę.

Roześmiał się i wziął ją za rękę.

– Wyglądasz pięć razy lepiej niż w zeszłym tygodniu. Regularnie jesz zupę z rzepy? Ledwo się obejrzymy, a będziemy spacerować po plaży!

Pokręciła głową.

– Wiesz, że to nigdy nie nastąpi. Zaprzedałeś duszę innej. Chociaż Clowance uważa za stosowne pozwalać ci tu przychodzić, nie byłaby zadowolona, gdybyśmy chodzili na spacery po plaży. Ja zresztą też na jej miejscu… Ale nie musi się martwić. Już nigdy nie zobaczę plaży.

– Och, daj spokój…

– Och, daj spokój! – powtórzyła szyderczo. – Łatwo ci mnie pocieszać, bo prawie wcale cię nie obchodzę!

– Ależ obchodzisz, obchodzisz, i to niezmiernie głęboko! Inaczej bym nie przycho…

– Niezmiernie głęboko… – powtórzyła. – Co to właściwie znaczy? Niezmiernie głęboko? Skąd ty bierzesz te wyszukane wyrażenia? Bardziej pasują do zniewieściałego dandysa niż do pirata żeglującego po morzach i wymachującego kordelasem.

– Korsarza – poprawił. – Natychmiast zrozumiałabyś, na czym polega różnica, gdyby wzięli cię do niewoli prawdziwi piraci. Nigdy nie machałem kordelasem, choć kiedy cię widzę, mam na to wielką ochotę…

W dalszym ciągu rozmawiali w ten sposób, wymieniając złośliwe przytyki na przemian z na wpół poważnymi, na wpół cynicznymi deklaracjami sympatii. Violet była mistrzynią tego rodzaju konwersacji i w czasie wizyt Stephena, który przyjmował jej reguły gry, znów się ożywiała. Jednak tylko na krótko. Po chwili oparła głowę na poduszce i spojrzała szklistymi oczami na niebo za oknem.

– Boże, powietrze jest strasznie wilgotne… Chmury prawie dotykają dachów domów. Na szczęście doktor Enys pozwala mi otwierać okno. Mama wolałaby, żebym siedziała w szczelnie zamkniętym pokoju: boi się, że dostanę kaszlu od świeżego powietrza. Wyrzuć na dwór tego bzykacza, dobrze, Stephen? Niepotrzebnie wleciał do pokoju, irytuje mnie.

Stephen zręcznie podniósł różę, na której na chwilę przysiadła pszczoła, zaniósł ją do okna i potrząsnął ręką. Pszczoła nie chciała odlecieć i zaczęła się wspinać po łodydze. Wyrzucił różę za okno.

– Chyba boisz się owadów! Taki silny mężczyzna!

– Bzykacz? – odparował. – Gdzie się nauczyłaś takich słów? Bzykacz. Bardziej pasują do starej kornwalijskiej handlarki ryb niż do eleganckiego salonu.

– *Touché*… – Westchnęła. – Wiesz, Stephen…

– Co?

– Nieważne. Lepiej, żebym o tym nie mówiła. Opowiedz mi o swojej pracy w młynie. Dobrze ci idzie? W chórze śpiewa dwóch mężczyzn i przyznaję, że nie wiem, który z nich to Wilf Jonas.

– Ma za uchem znamię, które dochodzi do karku.

– Niestety, nigdy nie widziałam z bliska jego karku! Przyznaję, że nie próbowałam go obejrzeć! Ale powiedz, co robiłeś. Są na sprzedaż jeszcze jakieś łodzie ratownicze?

Pokrótce opisał, czym się zajmował w ciągu ostatniego tygodnia. Potrafił opowiadać o codziennych wydarzeniach w interesujący sposób. Ben Carter nazywał to darem wymowy. Zabawiał

Violet przez kilka minut. Kiedy skończył, poczęstowała go bakaliami. Wziął je i jedli w milczeniu.

– Wczoraj odwiedziła mnie pani Pope.

– Och, doprawdy? To miło z jej strony.

– Nie mogłam się zorientować, czy uważa to za wizytę towarzyską, czy za jedną z wizyt składanych ubogim.

Stephen zaśmiał się głośno.

– Nie jesteś wcale taka uboga, Violet. Powinnaś jej wybaczyć. Jej mąż jest koszmarny. Ohydny chudy staruch.

– Zawsze wybaczasz ładnym kobietom – powiedziała Violet. – Już to zauważyłam.

– Naturalnie. Właśnie dlatego wybaczam również tobie. Pomyśl tylko, jakie ona ma życie z chorym starcem!

– Wiesz, co wczoraj powiedziała? „Gdy pojawiam się teraz bez męża w kornwalijskim towarzystwie, wszyscy wiedzą, że jest stary i chory, co naraża mnie na impertynenckie zachowania wielu młodych próżniaków". O mało się nie roześmiałam!

– Nie dziwię się. – Stephen się zamyślił. – Jak na nią patrzę, nie wydaje mi się, by miała coś przeciwko takim impertynencjom!

– Jest zbyt świadoma własnej pozycji, na tym polega problem.

Jedli bakalie.

– Co chciałaś powiedzieć, Violet?

– Kiedy?

– Przed chwilą. Zaczęłaś coś mówić i urwałaś.

– Och, to… Nie śmiem ci powiedzieć.

– Uważam, że nie ma nic, czego nie mogłabyś mi powiedzieć. Jak kobieta mężczyźnie!

Uśmiechnęła się enigmatycznie, spoglądając na ciemne niebo. Jej twarz leciutko się zaróżowiła.

– Powinieneś wiedzieć, że wychowano mnie jak damę – znacznie lepiej niż panią Pope – chociaż nisko upadłam, gdy się w tobie zakochałam.

Znów się roześmiał, tym razem z mniejszą pewnością siebie. W jej słowach przeplatały się żart i prawda, lecz nie mógł odgadnąć, czego jest więcej.

– Spokojnie, spokojnie, kochanie, dość tego. Kiedyś mógłbym wziąć twoje słowa poważnie.

– Weźmiesz je poważnie, gdy umrę.

– Jeśli zamierzasz gadać takie ponure rzeczy, lepiej sobie pójdę.

– Lepiej, żebyś poszedł – odparła Violet. – Gdybym powiedziała to, co zamierzałam powiedzieć, śmiertelnie byś się przeraził. Idź sobie. Uciekaj, chłopczyku, i kup kolejną łódź ratowniczą.

Ujął ją za rękę.

– Powiedz. No już, wstrząśnij mną. Zobaczymy, czy potrafisz. Zaufaj staremu przyjacielowi.

Cofnęła dłoń.

– Co mi dolega? – powiedziała lekkim tonem. – Och, nic wielkiego. Po prostu umrę, to wszystko. Mówiłam ci o tym kilka tygodni temu. Oczywiście to nic nie znaczy. Codziennie ktoś umiera i ktoś się rodzi. Jedyną osobą, dla której ta śmierć jest ważna, jestem ja!

– Jeśli mogę…

– Zaczekaj. Jak wspomniałam przed kilkoma tygodniami, denerwuje mnie, że tak niewiele poznałam, dokonałam, doświadczyłam. Ile można przeżyć w wieku dwudziestu dwóch lat? Nigdy nie byłam w Londynie, nie pływałam po morzu, nie miałam kochanka, nie urodziłam dziecka. Nie zaczęłam jeszcze żyć, a już muszę odejść. Właśnie to, drogi Stephenie, sprawia mi największą przykrość! Głęboko cierpię z tego powodu!

Na dachu nad sypialnią krakały wrony. Kiedy postanowiły odlecieć, niebo za oknem na chwilę pociemniało. Uderzenia ich skrzydeł sprawiły, że zasłona lekko się poruszyła.

– Źle to rozumiesz, Violet – rzekł Stephen. – Jestem trochę wstrząśnięty…

– Nie, nie o to chodzi. To nie jest jeszcze wstrząsające. Chciałam ci powiedzieć, że jestem dziewicą.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i lekko się uśmiechnął.

– Nigdy nie posunąłem się tak daleko, prawda?

– Ani żaden inny mężczyzna.

– Cóż, to dobrze – odparł. – Przynajmniej…

– Przynajmniej, ale niedobrze. Nigdy się nie dowiedziałam, co to znaczy mieć mężczyznę. To źle. W mglistych dniach zeszłego roku myślałam, że jest jeszcze czas.

– Naturalnie, że jest jeszcze czas…

– Proszę, nie kłam. Wiem, że nie ma czasu.

– Cóż… – powtórzył i uśmiechnął się do Violet.

– Tak… – mruknęła. – Nie krępuje cię ta rozmowa?

– Na pewno mnie nie szokuje.

– Jeszcze nie. – Odsunęła się od niego o kilkanaście centymetrów, znów uwalniając dłoń. – Wyobrażam sobie, że w tej chwili budzę w tobie odrazę, prawda?

Wybałuszył oczy.

– Nie rozumiem…

– Moja twarz jest wciąż ładna. Codziennie rano szukam w lustrze skaz i ich nie widzę. Bardzo schudłam od czasu, gdy rok temu obmacywałeś mnie w kościele. Wyglądam jak szkielet. Chyba nie mógłbyś mnie dziś dotknąć, nie zniósłbyś tego.

W dalszym ciągu wybałuszał oczy. Powoli docierało do niego znaczenie słów Violet.

– Szkoda, że tak późno się dowiedziałem…

– Czego?

– Czy to nie głupie pytanie?

– O tak. O tak. – Zaczerwienił się. – Ale nie sugerujesz przecież…

– Dlaczego mam nie sugerować?

– Kochanie, jesteś poważnie chora.

– Śmiertelnie chora.

– Spokojnie, spokojnie. Tak czy inaczej…

– Jestem chora – powiedziała. – Uważam, że śmiertelnie. I co z tego? Właśnie na tym polega problem. Naprawdę sądzę, że cię kocham, Stephenie. Niezbyt mocno, choć wystarczająco, by mogło to uchodzić za prawdziwą miłość. To wyznanie nie pasuje do damy – jest wręcz niestosowne – ale go nie cofam. Gdybym kiedykolwiek chciała mieć kochanka, mężczyznę, chyba wolałabym stracić dziewictwo właśnie z tobą. Teraz jesteś wstrząśnięty?

Nie był w stanie ruszyć się z fotela stojącego obok łóżka. Wrony odleciały. Skwarne popołudnie trwało w cichym śnie.

– Violet… – zaczął.

– Tak, Stephenie.

– Violet, nie jestem wstrząśnięty – nie naprawdę – bo wiem, że nie mówisz tego poważnie.

– Jasne, że nie mówię poważnie. To tylko żart.

– Nie, wiem, że nie żartowałaś. Ale spróbuj zrozumieć…

– Co zrozumieć? – Odgarnęła z czoła wilgotne włosy.

– Postaraj się zrozumieć…

– Że jesteś zaręczony z Clowance Poldark?

– Nie to chciałem powiedzieć.

– To bardzo dziwne – rzekła. – Kobieta nigdy nie może się oświadczać, tylko przyjmuje lub odrzuca prośby o rękę. Jedną z nielicznych zalet śmiertelnej choroby jest to, że te ograniczenia przestają obowiązywać. Czuję, że moja pozycja jest bardzo słaba, a jednocześnie bardzo silna. Odpowiedz mi. Mów dokładnie to, co myślisz.

Usiadł wygodnie w fotelu i rozłożył ręce.

– Doprawdy, kochanie…

– Proszę, nie nazywaj mnie tak.

– Violet, przecież nie możesz sugerować…

– Nie mogę? Dlaczego nie mogę?

– Może kiedyś w przyszłości…

– Nie ma żadnej przyszłości.

– Więc kiedy?

– Teraz, oczywiście.

– Teraz?! W tej chwili?!

– Czy jest lepsza okazja? W domu nikogo nie ma. Drzwi można zamknąć na zasuwkę, jeśli chciałbyś dodatkowo się zabezpieczyć.

Nagle wstał.

– Wielkie nieba! Na Boga! To by cię zabiło!

– A gdyby nawet?

– Czułbym się jak morderca!

– Czy naprawdę tak myślisz, czy szukasz wymówki? Oczywiście, nie o to chodzi. Budzę w tobie odrazę.

– Wcale nie! Ale nie wyobrażasz sobie… Gdybyś umarła w przyszłym tygodniu… Odzyskujesz siły. W lecie przyszłego roku możesz być zupełnie zdrowa!

Zwilżyła wargi i cicho kaszlnęła w chusteczkę.

– Uważasz, że nie pamiętam, jak zmarła moja starsza siostra Dorrie? Straszne bóle w piersiach, duszności, krew. Sądzisz, że istnieje cień nadziei, by mnie to nie spotkało? Ja naprawdę umieram, Stephenie! Gdybym miała skrócić swoje cierpienia, czy powinnam tego żałować? Nawiasem mówiąc… – Urwała.

– Co takiego?

– Wiesz, co to miesięczna przypadłość kobiety?

– Naturalnie.

– Już od roku jej nie mam. Gdyby to się teraz stało, a ja, niewdzięczna suka, jakimś cudem bym przeżyła i wyzdrowiała, nie ma niebezpieczeństwa pojawienia się bękarta ani procesu o ojcostwo. W dalszym ciągu będziesz się mógł ożenić z panną Clowance Poldark!

– Boże Wszechmogący! – zawołał Stephen, chwytając się za włosy.

– Myślę, że nie miałeś jeszcze Clowance – powiedziała po chwili Violet.

– Zamknij się!

– Wiejskie dziewuchy… Nie wierzę, że są łatwe w okolicznych wsiach, które prawie należą do Poldarków. Skandal mógłby cię zniszczyć.

Spojrzał na nią z grymasem na twarzy.

– Nigdy nie przypuszczałem, że jesteś w stanie gadać takie rzeczy.

– Brzmi to dość rozsądnie, prawda? Niewątpliwie dobrze się bawisz, gdy wyjeżdżasz, ale nie wierzę, że jesteś zasypywany tego rodzaju propozycjami w okolicach Nampary. Jeśli poważnie rozważysz moją ofertę, nie przyniesie ci to ujmy. Co do mnie, cóż, ja… Szukam doświadczenia, które tylko ty możesz mi ofiarować. Jeśli sądzić po naszym spotkaniu w kościele w Sawle, rok temu musiałeś mnie pożądać. Cokolwiek się stanie, przysięgam, że na zawsze zachowam milczenie. Wkrótce będę leżeć w grobie. Kiedyś mnie pragnąłeś…

– Tak, kiedyś cię pragnąłem – odpowiedział. – Ale…

– Jeśli chcesz, możesz obejrzeć moje ciało. Jest chude, ale czyste. Mogę ci je ofiarować. Jeśli odrzucasz propozycję, proszę, idź i zostaw mnie z moimi łzami.

Bardzo powoli podszedł, roześmiał się i usiadł na łóżku.

– Diablica z ciebie… – rzekł.

– Proszę, zaciągnij zasłony.

– Jesteś prawdziwą diablicą – powtórzył.

Pokręciła głową.

– Nie wiń mnie, Stephenie. Proszę, nie wiń mnie.

Położył rękę na jej ramieniu.

– Moja kochana… Jak mógłbym? Teraz? Może innego dnia, gdy poczujesz się lepiej, nabierzesz sił. Moglibyśmy się umówić.

– Moja matka będzie plotkować jeszcze co najmniej godzinę. Lecky poszła do Sawle, a gdyby wróciła, nie przyjdzie, jeśli nie zadzwonię. Czuję się dziś znacznie lepiej. Teraz albo nigdy – tak uważam. Musisz mi powiedzieć, czy czujesz do mnie odrazę, Stephenie.

Popatrzył na nią.

– Przysięgam, że nie!

– Więc o co chodzi? Lojalność wobec Clowance? Słusznie. Ale Clowance nigdy się nie dowie. A może jesteś tak zażenowany i wytrącony z równowagi, że nie mógłbyś się dziś ze mną kochać?

Po długiej chwili milczenia otarł dłonią usta.

– Nie, nie o to chodzi.

– Jestem zupełnie bezwstydna – powiedziała i odkryła się. – Widzisz, moje nogi nie są jeszcze bardzo chude. Myślę, że mogłyby się podobać zainteresowanemu mężczyźnie… Możesz mnie zabić, jeśli chcesz. Przysięgam, że nie będę żałować.

Spoglądał na nią jeszcze przez chwilę. Później wstał i zaciągnął zasłony.

– Dziś jest tak ciepło… – powiedziała, wyciągając się na łóżku. – Tak ciepło…

Rozdział drugi

I

Pod koniec lipca Valentine Warleggan, który niedawno wrócił do domu z Eton, napisał do Rossa i Demelzy, że w przyszły czwartek zamierza złożyć kilka kurtuazyjnych wizyt w okolicy i że przenocuje u Treneglosów. Czy mógłby się wprosić na kolację do Nampary? Miał nadzieję, że przybędzie około siódmej.

Demelza stanęła wobec dylematu. Nieobecność Rossa usprawiedliwiałaby odmowę, lecz masztalerz przywiózł list, gdy nie było jej w domu, a Valentine prawie nie zostawił czasu na odpowiedź. Niewątpliwie liczył, że zostanie powitany z otwartymi ramionami, i byłby urażony, gdyby tak się nie stało – nawet listem z nieprzekonującą wymówką. W zeszłym roku Jeremy i Clowance odwiedzili Cardew, a na Wielkanoc Valentine zaprosił ich do teatru. Czy powinna się przejmować jego nagłą wizytą? Minęło tyle lat… Ale teraz, gdy po raz pierwszy w życiu Valentine zamierzał odwiedzić Namparę, wolałaby mieć u boku Rossa.

Nie mogła nawet wyjaśnić tego problemu Caroline, która zazwyczaj była jej powiernicą w podobnych sprawach. Mogła zrobić tylko jedno – pojechała konno do Killewarren i zaprosiła Dwighta i Caroline na kolację w czwartek. Wysłała również zaproszenie Horriemu Treneglosowi i kazała Clowance zaprosić Stephena. Clowance, która chodziła po domu z wściekłą miną, powiedziała, że spróbuje.

– Co się stało? – spytała Demelza. – Pokłóciliście się?

– Nie jestem pewna, czy można to tak nazwać. Czasem mamy różne zdania.

– Więc się kłócicie.

– Owszem, chyba można to tak nazwać. Nie rozmawiałam z nim od tygodnia.

– Wspaniały początek! Tak zamierzacie żyć w małżeństwie?

Clowance mruknęła coś w odpowiedzi.

– Jeśli zrobił coś, co ci się nie podoba, albo ty zrobiłaś coś, co jemu się nie podoba, dlaczego nie spróbujesz z nim porozmawiać i wszystko wyjaśnić? Wiesz, że nie wolno hodować w sobie złości.

– Łatwo ci mówić – odparła Clowance. – Ty i tata jesteście inni. Nigdy się na siebie nie wściekacie, nie działacie sobie na nerwy…

– Mój Boże, wszyscy czasem się kłócą – powiedziała Demelza. – W przeszłości kłóciłam się z twoim ojcem – i to jak! – ale chodziło o ważne rzeczy, a te, Bogu dzięki, zdarzają się rzadko. Życie jest za krótkie, by się sprzeczać o drobnostki.

– Skąd mam wiedzieć, co jest ważne?

– Będziesz wiedzieć, zapewniam cię… Czy to coś poważnego?

Clowance wzruszyła ramionami.

– Nie sądzę. Ale czasami, zbyt często, każde z nas chce postawić na swoim.

– I nikt nie zamierza ustąpić?

– Myślę, że to jednak dość istotne.

– Chcesz ze mną o tym porozmawiać?

– Nie… Och, sama nie wiem. Jedną z rzeczy budzących moje obiekcje jest to, że Stephen chce spędzać każdy piątkowy wieczór z Violet Kellow…

Demelza ukradkiem poszerzała sukienkę, lecz żadne z jej dzieci jak dotąd nie spytało, co robi. Było jeszcze wcześnie, jednak nie chciała dać się zaskoczyć. Wielki brzuch był jedyną rzeczą związaną z macierzyństwem, której nie znosiła.

– Violet jest ciężko chora – powiedziała. – W tym tygodniu doktor Enys odwiedził ją dwa razy.

– Wiem. Trochę się wstydzę z tego powodu. Ale tak to jest. Stephen… Stephen zachowuje się tak, jakby te wizyty były wyjątkowo ważne. Potem wyśmiewał naszą rodzinę.

Demelza ze zdziwieniem spojrzała na córkę.

– Co takiego?! W jaki sposób?

– Powtarzał zasłyszane opowieści o dziadku. Mam na myśli papę ojca. Oczywiście wszyscy słyszeliśmy historie na jego temat, ale Stephen wydawał się zachwycony, jakby postępowanie dziadka przynosiło nam ujmę, przynosiło ujmę mnie.

– Musisz go kiedyś ostrzec – odezwała się Demelza. – Powiedz mu, żeby nie mówił nic takiego przy ojcu. Nieważne, czy to prawda. Wyrzuciłby go z domu, albo przez drzwi, albo przez okno.

Clowance lekko się zaśmiała.

– W tej chwili chyba nie miałabym nic przeciwko temu.

Kiedy córka wyszła, Demelza odłożyła szycie, a później przybiegła Isabella-Rose i naturalnie nie było czasu na jakiekolwiek racjonalne myśli. Demelza zastanawiała się, czy Clowance nie jest zbyt blisko związana z ojcem, co mogło zaszkodzić jej małżeństwu. Stephen mógł być zazdrosny i próbował rzucić cień na ukochanego dziadka – nie odważyłby się bezpośrednio krytykować Rossa. Niezbyt ładne posunięcie, ale zakochani ludzie często przeżywają zbyt głębokie emocje, by stosować dżentelmeńskie metody.

Nazajutrz, w środę, pojechała do Mingoose zobaczyć się z Ruth Treneglos i w drodze do domu zauważyła Stephena układającego kamienny mur przed stróżówką. Zapadał wieczór, jasne niebo na zachodzie było bezchmurne z wyjątkiem kilku pierzastych obłoków o dziwnych kształtach. Zawołała do Stephena, który uniósł wzrok i odłożył młot.

– Pani Poldark, cóż za zaszczyt! Przyjechała pani zobaczyć dom?

– Nie, zaprosić cię na kolację jutro wieczorem. Przyjeżdża Valentine Warleggan, którego znasz ze słyszenia, i pomyślałam że powinieneś go poznać.

– Bardzo dziękuję. O której mam przyjść?

– Myślę, że Valentine przyjedzie o siódmej, ale kolację zjemy jak zwykle o ósmej.

– Dziękuję. – Stephen spojrzał na swoje ręce, brązowe od piaszczystej ziemi. – Czy Clowance wie, że jestem zaproszony?

– Nie pytałam jej. Jesteście zaręczeni, więc nie powinna mieć nic przeciwko temu.

Roześmiał się bez wesołości.

– Tak, to prawda.

Zapadła chwila milczenia.

– Budowałeś kiedyś mur z kamieni?

– Nie, dopiero się uczę.

– To trudna sztuka – powiedziała. – Są tu ludzie, którzy mogą ci pokazać, jak to robić.

Znów się roześmiał.

– Pomyślałem, że dam sobie radę. Że nauczę się metodą prób i błędów.

– Sephus Billing pomaga nam czasem w sianokosach i przy żniwach – ciągnęła Demelza. – Nie jest… – Urwała. – Nie ma wykształcenia, ale nikt nie potrafi budować równie dobrych murów z kamieni. Nauczył się tego od ojca, który z kolei nauczył się od własnego ojca. To trudna sztuka – powtórzyła.

Stephen się wyprostował i spojrzał zmrużonymi oczyma na baranki na niebie, które w dziwny sposób zmieniały kształty. – Pani Poldark, chyba pani wie, że między mną a Clowance coś się ostatnio psuje…

– Mam… mam takie wrażenie, owszem.

Stephen podniósł kamień i rzucił go daleko na wrzosowisko. Mignął biały ogonek zaniepokojonego królika i zwierzę zniknęło w norze.

– Myślę, że to wszystko moja wina – powiedział Stephen.

– Mówiłeś to Clowance?

– Nie miałem okazji.

– Może będziesz miał okazję jutro wieczorem.

– Myślę, że to wszystko moja wina – powtórzył.

Poklepała kuca po szyi, by go uspokoić.

– A zatem około siódmej.

– Pani Poldark… – powiedział, gdy zamierzała odjechać.

Poprawiła kapelusz i ściągnęła wodze.

– Może nie jestem mężczyzną, za którego chciałaby pani wydać córkę, co?

Demelza popatrzyła na niego. Krzepka, barczysta sylwetka, mocna szyja widoczna spod rozpiętego kołnierzyka koszuli, dojrzała, śmiała twarz z bruzdą na podbródku, jasne włosy.

– Decyzja należy do Clowance – odpowiedziała łagodnie.

– Na szczęście dla mnie – rzekł. – Często miewam szczęście, ale czasem robię dziwne rzeczy, taką mam naturę. Taki się urodziłem. Po raz ostatni widziałem matkę, gdy miałem cztery lub pięć lat. Wychowała mnie stara kobieta, potem uciekłem, spotykały mnie różne rzeczy… To zmienia człowieka.

– Ja straciłam matkę w wieku siedmiu lat – odparła Demelza. – Umarła.

– Naprawdę? Nie wiedziałem. Została pani sama?

– Nie, musiałam się opiekować sześcioma braćmi.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Młodszymi czy starszymi?

– Wszyscy byli młodsi.

– Pani ojciec znowu się ożenił?

– Znacznie później. Kiedy miałam wyjść za kapitana Poldarka.

– Na pewno dobrze opiekowała się pani braćmi… Przypuszczam, że mieli państwo służącą.

– Służącą?! – odparła Demelza. – Nie mieliśmy co jeść. Ojciec przepijał wszystko, co zarabiał.

Stephen podniósł duży kamień, zważył go w dłoniach.

– Chyba muszę się poradzić Sephusa Billinga w sprawie muru.

– Chyba powinieneś.

– Nigdy nie popełnia pani błędów, pani Poldark? – spytał Stephen.

– Jeśli je popełniam, zawsze potrafię przeprosić – odpowiedziała Demelza.

– Tak – mruknął. – Tak. – Położył kamień z powrotem na murku. – Dziękuję pani, pani Poldark.

Przez chmury przebiły się miękkie promienie zachodzącego słońca i oświetliły nagie wrzosowisko. Demelza się zawahała. Nie chciała odjeżdżać bezpośrednio po wypowiedzeniu ostatniego zdania, bo obawiała się, że młody człowiek uzna je za wyraz poczucia wyższości, choć nie zamierzała jej okazywać. Stephen podszedł do niej i lekko pogładził ją po dłoni.

– Jeśli poślubię Clowance… kiedy poślubię Clowance, będę podwójnym szczęściarzem. Dlatego że ma taką matkę. Wydaje się pani taka młoda, a jednak jest pani mądra. Dziękuję.

Wyraz podziwu na jego twarzy wydawał się absolutnie szczery.

– Oczekujemy cię jutro, Stephenie – powiedziała.

II

Nie musiała się niepokoić wizytą Valentine'a. Kolacja przebiegła bez zgrzytów, a głównym architektem sukcesu był młody Warleggan. W ogóle nie przypominał George'a: wysoki, elegancki, olśniewająco przystojny mimo zbyt blisko osadzonych oczu, o długich, bocianich nogach. Był podobny do Elizabeth, choć nie wyglądem, lecz raczej sposobem zachowania – gestami dłoni, ruchami głowy, uśmiechem marszczącym skórę na policzkach i śpiewnym tembrem głosu, który był nieco głębszy od ciepłego kontraltu matki.

Nie wiedząc o chorobie Clementa Pope'a, napisał do Seliny Pope i wprosił się na obiad. Pani Pope postanowiła go nie uprzedzać, że mąż jest niezdrów, więc przybył do Place House i po kilku krępujących minutach zasiadł do posiłku z trzema damami, które najwyraźniej wydawały się zachwycone. Panny Pope były urocze – zwłaszcza Maud o złocistych włosach. Valentine mógłby przysiąc, że gdyby je rozplotła, opadłyby aż do pasa. Kiedy to powiedział, zalśniły mu oczy, jakby wyobrażał sobie jej toaletę. Nie, w ogóle nie widział pana Pope'a. Wydawało się, że miewa on lepsze i gorsze dni; młody Warleggan najwyraźniej trafił na gorszy. Podobno przyczyną jest otłuszczenie serca albo to, o czym wspominał Dwight Enys, choć oczywiście należałoby przeprosić doktora za powoływanie się na jego słowa. Mimo to trudno sobie wyobrazić kogoś chudszego od pana Pope'a!

Valentine był przekonany, że po Eton studia w Cambridge okażą się bardzo męczące: pobyt tak

daleko od Londynu to piekielna niedogodność. Wolałby, by ojciec wysłał go do Oksfordu, który znajduje się znacznie bliżej Kornwalii. Wyobrażał sobie, że spędzi dużą część następnych trzech lat, cierpiąc na zawroty głowy i znosząc niedogodności związane z podróżami smrodliwymi, zapluskwionymi dyliżansami.

Zauważył, że Clowance wygląda wyjątkowo pięknie. Cała Kornwalia będzie zazdrościć Stephenowi – którego dopiero teraz miał przyjemność poznać – najserdeczniejsze gratulacje, sir, za zdobycie takiej różyczki. Różyczka i jej narzeczony wymamrotali stosowną odpowiedź, lecz dla Demelzy było jasne, że Clowance i Stephen zawarli coś w rodzaju zawieszenia broni, podobnie jak wojska brytyjskie i francuskie po zakończeniu bitwy: tymczasowy rozejm, by zająć się poległymi i rannymi.

Valentine, na zapytanie Demelzy – wywołane jej refleksjami – powiedział, że otrzymał kolejny krótki list od Geoffreya Charlesa, który uczy się pisać prawą ręką. Młody Poldark zapewniał przyjaciół w Kornwalii, że nie stracił żadnej części ciała – palca ani ręki – lecz prawa dłoń uległa częściowemu paraliżowi, więc musi się znów przyzwyczaić do trzymania pióra. Najszybciej odzyskał zdolność posługiwania się palcem naciskającym spust. Valentine oznajmił, że przed wizytą u Pope'ów odwiedził Trenwith. Bracia Harry to wyjątkowe szelmy i szubrawcy, doprowadzili majątek do skandalicznego stanu. Nie wyobrażał sobie, jak to się stało, że ojciec w ogóle ich zatrudnił, chyba że w młodości byli mniej ponurzy i nieprzyjemni – jak wiadomo, z ładnych warchlaków mogą wyrosnąć brzydkie wieprze. Nie pojmował, dlaczego ojciec w dalszym ciągu ich trzyma. Dawniej, musi to przyznać, jego stosunki z Geoffreyem Charlesem nie układały się najlepiej, ale czeka na powrót przyrodniego brata, by w końcu wyrzucił tych łajdaków. Valentine i Geoffrey Charles są synami tej samej matki, a to przecież bardzo bliskie pokrewieństwo, prawda, kuzynko Demelzo? Ojcowie wydają się mniej ważni, przynajmniej dla Valentine'a. Zwłaszcza George, ze względu na to, jaki jest.

– Czyli jaki? – spytał Jeremy.

– Ma w sobie coś z parweniusza, nie sądzisz, kuzynie? Wybacz, jeśli nie okazuję synowskich uczuć. To nic złego, prawda? Przynajmniej znalazł w sobie dość gustu, by poślubić dwie nieskończenie subtelne damy.

– Mam nadzieję, że są szczęśliwi – zauważyła Caroline. – Mam na myśli pańskiego ojca i lady Harriet. Nie widziałam ich po ślubie.

– Szczerze mówiąc, ja także, pani Enys! Wróciłem zaledwie tydzień temu w towarzystwie Blencowe'a, przydzielonego jako eskorta! Pilnował, żebym czegoś nie zbroił! Towarzyszył mi również w Londynie, dbał, bym nie zwracał uwagi na kuszące widoki i odgłosy! Potem przez pięć nudnych dni jechaliśmy obok siebie w podskakującym dyliżansie, nie zamieniając ani słowa! Wolałbym podróżować z metodystą… Cardew? Owszem, tak. Muszę przyznać, że dwór nabrał teraz szyku, którego w ostatnich latach mu brakowało: już sam widok macochy chodzącej długimi krokami po domu podnosi temperaturę… Moja siostrzyczka Ursula chyba nie przyzwyczaiła się jeszcze do nowej mamusi, ale uwielbia jej zwierzęta. Te ogromne psy – zdaje się, dogi – wyglądają, jakby mogły ją zjeść na kolację, i papa chyba się tego obawia, lecz Ursula bawi się z nimi jak ze szczeniakami, a one zachowują się jak szczeniaki!

– Zastanawiałam się, jak George zniesie obecność psów – mruknęła Caroline.

– Dobre pytanie, o tak. W zeszły piątek, dzień po moim powrocie, siedzieliśmy wszyscy w salonie letnim z Unwinem Trevaunance'em, Betty Devoran i innymi gośćmi, a dogi jak zwykle leżały obok swojej pani. Mój ojciec podszedł do niej, gdy pozostałym gościom podawano herbatę. W tym momencie Kastor – a może Polluks? – nagle się zerwał, chyba dlatego, że do ucha wlazła mu pszczoła. Potrącił wielkim zadem sir George'a, który z hukiem upadł na tyłek! Gdybym się nie bał, że całkowicie wstrzyma mi wypłaty kieszonkowego, pękłbym ze śmiechu, powiadam wam!

– Kłóci się pan z ojcem? – spytał obcesowo Stephen.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób, przyjacielu. Od czasu do czasu mieszkamy w tym samym domu. Finansuje moją edukację i wypłaca pieniądze, których potrzebuję, choć czasem przypomina, że to on kontroluje finanse.

– Kim zamierza pan zostać po ukończeniu studiów? – dopytywał Stephen.

– Dżentelmenem. Później posłem do Izby Gmin. Ojciec kontroluje okręg wyborczy i niewątpliwie za kilka lat postara się o mandat poselski dla syna. Szkoda, że nie ma dziś z nami kuzyna Rossa, bo spytałbym, jakie są z tego korzyści.

– To zależy, jak się traktuje urząd – wtrącił Dwight.

– Dżentelmen uważa to za przywilej, a nie źródło korzyści. Rozumiem, co chce pan powiedzieć.

– Nie wszyscy dżentelmeni myślą podobnie – zauważyła ze śmiechem Caroline.

– Muszę sam podjąć decyzję – rzekł Valentine. – Może zamiast tego wstąpię do wojska? Jeśli cesarz Francuzów podbije Rosję, a później, gdy zabezpieczy sobie tyły, zwróci się przeciwko nam, czeka nas krwawa wojna albo będziemy musieli żebrać o pokój.

– Niedługo wstąpię do marynarki wojennej – powiedział sennie Horrie. – Podobnie jak mój brat. Dopóki panujemy na morzu, nikt nas nie pokona.

– Najpierw, drogi chłopcze, musisz się nauczyć pić…

Przy drzwiach rozległo się kaszlnięcie. Do pokoju wszedł John Gimlett. Stał obok niego Paul Kellow.

– Przepraszam, sir…

– Witaj na naszej skromnej kolacji, Paul! – rzekł Jeremy, wstając. – Kieliszek wina? Proszę, usiądź.

Okno jadalni wychodziło na południowy wschód, więc wieczorem panował w niej półmrok, choć na dworze było jeszcze jasno. Dlatego kiedy Paul stał w drzwiach, przez chwilę trudno było dostrzec wyraz jego twarzy. Mówił ponurym tonem.

– Dziękuję, nie mogę zostać na kolacji. Pojechałem po doktora Enysa i powiedziano mi, że jest w Namparze.

Dwight wytarł palce chusteczką i wstał.

– Violet?

– Tak, sir. Straciła dużo krwi i bardzo cierpi…

– Natychmiast ruszam…

– John, przyprowadź konia doktora Enysa do frontowych drzwi.

– Tak, pani.

– Mam z tobą pojechać, Paul? – spytał Jeremy.

Kellow pokręcił głową z posępną miną.

– Przepraszam, że zepsułem wam przyjęcie.

Demelza zerknęła na Stephena. Spoglądał w okno, miał na twarzy ciemny rumieniec.

– Chciałbyś pojechać, Stephenie? – spytała niespodziewanie Clowance.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Słucham? Nie… chyba będę przeszkadzał… – Usiłował się zorientować, co oznacza propozycja Clowance, lecz nie potrafił nic wyczytać z jej twarzy.

– Czy ona… – odezwała się Clowance do Paula, który skinął głową.

– Tak przypuszczam.

Jeremy nalał Paulowi kieliszek wina, on zaś pił je drobnymi łykami do powrotu Gimletta. Dwight popatrzył na żonę i uśmiechnął się do pozostałych gości.

– Dziękuję za miły wieczór. Wrócę po ciebie, Caroline. Jeśli znuży cię czekanie, niewątpliwie ktoś…

– Naturalnie – rzekł Jeremy. – Odwiozę ciocię do domu.

Dwaj mężczyźni wyszli.

– Obawiam się, że nie jestem *au fait* w kwestii poważnie chorych w tej okolicy – odezwał się Valentine. – Dziś odwiedziłem Pope'ów, nie wiedząc, że pan domu niedomaga. Czy to wasza przyjaciółka?

Demelza zaczęła wyjaśniać. Stephen wstał, nim skończyła mówić.

– Przepraszam – rzekł i znów spojrzał na Clowance. – Skoro jest tak źle, może powinienem…

– Uścisnął dłoń narzeczonej. – Wrócę, kochanie, wrócę.

– Weź mojego kuca – zaproponował Jeremy, lecz Stephen wyszedł już z pokoju.

Po chwili niezręcznego milczenia Demelza dokończyła wyjaśniać, o co chodzi. Wszyscy z wyjątkiem Horriego Treneglosa, który drzemał, jedli ciastka z truskawkami i śmietaną, popijając je winem. Valentine wrócił do tematu swojej wizyty u Pope'ów i wychwalał Maud, która najwyraźniej bardzo mu się spodobała. Ryzykował nawet, że zanudzi słuchaczy. Trudno było się zorientować, czy nie wyczuwa napięcia, czy doskonale zdaje sobie z niego sprawę. Tak czy inaczej, podtrzymywał konwersację, aż nadeszła pora rozstania. Znów zapanował wesoły nastrój.

Cokolwiek Valentine czuł do Maud, nie przeszkodziło mu to pocałować Clowance, Demelzy i Caroline w usta. Demelza i Caroline mogłyby być jego matkami, co sprawiało, że nie miały nic przeciwko takiej czułości. Jednak nie było to pełne szacunku pożegnanie. Kiedy wysoki, przystojny osiemnastolatek całuje dwie damy w średnim wieku w taki sposób, jakby chciał nawiązać z nimi znacznie bliższe stosunki, trudno nie czuć rozbawienia. Każda inna reakcja wydałaby się pruderyjna lub wyniosła.

– Lubię tę okolicę – powiedział Valentine przy drzwiach. – Na Boga, jest żywsza niż południe, o tak! W końcu tu się urodziłem. Lubię huk fal uderzających o skały, lubię jałowe wrzosowiska, olśniewająco jasne niebo. Bardzo chciałbym odziedziczyć Trenwith. Niestety, byłoby to możliwe tylko w razie śmierci mojego przyrodniego brata, a jestem ostatnim człowiekiem, który mu tego życzy. Niech żyje Geoffrey Charles, jedyny wojownik w rodzinie! Oczywiście z wyjątkiem kuzyna Rossa. Mam nadzieję, że jest teraz w okolicach Londynu i nie wyruszył bez naszej wiedzy na żadną awanturniczą wyprawę za granicę! Dziękuję za pyszną kolację. Chodź, Horrie! Obudź się! Obudź się! Możesz chodzić? Jesteś w stanie jechać konno? Świeże powietrze chyba dobrze mu zrobi. Boże, rzeczywiście jest świeże! Ten zimny wiatr jest ostry jak skalpel chirurga. Czy to naprawdę lipiec? To daleko? Trzy kilometry? Jeśli pomogę mu zająć miejsce w siodle, koń na pewno znajdzie drogę. Będę grzecznie jechał z tyłu. Chodź, Horrie, obudź się! Do góry, trzymaj się! No i jak? Ach, pilnujcie, żeby nie spadł z drugiej strony! Do widzenia, Poldarkowie! Jeśli kiedykolwiek znajdziemy drogę do Mingoose, tej nocy na pewno będę dobrze spał nawet bez wiejskiej dziewczyny w łóżku!

III

Stephen nie wrócił tego wieczoru. Podobnie Dwight. Tuż po wpół do dwunastej Jeremy odwiózł Caroline do domu. Violet zmarła o drugiej nad ranem. Stephen do końca trzymał ją za rękę. Drugiego sierpnia pochowano ją na cmentarzu przy kościele w Sawle, prawie sześć tygodni za późno, by wypełnić proroctwo o jej pojawieniu się w kościele ze Stephenem w wigilię świętego Jana tysiąc osiemset jedenastego roku.

Rozdział trzeci

I

Dziesiątego sierpnia w letnim salonie dworu w Mingoose spotkali się czterej młodzi ludzie. Przed chwilą wrócili z Wheal Grace, gdzie rozmawiali przy akompaniamencie zgrzytów, syku i sapania maszyny parowej. Kiedy wyszli z ciepłej maszynowni, wiał tak silny wiatr, że drżeli z chłodu jak w zimie. Morze było prawie zupełnie gładkie, jedynie gdzieniegdzie pojawiały się spienione grzbiety płaskich fal. Porywisty wiatr, który stale zmieniał kierunek, pędził je w stronę karłowatych głogów osłaniających dwór w Mingoose.

Usiedli wokół niedawno rozpalonego kominka i rozgrzewali zdrętwiałe palce. Horrie Treneglos, Jeremy Poldark, Stephen Carrington, Ben Carter. Horrie przeglądał księgę rachunkową.

– Prawie skończył się węgiel – powiedział. – I wkrótce może zabraknąć pieniędzy. Pod koniec miesiąca trzeba będzie poprosić udziałowców o kolejną wpłatę.

– Twój ojciec wie, że tu jesteśmy?

– Tak, wie. Kazał mi się tym zająć.

Jeremy prychnął. Chociaż John Treneglos zainwestował w kopalnię sporą sumę, interesował się nią w bardzo małym stopniu. Była to zabawka Horriego. John lepiej się czuł wśród psów i koni.

– Do następnego zebrania udziałowców został prawie miesiąc. Wytrzymamy tak długo?

– Musimy. Trzeba coś pożyczyć. Tak czy inaczej, możemy dziś ustalić, co zamierzamy zrobić, choć nie sporządzimy protokołu. Dysponujemy większością akcji.

– Kiedy wraca twój ojciec, Jeremy? – spytał Stephen.

– Spodziewaliśmy się go dwa tygodnie temu. Nie wiem, co go zatrzymuje.

– Zacky znowu choruje? – zwrócił się Horrie do Bena.

– O tak. Wpadłem do niego po księgę rachunkową, ale nie chciał wychodzić na ten wiatr, jeśli to możliwe.

Słuchali wycia wiatru, który czasem cichł, a czasem się wzmagał. Dwór w Mingoose nigdy nie był solidny i wydawało się, że nie wytrzyma naporu niespodziewanej letniej wichury. To samo odnosiło się do ogrodu Demelzy. Wszyscy starali się jej dziś unikać.

– Utopiłem już w tej kopalni osiemdziesiąt funtów – powiedział Stephen. – Moje własne pieniądze. Nie chcę płacić więcj.

– Największe wydatki są już za nami – odparł Jeremy. – Teraz trzeba tylko płacić wynagrodzenia górnikom – jedna trzecia ma umowy na procent wartości wydobytej rudy – a poza tym pokrywać koszty utrzymania i węgla. W Wheal Leisure zużywamy o połowę mniej węgla niż w Wheal Grace, a może nawet jedną czwartą, zależnie od wydajności pomp. Dopłata w wysokości, powiedzmy, dziesięciu funtów na akcję powinna nam pozwolić przetrwać następne trzy miesiące. Wtedy zyski powinny się zwiększyć, nawet jeśli nie dotrzemy do bogatych złóż.

Stephen prychnął.

– Cóż, chyba zdobędę dwadzieścia funtów.

– Przygotowania do wesela to okres wydatków – zauważył z uśmiechem Horrie.

– Nie o to chodzi. Mam po prostu wrażenie, że wyrzucam pieniądze…

– W błoto? – dokończył Horrie. – Niewykluczone. Górnictwo to hazard, taka jest jego natura. Tylko nieliczni przedsiębiorcy od razu trafiają na żyłę złota. Kto nie ryzykuje…

– Co o tym sądzisz, Ben? – spytał Stephen.

Bardzo rzadko odzywali się do siebie bezpośrednio. Lecz teraz Stephen, pewniejszy swojej pozycji i zaręczony z Clowance, czasem nawiązywał rozmowę z młodym górnikiem.

– Powinieneś kiedyś zejść ze mną na dół, to ci pokażę. Przez cały tydzień szlichowałem próbki, ale efekty nie wyglądają zachęcająco.

– Szlichowałeś? O co tu chodzi, na litość boską?

– Trzeba pokruszyć rudę młotem – wyjaśnił dyplomatycznie Jeremy. – Później wsypuje się ją do

miski i przepłukuje wodą, odrzucając bezwartościowe skały. W końcu na dnie miski pozostaje szlich, po którym można ocenić jakość rudy.

– A stare żyły? – spytał Horrie.

– To samo, co widziałeś w zeszłym miesiącu. Radzimy tam sobie lepiej niż w nowych wyrobiskach. Wschodnia żyła zaczynająca się na głębokości trzydziestu sążni jest ciągle najlepsza. W dawnych czasach górnicy większość wyeksploatowali, ale zostawili sporo rudy. Południowa żyła na poziomie trzydziestu sążni również jest niezła. W ciągu czterech tygodni przed ostatnim piątkiem wydobyliśmy ze wschodniej żyły blisko dwadzieścia ton czerwonej miedzi, pięć ton cynku, niewielkie ilości kasyterytu, a także trochę srebra.

W drzwi drapał pies, usiłując wejść do środka. Horrie otworzył drzwi i wpuścił młodego spaniela, który entuzjastycznie go powitał, merdając ogonem.

– Zawsze możesz sprzedać akcje, jeśli uważasz, że nie masz ochoty dopłacać – powiedział Horrie do Stephena, który ze zmarszczonym czołem o czymś myślał.

– Kupiłbyś je?

– Siadaj, bestio! Przestań mnie lizać! Czy bym kupił? Nie, mam dość. Ale mógłbyś je wystawić na licytacji. Jedna z nich odbędzie się w hotelu Graya w Redruth, widziałem ogłoszenie. Mógłbyś je sprzedać w przyszłym miesiącu. Nie mam wątpliwości, że poszłyby za dobrą cenę, bo kopalnia jest względnie nowa.

– Kupiłbym je, gdybym miał pieniądze – powiedział Ben.

Wszyscy spojrzeli na niego. W oczach pod czarnymi prostymi brwiami płonęła niechęć, lecz Jeremy znów odwrócił uwagę od podtekstu słów Bena, mówiąc:

– Skoro kierownik robót podziemnych chciałby kupować akcje, to dobry znak. To długoterminowa inwestycja.

– Och, zatrzymam je – odparł Stephen. – Na razie je zatrzymam. Zawsze lubiłem ryzyko, a dzięki szczęśliwemu zakończeniu przygody w Penzance mam trochę gotówki. Tak czy inaczej, wolałbym, żeby wyniki były lepsze. Najlepiej wychodzą na tym ci, co nic nie zainwestowali.

Jeremy ostrzegawczo dotknął palcem ramienia Bena.

– W takim razie proponuję dopłacić dziesięć funtów do akcji. W przyszłym miesiącu musi to uchwalić zgromadzenie udziałowców. Myślę, że powinniśmy zapisać tę propozycję.

Trzech młodych ludzi wypiło po kieliszku brandy – Ben nie brał alkoholu do ust – po czym zakończono spotkanie. Carter miał wrócić do kopalni, a Horrie zamierzał iść do stajni i zapoznać ojca z sytuacją. Jeremy i Stephen ruszyli w stronę Nampary. Z trudem przedzierali się przez piaszczyste wrzosowisko w podmuchach silnego wiatru.

– Nie miałeś kłopotów z Wilfem Jonasem? – spytał Jeremy.

Stephen uśmiechnął się z zaciśniętymi wargami.

– Nie lubi, gdy wychodzę w czasie godzin pracy, ale już się do tego przyzwyczaił. Rozumiesz… korzystam z tego, że prawie jestem jednym z Poldarków. Tak to jest.

– Wpadniesz do dworu?

– Dziękuję, nie. Mogę przepracować dwie dodatkowe godziny, co go trochę uspokoi.

– A Clowance? – spytał Jeremy.

– Co takiego?

– Już się pogodziliście?

– O tak, tak.

– Słyszę w twoim głosie wahanie.

– Nie, wszystko jakoś się ułoży. Teraz, po śmierci biednej Violet, nie ma już o co się sprzeczać.

Podeszli do bramy ogrodu.

– Zdaje się, że Clowance jest w tej chwili u Enysów.

– Tak, mówiła mi o tym.

– Co naprawdę czułeś do Violet? – spytał Jeremy.

Stephen wzruszył ramionami.

– Była jedną z dziewcząt, którym trudno się oprzeć. Nie uważasz, że Daisy jest podobna? Uparta, nierozważna, szalona, zachowuje się, jakby ją gonił diabeł. To dla mężczyzny wyzwanie… Biedaczka. Tak, trochę ją lubiłem. Niech spoczywa w pokoju.

– Było to przykre dla Clowance.

– Tak, wiem.

– Zwłaszcza z powodu choroby Violet, bo czuła się podle – że jej zazdrość jest podła.

– Tak, oczywiście, wiem. – Stephen zaczął się niecierpliwić, ale Jeremy kontynuował:

– Mam nadzieję, że to się nie zdarzy z żadną inną.

– Jaką żadną inną?

– Dziewczyną. Kobietą.

– Matko święta, to moja sprawa, moja i Clowance. Co to cię obchodzi?!

Jeremy nie dał się zbić z tropu.

– Jestem jej bratem. I, jak sobie wyobrażam, twoim przyjacielem. Znam ją dość dobrze. Chcę powiedzieć, że nigdy by nie zniosła rywalki. Ani przed ślubem, ani po ślubie. Wydaje się prostoduszna, ale ma bardzo silny charakter.

Podmuch wiatru pchnął ich na bramę.

– Potrafisz zjednywać sobie kobiety, Stephenie – ciągnął Jeremy. – Mężczyzn też, ale szczególnie kobiety. Obserwowałem to. Masz do tego talent. Taki talent jest najlepszą cechą męża. Po roku lub dwóch latach małżeństwa, gdy mija urok nowości, wszystkie ładne dziewczęta takie jak Beth Nanfan, młode żony – albo Lottie Kempthorne… – Stephen miał zamiar coś powiedzieć, lecz Jeremy dodał: – Nie chciałbym, żeby Clowance została zraniona. Albo była zła. A tak by się stało.

– Dziękuję za kazanie, wujaszku – powiedział Stephen.

Jeremy oblał się rumieńcem.

– Możesz to traktować, jak chcesz.

Stali przez chwilę w milczeniu, po czym Jeremy otworzył furtkę i wszedł do ogrodu.

– Zrobiłeś jakieś postępy w budowie pojazdu parowego? – spytał Stephen.

– Co jeszcze można zrobić?

– Wydaje się, że Richard Trevithick nie musi być najmądrzejszy na świecie.

– Trevithick mówi, że to się nie uda, ale to nie tylko jego opinia. Zrozumiałem, gdy mi wszystko wytłumaczył. Wiem, że ma rację. Właśnie to odebrało mi chęć do pracy.

– Ale mówisz, że jego maszyna działała.

– Tak, przez ograniczony czas. W ograniczonym zakresie. Już ci to tłumaczyłem.

– Więc co zamierzasz zrobić?

– Nic, na razie. Myślę o pojeździe. Może spróbuję znowu porozmawiać z Trevithickiem.

– A tymczasem?

– Co tymczasem?

– Och, nic. – Stephen wzruszył ramionami. – Cóż, pójdę już.

– Tak.

– Jeremy…

– Co takiego? – Młody Poldark się zatrzymał.

Stephen kopnął kamień.

– Chcę, żeby Clowance została moją żoną, wiesz? Wydaje mi się zupełnie inna niż pozostałe kobiety. Różni się od słodkich idiotek z ładnymi buziami, przystojnych młodych kobiet, które mi się podobają, albo łatwych dziewcząt jak Lottie Kempthorne. Jest inna.

– Cieszę się.

– Ale, Jeremy, kiedy Clowance za mnie wyjdzie, stanie się moją żoną. Będzie się nazywać Carrington, nie Poldark. Będzie musiała sama sobie radzić. Nawet jej brat, chociaż bardzo go lubię, nie będzie miał prawa się wtrącać.

Popatrzyli na siebie.

– Możesz być tego pewien, dopóki Clowance będzie szczęśliwa – odparł Jeremy.

II

Ross wrócił do domu drogą morską. W tej chwili kanał La Manche był względnie bezpieczny, choć Napoleon twierdził, że siły inwazyjne są w dalszym ciągu gotowe do akcji i że trwa budowa pięćdziesięciu okrętów liniowych. Dopóki walczył z Rosją i osobiście prowadził na wschód Wielką Armię, ryzyko podróży kanałem nie wydawało się zbyt poważne.

Mimo to płynęli w konwoju na wypadek natknięcia się na pojedynczego korsarza grasującego u wybrzeży Anglii.

Tuż przed dotarciem do Falmouth usłyszeli o kolejnym wielkim zwycięstwie Wellingtona w Hiszpanii. Cztery lata po opuszczeniu Salamanki przez sir Johna Moore'a Brytyjczycy wrócili do miasta i rozgromili znajdującą się tam armię francuską. Marszałek Marmont został ciężko ranny, a czterech dowódców jego dywizji poległo. Francuzi uciekli z pola walki, pozostawiając piętnaście tysięcy zabitych; siedem tysięcy żołnierzy dostało się do niewoli. Nowiny przekazał za pomocą flag sygnałowych slup brytyjskiej marynarki wojennej płynący z wieściami do Londynu. Stanął w dryf sto metrów od statku Rossa. Na jednostkach wchodzących w skład konwoju rozlegały się wiwaty, gdy wiadomość o zwycięstwie docierała do kolejnych załóg – przypominało to rozprzestrzeniający się pożar.

Późnym popołudniem zawinęli do Falmouth. Ross nie zszedł na ląd, tylko od razu wynajął szalupę, która miała go zawieźć do Flushing. Widział, że z portu ma wkrótce odpłynąć transportowiec z wojskiem: na ulicach roiło się od żołnierzy w czerwonych mundurach, słyszał sygnały trąbek. Rząd realizował politykę ogołacania Anglii z wojsk regularnych, by wzmacniać armie działające poza granicami kraju, co wiązało się z ryzykiem inwazji.

We Flushing, gdzie mieszkali w tej chwili Blameyowie, z radością powitała go zaskoczona Verity. Upływ lat okazał się dla niej łaskawy. Miała prawie zupełnie siwe włosy, lecz w dalszym ciągu ładną cerę i twarz bez zmarszczek. Trzydzieści lat wcześniej nikt nie mógłby przewidzieć, że będzie taka urodziwa. Andrew, który przed dziesięciu laty przeszedł w stan spoczynku jako kapitan statków pocztowych, został radnym miejskim i w dalszym ciągu pełnił funkcję doradcy poczty w sprawach związanych z remontami jej okrętów. Ross zauważył, że znacznie się postarzał – poruszał się i mówił wolniej niż w czasie ostatniego spotkania.

Ross przyjął propozycję noclegu w domu Blameyów. Zjedli razem kolację, rozmawiając o starych przyjaciołach i wymieniając informacje o członkach rodziny. Młody Andrew, syn Verity, był teraz młodszym oficerem na statku pocztowym. Nie przebywał obecnie na morzu, ale spędzał wieczór poza domem. Po wyjściu Verity Ross i Andrew senior pozostali w jadalni, rozmawiali i palili. Na starej, sfatygowanej mapie Hiszpanii sprawdzili, gdzie leży Salamanka, i zastanawiali się, czy Wellington, w dalszym ciągu walczący z przeważającym liczebnie przeciwnikiem, jest w stanie przenieść wojnę na terytorium Francji. Jak długo car zdoła stawiać opór Napoleonowi? Jak szybko poprosi o pokój?

O północy Ross poszedł na górę. Chciało mu się spać, kleiły mu się oczy. Rozwiązywał halsztuk, gdy nagle ze zdumieniem usłyszał pukanie do drzwi.

Do pokoju wsunęła się Verity z przepraszającym uśmiechem na twarzy.

– Przyszłam tylko na dziesięć minut, Ross. Na pewno padasz ze zmęczenia.

– Nie jest jeszcze tak źle. Myślałem, że śpisz.

– Wiem, że musisz wstać skoro świt… – powiedziała.

Rozejrzał się po sypialni.

– Ten fotel…

– Nie, ty tam usiądź. Zauważyłam, że znowu utykasz. Usiądę na łóżku. – Zrobiła to. – Jestem zachwycona nowinami o Demelzie!

– Tak… Ona też.

– Nie powinieneś się niepokoić, Ross. Przyszłam, żeby ci to powiedzieć. Bardzo chciałam mieć jeszcze dwoje dzieci. Z jakiegoś powodu tak się nie stało. Wielki szczęściarz z ciebie!

– Ocenię to w czasie świąt Bożego Narodzenia. Demelza będzie oczywiście bardzo szczęśliwa z kolejnego dziecka… – Umilkł i uśmiechnął się. – Radosna nowina zesłana dla świata, prawda? Chyba

tak, nawet tak zwyczajna rzecz jak narodziny dziecka jest źródłem niemal religijnej radości. Tak to odczuwają kobiety.

– Ty też będziesz to tak odczuwał.

– Moje dotychczasowe dzieci czasem wywołują we mnie zupełnie inne emocje niż poczucie szczęścia!

– Powiedz mi coś więcej o sprawach sercowych Clowance. I o Jeremym.

Rozmawiali przez chwilę. Później Ross spytał:

– A młody Andrew? Powiedziałaś, że nie wypłynął w morze, ale spędza noc poza domem. Mówiłaś dziwnym głosem. Twój mąż też zrobił dziwną minę. Czy wy też macie problemy?

– Tak.

– Najpierw martwiłaś się o bezpieczeństwo jednego Andrew, a teraz martwisz się o bezpieczeństwo drugiego?

– Nie, niezupełnie o to chodzi. Choć oczywiście martwię się również o bezpieczeństwo syna. Najbardziej się martwię, gdy jest na lądzie.

– Gdzie jest teraz?

– Chyba w Cardew.

– U Warlegganów?

– W Cardew albo w ich domu w Truro.

– Czy warto się tym przejmować? Naturalnie nigdy bym tam nie pojechał, ale Jeremy i Clowance odwiedzali Cardew i nic im się nie stało. Zaprosił ich Valentine.

– Andrew przyjaźni się z Valentine'em.

Ross zdjął halsztuk, zwinął i położył na stole obok fotela.

– Nie wiedziałem, że po śmierci Elizabeth utrzymujecie stosunki towarzyskie z Warlegganami.

– Nie spotykam się z nimi, Andrew również. Nigdy nie przepadałam za George'em, a Geoffrey Charles przebywał poza domem… Ale jakiś rok temu przyjechał tu Valentine, poznał Andrew i się zaprzyjaźnili. Od tamtego czasu często się spotykają, gdy mają okazję.

– Zdaje się, że nie widziałem Valentine'a od pięciu lat. Był na pogrzebie Jonathana Chynowetha. Czy to źle, że się lubią? Są prawie w tym samym wieku.

– Andrew jest rok starszy, ale Valentine ma na niego duży wpływ… Nawet przed poznaniem Valentine'a Andrew za bardzo lubił wypić. Niepokoi to nas szczególnie z powodu dawnych kłopotów jego ojca. Andrew senior pamięta, do czego doprowadził go alkohol, i traktuje go jak diabelski wynalazek, więc prawie nie trzymamy w domu trunków, jednak Andrew junior często wraca podchmielony. Kłóci się z ojcem z tego powodu… Andrew junior służy na statkach pocztowych od siedemnastego roku życia. Na morzu panuje surowa dyscyplina. Namawiałam męża, by nie zwracał na to uwagi, bo każdy marynarz – prawie każdy – dużo pije po zejściu na ląd.

Verity umilkła, nie wiedząc, jak kontynuować.

– I po nawiązaniu przyjaźni z Valentine'em zaczął więcej pić?

– O tak. Ale to nie wszystko. Valentine stale się skarży, że brakuje mu pieniędzy, choć w gruncie rzeczy ma ogromne kieszonkowe, znacznie większe niż dochody Andrew. Chodzą na walki kogutów w Truro, robią zakłady… Znasz Gospodę Norweską?

– W Devoran? Tak.

– Spotykają się w piątkę lub szóstkę, grają w karty i w kości. Wszyscy z wyjątkiem Andrew są bogaci. Ma spore długi.

Ross potarł oczy.

– Moim zdaniem to normalne. Młodzieńczy temperament. Chyba wiesz, że dwa razy musiałem płacić długi Geoffreya Charlesa?

– Nie, nie wiedziałam. Mam nadzieję, że się nie mylisz, Ross. Może uważasz, że za bardzo się przejmuję takimi drobnostkami…

– Nie, to nie drobnostki. Wobec kogo ma długi?

– Głównie lichwiarzy.

– Och, zawsze trudniej z nimi rozmawiać.

Verity wstała z łóżka.

– Trzymam cię już za długo. Ale tak rzadko mam okazję z tobą rozmawiać, Ross. Mieszkamy zaledwie czterdzieści kilometrów od siebie, a jednak… Poza tym często wyjeżdżasz. Nie wiem, jak Demelza to wytrzymuje.

– W przyszłości nie będzie się już męczyć. Przyrzekłem jej to. I tobie też przyrzekam. Jeśli chcesz mnie zobaczyć, po prostu przyślij list. Czy chodzi o długi Andrew? Mógłbym pomóc.

– Nie. Nie pozwoliłabym ci ich spłacać. Opowiadałeś mi o kopalniach. W końcu nie jesteśmy tacy ubodzy. Kiedy Andrew senior przeszedł w stan spoczynku, otrzymał wysoką odprawę, a poza tym oczywiście od czasu do czasu ciągle pracuje. Problem polega na tym, czy młody Andrew znowu nie wpadnie w długi, jeśli spłacimy te, które już ma.

– Powiedz, czy mógłbym pomóc w inny sposób. Na przykład z nim porozmawiać. Uważasz, że miałoby to sens?

– Nie wiem, ale dziękuję, Ross.

– Przyjadę, gdy tylko zechcesz.

Verity pogładziła dłonią włosy, aż lekko się zmierzwiły.

– Mówisz, że nie widziałeś Valentine'a od kilku lat. Zupełnie nie przypomina ojca.

– Kiedy go ostatnio spotkałem, też go nie przypominał – odparł sucho Ross.

– Jest bardzo przystojny. Bardzo wesoły, podobnie jak Geoffrey Charles w jego wieku. Ale poza tym nie ma żadnych podobieństw. Elegancja i wyrafinowanie Geoffreya Charlesa miały w sobie coś świeżego, młodzieńczego. Były miłe. Valentine jest mroczniejszy, bardziej skomplikowany. Napięty, nerwowy, a jednak panuje nad sobą. Kiedy nas odwiedza, patrzy na mnie jak na kobietę i traktuje mnie jak kobietę.

– To naturalne, prawda?

– Nie u chłopca w tym wieku! Spoglądał na mnie, jakby chciał… jakby chciał…

Ross skinął dłonią na znak, że rozumie.

– Zachowuje się zupełnie inaczej niż George.

– Wydaje się, że go nie znosi. Oczywiście zdarza się, że w tym wieku synowie chcą się uwolnić spod kurateli ojców. Ale Valentine czasem mówi o nim w taki sposób, jakby wręcz nim gardził! Nie wierzę, że George nie jest wobec niego hojny.

– Ja też nie chciałbym być całkowicie zależny od George'a.

– Och, z pewnością nie! Ale Valentine… – Verity podeszła do drzwi i dotknęła palcami zasuwki. – Wiesz, Ross, w dawnych czasach, gdy Elizabeth czasem mnie odwiedzała i przywoziła ze sobą Valentine'a… wiesz, że czasem myślałam – miał wtedy jakieś osiem albo dziewięć lat – myślałam, że jest bardzo podobny do ciebie…

Zapadło milczenie. Ross rozprostował nogi, po czym skrzyżował je ponownie.

– Było to tylko dziwne, przelotne wrażenie – ciągnęła Verity. – Po prostu patrzyłam na cerę, kolor włosów, oczy, kształt głowy… Ale teraz… teraz przychodzi mi do głowy coś innego, równie głupiego, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Oczywiście, że nie wiem, co masz na myśli.

– Teraz wcale nie jest podobny do ciebie. Jest zbyt chudy, by cię przypominać. Ma blisko osadzone oczy, inaczej chodzi, jego sympatyczne zachowanie wydaje się nieszczere… – Zaczerwieniła się.

– A zatem?

– Na pewno pomyślisz, że jestem głupia, ale przypomina twojego ojca. – Przysłoniła oczy powiekami, z jej twarzy nie dało się nic wyczytać.

– Nic, co mówisz, nie jest głupie, Verity. Ale genealog by się z tobą nie zgodził.

– Naturalnie – przyznała pośpiesznie. – Czasem mam zabobonne wrażenie, że pokrewieństwo to nie wszystko. Valentine urodził się w Trenwith, siedzibie rodu Poldarków od dwustu pięćdziesięciu lat. Był wcześniakiem, urodził się w dziwnym dniu, w czasie całkowitego zaćmienia księżyca – pod czarnym

księżycem, jak mówiono – a ciotka Agatha wywierała wielki wpływ na dom. Naturalnie wiem, że nie miała w sobie krwi Poldarków – ale czy nie uważasz, że oddziaływania duchowe, psychiczne, mogą wywierać ogromny wpływ na dziecko?

– Pamiętasz mojego ojca lepiej ode mnie, Verity – odpowiedział Ross. – To znaczy inaczej. Jesteś ode mnie rok starsza i mieszkałaś kilka kilometrów od Nampary, więc patrzyłaś na niego z pewnej perspektywy. Poza tym w ciągu kilku ostatnich lat jego życia nie było mnie w kraju.

– Twój ojciec zawsze był dla mnie bardzo dobry, ale miał w sobie coś dzikiego, buntowniczego, innego niż ty – rzekła Verity. – Występujesz przeciwko władzy, gdy uważasz, że traktuje ludzi niesprawiedliwie. Twój ojciec znajdował przyjemność w prowokowaniu ludzi.

– I myślisz, że Valentine jest do niego podobny? Z pewnością wielu młodych ludzi…

– Nie w taki sam sposób. Tak mi się zdaje. Z uśmiechem poprowadziłby człowieka ku zatraceniu.

– Wspaniały opis syna bratowej!

Zapadło długie milczenie.

– Za życia twojej matki dziki charakter twojego ojca nie rzucał się w oczy, był ukryty – ciągnęła Verity. – Ale kiedy zmarła, tak młodo…

– Zawsze traktował mnie surowo – rzekł w zamyśleniu Ross. – Wymagało to pewnej domyślności – a jako chłopcu brakowało mi domyślności – aby zrozumieć, że w ogóle mnie lubi. Pamiętam, że w wieku dwunastu lat zachorowałem na zapalenie płuc. Lekarz – poprzednik Choake'a, Ellis, prawda? – powiedział, że umrę. W pewnej chwili usłyszałem, jak ojciec histerycznie wrzeszczy na Prudie, oskarża ją o to, że dała mi nieprzewietrzoną pościel. Pamiętam, że pomyślałem: „Wielki Boże, on mnie lubi!".

– Biedny Ross…

– Nie, nie, wcale nie byłem biedny. Może dało mi to większą siłę, by walczyć o życie. Moim zdaniem ojciec był bardziej wrażliwy, niż przypuszczamy. Po śmierci matki oszalał na punkcie kobiet.

– Tak, wiem.

– Czasami się zastanawiam, czy nie chciał zagłuszyć bólu, samotności. Oczywiście w tamtych czasach… Na szczęście w większości wyprawiał te szaleństwa z dala od domu. Do Nampary wprowadzały się tylko panie podejrzanej konduity.

Verity się skrzywiła.

– A Jud i Tholly Tregirls na pewno im nadskakiwali.

– Tak, Jud i Tholly Tregirls im nadskakiwali. Tholly zwykle przywoził własną kobietę. Juda pilnowała Prudie, więc mógł się tylko upijać… Może moje przyzwoite zachowanie było reakcją na to wszystko.

– Przyzwoite? O tak, w jakiś sposób. Ale niewielu ludzi zgodziłoby się z opinią, że dwadzieścia lat temu zachowywałeś się przyzwoicie. Nawet dziesięć lat temu. Jak z pewnością wiesz.

– Ach, teraz przypominam starego, konformistycznego pręgowanego kocura wygrzewającego się przy kominku…

– Skoro zaczynasz gadać nonsensy, to znak, że siedzę za długo. Dobranoc, mój drogi.

Wstał i pocałował siostrę stryjeczną.

– Doprawdy… Sugerujesz, że Valentine, urodzony we dworze Poldarków pod czarnym księżycem, ma nie tylko negatywne cechy charakteru, ale też w jakiś sposób odziedziczył po moim ojcu nadmierne zainteresowanie kobietami?

Odsunęła go lekko od siebie.

– To się wydaje głupie, wiem! Mogę tylko powiedzieć, co czułam, kiedy Valentine odwiedził mnie po raz pierwszy. Siedział, rozmawiał, spoglądał na mnie i na Janet, gdy przyniosła herbatę. Widziałam jego uważny, napięty wzrok i miałam niesamowite poczucie, że cofnęłam się w czasie o trzydzieści pięć lat i że patrzę na twojego ojca siedzącego po przeciwnej stronie stołu i uśmiechającego się do mnie – co zdarzało się wiele razy w dawnych czasach. Było to dziwne przeżycie. Zrobiło mi się zimno.

Rozdział czwarty

I

Ross i Demelza jedli kolację z Enysami.

– Tak, wiem, że zasługuję na potępienie za długą nieobecność, ale sytuacja była naprawdę rozpaczliwa – powiedział Ross. – Nie zostałem tylko z powodu pięknych oczu Canninga…

– Uroiłeś sobie, że cię potępiamy – odparła Caroline. – Po prostu wolimy, gdy jesteś w Kornwalii.

– Te wszystkie intrygi polityczne… To żenujące, ale sądzę, że sytuacja w końcu by się ustabilizowała, gdyby istniał ośrodek, który zapewnia równowagę, to znaczy regent. Jednak w trakcie negocjacji książę był w koszmarnym stanie, ciągle pijany albo pod wpływem laudanum. Wybuchał płaczem, gdy proszono go o podjęcie ważnej decyzji. Niemal dostawał drgawek ze strachu, gdy czytał listy, które do niego przychodziły.

– Jakie listy?

– Och, anonimowe. Podpisane „Vox Populi" albo „Wróg przeklętej rodziny królewskiej". Grożono mu, że czeka go los Spencera Percevala, jeśli Bellingham umrze. A później, po egzekucji, zapowiadały zemstę. Oczywiście to prawda, że w północnej Anglii pojawiło się wiele plakatów oferujących sto gwinei nagrody za głowę regenta. Czasem nawet na południu. Trudno być spokojnym w takiej sytuacji, ale wielu ludzi miało obawy, że książę postrada rozum, podobnie jak jego ojciec. – Ross spojrzał na Dwighta. – Rozmawialiśmy kiedyś o tej możliwości. Na balu u księżnej Gordon.

– Pamiętam – odparł Dwight. – Dyskutowaliśmy także o bolesnych decyzjach, które nas czekają, jeśli kraj będzie miał dwóch szalonych monarchów.

– Niepełnoletnia księżniczka Charlotte i stryj William jako kolejny regent – zauważyła Caroline. – A może pojawi się ktoś trzeci?

– Mówi się o wyborach? – spytał Dwight.

– Parlament zostanie rozwiązany pod koniec miesiąca.

– Naprawdę nie chcesz znów kandydować?

– Wolałbym nie opuszczać Kornwalii, gdy Demelza spodziewa się dziecka.

Demelza lekko się uśmiechnęła.

– Widzicie? Zaczyna się wahać.

Ross uśmiechnął się do żony.

– Zna moje dylematy.

– Opowiedz nam o nich – poprosiła Caroline.

– Zanudziłbym was. I wracałbym do starych spraw.

Przez chwilę panowało milczenie. Demelza zmieniła pozycję, czując ruchy dziecka.

– Zdrowy instynkt podpowiada mi, że zasiadałem w Izbie Gmin wystarczająco długo – powiedział Ross. – Nie jestem dobrym posłem. Czasami bywałem użyteczny za kulisami, a niekiedy, choć rzadko, w trakcie rokowań politycznych. Ale głównym usprawiedliwieniem mojego stanowiska posła do Izby Gmin były misje zagraniczne. Czułem, że mają jakiś sens. Teraz muszę z nich zrezygnować. Coraz częściej boli mnie noga i nie mogę jeździć konno; tak czy inaczej, spełniłem swoją rolę. Obiecałem sobie i Demelzie, że z tym skończę. Nie zmieniłem tej decyzji i nie zamierzam jej zmieniać.

Caroline podała Demelzie bakalie.

– Mmm – mruknęła Demelza i ssała je w zamyśleniu. W jej ciemnych oczach odbijało się wieczorne światło wpadające przez okno.

– W zeszłym roku poinformowałem Falmoutha, że nie będę ponownie kandydował z jego okręgu – ciągnął Ross. – Nie zamierzałem tego robić i nic się nie zmieniło. Dopiero w czasie ostatniego pobytu w Westminsterze zacząłem mieć wyrzuty sumienia, że nie doprowadziłem do końca pewnych spraw.

– Jakich?

– Po śmierci Percevala zdałem sobie sprawę, jak słaba jest nasza wola kontynuowania wojny. Księciu brakuje kręgosłupa, bardziej interesuje się swoimi długami i kochankami niż wysiłkami, by pokonać Napoleona… Doszło do takiego samego kryzysu jak w chwili powołania księcia na stanowisko regenta. W gruncie rzeczy nic się nie zmieniło. Rozumiem, że w lipcu poprosił Greya i Grenville'a, by sformowali rząd, ale postawili zbyt wygórowane warunki dotyczące składu dworu regenta, więc plan spełzł na niczym. Mimo to ryzyko pozostało.

– Więc uważasz, że mógłbyś być posłem przez kolejną kadencję? – spytała Caroline.

– Nie. Ale wolałbym odejść w lepszym momencie.

– Możesz zmienić zdanie i w dalszym ciągu być posłem. Nic nie stoi na przeszkodzie.

Na korytarzu rozległ się tupot nóg i okrzyki dziewczynek. Caroline zmarszczyła brwi, lecz bez irytacji.

– Nie masz czasem ochoty zaprząc swoich dzieci do kieratu albo innej użytecznej maszyny, by ich energia się nie marnowała? – zwróciła się do Demelzy.

– Często – odparła Demelza.

– Gdybyś nie kandydował z okręgu Boscawena, mógłbyś przejść do Basseta. De Dunstanville załatwi ci mandat.

Ross wypił łyk herbaty, którą niedawno podano.

– Niestety, ja i Francis mamy zupełnie odmienne poglądy na kwestię skorumpowanych okręgów wyborczych! Nie mógłbym przyjąć jego patronatu, a później domagać się likwidacji kontrolowanych przez niego miejsc w parlamencie!

– To samo robisz jako poseł lorda Falmouth.

– Tak. Ale zacząłem go reprezentować, by realizować jego interesy – interesy jego ojca. Chodziło o wyeliminowanie George'a Warleggana. Później przynajmniej dwa razy proponowałem, że zrezygnuję, jednak odmówił, więc zakładam, że obecna sytuacja przynosi mu jakieś korzyści, choć oczywiście niefinansowe. Z tego powodu nie czuję się w żaden sposób ograniczony w tym, co mogę mówić i robić. Gdybym przyjął mandat Basseta, czułbym się ograniczony. De Dunstanville jest znacznie większym przeciwnikiem reform niż Boscawenowie. Trzy lata temu, kiedy w kraju panowało wielkie wzburzenie, a ja poparłem Colmana Rashleigha i pozostałych, nasza przyjaźń się popsuła.

– Pamiętam – odezwała się Caroline. – Dwight gorąco popierał wasze idee.

– W dalszym ciągu jestem zwolennikiem reform – oznajmił Dwight. – Choć niewątpliwie należy zaczekać ze zmianami do końca wojny, podobnie jak z wieloma innymi przedsięwzięciami, zwłaszcza tymi, które przyniosą korzyść północnej części kraju.

– Nie chodzi tylko o północ – powiedział Ross. – Pamiętajmy, że jakiekolwiek cztery kornwalijskie okręgi wyborcze – na przykład najbardziej skorumpowane, czyli East Looe, St Michael, Bossiney i St Mawes – wysyłają do Izby Gmin tyle samo posłów co Londyn, Westminster i całe hrabstwo Middlesex razem wzięte, choć mają one łącznie milion mieszkańców i tworzą około jednej szóstej całych wpływów podatkowych państwa… Sprawia to, że idea reprezentacji narodu zmienia się w żałosną farsę.

– Francis de Dunstanville, niechaj go Bóg błogosławi, odpowiedziałby na to, że ideę reprezentacji narodu najlepiej realizują ludzie odpowiednio przygotowani do tego zadania – rzekła Caroline. – Uważa, że rządy motłochu doprowadziłyby do ograniczenia praw obywatelskich i religijnych, które mamy w tej chwili, i że skrajna bezczelność i ignorancja zawsze triumfują nad prawdą. – Odwróciła się szybko w stronę Demelzy. – Ratuj mnie! Oszczędź mi miażdżących replik mojego męża i jego najlepszego przyjaciela. Wiesz, jaka jestem wrażliwa na surowe traktowanie i jak łatwo mnie zranić. Proszę, wymyśl inny temat, nim zdążą zaczerpnąć tchu!

– To bardzo ciekawe – odpowiedziała Demelza. – Mogę patrzeć, jak Ross zmienia zdanie!

– Podjąłem decyzję, że nie będę znowu kandydował, i tak będzie – odparł w końcu Ross. – Mogę wspomnieć o swoich wątpliwościach w gronie przyjaciół.

– Kiedy odbędzie się wesele Clowance? – spytała Caroline.

– Och… – Demelza wymieniła spojrzenia z Rossem. – Gdzieś w październiku. Jeszcze nie

ustaliliśmy dokładnej daty, to znaczy oni jej nie ustalili. Ale przypuszczam, że w sobotę dwudziestego czwartego.

– Będziesz wtedy w ósmym miesiącu ciąży, prawda?

– W siódmym, jeśli wierzyć twojemu mężowi.

– W takim razie otrzymacie prezent na Boże Narodzenie!

– Już zbieram jemiołę – wtrącił Ross.

– Stara Meggy Dawes wolała jagody jarzębiny – powiedziała Demelza. – Jeśli ktoś weźmie mnie na ślubie Clowance za pannę młodą, spalę się ze wstydu.

Wszyscy się roześmieli.

– Brzemienne panny młode to częsty widok w Kornwalii – zauważył Dwight.

– Mówiąc poważnie, wolałabym być wtedy daleko od dzieci, swoich dorosłych dzieci – powiedziała Demelza. – Jeremy i Clowance są bardzo mili, ale nie protestowałabym, gdyby wyjechali z Nampary i wrócili, gdy będzie po wszystkim. Nie zniosę ich obecności w domu w czasie porodu.

– Clowance będzie miała wtedy własny dom – powiedziała Caroline. – Jestem pewna, że Jeremy okaże zrozumienie. Czy między Clowance a Stephenem wszystko układa się dobrze? – Ostatnie pytanie świadczyło, że Caroline musiała wcześniej rozmawiać w sekrecie z Demelzą.

– Stephen ciężko pracuje w młynie i stróżówce – odparł Ross. – Przyznaję, że lubiłbym go, gdyby nie chciał zostać moim zięciem.

– Mam wrażenie, że kiedy przebywają w swoim towarzystwie, są za mało swobodni – powiedziała Demelza. – Nie ma między nimi szczerej sympatii. Bardzo się kochają, ale to trudna miłość. Oczywiście często się widzi takie pary, niektóre małżeństwa zachowują się w ten sposób przez całe życie. Poza tym są drażliwi. W ogóle tego nie rozumiem. Przed ślubem zdarza się to rzadziej. Zastanawiam się, czy Stephen i Clowance wyleczą się z tego w małżeństwie. Może z czasem, gdy namiętność nieco przygaśnie, nie będą mogli ze sobą wytrzymać? Martwię się tym po nocach.

– Moja droga, każdy z nas może przeżyć tylko jedno życie, swoje własne – powiedziała Caroline. – Daj im spokój.

– Ja też to powtarzam – zauważył Ross. – Ale, niestety, mam podobne wrażenie.

– Wiem, że obwiniacie nas z powodu Edwarda Petty'ego-Fitzmaurice'a.

– Nonsens. Zapomnij, że kiedykolwiek wyrażałam się krytycznie o decyzji Clowance. Nie miałam nic złego na myśli… Z wiekiem nabieram przekonania, że trzeba podchodzić fatalistycznie do własnych dzieci. Zawsze łatwiej wybaczyć sobie błędy polegające na zaniedbaniu niż na przymusie. Staracie się nie kierować życiem swoich dzieci, więc ponosicie mniejszą odpowiedzialność, mniejszą winę, jeśli dzieje się coś złego… Czy Spartanie nie rezygnowali z opieki nad małymi dziećmi? Może to najlepszy sposób?

Powoli zapadał zmrok.

– Jedziecie w przyszłym tygodniu na wyścigi konne? – spytała Caroline.

– Gdzie, do Truro? Raczej nie.

– Chyba się tam wybiorę. Jeśli zdołam przekonać Dwighta, by mi towarzyszył. Ciekawe, jak wypadną.

– Jeremy zamierza jechać – powiedziała Demelza. – Razem z grupą przyjaciół jednego z młodszych Boscawenów.

– Naprawdę? – wtrącił Ross. – Nie wiedziałem. Gdzie go poznał?

– Chyba w Caerhays.

Do jadalni wszedł Myners.

– Panie doktorze, przyjechał posłaniec z Place House. Pan Pope znowu źle się czuje i jego żona posłała po pana. Odwiedzi go pan, sir? Mam osiodłać konia?

Dwight wstał. Demelza poznała go przed laty jako sympatycznego młodego lekarza, lecz z upływem czasu stał się szczupły, wręcz ascetyczny. Pobyt we francuskim więzieniu pozostawił niezatarte piętno.

– Wygląda na to, że nie możemy spokojnie zjeść razem kolacji, bo już ktoś mnie wzywa.

Wierzcie mi, często zdarzają się piękne wieczory, gdy Caroline i mnie nikt nie przeszkadza.

– Wypij brandy przed odjazdem – powiedziała Caroline. – Daje więcej sił od herbaty, a jeśli dobrze znam gościnność Pope'ów, niczym cię nie poczęstują.

W jadalni pozostali Ross, Demelza i Caroline, a Dwight odjechał po żwirowym podjeździe i zniknął w półmroku.

II

Wyścigi konne w Truro zorganizowano w ostatni wtorek września. W tym roku odwołano gonitwy w Bodmin, normalnie odbywające się w pierwszym tygodniu miesiąca, ponieważ doszło do sporu sądowego o grunt, na którym biegały konie. Dlatego przed trzema tygodniami część czołowych obywateli Truro, nie chcąc rezygnować z ulubionej rozrywki, spotkała się na zaimprowizowanej naradzie. Wydzierżawiono od jednego z farmerów płaskie pole na szczycie wzgórz w pobliżu Penair, zbudowano tymczasowe ogrodzenia, wytyczono tory, wzniesiono dwie trybuny. Większość właścicieli koni, którzy pojawiliby się w Bodmin, zgodziła się przybyć do Truro.

Przez cały poprzedni tydzień padał ulewny deszcz, który przytłumił entuzjazm uczestników, a nieustanna krzątanina zmieniła tory wyścigowe w jeziora rzadkiego błota, jednak w dniu wyścigów w stronę wyznaczonego miejsca z wysiłkiem wspinały się na wzgórza liczne powozy i karety.

Rankiem wydawało się, że pogoda będzie katastrofalna. Nad ziemią wisiała brzydka chmura o barwie węgla i siarki, co groziło ulewą, jeśli nie burzą. Chociaż wiał słaby wiatr, obłoki kołowały na niebie, łączyły się i rozdzielały jak okręty wojenne zmieniające pozycję, by lepiej razić przeciwnika. Od czasu do czasu z chmur spadały płatki sadzy wielkości monety sześcioszylingowej, które pękały w chwili kontaktu z ziemią jak umierające gwiazdy.

Jednak później, około jedenastej, wśród chmur zalśnił promień słońca, jakby modlitwy wiernych dawnego kościoła Ossiego Whitwortha zostały w cudowny sposób wysłuchane. Na niebie pojawiły się plamy lazuru, a groźne obłoki odpłynęły. W południe, gdy miała się rozpocząć pierwsza gonitwa, tory oświetlało letnie słońce.

W końcu na wyścigi pojechali prawie wszyscy członkowie rodziny Poldarków. Jeremy przyłączył się do grupy Johna-Evelyna Boscawena. Arystokrata wynajął z tej okazji brek, a wszyscy jego goście, w liczbie dziewięciu, byli młodzi.

Ross postanowił pojechać konno, lecz nic nie zdołało przekonać Demelzy, by mu towarzyszyła.

– Musisz już wiedzieć, że nienawidzę być gruba jak sir John Trevaunance. To jedyna część macierzyństwa, której nie znoszę. Wkrótce będzie po wszystkim. Okaż trochę cierpliwości.

– Powinienem złożyć śluby czystości, skoro narażasz się na takie niewygody, by zaspokoić moje apetyty.

– Nie składaj ślubów, które później każę ci łamać. Nie mam jeszcze ochoty na czystość.

– Czystość, abstynencja… – powiedział Ross. – Abstynencja Poldark. Dobre imię dla dziewczynki, prawda?

– Nie sądzisz, że Indulgencja byłaby lepsza? – spytała Demelza.

– Albo Independencja – dodał Ross.

– To mogłoby być zbyt bliskie prawdy! – Demelza dotknęła dłonią ramienia męża. – Mówmy poważnie, Ross. Dlaczego nie zabierzesz Isabelli-Rose?

– Belli? Myślisz, że byłaby zadowolona?

– Zachwycona. Weź również panią Kemp. Prawdopodobnie będzie tam można kupić kucyki, a obiecaliśmy Belli kucyka na urodziny.

Ross pomyślał, że może przy okazji kupi również nowego konia dla siebie, ponieważ Sheridan się starzał. Clowance nie miała ochoty siedzieć w domu i poszła poprosić Wilfa Jonasa, by zwolnił Stephena na jeden dzień.

Jeremy spodziewał się, że spotka na wyścigach Cuby, i rzeczywiście zobaczył ją wraz z Augustusem i Clemency. Znał większość gości wchodzących w skład grupy Boscawena, choć w różnym stopniu. Byli wśród nich Nicholas Carveth i Joanna Bird, a także Elizabeth Boscawen, siostra

Johna-Evelyna. Zdawał się należeć do niej również Valentine Warleggan, choć przyjechał konno w towarzystwie kilku młodych mężczyzn, w tym Andrew Blameya, kuzyna Jeremy'ego.

Kiedy nadeszło zaproszenie, Jeremy napisał list z odmową, pragnął bowiem uniknąć następnej bolesnej konfrontacji. Później podarł go, spędził niespokojną noc i wysłał list z wiadomością, że przyjmuje zaproszenie. Nie podjął jeszcze decyzji o opuszczeniu Kornwalii ani nie wiedział, jak rozstrzygnąć problem swojej jałowej, smutnej przyszłości. Czy do tego czasu powinien unikać wszelkich kontaktów towarzyskich z obawy przed koszmarnym spotkaniem? Wiedział, że kocha Cuby i tylko Cuby, że nigdy nie spotka nikogo takiego jak ona, ale czuł się tak, jakby jego duszę wdeptano w błoto. Czy kolejne spotkanie może pogorszyć sytuację?

Przyszło mu również do głowy, że w czasie katastrofalnej rozmowy w Wielkanoc mógł popełnić poważny błąd taktyczny. Z powodu głębi swoich uczuć zachowywał się, jakby od Cuby zależało całe jego życie – spoglądał na nią wściekłym wzrokiem, doprowadził ją do płaczu, okazał własną rozpacz, gorycz i złość. A może tę młodą damę należy traktować inaczej? W końcu nie wyszła jeszcze za nikogo za mąż. Nie jest z nikim zaręczona. Major Trevanion nie może przez całe życie trzymać jej pod kluczem i wypuszczać tylko wtedy, gdy pojawi się odpowiedni konkurent. Czy Cuby musi się na to godzić, stawać się ofiarą jego chciwości?

Kiedy dotarł do breku i zobaczył ją siedzącą w ciemnofioletowej aksamitnej sukni (w ogóle nie pasowała do jej czarnych włosów, lecz w jakiś dziwny, perwersyjny sposób podkreślała jej urodę), pochylił się nad jej dłonią z wyjątkowo kurtuazyjnym, prostodusznym uśmiechem, jakby był jej starym przyjacielem, który naprawdę ją lubi, a nie odtrąconym kochankiem pragnącym wziąć ją do łóżka albo wysłać do diabła. Zatroskany wyraz twarzy Cuby zmienił się w zdziwienie, a Jeremy natychmiast zaczął dyskutować z Augustusem o Londynie, przebiegu wojny i proponowanych stawkach zakładów. Taktownie wciągnął Cuby do rozmowy i był szczególnie miły dla Clemency, którą lubił i podziwiał, lecz jej nie kochał. Początkowe zażenowanie minęło. Jeremy spytał nawet, czy na wyścigi przybył major Trevanion, po czym dowiedział się, że siedzi w kaleszy z sir George'em i lady Harriet Warlegganami oraz panną Marią Agar.

Promienie słońca błyskające zza chmur oświetlały niezwykłą scenę. Wydawało się, że na wyścigach pojawiły się wszystkie środki transportu znane ludzkości. Powozy z eleganckimi damami, konni członkowie milicji z Brecon i Monmouth w pięknych czerwono-czarnych mundurach, kupcy z żonami i córkami w dwukółkach i jednokonnych karetach, dżentelmeni zainteresowani wyścigami na wspaniałych rumakach, parobcy na koniach pociągowych, ozdobne breki, oracze na wiejskich wozach, górnicy i kopacze na osłach i mułach oraz wielki tłum pieszych widzów. Słoneczna pogoda sprawiła, że grząskie tory wyścigowe wydawały się radosne i kolorowe.

Był również dodatkowy powód do radości i dobrego humoru, ponieważ niedawno nadeszła wieść o kolejnym zwycięstwie wojsk angielskich, tym razem nie w Hiszpanii, gdzie walczył Wellington, lecz w dalekiej Kanadzie. Amerykanie wysłali do Kanady silny korpus ekspedycyjny pod komendą generała Hulla, który przekroczył wąski przesmyk między jeziorami Huron i Erie, po czym zaatakował terytorium brytyjskie, zamierzając opanować całą kolonię. Dowodzona przez Hulla milicja nie zdołała utrzymać impetu natarcia, otaczały ją nieprzyjazne pustkowia, toteż Hull postanowił wrócić do bazy w Detroit. W tym samym czasie generał major Isaac Brock, barczysty, dobrotliwy mieszkaniec Wysp Normandzkich, mający bronić granicy długości tysiąca sześciuset kilometrów i dysponujący zaledwie tysiąc czterystu żołnierzami – z czego dwie trzecie stanowili Indianie i niewyszkoleni ochotnicy – postanowił sam zaatakować najeźdźcę, wkroczył na terytorium Stanów Zjednoczonych, obległ Detroit, a następnie zdobył je, biorąc do niewoli dwa i pół tysiąca żołnierzy oraz grupę oficerów. W ręce Anglików wpadło dwadzieścia pięć dział.

Kiedy Jeremy mógł wreszcie zamienić z Cuby kilka słów sam na sam, powiedział:

– Podjąłem nowe postanowienie.

Nie patrzyła na niego.

– Przecież to nie Nowy Rok.

– Czy to ważne?

– To zależy od postanowienia.

– Zamierzam zawsze cię podziwiać, ale nigdy nie strofować.

Uniosła rękę i starannie wsunęła palcem za ucho kosmyk włosów.

– Byłaby to miła odmiana.

– To moja nieodwołalna decyzja, zapewniam cię.

– Proszę, powiedz, co się z tobą stało.

– Wydoroślałem. Stałem się mniej żarliwy.

– I niewątpliwie znalazłeś inną młodą damę o milszym charakterze niż ja.

– Wręcz przeciwnie. Zapewniam cię, że tak nie jest. I nie ma to nic wspólnego z twoim charakterem. Nie pojawiła się żadna inna dama, młoda ani starsza.

Zerknęła szybko na twarz Jeremy'ego, szukając oznak sarkazmu, dwuznaczności, ukrytej goryczy. Niczego nie dostrzegła i odwróciła oczy.

– Którego konia obstawiasz o pierwszej? – spytała po chwili.

– Piękność.

– Myślę, że nie ma takiego konia… – Spojrzała na swój prospekt. – O tak, jest, nie zauważyłam. – Na jej twarzy pojawił się lekki, przepraszający uśmiech. – Znasz dżokeja?

– Nie, ale należy do lady Bodrugan, więc chyba musi mieć trochę dobrej krwi.

– Twój kuzyn Valentine startuje za kwadrans trzecia. Jego koń nazywa się Ostróżka. Powinniśmy na niego postawić gwineę albo dwie.

Był bardzo zadowolony, że chce się założyć razem z nim.

– Postawmy na niego do spółki pięć gwinei.

Wezwano chłopca powożącego brekiem i poproszono, by przeszedł się wśród innych eleganckich powozów i spytał, czy damy lub dżentelmeni przyjmą taki zakład przeciwko wybranemu przez nich koniowi. W razie gdyby żaden z koni nie zwyciężył, zakład zostanie anulowany.

Po chwili podszedł młody Boscawen i konwersacja przybrała charakter ogólny. Później Jeremy rozmawiał z Clemency i w końcu znów z Cuby.

– To mój ojciec – powiedział. – Przechodzi w tej chwili przed żółtym powozem.

– Wysoki ciemnowłosy mężczyzna ze starszą kobietą i małą dziewczynką? Kto to?

– Moja najmłodsza siostra, Isabella-Rose, i jej guwernantka. Siostra nie jest już taka mała! Ma dziesięć lat.

– Wyjątkowo ładna. Moim zdaniem wygląda uroczo.

– Nie uważałabyś jej za uroczą, gdybyś usłyszała, jak śpiewa. Ma głos jak chórzysta przechodzący mutację!

– Nie ma tu twojej matki?

– Nie…

– Mojej także. Chyba staje się melancholijna. Powinnyśmy ją namówić do przyjazdu, Clemency.

– Była pewna, że zacznie padać. I że pojawi się zbyt wiele pospólstwa.

– Tymczasem świeci tropikalne słońce! A pospólstwo grzecznie trzyma się z dala!

Oprócz jednej osoby, pomyślał Jeremy, lecz w porę ugryzł się w język.

– Masz też drugą siostrę, prawda? – spytała Clemency.

– O tak. Niedługo skończy osiemnaście lat. Jest tu dziś ze swoim przyszłym mężem. W tej chwili ich nie widzę. Chyba gdzieś poszli.

III

– Jeszcze tylko miesiąc, moja piękna – powiedział Stephen. – Mniej niż miesiąc. Mniej niż cztery tygodnie. Mniej niż dwadzieścia osiem dni. Ile godzin? Nie potrafię policzyć. Ale odkąd przyjechaliśmy na wyścigi, jedna już prawie minęła.

– Nie podoba ci się tutaj?

– Ależ nie. Lubię przebywać w twoim towarzystwie. Ten tłum… Czasami się zastanawiam, czy Kornwalia naprawdę żyje. Ludzie kryją się po domach, podejrzliwie zerkają zza drzwi, robią wszystko

w sekrecie. Takie festyny pokazują drugą stronę medalu, dowodzą, że Kornwalijczycy potrafią się cieszyć, gdy mają na to ochotę. Jak pszczoły w ulu, tylko więcej kolorów, prawda? Tak czy inaczej, uważam, że można lepiej wykorzystać czas.

Uścisnęła jego dłoń.

– Niebawem będziemy mogli lepiej wykorzystywać wolny czas, jak powiedziałeś. Miej trochę cierpliwości.

– Ty czujesz się tu inaczej, lepiej.

– Dlaczego? Na czym polega różnica?

– Otacza cię cała twoja rodzina, zawsze żyłaś w ten sposób. Z ojcem, matką, bratem, siostrą. Ja jestem samotny.

– To niewielka różnica, Stephenie. Z pewnością wiesz, że chciałabym, by następny miesiąc minął bardzo szybko.

– Dlaczego twoja matka dziś nie przyjechała?

– Czy to nie oczywiste?

– Wstydzi się swojego stanu?

– Naturalnie, że nie! Nie ma prawa robić, co chce?

Stephen przygryzł kciuk.

– Wolałbym, żebyś to ty się spodziewała dziecka.

– Co takiego?! Chciałbyś brać ze mną ślub w takim stanie?!

– Niezupełnie. Ale chciałbym, żebyśmy się kochali.

– Na wszystko przyjdzie czas.

– Nie na wszystko, dzięki Bogu.

– Nie… nie na wszystko.

Znaleźli się za trybunami, gdzie rozbili obozowisko Cyganie. Dwoje młodych ludzi szybko otoczyła gromadka żebrzących dzieci i wyrostków proponujących sprzedaż rondli i patelni. Stephen z irytacją machnął ręką, by sobie poszli, po czym ujął Clowance za ramię i ruszył w drogę powrotną.

– Gdybyś była w takim stanie jak twoja matka, byłbym pewniejszy.

– Ciągle nie jesteś pewny?

Spojrzał na nią i nieco się rozchmurzył.

– Och, chyba jestem.

– Może to ja powinnam być pewniejsza?

– Nie.

– Nie?

– Nie. W głębi serca jestem łotrem. Gdybym wbrew swojej woli miał poślubić brzemienną kobietę, jej stan w ogóle by mnie nie obchodził.

– Zapamiętam to sobie. Jakie to szczęście, że nigdy ci nie uległam!

– Tak to nazywają w twojej sferze? Phi!

– Tak to nazywają w powieściach, które czytałyśmy pod kołdrami, kiedy chodziłam do szkoły. W mojej sferze – jak to nazwałeś – używa się bardziej ordynarnych określeń.

– Powiedz jakich.

– Po ślubie.

Kiedy zbliżyli się do koni, tłum zgęstniał. Clowance zauważyła po drugiej stronie padoku Valentine'a wraz z młodym człowiekiem w marynarskim mundurze, lecz dwaj mężczyźni nie zauważyli jej i Stephena.

– Clowance…

– Tak?

– Uciekniemy?

– Kiedy? Dziś?

– Tak. Nie podoba mi się to eleganckie wesele, które szykują twoi rodzice.

– Obiecałam ci, że nie będzie eleganckiego wesela.

– O wiele łatwiej by było… Moglibyśmy się wymknąć, gdy nikt nie zwraca na nas uwagi, wziąć chabety, na których przyjechaliśmy, a potem gdzieś uciec. Gdzie jest najbliższy port? W Falmouth. Pojechalibyśmy do Falmouth, wynajęli pokój od skwaszonej gospodyni z ujadającym pieskiem. Zapłacilibyśmy za dwie noce z góry i zamknęli jej drzwi przed nosem. Potem byś mi uległa. Nie mogłabyś mnie już dłużej dręczyć, prowokować. Rozebrałbym cię, bardzo powoli, bardzo delikatnie…

– Stephen, przestań!

– Co się dzieje? Boisz się?

– Mówisz prawie poważnie.

– Bardziej niż prawie, wierz mi!

– Proszę, skończ z tym. I zmieńmy temat.

– Spokojnie, spokojnie. Nie drażnij mnie, bo dam ci klapsa.

– Myślisz, że po ślubie będziemy stale się ze sobą kłócić?

– Nie. Będziemy jak para gruchających gołąbków. A jeśli będziemy się kłócić, cóż… Miłość, walka, jedzenie, picie, oddychanie, życie pełną piersią – właśnie takie jest przeznaczenie człowieka, prawda? Życie i tak jest krótkie, młodość jeszcze krótsza. Nie znoszę długo spać, bo boję się, że coś stracę!

– Zgoda – odpowiedziała Clowance i zaczerpnęła tchu. – Zgadzam się.

Nagle ktoś pociągnął ją za rękaw.

– Proszę, panienko, proszę, niech pani kupi ładny naszyjnik! Piękne kamienie, piękne, piękne! Bardzo tani! Bardzo dobry! Ze specjalną nicią, która nigdy się nie zerwie! Nigdy, panienko!

Zagłodzone dziecko w nieokreślonym wieku – może dziesięcioletnie, może czternastoletnie – prawdopodobnie dziewczynka. Trzymała w chudej, brudnej rączce dwa naszyjniki z niebieskawych kamyków, niewątpliwie znalezionych na wybrzeżu i prymitywnie oszlifowanych. Każdy naszyjnik składał się z sześciu kamyków, przewierconych i nanizanych na lichy sznurek. Clowance nie wiedziała, czy dziewczynka podeszła do nich przed chwilą, czy podążała za nimi od obozowiska Cyganów.

– Uciekaj stąd! – warknął Stephen. – Wynocha! – Uniósł rękę, by uderzyć dziecko. Dziewczynka schowała się za Clowance, lecz nie odeszła. Zerkała na młodą damę, szukając oznak słabości, i na młodego człowieka, który mógł ją zaatakować.

Mniej więcej rok wcześniej Demelza szczerze opowiedziała Clowance o pierwszym spotkaniu z Rossem, gdy była zagłodzoną, przeklinającą, obszarpaną, zawszoną dziewczynką. Chociaż w owym czasie Clowance nie potrafiła sobie wyobrazić matki w takim stanie, teraz, rok później, nagle przyszła jej do głowy wstrząsająca myśl – trzydzieści lat wcześniej matka mogła wyglądać tak samo.

Popatrzyła z protestem w oczach na Stephena, który przecież, na litość boską, przed dwudziestu laty znajdował się w jeszcze gorszej sytuacji i powinien współczuć tej dziewczynce.

– Ile kosztują twoje naszyjniki, dziecko? – spytała.

– Sześć szylingów, panienko. Sześć szylingów. Dla panienki pięć. Pięć szylingów za najpiękniejsze kamienie na świecie. I specjalną nić, która nigdy się nie zerwie. – Dziewczynka zachwalała swój towar, Stephen patrzył na nią ze złością. Clowance się zastanawiała.

– To śmieci – powiedział Stephen. – Takie kamyki można znaleźć na hałdach każdej kopalni! Chodź, kochanie, niech ten cygański szczur wraca do swojej nory.

– Trzy szylingi? – spytała Clowance.

– Cztery.

Clowance się zawahała. Zaczęła się odwracać.

– Dobrze, trzy – powiedziała dziewczynka. – Niech będą trzy.

Dobito targu.

– Nie zakładaj ich na szyję, bo dostaniesz gruźlicy – powiedział Stephen. – Wynocha! Uciekaj do swojej nory! Jazda!

Dziewczynka wzięła monety, przygryzła je, by sprawdzić, czy są prawdziwe, i schowała do kieszeni brudnej sukienki. Później nagle splunęła na ziemię i nakreśliła palcem znak w ślinie. Popatrzyła na Stephena małymi oczami o czerwonych obwódkach.

– Nie dożyje pan starości, mówię panu. Nie dożyje pan starości.

IV

Zjedli posiłek w breku i pili znakomite wino, śmiejąc się i rozmawiając. Dwie osoby były szczególnie wesołe: Augustus Bettesworth, jeszcze bardziej hałaśliwy niż zwykle, oraz Jeremy, który, chwilowo mniej posępny, popisywał się przed Cuby i doprowadzał ją do śmiechu. Za kwadrans trzecia Valentine Warleggan, dosiadający Ostróżki, dotarł do mety jako drugi, a Jeremy i Cuby przegrali zakład z oficerem dragonów z St Austell, którego koń wygrał o łeb. Kwadrans po trzeciej, gdy zostały jeszcze trzy gonitwy, za główną trybuną miała się odbyć licytacja kilku zwycięskich koni. Większość towarzystwa, niezainteresowana następnym wyścigiem, poszła ją obejrzeć.

Chociaż na zachodzie znów zbierały się chmury, w dalszym ciągu świeciło jasne słońce i było ciepło jak w środku lata.

– Chcesz kupić jakiegoś konia? – zwrócił się do Cuby Jeremy.

– Raczej nie.

– Ja też nie. Interesuje cię licytacja?

– O tak. Uwielbiam konie.

– W tłumie jest bardzo gorąco. Ludzie będą nas popychać i ktoś może nadepnąć na twoją suknię. Błoto jeszcze nie wyschło.

Uniosła brwi.

– Więc dlaczego tam idziemy?

– Nie musimy. Moglibyśmy się wybrać na przechadzkę.

Zastanawiała się. Jeremy rzucił jej wyzwanie.

– Dokąd?

– Chyba wiesz, że jesteśmy blisko rzeki.

– Dość blisko. Ale teren ostro opada. Znajdujemy się na szczycie wzgórza.

– Ten las schodzi w dół. Przez jakieś półtora kilometra. Możemy się wybrać na spacer, nawet jeśli nie pójdziemy daleko. To będzie przyjemniejsze.

– W lesie jest mokro.

– O nie.

– Nie ma błota?

– Ścieżki powinny być miękkie, pokryte wilgotnymi liśćmi. Błoto pojawia się tylko tam, gdzie jeżdżą wozy i chodzą konie.

Cuby zerknęła na Augustusa flirtującego z Elizabeth Boscawen. Clemency towarzyszył Nicholas Carweth.

– Więc chodźmy – powiedziała.

Na końcu pola znajdowała się furtka prowadząca do lasu. Jeremy odsunął zasuwkę i weszli między drzewa. Ziemia okazała się wilgotna, więc zerknął z niepokojem na Cuby, która jednak się nie skarżyła. Rozmawiał z nią dzisiaj lekkim tonem, co zakończyło się nadspodziewanym sukcesem. Zdawał sobie sprawę, że są wakacje, i rozumiał, że oboje wypili wiele kieliszków madery, nie był więc wcale pewien, czy jego zaloty rzeczywiście posuwają się do przodu – czy wytrzymają konfrontację z chłodnym światłem dnia. Jednak samo towarzystwo Cuby dawało mu nową nadzieję i czuł się jak nowo narodzony. Niezależnie od okoliczności było bardzo mało prawdopodobne, że zgodziłaby się z nim spacerować, gdyby nie sprawiało jej to przyjemności.

Kiedy zapuścili się głębiej w las, opuściła parasolkę.

– Kiedy odbędzie się ślub twojej siostry?

– Pod koniec przyszłego miesiąca. Przyjedziesz na wesele?

– Chyba nie. Okazałabym, że sprzeciwiam się życzeniom brata. Jeremy…

– Wiem. Przepraszam. Złamałem naszą umowę. Nie powiem już nic poważnego.

Zatrzymała się, by obejrzeć jeden ze swoich bucików, po czym zdjęła z obcasa trzy duże, mokre liście.

– Chciałabym, żeby nigdy nie trzeba było mówić poważnie. Gdybyśmy mogli rozmawiać tylko na lekkie tematy, byłoby to bardzo miłe!

– Może da się to zrobić.

– W jaki sposób? – odrzekła. – Wykluczone! Tak czy inaczej, miłe słówka szybko zaczęłyby cię irytować. Tak jak wtedy. Cieszmy się chwilą.

Szli dalej. W lesie panowała cisza i słychać było tylko plusk strumyczka płynącego w rowie. Wszystkie ptaki nagle umilkły.

– Opowiedz mi o swoich eksperymentach z maszyną parową – poprosiła.

– Och, nie idą najlepiej.

Zrelacjonował spotkanie z Trevithickiem, wspomniał o rezygnacji z projektu budowy pojazdu drogowego.

– Nie powinieneś tego robić! – powiedziała. – Gdyby każdy wynalazca zniechęcał się niepowodzeniami, niczego by nie odkryto.

– Nie jestem wynalazcą. Wykorzystuję i rozwijam cudze idee.

– Ale nie powinieneś rezygnować.

– Tak, chyba masz rację. Muszę dalej pracować. Oczywiście ostatnio brakowało mi…

– Czego?

– Możesz się domyślać, czego mi brakowało, co dowodzi, że masz rację, mówiąc, że miłe słówka szybko stają się irytujące.

W tym miejscu rosły ogromne barszcze, które zakwitły i wydały nasiona. Cuby patrzyła na gąszcz cienkich łodyg zwieńczonych dużymi kwiatostanami. Złamała jedną z łodyg parasolką.

– Opowiem ci o nowej kopalni. Jest już otwarta i zaprojektowana przeze mnie maszyna parowa działa dobrze. Nigdy ci o tym nie wspominałem?

– Nie. W zeszłym roku był to tylko projekt.

– Ale ciekawi cię to?

– Naturalnie, że ciekawi! Po prostu dlatego, że…

Opowiedział jej. Po chwili zaczęła mówić o swoim życiu, o urlopie Augustusa i jego pracy w Londynie, o nieporozumieniach Clemency z nauczycielką muzyki, o wizycie ciotki i spanielu, który ugryzł ją w kostkę. Jeremy opowiedział o Clowance i Stephenie. Najzwyklejsze informacje, najlżejsza rozmowa nabierały nagle znaczenia.

Schodzili coraz niżej, nie zwracając uwagi na otoczenie. Później Cuby poślizgnęła się na złamanej gałęzi tkwiącej do połowy w ziemi i porośniętej wilgotnym mchem. Chwycił ją za ramię i odzyskała równowagę. Popatrzyła na nisko wiszące słońce i powiedziała:

– Boże, musimy wracać!

– Widać stąd rzekę.

– Wiem, ale i tak powinniśmy wracać. Nie chcę, by John spostrzegł, że mnie nie ma, gdy dołączy do gości.

Ruszyli z powrotem tą samą drogą. Jeremy ujął Cuby pod rękę – drobny gest, lecz jeszcze nigdy nie chodził z nią w ten sposób – ona zaś się nie sprzeciwiła. Wspinali się wzdłuż pluskającego strumyka, rozsuwając młode jawory, których ogromne mokre liście lśniły w promieniach słońca.

Po chwili przystanęli, by zaczerpnąć tchu, i Cuby oparła się o drzewo. Dotknął dłonią jej drugiego ramienia i uśmiechnął się wesoło. Stali tak przez kilka sekund, a potem ją pocałował. Miał wrażenie, że Cuby nadstawia wargi. Pocałunek wywołał uczucia, w porównaniu z którymi reszta dnia wydawała się trywialna i nieważna.

Po chwili Jeremy odetchnął i musnął palcami policzek Cuby.

– To nie było… – powiedział, przełknął ślinę i ponowił gest. – To wcale nie było nieprzyjemne. Biorąc wszystko pod uwagę, to wcale nie było nieprzyjemne.

Urwał, zdając sobie sprawę z jej zdziwienia, że mówi tak lekkim tonem.

– Znasz ten wiersz? – spytał. – „Chodź i całuj, póki igra młodość jak pył zwiewna” [3].

Początkowo wyglądała, jakby zamierzała się rozgniewać, ale po chwili wahania na jej twarzy

pojawił się uśmiech, choć była w nim szczypta ironii.

– Jeremy, już ci mówiłam, pora wracać.

– Naturalnie, że pora wracać! Musimy się śpieszyć! Ale czy nie przyznasz, że przestrzegamy dziś reguł, które sobie wyznaczyliśmy?

– Chyba nie jestem pewna.

– Dlaczego nie jesteś pewna? Nie robimy tego na poważnie, prawda?

– Nie chodzi o to, że…

– Nigdy nie bawiłaś się w całowanie jako mała dziewczynka?

– Oczywiście, że się bawiłam, ale to… – Urwała, wpadłszy w pułapkę.

Pochylił się i znów ją pocałował.

– Przestań!

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego!

– Nie, nie wiem.

– Cóż… – Próbowała się odsunąć od drzewa. – Pora, żebyśmy wracali.

– Naturalnie, że pora, byśmy wracali. Czy przed chwilą tego nie powiedziałem?

Ponieważ nie nadstawiła ust, całował jej czoło, włosy, oczy, policzki, kąciki warg. Odsunęła głowę.

– Jeremy! Już ci powiedziałam!

– Co mi powiedziałaś? Czy nie zachowuję się niepoważnie?

– Zachowujesz się niestosownie!

– Ale czy to nie zabawne? Czy nie przyszliśmy na świat, by się bawić? Czy nie powinniśmy szukać powierzchownego szczęścia, dopóki to możliwe?

– Tak, tak, tak, tak, tak! A teraz chodźmy!

Delikatnie odsunął ją od siebie.

– Więc wracajmy. Jestem na twoje rozkazy.

Odeszła od drzewa, strzepnęła kilka zielonych punkcików z aksamitnej sukni.

– Cała jestem obsypana liśćmi.

– Nie, nie, jest tylko kilka. – Delikatnie zdjął je z pleców i spódnicy.

Odetchnęła głęboko.

– Jesteś śmieszny, naprawdę.

– Naturalnie – odparł. – Ale musisz przyznać, że nie pozwalam, by zapanowała poważna atmosfera.

– Zaczynam wierzyć, Jeremy, że twój jedyny cel w życiu to mnie dręczyć!

– Mój jedyny cel w życiu to sprawiać ci przyjemność! Zaspokajać wszystkie twoje pragnienia. Głęboko je szanuję.

Spoglądała na Jeremy'ego. Jej owalna twarz znajdowała się w cieniu, lecz była jasna jak kamea na tle ciemniejszych włosów.

– Więc chodźmy.

Przeszli kilkanaście kroków. Wszędzie czepiały się ich ubrań paprocie. Dwie sroki głośno zaskrzeczały, przerywając ciszę. Cuby skinęła głową w stronę ptaków.

– Jedno skrzeczenie to smutek, dwa wesołość – powiedział Jeremy.

– Moim zdaniem jedno to smutek, dwa radość.

– Tak samo pasuje.

– Wiesz, że wybrałam się z tobą tylko na spacer – odezwała się Cuby.

– Tak się umówiliśmy.

– Objąłeś… objąłeś mnie siłą i to było tylko…

– Objąłem cię. Co to mogło znaczyć? Czy nie jesteśmy przyjaciółmi, którzy się pokłócili? To naturalne, że po kłótni przyjaciele się obejmują i całują, prawda?

W dali krzyczały dzieci, ale był to inny świat. Nadal otaczał ich zielony, wilgotny las, panowała

cisza i świeciło słońce.

– Bardzo się cieszę, że to się już skończyło – powiedział Jeremy.

– Skończyło?

– Mam na myśli, że już się nie kłócimy. Teraz możemy się spotykać jak kochający się przyjaciele.

– Cóż… tak.

– Najdroższa Cuby, nie miej żadnych wątpliwości – powiedział. – Nie zamierzam niczego od ciebie wymagać oprócz…

– Ale wymagasz!

– Oprócz tego – pozwól mi skończyć – że będziesz mnie traktowała jak kochającego przyjaciela – aż do dnia swojego ślubu. A nawet po ślubie, jeśli twój mąż się zgodzi.

– Na razie nie zamierzam wychodzić za mąż!

– Nie wypada mi tego komentować – odparł Jeremy, znów robiąc dwuznaczną uwagę.

Wydawało się, że na twarzy Cuby rywalizują dwa uczucia – wesołość i irytacja. W końcu spojrzała na parasolkę, by ukryć emocje.

– Bardzo dobrze – rzekła cicho. – Zostańmy przyjaciółmi.

Rozdział piąty

I

Ross kupił nowego kucyka dla Isabelli-Rose i miał zamiar nabyć dla siebie konia, który zwyciężył w drugim dniu wyścigów.

Niewiele wierzchowców startujących w miejscowych zawodach nadawałoby się do udziału w gonitwach w środkowej Anglii. Większość koni wyhodowano na prowincji i, podobnie jak ich właściciele, miały zbyt tęgie zady, by biegać naprawdę szybko. Ale na Rossie zrobił wrażenie Bargrave – tak brzmiało jego dziwne imię – który wyprzedził rywali na ostatniej prostej, uderzając wielkimi kopytami w miękką błotnistą powierzchnię toru. Był czterolatkiem, co oznaczało, że ma przed sobą dość długie życie. Szkoda, by został koniem pociągowym, bo wtedy przeżyłby co najwyżej trzy lata. Ross nie zamierzał galopować jak szaleniec po okolicach Nampary, ale lubił i podziwiał odwagę i wolę walki. Uważał, że Bargrave je ma.

Licytację rozpoczęto od pięciu gwinei. Cena szybko wzrosła do piętnastu, później zapadła cisza.

– To za mało, panowie – powiedział licytant. – Może siedemnaście? Kto da siedemnaście?

Ross uniósł rękawicę.

– Siedemnaście po raz pierwszy, siedemnaście po raz drugi. Kto da dwadzieścia? Jest dwadzieścia. Tylko dwadzieścia gwinei za tego pięknego, silnego rumaka. Proszę spojrzeć na jego nogi! Proszę spojrzeć na jego pęciny! Kto da dwadzieścia dwie gwinee? Kto da…

Ross uniósł rękawicę.

– Dwadzieścia dwie gwinee. Dziękuję, sir. Dwadzieścia dwie. Dwadzieścia pięć. Kto da dwadzieścia siedem gwinei? Trzydzieści. Trzydzieści. Trzydzieści dwa. Trzydzieści dwa. Trzydzieści pięć. Trzydzieści pięć. Czterdzieści. Kto da czterdzieści pięć? Dziękuję, jest czterdzieści pięć. Kto da pięćdziesiąt?

Ross rozejrzał się wokół padoku, by zobaczyć, z kim współzawodniczy. Nikogo nie zauważył. Konkurent znajdował się za jego plecami, nieco w prawo. Obrócił głowę. George Warleggan.

Stała obok niego wysoka młoda kobieta o bardzo ciemnych włosach. Towarzyszył im major Trevanion.

– Przebito pana, sir – rzekł prowadzący licytację, wskazując Rossa, który znowu uniósł rękawicę.

– Pięćdziesiąt gwinei – oznajmił licytator. – Dziękuję panu, sir. Kto da… Pięćdziesiąt pięć. Pięćdziesiąt pięć. Sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt. Sześćdziesiąt pięć. Siedemdziesiąt. Siedemdziesiąt. Znów pana przebito, sir.

Ross uniósł rękawicę.

– Siedemdziesiąt pięć gwinei. Siedemdziesiąt pięć. Osiemdziesiąt. Osiemdziesiąt pięć. Osiemdziesiąt pięć. Dziewięćdziesiąt. Dziewięćdziesiąt pięć. Dziewięćdziesiąt pięć. Kto da sto?

Ross pokręcił głową.

– Nie, sir? Dziewięćdziesiąt pięć po raz pierwszy, dziewięćdziesiąt pięć po raz drugi, dziewięćdziesiąt pięć po raz trzeci! Sprzedany! – Rozległ się trzask młotka. – Wygrał pan, sir George. – Licytator uśmiechnął się służalczo, jego pomocnik ruszył w stronę Warlegganów, a stajenny odprowadził Bargrave'a.

– Nie – rzekł George, kręcąc głową. – Koń nie należy do mnie. Ostatni licytował mój przeciwnik.

Na twarzy prowadzącego licytację pojawił się niepokój.

– Sir?

George powtórzył to, co powiedział. Licytator spojrzał na Rossa, który również pokręcił głową.

– Ostatnio zalicytowałem dziewięćdziesiąt gwinei.

– Nie – zaprzeczył George. – To ja ostatnio zalicytowałem dziewięćdziesiąt gwinei. Koń należy do mojego przeciwnika.

Licytator zszedł z podium, po czym zdał sobie sprawę, że traci przez to autorytet, i wrócił na swoje miejsce.

– Sir George, wydawało mi się, że to był pan. Uważnie obserwowałem przebieg licytacji. Wiem, że stali panowie dość blisko, ale… – Porozumiał się ze swoim pomocnikiem. – Pan Holmes mówi to samo, za przeproszeniem, sir…

– Złożyłem niższą ofertę – odparł George. – Konia kupił kapitan Poldark.

– Nie! – rozległ się z tyłu czyjś ochrypły głos. – Widziałem na własne oczy, jak pan licytował dziewięćdziesiąt pięć, sir George, widziałem na własne oczy!

Zniszczona, szydercza twarz starego Tholly'ego Tregirlsa przynajmniej raz miała poważny wyraz. Uniósł wysoko hak zastępujący rękę, by zwrócić na siebie uwagę.

– Skoro zostałem oskarżony przez jedną z kreatur kapitana Poldarka… – zaczął George.

– Tregirls nie jest moją kreaturą i nawet nie wiedziałem, że znajduje się na wyścigach – przerwał Ross. – Zresztą byłbym wdzięczny, gdyby nie wtrącał się do spraw, które go nie dotyczą. Co się stało, George? Uważasz, że wylicytowałeś więcej, niż jesteś w stanie zapłacić? Jeśli tak, uwolnię cię od kłopotu…

– Koń należy do ciebie – rzekł George, czerwieniejąc. – Wylicytowałeś wyższą kwotę i go kupiłeś, a zatem…

Dama stojąca z boku się poruszyła. Ross spojrzał na nią nieprzyjaznym wzrokiem.

– Nazywa się pan kapitan Poldark?

– Tak.

– Jestem Harriet Warleggan.

Ross się skłonił. Popatrzyli na siebie.

– Mój mąż kupował tego konia dla mnie, kapitanie Poldark, i uważałabym za nieco niedżentelmeńskie, gdyby go nam pan zabrał, ponieważ miałam nadzieję jutro wybrać się na nim na przejażdżkę. Niezależnie od kwestii, kto wylicytował więcej.

Przez chwilę panowała cisza. Ludzie patrzyli z otwartymi ustami.

– Nigdy nie ośmieliłbym się nie spełnić życzenia damy – powiedział Ross. – Koń należy do pani.

– Dziękuję, kapitanie Poldark. George, uważam, że nie ma potrzeby ciągnąć tej dyskusji. Mamy Bargrave'a i jestem szczęśliwa. Zapłacimy za konia dziewięćdziesiąt pięć gwinei – zwróciła się z lekką arogancją do licytatora. Proszę kontynuować.

George nie patrzył na Rossa. W dalszym ciągu miał zaczerwienione policzki. Uderzył laską w ziemię. Harriet wzięła go za rękę i poprowadziła w stronę ogrodzenia. Idąc za nimi, major Trevanion pochwycił spojrzenie Rossa. Nawet się sobie nie ukłonili.

Ross nie uczestniczył w dalszej części licytacji. Po kilku minutach za jego plecami rozległ się ochrypły kaszel.

– Dobrze, że się pan z tego wyplątał, młody kapitanie – powiedział Tholly Tregirls.

– Tholly, nie mam wątpliwości, że dbałeś o moje interesy, ale kiedy będę potrzebował twojej pomocy, to o nią poproszę. Do tego czasu zajmuj się kimś innym, a nie mną.

– Jak pan sobie życzy, młody kapitanie, jak pan sobie życzy. Kiedyś potrzebował pan mojej pomocy i chętnie pan z niej korzystał, co? Nie miał pan nic przeciwko temu. Jeśli potrzebuje pan dobrego konia…

– Nie, Tholly – przerwał Ross. – Nie takiego, jakiego możesz mi sprzedać.

Tholly znów spazmatycznie się rozkaszlał.

– Tak czy inaczej, dobrze, że się pan z tego wyplątał. Koń nie był wart więcej niż czterdzieści gwinei.

– Wiem – odparł Ross.

II

Stephen i Clowance obserwowali sprzeczkę z drugiej strony padoku.

– Więc to właśnie jest sir George Warleggan – powiedział Stephen. – Przypuszczam, że jeszcze go zobaczę.

– I jego nowa żona. Poznałam ją w zeszłym roku.

– Ładna kobieta. Podejrzewam, że trudno ją okiełznać.

– Traktujesz kobiety jak konie? Nie mógłbyś dla odmiany mówić o mnie jak o żaglowcu?

Ścisnął jej ramię.

– Tak, możemy porozmawiać o wyostrzaniu do wiatru.

– Och, co za dziwny żart!

– Mówiąc poważnie, nie sądzę, by ten koń był wart prawie sto gwinei.

– Stara wrogość nie rdzewieje – odpowiedziała Clowance.

– Co takiego?

– Nieważne. Straciłeś dziś jakieś pieniądze?

– Trzy gwinee w pierwszej gonitwie, pięć w drugiej, ale później wszystko sobie odbiłem. Zdaje się, że mamy dwie gwinee więcej.

– Dobrze.

Odwrócili się, gdy nagle rozległ się czyjś głos:

– Clowance? Czy to ty, Clowance? Tak, na pewno. Na Boga, trudno w to uwierzyć!

Był to młody oficer marynarki, którego Clowance wcześniej widziała w towarzystwie Valentine'a.

– Minęły już dwa lata i przez chwilę miałem wątpliwości – powiedział. – Jak się miewasz, kuzynko?

– Andrew! Zauważyłam cię wcześniej, ale myślałam, że się pomyliłam.

– Powinienem być teraz w Zatoce Biskajskiej, ale zatrzymano mnie na lądzie na dwa dni, więc przyjechałem tu z Valentine'em Warlegganem, Anthonym Trefusisem, Benem Sampsonem i Percym Hillem. Jak się miewasz? Bardzo urosłaś!

Clowance się roześmiała.

– Och, nie znasz Stephena Carringtona, z którym jestem zaręczona! Stephen, to mój kuzyn Andrew Blamey, który mieszka we Flushing, ale częściej przebywa na morzu!

Dwaj młodzi mężczyźni uścisnęli sobie ręce. Andrew był tęgi, miał jasne, kędzierzawe włosy i gęste brwi, a bokobrody sprawiały, że wydawał się znacznie starszy. Nosił elegancki granatowo-złoty mundur młodszego oficera królewskich statków pocztowych. Stephen, zawsze zainteresowany wszystkim, co wiązało się z morzem, zaczął go pytać o służbę, a Andrew chętnie odpowiadał, lecz po chwili na jego twarzy pojawił się wyraz zdziwienia i nagle przerwał.

– Panie Carrington, czy myśmy się wcześniej nie spotkali?

– Spotkali? – Stephen wybałuszył oczy. – Nie, nie przypominam sobie.

– To na pewno… Niech pomyślę. To na pewno był pan.

– Nie wiem, o czym pan mówi. Chociaż…

– Cztery lub pięć miesięcy temu. W kwietniu. W Plymouth. W tawernie Pod Dźwiękiem Dzwonów w porcie w Plymouth. Nie pamięta pan? Postawił mi pan kufel piwa. Tego wieczoru był pan w świetnym humorze i stawiał piwo nieznajomym… Było to przed pojawieniem się oddziału werbunkowego…

Zapadło milczenie.

– Kto da więcej? – rozległ się głos licytatora. – Osiemnaście gwinei, osiemnaście gwinei. Osiemnaście po raz pierwszy, osiemnaście po raz drugi, osiemnaście po raz trzeci. Sprzedany! – Trzask młotka. – Sprzedany dżentelmenowi w niebieskim surducie.

– Pomylił się pan, panie Blamey – rzekł krótko Stephen. – Nigdy w życiu nie byłem w Plymouth.

Andrew poczerwieniał.

– Nigdy nie był pan w Plymouth?

– Nie. Ani w tej tawernie… jak ona się nazywa? Pod Dźwiękiem Dzwonów. Sądzi pan, że bym pana nie pamiętał?

– Cóż… niech mnie licho! Przepraszam, kuzynko Clowance. Proszę mi wybaczyć, panie Carrington. Skoro to nie był pan, musiał to być pana brat bliźniak! Był pan z bladolicym jegomościem, który siedział z dziewczyną, a pan śpiewał… To znaczy nie pan, tylko pański brat bliźniak… Jeszcze

nigdy w życiu nie widziałem tak podobnych ludzi! Chociaż przyznaję, że tamten człowiek nie był zbyt dobrze ubrany i miał dłuższe włosy. Naturalnie sporo wypił, zresztą podobnie jak ja…

– Może to tłumaczy pana pomyłkę – odparł weselej Stephen. – Przez cały kwiecień nie opuszczałem Kornwalii, prawda, Clowance?

– Naturalnie nie mógł to być pan, skoro jest pan zaręczony z moją kuzynką – rzekł po chwili Andrew. – Ale to niewiarygodne podobieństwo ciągle wytrąca mnie z równowagi! Muszę ci powiedzieć, Clowance, że tamten wieczór nie skończył się przyjemnie. Znalazłem się tam przez przypadek, ponieważ hrabina Leicester wiozła gubernatora Gibraltaru i kazano nam zawinąć do Plymouth. Wysadziliśmy go na ląd, po czym nazajutrz o świcie mieliśmy odpłynąć, ale – na Boga – po kilku dniach na morzu nigdy nie mogę się oprzeć pokusie zejścia na ląd i ugaszenia pragnienia! Towarzyszył mi porucznik Peter Dillon. Skręciliśmy Pod Dźwięk Dzwonów, bo usłyszeliśmy śpiew: „Dziurawa łajba stoi na kotwicy, hura, hura, hura!". Wszyscy darli się na całe gardło, a dyrygował barczysty jasnowłosy jegomość stojący na stołku! Ale…

– Dlaczego gubernator nie przypłynął na okręcie wojennym? – spytał Stephen, próbując zmienić temat.

– Co takiego? Słucham? Och, podobno jego syn zachorował, a my odpływaliśmy właśnie tego ranka i nadarzała się okazja… Mówię ci, kuzynko, wszyscy śpiewali jednym wielkim chórem, gdy nagle do gospody wpadł oddział werbunkowy zamierzający siłą wcielić do służby wszystkich sprawnych mężczyzn, jakich zdołają znaleźć. Oczywiście Dillon i ja byliśmy w miarę bezpieczni ze względu na mundury, ale blondyn i jego ciemnowłosy towarzysz nie. Ustawiono ich rzędem, by oficerowie mogli ich obejrzeć, po czym ci dwaj rzucili się w stronę drzwi i rozpętało się pandemonium! W końcu uciekli, zostawiając jednego z marynarzy umierającego na podłodze od ran zadanych nożem! – Andrew zakasłał, osłaniając usta dłonią, i spojrzał przepraszająco na Stephena. – Jeszcze raz przepraszam, panie Carrington, że z kimś pana pomyliłem. Jest pan słusznie oburzony, bo wszyscy twierdzili, że marynarza dźgnął nożem blondyn. Clowance, czy kiedykolwiek jeszcze się do mnie odezwiesz? Pomyśleć, że pomyliłem twojego narzeczonego z kimś, kto, niezależnie od wszelkich okoliczności łagodzących, jest zwykłym mordercą! Kiedy wesele?

– Co się stało z dziewczyną? – spytała Clowance.

– Jaką dziewczyną?

– Tą, która była z dwoma młodymi ludźmi.

– Och, nie mam zielonego pojęcia. Chyba jakoś sobie poradziła. Wyglądała na taką, co potrafi sobie radzić… Wyznaczyliście datę?

– Och… dwudziestego czwartego października.

– Tak szybko! Niestety, będę na morzu. – Zapadło niezręczne milczenie i wszyscy z uwagą obserwowali licytację pięknego konia roboczego. – Hm, pytał pan o służbę na statkach pocztowych, Carrington, prawda?

– Słucham? O tak. O dyscyplinę.

– To dobra służba. Zasady dyscypliny są wzorowane na marynarce wojennej, ale oczywiście bez absurdalnych chłost. W tej chwili mamy – ile? – trzydzieści cztery, trzydzieści pięć statków. Przewozimy pocztę, pasażerów i towary do Lizbony, La Coruñi – ta linia wznowiła działalność w zeszłym miesiącu – do Gibraltaru, Karoliny, Indii Zachodnich, Brazylii. Dopóki Jankesi nie wypowiedzieli nam wojny, pływaliśmy również do Nowego Jorku.

– Jak duże są statki?

– Wyporność od stu sześćdziesięciu do dwustu trzydziestu ton, w większości pełnorejowe trójmasztowce, uzbrojone na wypadek ataku. Niektóre należą do spółek zawiązanych przez kilku udziałowców, inne są własnością kapitanów. Władze pocztowe wynajmują je, płacąc tysiąc osiemset funtów rocznie za każdy statek.

– A ryzyko schwytania przez nieprzyjaciela?

– Słucham? Och, zawsze istnieje jakieś ryzyko, to pewne. Można się natknąć na Francuzów, a teraz korsarzy amerykańskich, ich okręty są większe, lepiej uzbrojone i mają liczniejsze załogi. Ale

jesteśmy dobrą flotą. Może nas dogonić tylko bardzo szybki statek.

Rozmowa trwała, lecz dało się odczuć lekkie napięcie i Andrew skorzystał z pierwszej okazji, by odejść.

– Cóż… widzę Valentine'a. I Bena. Straciłem dziś dwadzieścia pięć funtów, stawiając na konia Valentine'a. Myślałem, że bez trudu wygra, ale odpadł na ostatniej prostej. Mimo to… kupiłem kilka losów loterii Swifta. Może coś wygram? Z pewnością tego potrzebuję! Dwie pierwsze nagrody to dwadzieścia tysięcy funtów! Pomyślcie tylko o tym!

– To działa na wyobraźnię – zauważył Stephen.

– Cóż… życzę ci szczęścia, kuzynko. Życzę szczęścia wam obojgu i bardzo żałuję, że nie będę mógł wznieść toastu za wasze zdrowie na weselu! Chociaż teraz nie powinienem chyba zostać zaproszony, bo moja pomyłka tak was obraziła…

– Oczywiście, że byłby pan zaproszony – rzekł uspokajająco Stephen. – Jednak chcemy wziąć cichy ślub. Nie wiem, co dokładnie planuje pani Poldark, ale gdyby to ode mnie zależało, ceremonia byłaby jak najkrótsza. Pochodzę z Bristolu, mam w okolicy niewielu przyjaciół i krewnych, więc w kościele będzie tylko rodzina i krewni Clowance. Prawda, kochanie?

– Tak – odpowiedziała Clowance.

III

– Rozchmurz się, George – odezwała się Harriet.

Mąż zerknął na nią gniewnie i odwrócił wzrok. Wyraz jego twarzy się nie zmienił.

– Smutek nie przystoi eleganckiemu, dystyngowanemu mężczyźnie – ciągnęła. – Nie powinieneś go okazywać.

– Chyba zdajesz sobie sprawę, że zrobiłaś z siebie idiotkę – odparł. – I na dodatek ze mnie!

– Tak sądzisz? – spytała i roześmiała się ochryple. – Rzeczywiście, zrobiłeś niezbyt dobry interes, ale strata kilku gwinei nie jest największą katastrofą. Znacznie gorzej handryczyć się o konia jak kowal o cenę podkowy.

George oblał się rumieńcem. Nigdy nie zniósłby takich obraźliwych uwag ze strony Elizabeth, ale ta kobieta najwyraźniej nie miała świadomości, na co sobie pozwala. Najstraszliwszym występkiem było porównanie George'a do kowala, ponieważ był nim jego dziadek, lecz Harriet albo o tym zapomniała, albo w ogóle jej to nie obchodziło.

Kiedy George poślubił Harriet Carter, jego życie stanęło na głowie. Chociaż została jego żoną, zarówno w Cardew, jak i w Truro prowadziła całkowicie samodzielne życie. Jej niezależność podkreślała nawet zwyczajowa tytulatura – ponieważ tytuł przysługiwał jej już przed małżeństwem, nazywała się teraz lady Harriet Warleggan, a nie po prostu lady Warleggan. Wydawała rozkazy służącym, nie pytając męża o zdanie. Elizabeth sprawnie kierowała domem, lecz nigdy nie dawała do zrozumienia, że nim rządzi. Harriet natomiast podejmowała poważne decyzje, na przykład zamówiła nowy powóz, zwolniła kucharkę i kazała zarybić staw pstrągami. A wszystko za pieniądze George'a. Nie licząc drobnych długów, przywiozła ze sobą jedynie kilka gustownych mebli, ładny zbiór biżuterii rodzinnej i ulubione zwierzęta.

Obecność tych ostatnich była najcięższym brzemieniem, które spadło na jego barki. Szastała pieniędzmi, ale mógł się z tym pogodzić, bo wiedział, że zarobi następne. Podejmowała śmiałe decyzje, lecz niechętnie przyznawał, że udało jej się poprawić wygląd rezydencji. Jeśli czasem w rozmowie pozwalała sobie na zbyt wiele, przypominał sobie, że to mimo wszystko córka księcia. Jednak te przeklęte zwierzęta! Przed ślubem liczył, że dwa dogi uda się relegować do kuchni, co zakończyło się fiaskiem. Włóczyły się po całym domu, choć musiał przyznać, że niczego nie niszczą i zachowują się spokojnie – z wyjątkiem dnia, kiedy jednemu z nich wpadła do ucha pszczoła i przewrócił George'a. Ale budziły paniczny lęk służących, zajmowały najlepsze miejsca przy kominkach i ohydnie mlaskały, gdy tylko miały na to ochotę. George i Jud Paynter mieli niewiele wspólnych cech, lecz łączyło ich jedno – obaj święcie wierzyli, że psy należałoby wytępić i że często zachowują się nieprzyzwoicie.

Jeszcze gorsze było koszmarne małe galago, które spało przez cały dzień i budziło się o zmroku.

Wspinało się, huśtało i przypominało małpkę – bardzo lękliwą, ciekawską i nerwową. Czasem ni stąd, ni zowąd pojawiało się w sypialni Harriet, gdy George miał małżeńskie plany, albo można się było na nie natknąć w jakimś zupełnie nieprawdopodobnym miejscu. Chociaż galago wydawało się nerwowe, George dostrzegał niekiedy w jego ogromnych ślepiach wyraz bezczelności. Gdy czasem na nie krzyczał – pod nieobecność Harriet – zwierzątko zsuwało się z kotary jak po gładkim pniu palmy i patrzyło na niego, jakby chciało powiedzieć: „Spróbuj mnie złapać". George nigdy nie był w stanie tego zrobić, bo galago uciekało zręcznie niczym latająca wiewiórka, przeskakiwało z fotela na fotel albo chowało się za kredensem i natychmiast znikało w jakimś zakamarku.

Warlegganowi często przychodziło do głowy, że ponowny związek małżeński był poważnym błędem. Dawne samotne życie, gdy nikt nie ośmielał się go denerwować i gdy absorbowały go tylko problemy handlowe, czasem wydawało się rajem.

Mimo to prawdopodobnie nie powróciłby do starych przyzwyczajeń, choćby miał taką możliwość. Harriet odznaczała się dynamizmem i miała wszystkie związane z tym wady. Sama jej obecność stanowiła ciągłe wyzwanie dla dumy George'a i jego poczucia męskości. Elizabeth cechowała wrodzona łagodność. Stawała się gwałtowna tylko wtedy, gdy coś ją głęboko poruszyło. Harriet zupełnie nie była łagodna: pluła, klęła, potrafiła wyrażać się ordynarnie. Kiedy względnie rzadko wpuszczała go wieczorem do sypialni, nie zachowywała się biernie – wręcz przeciwnie. Odchodził wyczerpany i podekscytowany, a w następnych dniach stale prześladowały go dzikie, namiętne wspomnienia.

Czasem się sprzeczali, lecz jeszcze nigdy nie doszło do prawdziwej kłótni. W razie próby sił Harriet prawdopodobnie postawiłaby na swoim, oczywiście pod warunkiem, że wystarczyłoby jej inteligencji, by wybrać przedmiot sporu, w którym mogłaby zwyciężyć jako kobieta. Wydawało się mało prawdopodobne, by tłukła głową w mur, zdając sobie sprawę z niemożności jego przebicia.

– Tak czy inaczej, chciałam mieć Bargrave'a i kupiliśmy go – powiedziała tym razem. – Czy to powód do niezadowolenia? Wiem, że wolałbyś go zostawić swojemu staremu rywalowi, ale gdybyś to zrobił, wyparłbyś się, że dałeś znak licytatorowi – co nie byłoby zbyt ładne – a poza tym Poldark dostałby konia, choć drogo by go kosztował! Wyplątaliśmy się z niezręcznej sytuacji.

George coś mruknął.

– Pierwszy raz widziałam tego jegomościa – ciągnęła Harriet. – Jest blady i ma w sobie coś zmysłowego, co, muszę przyznać, wywołuje dziwne sensacje w kroczu. Nie uważam go jednak za takiego potwora, jak sądziłam. Wystarczyłoby przystrzyc mu włosy, ubrać go w nowy halsztuk i zupełnie normalnie prezentowałby się w salonie. Gdybyście nie byli śmiertelnymi wrogami, chętnie bym go bliżej poznała.

George znów mruknął, tym razem jak byk dźgnięty szpikulcem.

– Spróbuj go zaprosić – powiedział. – Zobaczysz, co powie!

– Mogłabym to zrobić! W końcu pozwalasz jego kościstemu synowi i ładnej córce odwiedzać swój dom. Mieszkamy zbyt blisko siebie i nie wypada, żebyście się zachowywali jak dwa koguty walczące na kupie gnoju.

– Nie odwiedzają mojego domu! Pojawili się tylko raz, na Wielkanoc, na zaproszenie Valentine'a… – George urwał, przełknął ślinę i powoli poprawił kapelusz. Miał wrażenie, że Harriet lubi się z nim droczyć, i czasem, gdy temat był mniej drażliwy, sprawiało mu to pewną przyjemność. Nie teraz. W tej chwili nie powinien się złościć ani denerwować. Musi stawić jej czoło. – Moja droga – rzekł – chociaż ten dżentelmen może ci się podobać mimo niesmacznych plotek, jakie o nim krążą, z przykrością stwierdzam, że skoro wybrałaś mnie na towarzysza życia, nie możesz się z nim zadawać. Ross i ja… od czasów szkolnych nigdy nie czuliśmy się dobrze w swoim towarzystwie. Przysłowie mówi, że oliwa i woda się nie mieszają, prawda? Jesteśmy jak oliwa i woda. Rzadko się zgadzamy, ale moim zdaniem przyznałby mi rację. Chociaż pogardliwie porównujesz nas do kogutów na kupie gnoju, nic nie zmieni faktu, że nawet jeśli nie kłócimy się otwarcie, nie możemy się spotykać na gruncie towarzyskim. Musisz dokonać wyboru i zdaje się, że już go dokonałaś.

Śmiech Harriet był tak głęboki, że ledwo słyszalny – leniwy i ładny. George dobrze go znał.

– A zatem zgódźmy się, że mamy różne zdania. Dokonałam wyboru. Mam nowego konia,

Bargrave'a. Wybiorę się na nim jutro na przejażdżkę. Masz kosztowną żonę, George, i ponosisz za to karę. Musimy zapomnieć o kapitanie Poldarku. Czy mi się zdaje, czy to major Trevanion znów biegnie w naszą stronę?

Była to prawda. Nadszedł Trevanion, który miał zaczerwienioną twarz. Zarówno on, jak i George dużo postawili na Valentine'a w trzecim wyścigu i stracili sporo pieniędzy. Jednak szczęśliwy zakład w piątej gonitwie sprawił, że Trevanion się odkuł. Był wesoły, pełen optymizmu i trochę podpity.

W tej samej chwili George, obdarzony bystrym wzrokiem, zauważył, że na tory wyścigów konnych wraca z nadrzecznego lasu siostra Trevaniona, Cuby, z podejrzanie błyszczącymi oczami. Towarzyszył jej młody Poldark, kościsty, chudy i nieco zgarbiony. Wydawało się, że odbyli razem na spacer, który sprawił im przyjemność.

– Valentine… – rzekł wylewnie Trevanion, zbliżywszy się do George'a i Harriet. – Gdzie jest Valentine?

– Widziałem go w pobliżu padoku – odparł George.

– Na Boga, jechał wspaniale! Na Boga, ta chabeta nigdy nie powinna go wyprzedzić! Gdyby Karapaks nie upadł na zakręcie… Naturalnie tory są źle rozplanowane. Na zakręcie nie powinno być takiej stromizny. Zdaje się, że dżokej Karapaksa jest ciężko ranny?

– Tak słyszałem – potwierdził George. – A przy okazji…

– Kiedy Valentine wyjeżdża do Cambridge? – przerwał Trevanion.

– Jutro.

– Ach… Miałem nadzieję, że mnie odwiedzi w przyszłym tygodniu. Dopóki Augustus jest w domu, Valentine mógłby przyjechać i porozmawiać…

– Zauważył pan, że panna Cuby spacerowała z Jeremym Poldarkiem? – przerwał Warleggan. – Ich wygląd sugeruje, że spacer nie okazał się przykry.

Kiedy major Trevanion rozglądał się po zatłoczonym polu, na jego twarzy malowało się wiele różnych emocji: zaskoczenie, irytacja i zadowolenie z siebie. Wszyscy wyraźnie widzieli brek, do którego wracali Cuby i Jeremy.

– Ach, to drobnostka! – odparł wesoło Trevanion. – Niech spacerują! Cuby i ja doskonale się rozumiemy. Coś mi obiecała. Nie złamie danego słowa.

– Co panu obiecała? – spytała Harriet.

– To nasz sekret, madame – rzekł Trevanion. – Mam do niej absolutne zaufanie. Przekona się pani, że trafnie oceniam swoją ukochaną siostrę!

Rozdział szósty

I

W pobliżu mety, między dwiema odkrytymi lożami, ustawiono wielki namiot, w którym ziemianie – wyłącznie właściciele ziemscy – mogli wygodnie i w odosobnieniu coś wypić lub zjeść kawałek pasztetu. Pasztet nie był szczególną atrakcją, ponieważ większość gości przywiozła własne kosze z prowiantem, lecz trunki cieszyły się dużym powodzeniem.

Tuż przed początkiem ostatniej gonitwy Ross wszedł do namiotu z Isabellą-Rose i panią Kemp. Wkrótce mieli wracać do domu, ale Isabella-Rose, która wcześniej objadała się przywiezionymi smakołykami, marudziła, że znowu jest głodna, więc Ross kupił jej porcję pasztetu wieprzowego. Dziewczynka i pani Kemp usiadły przy niewielkim składanym stole z dwiema szklaneczkami lemoniady, a Ross wrócił do długiego stołu, by wypić kieliszek brandy na zakończenie dnia.

Ponieważ zbliżała się ostatnia gonitwa, namiot był prawie pusty, znajdowało się w nim mniej niż dwudziestu gości. Byli wśród nich lord i lady Falmouth rozmawiający z lordem Devoranem i jego rozwiązłą córką Betty oraz Dwight i Caroline stojący w większej grupce miejscowych ziemian.

Ross, który wiedział, że Dwight nie przepada za życiem towarzyskim, miał pewne podejrzenia, dlaczego w ciągu ostatnich dwóch lat przyjaciel zmienił swoje obyczaje. Mąż Caroline pragnął, by w hrabstwie powstał szpital dla obłąkanych jako uzupełnienie Kornwalijskiego Szpitala Ogólnego, otwartego w Truro trzynaście lat wcześniej, i w trakcie spotkań wpływowych i bogatych obywateli hrabstwa mógł agitować na rzecz jego budowy. W lutym tego roku odbyło się zebranie w tej sprawie i powstała lista donatorów. Książę regent ofiarował pięćset gwinei, lord Falmouth dwieście, a lord de Dunstanville, również chcąc okazać swoją hojność, trzysta, lecz w czasie wojny sprawa pozostawała w zawieszeniu – nikt nie miał wystarczającej energii ani inicjatywy, by zrobić pierwszy krok.

Kiedy Ross popijał brandy, lady Falmouth podążyła z Devoranami w stronę wejścia do namiotu i lord Falmouth został na pewien czas sam. Ross uznał, że grzecznie będzie do niego podejść.

– Ach, kapitan Poldark – rzekł młody arystokrata. – W zeszłym tygodniu otrzymałem pański list. Dziękuję. Jasno przedstawił pan swoje stanowisko.

– Ufam, że moje słowa nie zabrzmiały nieuprzejmie…

– Bynajmniej. Po prostu stanowczo. Może jednak się pan myli?

– Dlaczego, milordzie?

– Wydaje się, że nie chce pan uczestniczyć w wyborach jako mój kandydat z dwóch różnych powodów. Po pierwsze, jest pan zmęczony odpowiedzialnością i chciałby się od niej uwolnić. Po drugie, uważa pan, że będziemy mieć odmienne poglądy w kwestii zasad.

Ross namyślał się przez chwilę.

– Tak… to chyba prawda. Chociaż…

– Chociaż?

– Najbardziej niepokoi mnie druga kwestia.

– Tak, tak, rozumiem. Ale nie mylę się, gdy wspominam również o pierwszej?

– Że jestem zmęczony parlamentem? Nie wiem, milordzie. Zdarza się, że ludzie skarżą się na irytujące obowiązki, a potem za nimi tęsknią, gdy się od nich uwalniają. Może w przyszłości będę tęsknił za Izbą Gmin.

– Albo nie.

– Albo nie. Najważniejsze są dla mnie sprawy związane z wojną. Poseł do Izby Gmin jest tylko kukiełką poruszaną przez siły potężniejsze od siebie, w najlepszym razie. Czy ktoś może naprawdę sądzić, że obecność na sali obrad pozwala mu wpływać na historię? Równie dobrze można by się zajmować orką lub wydobywaniem rudy cyny.

Falmouth kazał przynieść dwa następne kieliszki brandy. W namiocie znajdowało się niewiele osób, lecz bardzo hałasowały. Nikt nie był pijany, z pewnością nie jego lordowska mość, choć przez cały dzień wypito dużo alkoholu.

– Zna pan dokładną datę wyborów, milordzie? – spytał Ross.

– Między czwartym a jedenastym października. To dobry termin – po żniwach, gdy zgiełkliwe kwartalne sesje sądu są już zakończone.

– A w Truro?

– Dziewiąty października, piątek.

– Pojawią się rywale?

– Wykluczone.

– Kogo pan wybrał na moje miejsce, milordzie?

– Pułkownik Lemon zachowa mandat. Na pana miejsce? Myślę o kilku osobach. Jedna z nich to sir George Warrender.

Ross wypił łyk brandy.

– Na Boga, przez chwilę myślałem, że wasza lordowska mość zamierzał powiedzieć: sir George Warleggan.

Obaj mężczyźni się roześmieli.

– Nie… Warrender to mój szwagier. Jest również drugi szwagier, John Bankes, na którym można całkowicie polegać. Nigdy nie powie niczego niestosownego.

– Ja nie daję takiej gwarancji.

– Nie daje pan.

Przeszli w stronę wejścia do namiotu, gdzie stała reszta gości. Konie zajmowały miejsca na starcie.

– Pani Poldark cieszy się dobrym zdrowiem?

– Tak, dziękuję. W grudniu spodziewamy się piątego dziecka i w tej chwili żona nie chce się pojawiać w towarzystwie.

– Niedawno pokazano mi pana córkę. Młodą damę o bardzo jasnych włosach.

– Tak.

– Wyjątkowo jasne włosy. Pańscy rodzice mieli podobne?

– Bynajmniej. Moja żona też nie. Clowance to wyjątek.

– Podobnie jak pan ze swoim poparciem dla katolików w starej rodzinie protestanckiej.

Ross uśmiechnął się ponuro.

– To prawda, milordzie. Choć nie uważam się za zwolennika katolików. Wręcz przeciwnie: chciałbym, by wszyscy zostali protestantami. Ale skoro się na to nie zgadzają, uważam, że powinni czcić Boga, jak chcą, i nie ponosić z tego tytułu strat finansowych.

Lord Falmouth popatrzył na konie, które nie dawały się ustawić na linii startu.

– Obstawia pan tę gonitwę?

– Nie.

– Ani ja… Przypuszczam, że zdaje pan sobie sprawę, kapitanie Poldark, że po wyborach kwestia emancypacji katolików umrze śmiercią naturalną?

– Nic o tym nie wiem, milordzie.

– Cóż… Liverpool jako premier nie zajmie się tą sprawą.

– Wiosną poddał ją pod głosowanie. Później, w Izbie Lordów, wniosek Canninga odrzucono zaledwie jednym głosem.

– Może. Ale w kraju wzrasta niechęć do katolików. Zwłaszcza w Kornwalii, jednym z wpływowych hrabstw. Zauważyłem, że przywódcy frakcji wicehrabiego Sidmouth starają się wybierać kandydatów mających antykatolickie poglądy. Myślę, że przyszły parlament będzie znacznie mniej przychylny projektom Canninga niż obecny.

Ross nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że młody arystokrata dysponuje znacznie lepszymi informacjami na temat bieżącego życia politycznego.

– Jak pan widzi, będzie pan potrzebny w Westminsterze bardziej niż kiedykolwiek, by wspierać niepopularne idee.

– Sugeruje pan, bym zmienił zdanie, milordzie?

– Naturalnie, że nie. Byłoby to wyjątkowo niestosowne.

– Z pewnością nie należy przyjmować mandatu od patrona, a następnie działać niezgodnie z jego przekonaniami.

– Już pan o tym wspominał, a ja uznałem tę opinię za słuszną.

– A zatem?

– A zatem nie powinien pan postępować wbrew własnemu sumieniu.

Chociaż Ross i Falmouth nie byli zainteresowani końmi ani rezultatem wyścigu, stanęli przy wejściu do namiotu i obserwowali gonitwę, zafascynowani toczącą się rywalizacją. Tłum wiwatował, kopyta rozbryzgiwały błoto, dżokeje kulili się w siodłach i popędzali rumaki szpicrutami. Dwa konie zmierzały do mety łeb w łeb, kary i deresz, kary i deresz. Na błotnistym torze o wyniku decydowała siła i wytrzymałość. W końcu deresz wyprzedził karego i sędzia uderzył w dzwon, ogłaszając zwycięzcę. Kiedy ostatnie konie galopowały obok namiotu w promieniach zachodzącego słońca, reszta gości wyszła na zewnątrz. Ross i Falmouth pozostali przy wejściu.

– Czyta pan czasem „West Briton", milordzie?

– Radykalne czasopismo, niezbyt ciekawe. Nie.

– W tym tygodniu w artykule wstępnym zadano pytanie: „Czy kiedykolwiek doczekamy czasów, gdy wybory staną się apelem do narodu?".

Zamożna część publiczności wracała do namiotu, by wypić ostatniego drinka. Byli w tym gronie major Trevanion oraz sir George Warleggan z małżonką.

– Jeden z moich przyjaciół, który jest dziś na wyścigach, również spytał: „Kiedy wreszcie będziemy mieć wybory jak w Ameryce? Żadnych awantur, bójek i przekupstwa, wszystko zorganizowane jednego dnia". Widzi pan, milordzie, że zupełnie nie nadaję się do reprezentowania pana interesów, ponieważ nasze długoterminowe cele są inne.

Lord Falmouth skinął głową i dopił brandy.

– Niech pan weźmie pod uwagę jedną rzecz, kapitanie Poldark. W życiu, a zwłaszcza w polityce, można popełnić błąd polegający na patrzeniu na sytuację ze zbyt odległej perspektywy, bo traci się wówczas z oczu ważne bliskie cele.

– Jakie?

– Sam pan o tym przed chwilą wspomniał! Wygranie wojny.

II

O zmroku, gdy zza chmur wyjrzał srebrzysty księżyc, w stronę północnego wybrzeża Kornwalii wyruszyła kawalkada jeźdźców. Składała się z dwojga Enysów, czworga Treneglosów, Paula i Daisy Kellowów, dwóch córek Pope'a, pięciorga Poldarków, Stephena Carringtona, pani Kemp, Johna Gimletta z nowym kucykiem oraz dwóch masztalerzy. Ponieważ po zmroku samotni podróżni nie byli bezpieczni – zwłaszcza że z okazji wyścigów w okolicy pojawiło się wielu Cyganów i handlarzy końmi – zdrowy rozsądek nakazywał powrót w większej grupie. Drogi były bardzo wąskie, obok siebie mogło jechać tylko dwóch lub trzech jeźdźców, więc kawalkada rozciągnęła się na dużej przestrzeni.

– Nie było innego sposobu, już ci o tym mówiłem! – rzekł ponuro Stephen.

– Mogłeś powiedzieć prawdę.

– Wykluczone!

– Nie rozumiem. Jeśli ten marynarz rzeczywiście umarł od ran zadanych nożem…

– To bzdura, powtarzałem to już dwa razy! Jeśli umarł, to na pewno nie od drobnego skaleczenia. Jeśli naprawdę umarł – a ciągle mam co do tego wątpliwości – to na kolkę albo inną chorobę, którą złapał gdzie indziej, a teraz próbują zwalić winę na zadrapanie na brzuchu i kogoś o to oskarżyć!

Niebo znów się zachmurzyło. Niewielki księżyc zniknął za ogromnymi obłokami i tylko jedna z chmur jaśniała na krawędziach.

– Powiedz mi, czy próba uniknięcia przymusowego wcielenia do marynarki wojennej to zbrodnia?! – ciągnął Stephen. – Wszyscy się przed tym bronią, wszyscy rozsądni ludzie! Chciałabyś, żebym siedział teraz okrakiem na rei dolnego marsla bezanmasztu i obawiał się chłosty, jeśli nie będę

dość szybko refował żagli?! Chciałabyś tego?! Odpowiedz mi, dobrze?

– Naturalne, że nie! – odparła gwałtownie Clowance. Miała nieszczęśliwą minę.

– Ale mnie obwiniasz – rzekł. – Obwiniasz, prawda?!

– Nie, Stephenie! Wcale nie o to chodzi!

– Więc o co?

– Po prostu nie jestem pewna…

– Czego nie jesteś pewna?

– Czy nie lepiej by było – a może nawet najlepiej – powiedzieć Andrew prawdę. Kłamstwa… mogą być czasem użyteczne, wiem… Nie mam w tym doświadczenia… Ale tym razem… Andrew to krewny, członek rodziny. Na pewno lepiej byłoby nie kłamać, powiedzieć: „Posłuchaj, Andrew, to się zdarzyło tak a tak", opisać wszystko, jak to przed chwilą zrobiłeś. Mówisz, że nie zabiłeś tego marynarza. Nawet jeśli rany miały z tym coś wspólnego, nie zadałeś ich celowo. Więc co w tym złego? Doszło do okropnej bójki. Walczyłeś o swoją wolność. Wszystko mogło się zdarzyć. Kiedy ktoś to opisuje, brzmi to okropnie. Mogłeś powiedzieć: „Andrew, proszę, nikomu o tym nie mów. Nikt oprócz ciebie nie wie, że uczestniczyłem w tej bójce. Prawdopodobnie nikt się nigdy nie dowie. Więc jeśli utrzymasz to w sekrecie… W końcu jestem narzeczonym twojej kuzynki, Clowance, która wkrótce ma wziąć ze mną ślub. Dla dobra nas wszystkich lepiej o tym milczeć…".

– Mów dalej – powiedział z goryczą Stephen. – To ładna bajka.

– Ale teraz… Nie uważasz, że Andrew będzie się zastanawiał? Zastanawiał, czy się naprawdę pomylił. Myślał. A jeśli… jeśli kiedykolwiek przyjedzie do Nampary – co jest dość prawdopodobne – i zobaczy Paula Kellowa, zorientuje się, że kłamałeś. Kto wie, co zrobi albo powie pod wpływem impulsu? – Clowance ściągnęła wodze, gdy zbliżyli się do brodu na strumieniu. – Właśnie o to mi chodzi, Stephenie. Właśnie to mnie martwi.

Konie szły z pluskiem między kamieniami. Oddalili się od siebie.

– Nie tylko to cię martwi, prawda? – powiedział Stephen, kiedy znów znaleźli się obok siebie. – Budzę w tobie niesmak, prawda?

– O co ci chodzi?

– Jesteś zakochana w mężczyźnie, który potrafi walczyć, ceni wolność i nie postępuje jak mięczak, gdy zostanie zaatakowany. Mówisz o prawdzie?! Właśnie taka jest prawda. Budzę w tobie niesmak.

– Gdybym czuła do ciebie niesmak, jak to nazywasz, myślisz, że tak bardzo bym się martwiła o twoje bezpieczeństwo?

– Mimo to czujesz niesmak. Mówisz, że powinienem wyznać wszystko człowiekowi, którego poznałem przed dwoma minutami! Gdybym zgodnie z twoją radą powiedział prawdę, miałby nade mną władzę do końca życia!

– Przecież Andrew to…

– Wiem, krewny. Ale twój krewny, nie mój. Skąd mam wiedzieć, co zrobi, z kim będzie rozmawiać, plotkować? Pachniał alkoholem! Pamiętam, jak wyglądał Pod Dźwiękiem Dzwonów. Kiedy wszedł do gospody razem z przyjacielem, obaj byli pijani. Po kilku głębszych człowiek potrafi wszystko wygadać!

Jechali przez chwilę w milczeniu. Konie parskały, skrzypiała skóra, stukały kopyta, a poza tym słychać było tylko granie świerszczy w krzakach.

Clowance nie chciała okazać, jak bardzo jest wytrącona z równowagi. Pragnęła kochać Stephena i wszystko, co się z nim wiąże, podziwiać jego urodę, pewność siebie, dojrzałość, przedsiębiorczość, odwagę, inteligencję, dowcip, żywiołową męskość, przy której inni mężczyźni wydawali się anemiczni. Ale mijający dzień sprawił, że pojawiły się skazy na tym obrazie. Clowance zdenerwowała myśl o tym, że Stephen zabił człowieka w czasie bójki w tawernie – mogło to mieć poważne konsekwencje. Jeszcze gorsze były gładkie kłamstwa prędko wypowiedziane do Andrew w jej obecności. Doskonale zdawał sobie sprawę, że Clowance wie, że to kłamstwa, lecz nic go to nie obchodziło. Domagał się nawet, by go wsparła, zapewniła mu alibi. Zabójstwo to coś prymitywnego, męskiego, bezwzględnego, agresywnego,

może być jednak usprawiedliwione. Takie jest prawo dżungli. Ale Stephen kręcił, kluczył. Po pierwsze, że to się nigdy nie zdarzyło; po drugie, jeśli nawet się zdarzyło, to nie jego wina; po trzecie, jeśli jest winny, należy go usprawiedliwić; po czwarte, jeśli nie da się usprawiedliwić zabójstwa, tym bardziej trzeba zaprzeczać… Zachowywał się jak szakal, nie lew.

Kiedy jechali dalej, Clowance, choć jeszcze nie przyznawała się do tego przed sobą, czuła w głębi serca, że w końcu się pogodzą, że spór, dyskusja, kryzys odejdą w przeszłość. To, co się stało, nie zabiło jej miłości do Stephena. Mogła ona przygasnąć tylko na chwilę, więc Clowance wkrótce zacznie patrzeć na sytuację z punktu widzenia narzeczonego. Przyjmie jego argumenty i uzna je za własne.

Przede wszystkim chciała, by Stephen był bezpieczny, by wkrótce wzięli ślub i żyli szczęśliwie w stróżówce, kochając się pod jesiennym księżycem.

III

Kiedy zapadł zmrok, na torach wyścigów konnych pozostało kilkuset ludzi. Część porządkowała teren i demontowała trybuny, wielu leżało na ziemi, pogrążonych w pijackim śnie, a inni krążyli po polu, zataczając się pod wpływem alkoholu. Dziewczęta i chłopcy wrzeszczeli na siebie. Żebracy i Cyganie grzebali w śmieciach pozostawionych przez bogatszych gości, często kłócili się o nie i bili. Bezpańskie psy, gołębie, wrony, mewy, od czasu do czasu szczur. W większości namiotów, w których sprzedawano trunki, w dalszym ciągu trwał ożywiony handel przy świetle latarni sztormowych. Dochodziło do bójek i chociaż uczestniczyło w nich niewielu ludzi, mogły to być pierwsze iskry zwiastujące pożar.

Jedną z najbardziej hałaśliwych grupek tworzyli młodzi mężczyźni z wiosek Grambler i Sawle, a najbardziej hałasowali dwaj młodsi bracia Thomasowie, Art i Music. Byli gorliwymi metodystami, lecz tego dnia pogrążyli się w bagnie grzechu i hańby, opuścił ich Duch Święty, w ich duszach wyschło źródło czystej wody zbawienia. To, co ich teraz ożywiało, nie miało w sobie nic świętego.

Winę za to ponosił przede wszystkim Moses Vigus z Mellin, który pracował w Namparze. Moses nie był tak złym człowiekiem jak jego ojciec, jednak niezwykle go przypominał. W wieku trzydziestu kilku lat całkowicie wyłysiał, a jego okrągła, pozbawiona zmarszczek twarz przypominała oblicze podstępnego, zdeprawowanego cherubina. Poprosił Rossa o pożyczenie konia i wozu, po czym pojechał na wyścigi w nadziei, że znajdzie chętnych gotowych zapłacić szylinga za powrót do domu. Spytał Thomasów jako ostatnich, ponieważ, w odróżnieniu od niektórych metodystów, nigdy nie pili alkoholu. Kiedy zauważył ich na wyścigach, pomyślał, że pora zacząć ich kusić, i odniósł nadspodziewany sukces.

Art był łatwym celem. Jego zaloty do wdowy Permewan nie odnosiły skutku; garbarnia i jej właścicielka znajdowały się poza jego zasięgiem. Edie Permewan, trzydzieści lat starsza od Arta, była ponadto wyjątkową nudziarą. (Powtarzała się tak często, że przypominała organy: naciśnięcie odpowiedniego klawisza zawsze wydobywało przewidywalne dźwięki). Niezależnie od tego, jakie Art – po zawarciu małżeństwa z wdową – mógł mieć intencje wobec innych kobiet z wioski, w trakcie przeciągających się konkurów musiał się bardzo pilnować, by ewentualne plotki nie pogrzebały jego szans. Chociaż był metodystą, długotrwała abstynencja seksualna niezmiernie mu dokuczała.

Music zupełnie nie przypominał brata. Z natury radosny, wesoły, niekiedy zwariowany, beztrosko ulegający nagłym impulsom, zawsze sprawiał kłopoty Samuelowi Carne'owi, przywódcy miejscowych metodystów. Music był żartownisiem, lubił rolę wiejskiego błazna, choć przeżywał w tej chwili poważne kłopoty związane z pierwszą miłością i od czasu do czasu próbował, zachęcany przez doktora Enysa, który udzielał mu rad, przestać się wygłupiać i upodobnić się do innych mężczyzn.

Brandy ładnie pachniała i smakowała jeszcze lepiej. Była droższa od piwa, lecz wystarczyło wypić mniej.

Tego popołudnia Music w jakiś sposób zdobył dziecięcy bębenek. Ktoś pożyczył mu wdowi czepek, Moses ukradł dla niego fartuch. Ubrawszy się w kobiecy strój, Music poprowadził procesję wokół torów wyścigowych. Jej uczestnicy nie bardzo wiedzieli, o co chodzi. Śpiewana przez nich piosenka brzmiała dziwnie. W ogólnym hałasie rozlegał się głos Musica:

Nasz pastor Croft, nasz pastor CroftPulchniutką żonkę miał!W miękkiej pościeli cały dzieńWygodnie

leżeć chciał!Śpiewaj ho-ho! Śpiewaj ho-ho!Śpiewaj ho-ho! Ach, sir!Dosiadał żonki raz po raz,Gdy łowów przyszedł czas!

Music stąpał na palcach jak mucha, jak to nazwała kiedyś Prudie, i walił w bębenek, wymachując rękami. Przekrzywił mu się czepek, miał spoconą twarz i szeroko się uśmiechał. Kroczył na czele stale powiększającej się procesji młodych ludzi; każdy z nich trzymał w talii sąsiada idącego z przodu. Wszyscy krzyczeli, śmiali się i próbowali śpiewać.

W połowie toru Music zauważył, że obserwują go cztery młode kobiety. Dwie szczerzyły zęby, dwie zachowywały powagę. Jedną z tych poważnych była Katie Carter, wysoka, ciemnowłosa dziewczyna, o której nostalgicznie marzył Music. Uważał się za szczęściarza, jeśli zdołał z nią zamienić w Place House choć kilka słów, a cóż dopiero usłyszeć uprzejmą odpowiedź. Katie nie była z natury niegrzeczna, nie miała też innych konkurentów (jej tusza, niezgrabność i nieśmiałość maskowana ponurą miną sprawiały, że szybko się zniechęcali), lecz biedny przygłupi Music nie był wart zachodu. Ostatnio wydawało mu się, że robi na Katie większe wrażenie niż dawniej. Teraz jednak znów całkowicie się skompromitował: skakał na palcach przebrany za kobietę i wrócił do dawnej roli błazna, od której starał się uwolnić. Na dodatek był podchmielony.

Przestał walić w bębenek, oklapł, zamilkł. Idący z tyłu wpadli na niego, w żebra wbiły mu się twarde palce, popchnięto go do przodu. Z pomocą przyszedł mu alkohol, dodał odwagi, nawet jeśli objawiała się w niewłaściwy sposób. Wyprostował się, znów zaczął śpiewać, w podskokach poprowadził procesję ku czterem młodym kobietom i zatoczył wokół nich krąg.

Śpiewaj ho-ho! Śpiewaj ho-ho!Śpiewaj ho-ho! Ach, sir!

Dwie głośno się śmiały, trzecia szczerzyła zęby, ale Katie w dalszym ciągu się krzywiła. Czasem lubiła żarty, ale wszyscy najweselsi uczestnicy procesji pochodzili z jej okolic i po pijanemu zachowywali się haniebnie. Sawle i wioska Grambler miały przez to złą opinię, zwłaszcza wśród metodystów. (Pół tuzina członków zgromadzenia leżało na poboczu toru, tarzając się w błocie i wrzeszcząc). Była jeszcze jedna szczególna okoliczność – nie znosiła Mosesa Vigusa, który zawsze szydził i stroił sobie z niej żarty, a raz wsadził jej rękę pod sukienkę.

Music zatrzymał się na chwilę przed Katie, usiłując ją rozśmieszyć, lecz poniósł fiasko. Nie miała pojęcia, że mu się podoba, bo tak jak wszyscy uważała, że Music nie interesuje się dziewczętami. Już miał zrezygnować i odejść, gdy nagle ktoś wyszarpnął mu z ręki bębenek, omal nie łamiąc mu karku, kiedy pociągnął za sznur. Był to starszy brat właściciela bębenka, wyrostek o byczym karku i czerwonej twarzy, wyraźnie szukający zwady. Music uśmiechnął się potulnie i odwrócił w stronę Arta, który stał tuż za nim. Chciał spytać, czy powinien oddać bębenek. W tej samej chwili zauważył, że Moses Vigus wyciąga rękę i nasuwa Katie na oczy jej najlepszy kapelusz.

Music, który dobrodusznie nie chciał się sprzeczać z nieznajomym o bębenek, nagle wpadł w szał. Z wściekłością grzmotnął pięścią zaskoczonego Vigusa, który runął na plecy, wpadając na tłum znajdujący się z tyłu. Po chwili walczyło ze sobą trzydzieści lub czterdzieści osób, w tym kobiety, a w samym środku, niczym w oku cyklonu, patrzyli na siebie Katie i Music.

Po chwili, uderzona pięścią w plecy, Katie krzyknęła:

– Ty głupi drągalu, przerośnięta małpo, zejdź mi z drogi! Śmierdzący dureń! Przestań się wygłupiać i wracaj do domu!

Z kapeluszem w ręku przepchnęła się przez tłum walczących wieśniaków i ruszyła w mrok. Po chwili z wielkim trudem dołączyły do niej trzy towarzyszki.

IV

Kiedy Ross wrócił do domu, Demelza leżała w łóżku.

– Źle się czujesz?

– Bardzo dobrze.

– Nie okłamujesz mnie?

– Wstałam o szóstej. Kolacja stoi na stole, jeśli masz na nią ochotę.

– Widziałem. Jeremy, Clowance i Stephen już jedzą.

– Kupiłeś Belli kucyka?

– Tak, stoi przed stajnią. Nie można zostawić go samego.

– Jak się nazywa?

– Horacy albo Horatio.

– To imię nie przyszło nam do głowy – powiedziała Demelza. – Horatio Poldark raczej mi się nie podoba. Mógłby mieć ochotę wstąpić do marynarki.

Ross rozejrzał się po pokoju, znajomym pokoju ze znajomymi zużytymi meblami. Rozluźnił halsztuk i popatrzył na Demelzę, która siedziała wsparta na poduszce. Rękaw koszuli nocnej się zsunął, ukazując prawe ramię o eleganckim kształcie, bez nadmiernie rozrośniętych mięśni, choć całe życie posługiwała się prawą ręką.

– Na co patrzysz? – spytała.

– Na ciebie.

Lekko się uśmiechnęła.

– Jeśli nie przeszkadza ci mój brzuch, nie jest jeszcze za późno.

– Moim zdaniem jest za późno. Istnieją dwa rodzaje ryzyka: takie, które musimy podejmować, i takie, którego podejmować nie musimy.

– Przykro mi. A jednak jestem zadowolona.

– Jednocześnie?

– Tak, jednocześnie. Przykro mi, bo ja też bym tego chciała. Zadowolona, bo ciągle ci się podobam.

– Podobasz mi się.

– Hm. – Spojrzała na niego z głową przekrzywioną na bok. – Pożądanie w dużej mierze zależy od tego, co się widzi, prawda? Jeśli kobieta jest gruba…

– To nie wielki brzuch, tylko coś naturalnego. Jesteś przewrażliwiona.

– Może. – Opuściła rękę i obciągnęła rękaw koszuli. – Idź zjeść kolację, mój kochanku.

– Nie jestem głodny. Przez cały dzień jadłem z Bellą. Jakiż ona ma apetyt! I jakie różne rzeczy może jeść w tym samym czasie! Zapiekanka z królika ze śmietaną i bananami! Jaja na twardo z ciastkami i dżemem truskawkowym…

– Dziękuję, wystarczy. Na pewno wieczorem będzie chora.

– Widziałaś, żeby była kiedyś chora?

– Nie, z jednym wyjątkiem: gdy miała koklusz.

Ross usiadł na skraju łóżka i ziewnął.

– Kupiłeś dla siebie konia? – spytała Demelza.

– Nie. – Wyjaśnił, co się wydarzyło w czasie licytacji, po czym pokrótce opisał dzień. Wspomniał o spotkaniu z lordem Falmouth.

– Więc nadal możesz kandydować – rzekła.

– Niezupełnie.

– Dlaczego? Jak się rozstaliście?

– Powiedziałem, że jeśli zmienię zdanie, napiszę w ciągu tygodnia.

– A zatem… mówisz, że nie będzie kontrkandydatów?

– Nie w Truro. Nominaci lorda Falmouth zostaną wybrani jednogłośnie.

– Ale ciągle się wahasz?

Zapadło długie milczenie.

– Naprawdę chcesz, żebym się zdecydował, kochanie? – spytał w końcu Ross.

– Chcę?

– A nie mówiłaś tego w ciągu ostatnich tygodni?

– Niezupełnie. Chcę, żebyś zrobił to, co najbardziej pragniesz zrobić.

– Ale twoje rady…

– Chcę, żebyś zrobił to, co najbardziej pragniesz zrobić.

– I myślisz, że mam ochotę kandydować?

Zawahała się.

– Tak sądzę.

– Zastanawiam się, dlaczego tak uważasz.

Spojrzała na męża. W jej oczach odbijały się płomyki świec i trudno było z nich coś wyczytać.

– Ponieważ jesteś taki jak zawsze: niespokojny, spragniony przygód… a jeśli nie przygód, to jakiejś formy działania. Gdyby oznaczało to następne podróże za granicę, byłabym zdecydowanie przeciwna. Ale myślę, że w głębi serca pragniesz zasiadać w Izbie Gmin do końca wojny. Zresztą, jak często mi mówiłeś, poseł do parlamentu nie musi opuszczać domu na długi czas. Wystarczy, że pojedziesz do Londynu trzy razy w roku. Z pewnością nie powinieneś – nie możesz – spędzać poza Namparą więcej niż trzy miesiące. Jako poseł czułbyś, że pomagasz w prowadzeniu wojny, a jednak przebywałbyś z rodziną w domu przez dziewięć miesięcy. Czy nie powiedziałam kiedyś, że nosisz włosiennicę? Jesteś do bólu samokrytyczny i nie potrafisz być z siebie zadowolony. Czy to nie najlepszy sposób pozbycia się niepokoju? Nie martwiłbyś się tak bardzo, prawda?

– A zatem… – rzekł w zamyśleniu Ross.

– Zatem… – powtórzyła Demelza.

Nagle na parterze rozległy się krzyki. Isabella-Rose wróciła ze stajni. Słychać było również głos pani Kemp, która ją strofowała.

– Pora, żeby ktoś dał jej lanie – powiedział Ross.

– Wiem. Zrobisz to?

– To obowiązek matki – odparł Ross.

– Co takiego? W moim stanie?

– W takim razie musisz poczekać – stwierdził Ross. – Jak dotąd co najwyżej dałem jej klapsa.

– Potem przybiegła do mnie i zażądała, żebym ci oddała.

– Naprawdę? Naprawdę? No, no, no…

Słuchali cichnących powoli głosów na parterze.

– Jeremy rozmawiał dziś z dziewczyną – powiedział Ross. – Chyba tą samą. Widziałem ich idących razem.

– Mam nadzieję, że to dobry znak. Chociaż trudno mieć jakąś nadzieję, skoro jej brat jest zdecydowanie przeciwny.

– Jeśli naprawdę się kochają, zawsze jest nadzieja.

– Jeremy ją kocha – odparła Demelza.

V

Kiedy Ross zszedł na kolację, Demelza ułożyła się wygodniej na posłaniu, wyciągając nogi. Nie czuła się dziś dobrze. Miała lekką gorączkę, która powoli ustępowała. Leżała w łóżku od siódmej.

Ross i Demelza żyli razem tak długo, że trudno im było się oszukiwać. Wyczuwali najdrobniejsze niuanse swoich nastrojów i łatwo zauważali cień nieszczerości albo sprzeciwu. Ale tego wieczoru Demelza odniosła podwójny sukces. Przede wszystkim oszukała męża, że jej niedyspozycja jest bez znaczenia. Z punktu widzenia jej własnej moralności ważniejsze było drugie oszustwo, dotyczące zachowania mandatu posła do Izby Gmin. To, co powiedziała, nie było kłamstwem w dosłownym znaczeniu: uważała, że Ross potrzebuje bodźca, impulsu, frustracji związanej z pełnieniem takiej funkcji. Gdy jednak namawiała go, by znów kandydował w wyborach, nie myślała o mężu, nawet o sobie, tylko o Jeremym.

Obserwowała syna uważnie i ze współczuciem, więc rozumiała, jak trudno mu zapomnieć o Cuby Trevanion. Zdawała sobie również sprawę, że Jeremy, namówiwszy ojca do ponownego otwarcia Wheal Leisure, boleśnie odczuwa to, że kopalnia przynosi straty. Poza tym rozmowa z synem przed jego spotkaniem z Trevithickiem uświadomiła Demelzie, że Jeremy wiąże duże nadzieje z konstrukcją parowego pojazdu drogowego.

W tej chwili pozostały tylko gorycz, rozczarowanie i poczucie klęski, ale pamiętała rozmowę

w czasie kolacji w maju. Gdyby Jeremy zapomniał o niepowodzeniach i wyruszył na wojnę, całkowicie zerwałby z przeszłością. Patriota taki jak Ross nie zniechęcałby go do wstąpienia do armii. Jak mogłaby go zniechęcić Demelza?

W stanie delikatnej równowagi doszła do wniosku, że woli raczej nie widywać się z Rossem przez część roku, bo nie niesie to żadnego niebezpieczeństwa. Gdyby Ross przebywał w Namparze, Jeremy nie musiałby pilnować Wheal Leisure. Ale w czasie nieobecności Rossa odpowiedzialność spadała na syna. Na szczęście po sprzeczkach, do jakich dochodziło w zeszłym roku, ich stosunki już się poprawiły. Kiedy Ross przebywał w Westminsterze, Jeremy był jedynym mężczyzną w domu.

Nie musiało to przeważyć szali, lecz mogło. Chcąc ocalić syna przed niebezpieczeństwami wojny, Demelza była gotowa użyć każdego możliwego fortelu.

Rozdział siódmy

I

Nadeszły wieści o klęsce armii rosyjskiej pod miejscowością o nazwie Borodino. Francuzi triumfowali. Mówiono, że generał Kutuzow ewakuował Moskwę i że zajęły ją wojska Napoleona.

Nawet w Hiszpanii sytuacja nie była tak dobra jak dawniej. Po triumfalnym wkroczeniu do Madrytu, gdy ludność radośnie witała oswobodzicieli, Wellingtona obsypano honorami, jednak początkowe uniesienie minęło i należało stawić czoła ponurej rzeczywistości. Wellington dowodził osiemdziesięcioma tysiącami żołnierzy czterech narodowości, jego oddziały były rozciągnięte na obszarze pięciuset kilometrów, zajmowały pozycje w trudnym terenie, a naprzeciwko stały cztery armie francuskie, trzykrotnie liczniejsze. Jeśli Napoleon pokona Rosję i wróci…

Należało działać szybko. Wellington jak najprędzej opuścił Madryt z czterema dywizjami, przemaszerował ponad pięćset kilometrów i obległ Burgos. Później długo nie nadchodziły prawie żadne nowiny. Lada dzień szybka fregata mogła przywieźć wiadomość o upadku twierdzy i wielkim zwycięstwie. Jednak ludzie mówili, że Burgos nieco przypomina Badajoz, a Wellington w dalszym ciągu nie dysponował oddziałami saperów niezbędnymi do prowadzenia oblężenia.

Ross studiował mapy z Jeremym i Dwightem, czasem ze Stephenem, i wyrażał niepokój. Wydawało się, że istnieje niebezpieczeństwo odbicia Madrytu przez Francuzów – choć miasto to nie miało wielkiego znaczenia militarnego – a ponadto Wellington może się znaleźć między Clauselem na północy a Soultem na południu.

Zbiory okazały się najlepsze od lat, a gdy nadeszła pora wyborów, w okręgach rolniczych Anglii, które w dalszym ciągu stanowiły większość kraju, panowały spokój i zadowolenie.

Dobrobyt ani niepokoje społeczne nie wywarły wielkiego wpływu na wybory, ponieważ epoka, o której marzyli redaktorzy „West Briton", miała dopiero nadejść. Lord Liverpool mógł liczyć na znacznie pewniejszą większość w Izbie Gmin. W kilku okręgach wyborczych Kornwalii doszło do zaciekłej rywalizacji, zwłaszcza w Penryn i Grampound, gdzie wybory trwały trzy dni. W Truro, zgodnie z przewidywaniami wyrażonymi w piątek dziewiątego, cała procedura zajęła pół godziny. Zgromadzeni radni miejscy wybrali kandydatów lorda Falmouth – *nemine contradicente*, jak to określił Henry Prynne Andrew. Byli to pułkownik Charles Lemon i kapitan Ross Poldark.

George'a Canninga przekonano, by zrezygnował z kandydowania w miejscowości, gdzie miał zagwarantowany mandat, i wystartował w Liverpoolu, jednym z okręgów wyborczych o dużej liczbie uprawnionych do głosowania. Prawa wyborcze przysługiwały trzem tysiącom mieszkańców miasta, ale głosowanie było jawne.

Canning napisał później do Rossa, że wybory trwały osiem dni i że był skrajnie wyczerpany, ponieważ każdy z rywalizujących kandydatów musiał się pojawiać w punkcie wyborczym, ściskać dłoń każdego głosującego i zamieniać z nim kilka słów. Dwóch ludzi straciło życie w bójkach między konkurencyjnymi frakcjami, kilkuset odniosło rany, lecz jak na Liverpool wybory przebiegły dość spokojnie.

Kiedy w końcu zdobył mandat, tłum nosił go ulicami przez trzy godziny. Pisał do Rossa:

Wkrótce pojadę do Manchesteru, gdzie wygłoszę ważne przemówienie, choć nie będę orędował za przyznaniem praw wyborczych mieszkańcom tego ogromnego miasta, nawet jeśli tego oczekują. Jak wiesz, uważam, że lepiej zachować kilka niesprawiedliwości, niż próbować reformować cały system, co mogłoby nieodwracalnie zaszkodzić równowadze sił w kraju.

Chociaż żaden z nich nie potrafił przewidywać przyszłości, wybór Canninga na posła z Liverpoolu miał zagrozić jego przyjaźni z Rossem, ponieważ zaczął on reprezentować interesy przemysłu metalowego. Jednak nastąpiło to znacznie później. Canning zakończył list następująco:

Czuję się zaszczycony, że reprezentuję takie wspaniałe miasto jak Liverpool. Bliski kontakt z wyborcami

– a są oni naprawdę pełni energii! – dostarczył mi ogromnej podniety. Na początku miałem wiele wątpliwości, czy postępuję mądrze, ale teraz odczuwam zmęczenie i triumf. Mogłem sobie oszczędzić niezwykle wyczerpującej kampanii, ponieważ okazało się, że wybrano mnie również w Petersfield i Sligo.Cóż za wspaniała nowina, że mój stary przyjaciel nas nie porzucił i wraca na pole bitwy! To, co mówiłeś i pisałeś, sugerowało, że nieodwołalnie zrezygnujesz. Czeka nas męcząca sesja i wierzę, że nie pożałujesz zmiany decyzji. Będziemy walczyć ramię w ramię o to, by energicznie kontynuowano wojnę!

II

W Namparze zapamiętano dziewiąty października nie tylko dlatego, że pan domu został ponownie wybrany na posła do Izby Gmin.

O ósmej Ben Carter i Jeremy odbyli zwykłą półgodzinną rozmowę o kopalni. Dopłata w wysokości dziesięciu funtów do akcji powinna wystarczyć do końca roku. Na razie Wheal Leisure nie przynosiła zysków ani nie pokryła kosztów instalacji maszyny parowej, a sprzedaż wydobywanej rudy jedynie przedłużała funkcjonowanie kopalni.

Nie było żadnego uzasadnienia, by budować maszynę do wyciągania rudy, więc stary kocioł Trevithicka nadal bezczynnie leżał na kozłach w kuźni Harveya wraz z innymi częściami zgromadzonymi w czasach, gdy panował większy optymizm. Przed miesiącem, w trakcie ostatniego zebrania udziałowców, Jeremy zdołał uzyskać zezwolenie na próbę poprawy zaopatrzenia kopalni w wodę. W razie suchego lata – a takie okazało się w tym roku – zbiornik na deszczówkę nie był dobrym rozwiązaniem. Woda, którą udało się zgromadzić, szybko parowała w słońcu; od chwili wznowienia wydobycia transportowano ją mułami w beczkach ze strumienia Mellingey. Było to kosztowne i czasochłonne.

Badając okolicę, Jeremy doszedł do wniosku, że w pewnym miejscu strumień Mellingey, stale wykorzystywany do różnych celów gospodarczych, płynie sześć lub nawet dziewięć metrów wyżej od zbiornika na deszczówkę zbudowanego obok kopalni. Punkt ten znajdował się w pobliżu Wheal Maiden; nieco dalej strumień skręcał w dół w stronę Nampary. Odległość od Wheal Leisure wynosiła jakieś półtora kilometra w linii prostej, lecz kanał musiałby mieć blisko trzy. Trudno było zmierzyć dokładną wysokość spadku, ale wystarczyłyby nawet trzy metry – Jeremy nie wątpił, że jest ich więcej. Budowa kanału wydawała się technicznie możliwa: szerokim półkolem dostarczałby wodę ze strumienia do kopalni, choć w niektórych miejscach należałoby poprowadzić coś w rodzaju akweduktu. Tego ranka młody Poldark zamierzał się spotkać z Zackym Martinem, by omówić szczegóły techniczne i oszacować koszty.

O ósmej trzydzieści, pożegnawszy się z Jeremym, Ben jak zwykle obszedł podziemną część kopalni. Rozmawiał z górnikami i przekonał się, że nie dzieje się nic niepokojącego. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy intensywnej eksploatacji wydrążono wiele chodników, więc obecnie można było się w nich zgubić, jeśli ktoś nie znał i nie przestrzegał kilku podstawowych zasad.

Obszedłszy całą kopalnię, Ben wspiął się z powrotem do wschodnich wyrobisk na poziomie trzydziestu sążni, gdzie prowadzono najbardziej opłacalne roboty. Pracowało tam dwunastu górników, którzy zerknęli na przechodzącego Bena, zastanawiając się, dlaczego wrócił. Sam nie bardzo wiedział. Nie podejrzewał, że coś przeoczył ani że znajdzie coś nowego. Górnicy pracujący w Wheal Leisure przed dwudziestu laty wydobyli najlepszą rudę miedzi i pozostawili gorszą; czasem opłacało się ją wybrać. Warto było również obejrzeć pozornie bezwartościowe stosy kamieni albo wspiąć się na dawno porzucony gruz pozostały po drążeniu pochyłego chodnika, by sprawdzić, co można tam znaleźć. Ale większość tego typu robót już wykonano.

Trzydzieści metrów od miejsca, gdzie pracowała teraz większość górników, Ben zauważył niewielki zawał. Doszło do niego niedawno. Jak zawsze, dbając o bezpieczeństwo kopalni, Ben stanął na odwróconej skrzynce, by sprawdzić, czy stemple podtrzymujące strop – stare stemple – są solidne. Wydawały się bukowe albo olchowe, co oznaczało, że, podobnie jak większość drewna, pochodzą z innych stron kraju, prawdopodobnie z Dorset albo Devonu. Tego rodzaju stemple stały na gruzie złożonym z płonnej skały i pokrywającym głębokie stopnie wycięte w żyle. Kiedy górnicy posuwali się

wyżej, wykorzystywali odpady skalne jako platformę pozwalającą podążać do góry. Ponieważ nad stemplami znajdował się gruz, oznaczało to, że naciska na nie duży ciężar. Mimo to wydawały się solidne.

Cofnął się dziesięć metrów i wspiął na szczyt pochylni. Było to jedno z pierwszych badanych miejsc, z których zrezygnowano, ponieważ przed dwudziestu laty dokładnie wyeksploatowano całą żyłę i nie było tam nic godnego uwagi.

Mimo to zbadał strop chodnika na szczycie. Pociągnął kawał dość solidnie wyglądającej skały, po czym na kask posypały mu się z grzechotem kamyki. Zapalił drugą świecę od świecy na kasku i umieścił ją na półce w ścianie. Wyjął kilofek, który zawsze nosił przy pasie, i zaczął się zastanawiać. Zgodnie z zasadami bezpieczeństwa powinien mu towarzyszyć drugi górnik, ale postanowił zaryzykować i kilkakrotnie mocno uderzył kilofkiem w strop chodnika. Natychmiast zasypała go kaskada kamieni, które o mało go nie przewróciły. Potem zauważył w górze coś, co przypominało tunel lub szybik.

Na początku myślał, że dotarł do poziomu dwudziestu sążni, lecz później zdał sobie sprawę, że to wykluczone. Ostrożnie, choć w wielkim podnieceniu, zszedł po gruzie do sztolni na poziomie trzydziestu sążni, znalazł krótką drabinę, zaniósł ją na górę i wspiął się przez otwór w stropie. Znalazł się w dużej komorze o wysokości trzech i długości niespełna dziesięciu metrów. Znajdowała się mniej więcej na poziomie chodnika, którym do niej dotarł, i wydawała się biec na północ.

Powietrze było bardzo stęchłe, ale nadawało się do oddychania. Świeca kołysała się i skwierczała, rzucając słabe światło na kolejne ciemne zakamarki. Zauważył szare ściany bez śladów rudy, złamaną łopatę, stosy płonnej skały, krople wody kapiące z zielonkawych punktów na stropie. Od czasu do czasu uderzał kilofkiem w skałę: trochę więcej łupku niż zwykle, kilka błysków pirytu i chalkopirytu. Odkaszlnął, by oczyścić płuca z pyłu, i ruszył w stronę chodnika widocznego na końcu komory. Z zainteresowaniem spostrzegł, że jest on długi i lekko opada. Wydawało się, że to część jakichś starych wyrobisk, których nie eksploatowano w ostatnich latach. Czy istniała tu starsza kopalnia? Nie pamiętał, czy w tysiąc siedemset osiemdziesiątym siódmym roku kapitan Poldark założył nową kopalnię, czy uruchomił wcześniej istniejącą.

Zasady bezpieczeństwa znów nakazywały przyprowadzenie z dołu jednego z górników – był to normalny środek ostrożności na wypadek nagłego zawału lub pojawienia się zepsutego powietrza. Ponieważ wymagał od górników, by przestrzegali tej reguły, nie mógł sam jej złamać. Odwrócił się w stronę drabiny, by zejść po Stevensa lub Kempthorne'a, i ujął trzonek złamanej łopaty leżącej na ziemi, chcąc sprawdzić, czy dostarczy jakichś wskazówek na temat pochodzenia wyrobisk i ich wieku. Kiedy go dotknął, drewno rozpadło się w proch.

III

Florence Trelask, córka pani Trelask, chuda stara panna o bezkrwistej twarzy, obecnie trzydziestodziewięcioletnia, przybyła rano do Nampary z suknią ślubną do przymiarki. Wcześniej Clowance wybrała materiał i wzór: długą suknię z doskonałej błękitnej satyny z wyhaftowanymi białymi gałązkami i białymi koronkami z Gandawy pod szyją i na mankietach. Pod suknią miała się znajdować półhalka. Clowance, Demelza i panna Trelask spędziły całą godzinę na piętrze dworu. Suknia prawie pasowała, była prawie dobra, ale panna Trelask, perfekcjonistka podobnie jak matka, spakowała suknię starannie, owinęła niezliczonymi warstwami bibułki i zawiozła do Truro w wielkim białym pudle przywiązanym do siodła kuca. Obiecała dostarczyć gotową pod koniec przyszłego tygodnia.

Po jej wyjściu Demelza pojechała do Killewarren na obiad z Caroline. Towarzyszyła jej Jane Gimlett, która – wbrew woli pani – postanowiła dbać o jej bezpieczeństwo i o to, by się nie męczyła. Demelza uważała to za kompletny nonsens. Owszem, niekiedy coś jej dolegało: zupełnie inaczej niż w czasie poprzednich ciąż, gdy po pierwszych trzech miesiącach czuła się wyjątkowo dobrze. Jednak objawy – spuchnięte dłonie, zawroty głowy, lekka gorączka – nie wydawały się poważne i nie musiały być związane ze stanem Demelzy. Obecność lub nieobecność Jane Gimlett nie mogła w niczym pomóc.

Clowance została w domu. Zamierzała szyć, co było bardzo odpowiednim zajęciem dla młodej

damy mającej wyjść za mąż za dwa tygodnie. Chociaż szyła znacznie lepiej niż matka, niespecjalnie za tym przepadała. Wolałaby jeździć konno, spacerować lub zbierać dzikie kwiaty.

Dzień miał w sobie coś melancholijnego, jesiennego. W okolicy rosło bardzo niewiele drzew, które żółkły lub zrzucały liście na zimę, ale morze również potrafi mieć jesienny wygląd. Na niebie płynęły niskie chmury, zza których czasem wyglądało słońce, a na wilgotnym piasku siedziały stada ptaków morskich – mew, riss i rybitw – kierując dzioby pod wiatr.

Kiedy Ben Carter z wahaniem otworzył drzwi salonu i spostrzegł, że jest w nim tylko jedna osoba, w jego oczach rozbłysła radość. Wszedł powoli do środka.

– Och, bardzo przepraszam, Clowance. Szukam… Czy w domu jest ktoś jeszcze?

– Moim zdaniem mógłbyś wyrazić swoją myśl bardziej elegancko, Ben.

Rzadko się z nim drażniła, bo nie umiał się bronić, ale tym razem nie potrafiła się powstrzymać.

Zaczerwienił się, a później uśmiechnął.

– Przecież wiesz, co mam na myśli…

– Nie, nie wiem – odrzekła. – Oprócz tego, że to nie mnie szukasz.

– Zawsze chętnie cię spotykam – powiedział, marszcząc brwi. – Zawsze. Po prostu…

– Po prostu szukasz kogoś innego.

– Chciałem zamienić kilka słów z kapitanem Poldarkiem, jeśli jest w domu. Ale podobno…

– Papa pojechał do Truro. I nie wróci dziś wieczorem, bo uczestniczy w obiedzie z okazji wyborów. Wróci jutro, będzie narzekać na jakość potraw i poprosi o jedną ze specjalnych zapiekanek matki.

Ben nerwowo miął górniczą bluzę, gdyż zdawał sobie sprawę, że jest nieodpowiednia na wizytę towarzyską.

– Jeremy nie wrócił, prawda?

– Nie. Myślałam, że jest z tobą.

– A pani Poldark?

– Pojechała na obiad. Zostałam tylko ja i Isabella-Rose. Którą z nas wolisz?

Zapadło milczenie. Ben zerknął na robótkę, a Clowance ją odłożyła.

– Więc trzeba z tym poczekać do jutra.

– Z czym?

– Z tym, co chcę powiedzieć.

– Skoro tak uważasz. Nie wiem, co chcesz powiedzieć.

– To po prostu… Clowance, znalazłem coś w Leisure i pomyślałem, że powinienem przyjść i poinformować kapitana Poldarka.

Wyprostowała się w fotelu.

– Co znalazłeś? Miedź?!

– Jeszcze dokładnie nie wiem. Pomyślałem, że powiem Jeremy'emu albo twojemu ojcu, żebyśmy mogli to razem obejrzeć. Nie widziałem specjalnych śladów rudy, ale przebiłem się do starych wyrobisk porzuconych sto lat temu albo więcej. Czy w tysiąc siedemset osiemdziesiątym siódmym roku twój ojciec założył Wheal Leisure jako zupełnie nową kopalnię?

– Było tam coś wcześniej. Ludzie od czasu do czasu opowiadali o starej kopalni Trevorgie, prawda? Jeremy mówił, że próbowali się do niej przebić z Wheal Grace.

– Wygląda na to, że ją znalazłem. Albo inną starą kopalnię. To niewielka komora. Wszedłem do niej i zobaczyłem złamaną łopatę leżącą na ziemi. Kiedy ją podniosłem, trzonek rozsypał się w proch.

Clowance popatrzyła na Bena. Spoglądali na siebie.

– To płytki poziom? – spytała.

– Chyba ze dwadzieścia pięć sążni.

Wstała.

– W porządku. Pójdę z tobą.

– Co takiego?! Nie!

– Co to znaczy nie? Jestem jedynym członkiem rodziny Poldarków obecnym w domu i mam

obowiązek…

– Nie jestem… nie jestem zupełnie pewien, czy to bezpieczne miejsce. Tak czy inaczej, nie mogę pozwolić…

– Na co nie możesz pozwolić? Zaczekaj, wrócę za dwie minuty.

– Clowance!

Ale szybko wybiegła za drzwi i poczuł na twarzy lekką woń perfum. Ogryzał brudny paznokieć i czekał.

Za niespełna cztery minuty zeszła na dół w granatowej bluzie, barchanowych spodniach, ciężkich butach, z włosami związanymi na karku żółtą wstążką.

Zaprowadziła protestującego Bena do kopalni. Szli po plaży. Protestował coraz słabiej, bo zauważył, że nie robi to na niej wrażenia, a przyjemność przebywania w jej towarzystwie zagłuszała jego wątpliwości. Kiedy stali w maszynowni i przygotowywali się do zejścia pod ziemię, pomyślał, że nigdy nie widział tak niewiarygodnie pięknej dziewczyny – miała na sobie nieco za dużą, szarą górniczą bluzę, a jej skóra wydawała się jeszcze świeższa dzięki kontrastowi. Spod brudnego górniczego kasku opadały na plecy jasne włosy.

Zeszli na poziom trzydziestu sążni, zeskoczyli z drabiny, z pluskiem ruszyli przez strumień wody wylewający się z tunelu i prawie po omacku podążyli w stronę wschodniej żyły. Ben kilka razy wyciągał rękę w stronę Clowance, by pomóc jej przejść przez stosy płonnej skały, wokół stempli, przez wąskie chodniki, w których pozostawiono granitowe filary w celu wzmocnienia stropów, lecz za każdym razem uśmiechała się i kręciła głową. Dotarli do hałd gruzu biegnących w górę w stronę wyeksploatowanej żyły. W tym miejscu, ponieważ grunt był niepewny, wzięła Bena za rękę, on zaś pomógł jej wejść. Wspiął się pierwszy po drabinie, a ona szybko podążyła za nim.

Stali w komorze i rozglądali się, trzymając nieruchomo głowy, by świece nie migotały. Ben zapalił dwie następne, które przyniósł ze sobą, po czym umieścił je w szczelinie w ścianie. Clowance pochyliła się i obejrzała szczątki łopaty.

– Ten chodnik biegnie dalej?

– O tak. W tamtym kierunku. Chciałem tam iść, ale pomyślałem, że najpierw powinienem zawiadomić kapitana Poldarka.

– Chodźmy. Prowadź.

– Nie, Clowance. Moim zdaniem nie powinniśmy tam iść. Jutro…

– Jutro będą tu tłumy ludzi. Prowadź.

– Ale…

– Jeśli nie chcesz, pójdę sama.

Ben westchnął i ruszył chodnikiem. Czasem musieli się zginać prawie wpół, bo poszarpany strop chodnika się obniżał. Napotkali wiele odnóg i bocznych chodników, lecz łatwo było je odróżnić od głównego tunelu, który przez cały czas lekko opadał. W końcu dotarli do kolejnej dużej komory.

– Popatrz! – zawołał Ben. – Chyba kruszyli skały ogniem! Jeszcze nie używali prochu!

– Ogniem? Co masz na myśli?

W bocznej części komory, u stóp przodka, znajdował się stos mączki skalnej przypominającej piasek.

– W dawnych czasach górnicy rozpalali na przodku ognisko z chrustu i gałęzi, a kiedy skały dobrze się nagrzały, zalewali je wodą. Gwałtownie się kurczyły i powstawały w nich szczeliny, po czym skały można było kuć kilofami i dłutami. Była to ciężka praca, ludzie prawie dusili się od dymu, ale nie znali innego sposobu kruszenia skał. Widać popiół i szczeliny.

– Nie znali prochu? – spytała Clowance. – Kiedy wynaleziono proch?

– Bóg jeden wie. Chyba setki lat temu.

– Jest tu miedź, Ben? Albo rudy innych metali? Widzisz jakieś ślady?

– Och, wszystko wybrali. Bardziej mi to wygląda na cynę. Popatrz na te dziury! To się nazywa duża pracownia.

– Nie rozumiem.

– Otwór o średnicy siedemdziesięciu pięciu centymetrów, w którym pracuje jeden górnik. Kuje oskardem żyłę, pozostawiając po bokach płonną skałę. To tak zwana duża pracownia, co oznacza, że żyła musiała mieć szerokość co najmniej siedemdziesięciu pięciu centymetrów. Tu, tu i tu, widzisz?

– Jest tu jeszcze jakaś ruda?

– Nie widzę. Trzeba by rozbić cały przodek, żeby się przekonać. Na pewno będziemy musieli dokładnie sprawdzić to miejsce.

– Chodźmy trochę dalej.

– Powietrze nie jest czyste. Im dalej idziemy…

– Nie jest złe. Nie gorsze niż na poziomie pięćdziesięciu sążni, który właśnie zakładacie.

Ben się zawahał i w końcu usłuchał. W gruncie rzeczy był równie podekscytowany jak Clowance. Następny tunel okazał się bardziej kręty, z odnogami odchodzącymi w różnych kierunkach. Znaleźli się w labiryncie. Od czasu do czasu Ben uderzał oskardem w skałę, by ślad po świeżo odłupanych kamieniach wskazywał drogę powrotną. Było gorąco i wilgotno, ale miejsce wydawało się zasobne w rudę, na ścianach znajdowały się zielonkawe nacieki – Ben powiedział, że to prawdopodobnie siarczan żelaza. Znów się zatrzymali i pochylili.

– Jest tu dużo dobrej rudy. Chyba znajdziemy miejsce, gdzie skończyli eksploatować żyły. – Spojrzał na niski, nierówny strop, z którego czasem kapały krople czerwonawej wody. – Poszliśmy za daleko, Clowance. Stemple są zbutwiałe.

– Jeśli przez wieki nic się nie zawaliło, jest mało prawdopodobne, że teraz się zawali. Przejdźmy za róg.

Za rogiem znajdowała się pochylnia, chodnik opadał ostro w dół, a jego powierzchnia wydawała się śliska i wilgotna.

– Już dosyć, Clowance. Bez liny nie szedłbym dalej, naprawdę.

Zatrzymała się i spojrzała w dół. Była w swoim żywiole.

– Na pewno? Nie chcesz powiedzieć…

– Nie, na pewno. Tam jest woda.

Płomień świecy Clowance zamigotał, gdy pochyliła się i podniosła kamień ze stosu gruzu. Rzuciła go w dół pochylni. Zagrzechotał kilka razy, po czym rozległ się plusk.

– Chodnikami, którymi przyszliśmy, czasem płynie woda – powiedział Ben.

– Tak… – Clowance w dalszym ciągu patrzyła w stronę niewidzialnej studni, a później spojrzała na poruszony przez siebie gruz. Uklękła i dotknęła go palcami.

– Co się stało? – spytał Ben.

Wstała.

– Popatrz, to nie kamień, Ben!

Na jej dłoni leżał niewielki krążek. Miał wielkość półpensówki. Wziął go i przyjrzał mu się dokładnie.

– To chyba moneta.

– Tak, moneta – potwierdziła Clowance.

Pochylili głowy i oglądali ją w świetle dwóch świec.

– Pół pensa? Pens? Ani to, ani to. Widać głowę. Ale czyją? Nie wiem.

– Co to za metal?

– Miedź albo brąz. – Podrapał monetę paznokciem. – Raczej brąz.

– Czym właściwie jest brąz, Ben? Nie znam się na tym.

– To chyba stop miedzi i cyny.

– Były kiedyś w Anglii monety z brązu? Wątpię, nigdy takich nie widziałam. Popatrz, wokół głowy są litery. – Potarła monetę. – A-N-T-O-N. Widzisz?

– Tak.

– Może to zagraniczna moneta. Francuska albo hiszpańska.

– Może.

– Był kiedyś w Anglii król o imieniu Anton?

– Liter jest więcej. O tu, w rogu, widzisz. Ale nie ma się czym ekscytować, Clowance. Kiedyś kopalnie cyny często wybijały żetony. Prawdopodobnie to jeden z nich.

– Co jest po drugiej stronie? Nic nie widzę.

– Dla mnie wygląda to jak waza. Albo dzban. I są litery. P.O.T., prawda? Jakiś skrót. Czy to kije?

– Albo kłosy zboża? Ben, widziałeś żetony wybijane przez kopalnie cyny?

– Kilka. – Młody człowiek mówił ostrożnym tonem.

– Podobne?

– Nie przypominam sobie.

– Albo z brązu? – Znów obróciła monetę, potarła ją rogiem bluzy. – Obok głowy są jeszcze inne litery – tak mi się zdaje – INNS. Czy to skrót religijny, który umieszcza się na krzyżu? Wczesnochrześcijański.

– Nic o tym nie wiem.

– Nie, pomyliłam się. Ten chrześcijański skrót to INRI. Do licha, myślałam, że to dowodzi…

– Wydaje mi się, że to raczej IUNS.

– Albo IUUS. A może INUS. – Chwyciła go za ramię. – INUS. To musi być INUS!

– Nie wiem, co to może znaczyć.

Clowance w dalszym ciągu trzymała Bena za ramię.

– Popatrz, Ben! Popatrz uważnie. Nie poruszaj się! Opuść głowę trochę niżej! A teraz patrz! Przeczytaj literę po literze. Widzisz je wokół monety?

– A-N-T-O-N. Już to odczytaliśmy.

– A dalej, po drugiej stronie? Czy to nie I-N-U-S? Co to wszystko znaczy? Przeczytaj te litery razem, Ben, razem!

– Anton-inus – odczytał z trudem Carter.

– Antoninus! – zawołała Clowance. – W dawnych czasach istniał król Anglii o imieniu Antoninus – choć wtedy nazywano go cesarzem. Cesarz rzymski, Ben, rzymski!

Młody człowiek popatrzył na monetę, znacznie bardziej wytrącony z równowagi miłym zachowaniem Clowance niż znaczeniem odkrycia.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że ta moneta pochodzi z czasów rzymskich, kiedy Brytania była rzymską prowincją. Mniej więcej w czasach Chrystusa. Tysiąc osiemset lat temu! Nie wiem, kiedy żył Antoninus, ale słyszałam o nim. To znaczy, że stare chodniki Trevorgie mogły być wykorzystywane… Papa będzie zafascynowany! I Jeremy. Och, Ben, co za cudowne odkrycie!

Trzymali się za ręce w wilgotnej ciemności. Clowance była rozpromieniona, zachwycona. Zawrócili, wciąż trzymając się za ręce, i powoli ruszyli w drogę powrotną. Zatrzymywali się co kilka metrów, zauważając coś nowego – pęknięty kosz wypełniony pokruszoną rudą, kamienny klin, kawałek rogu pochodzący prawdopodobnie z kilofa. Rzeczy te wydawały im się w tej chwili niezwykle starożytne. Mieli wrażenie, że do chodników weszli z przepaskami na oczach, a odkrycie monety sprawiło, że przejrzeli.

Wrócili do drugiej komory, największej z odkrytych dotychczas, i Ben zaczął grzebać w gruzie. Wkrótce wykopał część koła, lecz nie było to koło od wozu. Leżało w pobliżu wąskiego dołu biegnącego wzdłuż ściany komory i miało żelazne okucia.

– Co to takiego? – spytała Clowance, podnosząc coś białego. Nagle rzuciła przedmiot na ziemię.

Ben przykucnął obok niej. Chwycił biały przedmiot i ostrożnie wyciągnął go z gruzu. Później on również go rzucił.

– Cóż… może to zwierzę.

– Nie sądzę!

– Doktor Enys na pewno będzie wiedział.

– Wygląda jak kość przedramienia! – powiedziała Clowance.

– Może… Jest bardzo cienka.

– Kości przedramienia są cienkie. Są dwie, leżą obok siebie. Dotknij swojej ręki.

Spoglądali na długą, smukłą kość. Gdyby kopali dalej, niewątpliwie odnaleźliby inne kości, które wszystko by wyjaśniły. Po kilku sekundach Ben wstał.

– Lepiej chodźmy, moja droga.

Clowance w dalszym ciągu klęczała.

– Ciekawe, jak długo… Kto to był… dlaczego go tu zostawiono…

– Nigdy się tego nie dowiemy.

W milczeniu opuścili komorę, przecisnęli się z pochylonymi głowami przez chodnik i zeszli po drabinie na poziom trzydziestu sążni. Pokonali kolejne korytarze, aż dotarli do drabiny w głównym szybie prowadzącej na powierzchnię.

– To wielka tajemnica – powiedział Ben, gdy przystanęli, by odetchnąć świeższym powietrzem. – Jak to się stało, że przez tyle lat nikt nigdy nie znalazł tych wyrobisk? Jest w nich powietrze – złe, ale nadaje się do oddychania. Musi być gdzieś połączenie z powierzchnią, a najpewniej dwa, prawdopodobnie częściowo zawalone. Zastanawiam się…

– Nad czym?

– Mówią, że wydmy wędrowały przez setki lat i piasek zasypywał domy, wioski. Może ta stara kopalnia też została zasypana?

Clowance myślała o kości, którą znaleźli.

– Ciekawe, czy Rzymianie wykorzystywali w tej kopalni niewolników…

Znów ruszyli po drabinie.

Koło maszynowni znajdował się drewniany budynek cechowni, gdzie górnicy przebierali się przed zejściem do pracy. Weszli do środka, mrużąc oczy w słońcu, i Clowance zdjęła kask i bluzę. Ben wziął od niej rzeczy, powiesił je na ścianie i zdjął swój kask.

– Kapitan Poldark nie wróci dziś wieczorem?

– Nie, ale będzie mama i Jeremy. Ben, myślę, że powinieneś przyjść, zanim im powiem. To tak naprawdę twoje odkrycie. Może wpadłbyś około szóstej? Zaczekałabym na ciebie. Powiemy im razem.

Zaczerwienił się.

– To byłoby miłe. Dziękuję. Więc około szóstej. Clowance… dziękuję, że ze mną zeszłaś.

Uśmiechnęła się. Wyglądała olśniewająco.

– To było naprawdę cudowne. Dobre nowiny dla nas wszystkich.

Wyszli z cechowni. Stał przed nią Stephen Carrington.

IV

– Gdzie byłaś? – spytał ostro.

Spoglądali na siebie. Na jego twarzy malowała się złość.

– W kopalni z Benem – odpowiedziała. – Stephen, przed chwilą znaleźliśmy…

– Umówiliśmy się, że się spotkamy, prawda, Clowance?! Powiedziałem, że biorę wolne i że przyjdę około jedenastej!

– Och, Stephen, bardzo mi przykro. Byłam taka podekscytowana, że zupełnie zapomniałam. Tak, umówiliśmy się, ale wyleciało mi to z głowy. Potem przyszedł Ben…

– Och, Ben?!

– Zachowałam się bezmyślnie. Ale kiedy…

– Zapomniałaś o mnie, gdy przyszła ta glista, tak? Wypełzła z kopalni, żeby się z tobą spotkać…

– Stephen, nie zachowuj się jak głupiec! Co cię naszło?! Popatrz, co znaleźliśmy! Ben znalazł…

Było już jednak za późno. Frustracja i skrywana niechęć Bena eksplodowały.

– Jak mnie nazwałeś?!

– Tak, jak na to zasługujesz! – warknął Stephen, przedrzeźniając akcent Bena. – Glistą z Wheal Leisure, która wylazła z kopalni, żeby się wtrącać do cudzych spraw, choć nikt jej nie…

– Stephen! – zawołała gniewnie Clowance.

Ben zadał zamaszysty cios. Stephen zdołał go częściowo odparować, lecz mimo to pięść górnika trafiła go w szczękę. Cofnął się z zaciśniętymi pięściami i wściekłością na twarzy, po czym rzucił się

w stronę Bena, odpychając Clowance. Nastąpiła błyskawiczna wymiana ciosów, po kilku sekundach dwaj mężczyźni chwycili się za gardła, zatoczyli i uderzyli z hukiem w ścianę cechowni. Później runęli na ziemię i walczyli wśród kamieni niczym rywalizujące samce, które chcą sobie zadać jak najcięższe rany.

– Stephen! – wrzasnęła Clowance. – Ben! Przestańcie! Przestańcie! Przestańcie!

Podbiegła i usiłowała rozdzielić walczących, chwytając ich za bluzy, włosy i ramiona, otrzymując przy tym kilka ciosów. Jednak nienawiść Carringtona i Cartera była zbyt silna i nie zwracali na Clowance uwagi.

Z cechowni wyszło dwóch górników – Paul Daniel i jeden z młodych Martinów – których zaniepokoiło potężne uderzenie w ścianę.

– Powstrzymajcie ich! – Clowance odwróciła się i usiłowała wstać. – Paul! Harry! Powstrzymajcie ich! Oni… Oni…

Wkrótce w szamotaninie uczestniczyło pięć osób. Paul, choć przekroczył już pięćdziesiątkę, w dalszym ciągu odznaczał się wielką siłą fizyczną. Chwycił Bena za bluzę i zaczął go odciągać. Harry był za słaby na Stephena, lecz pomogła mu Clowance, której dodawała sił wściekłość.

W końcu Ben i Stephen zostali rozdzieleni, wstawali powoli, usiłując strząsnąć z siebie cudze ręce. Kiedy było już jasne, że nie zamierzają znowu się na siebie rzucić, puszczono ich. Wydawało się prawdopodobne, że Stephen, cięższy od Bena, w końcu by go pokonał, lecz jak dotąd walka była wyrównana. Stephen miał rozdarty rękaw bluzy, czerwony siniec pod okiem, który z czasem stanie się czarny, zakrwawione wargi i dłonie. Koszula Bena wisiała w strzępach, na jego szyi znajdowały się fioletowe ślady palców, miał rozciętą brew. Nikt nie wiedział, czy nie zadali sobie żadnych obrażeń wewnętrznych.

Przez chwilę panowało milczenie, które przerwał wreszcie Paul Daniel.

– Nie wiedziałem, co to za łomot – powiedział. – Cała szopa się zatrzęsła, prawda, Harry? Szczęście, że byliśmy w pobliżu!

Ben miał szarą spoconą twarz. Zakasłał i przełknął ślinę.

– Przepraszam – powiedział. – Przepraszam, że to się stało, panno Clowance. – Odwrócił się i odszedł.

– Ben! – rozkazała Clowance.

Zatrzymał się, ale nie popatrzył na nią.

– Stephen! – powiedziała, trzęsąc się ze złości, bliska płaczu. – Przeproście mnie w obecności Paula i Harry'ego! Jeszcze nigdy nie widziałam takiej ohydnej bójki! I przeproście się nawzajem!

Zapadła cisza. Wokół maszynowni krakało kilka zaniepokojonych kawek, lecz najwyraźniej nikt inny nie zauważył, że doszło do walki.

– Stephen! – powtórzyła Clowance.

Z trudem łapał powietrze, jakby w dalszym ciągu próbował zapomnieć o gniewie.

– Przepraszam – powiedział Ben. – Przepraszam, panno Clowance. Przepraszam, panie Carrington. – Odszedł.

– Posłuchaj, Clowance… – rzekł po chwili Stephen ostrym tonem.

– Nie o to proszę!

Paul Daniel przestąpił z nogi na nogę.

– Chodźmy, Harry. Jesteśmy już spóźnieni.

Oddalając się, usłyszeli, jak Stephen mówi:

– Przepraszam, Clowance.

Odetchnęła głęboko, zdenerwowana.

– Jak śmiesz?! Jak śmiesz robić taką scenę, obrażać w ten sposób Bena?!

Znów poczuł przypływ gniewu i próbował go przezwyciężyć.

– Bo nie podoba mi się, że sama z nim schodzisz do kopalni, rozumiesz?! I nie podoba mi się, że zapominasz o moim istnieniu, bo do ciebie podszedł. Obiecałem, że dziś przyjdę, ale co to cię obchodzi? Zaczął z tobą rozmawiać i o wszystkim zapomniałaś…

– Zapomniałam! Tak, zapomniałam! To się może zdarzyć. Miałam ważny powód, żeby…

– Jaki powód?

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie? – odparła gorzko Clowance.

– Zapomniałaś, że się umówiliśmy, tak? Zapomniałaś, że w ogóle żyję! Byłaś w kopalni prawie godzinę, bo tak długo czekałem! Godzinę! A potem wyszłaś zaczerwieniona i tajemnicza, jakby…

– Jakby co?

– Skąd mam wiedzieć? Skąd mam wiedzieć? Potraktowałaś mnie jak lokaja!

– Sam się zachowałeś jak lokaj!

– Uważaj, co mówisz, dziewczyno!

– Zachowałeś się haniebnie! A potem walczyłeś jak wściekły pies…

– Nie jeden pies, tylko dwa! Uderzył mnie pierwszy! Udało ci się to zauważyć?!

– Stephen, Ben to mój przyjaciel! Znam go od dzieciństwa i…

– A ja nie jestem twoim przyjacielem?!

– Nie bądź takim kompletnym idiotą!

– Do diabła, uważasz, że wszyscy twoi przyjaciele mają prawo walić mnie po mordzie, gdy mają ochotę?! – krzyknął. – Jeśli tak, grubo się mylisz!

– Mogę się mylić co do wielu rzeczy – odpowiedziała Clowance, z trudem łapiąc oddech.

– Powiedz swoim przyjaciołom – ciągnął Stephen, o głowę wyższy od Clowance – powiedz swoim zasranym przyjaciołom, by w przyszłości trzymali ręce przy sobie, nawet jeśli mi zazdroszczą! Na Boga, dobrze, że Daniel i ten drugi nas rozdzielili…

– Rzeczywiście, bo zapomniałeś o moim istnieniu!

– Gdyby dalej mnie kopał i dusił, zabiłbym go!

Clowance popatrzyła na Stephena przez łzy.

– Zabiłbyś go, tak? – odpowiedziała. – Jak tamtego marynarza w Plymouth? Wystarczyłoby, żebyś wyciągnął nóż!

Odwróciła się i odeszła, nim zdążył odpowiedzieć.

Rozdział ósmy

I

Piątek, dziewiąty października.

Po trzydziestu latach poszukiwań wreszcie odnaleziono starą kopalnię Trevorgie. Duża jej część okazała się na tyle sucha, by ją zbadać bez konieczności wypompowywania wody, co dodatkowo obciążyłoby maszynę parową. Odkryto nowy obszar, w którym wcześniej eksploatowano liczne żyły rudy.

W tym samym dniu Ross został ponownie wybrany do rady miejskiej w Truro.

W tym samym dniu Clowance Poldark zerwała zaręczyny ze Stephenem Carringtonem.

W tym samym dniu Ben Carter zrezygnował ze stanowiska kierownika robót podziemnych kopalni Wheal Leisure.

O bójce wiedziało na początku tylko pięć osób, lecz wkrótce wieści się rozeszły. Paul Daniel potrafił trzymać język za zębami, ale Harry Martin był tak podniecony, że w końcu wszystko wypaplał. W każdym razie sprawa musiała wyjść na jaw.

Ben nie przyszedł do Nampary o szóstej, choć go zaproszono, więc wiadomość o odkryciu starych chodników przekazała rodzinie Clowance. Jeremy wpadł w dzikie podniecenie i chciał natychmiast iść do kopalni, by zobaczyć wszystko na własne oczy. Gdzie jest Ben? Jakie złoża znalazł? Czy górnicy badają już stare wyrobiska? Clowance, której okrągła twarz dziwnie wyszczuplała, musiała wyjaśnić, co się stało po wyjściu spod ziemi, ale opisała kłótnię w sposób jak najmniej dramatyczny. Ben odszedł, choć nie wiedziała dokąd, ona zaś wróciła do domu i nie rozmawiała więcej ze Stephenem. Demelza zauważyła łzy w oczach córki i rzekła uspokajająco:

– Spokojnie, spokojnie, kochanie, to nie pierwszy raz, gdy dwóch mężczyzn kłóci się o kobietę. Zbierało się na to od dłuższego czasu. Miejmy nadzieję, że za kilka dni wszystko się uspokoi…

– Nie powinnaś tak mówić! – odparła Clowance, zirytowana, że matka traktuje sprawę zbyt lekko. – Nic o tym nie wiesz, prawda?

– Tylko to, co powiedziałaś. Cóż… skupmy się na tym, co dobre. Mówisz, że znaleźliście monetę?

– Tak. – Clowance z nieszczęśliwą miną sięgnęła do kieszeni. – Gdzie ona jest… O, mam.

Przynieśli stare szkło powiększające i popatrzyli na metalowy krążek.

– Na Boga, Clowance ma rację! – zawołał podnieconym głosem Jeremy. – Antoninus, a potem AUG, co oznacza Augusta. Potem PIUS i coś jak P.P., cokolwiek to znaczy. Po drugiej stronie jakby TR. POT COS. III. SC. Nie mam zielonego pojęcia, co to za skróty. Ale to prawdziwa rzymska moneta! Pomyślałem… byłem pewien, że to żeton wybity przez jedną z kopalni cyny lub miedzi.

– Ben też tak sądził, prawda? – spytała Demelza.

– Tak.

– Boże, nie mogę się doczekać zejścia na dół! Gdzie jest Ben? Musi być gdzieś w okolicy! Mam nadzieję, że nie przejmie się za bardzo tą sprzeczką – właśnie w chwili tego wspaniałego odkrycia! Pójdę do kopalni, może go znajdę. Jeśli nie, pokażesz mi to miejsce, Clowance?

Nie wiadomo, czy Clowance zamierzała odpowiedzieć, lecz nim zdążyła zareagować, Demelza wtrąciła:

– Jest już bardzo późno. Długo nie mogliśmy znaleźć tych starych chodników, więc czy nie lepiej zaczekać na ojca? Jak go znam, wróci jutro przed południem. Potem wszyscy możemy zejść na dół.

– Ty też, mamo?

– O tak.

– Ale… w twoim stanie…

– Clowance mówi, że trzeba po prostu się wspiąć po drabinie.

– Tak, ale najpierw należy zejść na sam dół.

– Trochę ruchu jest dobre dla zdrowia.

– Moim zdaniem ojciec byłby przeciwny.

– Przekonam go – odparła Demelza.

– Zastanawiam się, kiedy żył Antoninus – powiedział Jeremy. – Pójdę do wuja Dwighta i zajrzę do encyklopedii. Nie usiedzę w domu, muszę się czymś zająć. Poszukam Bena, ale nie zejdziemy na dół. Masz rację, mamo: to sprawa całej rodziny. Powinniśmy iść razem. Może spuścimy cię na dół na linie.

– Usiądę okrakiem na cebrzyku, w którym zjeżdżają górnicy – odparła Demelza.

II

Dwa dni później Clowance spotkała się wieczorem z Benem, który kopał w miejscu, gdzie pracował przed otwarciem Wheal Leisure.

Spoglądali na siebie w zapadającym zmroku. Wiał wiatr. Widziała opuchniętą brew i rumieniec powoli pojawiający się na twarzy Cartera.

– Jeremy mówi, że zrezygnowałeś ze stanowiska kierownika robót podziemnych w Wheal Leisure – powiedziała bez żadnych wstępów.

– Tak…

– Z powodu bójki ze Stephenem?

– Tak. Chyba tak.

– Nie chyba. Na pewno.

– Cóż… to ja zacząłem. Uderzyłem go pierwszy. Nie powinienem się tak zachowywać. Nie wobec człowieka, który ma zostać twoim mężem.

– Obraził cię!

– Może.

– Nie ma żadnego może, Ben.

– Tak?

– Przyjaciele wiele dla mnie znaczą. Stephen, a także ty. Jesteś moim przyjacielem?

– Powinnaś wiedzieć.

– Jesteś moim przyjacielem?

– Tak.

– Więc chcę, żebyś wrócił do Wheal Leisure.

Przestąpił w półmroku z nogi na nogę, oparł się o łopatę. Wiał wiatr.

– Nie mogę tego zrobić, Clowance.

– Dlaczego?

– Nie byłoby to właściwe. Nie wypada. Stephen zostanie twoim mężem. Jest udziałowcem kopalni.

– Na razie nie zostanie moim mężem.

Ben uniósł wzrok.

– Dlaczego? Przeze mnie?

Dotknęła włosów wierzchem dłoni.

– Posłuchaj, Ben. Znalazłeś stare wyrobiska Trevorgie. Przyszedłeś do Nampary, byłam sama w domu. Kazałam ci iść ze sobą do kopalni. Czy zrobiłeś coś złego?

– Nie.

– Czy to coś złego, że mi powiedziałeś o odkryciu?

– Nie.

– Próbowałeś mnie odwieść od pomysłu zejścia na dół?

– Tak.

– Ale się uparłam, koniecznie chciałam iść. Zeszliśmy na dół. Kiedy wróciliśmy na powierzchnię, Stephen zaczął cię obrażać…

Urwała, zmagając się z myślami, których nie mogła wypowiedzieć. Nie mogła wyjaśnić, że Stephen straszliwie ją obraził, zachowując się wobec niej niegrzecznie w obecności Bena. Naturalnie nie kochała młodego górnika, lecz zdawała sobie sprawę, że darzy ją uczuciem. Bardzo jej zależało, by

Stephen choćby udawał przy Benie, że traktuje ją grzecznie, po prostu dlatego, że ma zostać jej mężem. Ben nie czuł sympatii do Stephena, ale powinien go przynajmniej szanować. Złośliwe obelgi, którymi Stephen obrzucił Bena, były szczególnie nieprzyjemne z tego powodu, że Ben, choć przyjaźnił się z Clowance od dzieciństwa, nie należał do tej samej sfery co Poldarkowie, miał niższy status społeczny. Clowance najbardziej rozwścieczyło właśnie to, że Stephen obraził człowieka o niższym statusie. Uważała to za haniebne. Gdyby pokłócił się i pobił z Jeremym, zniosłaby to o wiele łatwiej.

– Ta bójka… – zaczęła.

– Jeszcze raz przepraszam.

– Żeby dwóch mężczyzn mogło… mogło…

– Przepraszam, Clowance, przepraszam!

Skupiła myśli na tym, co wydawało jej się w tej chwili najważniejsze.

– Ben, chcę cię o coś spytać.

– Tak?

– Czy zrobiłeś coś złego w kopalni?

– Nie, nie w kopalni.

– Ale zrezygnowałeś z pracy?

– Tak. Nie mogę po prostu zapomnieć, z kim się biłem…

– Możesz. Kopalnia i bójka to dwie różne rzeczy. Jeśli… jeśli się pokłóciłeś z człowiekiem, którego zamierzam… zamierzałam poślubić, to sprawa między nim, tobą a mną. Może to moja wina, bo sprzeczacie się właśnie o mnie. Ale to nie ma nic wspólnego z kopalnią. Nie masz prawa rezygnować z pracy z tego powodu! Zwłaszcza po odkryciu, którego dokonałeś. Jeremy ma nadzieję, że pomożesz zbadać stare chodniki. Liczy na ciebie mój ojciec! Musisz wrócić!

Ben potarł dłonią krótką czarną brodę. Clowance stała przed nim, silna, kobieca i szczera, a jednak nie potrafiła lub nie chciała zrozumieć, że prosi o coś niemożliwego.

– Ben!

– Tak, Clowance. Rozumiem, co masz na myśli, ale to nie takie proste…

– Nie mówiłam, że proste. Proszę, żebyś wrócił.

Z trudem szukał właściwych słów.

– To niemożliwe. Po tym, co się stało.

– Dlaczego niemożliwe?

– Ludzie i tak plotkują. Mężczyźni i kobiety. Za moimi plecami. Kierownik robót podziemnych pobił się z udziałowcem!

– Boisz się ich? Nie wierzę, że jesteś taki strachliwy!

– Cóż… nie chodzi tylko o górników, ale przede wszystkim o mnie i o niego. O mnie i o niego. Nie moglibyśmy się minąć, przejść obok siebie, nie patrząc z nienawiścią… A on jest członkiem twojej rodziny!

– Na razie nie!

Półmrok i żądania Clowance dały Benowi odwagę, której wcześniej mu brakowało, odwagę, by powiedzieć to, co mu leży na sercu.

– Wiesz, Clowance, wiesz, co do ciebie czuję. To się zaczęło kiedy miałaś dziesięć lub jedenaście lat. Próbowałem… próbuję nigdy o tym nie myśleć, bo rozumiem, że to beznadziejne, więc… dużo o tym nie myślałem. Tyle, ile mogłem. Potem pojawił się ten mężczyzna… Nie mam prawa cię pouczać, kogo masz poślubić, gdzie ani kiedy. Nie mam prawa mówić, co czuję, a czego nie czuję, ale nie umiem nad tym zapanować. Nie szanuję Stephena Carringtona i jest to dla mnie pięćdziesiąt razy gorsze, niż gdybym uważał, że nadaje się na twojego męża. Och, wreszcie to z siebie wyrzuciłem! Rozumiesz mnie?!

– Tak – odparła Clowance.

– Potem doszło do bójki. Wcześniej czy później musiało do niej dojść, bo czekał na to i szukał okazji. Jest zazdrosny, domyśla się, co do ciebie czuję. Uważa, że źle mu życzę. Więc jak mógłbym dalej pracować w kopalni, skoro obaj wiemy, że się nienawidzimy?

– Nie musicie się nienawidzić – powiedziała powoli Clowance.

– Nie, może nie musimy. Ale mówisz… Powiedziałaś, że na razie nie zostanie twoim mężem?

– Tak.

– Jeśli z powodu tego, co się wczoraj stało…

– Nie. To znaczy… nie tylko z tego powodu. Myślę, że popełniłam błąd. To, co się stało wczoraj, było ważne – przelało czarę. Nie jestem w stanie zaakceptować… Czy mogłabym ci coś powiedzieć w zaufaniu, Ben?

Poczuł ściskanie w gardle.

– Oczywiście.

– Myślę, że kochałam Stephena. Może w dalszym ciągu trochę go kocham. Wiesz, jak to jest, kiedy ktoś podchodzi do ciebie, a tobie zasycha w ustach, bije ci serce?

– Pewnie, że wiem!

Zamrugała.

– Tak. Właśnie to się dzieje, gdy go widzę. Właśnie to czuję, Ben. Przykro mi, że muszę ci to powiedzieć.

Nie odezwał się, tylko ścisnął mocniej łopatę. W górze przeleciało stado kraczących wron, trzepocąc skrzydłami w półmroku.

– Może to wystarcza do małżeństwa – ciągnęła. – Może powinno wystarczyć. Ale odkąd się z nim spotykam… – Urwała. – Teraz jestem wobec niego niesprawiedliwa… Wiem tylko, że w pewnych sprawach w ogóle się nie rozumiemy. Może ja też ponoszę za to winę? Kiedy… kiedy odwiedzał Violet Kellow, byłam o nią zazdrosna. Zazdrosna o umierającą dziewczynę. Więc czy jestem lepsza od niego, skoro wczoraj był zazdrosny o ciebie?

– To nie to samo – odparł Ben.

Zakrztusiła się, a potem kaszlnęła, by ukryć łzy.

– Drogi Benie, tak ci się zdaje. Ale do zerwania doprowadziły też inne rzeczy, o których nie mogę ci powiedzieć. Nie mogę o nich mówić, bo sama niezupełnie je rozumiem. Mam wrażenie, że wkraczam w świat, gdzie wszystko jest wieloznaczne, gdzie kolory są zamazane, gdzie trudno o szczerość, otwartość. Może to nie jego wina? Może ten brak uczciwości to normalna część dorosłego życia, a ja winię za to Stephena?!

– Droga Clowance, popełniłabyś błąd, gdybyś obwiniała samą siebie – rzekł niewyraźnie Ben. – Co mogę powiedzieć? Wszystko zabrzmi tak, jakbym chciał cię przekonać, że moja opinia na jego temat jest słuszna. Nie jest ciebie godny, ale skoro go kochasz, tak musi być.

– Nic nie musi być – odparła wściekle Clowance. – Na razie nic.

III

Kiedy Clowance odeszła, było za ciemno, żeby pracować, więc Ben zarzucił łopatę na ramię i ruszył do domu do wioski Grambler, w której ponuro płonęły nieliczne świece. Miał do przejścia około trzech kilometrów po nierównym terenie. Minął kościół w Sawle, zszedł do kotliny Sawle, gdzie nieustannie zgrzytały koła zębate kruszące rudę. Podążył w dół kamienistą Stippy-Stappy Lane, aż dotarł do niewielkiego budynku z oknami wykuszowymi, w którym mieszkała rodzina Carterów. Paliło się w nim światło, a sklepik był nadal otwarty. Matka Bena stała za ladą i ważyła bakalie dla Musica Thomasa.

Kiedy zadźwięczał dzwonek, Music odwrócił się gwałtownie. Zobaczył Bena i powitalny uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, nagle zniknął jak zdmuchnięty.

– Ach, to ty, Ben…

– A kogo się spodziewałeś? – spytał z irytacją młody górnik.

– Uważaj na łopatę, jest zabłocona – powiedziała Jinny Carter. – I na buty.

Ben, który zwykle dbał o czystość, lecz tego wieczoru był zbyt wyczerpany emocjonalnie, by o tym myśleć, wyszedł przed drzwi i wytarł buty na żelaznej kratce leżącej przed sklepikiem. Kiedy wrócił do domu, matka uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Dwa pensy – zwróciła się do Musica.

– Tak – odpowiedział Music. – Chcę jeszcze ćwierć deka cukierków. – Wskazał je ręką.

– Music czeka na Katie, jak sądzę – powiedziała Jinny do syna.

– Po co? – zagadnął Ben.

Music przełknął ślinę i uśmiechnął się z zawstydzeniem.

– Przyszedłem po cukierki – odparł.

– Pytałeś o nią, więc pomyślałam sobie… – wtrąciła Jinny i urwała.

– Przyszedłem po bakalie i cukierki – upierał się Music.

– W ostatnich dniach stałeś się wielkim amatorem cukierków – zauważyła Jinny.

– Tak – potwierdził Music.

– Po co chcesz się zobaczyć z Katie? – spytał Ben. – Nie widzisz jej codziennie w Place House?

– O tak. Widuję Katie codziennie.

– A więc?

– Przyszedłem po bakalie – powtórzył Music.

– Masz dla niej wiadomość, co?

– Nie. Po prostu… – Music, dręczony pytaniami Bena, z trudem wypowiadał słowa. – Widzę Katie codziennie. Spotykamy się. Ale nigdy nie rozmawiamy… Przyszedłem po cukierki. Przysłał mnie Art, mój brat. Ma ochotę na cukierki.

– Ile chcesz tych cukierków? – spytała Jinny. – Wrócił twój ojciec, Ben. Zjemy kolację, jak tylko zamkniemy sklep.

Jinny ważyła cukierki, a Ben wszedł do kuchni i kiwnął głową w stronę ojczyma, który mieszał zupę na ogniu. Później schował łopatę w przybudówce i wrócił do siostry do sklepiku. Rozsunął zasłony.

Zobaczył Katie, wysoką dziewczynę o pociągłej twarzy, niebrzydką, choć zaniedbaną. Zdjęła z głowy chustkę, rozpuściła kruczoczarne włosy i patrzyła na Musica, który jąkał się, próbując coś powiedzieć. Ben domyślił się, że Music od kilku dni próbował porozmawiać z Katie sam na sam, lecz nie udało mu się tego zrobić w Place House i teraz czekał na nią w szynku matki. Wydawało się, że chce ją za coś przeprosić. Niewątpliwie postąpiłby mądrzej, gdyby czekał przed szynkiem, bo teraz mówił prawie na oczach całej rodziny, przy matce Katie i jej bracie. Wydawało się, że coś się zdarzyło w czasie wyścigów konnych w Truro, i próbował to wytłumaczyć. Wypił za dużo, właśnie to było przyczyną. A poza tym opętał go diabeł. Bał się, że obraził Katie, i wyraźnie chciał ją przeprosić.

Tylko dlaczego? Na twarzy Kate malowało się zdziwienie; Ben odczuwał to samo. Jeśli w wiosce, na jarmarku albo w czasie festynu robiono głupie żarty albo strojono błazeństwa, nikt nigdy za nie nie przepraszał, nawet gdy posunął się za daleko. Nikt nie wiedziałby, jak to zrobić. Przeprosiny nie należały do sfery normalnych zachowań. Widać było, że nie należą do sfery normalnych zachowań Musica. Nie wiedział, jak przeprosić Katie. Ale próbował.

Benowi przyszło do głowy pewne wytłumaczenie i w tej samej chwili obie kobiety pomyślały o tym samym. Ben zachichotał. Gdyby tego wieczoru nie czuł takiego zdenerwowania, nigdy by się nie roześmiał. Był to sposób rozładowania nieznośnego napięcia. Music zerknął na niego z gniewem, choć na jego pustej twarzy był on ledwo dostrzegalny.

Później Katie również wybuchnęła śmiechem. Music nie mógł tego znieść. Śmiała się jak szalona. Upuściła chustkę na ladę i zanosiła się od śmiechu. Ben też pokładał się ze śmiechu. Jinny Scoble się uśmiechnęła. Po chwili Scoble Biała Głowa wystawił głowę zza kotary i powiedział:

– Kolacja gotowa. Co się stało?

– Trochę sobie żartujemy, mój drogi – odpowiedziała Jinny. – To taki żart między Katie a Musikiem.

– Między Katie a Musikiem? – spytał Scoble, drapiąc się po brodzie. – Co oni mają ze sobą wspólnego, do licha?

– Właśnie o to chodzi, ojcze! – rzekła Katie. – Właśnie o to chodzi! – Znów się roześmiała.

Music spojrzał na nich, po czym odwrócił się i wybiegł ze sklepiku. Słychać było, jak jego podkute buty krzeszą iskry na kamieniach, gdy pędził na wzgórze.

– Boże, uciekł i zostawił cukierki! – powiedziała Jinny, poważniejąc.

Ben, ścigany przez własne demony, szedł już na piętro.

IV

Dwa dni później, wieczorem, gdy Ross wracał konno do domu po krótkiej wizycie w Killewarren, z żywopłotu wyszedł nagle na drogę mężczyzna i spytał:

– Mógłbym zamienić z panem kilka słów, kapitanie Poldark?

Stephen Carrington miał postawiony kołnierz bluzy, a jego bujne jasne włosy były wilgotne od deszczu.

– Naturalnie. Dlaczego nie przyszedłeś do domu?

– Wolałbym tego nie robić. Ale dziękuję za zaproszenie. Nie zajmie to więcej niż pięć minut.

Ross się zawahał, po czym zsiadł z konia. Znajdując się półtora metra nad Stephenem, zyskiwał nad nim nieuzasadnioną przewagę.

– Tak?

– Na pewno pan słyszał, że Clowance i ja się pokłóciliśmy.

– Słyszałem.

– Czy definitywnie zdecydowała, że ślub jest odwołany?

– Tak.

– Wątpię, czy zna pan szczegóły naszej kłótni.

– Tylko w zarysie. Clowance mówiła bardzo niewiele. Nie wiem, czy chciałbym znać szczegóły.

– To znaczy, że jest pan zadowolony z tego, co się stało.

– Tego nie powiedziałem. Ale… Chyba że dotyczy to nas bezpośrednio… Oczywiście chętnie wysłuchamy szczegółowej relacji i bardzo zależy nam na szczęściu Clowance. Jednak, jak wiesz, zawsze pozostawialiśmy Clowance swobodę decyzji.

– Tak. Tak. Wiem o tym. – Posiniaczona twarz Stephena była ponura, wokół ust pojawiły się drobne zmarszczki. – Mimo to ośmielam się wątpić, czy naprawdę rozumie własne uczucia.

– Byłeś gotów przyjąć, że rozumie własne uczucia, gdy zgodziła się na ślub, więc teraz również musisz zaakceptować jej decyzję.

– Z powodu drobnej sprzeczki między kochankami?

– Tylko drobnej sprzeczki?

– Niewiele więcej.

– Myślę, że czas pokaże, czy o to naprawdę chodzi.

Koń był niespokojny, więc Ross ruszył w stronę Nampary, prowadząc go za uzdę. Stephen szedł obok niego.

– Czas, to najważniejszy problem – powiedział. – Jestem gotów czekać. Za pańskim przyzwoleniem.

– Czemu chcesz mojej zgody na czekanie?

– Kiedy mieliśmy się pobrać, ofiarował nam pan stróżówkę. Tego lata włożyłem sporo pracy w jej remont i wydałem trochę pieniędzy. Mimo to dom ciągle należy do pana. Jeśli Clowance w nim nie zamieszka, może pan zażądać zwrotu stróżówki.

– Ach, tak, rozumiem – odparł Ross.

Dotarli do głogów i leszczyn rosnących wzdłuż drogi do Nampary. Deszcz osłabł, lecz z nieba spadały większe krople. Kiedy Ross wracał do Nampary nawet po kilkukilometrowej jeździe, najbardziej lubił ten odcinek drogi. Wiedział, że znajduje się na terenie własnego majątku: po prawej stronie lśniły światła Wheal Grace, na niebie płynął dym z komina maszynowni, wkrótce miał przejechać przez strumień i znaleźć się w Namparze, gdzie czeka kolacja i gdzie, mimo problemów rodzinnych, czuł się u siebie. Spojrzał na barczystego młodego człowieka idącego obok.

– Zamierzasz dalej mieszkać w tej okolicy?

– Tak, przynajmniej jakiś czas. Owszem.

– I ciągle pracować u Jonasa?

– Zarabiam u niego na życie.

– Myślisz, że Clowance zmieni zdanie?

– Tak.

– Uważam, że nie powinieneś uważać tego za oczywiste. Mam pewien dylemat, Stephen.

– Jaki dylemat?

– Clowance może nie chcieć, żebyś się z nią widywał.

– Może.

– To nie moje zdanie, staram się postępować uczciwie. Nie chcę, żebyś wywierał nacisk na Clowance. Nie chcę również traktować cię niesprawiedliwie. Może zawrzemy umowę?

– Jaką?

– Mieszkaj w stróżówce przez trzy miesiące, a później znowu porozmawiajmy. Umówmy się, że w tym czasie nie będziesz próbował się widywać z Clowance, chyba że przypadkowo. Nie będziesz jej odwiedzał ani pisał do niej listów. Pozostawisz jej swobodę, by mogła prowadzić własne życie i zdecydować, czego naprawdę chce. Przede wszystkim pragnę, by była szczęśliwa. A ty?

Ostatnie pytanie Rossa zabrzmiało tak, jakby po przedstawieniu racjonalnych argumentów nagle wyciągnął pistolet i przyłożył lufę do głowy Stephena. Młody człowiek przystanął i otarł z twarzy krople deszczu.

– Uważam, że z nikim nie będzie równie szczęśliwa jak ze mną.

– Nie wątpię, że tak myślisz. Ale gdyby w końcu postanowiła za ciebie nie wychodzić, czy zgodziłbyś się, że ma prawo poślubić kogoś innego i szukać szczęścia gdzie indziej? A ty nie powinieneś się do tego wtrącać?

Stephen milczał.

– Nie mógłbym zrobić nic innego, prawda?

– Wtedy byś odszedł?

– Tak, chyba tak.

– Nie wiem, czy Clowance będzie zadowolona z warunków, jakie proponuję. Przede wszystkim musisz je przyjąć albo odrzucić.

– A jeśli je odrzucę?

– Wtedy chciałbym odzyskać stróżówkę. Choć oczywiście pokryję wszelkie koszty remontu.

Przeszli jeszcze kilka kroków, ich buty kląskały w błocie. Z Wheal Grace dobiegł dźwięk dzwonu. Na żywopłocie poruszał skrzydłami świerszcz.

– Zgadzam się – powiedział Stephen.

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

I

W kopalni Trevorgie odkryto jedenaście dużych komór różnych rozmiarów, gdzie wcześniej wydobywano rudę. Wspierały je filary z łupku i granitu. Zastanawiano się nawet, czy ktoś w nich nie mieszkał – i jak dawno temu. Znaleziono jeden kompletny ludzki szkielet i część drugiego. Nie natrafiono na inne monety, jedynie na narzędzia, wiadra i kosze, których drewniane części rozsypały się w proch po dotknięciu. Oczywiście stare wyrobiska nie pochodziły z okresu, gdy Brytania była rzymską kolonią, jak przypuszczali Clowance i Ben. Większość powstała w siedemnastym wieku – najwcześniej w epoce Tudorów – o czym świadczyły forma narzędzi i sposób prowadzenia robót. Było jednak jasne, że komory i chodniki powstały w odległej przeszłości, a górnicy sprzed kilkuset lat powiększyli znacznie starsze tunele, zacierając ich pierwotny układ.

Pozostały znak zapytania i moneta. Z encyklopedii Dwighta wynikało, że Antoninus Pius Tytus Aureliusz Fulwiusz był cesarzem Rzymu od sto trzydziestego ósmego do sto sześćdziesiątego pierwszego roku naszej ery i odwiedził Brytanię około sto czterdziestego roku. Przeszedł do historii jako sprawiedliwy, dobry władca. Który z jego poddanych, jaki prefekt albo centurion po raz pierwszy kazał założyć tę kopalnię – a może uruchomić na nowo? – i kto w niej pracował?

Chociaż Poldarków ogromnie fascynowała starożytność Trevorgie, inne kwestie były ważniejsze. Ross poprosił nawet o nierozgłaszanie, że odkryte wyrobiska pochodzą z czasów rzymskich, ponieważ nie chciał, by badacze starożytności przybywający z Truro lub Exeter wstrzymywali pracę w kopalni. Wydał również polecenie, żeby górnicy nie prowadzili robót w rejonie zakrętu chodnika, gdzie znaleziono monetę.

Prawdopodobnie pierwotnie wydobywano tam cynę, a miedź odkryto znacznie później. Z komór prowadziło w różne strony wiele chodników i zbadanie ich wszystkich było kwestią miesięcy. Trzy pary sztygarów natychmiast zawarły umowy na eksploatację miejsc, gdzie pojawiały się skromne oznaki miedzi. W szybie, który pierwszego dnia badali Ben i Clowance, chodniki podążały w dół za żyłą i były zalane wodą.

Pozostałości kół, rur i prętów wskazywały, że próbowano je odwadniać, jednak w tej chwili były zatopione i wypompowanie wody wydawało się trudnym zadaniem. Ross postanowił odłożyć ten problem na później – wraz z kilkoma innymi. Wheal Grace przynosiła straty. Jeśli w ostatniej chwili kopalni nie uratuje odkrycie bogatych złóż, należy ją zamknąć w ciągu najbliższego roku.

Izba Gmin miała się zebrać pierwszego grudnia, lecz bez Rossa. Demelza raz czuła się lepiej, raz gorzej – mówiła, że jest osowiała – ale lekceważyła swoje dolegliwości, ilekroć rozmawiała z mężem. W końcu zgodziła się, by zbadał ją Dwight, który przepisał kilka medykamentów, choć nie wierzył, że potrafią usunąć przyczynę choroby.

– To coś związanego z krwią – powiedział Rossowi. – Może zakażenie nerek wywołujące lekką gorączkę? Modny sposób leczenia to pijawki, ale w swojej praktyce staram się wzmacniać, a nie osłabiać siły pacjentów. Twoja żona musi podtrzymywać życie dziecka.

– A opuchlizna rąk i twarzy?

– Z pewnością Demelza źle się czuje.

– Pije za dużo porto.

Dwight się uśmiechnął.

– Mam nadzieję, że to cię nie niepokoi.

– Nie samo to, że pije porto, ale…

– Pytała mnie o porto. Skarży się na zawroty głowy, mówi, że robi jej się słabo. Wspominała ci o tym?

– Nie, nic nie mówiła… I co ty na to?

– Nie nadużywa porto, prawda?

Ross potarł dłonią bliznę na twarzy.

– Nigdy się nie upija, jeśli to masz na myśli. Czasem jest trochę podchmielona.

– Niech tak już zostanie. To jeszcze tylko około ośmiu tygodni. Moim zdaniem wino może się okazać użytecznym środkiem pobudzającym.

Pod koniec października Ross zauważył ogłoszenie w jednej z miejscowych gazet: „Piękne pianoforte o doskonałym brzmieniu, do niedawna własność arystokraty. Dwadzieścia pięć gwinei". Adres sprzedawcy znajdował się w Truro, więc w czasie następnej wizyty w mieście kupił instrument i poprosił, by dostarczono go do Nampary, gdy wyśle wiadomość.

Ta sama gazeta zawierała szczegółowe informacje o zdobyciu Moskwy przez Francuzów, o którym niedawno car poinformował naród rosyjski. Kiedy generał Kutuzow pozostawił Moskwę na pastwę nieprzyjaciela, gubernator stolicy, niejaki Rostopczyn, kazał podpalić miasto i wycofał wszystkie wozy strażackie. Moskwa płonęła przez trzy dni, po czym zerwał się silny wiatr – pierwsza zimowa wichura, która jeszcze bardziej podsyciła ogień. Mówiono, że spłonęło tysiąc pałaców, tysiąc sześćset cerkwi, zginęło trzydzieści tysięcy chorych i rannych. Zniszczeniu uległy wszystkie zapasy żywności zgromadzone na zimę. Zarówno szlachta, jak i pospólstwo znalazły się w tragicznej sytuacji, tak jak zresztą cała Rosja. Podobno schwytano i rozstrzelano stu podpalaczy, a powszechnie potępiany gubernator Rostopczyn uciekł. Niektórzy uważali go za francuskiego szpiega.

Jeremy napisał do Cuby, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Stephen złamał umowę z Rossem, napisał do Clowance i również nie otrzymał odpowiedzi.

Ben, mimo próśb Clowance, nie wrócił do Wheal Leisure na stanowisko kierownika robót podziemnych. Clowance i Jeremy niepokoili się, że Ben i Stephen mieszkają zbyt blisko siebie i że przypadkowe spotkanie może się zakończyć kolejną bójką.

Widząc niepewność i smutek córki, Demelza powiedziała do niej pewnego dnia:

– Clowance, wolałabym, żebyście ty i Jeremy nie przebywali w Namparze w chwili narodzin dziecka, podobnie jak dziesięć lat temu. Powtarzam to od samego początku. Dlaczego macie czekać jeszcze miesiąc? Napiszę do cioci Verity i spytam, czy możecie przyjechać w przyszłym tygodniu. Zostalibyście u niej do Bożego Narodzenia.

Clowance głaskała kota i milczała.

– Będę z tobą szczera – ciągnęła Demelza. – Już dwa razy wyjeżdżałaś, by nabrać dystansu, podjąć decyzję w sprawie Stephena. Tym razem byłoby inaczej, bo mam wrażenie, że już zdecydowałaś. Mieszka tak blisko, że musisz się czuć zakłopotana…

– Czuję się zakłopotana – odparła Clowance. – Oczywiście papa próbował się zachować uczciwie, ale wolałabym, by wyrzucił Stephena ze stróżówki. Najlepiej, żeby Stephen wyjechał i na zawsze zniknął.

– Zamiast tego ty mogłabyś wyjechać. To niezbyt daleko. Pół dnia jazdy konno…

– Ale skoro nie powinnaś się przemęczać…

– Kompletna bzdura, kochanie. Kiedy byłam młoda, w Illuggan kobiety pracowały w kopalni do dnia urodzenia dziecka, a często wracały do roboty nazajutrz.

– Tak czy inaczej, nie powinnaś…

Clowance zamierzała zadać kolejne pytanie, lecz się powstrzymała. Zadała je następnego dnia Caroline, czekając na przyprowadzenie konia po wizycie w Namparze.

– Twoja babka? Matka Demelzy? Nie wiem. Była bardzo młoda: dwadzieścia pięć lub dwadzieścia sześć lat. Dlaczego pytasz?

– Zdaje się, że umarła w połogu, gdy urodził się wujek Drake. Mama raz mi o tym wspominała.

– Może. Dlaczego… Och, Clowance, jakie to niemądre! Nie powinnaś mieć takich głupich myśli!

– Tak mówi wuj Dwight?

Caroline rozejrzała się niespokojnie, by się upewnić, że Demelza w dalszym ciągu nie słyszy ich rozmowy.

– Uważa, że powinna być ostrożna. Na wszelki wypadek, to wszystko. Tak czy inaczej, nie ma żadnych podobieństw: nie można porównywać tych sytuacji. Demelza mówiła, że matka żyła w nędzy i brudzie, a jej mąż był pijakiem. Trudno mówić, że istnieje jakieś podobieństwo!

– Tak, ale…

– Poza tym matka Demelzy urodziła siedmioro dzieci w ciągu ośmiu lat.

– To piąte dziecko mamy. Uważam, że…

– Piąte w ciągu dwudziestu pięciu lat. Czyżbyś nie ufała drogiemu doktorowi Enysowi?

– Wiem, że wyleczył mnie z kilku ciężkich chorób – odparła Clowance. – Przynajmniej dwa razy bardzo bolał mnie brzuch… Tak, przypuszczam, że to niemądre. Ale pomysł mamy, by wysłać mnie na miesiąc do Flushing…

– Możemy cię wezwać, gdyby cokolwiek się działo.

– Tylko czy mnie wezwiecie? Czy osobiście mi przyrzekniesz, Caroline, że poślesz po mnie, gdyby cokolwiek się działo, i nie dasz się przekonać rodzicom?

– Jeśli Dwight uzna, że tak trzeba, wezwę cię natychmiast.

– Uważam, że jest za wcześnie – powiedziała zdecydowanie Clowance. – Jeśli wyjadę z Nampary, mama będzie robić rzeczy, którymi nigdy by się nie zajmowała. Wiesz, że po tylu latach nie przyzwyczaiła się do korzystania ze służących w taki sam sposób jak ty, a nawet ja? Gdy potrzebuje igły i nici, czasem mnie prosi, żebym pobiegła po nie do jej pokoju, ale nigdy, przenigdy nie pomyśli, by zadzwonić po Enę albo Betsy Marię.

Caroline się roześmiała.

– Niektóre kobiety mają mnóstwo energii. Taka jest twoja matka. Woli iść po igłę i nici niż czekać.

– Właśnie dlatego myślę, że powinnam zostać w domu trochę dłużej.

– Moim zdaniem Dwight nie uważa, że twoja matka powinna siedzieć bezczynnie przez następny miesiąc. Musi po prostu zachowywać ostrożność. Sądzisz, że twój osobisty nadzór sprawi, że stanie się bardziej ostrożna?

– Będzie się bardziej denerwować – odpowiedziała Clowance. Obie się roześmiały.

II

Dwudziestego pierwszego listopada w gazetach pojawiła się wiadomość, że Napoleon opuścił Moskwę. Podano skąpe informacje o przyczynach decyzji cesarza. Armia francuska okupowała spaloną stolicę przez pięć tygodni i wydawało się prawdopodobne, że zabrakło jej prowiantu. Rosjanie nie próbowali wyzwolić największego miasta kraju, najwyraźniej nie podjęli żadnej akcji. Mimo to nie złożyli broni, jak się tego spodziewano. Pojawiły się doniesienia, że Francuzi podążają na południe w stronę Kaługi, niewątpliwie licząc na to, że w zimie będzie tam cieplej.

W dniu, gdy te nowiny dotarły do Nampary, Clowance spotkała Stephena.

Mieszkali tak blisko siebie, że prędzej czy później musiało się to stać. Rosina Carne, bratowa Demelzy, przyszła do Nampary z uszytymi przez siebie ubrankami dziecięcymi i została na obiad. Około trzeciej postanowiła wracać do domu, a Clowance, ponieważ chciała iść na spacer, postanowiła ją odprowadzić. Kuźnia Pally'ego znajdowała się w odległości około siedmiu i pół kilometra od Nampary, więc kiedy tam dotarły, do zmroku została zaledwie godzina. Clowance nie chciała wypić herbaty i powiedziała, że natychmiast wyrusza w drogę powrotną.

– Za chwilę przyjdzie Samuel – rzekła Rosina. – Chętnie cię odprowadzi do domu modlitwy.

– Nie, dziękuję, dam sobie radę. Spotkanie metodystów jest dopiero o szóstej, prawda?

– Mogłabyś pożyczyć kuca. Odprowadziłabyś go jutro.

– Nie, chętnie się przespaceruję. W tym miesiącu bardzo się rozleniwiłam.

– W takim razie zapakuję ci kilka ciastek. Powinnam je była zabrać do Nampary, ale niosłam ubranka!

Rosina zaczęła pakować ciastka. Nagle rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła je i zobaczyła Stephena stojącego w progu.

– Dzień dobry, pani Carne. Jest tu Clowance?

– Eee… nie jestem pewna…

– Jasne, że jest pani pewna, pani Carne. Widziałem, jak obie wchodziłyście do domu. Wpuści

mnie pani do środka? Witaj, Clowance! Wracasz do domu?

Clowance poczuła ściskanie w gardle.

– Za jakiś czas.

– W takim razie zaczekam.

Była sobota i Stephen nie miał na sobie ubrania roboczego. W maleńkiej izbie wydawał się wielki, masywny. Jego wargi w dalszym ciągu wyglądały na opuchnięte, choć po tylu tygodniach było to raczej niemożliwe.

– Jak się miewasz? – spytał.

Clowance czuła, że czerwienieje pod wpływem jego wzroku.

– Dobrze, dziękuję.

– Ach… Spędzisz Boże Narodzenie w domu?

– Jeśli chcesz, żebym was zostawiła samych, Clowance… – powiedziała nerwowo Rosina. – Mogę też zostać, jeśli wolisz.

– Niech pani zostawi nas samych – rzekł Stephen. – Na pięć minut, dobrze? To niedługo. W tym czasie może pani spakować ciastka.

Rosina spojrzała na Clowance, która milczała.

– Będę w kuchni, gdybyś mnie potrzebowała – powiedziała po chwili wahania Rosina.

– Chcę, żebyś została – odparła Clowance.

– Ach, więc wiatr wieje w tę stronę – odezwał się Stephen.

– W tę stronę.

– Boisz się rozmawiać ze mną sam na sam?

– O czym mamy rozmawiać?

– O czym mamy rozmawiać? Że słońce wschodzi i zachodzi. Należysz do mnie.

– Nie należę do nikogo! – odpowiedziała gwałtownie.

– Nie? Przekonasz się. W końcu się przekonasz.

– Koniec jeszcze nie nadszedł, prawda?

– Nie, koniec jeszcze nie nadszedł. Najpierw musisz coś zrozumieć.

– Już zrozumiałam, Stephen – odparła.

– Może mówimy o dwóch różnych rzeczach. Pozwól mi powiedzieć…

– Nie chcę słuchać – przerwała szybko Clowance. – Czy to nie Samuel? – zwróciła się do Rosiny.

– Tak… Chyba wprowadza kuca do stajni.

Stephen pochylił głowę i wyjrzał przez okno.

– Clowance nie chce słuchać, pani Carne. Tak powiedziała. Czy to nie dziwne?

Rosina milczała.

– Może powtórzyłaby jej pani moje słowa? – rzekł Stephen.

– Panie Carrington…

– Niech jej pani powie, że po Nowym Roku wyjeżdżam, pani Carne. Proszę jej powiedzieć, że wracam na morze – prawdopodobnie na statku z Bristolu. To będzie koniec. Koniec między nami. Odejdę za sześć lub siedem tygodni. Do tego czasu będę mieszkał w stróżówce. Niech pani powie, że jeśli chce, może wysłać list. Jeśli chce, pani Carne, przyjdę, żeby porozmawiać – nic więcej. Nie zamierzam prosić o łaskę. To nie leży w mojej naturze. – Obrócił głowę. – Wiesz o tym, prawda, Clowance?

Do domu wszedł Samuel Carne, pochylając głowę w drzwiach.

– Ach, moja droga… O, dzień dobry, Clowance. Witam, przyjacielu. – Na twarzy przywódcy miejscowych metodystów pojawił się miły, cierpliwy uśmiech. – Niechaj Bóg będzie z tobą. Piłeś herbatę?

– Nigdy nie proszę o łaskę, Clowance – powiedział Stephen. – Mogę się jutro z tobą ożenić, ale nie z twojej łaski. Będziesz moją żoną albo nikim… – W jego głosie pojawił się cień groźby, lecz zapanował nad sobą. – Dzień dobry, kaznodziejo! Nie, nie piłem herbaty, bo mnie nią nie poczęstowano. Nie wszyscy w tej izbie są tacy pełni Ducha Świętego jak ty, więc odchodzę. Mogę cię odprowadzić do

domu, Clowance?

– Dziękuję – odparła Clowance. – Odprowadzi mnie Samuel.

Stephen zmarszczył brwi i spojrzał na nią z lekkim niedowierzaniem, po czym rozluźnił kołnierzyk.

– Niech pani powtórzy jej moje słowa, pani Carne, dobrze? Proszę powtórzyć je dokładnie, pani Carne.

– Nie rozumiem – rzekł Samuel, spoglądając na Stephena i Rosinę.

– Nie, nie ma tego w *Modlitewniku powszechnym* – powiedział Stephen. – Ani w zbiorze hymnów. Ale to szczera prawda.

Wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi, aż zatrzęsły się ściany.

Zapadła cisza. Rosina znów zaczęła pakować ciastka, by rozładować napięcie. Clowance usiadła, uginały się pod nią kolana.

– Nie wiem, o co poszło, ale może dobrze, że przyszedłem – powiedział Samuel. – O co mu chodziło, Rosino?

– Dobrze, że przyszedłeś, Samie – odezwała się Clowance. – To nie miało nic wspólnego z Rosiną, tylko ze mną, jak się pewnie domyślasz. Rosino, myślę… myślę, że jednak napiję się herbaty.

Rozdział drugi

I

Tydzień później Clowance, pocieszana przez matkę i wytrącona z równowagi po spotkaniu ze Stephenem, wyjechała do Flushing. Nazajutrz rano Demelza zemdlała w kuchni i zanieśli ją do sypialni John i Jane Gimlettowie, jedyne osoby obecne w domu. Wezwany Dwight przybył w tej samej chwili co Ross, który wcześniej przebywał w Wheal Grace. Dwight dokładnie zbadał Demelzę i szybko zszedł na dół.

– Wydaje się, że odzyskała formę, i prosi, byś przyszedł. Dziecko żyje i kopie. Nie doszło do krwotoku ani odejścia wód. Nie wierzę, że zbliża się poród. Moim zdaniem to po prostu krótkie omdlenie, przykry incydent bez większego znaczenia. Na szczęście się nie potłukła i ma tylko siniak na ramieniu.

– Ale co jej dolega, Dwight? Co się stało?!

Dwight się zawahał.

– Gdyby nauki medyczne były bardziej rozwinięte, może mógłbym odpowiedzieć na to pytanie. Sądzę, że powodem tych niepokojących objawów jest jakiś toksyczny składnik obecny we krwi. Ale nie znam przyczyny jego pojawiania się ani lekarstwa. – Spojrzał na Rossa, który postukiwał stopą z grymasem niezadowolenia na twarzy. – Musisz pamiętać, że do tej pory Demelza odznaczała się doskonałym zdrowiem. Nie było żadnych komplikacji w czasie porodów, przebiegały bardzo szybko, a po pierwszym miesiącu ciąży znakomicie się czuła. Często żartowała ze mną, że to z powodu jej wiejskiego pochodzenia. Tym razem… Kolejne porody są coraz łatwiejsze, choć z wiekiem jest to coraz większe obciążenie organizmu kobiety. Może właśnie na tym polega problem: to wszystko, nic więcej. Jest dziesięć lat starsza, więc to poważny wysiłek. Nie myśl, że uważam się za wyrocznię, niech Bóg broni! Ale nie należy wyolbrzymiać tego omdlenia, przywiązywać do niego nadmiernej wagi. Przed chwilą, kiedy wychodziłem, żartowała ze mną. I mówiła, że chce wstać.

– Wstać?!

– Moim zdaniem nie należy jej zniechęcać do lekkiej aktywności fizycznej. Krótkie spacery. Z pewnością powinna wstawać na kolację.

– Wiesz, o czym myślę? – spytał Ross.

– O czym?

– O Elizabeth.

Dwight westchnął głęboko.

– Zapomnij o niej. Zapomnij o Elizabeth. To coś zupełnie innego.

– Dlaczego?

– Po prostu innego. Umarła… Sam wiesz, jak umarła.

– Nigdy tego nie zapomnę. Do końca życia. A więc…

– Twoja żona nie umrze jak Elizabeth.

– Dlaczego?

– Wierz mi na słowo – odpowiedział Dwight.

– Chcę znać przyczynę.

– Nie mogę ci powiedzieć.

– Bo jej nie znasz? A może to tajemnica?

Dwight wbił wzrok w podłogę.

– Posłuchaj, stary przyjacielu. Zapomnij o Elizabeth i uwierz w moje zapewnienie, że nie ma żadnych podobieństw między tymi dwoma kobietami. Co powinienem zrobić? Wezwać na konsultację doktora Behennę?

– Broń Boże!

– W Redruth jest nowy lekarz, który przejął praktykę Pryce'a. Podobno pracował w jednym ze szpitali w Plymouth i ma dobrą opinię.

Ross machnął lekceważąco ręką.

– Nie ma w Kornwalii nikogo, kto znałby się na medycynie lepiej od ciebie, a w Anglii znalazłoby się zapewne ledwo kilku takich ludzi. Uważasz, że oddałbym Demelzę w ręce napuszonego konowała, który interpretuje wszystkie objawy, patrząc na nie przez pryzmat swojej ulubionej teorii?! Który zaleciłby jej dziwaczną dietę złożoną z surowego mięsa i wywaru ze ślimaków?!

– Nie byłby to wcale zły pomysł – odparł Dwight. – Twoja żona potrzebuje żelaza.

Kiedy przyjechał po dwóch dniach do Nampary, nie mógł nigdzie znaleźć Demelzy. Krążył przez chwilę po domu, po czym wszedł do biblioteki, gdzie Ross ślęczał nad rachunkami kopalni.

– Jak się dziś miewa Demelza? – zagadnął.

– Czy to nie ja powinienem cię o to spytać?

– Powinieneś, gdybym mógł ją znaleźć.

– Gdzie, na Boga…

– Chyba powiedziała Jane, że wybiera się na krótki spacer.

– Z Jane?

– Nie, nie, zdaje się, że sama.

– Niech diabli porwą tę kobietę! Nie powinna ryzykować!

– Jak się czuła wczoraj po moim odjeździe?

– Och, lepiej niż w środę. Była w lepszym nastroju. Podobnie dziś rano po przebudzeniu.

– Krótka przechadzka jej nie zaszkodzi, jeśli ma ochotę na spacer.

– Jeremy! – Ross zawołał syna, który wybierał się na plażę z Farquaharem.

Młody człowiek wszedł do biblioteki.

– Witaj, wujku! – zwrócił się do Dwighta. – Powinienem ci oddać kilka książek.

– Dwight przyszedł zbadać twoją matkę, a nikt nie wie, gdzie ona się podziewa – powiedział Ross.

– Zdaje się, że poszła się zobaczyć z Judem i Prudie.

– Wielki Boże! – wybuchnął Ross. – Czy ta kobieta nie ma za grosz rozumu?! Próbowałeś jej to wyperswadować?!

– Owszem, próbowałem. Mówiłem o „zapluskwionej chacie”. Ale wiesz, jaka jest mama, gdy wbije sobie coś do głowy.

– To stanowczo za daleko – powiedział Ross. – Nie sądzisz, że za daleko, Dwight?

– Tak – przyznał lekarz. – Gdybym przyjechał bezpośrednio z Killewarren, oczywiście bym ją spotkał.

– Chcesz, żebym ją dogonił? – spytał Jeremy. – Wybierałem się do kopalni, ale to może poczekać.

– Dziękuję. Byłbym bardzo zadowolony. Sprowadź ją do domu.

Jeremy uniósł brew.

– Tylko ty byłbyś w stanie sprowadzić ją do domu, ojcze. Ja mogę ją jedynie przekonywać. Ale będę podstępny jak wąż.

Ross patrzył na syna, który biegł, pogwizdując, w górę doliny. Kilka kroków za nim pędził spaniel.

– Zrobi to bardziej taktownie ode mnie – zwrócił się do Dwighta. – W tej chwili dziwnie ją irytuję. Zawsze byliśmy dumni z tego, że nie działamy sobie na nerwy. Chyba zmienia jej się osobowość.

– To minie – odparł Dwight. – Mogę ci to obiecać.

II

Przedmiot niepokoju Rossa i Dwighta dotarł za szczyt wzgórza w pobliżu Wheal Maiden, gdzie zaczynało się wrzosowisko opadające w stronę wioski Sawle. Demelza spotkała tam Emmę Hartnell, która wcześniej odwiedziła swojego ojca, Tholly’ego Tregirlsa, dochodzącego do zdrowia po ostrym ataku astmy.

Emma Tregirls, jak się dawniej nazywała, wysoka, ciemnowłosa, ładna, blada i hałaśliwa, pracowała jako pokojówka we dworze Fernmore, gdy mieszkali w nim Choake’owie, i zakochał się

w niej brat Demelzy, Samuel Carne, bardzo pobożny metodysta. Z romansu nic nie wyszło, ponieważ Samuel myślał przede wszystkim o zbawieniu duszy Emmy, ona zaś, choć również go kochała, doskonale zdawała sobie sprawę z własnej reputacji i obawiała się, że małżeństwo z nią miałoby zły wpływ na grupkę zwolenników Sama, którą zgromadził z wielkim trudem. Pewnego popołudnia pod koniec lata, gdy Demelza zbierała na polu jeżyny z Jeremym i Clowance, Emma po długich rozterkach poprosiła ją o radę.

Wkrótce potem Demelza załatwiła Emmie nową pracę we dworze w Tehidy, przeszło piętnaście kilometrów dalej, i zaproponowała, by córka Tregirlsa i Samuel nie widywali się przez rok, a później porozmawiali i przekonali się, czy są w stanie podjąć ostateczną decyzję. Po roku Emma wyszła za mąż za Neda Hartnella, zastępcę głównego kamerdynera w Tehidy.

Od tamtej pory Demelza miała wyrzuty sumienia z powodu swojego udziału w całej sprawie. Jako młoda dziewczyna zakochana w Rossie pragnęła, by wszyscy znajomi ludzie zawierali małżeństwa i byli szczęśliwi; miała wrażenie, że w tym przypadku jej rady były zbyt powściągliwe, ostrożne. Może ci młodzi ludzie staliby się szczęśliwym małżeństwem bez względu na złą reputację Emmy i pobożność Samuela? Kto mógłby przysiąc, że stałoby się inaczej?

Emma była ubrana podobnie jak piętnaście lat wcześniej na długim polu. Miała na sobie białą sukienkę z bawełnianego płótna, czarne trzewiki i czerwoną pelerynę, a do tego słomiany kapelusz, spod którego wystawały kruczoczarne, cygańskie włosy. Prowadziła teraz gospodę, była matką dwojga dzieci, nieźle jej się powodziło i prawie się nie zmieniła – choć wydawała się trochę bardziej zwyczajna. Część magicznego uroku zniknęła.

Demelza spytała, jak się czuje ojciec Emmy.

– Och, zdrowieje. Sama się zastanawiam, jak można tak kasłać i nie umrzeć.

– Musi jakoś oddychać.

Emma popatrzyła na Demelzę.

– Ile czasu zostało, pani Poldark?

– Kilka dni. Może tydzień.

– Chciałaby pani urodzić chłopca czy dziewczynkę?

– Och, to bez znaczenia. Mąż chyba wolałby syna. Ale ucieszymy się i z córki.

– Tak, rzeczywiście. – Emma przytrzymała kapelusz, by nie zerwał go wiatr. – Ludzie postępują dziwnie, wbrew naturze…

– Co masz na myśli?

– To, co zrobił ojciec, gdy byliśmy mali. To wbrew naturze, że zostawił matkę z małymi dziećmi. Nic go nie obchodziło, absolutnie nic. Ned i ja bardzo dbamy o naszych chłopców. Dzieci to wielka radość!

Demelza patrzyła na deszczowe chmury przesuwające się nad morzem. Była szansa, że ulewa ominie ląd.

– Mieszkacie w gospodzie Pod Herbem Gwarków?

– Tak, pani. Chyba nie zbijemy fortuny, ale można jakoś żyć. – Emma się roześmiała.

– Widujesz… widujesz czasem Samuela?

– Rozmawialiśmy raz czy dwa razy. Wcale się nie zmienił, prawda? Lubię go, ale… jego żona jest miła. Może dobrze się stało.

– Mam nadzieję.

– Bardzo go kochałam. Nie wydawało mi się wtedy normalne, że spotkało mnie coś takiego. Ani wcześniej, ani później. Ned… Ned jest dobrym mężem. Rzadko się kłócimy. Chyba jestem zadowolona z tego, co mam!

Demelza zerknęła na ładną młodą kobietę. Spod kapelusza wysunęło się kilka kosmyków czarnych włosów, które opadły na twarz. Czy w głosie Emmy zabrzmiało coś, co sugerowało, że musi przekonywać samą siebie?

– Rada, którą pani mi wtedy dała… – Emma znów się roześmiała. – Myślę, że to najlepsza rada, jaką mogłam otrzymać. Ja i Samuel. Mieliśmy dylemat. – Owinęła się ciaśniej peleryną. – Tak czy owak,

wszystko się skończyło, to już przeszłość… Często widujemy teraz panicza Jeremy'ego. Przychodzi dwa, trzy razy w tygodniu. Z panem Carringtonem i panem Kellowem.

– Tak, wspominał mi o tym.

– Chyba jest taki wesoły jak ja za młodu, woli pić piwo z Nedem Hartnellem niż modlić się z Samem!

Demelza uśmiechnęła się do Emmy i zaczęła się zbierać do odejścia. Kręciło jej się w głowie od długiego stania.

– Zdaje się, że odnieśliśmy wielkie zwycięstwo – powiedziała Emma.

– Tak? Gdzie?

– Dziś rano Stephen Carrington wsadził głowę w drzwi. Przypomniałam to sobie, gdy wymieniłam jego imię. Wojna i pokój niewiele dla mnie znaczą, nie pamiętam nazw.

– Masz na myśli Hiszpanię?

– Nie, Rosję albo Polskę.

– Stephen ci powiedział?

– Tak, słyszał o tym od kapitana statku, który niedawno przypłynął do Penryn z jakiegoś portu, ale zapomniałam jego nazwy. Teraz wszyscy o tym gadają. Podobno w ostatnią sobotę pisali o tym w gazecie.

Demelza obejrzała się w stronę, skąd przyszła, i zobaczyła, że w górę doliny idzie Jeremy, stawiając długie kroki. Wyczuła, że przyszedł po nią.

– Do widzenia, Emmo.

– Do widzenia, pani Poldark.

Demelza schodziła ze wzgórza. Emma przez jakiś czas szła obok niej.

– Stephen Carrington jest bardzo wytrącony z równowagi, że nie mógł poślubić panny Clowance, pani Poldark.

– Myślę, że ona też jest wytrącona z równowagi.

– Stephen ma w sobie coś dzikiego. Moim zdaniem jego żona nie miałaby spokojnego życia.

– Nie przypuszczam, że Clowance zerwała zaręczyny z tego powodu – odpowiedziała Demelza.

– O nie, o nie. Może miała szczęście, że w porę się wycofała? Jak ja! Tylko na odwrót!

Zbliżał się Jeremy. Demelza czuła lekki ból wędrujący po ciele, lecz starała się go ignorować.

– Kiedy panicz Jeremy, Paul Kellow i Stephen Carrington przychodzą do gospody, zawsze biorą osobne pomieszczenie. Czasem widzę, że bardzo poważnie rozmawiają, jakby prowadzili naradę wojenną…

Podbiegł do nich Farquahar. Skakał wokół Demelzy, lizał ją po rękach, wtulał pysk w spódnicę.

– Naradę wojenną? – spytała. – Bardzo dziwne.

– Och, tylko tak mi się powiedziało, pani. Chyba chcą naprawiać świat jak wszyscy młodzi ludzie.

Kiedy Jeremy dotarł do matki, Emma podążała w stronę gospody Pod Herbem Gwarków, przytrzymując ręką kapelusz, by nie porwał go wiatr. Młody człowiek zwrócił się do Demelzy:

– „Który z was człowiek, co ma sto owiec, a jeźliby stracił jednę z nich, izali nie zostawuje dziewiącidziesiąt i dziewiąci na puszczy, a idzie za oną, aż ją najdzie? A gdy ją najdzie, kładzie na ramiona swe, radując się" [4].

– Byłabym dla ciebie trochę za ciężka, zwłaszcza że ja też coś dźwigam – odpowiedziała Demelza. – Wysłał cię ojciec?

– O twoje zdrowie, matko, troszczy się nie tylko jeden mężczyzna. Myśli o tym cała rodzina. Wyobraź sobie, co by się stało, gdybyś zaczęła rodzić u Juda. Nie chciałbym, żeby mój brat lub siostra przyszli na świat wśród kacząteк Prudie!

Wziął ją pod rękę. Przystanęli. Demelza spojrzała na syna.

– Diabeł też potrafi cytować Biblię, gdy ma w tym jakiś cel. Nigdy nie przypuszczałam, że jesteś taki oczytany.

– Ach, kolejna matka, która nie zna własnego syna!

– Myślałam, że interesujesz się tylko maszynami parowymi.

– Przede wszystkim maszynami, tak.

Demelza spoglądała w stronę, z której przyszła.

– W dalszym ciągu mam orientację w terenie – powiedziała.

– A jednak…

– A jednak chciałabym się spotkać z Prudie. W zeszłym tygodniu nie dałam jej pieniędzy.

– Zaniosę je dziś po południu, przysięgam. Opowiem ci o maszynach parowych. Wróćmy powoli do domu, a ja opowiem ci o nietypowej maszynie, którą zamierzam zbudować dla Wheal Leisure.

– To dlatego pojechałeś w zeszłym tygodniu do Harveya?

– Tak, wyrażono zgodę na wstępny projekt.

– Dobrze, opowiedz mi o maszynie.

– Zamiast wyciągać rudę na powierzchnię za pomocą kieratów poruszanych przez konie, których używamy w tej chwili zarówno w Wheal Leisure, jak i Wheal Grace, wykorzystamy siłę pary. Głównym elementem będzie kocioł Trevithicka, pierwotnie mający napędzać pojazd drogowy. Zamontujemy pod osłoną tłoka wał korbowy w taki sam sposób jak w pojeździe. Koło zamachowe będzie się obracać w półkolistym otworze w posadzce. Zamierzamy zbudować osobny budynek na maszynę, z bębnem z liną i drugim kominem – och, prawdopodobnie z cegły, o wysokości siedmiu albo dziewięciu metrów. Rozumiesz?

– Mniej więcej.

– Teraz, po odkryciu Trevorgie, warto zainwestować w wyciąganie rudy za pomocą maszyny parowej. Jutro znów jadę do Hayle na spotkanie z Williamem Westem. Harveyowie zaproponowali, żebym spędził u nich noc, więc…

– Dlaczego nie dwie?

– Przecież to blisko domu, prawda?

– Nie to miałam na myśli.

– Doskonale rozumiem twoje aluzje. Wiem, kiedy nie jestem mile widzianym gościem. Wolałbym się nie pojawiać w Caerhays.

– Tak mi się tylko powiedziało – odparła Demelza.

– Och, kochana mamo, teraz wiem, że naprawdę źle się czujesz!

Dotarli do kilku zniszczonych kamiennych murków, ostatnich pozostałości Wheal Maiden. Zaświeciło słońce – po raz pierwszy tego dnia – i po przelotnym deszczu na krótko pojawiła się tęcza. W górze krążyła ogromna mewa siodłata, która wydawała się wielka jak gęś. Demelza usiadła na murku.

– Często spotykasz się ze Stephenem, Jeremy?

– Czasami. Emma ci powiedziała?

– Przypadkiem o tym wspomniała. Mówi, co zamierza?

– Tylko to, że wyjedzie stąd po trzech miesiącach, kiedy opuści stróżówkę. Oczywiście jeśli…

– Jeśli Clowance mu nie przebaczy.

– Nie chodzi o przebaczenie w znaczeniu religijnym, mamo. Jak wiesz, Clowance nie jest na tyle pobożna, by uważać to za swój obowiązek. Wspomniała, że chociaż używają tych samych słów, myślą o innych rzeczach. Zbierało się to w niej miesiącami, powoli zaczęła rozumieć, że całkowicie się różnią. Odrzuciła coś, nim stało się dla niej za trudne. Coś się popsuło. Bójka – kłótnia o Bena tylko to przyśpieszyła… Oczywiście Stephen jest wściekły.

– Wściekły?

– Tak. Uważa, że Clowance zerwała z nim bez powodu. Zdenerwował się godzinnym czekaniem w kopalni, potem pobił się z biednym Benem. To wszystko. Wysłał jej list z czymś w rodzaju przeprosin i jest wściekły, że ich nie przyjęła. Widzisz, droga mamo, Stephen ma swoją dumę, godność. Nie czuje się dumny z tego, co posiada, z nazwiska, reputacji ani manier, lecz jest dumny jako mężczyzna. Zna swoją wartość. Wie, jak patrzą na niego inne kobiety. Jest na tyle dojrzały i doświadczony, by rozumieć, co w nim widzą. Kocha Clowance – uważam, że szczerze ją kocha. Rozumie, że ożeniłby się z panną z dobrej rodziny, do czego nie uprawnia go status, ale ma bardzo silne poczucie własnej wartości. I to

chciał jej ofiarować: urodę, zdrowie, siłę, doświadczenie, męskość – jest bardziej atrakcyjny jako mężczyzna niż wszyscy ludzie w okolicy. Przypomina uzbrojoną po zęby fregatę, sprawną, znakomicie przygotowaną do boju, która zamierza dokonać abordażu pięknego białego szkunera. Teraz, gdy wymieniono salwy burtowe, nie ma zamiaru się poddać tak samo jak Clowance.

– Nie jest to łatwe ani dla Clowance, ani dla Stephena.

– Nie.

– Może potrzebują czasu?

– Czy kiedykolwiek chciałaś, żeby się pobrali?

– A ty?

– Nie wiem. Doskonale rozumiem Clowance. Jednak towarzystwo Stephena przez cały czas dodaje mi bodźca, podniety…

– Chcę tylko, żeby była szczęśliwa.

– Wszyscy tego chcemy. Oprócz Stephena, który chce zdobyć Clowance w zupełnie inny sposób.

Demelza zsunęła się z murku. Chociaż odpoczęły jej nogi, siedzenie na nim nie było wygodne. Nie podobało się dziecku.

– A Cuby?

– Wiesz, że rozmawiałem z nią na wyścigach?

– Tak, tak.

– Później już nie, ale to spotkanie bardzo pomogło. Było… frywolne. Oboje wypiliśmy trochę wina, świeciło słońce, ale nie wierzę…

– Dobrze. Bardzo się cieszę… Chciałabym ją poznać.

– I poznasz… jeśli moje zaloty posuną się naprzód.

Schodzili w stronę Nampary. Jeremy znów wziął matkę pod rękę.

– Kiedy rodzina jest ze sobą tak blisko związana jak nasza, staje się straszliwie bezbronna – powiedziała Demelza. – Każdy obcy, który chce zostać jej członkiem, powinien czuć, że jest mile widziany, stać się jej częścią. Ale istnieje niebezpieczeństwo…

– Niebezpieczeństwo?

– Że obcy interesuje się tylko osobą, którą chce poślubić, i nie podoba mu się wszystko, co istniało wcześniej. Naprawdę nie podoba, do tego stopnia, że chciałby to zniszczyć. Krewni otaczający ukochaną osobę budzą w nim odrazę, należą do innej, minionej epoki. Chce zdobyć męża lub żonę, a potem zacząć nowe życie.

– Skąd przychodzą ci do głowy takie myśli? – spytał Jeremy. – Nigdy ci się to nie przytrafiło.

– Nigdy mi się to nie przytrafiło, ale byłam tego świadkiem – odparła Demelza.

– Mówiąc poważnie, wolałbym, żeby Clowance poślubiła Stephena, a nie jakiegoś mdłego, pozbawionego charakteru półgłówka, który chciałby tylko sprawiać jej przyjemność – odparł Jeremy. – Jednak, jako jej brat, miałem poważne wątpliwości co do tego małżeństwa. Może nic złego się nie stanie i trzeba im dać trochę więcej czasu?

Demelza obserwowała, jak coś się porusza w splątanej trawie przy murze.

– Podobno Emma słyszała, że Rosjanie odnieśli zwycięstwo, wielkie zwycięstwo nad Napoleonem. Nie wiem, czy to prawda. Mówi, że powiedział jej o tym Stephen.

– Byłoby zdumiewające, gdyby jeden z naszych sojuszników wreszcie zdołał zrobić coś użytecznego! Któregoś dnia czytałem o subsydiach płaconych przez Anglię każdemu krajowi walczącemu z Napoleonem. Co roku wydajemy na to miliony, a jesteśmy tak małym krajem! Jak dotąd otrzymaliśmy w zamian bardzo niewiele.

– Wczorajszy list Geoffreya Charlesa trochę mnie przeraził. Wygląda na to, że wrócili do punktu wyjścia i muszą zaczynać wszystko od początku.

– Mam nadzieję, że nie jest tak źle – odparł Jeremy. – Ale mimo to czasem się zastanawiam…

– Nad czym?

– Wiesz. Czy nie powinienem być razem z nim.

Demelza pomyślała, że może nie powinna poruszać tego tematu. Czy nie lepiej jednak rozmawiać

otwarcie?

– Chyba wiesz, że na początku nowego roku ojciec wyjedzie do Londynu?

– Tak… Czasem można mieć kilka obowiązków, prawda? Zależy, który jest ważniejszy… – Jeremy kopnął kamień. – Chciałbym, żeby Ben nie zachowywał się jak głupiec i wrócił. Ma sztywny kark i jest cholernie uparty… Tak dobrze się zna na kopalniach, że nadaje się na stanowisko nadsztygara. Curnow i Nanfan mogą się zajmować maszynami równie dobrze jak ja.

– A twoja nowa maszyna do wyciągania rudy?

– Zacznie działać w marcu lub kwietniu. W sumie to dość prosta konstrukcja. Kiedy ktoś rozumie zasadę działania, nie powinna sprawiać kłopotów. Ale szczerze mówiąc…

– Tak?

– Przyznaję, że nie mam ochoty zostać żołnierzem. Nie marzę, by zdobyć chwałę lub zginąć – to nie leży w mojej naturze. Sądzę, że nawet dyscyplina wojskowa byłaby bardzo irytująca… Oczywiście mogę się przekonywać, że maszyna w Wheal Leisure jest ciągle nowa, że musi się sprawdzić w dłuższym okresie. A teraz po rozmowie z Cuby… Gdybym wyjechał, straciłbym wszelkie szanse, że coś z tego wyjdzie… Jak widzisz, tchórzostwo potrafi znaleźć wiele wymówek…

– Co to ma wspólnego z tchórzostwem? To po prostu wybór, którego musisz dokonać, prawda? Dobrze wiesz, Jeremy, że gdybyś naprawdę chciał zostać żołnierzem, ani ojciec, ani ja nigdy byśmy się nie sprzeciwiali. Skoro niezbyt ci na tym zależy, nie powinieneś myśleć, że się boisz. Stephenowi Carringtonowi nie przyszło do głowy, że powinien wstąpić do marynarki wojennej – według Clowance wdał się w bójkę, żeby tego uniknąć! Tak samo postąpił jego przyjaciel Paul Kellow. Horrie Treneglos siedzi w domu. Mogłabym wymienić tuzin innych młodych mężczyzn w twoim wieku, więc po prostu postępujesz tak samo jak wszyscy.

– Tak, o tak – westchnął Jeremy. – Ale ich ojcowie nie byli żołnierzami.

– To niezbyt mądra uwaga – odparła Demelza. – Raczej głupia. Twój ojciec służył w wojsku zaledwie cztery czy pięć lat. Jest znany – przynajmniej w Kornwalii – jako kapitan Poldark, ponieważ jest właścicielem kopalni, a nie dlatego, że walczył w Ameryce. Jeśli chcesz iść w ślady ojca, możesz kandydować do Izby Gmin!

Jeremy się roześmiał.

– Razem z Valentine'em.

– Emma opowiada – ciągnęła Demelza, nerwowo przestępując z nogi na nogę – Emma opowiada, że ty, Paul Kellow i Stephen siedzicie razem w gospodzie Pod Herbem Gwarków i zachowujecie się, jakbyście odbywali narady wojenne.

– Tak powiedziała?

– Tak.

Jeremy znów się roześmiał, lecz tym razem bardziej ponuro.

– Wierz mi, mamo, nie rozmawiamy o wojnie z Francją. To tylko fanfaronada.

– Mam nadzieję.

Ruszyli w dół doliny. Demelza się zachwiała.

– Źle się czujesz, mamo?

– Nie! – odpowiedziała. – Wcale nie tak źle. Ale mam wrażenie, że dziecko przekręca się we mnie od czasu do czasu. Nic dziwnego, skoro ma taką rodzinę.

– Będę zazdrosny, jeśli urodzi się kolejny chłopiec – rzekł Jeremy. – Będzie chciał moje drewniane zabawki, których nie pozwalałem dotykać Clowance i Belli brudnymi łapami.

– Widzę Dwighta i ojca – odezwała się Demelza. – Ależ mają zaniepokojone miny! Czy nie przypominają pary kwok, Jeremy? Prawda?

Była lekko spocona i czuła, że gorączka wróciła.

III

Geoffrey Charles napisał:

Miał to być wielki triumf. Zwycięstwo pod Salamanką zapowiadało koniec wojny, jednak nasze nadzieje rozwiały się pod twierdzą Burgos. Nie wiem, czy jego lordowska mość przeliczył się z siłami, bo mnie tam nie było, ale jest oczywiste, że czeka nas jeszcze wiele bitew, nim wyprzemy żabojadów z Hiszpanii.Lekka dywizja pozostała z Hillem w Madrycie, ku wielkiemu niezadowoleniu żołnierzy, a sześć tygodni później opuściła stolicę i pomaszerowała na północny zachód. Spotkaliśmy się z Wellingtonem i jego cofającymi się wojskami nad rzeką Tormes – zdaje się, że ósmego listopada. W tym czasie pierwsza dywizja była w żałosnym stanie: tysiące żołnierzy upiło się do nieprzytomności winem z Torquemady, po czym wzięli ich do niewoli Francuzi podążający ich śladem.Mimo to wszystko byłoby dobrze, gdyby nie ten dureń Gordon – pułkownik Gordon (epitety, na jakie zasługuje, nie nadają się do zacytowania). Nasza część armii, dowodzona przez Hilla, była w dobrym nastroju. W oddziałach Wellingtona panowało lekkie rozprzężenie, lecz żołnierze walczyliby dzielnie, gdyby napotkali Francuzów. Ale Gordon, nasz główny kwatermistrz, skierował transport prowiantu trzydzieści kilometrów dalej, więc w pierwszym tygodniu maszerowaliśmy na zmniejszonych racjach, a przez ostatnie cztery dni cofania się nie mieliśmy w ogóle żadnej żywności, z wyjątkiem dzikich orzechów z pól i tego, co zdołaliśmy ukraść po drodze. W końcu zmieniliśmy się w zgraję maruderów, przemoczonych przez deszcz, dręczonych febrą i grzęznących po kostki w błocie. Żołnierze walczyli ze sobą o jedzenie i marli jak muchy. Kiedy w końcu dotarliśmy do Ciudad Rodrigo, wyglądaliśmy jak armia, która poniosła sromotną klęskę, choć stoczyliśmy z Francuzami tylko kilka potyczek, nie wydając im walnej bitwy!Stary Douro jest wściekły i rozgoryczony.Chciałbym jednak zakończyć te lamenty bardziej optymistycznym akcentem. Ja i Hamilton – czy Stryj kiedyś go spotkał? – ja i David Hamilton od dwóch tygodni kwaterujemy w domu uroczej hiszpańskiej rodziny w Ciudad. Señor Amador de Bertendona jest posłem do Kortezów i mieszka na stałe w Madrycie, ale kiedy Wellington opuścił stolicę, nasz gospodarz również postanowił wyjechać do Ciudad z żoną i rodziną. Jest znanym przeciwnikiem Francuzów i obawia się represji.Señora de Bertendona, z pochodzenia Portugalka, i jej troje dzieci są bardzo sympatyczni. Dwaj synowie to osiemnastoletni Martin i dwunastoletni Leon; córka ma około dziewiętnastu lat, nosi imię Amadora i uchodzi za piękność. Nie kwestionuję tej oceny. Wszyscy są wyjątkowo uprzejmi, choć mają wiele problemów: pod ich dachem mieszkają nie tylko dwaj angielscy oficerowie, ale również ksiądz i siedmiu hiszpańskich partyzantów, którzy z różnych powodów musieli uciekać! Na szczęście mówię już dobrze po portugalsku i znośnie po hiszpańsku, a wszyscy Bertendonowie z wyjątkiem señory znają trochę angielski.Chociaż w wojsku w dalszym ciągu umiera wskutek chorób około pięciuset żołnierzy tygodniowo, ci, którzy przeżyli, szybko odzyskują ducha i chęć walki. Tytoń i podobne luksusy są tanie, a porto señora de Bertendony jest wspaniałe! Wkrótce będziemy polować z psami na lisy, by odzyskać zdrowie i siły i, oczywiście, czymś się zająć w zimie. Mam tylko nadzieję, że będę mógł pozostać w swojej obecnej kwaterze!Jak zwykle proszę, byście przekazali moje najserdeczniejsze pozdrowienia i wyrazy szacunku wszystkim moim znajomym, w stopniu, jaki uznacie za stosowne.Mam przeczucie, że wkrótce odwiedzę Trenwith!Przesyłam Wam Obojgu wyrazy miłościGeoffrey Charles

Rozdział trzeci

I

Jako uczciwa dziewczyna – uczciwa zarówno wobec siebie, jak i innych – Clowance nie wmawiała sobie, że była szczęśliwa lub zadowolona w czasie wizyty u Verity. Mimo to starała się być miła i częściowo udało jej się oszukać kobietę, którą zawsze traktowano w rodzinie jak ciotkę, choć w istocie była siostrą stryjeczną Rossa. Po ostatnim spotkaniu ze Stephenem Clowance z ulgą przyjęła perspektywę wyjazdu. Jej miłość do młodego marynarza, często pozostająca w sprzeczności z chłodnymi ocenami, zmieniła się w niesmak – rozsądek i emocje wreszcie się ze sobą zgadzały. Nie było jej przez to łatwiej. Jednak teraz życie stało się znośniejsze, ponieważ przedmiot jej myśli i kapryśnych uczuć nie mógł wyskoczyć zza każdego rogu jak diabeł z pudełka.

Po zerwaniu przez tydzień prawie nie spała. Nieustannie, z monotonną jednostajnością, przypominały jej się wydarzenia tamtego dnia: słowa Stephena, jej własne słowa, słowa Bena, ohydna bójka, która trwała zaledwie trzy minuty, lecz świadczyła o brutalności mężczyzn, nienawiści, rywalizacji, pragnieniu okaleczenia przeciwnika. W dalszym ciągu słyszała głuche uderzenia, stłumione przekleństwa, chrapliwe oddechy, tupot stóp, odgłos zderzających się ciał. Wcześniej sądziła, że gdyby dwóch mężczyzn pobiło się o nią, sprawiłoby jej to przyjemność. Ale wyobrażała sobie rycerski pojedynek. Ta bójka nie miała w sobie nic rycerskiego – była wstrętna, bezwzględna, przerażająca. Clowance żyła w brutalnej społeczności w brutalnej epoce, lecz jeszcze nigdy nie widziała dwóch mężczyzn walczących jak psy.

Nieustannie przypominała sobie to, co mówił Stephen, to, co mówiła ona sama, to, co mówił Ben. Ciągłe powtórzenia nie pomagały zasnąć, działały odwrotnie – całkowicie uniemożliwiały sen.

W grudniu utrzymywała się piękna pogoda, niekiedy padało, jednak najczęściej świeciło słońce i wiały ciepłe jesienne wiatry. Słońce oświetlało biały fronton domu Blameyów, który przywodził na myśl drzemiącego kota. Rzeka lśniła, a widoczne na jej powierzchni niebieskie cienie i barwne refleksy były rozpraszane tylko przez łodzie rybackie płynące do Penryn, korakle przewożące kogoś na drugi brzeg, stadka łabędzi sunące z prądem. Po drugiej stronie zatoki leżało na wzgórzu Falmouth, szare, zgarbione i zadymione, lecz nocą wyglądało jak baśniowy zamek oświetlony tysiącem latarń.

Clowance zawsze lubiła pływać łodzią, choć na północnym wybrzeżu Kornwalii było to ryzykowne ze względu na przybój. Tutaj wystarczyło po prostu zejść na nabrzeże, odwiązać cumę i odbić od brzegu. Dlatego mimo zimy spędzała codziennie dwie lub trzy godziny na rzece Penryn, a czasami płynęła w drugą stronę, wokół przylądka Trefusis Point, w stronę zatoki Carrick Roads i rzeki Fal. W porcie prawie zawsze cumowało kilka statków pocztowych i Andrew Blamey senior odwiedzał z nią zaprzyjaźnionych kapitanów. Schodzili do niewielkich kajut, wspominali dawne czasy, wymieniali najświeższe nowiny i pili wino. Dowódcy zawsze odnosili się do Clowance uprzejmie – z wyjątkiem pewnego starca, który czuł niepokój, że obecność kobiety na pokładzie przyniesie mu pecha.

Clowance słuchała opowieści o szybkich czterodniowych rejsach z Lizbony, udanych ucieczkach statków pocztowych przed nieprzyjacielem, długich bitwach pościgowych, nieustannym zagrożeniu sztormami i korsarzami. Słuchała kapitana Erskine'a, który opowiadał o utracie siostrzanej jednostki Princess Amelia, wracającej do Anglii z St Thomas's – po dwugodzinnej walce zdobył ją amerykański statek korsarski o nazwie Rossi. W czasie bitwy zginęli kapitan, oficer nawigacyjny i trzech członków załogi, a dziewięciu odniosło rany; poza tym stracono pocztę. (Rossi wysadził rannych na ląd w Gibraltarze i niedawno dotarli oni do Anglii).

Tydzień później – w przeddzień wizyty Valentine'a – do domu przyszedł inny kapitan, Morrison, i powiedział, że amerykańska fregata o nazwie United States pokonała fregatę brytyjskiej marynarki wojennej HMS Macedonian, dowodzoną przez kapitana Cardera i uzbrojoną w trzydzieści sześć dział.

– Przykra historia – oświadczył Morrison. – Macedonian dysponował znacznie mniejszą siłą ognia i opuścił banderę dopiero wtedy, gdy zmienił się we wrak, ale dlaczego nasze fregaty są takie słabe?! United States miał siedemdziesiąt cztery działa, załogę złożoną z pięciuset marynarzy, wyłącznie

ochotników, trzydzieści długolufowych dwudziestoczterofuntówek, moździerze na bocianich gniazdach oraz karonadę pościgową na górnym pokładzie. Znakomita konstrukcja. Okręt mogący go doścignąć nie zdołałby go zatopić. A taki, który byłby w stanie go zatopić, nigdy by go nie doścignął.

– To wieczny problem w wojnie morskiej już od czasów Wielkiej Armady – zauważył Andrew Blamey senior.

– Nelson go rozwiązał – odparł Morrison.

– O tak. Jest w tym mistrzem. Ale nie da się powstrzymać samotnego korsarza. Musisz przyznać, że Amerykanie to świetni marynarze.

Clowance prawie zawsze przebywała z wujem i ciotką. Dni były krótkie i szybko mijały, a wieczory, spędzane przy świecach stojących wokół kominka, zbyt długie. Kiedy we wtorek zapadł zmrok, stukot kopyt na ulicy nie wydał się niemiły. Janet wprowadziła do saloniku dwóch młodych mężczyzn.

– Przyjdę dopiero za kilka minut – powiedziała Verity. – Powitaj ich w moim imieniu, dobrze?

Valentine stał odwrócony tyłem do kominka, grzejąc plecy. Jego smagła, pociągła twarz rozjaśniła się na widok Clowance.

– Kuzynka Clowance, na Boga! Świat stanął na głowie! Cóż za rozkoszny *bouleversement*! Myślałem, że już jesteś mężatką! A może odwiedziłaś ciotkę po zakończonym miesiącu miodowym?

– Nie – odparła Clowance.

Pochylił się nad jej dłonią, a później pocałował ją w usta, nie odrywając swoich ust przez chwilę.

– Znasz Toma Guildforda?

– Nie, nie znam.

– To moja kuzynka Clowance Poldark. Tom jest siostrzeńcem lorda Devorana i przyjechał na Boże Narodzenie do Kornwalii. Przybyliśmy zaledwie wczoraj. Tom, czy mógłbym ci przedstawić swoją kuzynkę, pannę Clowance Poldark? A może panią Carrington? Jak mam cię nazywać?

– Na razie pannę Poldark – odpowiedziała Clowance.

Tom Guildford był niższy od Valentine'a, lecz tak samo śniady i chudy, choć mocno zbudowany. Niezbyt przystojny, ale miał miły uśmiech. Pochylił się nad dłonią Clowance.

– Proszę, wyjaśnij, kuzynko – rzekł Valentine. – Jest tu Stephen?

– Nie.

– Odrzucony? W niełasce? Za burtą?

– Wszystko naraz – odparła Clowance, wreszcie się uśmiechając.

– „Czysty miesiąc miodowy stał się nagle ciemny, pochłonęły go mroczne, tajemne odmęty". Jakie to dziwne! Znajduję wyjątkowo skandaliczną przyjemność w dopytywaniu o cudze sprawy. Tom, moja piękna kuzynka była zaręczona z przystojnym żeglarzem o nazwisku Carrington, ale kiedy ponuro zapijałem się na śmierć w Cambridge, wszystko się zmieniło! W czasie jednego semestru! Gdy we wrześniu startowałem w wyścigach na swojej starej chabecie, przyszłaś razem ze Stephenem, Clowance, i wydawało się, że panuje między wami zgoda. Minęły zaledwie dwa miesiące! Powiedz, czy wszyscy Blameyowie wpadli w piekielną otchłań? Poznaję Janet, ale…

– Ciotka za chwilę zejdzie. Wuj jest w Falmouth, powinien wrócić w ciągu godziny.

– A Andrew?

– Ciągle na morzu. Zdaje się, że jego statek ma przypłynąć w piątek albo w sobotę.

– Ach, wpadliśmy właśnie w nadziei, że może zagra z nami wieczorem partyjkę tryktraka.

– To z pewnością wielkie rozczarowanie – odparła Clowance.

– Wręcz przeciwnie! Nie proszę, żebyś z nami grała, ale musisz przyjechać jutro do Cardew! Wydajemy przyjęcie, by uczcić zwycięstwa Rosjan.

– Odnieśli zwycięstwo?

– Ależ tak, kuzyneczko! Choć jeszcze nikt nie wie, jak wielkie. W całym kraju aż huczy od plotek! Tak czy inaczej, potrzebuję pretekstu, by wydać przyjęcie. Czy istnieje lepszy powód? Przekonałem nawet odlewnika George'a!

Rozmawiali dalej. Valentine prawie bez przerwy paplał. Clowance, z natury spokojna, nie

przepadała za gadatliwością kuzyna, lecz wesoły trajkot sprawił, że jej obolałe serce poczuło ulgę. Śmiała się szczerze po raz pierwszy od tygodni.

Po jakimś czasie nadeszła Verity, pili wino, żartowali i rozmawiali z ożywieniem. Młodzi ludzie nie przyjęli zaproszenia na kolację, ale przed wyjściem skłonili Clowance, by obiecała, że nazajutrz przyjedzie do Cardew i spędzi tam noc. Ponieważ Andrew senior uważał, że Valentine ma zły wpływ na Andrew juniora, był zadowolony z nieobecności syna.

Kiedy później usiedli we troje do domowej kolacji, Clowance pomyślała, że Tom Guildford prawie się do niej nie odezwał.

Ale bez przerwy na nią patrzył.

II

Sir George Warleggan – który obdarłby syna ze skóry, gdyby usłyszał jego obraźliwy epitet – nie zamierzał wydawać dużego przyjęcia ani zapraszać wielu gości. Życie towarzyskie George'a, podobnie jak inne jego zajęcia, zwykle odznaczało się rozsądkiem i celowością.

Jednak lady Harriet, którą w ciągu dwóch ostatnich miesięcy widywano głównie na polowaniach i która co wieczór wracała na kolację rozczochrana i zabłocona, nagle wyszła ze stajni i poparła pasierba. Nim George się zorientował, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Wynajęto muzyków, którzy czasem grywali w Assembly Rooms w Truro. Masztalerze, a nawet stajenni jeździli w promieniu piętnastu kilometrów z zaproszeniami dla pożądanych gości – w opinii George'a zupełnie niepożądanych. Przygotowano ogromne ilości jedzenia, które ułożono na półmiskach i paterach.

Zaproszone osoby zaczęły się zjeżdżać około piątej, gdy zapadał zmrok, po czym wypełniły pomieszczenia rezydencji. W wielkim salonie grała orkiestra i kilka par tańczyło. Ponieważ przyjęcie zorganizowano ad hoc, można było zauważyć różne stroje, od oficjalnych po swobodne. George obserwował gości z niepokojem i niechęcią, których nie okazywał, ponieważ nie chciał sprawić przykrości Harriet. Miał wrażenie, że przyjęcie będzie go kosztowało tyle ile duży bal, i to dla śmietanki towarzyskiej hrabstwa.

Tego wieczoru pojawiły się specjalne wydania gazet podające szczegółowe informacje o porażce Napoleona. Krążyły wśród gości, wywołując radość i potwierdzając plotki z ostatnich kilku dni. Bonaparte stracił czterdzieści tysięcy żołnierzy między Moskwą a Smoleńskiem. Później Rosjanie zaatakowali wśród szalejącej zamieci w pobliżu Krasnoje, zabijając i biorąc do niewoli ogromną liczbę nieprzyjaciół. Zdobyli dwieście armat. Doborowe jednostki francuskiej kawalerii i gwardii cesarskiej – te, które ocalały z pogromu – próbowały powstrzymać nacierających Rosjan, by nie doszło do całkowitej klęski.

Trudno było w to uwierzyć, ale gazety podawały te wiadomości czarno na białym. Informacje pochodziły sprzed trzech lub czterech tygodni – były to oficjalne biuletyny wojenne, a nie plotki. Napoleon pokonany w bitwie. Sam Napoleon, nie jeden z jego marszałków – wielki strateg, geniusz militarny, kolos od dwudziestu lat władający Europą, potwór, którym matki straszą dzieci, ulubieniec fanatycznych wigów, mąż stanu wprawiający w drżenie całe narody – toczył boje opóźniające natarcie przeciwnika w śniegach Rosji, a jego wojska dziesiątkował tyfus!

W miarę upływu wieczoru przyjęcie nabierało wigoru. Od samego początku raczono się trunkami i nawet zwykle wstrzemięźliwi goście pili kilka kieliszków więcej niż normalnie, by uczcić wspaniałe nowiny. Wokół rozlegały się śmiechy.

Clowance znała wielu gości osobiście albo z widzenia. Major Trevanion, podobnie jak wielu innych dżentelmenów w czerwonym stroju myśliwskim, Clemency i Cuby Trevanion, stara lady Whitworth z twarzą pokrytą grubą warstwą pudru i z wnukiem podobnym do prosiaka. Clement Pope z małżonką w jaskrawozielonej sukni z dwiema ładnymi, lecz głupiutkimi córkami. Paul i Daisy Kellowowie, John i Ruth Treneglosowie z synem Horriem i sprawiającą kłopoty córką Agnetą. Lord Devoran z rozwiązłą, choć obecnie nieco postarzałą córką Betty. (Od lat nikt nie widział lady Devoran: nawet gdy odwiedzano jej dom, kryła się po kątach). Poza tym Eric Tweedy, syn bogatego adwokata z Falmouth. I Roberty Fox, kwakier. A także, oczywiście, Tom Guildford.

Wielu gości nie znała i domyślała się, że pochodzą głównie z Falmouth i ładnych małych dworów położonych w zielonych dolinach między rzekami Fal a Helford. W sumie przybyło około sześćdziesięciu osób. Księżyc wiszący nisko nad horyzontem i zapalone latarnie oświetlały duży żwirowany podjazd pełen karet, koni i plotkujących masztalerzy.

– Czy zechciałaby mnie pani uszczęśliwić w ten radosny wieczór, panno Poldark? – spytał Tom Guildford.

Ich twarze znajdowały się prawie na tym samym poziomie. Miał poważne oczy.

– Chętnie, panie Guildford, jeśli będę w stanie.

– Zatańczy pani ze mną?

Uśmiechnęła się.

– Naturalnie, że zatańczę, ale musi mi pan powiedzieć, co to za taniec! To nie tancerze mylą kroki, tylko muzycy grają coś dziwnego! Zdaje się, że Valentine spoił ich winem.

– Odgrażał się, że to zrobi. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Nie moglibyśmy improwizować? Proszę spojrzeć: kroczek w prawo, kroczek w lewo, potem obrót, ukłon i… i…

– I co dalej?

Wykonywał opisywane ruchy. Nagle zatrzymał się i roześmiał.

– Spróbujmy.

– Dobrze – odpowiedziała Clowance. – Spróbujmy.

Okrążyli salę, tańcząc i śmiejąc się. Na szczęście w ostatniej chwili przed wyjazdem z Nampary Clowance spakowała suknię z czerwonego brokatu noszoną w Bowood, więc miała na sobie bardziej elegancki strój od większości obecnych dam. Guildford nosił błękitny jedwabny surdut zapięty pod szyją, kaszmirowe spodnie sięgające do kolan, białe pończochy i lakierki. Sir George, zmierzający w stronę majora Trevaniona, z którym miał nadzieję zawrzeć umowę, przystanął na chwilę, by popatrzeć na Clowance i Guildforda. Nie wiedział, że Clowance Poldark pojawi się dziś wieczorem w Cardew. Bogu dzięki, że nie przyjechał jej bezczelny brat. W dalszym ciągu odczuwał niepokój, patrząc na tę kobietę, dziewczynę, którą po raz pierwszy spotkał przed dwoma laty, gdy kradła naparstnice na terenie jego posiadłości w północnej Kornwalii – podziwiał jej olśniewającą urodę, szczerość i niewinność, świeżość cery. To, że nie była bardzo chuda, nadawało jej wygląd dojrzałej brzoskwini, smukłej, ukształtowanej, gotowej do zerwania. Ta przeklęta dziewucha z pewnością ma narzeczonego albo męża, a jeśli nie, powinna wyjść za mąż i raz na zawsze zniknąć z rynku panien na wydaniu – czy naprawdę jest taka niewinna, jak mogłoby się wydawać, skoro tańczy w taki sposób?!

Odszedł, czując lekki niepokój. Ktoś chwycił go za ramię.

– Wuj George!

Był to Conan Whitworth, wysoki, gruby chłopiec z oczami jak paciorki i krótkimi włosami przypominającymi mysie futerko.

– Tak? – George nie znosił, gdy ten szesnastolatek nazywał go wujem, choć w ogóle nie byli spokrewnieni. Conan nosił surdut z brązowego sztruksu, żółtą koronkową koszulę i brązowy halsztuk. Czy on również miał się stać dandysem, tak samo jak ojciec? Obecny wygląd nie wróżył mu sukcesów.

– Babcia mówi, że kolacja będzie dopiero o dziewiątej. Skróciliśmy obiad, by przyjechać na czas do Cardew, a te herbatniki nie są zbyt pożywne.

– Żyw się własnym tłuszczem, chłopcze! – rzucił George. – Do kolacji została zaledwie godzina. Zajmij się zdrowymi ćwiczeniami fizycznymi, by wypełnić czymś czas. – Odszedł.

Conan dotknął pryszcza na twarzy i spoglądał na plecy oddalającego się George'a. Nagle z tyłu rozległ się szyderczy głos:

– Żyw się własnym tłuszczem, chłopcze!

Była to mała Ursula Warleggan – w tej chwili już nie taka mała, tylko gruba, w ciemnozielonej aksamitnej sukience.

– Czego chcesz?

– Słyszałeś, co powiedział papa! Zajmij się jakimiś zdrowymi ćwiczeniami, by wypełnić czymś czas!

– Mam ochotę zbić cię kijem – powiedział Conan. – To na pewno będzie zdrowe ćwiczenie.

– Tylko spróbuj! – odparła Ursula. – Spróbuj mnie tknąć, a zacznę tak wrzeszczeć, że orkiestra przestanie grać. No już, spróbuj! Tylko mnie dotknij!

Conan wyciągnął gruby palec. Ursula otworzyła usta, by krzyknąć.

– Nie dotykam cię – powiedział Conan, szczerząc zęby. – Palec wisi w powietrzu. Popatrz, mogę go zbliżyć do twojego nosa.

Ursula usiłowała uderzyć go w rękę, ale Conan był dużo szybszy i cofnął dłoń.

– Gruba, tłusta ropucha! – zawołała dziewczynka.

– Mała, tłusta ropucha! – odciął się Conan.

– Jeśli będziesz niegrzeczny, każę mamie poszczuć cię psami! – Uciekła.

– To nie twoja mama! – zawołał, lecz udawała, że nie słyszy.

Obserwował ją, aż wyszła z pokoju. Zastanawiał się, czy za nią pójść, po czym zmienił zdanie i podążył za sir George'em.

– Jak długo zostanie pani u pani Blamey? – spytał Tom Guildford.

– Och, lada dzień powinnam wrócić do domu – odpowiedziała Clowance. – Tak się umówiliśmy.

– Valentine mówi, że pani dom jest niedaleko za St Ann's na północnym wybrzeżu.

– To prawda.

– Mogę zatem panią odwiedzić?

Próbowali wykonać kilka dodatkowych kroków w takt muzyki, potknęli się i wybuchnęli śmiechem.

– Mogę zatem panią odwiedzić?

– Spodziewam się, że Valentine zechce złożyć nam wizytę.

– Ale czy mogę panią odwiedzić, panno Poldark, z Valentine'em lub bez niego?

– Moja matka… Och, ta muzyka! Co będzie po kolacji?

– Pani matka?

– Lada dzień spodziewa się piątego dziecka. W naszym domu może panować bałagan.

– Nie przyjadę oglądać państwa domu.

– Tak, oczywiście… Więc niech pan przyjedzie. Naturalnie pod warunkiem że matka będzie się dobrze czuła.

– Coś jej dolega?

– Trochę chorowała, co zdarza się wyjątkowo rzadko. Może pan uważać za dziwne, że nie jestem teraz razem z nią, ale to jej polecenie… Woli, żebym nie przebywała w domu, podobnie jak brat.

– Wolałaby pani, żebym najpierw napisał?

– Nie ma takiej potrzeby. Prawdopodobnie wszystko się wyjaśni przed moim powrotem.

III

Kolacja minęła błyskawicznie i zniknęła – dosłownie zniknęła. Harriet zamówiła dwa razy więcej jedzenia, niż pierwotnie zamierzał George, i w tej chwili spoglądała z rozbawieniem na puste półmiski, stosy talerzy i leżące na nich resztki zapiekanek. George odezwał się do niej z irytacją, ona zaś wybuchnęła śmiechem.

– Aby przygotować omlet, trzeba rozbić jajka, George, rozbić jajka… To jedyny sposób. Czy mieliśmy kiedyś lepszą okazję na… na taki omlet?!

Nie pojmował, o czym Harriet mówi, i wątpił, czy sama coś z tego rozumie. Nie znosił widoku podpitych kobiet, zwłaszcza własnej żony. Elizabeth nigdy by się tak nie zachowała. Wygląd Harriet prawie się nie zmienił, jej głęboki, rozwlekły głos stał się nieco ochrypły, a przepiękne oczy nabrały figlarnego wyrazu jak w chwilach, kiedy miała ochotę na seks. Nawet gdyby George pragnął skorzystać tego dnia ze swoich praw małżeńskich, nie wchodziło to w rachubę, ponieważ dom wypełniało hałaśliwe towarzystwo, które miało w nim pozostać do późnej nocy.

Tuż przed kolacją orkiestra zagrała *Boże, chroń króla*. Powtórzyła hymn po posiłku i wszyscy zaczęli śpiewać. Pod względem muzycznym wypadło wątpliwie, lecz goście wydawali się zadowoleni.

Niektóre damy miały łzy w oczach. Uczestników przyjęcia ogarnął głupi patriotyczny nastrój, sentymentalny i pozbawiony logiki, jakby zwycięstwo odnieśli Brytyjczycy, a nie Rosjanie – jakby wojna naprawdę się skończyła. George bardzo w to wątpił. Bonaparte i Francuzi potrafią błyskawicznie odzyskiwać siły, a poza tym czy to zwycięstwo rzeczywiście jest tak całkowite, jak się wydaje? Rosjanie, Niemcy, Austriacy, Hiszpanie ani Portugalczycy nigdy nie odnieśli znaczących sukcesów w walce z Napoleonem.

Spoglądał z niechęcią na otaczający go tłum, a później zaczął rozmyślać o interesach. Jeśli jakimś cudem oznacza to koniec wojny, w tej chwili nic na tym nie zyska. Może nie należało się pozbywać inwestycji na północy Anglii i nie sprzedawać ich z wielką stratą w zeszłym roku?!

Przynajmniej sfinalizował transakcję z Trevanionem. Ustalili wszystkie szczegóły, podpisali dokumenty. Będzie to sporo kosztować, lecz George zawarł znakomity układ. Wkrótce należy o nim poinformować oboje młodych ludzi.

Clowance zamieniła przy kolacji kilka słów z Cuby Trevanion. Nie znosiła tej dziewczyny, która unieszczęśliwiła Jeremy'ego, ponieważ chciała bogato wyjść za mąż, by pomóc własnemu bratu. Gdyby Jeremy jej się nie podobał – Clowance nie mogła uwierzyć, że jakakolwiek dziewczyna mogłaby pozostać obojętna wobec jej brata – źle by to o niej świadczyło. Jednak Jeremy twierdził, że Cuby coś do niego czuje – przynajmniej dała mu to do zrozumienia – po czym z zimną krwią odrzuciła jego zaloty, bo nie miał dość pieniędzy. Było to coś niewybaczalnego, trudnego do zniesienia. Na wyścigach chyba się pogodzili, choć sytuacja pozostała wyjątkowo niepewna. Teraz Clowance chciała zrobić wszystko, by pomóc bratu.

Uśmiechały się do siebie, rozmawiały o ciepłym wieczorze i zdumiewających nowinach. Clowance zdała sobie sprawę, że Cuby jest naprawdę ładna, znacznie ładniejsza, niż wydawało się na Wielkanoc. Kiedy zaczynała mówić, nadąsana mina znikała, a twarz wypełniała się światłem, co przywodziło na myśl słońce wychodzące zza chmury, szczególnie jasne, bo przed chwilą zasłonięte.

Cuby powiedziała mimochodem, jakby była to nieistotna rzecz, która nagle jej się przypomniała, że nie zauważyła dziś wieczorem Jeremy'ego. Nie, potwierdziła Clowance. Może go nie zawiadomiono? „Naturalnie, że wysłałem mu zaproszenie" – wtrącił Valentine, który siedział obok i nakładał lody Selinie Pope. Masztalerz nie zastał go w domu, podobno Jeremy pojechał do Hayle. „Hayle?" – zdziwiła się Clowance. „Masztalerz nic więcej nie powiedział" – odparł Valentine, po czym zwrócił się do pani Pope, by pozwoliła sobie nałożyć więcej lodów. Twierdził, że jest szczuplejsza od swoich córek, a jeśli trochę lodów się zmarnuje, nie ma się czym przejmować. Zapytał też, czy mógłby zanieść porcję panu Pope'owi.

To, że pan Pope przybył do Cardew, było wielką niespodzianką i wielkim błędem. Po raz pierwszy od kilku miesięcy pojawił się w towarzystwie, w ostatnim czasie czuł się znacznie lepiej, więc postanowił przyjąć zaproszenie i przyjechał z całą rodziną. Wiedział, że sir George to poważny, dystyngowany dżentelmen obracający się w najlepszym towarzystwie, toteż spodziewał się eleganckiego przyjęcia, w którym warto uczestniczyć. Nie wziął pod uwagę osobowości nowej żony pana domu. Siedział w tej chwili w przedsionku, w czarnym fraku z wysokim kołnierzykiem, sztywny, wyjątkowo podobny do Robespierre'a, przy nietkniętym kieliszku porto, z dobrodusznym wyrazem twarzy skrywającym irytację. Od czasu do czasu podchodziła do niego jedna z córek lub żona, by nie siedział zupełnie sam.

W rogu sali balowej Betty Devoran uwodziła młodego, wysokiego Walijczyka z oddziałów milicji z Brecon ze szpetnymi znamionami na czole i policzku. Betty nie przejmowała się takimi drobnostkami. Nigdy nie wyszła za mąż i prawdopodobnie miała na zawsze pozostać panną, choć dobrze poinformowane osoby twierdziły, że we wsiach w różnych częściach Kornwalii mieszka co najmniej troje jej nieślubnych dzieci. Nigdy nie potrafiła się oprzeć urokowi pary spodni, lecz uwodziła mężczyzn z takim poczuciem humoru i oczywistą przyjemnością, że eleganckie towarzystwo przymykało na to oko. Wszyscy wiedzieli, jaka jest Betty.

W innym kącie Horrie Treneglos emablował brzydko ubraną Angelę Nankivell, jedyną córkę Arthura Nankivella, który poślubił pannę Scobell i stał się bogatym człowiekiem. Dwudziestoczteroletni

Horrie miał dziwne zamiłowanie do brzydko ubranych dziewcząt. Spał z wieloma, ale jak dotąd z żadną się nie związał ani nie miał poważniejszych problemów, nie licząc dwóch procesów o ustalenie ojcostwa, które zmuszały jego rodziców do kwartalnego płacenia alimentów służącym bez środków do życia. Tego wieczoru John i Ruth Treneglosowie obserwowali syna z drugiego końca sali z wielkim zadowoleniem. Nie wydawało się prawdopodobne, że zdobędzie Angelę bez ślubu, a takie małżeństwo byłoby spełnieniem ich marzeń. Treneglosowie pochodzili ze starego rodu i mieli majątek ziemski, nigdy jednak nie dysponowali dużą ilością dziwnych liczmanów zwanych pieniędzmi. Prowadzili wygodne życie, ale zawsze brakowało im gotówki. Arthurowi Nankivellowi i jego córce gotówki nigdy nie brakowało.

Po kolacji Tom Guildford tańczył z Clowance jeszcze kilka razy. Opowiedziała mu o swojej rodzinie. Tom stwierdził, że jego wuj to jedyny utytułowany krewny; poza nim nikt inny nie ma tytułu szlacheckiego. Nazwisko wskazuje na kornwalijskie pochodzenie; są spokrewnieni z Killgrewami, ich ród wygasł. Jego ostatni przedstawiciel, Thomas Guildford Killgrew, przyjaźnił się z lordem Devoranem, którego majątek znajduje się w pobliżu Kea w okolicach Truro. Przyjęcie miało swobodny, wręcz artystyczny charakter, więc mogli tańczyć ze sobą, ile chcieli, lekceważąc konwenanse. Tom Guildford był bardzo miły i Clowance nie mogła się oprzeć jego zalotom.

Kiedy zegary wybiły dwunastą, Betty Devoran odtańczyła taniec solo. Nie przygotowała się do występu, który był wynikiem przypływu natchnienia po alkoholu. Hałas wywołany przez Betty i muzyków zdenerwował dogi lady Harriet, jak dotąd zachowujące się spokojnie. Ich straszliwe ujadanie sprawiło, że zatrzęsły się ściany. Później tańce stały się jeszcze bardziej swobodne i trwały do pierwszej, gdy George z surową miną podszedł do chwiejących się muzyków i oznajmił, że pora kończyć. Nagle w sali pojawił się lokaj szukający panny Clowance Poldark. Zgrzana i rozczochrana, ruszyła w stronę służącego, który wręczył jej list od ojca, pośpiesznie przesłany przez Verity. Brzmiał następująco:

Kochana Clowance*!*
Masz brata – drugiego brata – któremu jeszcze nie nadaliśmy imienia. Urodził się dziś wieczorem o szóstej i, chwała Bogu, pojawił się na tym świecie bez kłopotów. Wydaje się zdrowy i w tej chwili spokojnie śpi. Twoja Matka jakoś to wytrzymała, ale jest bardzo słaba. Nie rozumiemy, dlaczego tak źle się czuje, jednak wuj Dwight, który martwił się o nią przez trzy miesiące, jest w tej chwili dobrej myśli. W gruncie rzeczy jest optymistą, co, jak wiesz, nie jest jego normalnym stanem ducha.Chcę Cię zawiadomić, że mam nadzieję – choć jestem daleki od optymizmu, ponieważ nie leży to w mojej naturze – mam nadzieję, że mimo wszystko spędzimy szczęśliwe Boże Narodzenie. Nie jesteś potrzebna w Namparze, ale chcemy, żebyś z nami była. Opuść Verity i wróć do nas.Twój zawsze kochający ojciec

– Nowiny? – spytał Tom Guildford. – Mam nadzieję, że nie są złe? – Patrzył w oczy Clowance, które wypełniły się łzami.

– Nie, Tom, dziękuję. Znakomite! Znakomite!

– Więc czemu płaczesz? – Zbliżył twarz do jej twarzy.

– Z radości. Ze szczęścia. Z ulgi! Nie mogłam wytrzymać napięcia!

– Jakiego napięcia, mój aniele?

– Bałam się, co się może zdarzyć. Bałam się najgorszego! – Pomachała listem. – Och, miałam złe przeczucia! Teraz zniknęły! Cóż za wspaniałe zakończenie wieczoru!

Lekko dotknął dłonią jej ramienia i pocałował ją. Wargi Clowance przypominały rozchylone płatki kwiatu. W sali balowej otaczał ich tłum ludzi, lecz wydawało się, że nikt nie zwraca na nich uwagi. Otarła oczy chusteczką. Pocałował ją w rękę, a potem znowu w usta.

Ktoś coś krzyknął, po czym kilka innych głosów podchwyciło słowa:

– Taniec młynarza!

– Dla mnie to również idealne zakończenie wieczoru – rzekł z uczuciem Tom, choć nie miał na myśli tańca. – Czy musimy już kończyć zabawę? Jeśli jesteś zmęczona, wyjdźmy i usiądźmy. Valentine mówi, że w bibliotece ciągle jest jedzenie i picie.

– Taniec młynarza! – krzyczeli goście.

– Och, nie jestem zmęczona! – powiedziała Clowance. – Dlaczego miałabym być zmęczona?! Odżyłam… O co im chodzi?

– To stary wiejski taniec – powiedział Paul Kellow, który do nich podszedł. – Nie znasz go, Clowance? Pretekst, by trochę poszaleć. „Był stary młynarz, co mieszkał samotnie, mełł zboże od świtu do nocy". Chodźmy, utwórzmy krąg, trzymając się parami za ręce. Valentine! Valentine! – zawołał. – Stań w środku i zaczynaj!

Skrzypek, niski, brzuchaty mężczyzna o fioletowej twarzy, w białej peruce, rozmawiał z dwoma pozostałymi muzykami. Po chwili kilkakrotnie machnął smyczkiem i przeciągnął nim po strunach, wydobywając z instrumentu głęboki dźwięk przypominający początek szkockiego reela. Następnie zaczął grać.

Wśród dwudziestu kilku osób stojących na parkiecie mniej niż połowa wiedziała, co robić, lecz w końcu powstał nierówny krąg. Tancerze biegli parami wokół samotnego Valentine'a, który przyklęknął na poduszce symbolizującej snopek zboża. Pozostali tańczyli z boku, kołysząc się dwornie w rytm muzyki, i śpiewali:

Był stary młynarz, co mieszkał samotnie,Mełł zboże od świtu do nocy,A swoje złoto ukrywał w drewutni,By nikt go nie ujrzał na oczy!Raz chciał policzyć całe swe bogactwo.Jak to możliwe?! Przepadło!

Po słowie „przepadło" wszyscy zmieniali partnerów. Młynarz klęczący w środku musiał chwycić za rękę jedną z chwilowo wolnych dam, nim ubiegł go inny tancerz. Jeśli ta sama osoba pozostawała w środku trzy razy z rzędu, rzucano w nią czym popadnie – korkami od butelek, ozdobami zdjętymi z tortów, a czasem nawet butami, jeśli ich właściciele nie zdołali wcześniej odzyskać zgubionego obuwia.

Jak wspomniał Paul, był to pretekst, by poszaleć, ale dziwny melancholijny rytm miał podobne hipnotyzujące działanie jak inne stare kornwalijskie melodie. Monotonne powtórzenia sprawiały, że stopniowo narastało napięcie, i przypominały o dawnych magicznych praktykach, które zaginęły po przyjęciu chrześcijaństwa. Można by się zastanawiać, czy w dawnej przeszłości młynarz klęczący w środku kręgu nie był składany w ofierze celtyckim bóstwom i kamienowany.

Lecz tego wieczoru była to tylko szalona zabawa. Młodsi i starsi tancerze przepychali się, krzyczeli i wybuchali śmiechem, a kiedy znów połączyli się w pary, kołysali się i skakali w rytmie wpadającej w ucho, tajemniczej, melancholijnej melodii.

Clowance czuła, jak partnerzy chwytają ją gorącymi dłońmi i puszczają, chwytają i puszczają. (Zupełnie inaczej niż w Bowood, pomyślała). Tańczyli z nią Valentine, Paul, Tom, Horrie i stary lord Devoran, który głośno sapał i prychał; później znów Tom, oficer milicji, dwóch nieznajomych mężczyzn, Tom, Valentine i znowu Tom.

Kiedy taniec dobiegał końca i kilku zmęczonych uczestników odstąpiło na bok, Clowance miała dziwne wrażenie, że muzyka przekazuje emocje płynące z głębi jej podświadomości. Był to taniec młynarza. Taniec młynarza. Wśród tańczących znajdował się również jej własny młynarz, duch umarły bez rozgrzeszenia. Energiczny, arogancki, fascynujący mężczyzna o jasnych włosach i silnych mięśniach, wyćwiczony w walce i zawsze gotowy do walki, gotowy łapać okazje, korzystać z życia, kłamać, w razie potrzeby kraść, żądać tego, co uważa za swoje, uroczy, dominujący, bezwzględny.

Był gdzieś wśród tancerzy, stał obok niej. W przypływie trwogi zrozumiała, że nigdy jej nie opuści. Czuła się jak człowiek cierpiący na nieuleczalną chorobę, ktoś, kto chwilowo o niej zapomniał, lecz nagle znów czuje delikatny ból, o którym wiadomo, że nigdy nie zniknie. Pulsował w głębi ciała, nawet w chwilach szczęścia przypominając, że na niektóre choroby nie ma lekarstwa.

Rozdział czwarty

I

Jeremy spędził dwie noce u Harveyów, a trzecią z Andrew Vivianem. W ciągu kilku ostatnich miesięcy odlewnia Harveya popadła w poważne tarapaty, gdyż wytoczono jej proces przed sądem kanclerskim w Londynie. We wrześniu lord kanclerz nakazał zamknięcie zakładu do chwili wydania wyroku. Kuźnia pozostawała nieczynna aż do początku grudnia, gdy sąd wreszcie wydał wyrok korzystny dla Henry'ego Harveya. Chociaż proces był rezultatem nieporozumień między wspólnikami, Harvey miał pretensje do Kornwalijskiej Kompanii Miedziowej, swojego znienawidzonego konkurenta, któremu przypisywał główną rolę w wywołaniu konfliktu. Jednym z udziałowców Kornwalijskiej Kompanii Miedziowej był teraz sir George Warleggan.

Przez trzy miesiące składowisko węgla, magazyny, kuźnie, warsztaty pomocnicze i dwa pełnomorskie statki stały bezczynnie, a Harvey popadł w długi i bardzo brakowało mu pieniędzy. Z tego powodu niezwykle ucieszyła go propozycja zaliczki równej połowie ceny maszyny parowej zaprojektowanej dla kaprysu przez Jeremy'ego, gdy młody człowiek przedstawił mu tę ofertę. (Jeremy uważał, że dzięki temu zlecenie zostanie wykonane w pierwszej kolejności).

Harvey mieszkał z siostrą, a w Foundry House roiło się od dzieci, sierot po Anne, innej siostrze Henry'ego, i jej mężu, którzy zmarli kilka lat wcześniej. Jeremy miał mnóstwo obowiązków towarzyskich. Był rozczarowany, że nie spotkał Trevithicka, i wspomniał o tym w dniu, gdy nocował u Andrew Viviana.

– Są spokrewnieni przez małżeństwo, ale rzadko się zgadzają – powiedział Vivian. – Nie chodzi o to, że się nie lubią, to kwestia temperamentu. Henry jest ostrożny, skrupulatny, to urodzony przedsiębiorca, który nie boi się podejmować ryzyka, jeśli jego logiczny umysł uzna je za uzasadnione. Richard to wielki wynalazca, geniusz w prawdziwym znaczeniu tego słowa, człowiek, którego umysł leci na skrzydłach i który nie lubi, gdy ktoś mu doradza, że wspaniałą ideę należy realizować ostrożnie i powoli, dbając o najdrobniejsze szczegóły. Dochodzę do wniosku, że Henry ma więcej wspólnego z Arthurem Woolfem, który choć nie jest takim geniuszem, za jakiego się uważa, ma ogromny talent.

Mimo wszystko Jeremy dobrze wykorzystał czas, odbywając dalsze spotkania z Williamem Simsem i Williamem Westem. Później Andrew Vivian zabrał go na spotkanie z kapitanem Joelem Leanem, który niedawno przyjął nową posadę finansowaną przez grupę kopalni i miał co rok publikować tablice z danymi na temat wydajności parowych maszyn górniczych w Kornwalii i wartości wykonanej przez nie pracy. Porównanie takich danych powinno rozstrzygnąć wiele sporów i poprawić jakość konstrukcji.

Jeremy spędził pół dnia przy pojeździe parowym, ale nie było warto kontynuować pracy, dopóki nie zaprojektuje i nie zbuduje zupełnie nowego kotła działającego na zasadach przedstawionych przez Trevithicka.

W czasie dyskusji o problemach technicznych Jeremy stale pamiętał o wydarzeniach, które prawie na pewno rozgrywały się w domu, i kiedy w końcu opuścił Hayle, chciał jak najszybciej wrócić do Nampary. Przed wyjazdem z domu zdołał zdobyć kosmyki włosów Clowance i Isabelli-Rose, obciął również kosmyk własnych. Zawiózł je do Truro do złotnika Solomona i kupił za osiem funtów srebrny medalion. Poprosił staruszka, by umieścił kosmyki w przegródkach medalionu, zostawiając miejsce na czwarty kosmyk, który doda się później. Nie wiedział, jaki prezent dać w tej chwili matce.

Pojechał okrężną drogą przez Truro, by odebrać medalion, i musiał przyznać, że warto było go zamówić. Solomon wykonał pracę elegancko i ze smakiem. Skrócił kosmyki o połowę, lecz w dalszym ciągu były rozpoznawalne: ciemnokasztanowe włosy Jeremy'ego, podobne do włosów Rossa; jasne włosy Clowance i kosmyk Belli, kruczoczarny jak u Cyganki – znacznie ciemniejszy niż włosy Demelzy, tak połyskliwe, że niemal odbijały się w nich twarze otaczających ludzi.

Niewielki warsztat Solomona znajdował się przy St Austell Street, a naprzeciwko znajdowała się kawiarnia Blighta. Jeremy wiedział, że wróci do domu za późno, by zjeść obiad, więc wszedł do środka

i zamówił zapiekankę z gołębim mięsem.

Sala była podzielona przepierzeniami, toteż goście jedli osobno. W trakcie posiłku Jeremy czytał nadzwyczajne wydania gazet dostępne w kawiarni. Słyszał o zwycięstwach Rosjan, lecz jeszcze nie widział oficjalnych informacji. Wydawało się to niewiarygodne. Czy to początek końca? Czytał, że amerykańskie okręty korsarskie prowadzą aktywne działania u wybrzeży Anglii…

– Dzień dobry, Jeremy – odezwał się ktoś i ciężko usiadł naprzeciwko niego.

Był to Conan Whitworth. Jeremy zaczął go kojarzyć dopiero od wieczoru muzycznego w Caerhays, bo wcześniej go nie znał.

– Ach, Conan… Dzień dobry. – Starał się być uprzejmy.

Młodzieniec siedział nieruchomo po drugiej stronie stołu i obserwował młodego Poldarka. Po chwili Jeremy znów zajął się jedzeniem. Przyszedł kelner.

– Smaczne? – spytał Conan, wskazując talerz Jeremy'ego.

– Bardzo smaczne.

– W takim razie zjem trochę. Pośpiesz się. – Kiedy kelner odszedł, Conan powiedział: – Moja babka jest u panny Agar. Wysłała mnie, ale nie po jedzenie. Jednak muszę coś przekąsić.

– Och… – mruknął Jeremy. Przewrócił stronę gazety.

– Mam wągry – odezwał się Conan.

– Słucham?

– Mam wągry. Widzisz? Próbuję je wyciskać.

Jeremy popatrzył na nalaną twarz młodzieńca. Jego blada skóra wydawała się gruba jak skórka cytryny: trudno byłoby ją przebić. Ale tak, zauważył wągry.

– W Truro panuje ospa – rzekł Conan. Bez przerwy robił coś z okularami: zdejmował je, wycierał, zakładał na nos. – Szczególnie w okolicach rzeki.

– Przypuszczam, że to normalne o tej porze roku.

– Według babki to dlatego, że klasy niższe nie chcą się inokulować, tylko się szczepią. Mówi, że szczepienia rozprzestrzeniają choroby, a nie im zapobiegają.

– Możliwe.

Jeremy zjadł ostatni kęs zapiekanki.

– Chciałbym, żeby kelner się pośpieszył – powiedział Conan. Otworzył usta, jakby zamierzał się roześmiać, ale nie rozległ się żaden dźwięk. – Pomyliłem się.

– Słucham? – spytał z irytacją Jeremy, gdyż znów przerwano mu lekturę gazety.

– Pomyliłem się. Babka posłała mnie po balsam. „Oczyszczający balsam Solomona na wypryski na skórze". Cztery szylingi i sześć pensów za butelkę. Zamierzam coś przekąsić i powiedzieć, że cena balsamu wzrosła do pięciu szylingów i sześciu pensów, rozumiesz?

– I co z tego?

– Wszedłem do Solomona po przeciwnej stronie ulicy. Balsam Solomona, sklep Solomona. Można by pomyśleć, że to tam, prawda? Balsam Solomona, sklep Solomona. Ale to złotnik. Balsam sprzedawano za rogiem na Clement Street, u aptekarza Harry'ego! – Conan znów się roześmiał, również bezgłośnie.

– „Najlepsza pszenica w Truro kosztuje od trzydziestu ośmiu do czterdziestu szylingów za buszel – przeczytał Jeremy. – Jednak młynarze żądają od pięćdziesięciu do pięćdziesięciu dwóch szylingów za buszel. To skandaliczna spekulacja i rząd powinien zainterweniować, by położyć jej kres".

– Myślisz, że to prawda? – spytał Conan.

– Co?

– Wiadomość o klęsce Francuzów. Wszyscy w to wierzą, tak?

– Tak, myślę, że to prawda. – Matka Conana Whitwortha była kiedyś guwernantką Geoffreya Charlesa i Jeremy pamiętał ją jako nieśmiałą, łagodną, zamkniętą w sobie dziewczynę, do której jego kuzyn bardzo się przywiązał i w której śmiertelnie zakochał się wuj Drake. Jak mogła urodzić takiego syna?

Kelner przyniósł porcję zapiekanki z gołębim mięsem. Conan zdjął okulary, by lepiej widzieć,

po czym rzucił się na jedzenie jak człowiek umierający z głodu. Jeremy zapłacił rachunek i złożył gazetę.

Conan powiedział coś z pełnymi ustami i Jeremy nie zrozumiał.

– Słucham?

– Wielkie przyjęcie w Cardew. We wtorek wieczorem. Trwało prawie całą noc. Wszyscy kompletnie się upili. Wuj George był wściekły, naprawdę!

– Co masz na myśli? O co chodzi?

Conan spojrzał na Jeremy'ego, poruszając szczękami. Zdawał sobie sprawę, że młodemu człowiekowi nie podoba się jego towarzystwo. Często spotykał się z takimi reakcjami, ale w dalszym ciągu sprawiały mu przykrość.

– W niedzielę Valentine wrócił do domu z Cambridge. Potrzebował pretekstu, by urządzić przyjęcie. Klęska Francuzów. Lady Harriet przekonała wuja George'a. Valentine wysłał mnóstwo zaproszeń. Tłum. Siedemdziesiąt osób albo więcej. Dziwne, że cię tam nie było.

– Musiałem wyjechać.

– Była tam twoja siostra.

– Och, wybrała się do Flushing.

– Do Cardew przyjechał pan John Trevanion, panna Trevanion i jej siostra, Cuby.

Jeremy odłożył gazetę na stojak. Po drugiej stronie przejścia siedzieli naprzeciwko siebie dwaj pasterze, pożerając zapiekankę i popijając ją piwem. Obaj mieli na głowach kapelusze, może po to, by włosy nie wpadały do jedzenia. Jedli palcami, lekceważąc podane noże, i trzymali nosy tuż nad talerzami jak świnie przy korycie. Conan miał odpowiednie towarzystwo.

– Johnowi Trevanionowi brakuje pieniędzy, prawda? – spytał, spoglądając przebiegle na Jeremy'ego.

– Nie mam pojęcia.

– Mówią, że przegrywa pieniądze na wyścigach konnych.

– To jego sprawa, nie sądzisz?

Conan znów wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Słucham?

– Mówią, że nie powinien zmieniać nazwiska. Że nigdy nie powinien zmieniać nazwiska z Bettesworth na Trevanion.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi.

– Cóż… „Bet" to po angielsku zakład, a on bez przerwy się zakłada… – Conan otworzył usta, by się roześmiać, ukazując masę częściowo przeżutego jedzenia.

Jeremy wstał.

– Cieszę się, że dobrze się bawiłeś na przyjęciu.

– O tak, tak. O drugiej w nocy Valentine tańczył na jednym ze stołów. Spadł i myśleliśmy, że złamał kark. Ale nie. Usiadł i kazał podać więcej wina.

– Dziwię się, że cię zaproszono. Jesteś jeszcze bardzo młody.

– Och, wcale nie taki młody, Jeremy. Niedługo skończę siedemnaście lat. Tak czy inaczej, chodzę wszędzie z babką.

– Zaproszono ją? – spytał znacząco Jeremy.

Conan wepchnął do ust następny kawał zapiekanki.

– Dowiedziałem się czegoś. Powinno cię to zainteresować.

– Powiesz mi w czasie następnego spotkania.

– Wuj George nigdy nie marnuje okazji, by zrobić interes, prawda? Nawet w trakcie wesołego przyjęcia, gdy prawie wszyscy są kompletnie pijani.

– Trudno mi coś na ten temat powiedzieć.

– Może cię to zainteresować – ciągnął Conan, przeżuwając zapiekankę. – To, co powiem, może cię zainteresować, jeśli ciągle jesteś zakochany w pannie Cuby.

Jeremy stał bez ruchu, walcząc z pokusą, by chwycić chłopca za kark i zadusić.

– Kto twierdzi, że jestem w niej zakochany?

– Cóż… – Conan przesunął okulary na blacie stołu. – Tak sobie tylko pomyślałem. Widziałem was na wieczorze muzycznym. Nagle przyszło mi to do głowy. A później chodziliście razem na wyścigach. Krążyły plotki.

– Ludzie zawsze plotkują. Do widzenia, Conan. Przekaż moje pozdrowienia babce.

– Więc to cię nie obchodzi?

– Co mnie nie obchodzi?

– Że panna Cuby wyjdzie za Valentine'a Warleggana.

II

Jeremy dotarł do Nampary tuż po czwartej. Chociaż była połowa grudnia, jeszcze nie zapadł zmrok. Zachodzące słońce skryło się za ławicą obłoków, a niebo miało w sobie coś eterycznego, wydawało się nieskończenie dalekie, jakby człowiek spoglądał na Królestwo Niebieskie. W dali kołowały piszczące mewy, oddając się swoim samotnym rytuałom; ich skrzydła lśniły w promieniach słońca.

Jeremy nie objechał dworu, by dotrzeć do stajni, tylko przywiązał Colleya do starego bzu i wszedł na palcach do domu. Jane Gimlett właśnie niosła na górę lichtarz z zapalonymi świecami.

– Och, panicz Jeremy! Przestraszył mnie pan!

– Gdzie… Co z mamą?

– Pan i panna Clowance są w bibliotece. Pani czuje się dziś lepiej i…

– Co się stało?

– Och, nic pan nie słyszał?! Pani urodziła chłopca!

– Wielki Boże! Oboje są zdrowi?!

– Tak, zdrowi. Pani trochę źle się czuła, ale już jest lepiej.

– Dzięki Bogu! Doskonałe nowiny! Nie śpi?

– Pani? Nie, nie, przed chwilą pytała o pana.

– A dziecko?

– Chyba zasnęło.

– Idź ją uprzedzić. Zaraz przyjdę.

Kiedy wszedł do sypialni, Demelza siedziała na łóżku i energicznie szczotkowała włosy. Wydawała się bardzo chuda, ale miała roziskrzony wzrok.

– Witaj, synu!

Pochylił się i pocałował matkę.

– Już nie jestem jedynakiem.

– Twój rywal śpi w kołysce.

– Brat. Jak się czujesz?

– Dobrze.

– Gorączka ustąpiła?

– Tak.

– Zbadam ci puls, dobrze?

Zasłoniła nadgarstki. Jeremy podniósł szczotkę, która upadła na podłogę.

– Spodziewałaś się gości?

– Tylko ciebie. Kiedy Jane powiedziała…

– Postanowiłaś włożyć najlepszą koszulę nocną. Na cześć ważnego gościa. Jaka dziwna z ciebie kobieta!

– Tak, wiem – przyznała. – Robię się coraz dziwniejsza.

Spojrzał na kołyskę, a potem znowu na Demelzę.

– Nie wyglądasz jak czcigodna matka wielodzietnej rodziny.

– Dlaczego?

– Nie jesteś wystarczająco groźna. Ani stara.

– W tej chwili czuję się bardzo młoda – odparła Demelza.

– Wyglądasz młodo. – Rzeczywiście, wydawała się niezwykle młoda, ale krucha, jakby odzyskiwała zdrowie po ciężkiej chorobie. – Gdzie papa i Clowance?

– Podobno w bibliotece. Domyślam się, że przesuwają meble, choć nie mam pojęcia po co.

– Może zmieniają ją w pokój dziecinny? Bella będzie zachwycona.

– Podejrzewam, że nowy braciszek niezbyt się jej podoba. Patrzy na niego z niesmakiem.

– Jest bardzo rozpieszczona.

– Rozpieszczona?

– Czy nie rozpieszczałaś nas wszystkich? Jakie imię zamierzasz mu nadać?

– My… wiesz, Jeremy, jeszcze nie zdecydowaliśmy!

– Kiedy urządzicie chrzciny?

– Myślę, że w Wigilię.

– Więc jest kilka dni, by się razem zastanowić. Propozycje będą mile widziane?

– Naturalnie! Dwight powiedział, że muszę leżeć w łóżku trzy lub cztery dni, ale nie jestem pewna, czy go posłucham, więc kiedy zejdę na dół…

– Jest zadowolony z twojego stanu zdrowia?

– Czy Dwight jest kiedykolwiek zadowolony ze stanu zdrowia pacjentów? Chyba tak. Dziś rano przyjechała Caroline i powiedziała, że wydawał się zadowolony, więc uważam, że to prawda.

Jeremy podszedł do kołyski i popatrzył na brata. Mała okrągła główka, kosmyk ciemnych włosów, drobna piąstka wielkości orzecha włoskiego.

– Do licha! Mógłbym być jego ojcem! Jestem wystarczająco stary!

– Do licha, to prawda. Teraz opowiedz mi o wizycie w Hayle. Okazała się owocna?

– Och, nie zdarzyło się nic szczególnego.

– Nieważne. Chcę wiedzieć.

Zrelacjonował swoją wizytę w kuźni. Po raz pierwszy od wejścia do sypialni wydawał się nieco roztargniony i Demelza spytała:

– Coś się stało?

– Nie, wszystko idzie znakomicie.

– Miałam wrażenie, że w twoim głosie nie ma entuzjazmu.

– Och… chyba myślałem o czymś innym. Budowa pojazdu parowego nie posuwa się do przodu.

– Może wkrótce wszystko się zmieni. Wojna…

– Wspaniałe nowiny. Papa jest zadowolony?

– Wszyscy jesteśmy zadowoleni. I czujemy ulgę.

– Mam dla ciebie drobny prezent, mamo – powiedział.

Zamrugała.

– Mój Boże! Ale dlaczego?!

– Czy nie powinienem czegoś ci podarować? Niedawno na świecie pojawił się kolejny Poldark, dzięki tobie. Czy nie warto tego uczcić?

– Wcale nie jestem taka pewna! Ale…

Jeremy sięgnął do kieszeni i wyjął srebrny medalion. Demelza wzięła go i rozwinęła z bibułki. Obróciła w palcach i nacisnęła zatrzask.

– Mój Boże! – westchnęła. – Jeremy, kochany, to takie miłe… Nie wiem, co powiedzieć…

– Wystarczy podziękowanie – odparł.

– Tak, dziękuję, dziękuję, Jeremy. W tej chwili… w tej chwili nic więcej nie przychodzi mi…

Wyciągnęła ręce. Młody człowiek pocałował matkę.

– Miałem nadzieję, że kolejny Poldark będzie rudy – rzekł. – Jego włosy kontrastowałyby z pozostałymi kosmykami w medalionie. Coś dla odmiany, nie sądzisz?

Demelza miała łzy w oczach.

– Nie chcę odmian, Jeremy. Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony. Obie dziewczynki się zgodziły, żebyś uciął im włosy?

– Tylko Clowance. Bellę okradłem we śnie.

Demelza się roześmiała.

– Chyba mam wasze włosy z czasów, gdy byliście małymi dziećmi, ale wolę te, które włożyłeś do medalionu. Będę go nosić na piersi.

– Dobrze – odparł Jeremy z kornwalijskim akcentem. – Podoba mi się to.

Rozmawiali jeszcze kilka minut, po czym Jeremy zgasił świece, dosypał węgla do kominka, po raz ostatni zerknął na malutkiego braciszka, uśmiechnął się wesoło do matki i wyszedł.

III

Podążył prosto do swojej sypialni, lecz nie zawracał sobie głowy zapalaniem świecy. Usiadł w fotelu przed oknem z rozsuniętymi zasłonami i spojrzał w niebo, na którym wciąż płonęły smugi światła mimo zapadającego grudniowego zmierzchu. Po ciepłym pokoju matki Jeremy odczuwał chłód.

Relacja Conana Whitwortha była złośliwa, ale brzmiała wiarygodnie. Nie mógłby jej wymyślić. Szczegółowość opisu świadczyła, że chłopak nie koloryzuje.

Wydawało się, że przed przerwą na kolację młodzieniec podszedł do sir George'a Warleggana, ten zaś niegrzecznie go potraktował, po czym natychmiast podążył do swojego gabinetu na pierwszym piętrze w towarzystwie majora Trevaniona. Conan postanowił ich śledzić. Zamknęli za sobą drzwi gabinetu, więc sprawdził, czy może podsłuchiwać przez dziurkę od klucza. „Zabawnie jest słyszeć coś, czego nie powinno się słyszeć" – powiedział Jeremy'emu. Niestety, sir George mówił cicho, lecz major Trevanion jak zwykle przemawiał donośnym głosem i Conan słyszał go wyraźnie. Wydawało się, że rozmawiają o dokumencie odnoszącym się do Valentine'a Warleggana i Cuby Trevanion. Warleggan miał przekazać Trevanionowi pieniądze, ale zaczęli się spierać co do warunków i daty wypłaty. Później major Trevanion powiedział coś o „zaostrzeniu tego przeklętego pióra". Conan przyłożył oko do dziurki od klucza i zobaczył, że major ostrzy gęsie pióro. Znów nastąpiła cicha wymiana zdań, od czasu do czasu rozlegał się brzęk butelki. Conan w ostatniej chwili umknął spod drzwi, a dwaj mężczyźni wyszli z gabinetu i podążyli na dół. Major Trevanion schował do wewnętrznej kieszeni surduta jakieś papiery.

W tym momencie Jeremy w dalszym ciągu prawie nie zwracał uwagi na słowa młodziana i zamierzał odejść, lecz spostrzegł, że Conan ma coś jeszcze do powiedzenia, i nie wykonał decydującego kroku, by się uwolnić od nieprzyjemnego towarzysza.

Conan wszedł do gabinetu Warleggana. Przy świetle zapalonej świecy uniósł klapę biurka sir George'a i zobaczył rozpostarty dokument leżący w środku. „To jeszcze bardziej ekscytujące – powiedział Jeremy'emu. – Często czytam cudze listy".

Wyglądało to na coś w rodzaju umowy małżeńskiej. „Intercyzy?" – spytał Jeremy. „Intercyzy, tak – odparł Conan – intercyzy". Rodzaj umowy zawartej na piśmie między dwiema stronami. Sir George zobowiązywał się wypłacić majorowi Trevanionowi kwotę dwudziestu tysięcy funtów. Jeśli Conan dobrze pamiętał, dwa tysiące funtów w ciągu sześciu miesięcy od podpisania dokumentu, a resztę – czyli osiemnaście tysięcy funtów – w dniu zawarcia związku małżeńskiego między Valentine'em Warlegganem a Cuby Trevanion.

Conan twierdził, że w dokumencie nie było żadnej wzmianki o dacie ślubu. Może nie została wyznaczona? Spoglądał chytrze na Jeremy'ego, wypatrując na jego twarzy oznak szoku. „I dokumenty te podpisano wieczorem w trakcie przyjęcia?" – spytał Jeremy. „Nie, nie – odparł Conan – umowę zawarto tydzień lub dwa tygodnie wcześniej, gdzieś na początku grudnia". Nie pamiętał dokładnej daty, lecz przypominał sobie nazwiska świadków: chyba Trembath i drugi, Blencowe. Arthur Blencowe, kancelista, dwojga imion, dwadzieścia jeden lat, zamieszkały przy River Street. Prawda, że mam dobrą pamięć? W szkole Conan zawsze był dobry w grach pamięciowych. Trzeba patrzeć przez dwadzieścia sekund na rzeczy leżące na tacy – na pewno znasz tę zabawę? – a potem w ciągu dwóch minut zrobić listę. Zawsze wygrywał, szczególnie jeśli na tacy leżało jedzenie.

„Mówiłeś, że w czasie przyjęcia też coś podpisali". „Ach – odparł Conan, wpychając do ust ostatni kęs zapiekanki – tym razem chodziło o coś innego, co uzgodnili właśnie tego wieczoru. Dokument niedawno posypany piaskiem, nowa umowa, można tak powiedzieć. Tak się przynajmniej wydaje. Na górze znajdował się napis «Kopia». Niewątpliwie major Trevanion zabrał oryginał".

„Druga umowa" – powiedział Conan. Wynikało z niej, że major Trevanion miał natychmiast otrzymać dodatkowe tysiąc funtów, pod warunkiem że opuści zamek Caerhays w ciągu roku od zawarcia małżeństwa. Brzmi to rozsądnie, jak zauważył Conan. Panicz Valentine i panna Cuby powinni być zadowoleni, gdy się pobiorą, prawda?

Kiedy Conan relacjonował Jeremy'emu to, czego się dowiedział, wydawał się zachwycony. Sprawiało mu to wyjątkową przyjemność. Niewątpliwie wiele razy przypominał sobie szczegóły całej sprawy, a jego chory umysł znajdował szczególną rozkosz w wyładowywaniu własnej złości w ciemnym zakątku kawiarni Blighta nad zatłuszczonym stołem pokrytym okruchami zapiekanki.

Złości wobec kogo? Sir George'a, niewątpliwie często traktującego go pogardliwie? Wobec Jeremy'ego, który nie ukrywał swojej niechęci? A może była to złość wobec całego świata?

Kiedy Jeremy wrócił konno do domu i znalazł się w swojej sypialni, wielokrotnie rozważał szczegóły opowieści Conana. Wszystko się zgadzało. Conan Whitworth budził obrzydzenie, lecz miał znakomitą pamięć. Łamigłówka nagle ułożyła się w całość. George Warleggan przelał własne ambicje na syna. Zamierzał zapłacić dwadzieścia tysięcy funtów, by wydać Valentine'a za pannę ze starego rodu i uczynić młodego człowieka właścicielem jednego z największych dworów Kornwalii. Za ostatni, dodatkowy tysiąc (Trevanion musi być naprawdę w rozpaczliwej sytuacji) zapewniał synowi całkowitą kontrolę nad posiadłością.

Wydawało się prawdopodobne, że małżeństwo nie dojdzie do skutku bardzo szybko. Zapewne najpierw Valentine skończy studia w Cambridge. Mogą wziąć ślub pod koniec przyszłego roku albo na początku tysiąc osiemset czternastego. Tymczasem John Trevanion otrzyma dość gotówki, by spłacić najpilniejsze długi, a w maju lub w czerwcu dostanie ogromną sumę, która postawi go na nogi.

Czy Valentine i Cuby wiedzą? Czy są stronami umowy? Wydawało się to mało prawdopodobne. Najwyraźniej we wrześniu nie mieli o niczym pojęcia. Jeremy nie wierzył, by Cuby tak beztrosko go całowała, gdyby wiedziała o umowie zawartej przez brata. Miała wiele wad, ale nie wydawała się fałszywa. Czy ma to jakieś znaczenie? Czy to ważne, czy Valentine albo Cuby wiedzą? Zatańczą, jak im zagrają. Cuby powiedziała to Jeremy'emu prosto w oczy na Wielkanoc zeszłego roku, a Valentine podporządkuje się ojcu w tak ważnej sprawie.

Tak czy inaczej, dlaczego Valentine miałby się sprzeciwiać? Jeremy poczuł mdłości. Czy w czasie wieczoru muzycznego w zeszłym roku Valentine nie wygłaszał sprośnych uwag na temat Cuby? Jak bardzo chciałby rozpiąć jej gorset… „Popatrz, jak oddycha. Człowiekowi przychodzą do głowy miłe myśli".

Niech Valentine smaży się w piekle! Zaspokoi swoje fantazje, a na dodatek dostanie zamek! Czemu miałby się sprzeciwiać?! Sprzeciwiać się, na Boga?! Właściwie po co?!

Niech wszyscy Warlegganowie smażą się w piekle! Czy w zeszłym roku nie pojawiły się plotki, że George Warleggan i jego bank mają kłopoty? Jeremy słyszał, jak rodzice mimochodem o tym wspominają, jednak był wtedy zajęty zbyt wieloma innymi sprawami, by zwracać na to uwagę. Jak się zdaje, sugerowano, że Bank Kornwalijski, którego ojciec był wspólnikiem, mógłby podjąć kroki mające doprowadzić bank Warlegganów do bankructwa. Na Boga, gdyby to się stało, sir George prawdopodobnie nie miałby pieniędzy, by wcielić w życie swoje podłe plany!

W zeszłym roku Ross próbował pocieszać Jeremy'ego. Powiedział, że chociaż major Trevanion może liczyć na wydanie Cuby bogato za mąż, a ona sama ma podobne ambicje, w Kornwalii jest bardzo niewielu zamożnych kawalerów – za to mnóstwo szuka panien z wielkim posagiem. Poza tym wydaje się mało prawdopodobne, by bogaty konkurent chciał wydać ogromną sumę na ratowanie majora Trevaniona przed bankructwem.

Cóż, to prawda. W ogólnych zarysach prawda. Ale Ross i Jeremy zapomnieli o Warlegganach. Te przeklęta rodzina zawsze rzucała cień na życie ojca i matki, teraz rzuca cień również na życie Jeremy'ego. I nie można nic zrobić.

Nic, nic, nic. Porozmawiać z Cuby. Porozmawiać z Valentine'em. Porozmawiać z ojcem Valentine'a. Cuby będzie wytrącona z równowagi, lecz postanowi dotrzymać obietnicy. Valentine zacznie żartować i spyta: „Cóż mogę zrobić, drogi chłopcze?". Sir George, ponury, chłodny i uprzejmy,

będzie się cieszył w głębi duszy, że zadał śmiertelny cios synowi odwiecznego rywala, realizując swoje plany i pomagając własnemu potomkowi.

Jeremy siedział w ciemności przeszło godzinę. Chwilami ogarniała go klaustrofobia i miał ochotę rozbić okno złożone z małych szybek, strącając szkło na dziedziniec. Chciało mu się wyć. Pragnął uciec przed samym sobą. Mógłby kilometrami biegać po klifach lub plaży, lecz nigdy nie zapomniałby o tym, co ma się wydarzyć, a własne emocje ścigałyby go jak cień. Żadnego wytchnienia, żadnej możliwości ucieczki, żadnej nadziei.

Tupot stóp w korytarzu i gwałtownie otworzyły się drzwi. Isabella-Rose.

– Jeremy! Zastanawiałam się, gdzie jesteś! Dlaczego siedzisz po ciemku?

– Liczyłem ćmy – odparł.

– Och, jakie to głupie! Zaczekaj, ukradłeś mi włosy! Mama przed chwilą mi pokazała. Jesteś potworem! Ukradłeś mi włosy!

– Masz mnóstwo włosów. A te kudły? A te? Wystarczyłyby na brodę dla żebraka!

Pisnęła i odsunęła się od brata.

– Kolacja prawie gotowa! Co myślisz o niemowlaku? Strasznie brzydki, prawda? Jeszcze brzydszy od ciebie. Jak go nazwiemy?

– Ja nazwałbym go Bellamy – rzekł Jeremy. – Bellamy pasuje do Belli.

– A ja Gerald. Gerald i Jeremy.

– Albo Clarence, do pary z Clowance. Czy mama wymyśliła już jakieś imię?

– Nawet jeśli wymyśliła, nic nie mówi. Rodzice posłali mnie po ciebie.

Jeremy pozwolił, by Bella wyprowadziła go na światło, i podążył na parter, gdzie cieszono się z narodzin dziecka.

Rozdział piąty

I

Nadali synowi imię Henry, na pamiątkę po stryju Demelzy. A na drugie Vennor – tak samo brzmiało drugie imię Rossa i nazwisko panieńskie jego matki. Maleńkie niemowlę, ważące dwa tysiące dwieście siedemdziesiąt gramów w chwili narodzin i przeszło dwa tysiące siedemset gramów w dniu chrzcin. Henry był malutki i Rossowi przypomniał się dzień, gdy przywiózł do Nampary z jarmarku w Redruth chudziutką czternastoletnią Demelzę.

Uśmiechnęła się do niego.

– Teraz już tak się ciebie nie boję.

– Wielka szkoda. Gdybyś mnie słuchała, szybciej wróciłabyś do zdrowia.

– Mam więcej jeść, Ross? Jem jak koń!

– Wyglądasz jak zabiedzona szkapa.

– Kościsty kucyk. – Zachichotała z własnego żartu.

– Mówię poważnie – powiedział. – Naprawdę przypomniał mi się tamten dzień.

– Chciałabym, żeby wróciły tamte czasy. Chciałabym znowu przeżyć całe swoje życie od chwili, gdy przywiozłeś mnie do Nampary jako brudną znajdę!

– Mam cię znowu umyć pod pompą?

– Woda była lodowata. Doskonale to pamiętam.

– Czasem trzeba się pogodzić z drobnymi przykrościami.

– Tak, tak. Jud drapał się po łysej głowie i zapowiadał koniec świata. Prudie i jej modzele… Ojciec przyszedł zabrać mnie do Illuggan… Ale było też mnóstwo miłych rzeczy, prawda? Musisz przyznać, że były dooobre. – Przeciągnęła ostatnie słowo.

Tego popołudnia wpadła w prowokacyjny nastrój. Wyglądała na dwudziestopięcioletnią kobietę zainteresowaną mężczyznami. Źle to wróżyło ich związkowi, jeśli zamierzali zachować czystość.

– Pora, żebym wyjechał – rzekł nagle Ross.

– Nudzę cię?

– Naturalnie. Nie mogę dłużej z tobą wytrzymać.

– Poważnie?

– Poważnie. Zamierzam się poświęcić dla kraju.

– Byłby to wielki błąd, bo wracam do zdrowia.

– Musisz zostać sama, żeby wrócić do zdrowia.

– Kto tak uważa?

– Ja. Popatrz na siebie. Wyglądasz jak chudy źrebak! Powinnaś być gruba i siedzieć w wielkim fotelu przy kominku, z szalem na ramionach, pachnąca mlekiem i dziecięcymi ubrankami.

– Chciałbyś, żebym tak wyglądała?

– Nieważne, czego bym chciał. Tak byłoby bezpieczniej. Bezpieczniej dla ciebie.

Spojrzała na promienie słońca padające ukośnie na ogród. Był w dość dobrym stanie, lecz w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, gdy nie miała siły pracować, zaniedbano kilka drobiazgów. Nie wycięto nawet zwiędłych resztek kwiatów bzu na starym drzewie za oknem salonu.

– W życiu nie chodzi o to, żeby być bezpiecznym, Ross. Trzeba żyć pełnią życia, głęboko oddychać i słyszeć bicie własnego serca! Po narodzinach Isabelli-Rose przez dziesięć lat nie zaszłam w ciążę! Mogę zajść w ciążę jeszcze przez dziesięć lat, potem będzie za późno.

– Chodź – rzekł szorstko. – Pozostali czekają.

– Jeśli teraz mnie opuścisz dla jakiejś wymuskanej świnki morskiej w Londynie, będę bardzo źle o tobie myśleć.

– Niech cię licho – odparł. – Za dwa tygodnie poproszę Dwighta…

– Och, do diabła z Dwightem! To nie jego sprawa.

Położył dłoń na jej ramieniu.

– Może uznam, że się nadajesz? Pod warunkiem że nie będę już tak wyraźnie czuł twoich kości.

– Uważasz mnie za gęś wiszącą na haku u handlarza drobiem? – spytała. – Gdybym chciała kupić gęś, nie tę część ciała bym pomacała.

Nagły wybuch śmiechu Rossa sprawił, że do pokoju przybiegły dzieci, ale żadne z dorosłych nie chciało wytłumaczyć, co tak rozbawiło ojca. Kilka minut później wszyscy z poważnymi minami pojechali konno do kościoła.

II

W kościele i przed kościołem zgromadziły się tłumy. Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy okolic wiosek Sawle, Grambler, Mellin i Marasanvose usłyszeli o narodzinach drugiego syna państwa Poldarków i postanowili uczestniczyć w chrzcinach. W kościele zabrakło miejsca, a co gorsza, w ostatniej chwili przybył Jud Paynter niesiony przez czterech młodych sąsiadów – tylną parę stanowili Art i Music Thomasowie – na czymś w rodzaju tronu lub lektyki. Naturalnie był to żart, ale przyrzekli, że nie będą się wygłupiać. Z tyłu podążała Prudie z kijem w ręku, by walić ich po głowach, gdyby źle się zachowywali. Jud siedział na tronie niczym znużony, apatyczny Budda, spoglądał ponuro na odległą ziemię i przytrzymywał ręką stary filcowy kapelusz. Wydawał się zgrzybiały, a jego oczy i nos miały różne odcienie czerwieni, podobnie jak pokryty rdzawymi plamami koc, który w ostatniej chwili ktoś narzucił mu na ramiona.

– Jakby mnie nieśli na cmentarz – powiedział. – Następnym razem przynioso mnie do kościoła w trumnie, gdy odejde z tego świata. Biedna dziecina! – dodał głośno. – Nie wie, co jo czeka na ziemskim padole! Zanim sie obejrzy, wróci do kościoła nogami do przodu! Niechaj ocali swojo dusze przed ogniem piekielnym! Piekło i potępienie czeka wszystkich, co nie okazujo skruchy!

– Zamknij dziób! – syknęła Prudie. – Obiecałeś siedzieć cicho, stary durniu!

– Sama jesteś durna! – odparował Jud. – Hej, ludzie! Postawta mnie na ziemi, jeno ostrożnie, jakbyśta stawiali koszyk z jajami! Spokojnie, bez pośpiechu!

Tragarze powoli postawili lektykę na ziemi, przepraszając ludzi znajdujących się w pobliżu, że następują im na palce lub trącają ich łokciami. Prudie zerwała Judowi kapelusz z głowy, co wielce go zirytowało.

Żona wielebnego Clarence'a Odgersa wprowadziła męża do kościoła i zgromadzeni nieco się uciszyli. Pastor nie miał kłopotów z chodzeniem ani wzrokiem, lecz zawodziła go pamięć – natychmiast wszystko zapominał. Od otwarcia Wheal Leisure jego stan jeszcze się pogorszył i gdyby go nie pilnowano, mógłby udzielić ślubu Henry'emu Poldarkowi i jego matce chrzestnej Caroline Enys, a nawet rozpocząć ceremonię pogrzebową Juda – „popiół popiołowi – proch prochom" [5] – co można by uznać za wyraz skrytych pragnień duchownego. Jud dawno temu zalazł mu za skórę.

– „Nie weźmiesz ani nie przeniesiesz granice sąsiada twego!" [6] – zawołał nagle Jud. – Tak mówi Pismo Święte. Weźta sobie do serca moje słowa, bo jak nie bedzieta słuchać Biblii, zostanieta wtrąceni do gorejącego pieca razem z Szamrockiem, Mishapem i Abendego! Ale nie wyjdzieta z ognia tak jak oni! Ach!!!

Prudie, która nie miała powodu, by użyć kija na tragarzy, stuknęła nim Juda w łysą czaszkę, nakazując mu milczenie. Obrócił się w jej stronę jak fioletowa ropucha, lecz znowu uniosła kij, więc musiał powstrzymać furię. Przełknął ślinę, a wściekły bulgot, jaki dobiegł z jego gardła, przypominał odgłos pompy górniczej, gdy wsysa błoto zamiast wody.

Później nic nie stało na przeszkodzie, by ochrzcić chłopca, jednak pastor Odgers wbił sobie do głowy, że Henry ma otrzymać imię Charles. Trzykrotnie zanurzał palce w wodzie święconej i zaczynał: „Nadaję ci imię Charles Vennor…". Podał prawidłowe imię dopiero przy czwartej próbie, a w tym czasie Henry Vennor łkał na cały kościół, Bella zaś dostała ataku spazmatycznego śmiechu.

Po zakończeniu krótkiej ceremonii czterej tragarze Juda szybko wynieśli go ze świątyni. Później otrzymał kawałek tortu, którym zgodnie z tradycją rodzice dziecka częstowali pierwszą osobę wychodzącą z kościoła po chrzcinach.

– „Błogłosławiony mąż, który nie chodzi w radzie niezbożnych, i na drodze grzesznych nie

stał”! [7] – zawołał Jud, kołysząc się jak tonący lugier w czasie sztormu. – Na Boga, kolebio mno jak workiem kartofli! Żadnego szacunku dla siwych włosów!

Ale siedział cicho z uśmiechem na twarzy, przyjął od Demelzy kawałek tortu, mocno trzymał go wielką, sękatą ręką i natychmiast ukrył przed Prudie.

Jedyną osobą, której nieobecność w kościele zwróciła uwagę okolicznych mieszkańców, był Stephen Carrington.

III

Dla Poldarków było to bardzo hałaśliwe Boże Narodzenie. Dziwnym trafem, gdy wszyscy byli na chrzcinach, do strumienia Mellingey zbliżył się wielki dwukołowy wóz ciągnięty przez woły. Po kilku manewrach zdołał się przedostać na drugi brzeg i zatrzymał się przed frontowymi drzwiami dworu w Namparze. Dwaj woźnice zeskoczyli na ziemię i pociągnęli za sznur dzwonka, a gdy okazało się, że nikogo nie ma w domu, stali i czekali, tupiąc i chuchając w dłonie, aż do Nampary zbliżyła się doliną wielka procesja ludzi na koniach, kucach i idących pieszo. Wóz dostarczył pianoforte zakupione przez Rossa na początku miesiąca.

Na instrument przygotowano miejsce w bibliotece, ale wniesienie go do domu przez wąskie drzwi okazało się trudne nawet po odkręceniu nóg. Tragarze spluwali w dłonie, napinali mięśnie, dźwigali pianoforte i udzielali sobie rad przez pierwszą połowę popołudniowego przyjęcia z okazji chrzcin. Demelza mogła wypróbować instrument dopiero późnym wieczorem po wyjściu wszystkich gości. Z wielkim trudem przekonano Isabellę-Rose, że na razie, nim dorośnie, może grać tylko na szpinecie w salonie, chyba że w szczególnie uroczyste dni. Demelza zagrała tego wieczoru kilkanaście melodii, a większość rodziny próbowała śpiewać, choć trochę nieskładnie.

W pierwszy dzień świąt przyjechali na obiad Enysowie z dwiema córeczkami, a także Samuel i Rosina Carne’owie. W dzień świętego Szczepana odwiedzili Poldarków Treneglosowie oraz Paul i Daisy Kellowowie.

Kellowowie przywieźli piątkową gazetę, w której widniał nagłówek: „Całkowita klęska armii francuskiej!”. Artykuł potwierdzał wiadomości z siedemnastego grudnia, lecz brzmiał jeszcze optymistyczniej. Korpus Davouta został całkowicie zniszczony. Reszcie wojsk francuskich zastąpiły drogę dwie armie rosyjskie, uniemożliwiając przeprawę przez Berezynę. Francuzi, dowodzeni przez samego cesarza, zdołali się przedostać na drugi brzeg, ale w rzece utonęło dwanaście tysięcy żołnierzy, a dwadzieścia tysięcy dostało się do niewoli. Informowano, że wielka armia Napoleona, złożona z pięciuset tysięcy ludzi, stopniała zaledwie do dziesięciu tysięcy. W Warszawie cesarz wsiadł do karety i podążył do Paryża, pozostawiając resztki swoich wojsk na pastwę losu.

Znów pojawiła się okazja do tańczenia na stołach, lecz ponieważ Poldarkowie nie mieli na to ochoty, świętowali zwycięstwo inaczej. Często śpiewano przy akompaniamencie pianoforte, nowej, pięknej zabawki. Demelza grała stare pieśni kornwalijskie i ulubione kolędy.

Po powrocie z Flushing Clowance dwukrotnie widziała Stephena, jednak nie udało mu się nawiązać z nią bezpośredniej rozmowy jak w kuźni Pally’ego. Docierały do niej nieprzyjemne plotki o jego postępkach. Dwudziestego siódmego grudnia do Nampary przybył młody człowiek o nazwisku Tom Guildford i z wdzięcznością przyjął zaproszenie na obiad, który miał się właśnie rozpocząć. Wyglądało na to, że Clowance bardzo mu się podoba, i wcale się z tym nie krył.

– To już lepiej – rzekł później Ross do Demelzy.

– Więc go lubisz?

– Tak mi się zdaje. Chodzi nawet nie o to, że porównanie ze Stephenem wypada na korzyść Toma Guildforda, ale że pojawiła się jakaś konkurencja dla Stephena. Clowance za wcześnie się zdecydowała.

Demelza przypomniała sobie rozmowę z Caroline Enys przed dwoma laty. Na pewno lepiej poznać wielu mężczyzn, tylko czy ich liczba ma naprawdę jakieś znaczenie?

Przez całe Boże Narodzenie Jeremy był w świetnym nastroju. Bezwstydnie flirtował z Daisy, robił dowcipy i śmieszne żarty przy stole, upił się i trzeba było mu pomóc iść spać. Wieczorem dwudziestego ósmego grudnia wyszedł z domu, a Clowance, która przypadkiem zauważyła, jak wraca

bardzo późno i skrada się na palcach, była pewna, że miał schadzkę z kobietą. Poczuła lekki zapach tanich perfum. W okolicy prawie nie istniała prostytucja, najbliższym miejscem, gdzie mieszkały kobiety lekkich obyczajów, było Truro, jednak niewątpliwie znalazłoby się sporo wiejskich dziewcząt, które chętnie okazałyby względy przyszłemu dziedzicowi Nampary. Clowance miała nadzieję, że Jeremy nie będzie miał procesu o ustalenie ojcostwa. Przez chwilę zastanawiała się, czy to Daisy, ale w czasie następnego spotkania z dziewczyną domyśliła się, że nie chodziło o nią.

Jedyny problem polegał na tym, że znakomity humor Jeremy'ego nie miał żadnej przyczyny. Czasem bardziej przypominał wściekłość niż wesołość.

W czasie drugiej wizyty Tom Guildford powiedział, że przebył większość drogi z Valentine'em, który skręcił do Trevaunance, by złożyć wyrazy uszanowania rodzinie Pope'ów – obiecał, że przyjedzie do Nampary w ciągu godziny. Po krótkiej, żywej pogawędce Jeremy poszedł do kopalni, twierdząc, że coś się stało, i wrócił dopiero późnym wieczorem, po wyjściu dwóch młodych ludzi. Demelza z irytacją oznajmiła, że nie jadł obiadu ani kolacji, na co Jeremy odpowiedział, że za chwilę spustoszy spiżarnię i odrobi stracony czas. Demelza pamiętała, jak zginął Francis, i zawsze czuła lekki niepokój, gdy jeden z członków rodziny wychodził do kopalni i nie wracał o normalnej porze, więc o siódmej dyskretnie wysłała Matthew Marka Martina do Wheal Leisure, by się czegoś dowiedział. Wrócił z informacją, że o szóstej Jeremy opuścił kopalnię wraz z Paulem Kellowem. Kiedy w końcu przyszedł do domu, nie tłumaczył, co robił, i nikt go nie wypytywał.

Komentarz wygłosił tylko Tom Guildford, który namówił Clowance na spacer po plaży.

– Mam nadzieję, że się mylę, panno Clowance, ale wydaje mi się, że pani brat mnie nie lubi – powiedział.

– Och, nie sądzę!

– Rozmawiałem z panią dość krótko i miałem wrażenie, że wyraz jego twarzy się zmienił. Potem wyszedł. Nie mam pojęcia, czym mogłem go urazić.

Clowance postanowiła postawić sprawę jasno.

– Myślę, że mógł się poczuć urażony, gdy pan wspomniał, że zamierza nas odwiedzić Valentine Warleggan. Nie wiem, dlaczego Jeremy nie ma ochoty na spotkanie z Valentine'em – w ciągu ostatniego roku utrzymywali przyjazne stosunki. Po Bożym Narodzeniu dwa razy sugerowałam, że moglibyśmy go odwiedzić, ale Jeremy odmawiał – i to dość szorstko, jakbym nie powinna czegoś takiego proponować. Przykro mi z tego powodu, ponieważ Valentine jest bardzo zabawny. Czasem trudno zrozumieć Jeremy'ego.

W dali huczały fale przyboju. Były tak głośne, że plaża wydawała się pustym pudłem rezonansowym albo bębnem obciągniętym skórą.

– Skoro tak, cieszę się, że to nie ja budzę dezaprobatę pani brata – powiedział Tom. – Chcę się przyjaźnić z jednym z członków rodziny Poldarków, więc nie chciałbym być w złych stosunkach z innym.

– Isabella-Rose z pewnością pana lubi.

– Niezbyt miłe słowa.

– Doprawdy? Miały być miłe.

– W pewnych okolicznościach drobne ukłucie może głęboko zranić.

– Och, Tom, nie powinieneś tak szybko rozpoczynać zalotów – odpowiedziała z uśmiechem Clowance. – Widzieliśmy się dopiero trzy razy i czujemy się dobrze w swoim towarzystwie. To wszystko, prawda?

– Dla mnie to nie wszystko, zapewniam cię. Przysięgam, że gdy przyjechałem na święta do domu stryja, nie byłem z nikim związany i myślałem tylko o miłym odpoczynku. Trochę hazardu, polowań, może trochę picia – ale nie coś takiego! Moje serce przebiła strzała. Jeśli nie potrafisz mnie zrozumieć, powinnaś mi przynajmniej współczuć.

W Wheal Leisure właśnie dosypano węgla do paleniska i z komina buchały kłęby dymu przypominające loki na peruce.

– Może wiesz, że do niedawna byłam zaręczona – powiedziała Clowance.

– Valentine coś o tym mówił. Mam nadzieję, że nie jestem… – Umilkł.

– Nie, nie jesteś. Przynajmniej…

– Jakiż nieszczęśnik mógł być taki nieostrożny, by pozwolić ci się wymknąć? Współczuję mu.

– A mnie nie?

– Nie przypuszczam, że naprawdę kochałaś tego człowieka. Inaczej zostałabyś z nim nawet w trudnych chwilach.

– Tom, wprawiasz mnie w zażenowanie!

– Nie miałem takiego zamiaru, Bóg mi świadkiem! Znowu stąpam po kruchym lodzie?

Clowance się roześmiała.

– Może powinniśmy zmienić temat. Nawet ja nie potrafię myśleć o tym racjonalnie, na razie. Chciałam tylko, żebyś wiedział, zdawał sobie sprawę, że…

– Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha?

– Nie zamierzałam tego powiedzieć, ale myślę, że masz rację.

– Ukrop nie tylko parzy, może również ogrzewać. Jednak… nie mówmy o tym więcej. Chciałabyś czegoś się o mnie dowiedzieć?

Popatrzyła na krzepką sylwetkę i śniadą cerę Toma – niezbyt pasującą do młodego człowieka, ale zdrową. Kiedy się uśmiechał, widziała, że ma trochę nierówne zęby, lecz nie wyglądały brzydko. Był przystojny, choć pozbawiony niebezpiecznej, zwierzęcej męskości Stephena. Uważała, że odznacza się większym poczuciem humoru niż jej poprzedni adoratorzy. Nawet gdy mówił z pasją, dostrzegała iskierkę gorzkiej autoironii, która stanowiła jego wrodzoną cechę.

– Wyraźnie nie chcesz – rzekł po chwili oczekiwania. – Ale i tak ci powiem, choć w największym skrócie. Mam dwadzieścia trzy lata i studiuję w Kolegium Świętego Jana. Jestem na ostatnim roku. Moja rodzina nie jest bogata, choć nie biedna. Rodzice mieszkają w Hampshire, ale mają nieruchomości w Falmouth, a poza tym w Penzance. Studiuję prawo, ponieważ mam zamiar zajmować się tym zawodowo. Jednak moim ostatecznym celem jest osiedlenie się w Kornwalii i zdobycie posady plenipotenta jednego lub kilku wielkich majątków… – Urwał. – Naturalnie powinienem to powiedzieć twojemu ojcu – i w odpowiednim czasie to zrobię, jeśli otrzymam z twojej strony choćby słowo zachęty. Jeśli dobrze oceniam twoją rodzinę, masz zupełną swobodę wyboru, najważniejsza jest twoja własna decyzja.

Szli dalej. Dwa stadka ptaków siedzące na piasku, zaniepokojone zbliżaniem się ludzi, poruszyły się i podreptały w bok.

– Co to za ptaki? – spytał Tom.

– Te? Piaskowce.

– Piaskowce?

– I kilka siewek. Często przylatują o tej porze roku. A drugie stadko, trzymające się razem, to markaczki.

– Mijaliśmy kopalnię na klifie. Należy do was?

– Tak.

– Opowiadała mi o niej Isabella-Rose.

Szli dalej w milczeniu.

– A o mnie?

– Słucham?

– Co chcesz wiedzieć o mnie?

Przyglądał się Clowance, aż poczuła się zażenowana.

– O tobie? – odpowiedział. – Chcę wiedzieć wszystko. Ale nie muszę wiedzieć nic.

IV

Jeremy poszedł z Paulem do gospody Pod Herbem Gwarków. Po chwili dołączył do nich Stephen. Trzej młodzi ludzie rozmawiali, pili i wyrażali swoje poglądy na świat. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że ten wieczór okaże się w ich życiu punktem przełomowym.

– Wygląda na to, że wojna może się szybko skończyć – powiedział Jeremy. – Bonapartemu musi w końcu zabraknąć rekrutów.

– Wyjeżdżam za dwa tygodnie – rzekł Stephen. – Wracam do Bristolu, by zobaczyć, czy uda mi się znaleźć dobry statek. Sprzedam akcje Wheal Leisure na wolnym rynku – może dostanę za nie tyle, ile zapłaciłem. To niewielki kapitał, ale korsarze działają tylko w czasie wojny.

– Nawet jeśli Francja upadnie, w co wątpię, będziemy walczyć ze Stanami Zjednoczonymi – zauważył Paul.

Do izby weszła Emma z trzema nowymi kuflami piwa.

– Nie czekałam, aż poprosicie – powiedziała. – Wiem, że pijecie w równym tempie! Jak w zegarku, co?

– Nie ma tu gdzieś Neda? – spytał teatralnym szeptem Stephen. – Poszedł sobie? Pora, żebyś dała mi całusa!

Emma wyrwała mu z rąk spódnicę i wybuchnęła śmiechem.

– Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele. Ned potrafi być groźny, gdy się zdenerwuje!

– Ma się czym denerwować, o tak… – mruknął znacząco Stephen.

Emma wyszła przy akompaniamencie kolejnych śmiechów, lecz gdy szczęknęła klamka, młodzi ludzie szybko się uspokoili. Nie mieli się z czego cieszyć. Jeremy pomyślał, że on i Stephen są w tej chwili w podobnej sytuacji: tak samo wystawiono ich do wiatru, zrobiono z nich idiotów. Okoliczności były naturalnie zupełnie inne, podobnie jak szanse na zdobycie tego, na czym im zależy. Stephen w dalszym ciągu sądził, że Clowance zmieni zdanie. Odgrażał się, że wszystko jej wygarnie, gdy Clowance przyjdzie do stróżówki albo przypadkiem się z nim spotka. Jeremy nie chciał mu niczego doradzać. Stephen wierzył, że Clowance w końcu zacznie za nim tęsknić, że nie wytrzyma rozstania. Nie mówił tego otwarcie, ale Jeremy domyślał się na podstawie aluzji i półsłówek, że młody marynarz uważa się za głupca – przeklina się za to, że uległ Clowance i się z nią nie przespał. W tej chwili sądził, że nie powinien się godzić na zaproponowane przez nią półśrodki i w razie potrzeby wziąć ją nawet siłą. Kobiety nie mają nic przeciwko odrobinie brutalności. (Wiele dziewcząt w tajemnicy zwierzało się Stephenowi, że gwałt to ich skryte marzenie). Clowance mogła się od nich różnić, choć nie aż tak bardzo. Gdyby ją posiadł, szybko zawarliby małżeństwo. A po ślubie kłótnie to prywatna sprawa małżonków. Mogą na siebie krzyczeć, nawet się bić, ale są ze sobą związani, żyją razem – Clowance straciłaby swoją irytującą niezależność.

Od października imię Stephena łączono z wieloma dziewczętami, przede wszystkim z Lottie Kempthorne, chudą córką Charliego Kempthorne'a, którego wiele lat temu znaleziono utopionego w morzu, gdy zdradził miejscowych przemytników. Jego dwie chude córki wzięła do domu ciotka z St Ann's i wychowała z własnymi dziećmi. May poślubiła wytwórcę chodaków i wyprowadziła się z domu, ale dwudziestosześcio- lub dwudziestosiedmioletnia Lottie w dalszym ciągu była panną i rok wcześniej ciotka wyrzuciła ją z chaty z powodu złego prowadzenia się. Niedawno z ociąganiem znów przyjęła ją do domu, lecz reputacja Lottie się nie zmieniła. Była ładna, wiotka i krążyły plotki, że podczas ostatnich księżycowych nocy widywano ją wychodzącą ze stróżówki, co z pewnością nie spodobałoby się Poldarkom, gdyby się o tym dowiedzieli.

Stephen w dalszym ciągu pracował dorywczo u Wilfa Jonasa. Zawarli umowę, że może brać wolny dzień, kiedy zechce. Dopóki miał jakiekolwiek szanse na odzyskanie względów Clowance, mógł liczyć na pewną przychylność Wilfa i zgodził się na obniżkę wynagrodzenia.

Prywatnie Jeremy rozumiał punkt widzenia Clowance i mógłby go wytłumaczyć Stephenowi, lecz w istocie nie miał pojęcia, co się dzieje w sercu siostry: był prawie pewny, że właśnie to o wszystkim rozstrzygnie. Interwencja osoby trzeciej, niezależnie od dobrych intencji, byłaby bezużyteczna i zarówno Stephen, jak i Clowance mieliby do niego pretensje.

Jeremy i Stephen znajdowali się w podobnej sytuacji – ale Jeremy nie miał żadnej nadziei. Obaj byli wytrąceni z równowagi, nieszczęśliwi, nie potrafili się pogodzić z tym, co ich spotkało.

Stephen zaczął mówić o nieprzyjacielskich statkach wystawionych na sprzedaż w Plymouth i innych, mniejszych portach. Na przykład o pięknym amerykańskim brygu i ładnym francuskim kutrze

z drewna sosnowego. Takie pryzy można kupić za bezcen, są gotowe do wyjścia w morze, można je zaopatrzyć w prowiant i obsadzić załogą w ciągu kilku tygodni, a później wyruszyć w stronę wybrzeży Francji lub Irlandii, by zdobyć kolejne łupy. Gdyby tylko mieć pieniądze… Gdyby tylko mieć pieniądze!

Paul ziewnął.

– Bez przerwy gadasz o pieniądzach i zaczynasz być nudny, młynarzu. Mówisz o tym co najmniej raz w tygodniu. Nie możesz przestać. Gdyby życzenia zawsze się spełniały, żebracy jedliby ciastka.

– Jest jeszcze jedno przysłowie: Kto nie ryzykuje, ten nie wygrywa – odparł ironicznie Stephen. – Ciągle jestem bogatszy o kilka gwinei, które zarobiłem na łodzi z Penzance, podobnie jak ty.

– Zauważ, jak mało brakowało, byśmy trafili na szubienicę! – zawołał Paul. – Nawet teraz bałbym się pokazać w Plymouth.

– Pojechałbym do Plymouth choćby jutro, gdybym miał na tym zarobić – powiedział Stephen. – Aby kupić jeden z tych pryzów, potrzeba czterystu albo pięciuset funtów. Do tego dochodzą koszty wyposażenia i przygotowania do wyjścia w morze. Bezpiecznie byłoby mieć siedemset funtów. – Wypił łyk piwa. – Moje akcje Wheal Leisure nie są tyle warte. Nie… To znaczy, że muszę spróbować szczęścia w Bristolu, zaciągnąć się na statek jako prosty marynarz, który dostaje dniówkę, ale ma też niewielki udział w pryzowym. Na Boga, nie chcę mieć małego udziału, tylko wielki, płynąć, gdzie chcę, robić, co chcę! Kiedy można działać na własny rachunek, odpowiadać za siebie… Po zakończeniu wojny znikną wszystkie okazje!

Paul sięgnął do kieszeni.

– Któregoś dnia natknąłem się na zagadkowy artykuł. Podróżni zostawiają w dyliżansach najróżniejsze rzeczy: rękawiczki, laski, parasole, mitenki, buty, pugilaresy, ozdobne torebki, gazety, książki, miesięczniki. Często wracają po swoje rzeczy albo przysyłają służących, ale rzadko żądają zwrotu gazet albo czasopism. Przeglądałem je w zeszłym miesiącu – po pewnym czasie zbiera się cała sterta i można ją sprzedać za kilka pensów, bo ludziom nie przeszkadza, że są nieaktualne. Przejrzałem tę stertę i znalazłem „Morning Post" z poniedziałku dwudziestego trzeciego listopada.

– Co to takiego? – spytał Stephen. – Gazeta?

– Tak. Gazeta codzienna wychodząca w Londynie.

Stephen prychnął i otarł usta wierzchem dłoni.

– I co?

– Był w niej artykuł. Pomyślałem, że was zaciekawi, bo pamiętałem nasze zwariowane dyskusje.

Wyjął i rozwinął pognieciony wycinek z gazety. Przyglądał mu się przez chwilę, wygładził dłonią i zerknął na przyjaciół, nie wiedząc, czy czytać na głos. W końcu przesunął wycinek w ich stronę, między kufle piwa. Zbliżyli głowy i zaczęli czytać razem.

Tytuł brzmiał: „Zuchwały rabunek".

Bank Couttsów od kilku lat ma zwyczaj przesyłać pieniądze do swojego oddziału w Brighton dyliżansem Błękitna Piękność należącym do znanej renomowanej firmy przewozowej Bouverie, Cartwright *i Baynes, mającej główne biuro w St Marylebone. Błękitna Piękność odjeżdża sprzed gospody Pod Gwiazdą i Podwiązką o dziewiątej rano w każdy dzień roboczy.*

W poniedziałek szesnastego dyliżans jak zwykle wyruszył w drogę, a kasety z pieniędzmi znajdowały się w zamkniętej na kłódkę skrzyni pod kozłem woźniców. Wykupiono wszystkie sześć miejsc w kabinie dyliżansu. W chwili odjazdu wsiedli tylko dwaj pasażerowie, pan i pani Pressby. W Streatham zgodnie z planem dołączyli do nich pan Coningsby i pan Browne, lecz dwaj pozostali pasażerowie się nie pojawili. Kiedy dyliżans zatrzymał się na stacji pocztowej w Sutton, pani Pressby nagle źle się poczuła i nie mogła jechać dalej. Zatrzymała się wraz z mężem w gospodzie i posłano po aptekarza. Dyliżans wyruszył w dalszą drogę z dwoma pasażerami w kabinie i ośmioma na dachu.Jednak w Reigate dwaj pasażerowie kabinowi wysiedli, by spotkać się z przyjacielem, z którym byli umówieni. W gospodzie odkryli, że go nie ma i że wsiadł do dyliżansu do Londynu, rezygnując z planu podróży do Brighton. Dwaj pasażerowie nie widzieli sensu dalszej jazdy do Brighton, więc pozostali w Reigate, by czekać na

następny dyliżans mogący zabrać ich do domu.Kiedy dyliżans przybył do gospody Pod Starą Łajbą w Brighton i opuścili go wszyscy pasażerowie, w obecności pracowników banku otwarto kozioł woźniców i okazało się, że dwie kasety bankowe są wyłamane, a gotówka zniknęła.Podjęto próbę identyfikacji pasażerów jadących tego dnia dyliżansem. Wyznaczono nagrodę w wysokości trzystu funtów za odzyskanie gotówki lub aresztowanie złodziei. Skradziono od trzech do czterech tysięcy funtów. Bank wycofuje z obiegu skrypty dłużne wystawione na podobnych blankietach jak papiery przewożone dyliżansem.

Długo milczeli. W końcu Stephen przesunął wycinek po blacie w stronę Paula.

– Prawdziwa chińska łamigłówka.

– Ja też uważam to za dziwne – rzekł Paul. – Ale chińskie łamigłówki są po to, żeby je rozwiązywać. Co o tym sądzisz, Jeremy?

Młody Poldark pokręcił głową.

– Pomyślałem, że może to was zaciekawić – powiedział Paul.

– Zaciekawić?!

Weszła Emma.

– Wszystkie kufle opróżnione, co? Przepraszam, byłam zajęta w głównej sali. – Zgarnęła z grzechotem kufle i wyszła.

Paul wygładził jedwabiste włosy.

– Nie zaprzeczam, że po przeczytaniu tego artykułu trochę się nad nim zastanawiałem. Przydałyby się nam takie pieniądze. Chciałbym tylko znać magiczny sekret.

– Już o tym rozmawialiśmy – odparł szorstko Stephen. – W maju. Niczego nie wymyśliliśmy. Teraz też nie wymyślimy.

– Od maja sytuacja się zmieniła – rzekł Jeremy.

– O tak. O tak. Dla mnie? Dla ciebie? Dla nas. Może dla nas wszystkich. Ale… ten artykuł to tylko bajka. W niczym nam nie pomoże.

– Och, zgadzam się – odparł Paul. – Tak czy inaczej, bardzo chciałbym wiedzieć, jak ukradziono te pieniądze. Zastanawiałem się. Na pewno zrobili to pierwsi pasażerowie. Tylko jak?

– Dlaczego właśnie oni?

– Cóż, trudno sobie wyobrazić mniej wiarygodny pretekst od tego, który podali ci dwaj mężczyźni. Jak oni się nazywali? Coningsby i Browne. Umówili się z kimś na spotkanie w Reigate, a kiedy się nie pojawił, wrócili do Londynu, choć kupili bilety do Brighton. Widać, że to kłamstwo, nieudolna wymówka.

– A zamknięta na kłódkę skrzynia, na której siedzą woźnice? Zawsze jest ich dwóch. Jak mogli się do niej włamać? W gazecie napisano…

Znowu weszła Emma i spojrzała na zaabsorbowane twarze młodych ludzi.

– Widzę, że nie chcecie ze mną rozmawiać. Nieważne. Pójdę flirtować z górnikami. – Postawiła piwo na stole i wyszła.

– W gazecie napisano, że kasety bankowe wyłamano – powiedział Stephen. – Nie skradziono, tylko wyłamano. Jak to możliwe?

– Albo woźnice byli w zmowie ze złodziejami, albo byli pijani w sztok – powiedział Paul. – Już wam mówiłem, znam tych ludzi. Wypijają kieliszek na każdym przystanku i w połowie kursu konie same szukają drogi do domu.

– Nie sądzę – odparł Stephen. – Nie chodzi o pijanych woźniców. Inaczej wyłamano by również kłódkę na koźle. Rozumiecie, co mam na myśli? Przypuśćmy, że dwaj woźnice idą się napić, a ktoś – pasażer lub nie – wchodzi na kozioł, wyłamuje łomem kłódkę, kradnie pieniądze, umieszcza uszkodzoną torbę na poprzednim miejscu, chowa łup do torby i ucieka.

– Dyliżans stoi przed gospodą tylko kilka minut i wszędzie kręcą się ludzie – rzekł cierpliwie Jeremy. – Wątpię, czy ktoś traci go z oczu na sześćdziesiąt sekund. Co o tym sądzisz, Paul? Powinieneś wiedzieć.

– Masz rację, że dyliżans pozostaje bez opieki bardzo krótko. Kiedy wyrusza w drogę… A poza

tym był dzień.

– I nikt nie wyłamał kłódki na koźle.

Stephen dotknął palcem złamanego kła i dłubał w nim w zamyśleniu.

– Przynajmniej jeden woźnica musiał być w zmowie. Na pewno. Przekazał wspólnikowi klucz, gdy poszedł się napić.

– Ktoś musiałby rozbić kasety – zauważył Jeremy. – Na oczach wszystkich.

Jedna ze świec skwierczała. Unosiła się nad nią strużka dymu, a na ścianach tańczyły cienie. Chociaż był prawie koniec roku, za szybą trzepotały ćmy.

– Wasze uwagi trochę rozjaśniły mi w głowie – powiedział Paul. – Jeśli, jak przypuszczam, woźnice byli w zmowie z dwoma pasażerami, po zatrzymaniu się w Reigate przekazali im klucze. Kasety wyłamano, by odwrócić podejrzenia od woźniców.

– Skoro tak, to dlaczego nie wyłamano również kłódki na koźle? Gdyby to zrobiono, dowodziłoby to, że woźnice nie mieli nic wspólnego z rabunkiem.

Młodzi ludzie wypili po łyku piwa.

– Jak mogli się spodziewać, że pasażerka zachoruje w Sutton? – spytał Jeremy.

– To po prostu znaczy, że wszyscy pasażerowie byli w zmowie.

– Albo żaden – rzekł Stephen.

– Dlaczego tak uważasz?

– Woźnice mogli obrabować kasety sami. Oczywiście. To bardzo proste. Zatrzymują się przed stacją pocztową, pasażerowie wysiadają, jeden z woźniców idzie się napić, a drugi rabuje kasety.

– W czasie zmiany koni?

– Przed albo po. Mieliby całą minutę. Znaleźliby dość czasu.

– A co z pieniędzmi?

– Przekazali je wspólnikowi na następnym przystanku. Moim zdaniem właśnie dlatego rozbili kasety zamiast je zabrać. Znacznie łatwiej przekazać gotówkę.

Paul wielokrotnie składał i rozkładał wycinek z gazety, jakby chciał zapomnieć o dręczących go pytaniach.

– Czy kasety nie były również zamknięte na kłódki? – spytał Jeremy. – Czy te, które widziałeś w Plymouth, miały kłódki, Paul?

– O tak.

– Ile czasu może zająć rozbicie kaset po otwarciu kluczem kłódki na skrzyni pod kozłem? Jak długo by to trwało? Z pewnością znacznie dłużej niż trzy albo cztery minuty, gdy dyliżans czeka na zmianę koni. To niemożliwe.

Stephen wypił bardzo duży łyk piwa.

– Na Boga, czy to ma jakieś znaczenie? Przeczytałeś… przeczytałeś bajeczkę w londyńskiej gazecie, Paul, potem nam ją pokazałeś, a my łamiemy sobie głowy jak uczniowie, którym zadał zagadkę nauczyciel. Nigdy jej nie rozwiążemy. Nie wiemy nawet, czy prawidłowo formułujemy problem, ponieważ gazeta mogła coś pominąć albo dodać. Próby znalezienia odpowiedzi nie dadzą nam żadnej korzyści, bo nawet gdyby udało się nam to zrobić, okoliczności takie jak w Londynie nigdy się nie powtórzą – szczegóły nie mogą być takie same – więc zastanawianie się nad tym to kompletna strata czasu i energii! Zapomnijcie o tym! Zastanówmy się, jak zdobyć pieniądze w tej okolicy, a nie nad tym, co się stało w dyliżansie z Brighton.

Jeremy wpatrywał się w kopcącą świecę, intensywnie myśląc. W głównej sali rozległ się ryk śmiechu. Emma zabawiała górników.

– Za dwa miesiące mój ojciec trafi do więzienia, a matka i Daisy zostaną wyrzucone z domu – powiedział Paul. – Później będę musiał znaleźć pracę, by jakoś je utrzymać. Jak wiecie, nie mam wykształcenia, nie znam się na prawie ani księgowości, a nawet na fachowym prowadzeniu biura, choć trochę w tym pomagałem. To niezbyt przyjemna perspektywa… – Wstał i kopnął polana w palenisku, by płonęły jaśniej. – Mimo to nie zaryzykuję życia, napadając na dyliżans z pistoletem w ręku, w czarnej masce albo chustce na twarzy. Nie lubię przemocy i brak mi zimnej krwi, by dokonać napadu. Może ty

to potrafisz, młynarzu, bo uprawiałeś piractwo.

– Nigdy nie byłem piratem i nie zamierzam nim zostać – odpowiedział Stephen. – Korsarz, karle, to ktoś zupełnie inny, jak już wcześniej tłumaczyłem. Dostaje list kaperski. W czasie wojny działa legalnie. Walczy z wrogiem dla własnej korzyści. Właśnie dlatego chcę wrócić na morze przed zawarciem pokoju. – Walnął pięścią w stół, wzywając Emmę. – Nie, nie zamierzam napadać na dyliżans w czarnej masce – tak samo jak ty, Paul – choć jestem gotów ryzykować. Mam dość blizn na dowód, że nie jestem tchórzem! Ale ci, co ze mną walczyli, mają więcej blizn.

– Jak ten marynarz z oddziału werbunkowego – zauważył Paul.

– Tak, jak on.

– A Ben Carter?

– Daj temu spokój – powiedział Stephen. – Na razie, proszę.

Paul, który wcześniej ruszył w stronę drzwi, wrócił do stołu, ale nie usiadł.

– Mimo to…

– Co?

– Bardzo chciałbym wiedzieć, jak skradziono pieniądze z dyliżansu do Brighton. Gdyby to było proste, inteligentne i niezbyt ryzykowne, podjąłbym takie ryzyko.

– Nigdy się nie dowiesz – powiedział Stephen. – To bajka! Nikt nigdy nie odkryje, jak to się stało.

– Nie jestem taki pewien – wtrącił Jeremy.

Paul i Stephen popatrzyli na niego.

– Co masz na myśli?

– Paul, dyliżanse jeżdżące w Kornwalii mają dwóch woźniców?

– Tak. I strażnika. Jeśli przewożą pieniądze, zwykle jest również strażnik.

– A pasażerowie?

– Nie sześciu, tylko czterech. Mamy za wąskie gościńce.

– Takie dyliżanse kursują z Plymouth? Wróciliście jednym z nich po bójce z oddziałem werbunkowym?

– Tak, był podobnej wielkości. Dwóch woźniców, cztery konie, czasem strażnik, czterech pasażerów w kabinie, ośmiu lub dziesięciu na dachu.

– Rozumiem.

Czekali.

– Co masz na myśli, gdy mówisz, że nie jesteś pewien? – spytał Stephen. – Czego nie jesteś pewien?

– Nie jestem pewien, czy nie wiem, jak to się stało.

– Mów dalej!

– Oczywiście nie mam pewności – ciągnął Jeremy. – Nie potrafię opisać dokładnego przebiegu wypadków. Przypuszczam, że nikt nie potrafi tego zrobić, i prawdopodobnie nikomu to się nigdy nie uda. Ale chyba wiem, jak można zorganizować taką kradzież. Mogę wam powiedzieć.

Rozdział szósty

I

W czasie długich ferii świątecznych relacje sir George'a z synem były napięte. Valentine miał towarzyskie usposobienie i nie lubił samotności, a ponieważ rezydencja w Cardew była znacznie większa od domów wszystkich jego przyjaciół, wolał ich zapraszać do siebie, niż składać wizyty.

Dlatego prawie każdego dnia w kolacji uczestniczyło kilku młodych ludzi, mężczyzn i kobiet. Posilali się na koszt George'a, marnowali świece i węgiel, siedzieli do późna. Czasem tańczyli przy akompaniamencie miejscowego skrzypka mieszkającego w pobliskim Perranarworthal, niekiedy grali w tryktraka lub oddawali się hałaśliwym zabawom. George łatwiej by się z tym pogodził, gdyby goście byli potomkami arystokratycznych rodów środkowej i zachodniej Kornwalii, lecz większość pochodziła ze zwykłych rodzin ziemiańskich, które nie wyróżniały się niczym szczególnym ani nie posiadały wielkich majątków. George uważał, że to on robi im zaszczyt, a nie odwrotnie.

Po haniebnych scenach, które rozegrały się w Cardew, gdy tańczono *Taniec młynarza*, a Valentine porysował butami blat jednego z najlepszych stołów w rezydencji, George chętnie zabroniłby synowi zapraszania gości przez resztę ferii – nocne przyjęcie miało skandaliczny charakter i należało je zakończyć, nim sytuacja wymknęła się spod kontroli. Niestety, Valentine znalazł zagorzałą sojuszniczkę w Harriet. Jeździli razem na polowania, a gdy było za ciemno, by widzieć lisy, sprowadzali do domu hałaśliwych, zabłoconych młodych ludzi, którzy robili z nocy dzień. Harriet stawała po stronie Valentine'a w prywatnych rozmowach z George'em i pożyczała pasierbowi pieniądze, kiedy mu ich zabrakło. Było to wyjątkowo frustrujące. Poza tym od czasu do czasu George czuł ukłucie zazdrości – nie potrafił zapanować nad własnymi emocjami.

Zamierzał poinformować Valentine'a o swoich planach związanych z jego przyszłością, lecz nie nadarzała się odpowiednia okazja. Przez trzy ostatnie wieczory poprzedzające wyjazd do Cambridge Valentine składał wizyty przyjaciołom – nagle zmienił swoje obyczaje – i wracał bardzo późno. Chociaż George nie odznaczał się szczególną delikatnością, nie miał ochoty wzywać syna do gabinetu, by mu oznajmić, że zawarł umowę dotyczącą jego przyszłego ożenku. Nie była to tak banalna kwestia jak zmiana wysokości miesięcznego stypendium. Najchętniej porozmawiałby z Valentine'em po obiedzie, zwłaszcza pod nieobecność Harriet, przy porto, które złagodziłoby ewentualne opory syna. George nie spodziewał się zresztą, że Valentine będzie miał jakiekolwiek opory. Cuby, jak wielokrotnie podkreślał major Trevanion, to ładna dziewczyna, zdrowa, młoda, uległa, wykształcona, pochodząca z jednego z najstarszych, najwybitniejszych rodów hrabstwa. Zamieszkają w jedynym współczesnym zamku w Kornwalii, otoczonym przez ponaddwustuhektarową posiadłość dochodzącą aż do morza, złożoną z ogrodów i pól uprawnych. George interesował się przede wszystkim spółkami akcyjnymi i rentownością dyskonta weksli, ale kiedy po raz pierwszy zobaczył Caerhays, zrobiło ono na nim duże wrażenie. Kwitnące dzwonki wśród młodych buków przywodziły na myśl krajobraz z baśni. Żaden młody człowiek przy zdrowych zmysłach nawet by się nie zawahał.

Koszty okażą się wyższe, niż wynikało z pierwotnej umowy, ponieważ George będzie musiał przekazywać synowi pieniądze na utrzymanie. Miał jednak pewne pomysły związane z tym problemem. Dzięki radom sir Christophera Hawkinsa zainwestował z pomocą nowego wspólnika, bankiera sir Humphreya Willyamsa, kapitał w nowe przedsięwzięcie polegające na wydobywaniu gliny i kaolinu na wzgórzach i równinach okręgów St Dennis i Carloggas. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za dwa lub trzy lata uzyska kontrolę nad jedną z zajmujących się tym firm i postawi na jej czele Valentine'a. Będzie on wówczas mieszkał stosunkowo blisko kopalni odkrywkowych i jeśli okaże dość energii i inteligencji, może rozwinąć interes, by odpowiadał jego pozycji. (Stopniowe zmniejszanie subsydiów wypłacanych przez George'a powinno być zdrowym bodźcem dla przedsiębiorczości syna, lecz naturalnie nie należało go jeszcze o tym informować).

George kilka razy rozmawiał z Cuby i doszedł do wniosku, że jest obdarzona silnym charakterem, zupełnie innym niż dwaj jej bracia. Wpływ żony, majątek ziemski i nowe obowiązki mogą

sprawić, że Valentine spoważnieje i stanie się wpływową osobistością w hrabstwie, na co niewątpliwie zasługuje. Tymczasem George przymykał oko na ekstrawaganckie zachowania syna i szastanie pieniędzmi. Postanowił utrzymywać z nim względnie dobre relacje, by móc go poinformować o swoich planach w przyjazny sposób, przedstawiając je jako hojny dar kochającego ojca, a nie wyrachowany plan w celu utrzymania wpływów rodziny.

George zastanawiał się, czy nie porozmawiać z Harriet, lecz nigdy się na to nie zdecydował. W dawnych czasach z pewnością powiedziałby wszystko Elizabeth, ale relacje z lady Carter, choć nie tak burzliwe, nie były równie bliskie. George odnosił się do Elizabeth wyjątkowo szczerze – prawie się przy niej nie pilnował. Poza tym nigdy nie potrafił przewidzieć reakcji Harriet. Nie mógł odgadnąć, co jej przyjdzie do głowy. A coraz silniejszy sojusz żony z Valentine'em sprawiał, że jej opinie wydawały się podejrzane. Powie jej, gdy nadejdzie pora ogłoszenia zaręczyn.

George nie miał jeszcze planów związanych z małą Ursulą, która niedawno obchodziła trzynaste urodziny, lecz kilka razy, obserwując utytułowanych właścicieli ziemskich mających synów w odpowiednim wieku, nie mógł się powstrzymać od spekulacji. Ursula była jego oczkiem w głowie, choć czasem przyłapywał się na myśli, że wolałby, by to oczko było nieco ładniejsze. Valentine zupełnie nie przypominał członków rodziny Warlegganów, natomiast Ursula była do nich niesłychanie podobna. Miała krzepkie, tęgie ciało, wyraziste rysy, duże dłonie i lekko się garbiła. Poruszała się dość powoli, ale jej małe, przenikliwe oczy, przypominające lśniące orzeszki, błyskawicznie strzelały w różne strony. Ursulę rozpieszczała babka, która nie potrafiła jej niczego odmówić, a także ojciec, dostrzegający w niej własną krew – George nigdy nie czuł niczego podobnego w stosunku do Valentine'a.

Ursula była rezolutna i nad wiek rozwinięta. Harriet próbowała ją wychowywać, więc pierwotne uprzedzenie Ursuli do macochy szybko zmieniło się w niechęć. George czuł żal z tego powodu, ponieważ chciał, by wszyscy mieszkańcy Cardew lubili jego nową żonę, i w tej kwestii aprobował cele Harriet. (Mimo to instynktownie, z powodu pokrewieństwa, w drobnych sporach prawie zawsze stawał po stronie Ursuli). W dalszym ciągu uważał, że powinni się lepiej rozumieć, bo zmniejszyłoby to napięcia w domu. To, że wszystkie zwierzęta Harriet uwielbiały Ursulę – z wzajemnością – musiało w końcu doprowadzić do zgody.

George'a zachwycało jedno – dziewczynka miała wybitne zdolności do arytmetyki. W wieku siedmiu lat otworzyła sklepik ze słodyczami dla lalek i prowadziła księgę rachunkową, zapisując wielkimi dziecięcymi kulfonami, ile pieniędzy każda lalka wydała w ciągu tygodnia. Kiedy skończyła dwanaście lat, George kupił jej model kopalni cyny zbudowany przez kalekiego górnika z Wheal Spinster. Model, stojący na metrowych podpórkach w pokoju zabaw Ursuli, wyglądał jak prawdziwa kopalnia, choć maszyna parowa wypompowująca wodę była poruszana korbką. Pod ziemią pracowali maleńcy górnicy, szli zgarbieni chodnikami i kuli skały na przodkach; były również koła wodne, maszyny do kruszenia rudy, baseny do jej przemywania, szyby wentylacyjne, nawet imitacja węgla. Kilka miesięcy po instalacji modelu George z zadowoleniem zauważył, że córka prowadzi księgę rachunkową, sporządza kalkulacje kosztów, zawiera umowy ze sztygarami i wypłaca dywidendy.

Ursula była zirytowana, że Harriet nie chce zostać akcjonariuszką.

– Powinna iść do szkoły, George – powiedziała pewnego dnia Harriet, gdy wyszli z pokoju dziecinnego. – Na Boga, nie przepadam za salonowymi duperelkami, których standardowo nauczają na pensjach dla panien, ale Ursula potrzebuje towarzystwa dziewcząt w swoim wieku, współzawodnictwa, beztroski wynikającej z obracania się w gronie frywolnych dziewcząt. Nie zaszkodziłoby jej także trochę francuskiego. Przede wszystkim nie powinna stale siedzieć w domu.

– Często wychodzi – odparł sztywno George. – Ma kilka przyjaciółek. Moim zdaniem kontakty z córkami kupców nic jej nie dadzą.

– Wyślij ją do pani Hemple – poradziła Harriet. – W lipcu zeszłego roku otworzyła w Truro elitarną pensję. Myślę, że towarzystwo kilku koleżanek by jej nie zaszkodziło.

W opinii Harriet Ursula bardzo potrzebowała zmiany. Często jeździła konno, choć trzymała się w siodle niezgrabnie, lecz poza tym nie miała żadnych beztroskich rozrywek typowych dla trzynastoletnich dziewcząt. Harriet czuła kiedyś pokusę, by ironicznie zasugerować George'owi, że

najlepszym kandydatem na przyszłego męża jego córki byłby gruby, spocony chłopiec w okularach o nazwisku Conan Whitworth, jednak nie zrobiła tego ze względu na bezpieczeństwo własnego małżeństwa.

Dwunastego stycznia Valentine wyjechał do Kolegium Świętego Jana, ponieważ siedemnastego w Cambridge rozpoczynał się nowy semestr. Musiał opuścić dwór wczesnym rankiem i poszedł pożegnać się z rodzicami, gdy jeszcze znajdowali się w sypialniach. Był w doskonałym nastroju i jak zwykle pocałował macochę w usta, muskając palcami jej nagi bark.

– Wyglądasz na zaspanego – powiedziała Harriet.

– Jest koszmarnie wcześnie, a wczoraj wieczorem poszedłem późno spać. Jestem zmęczony, ale szczęśliwy.

Harriet ironicznie uniosła brwi.

– Mam nadzieję, że nie z wyjazdu?

– Nie to miałem na myśli.

– Tak właśnie przypuszczałam.

– Znasz piosenkę o pułkowniku Wattle'u, macocho? – spytał Valentine. – Tym, co nie lubił zaglądać do kieliszka, lecz uwielbiał miłość? [8] Piękna pieśń. Życzę ci miłego dnia.

Zaśmiała się lekko, gdy Valentine wychodził z sypialni.

Sir George siedział w fotelu, ubrany w szlafrok. Valentine powitał go wesoło. Trzeba mu przyznać jedno: nigdy nie jest ponury, pomyślał Warleggan.

– Cóż, papo, po zamęcie, jaki zapanował w domu po moim przyjeździe, wreszcie będziesz miał trochę ciszy i spokoju.

– Rzeczywiście, zachowywałeś się hałaśliwie – odpowiedział szczerze George. – Ale w młodości dobry humor to nic zdrożnego. I chyba sprawiłeś przyjemność lady Harriet.

– Nie tylko jej – odparł Valentine. – Nie tylko jej! Dziękuję, ojcze. Mnie również sprawiło to wielką przyjemność.

– W tej chwili powinieneś się przykładać do studiów w Cambridge – rzekł George. – Nie jestem pewien, jakie przedmioty studiujesz, ale…

– Jest wiele obowiązkowych przedmiotów, jeśli chce się później studiować języki klasyczne.

– To dla mnie swego rodzaju zagadka. Mam wrażenie, że nauka martwych języków nie da ci okazji zgłębiania przedmiotów, które bardziej ci się przydadzą, kiedy już ukończysz studia.

– Jeśli chciałbyś, bym opanował zasady księgowości, powinieneś mnie wysłać gdzie indziej.

George zerknął podejrzliwie na syna, lecz miał on tak niewinną minę, że trudno było go podejrzewać o szyderstwo.

– Cóż, do widzenia, papo. Zamierzam żyć ponad stan, ale postaram się tak zręcznie unikać wierzycieli, żebyś nie miał kłopotów.

Uścisnęli sobie dłonie i Valentine wyszedł. George pomyślał, że jeszcze tego ranka mógłby wspomnieć synowi o planach związanych z Cuby Trevanion. Mimo to uznał, że lepiej tego nie robić. Następnym razem Valentine przyjedzie do domu na Wielkanoc, nie będzie mógł urządzać niekończących się przyjęć i okres tych przeklętych polowań już się skończy. Z pewnością spędzą razem jeden z wieczorów.

W istocie rzeczy George nie musiał się zastanawiać nad wyborem odpowiedniego momentu, ponieważ Valentine znał już dotyczącą go umowę. Conan Whitworth skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji, by go poinformować.

Rozdział siódmy

I

Samoobrona – elegancki, lekki dyliżans pocztowy, jak głosiły anonse – w każdy dzień powszedni odjeżdżała o ósmej rano sprzed hotelu Royal w Plymouth i wieczorem o wpół do dziewiątej docierała do Nowego Hotelu w Falmouth. Po drodze zatrzymywała się w Gospodzie Londyńskiej w Torpoint, w gospodzie Pod Herbem Króla Jegomości w Liskeard, w gospodzie Talbota w Lostwithiel, w gospodzie Pod Białym Jeleniem w St Austell i w hotelu Pearce'a w Truro. Obsługę stanowiło dwóch woźniców i uzbrojony strażnik, w kabinie podróżowało czterech pasażerów, a ośmiu na dachu. Z powodu trudności, jakie przeżywały linie dyliżansowe (choć nie wspominano o tym w ogłoszeniach), ceny biletów obniżono do jednego funta i dziesięciu szylingów za miejsce w kabinie i jednego funta za miejsce na dachu. W przypadku krótszych odcinków były proporcjonalnie niższe. Pasażerowie mogli zabrać co najwyżej dwie sztuki bagażu podręcznego.

W poniedziałek dwudziestego piątego stycznia wszystko przebiegało jak zwykle. Woźnice nazywali się Marshall i Stevens, a strażnik – Blight. Zarezerwowano wszystkie cztery miejsca w kabinie. Dwóch pasażerów, wielebny Arthur May i pani May, miało wsiąść w Plymouth, dwóch zaś w Torpoint – porucznik marynarki wojennej Morgan Lean oraz niejaki George Jewell. Państwo Mayowie udawali się do Falmouth, porucznik Lean do St Austell, pan Jewell do Truro.

Kiedy pojazd wyruszył w drogę, był jasny, słoneczny dzień. Niebo, pokryte nielicznymi obłokami, miało lazurową barwę i wiał lekki północno-zachodni wiatr. Dyliżans, pomalowany na złoty kolor, wyglądał bardzo szykownie, podobnie jak woźnice i strażnik w czerwonych kurtkach i wysokich czarnych kapeluszach ze złotymi opaskami. Jechał z turkotem po kocich łbach na wąskich uliczkach Plymouth, zatłoczonych nawet o tak wczesnej porze, oznajmiając swoje przybycie piskliwym dźwiękiem długiej trąbki. Ludzie niechętnie usuwali się z drogi: mleczarki, młode kobiety z koszami krewetek, niechlujne baby prowadzące obszarpane dzieci, stary pastuch ze stadem kóz, jednonogi żebrak w marynarskiej czapce, ziewający żołnierze w czerwonych mundurach. Na ulicy gryzły się psy, w jednym z zaułków ryczał osioł. W centrum miasta pojawili się tędzy mieszczanie w czarnych surdutach, a później, gdy dyliżans zbliżał się do portu, coraz więcej marynarzy. Wiatr niósł zapach gnijących ryb.

Jedyną skazą na miłym początku dnia było to, że żona duchownego źle się czuła, co stało się jasne zaraz po wyjściu pasażerów z hotelu. Trzymała męża pod rękę i przyciskała chusteczkę do ust. Małżonka pastora Maya twierdziła, że jest w błogosławionym stanie i że doskwierają jej mdłości; spytała, czy w razie potrzeby mogłaby zasłonić okna dyliżansu. Natychmiast wyrażono na to zgodę, ponieważ była to częsta praktyka w przypadku deszczowej pogody lub na złych drogach, gdy kamienie lecące spod końskich kopyt mogły rozbić szyby. Wielebny Arthur May, wysoki mężczyzna w wieku około czterdziestu lat, miał świeżą cerę, siwiejące włosy i nosił okulary w stalowej oprawce. Było oczywiste, że nie widział zbyt dobrze, bo potknął się, wsiadając do dyliżansu. Jego żona, również dość wysoka, miała wyrazistą, śniadą twarz widoczną pod białą woalką. Bardzo uprzejmie podziękowała woźnicy, który pomógł jej wejść do kabiny.

Prom przewiózł dyliżans przez Hamoaze, lawirując między statkami. W porcie kotwiczyły brygi, fregaty, kutry, kecze oraz wielkie okręty wojenne, dwa trójpokładowce pierwszej klasy przygotowujące się do wyjścia w morze oraz sześć dwupokładowców różnych rozmiarów i klas. Las masztów lśniących w zimowym słońcu przypominał drewnianą kratę ogrodową. Plymouth było jedną z głównych baz brytyjskiej marynarki wojennej. To właśnie stąd i z kilku innych podobnych portów Anglia panowała nad morzami. Wszyscy pasażerowie z wyjątkiem pani May wysiedli z dyliżansu, by podziwiać wspaniały widok.

Wreszcie dotarli na drugą stronę Hamoaze i zatrzymali się w Gospodzie Londyńskiej. Do czterech pasażerów podróżujących na dachu dołączyło trzech następnych i przybył porucznik Morgan Lean, młody, barczysty oficer marynarki wojennej o gęstych czarnych brwiach, w białej peruce. Pan

Stevenitt, właściciel gospody, otrzymał wiadomość od pana Jewella, który poinformował, że wsiądzie do dyliżansu dopiero w Dobwalls albo Liskeard. Do tego czasu należało rezerwować dla niego miejsce w kabinie.

Tuż przed dziewiątą dyliżans rozpoczął pierwszy dłuższy etap podróży. Był on najbardziej czasochłonny, gdyż konie musiały pokonać kilka bardzo stromych wzgórz. W Torpoint pani May nie wysiadła, przyniesiono jej kieliszek brandy. Po kilku kilometrach uniesiono mahoniowe żaluzje i w kabinie zapanował półmrok. Szkoda, że zamożniejsi pasażerowie musieli zasłonić okna w tak piękny dzień, ponieważ dyliżans jechał teraz wśród prześlicznych strumieni i zatoczek wokół Antony i Sheviock.

Kiedy uniesiono żaluzje, pastor Arthur May natychmiast zdjął okulary.

– Na Boga, ledwo widzę! Powinienem pożyczyć okulary o słabszych soczewkach!

– Wszystko poszło zgodnie z planem? – spytał porucznik Lean.

– Tak się wydaje. U ciebie też wszystko w porządku?

– Tak. Widzieliście, jak ładują kasety z pieniędzmi?

Pani May skinęła głową.

– Dwie, jak mówiłeś. Na razie wszystko dobrze. Kiedy zaczynamy?

Popatrzyli na przebranego duchownego. Ponieważ plan wymyślił Jeremy, to on pełnił funkcję przywódcy.

– Za kilka minut – powiedział. – Zdaje się, że zatrzymamy się w Polbathic, prawda?

Czekali w milczeniu. Paul miał na sobie suknię Violet, swojej zmarłej siostry. Chociaż był od niej wyższy, zdołał poluzować suknię w talii, co uczyniło ją nieco dłuższą. Wszyscy kupili peruki, w różnym czasie i w różnych miejscowościach. Wszędzie oferowano na sprzedaż mnóstwo używanych peruk. Jeremy nabył perukę z końskiego włosia, jaką zawsze nosił wielebny pastor Odgers, znacznie jaśniejszą od naturalnej barwy własnych włosów. Paul kupił czarną damską perukę, a Stephen krótko się ostrzygł, by nosić perukę oficera marynarki wojennej. Stephen narzekał, że najmniej zmienił swoją powierzchowność, ale Jeremy i Paul nocowali w hotelu Royal, czego Stephen nie musiał robić. Jeremy prawdopodobnie miał rację, gdy twierdził, że nikt nie przygląda się uważnie rysom nieznajomych i że ludzie zapamiętują tylko cechy charakterystyczne: wysoki, krótkowzroczny duchowny w grubych okularach, chuda, ciemnowłosa ciężarna kobieta z woalką na twarzy, barczysty oficer marynarki wojennej w eleganckim nowym mundurze i białej peruce.

Dyliżans się zatrzymał. Żaluzje, wykonane z cieniutkich mahoniowych deszczułek, unosiło się i opuszczało z wnętrza pojazdu, podobnie jak szyby od zewnątrz. Kiedy Jeremy rozchylił kciukiem deszczułki żaluzji, mógł wyjrzeć na zewnątrz.

– Popatrzcie sami – rzucił i opadł na siedzenie.

Rozległo się pełne szacunku pukanie do drzwi. Po stosownej zwłoce Jeremy opuścił żaluzję i szybę.

– Zatrzymujemy się na pięć minut, sir – powiedział jeden z woźniców. – Zastanawiam się, czy pani May nie miałaby ochoty na jeszcze jeden kieliszek brandy.

Paul, w dalszym ciągu przyciskający pod woalką chusteczkę do ust, pokręcił głową.

– Bardzo dobrze, sir.

– Ja wypiję kieliszek – powiedział Stephen. – Nie, nie, pójdę po niego. – Przeprosił współpasażerów i podążył za woźnicą do gospody.

– Wątpię, czy to mądre – mruknął Paul.

– Im naturalniej się zachowujemy, tym lepiej. Dzięki Bogu jest ładna pogoda…

– Inaczej, kto wie…

Po chwili znów ruszyli w drogę. Jeremy w dalszym ciągu wyglądał z dyliżansu przez szparę w żaluzji. Nie tylko zabezpieczała przed niespodziankami, ale też wpuszczała do kabiny trochę światła potrzebnego w trakcie pracy.

– Zaczynamy – powiedział Jeremy.

Przycupnął na skraju siedzenia odwrócony plecami do koni. Stephen zdjął oparcie i położył je za

sobą. Za oparciem ściany dyliżansu były obite grubym czerwonym filcem: sztywny materiał przycięto, by pokrywał łukowate wnętrze kabiny. Był na tyle sztywny, że trzymał się samoistnie, i przymocowano go do drewnianych ścian tylko dwiema śrubami. Stephen wyjął śrubokręt, odkręcił jedną ze śrub i odgiął filc, obnażając drewno.

Paul wsadził rękę pod suknię, wyjął zawieszony pod nią lniany worek i położył go na siedzeniu obok siebie. Wyjął z niego ręczny świder i wiertło. Stephen wyciągnął z kieszeni kawałek kredy i narysował na drewnie koło wielkości tarczy dużego stojącego zegara. Później umocował wiertło w świdrze i przyłożył je do szczytu kręgu.

Drewniana ściana, również mahoniowa, miała dziewiętnaście milimetrów grubości. Tak twierdził Paul, który dobrze się znał na konstrukcji dyliżansów. Drewniana ściana oddzielała wnętrze dyliżansu od zamkniętej na kłódkę skrzyni pod kozłem woźniców. Jednak mahoń jest wyjątkowo twardy – równie twardy jak dąb – i wywiercenie otworu wymagało ciągłego nacisku na świder, by wiertło wgryzało się w drewno. Kiedy Stephen wyciągnął świder, w ścianie dyliżansu pozostała dziura o średnicy przeszło ośmiu milimetrów. Zaczął wiercić drugi otwór w najniższej części kręgu.

Dyliżans zwolnił, rozpoczynając długą wspinaczkę na szczyt wzgórza w pobliżu Trerule Foot. Obok biegły z krzykiem żebrzące dzieci, błagając o jałmużnę. Kilkoro próbowało zafundować sobie darmową, niebezpieczną przejażdżkę, wskakując na osie dyliżansu, lecz szybko je odpędzono. Paul wyjął resztę narzędzi z lnianego worka. Trzy wąskie piły długości piętnastu centymetrów, drewnianą oprawę tej samej długości, puszkę smalcu, pęk kluczy, buteleczkę tranu wielorybiego, dwa trzydziestocentymetrowe łomy ze stali. Położył je na siedzeniu.

Stephen wywiercił już sześć otworów.

– Moja kolej – powiedział Paul.

– Zaczekaj.

Dyliżans zwalniał, zbliżali się do grzbietu wzgórza. Obicie szybko wróciło na swoje miejsce, podobnie jak oparcie; narzędzia schowano pod siedzeniami. Pojazd się zatrzymał i pasażerowie podróżujący na dachu zeszli na ziemię, by ulżyć koniom. Jeremy opuścił żaluzję i wyjrzał na zewnątrz. Pani May leżała na siedzeniu z zamkniętymi oczami. Uprzejmy porucznik opuścił szybę i wystawił głowę.

– Chcecie, żebym też wysiadł? To żaden problem.

– Dziękuję, nie ma potrzeby, sir – zawołał z kozła woźnica. – Damy sobie radę, ale dziękuję.

Szczyt znajdował się w odległości stu metrów, lecz wydawał się bardzo odległy.

– Przeszkadzam pani, madame? – spytał porucznik Lean. – Czy powietrze nie jest zbyt chłodne?

– Nie, nie… – odparła omdlewająco pani May. – To miłe… przez moment.

Na szczycie wzgórza znajdowała się rogatka. Zatrzymali się na chwilę, zapłacono myto. Po krótkim postoju pasażerowie jadący na dachu, drugi woźnica i strażnik wrócili na swoje miejsca. Dyliżans znów ruszył naprzód przy akompaniamencie skrzypów, trzasków i strzelania z bata. Uniesiono żaluzję, a następnie szybę. Znów odsunięto obicie i Stephen chwycił świder.

– Chcesz, żebym cię zastąpił? – spytał Paul.

– Nie, jeszcze nie teraz. Zamocuj piłę w oprawce, przykręć śruby. Na Boga, czy nigdy nie przestaniemy się kołysać?! To jedyna rzecz, której nie braliśmy pod uwagę!

Chodziło o podskoki dyliżansu. W nierównych miejscach kołysał się on tak bardzo, że Stephen tracił równowagę i prawie wypuszczał z rąk świder. Wiercenie kolejnych otworów pochłaniało coraz więcej czasu.

Jeremy spojrzał na zegarek.

– Ile dziur zrobiłeś?

– Dopiero dziewięć.

– Co z czasem? – spytał Paul.

– Nie jest źle. Możemy skończyć przed Liskeard. Wszystko zależy od tego, ile razy będą nam przerywać.

– Chcesz, żebym zaczął piłować? – spytał niecierpliwie Paul.

– W żadnym wypadku. Tylko w najgorszym razie. Tak czy inaczej, do Lostwithiel zostały cztery godziny.

– Byłbym bardziej zadowolony, gdybyśmy skończyli przed Liskeard.

– Zapomnij o tym. Zastąp Stephena. Potem moja kolej.

Zamienili się miejscami. Kabina była bardzo ciasna i nieustannie na siebie wpadali. Stephen zgarnął trociny i wepchnął do wewnętrznej kieszeni munduru porucznika marynarki wojennej.

Jeremy obserwował przyjaciół i patrzył na kolejne otwory. Z pozoru wydawał się spokojny, ale serce waliło mu tak mocno, jakby przebiegł co najmniej półtora kilometra. Paul również wydawał się zdenerwowany, podobnie jak Stephen, co nieco zaskoczyło Jeremy'ego. Ryzyko, niebezpieczeństwo i łamanie prawa nie były dla Stephena taką nowością jak dla nich, lecz nigdy wcześniej nie próbował okraść dyliżansu. Narażał życie w ogniu walki, gdy mógł dać upust wrodzonej skłonności do brutalności. To, w czym teraz uczestniczył, było zbyt chłodne, zbyt wykalkulowane – włamanie w rozkołysanym dyliżansie, w pobliżu dwóch woźniców i strażnika uzbrojonego w karabinek, w zasięgu ich słuchu. Wyglądał, jakby miał za chwilę zwymiotować.

Szczególnie uderzające było to – Jeremy nie miał podjęcia, czy w czasie napadu na dyliżans z Brighton odbywało się to tak samo – że jak dotąd działali w zupełnej ciszy. Należało pamiętać nie tylko o woźnicach, lecz również o pasażerach. Od czasu do czasu słychać było, jak się poruszają na dachu, drapią o niego butami, krzyczą do siebie, śmieją się. Świder nie wydawał prawie żadnego dźwięku. Gdyby później należało użyć piły, a następnie łomu, dźwięki mogłyby się stać głośniejsze, lecz mimo wszystko nie przekroczą niebezpiecznego poziomu. Czy pasażerowie albo strażnik usłyszą jakiekolwiek odgłosy z kabiny, gdy jadą z turkotem po źle utrzymanych gościńcach, gdy wokół świszcze wiatr, a dyliżans podskakuje na wybojach?

Dotarli do drogi biegnącej łagodnie w dół obok sklepiku Budge'a. Od czasu do czasu skrzypiały hamulce. Zjeżdżali w dolinę. Chociaż był środek zimy, świeciło ciepłe słońce. Na brzegach potoków rosły pierwiosnki i żółte kwiaty, przez drogę przepływały strumyki czystej wody, na zielonych polach pasły się krowy i owce. Dyliżans był mikrokosmosem cywilizowanego życia przemierzającym sielski świat natury, który nie zwracał na niego uwagi. Jedynym ogniskiem niepokoju byli trzej młodzi ludzie w kabinie, ciężko pracujący, spoceni, popełniający lub zamierzający popełnić przestępstwo zagrożone karą śmierci.

Zmieniali się miejscami co dziesięć otworów. Wywiercili ich dwadzieścia, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt. Starannie planując w domu napad, Jeremy wszystko obliczył i doszedł do wniosku, że po wywierceniu dziewięćdziesięciu otworów można będzie delikatnie wyrwać drewniany okrąg ze ściany kabiny. Jeśli nie, trzeba będzie przepiłować drewno między otworami. Kiedy otworów było siedemdziesiąt i Jeremy zajął miejsce przy ścianie, wsunął palce w dziury i pociągnął, lecz nie pojawiły się żadne oznaki, że drewno ustępuje. Przypominało to piłowanie pnia lub polana. Nawet jeśli przeciąłeś dziewięć dziesiątych, to, co pozostało, wydawało się twarde jak żelazo. Dopiero ostatnie przeciągnięcia piły sprawiały, że drzewo się przewracało. Na górnej wardze Jeremy'ego lśniły kropelki potu, zaczął się obawiać, czy się nie pomylił. Przypuśćmy, że mahoń okaże się za twardy. Może nie ma sposobu na usunięcie okręgu?

– Zaczekaj – powiedział Paul, który obserwował otoczenie.

Dotarli do kolejnych rogatek, gdzie wysiadł jeden z pasażerów podróżujących na dachu i wsiadło dwóch następnych. Rozmawiali i żartowali. Jeremy domyślił się, że to wioska Menheniot. Oznaczało to, że powinni dojechać do Liskeard w ciągu godziny. Zostało jeszcze dużo pracy. Rozległ się głośny dźwięk trąbki, rozszczekały się psy i dyliżans znów ruszył w drogę.

– Bierz się do roboty – ponaglił Paul.

Kolejne otwory. Wywiercili już siedemdziesiąt pięć. Pokrywały przeszło trzy czwarte kręgu. Jeremy borował teraz dziurę po lewej stronie. Nie wszystkie znajdowały się w równych odstępach. Przeciętna odległość wynosiła trzy milimetry, gdzieniegdzie była większa, a w niektórych miejscach otwory prawie się stykały. Kiedy zakończą wiercenie wszystkich dziewięćdziesięciu otworów, powinni jeszcze przepiłować najszersze przerwy lub wywiercić kilka dodatkowych dziur.

Dyliżans wspinał się powoli na następne wzgórze. W końcu stanął.

– Zaczekaj – powiedział Paul.

Z dachu zsiadali pasażerowie. Wydawało się, że toczy się jakaś dyskusja. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi. Stephen opuścił żaluzję i okno, bo pukano po jego stronie.

Stevens.

– Bardzo przepraszam, sir, ale most na potoku jest słaby i trzeba trochę odciążyć dyliżans. Czy zgodziliby się panowie przejść na drugą stronę po kładce? Nie będziemy niepokoić damy, sir. Może zostać w środku, ale gdyby pan porucznik i pastor zechcieli przejść po kładce… – Popatrzył na ciemną postać w rogu. – Kiedy dojedziemy do Liskeard, będzie trochę lepiej, proszę pani. Droga nie jest tam taka wyboista. Mam nadzieję, że małżonka pastora nie czuje się gorzej?

– Podskoki dyliżansu są bardzo niemiłe – rzekł Jeremy. – Słyszałaś, co powiedział woźnica, kochanie?

– Tak, tak – odparł słabym głosem Paul. – Proszę, idź.

Dwaj mężczyźni wysiedli i dołączyli do pozostałych pasażerów, po czym wrócili do dyliżansu, gdy bezpiecznie przejechał przez most. Jeremy zdawał sobie sprawę, że jego twarz jest spocona i zaczerwieniona, zauważył też trociny pod paznokciami Stephena.

– Jak daleko jest stąd do Liskeard? – spytał woźnicę.

– Jakieś dwadzieścia minut jazdy, sir.

Pasażerowie zajęli miejsca w dyliżansie, który ruszył. Jeremy wyjął spod siedzenia świder i strzepnął trociny.

– Nie skończymy do Liskeard – to pewne. Lepiej zostań w dyliżansie, Paul, i poproś, żeby ci nie przeszkadzano. Nie wiem, czy woźnice kiedykolwiek wchodzą w czasie podróży do kabiny, by doprowadzić ją do porządku. Wiesz coś o tym, Paul?

– Nigdy. Szczęście, jeśli sprzątają pod koniec dnia.

Osiemdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt jeden. Brakowało czterech otworów, by zamknąć okrąg.

– Moja kolej – powiedział Stephen.

– Pozwól mi skończyć.

Skończył po pięciu minutach, po czym ukląkł na siedzeniu w ciasnej kabinie i patrzył na krąg. Włożył dłoń do środka i pchnął. Ani drgnie. Nie rozległ się choćby najlżejszy dźwięk świadczący, że drewno ustępuje. Jeremy nacisnął mocniej. Dalej nic.

Wręczył świder Stephenowi.

– Połącz kilka pierwszych otworów na dole i po lewej stronie.

– Ja w tym czasie spróbuję piłować – dodał Paul.

– W porządku. Tylko porządnie nasmaruj piłę. I rób to delikatnie.

– Znowu zwalniamy – zauważył Stephen.

– Do Liskeard jedzie się długo pod górę – wyjaśnił Paul. – To dopiero początek. Konie dadzą sobie radę. Nie trzeba robić postojów.

Pracowali kolejne pięć minut. Większa część lewej strony kręgu została już przepiłowana, później połączyli następne cztery otwory.

– Wystarczy – powiedział Jeremy. Znów delikatnie pchnął drewnianą tarczę i miał wrażenie, że lekko się ugina. Gdyby w tej chwili ustąpiła, obicie kabiny dyliżansu mogłoby się wybrzuszyć. – Zostawmy to na razie. Do Lostwithiel są jeszcze dwie godziny jazdy, a powinniśmy skończyć w ciągu godziny. Na pewno. W tej chwili przede wszystkim trzeba posprzątać.

Po czterech minutach piskliwy dźwięk trąbki uprzedził stajennych, że zbliża się dyliżans, a po kolejnej minucie pojazd wjechał z turkotem na dziedziniec gospody Pod Herbem Króla Jegomości. Zapanował hałas i krzątanina, pasażerowie schodzili z dachu, wyładowywano bagaże, brzęczały dzwonki, służący dźwigali walizki i kuferki, wyprzęgnięto spocone konie i odprowadzono je do stajni, a tymczasem w pobliżu stały świeże, trzymane przez stajennych, tupiąc kopytami i potrząsając łbami. Stajenni pokrzykiwali i żartowali. Pasażerowie, którzy jechali dalej, podążyli do gospody, gdzie powitał

ich obecny właściciel, pan Webb. Zacierał tłuste, pokryte kurzajkami dłonie i czekał, aż goście zamówią lekki posiłek, w sam raz na krótką przerwę przed następnym etapem podróży.

Spokój panował tylko we wnętrzu dyliżansu, które przywodziło na myśl oko cyklonu. Naturalnie opuszczono żaluzje w oknach i dwaj dżentelmeni wyglądali na zewnątrz, obserwując otoczenie. Po upływie stosownego czasu porucznik Morgan Lean skłonił się żonie pastora i wyszedł. Przed dyliżansem stał stajenny, który obniżył stopień i czekał, by pomóc wysiąść damie, jednak po krótkiej wymianie zdań pojazd opuścił tylko duchowny.

– Moja żona źle się czuje i prosi, by jej nie niepokojono – powiedział, wręczając chłopcu sześciopensówkę. – Napiję się czegoś i każę jej coś przynieść.

– Bardzo dobrze, sir. Dziękuję, sir.

Dwaj dżentelmeni podążyli za resztą pasażerów do gospody, gdzie szybko zauważył ich właściciel. Miał niezłe oko do dobrych gości i potraktował ich szczególnie. Pastorowej May zaniesiono filiżankę bulionu wołowego i kilka ciasteczek maślanych.

Męczące oczekiwanie. Minuty wlokły się w nieskończoność. Jeremy zjadł coś w rodzaju zapiekanki, wypił dwa kieliszki francuskiej brandy („specjalny transport, wielebny pastorze, specjalny, rozumie pan, co mam na myśli?"), zapłacił i wrócił do dyliżansu.

– Chcesz się odświeżyć? – spytał ironicznie.

– O tak, na Boga! – odpowiedział Paul.

– Więc zaczekaj, aż wróci Stephen. Nie możemy zostawić pustego dyliżansu. Gdzie narzędzia?

– Za siedzeniem. Owinąłem je w płótno, ale to spory pakunek.

– Nikt tam nie zajrzy.

Po dziesięciu minutach wrócił Stephen. Spod jego białej peruki spływały krople potu.

– Na Boga! – prychnął, dowiedziawszy się, o co chodzi. – Narażamy się na karę śmierci, żeby iść do wychodka!

– Spróbuj wysiedzieć w jednym miejscu przez kilka godzin! – syknął Paul. – Chryste, cała ta eskapada jest nie do zniesienia…

– Cicho! – przerwał Jeremy. – Zaprowadzę cię do gospody i zaczekam.

Wysoka, delikatna dama wysiadła z dyliżansu, wspierając się na ramieniu małżonka. Jej suknia i peleryna były na tyle obszerne, że wyglądała tak samo jak w Plymouth.

Pięć minut pełnych lęku, po czym znów powoli ruszyli w stronę dyliżansu. W połowie dziedzińca Jeremy zauważył, że Stephen rozmawia z jednym z woźniców. Przy drzwiach pojazdu stał gruby starszy mężczyzna. Stephen i woźnica rozmawiali podniesionymi głosami, wręcz się kłócili.

Kiedy Jeremy się zbliżył, woźnica – Marshall, szef obsługi dyliżansu – zawołał:

– Ach, wielebny pastor May! Sir, pojawił się pewien problem, jeśli można to tak nazwać. Mam nadzieję, że pana małżonka dobrze się czuje, sir? Ufam, że jest pani zadowolona z podróży, madame?

Paul nie odpowiedział, tylko wymijająco kiwnął głową.

– Pastorze, sir, rozumie pan, w Torpoint miał wsiąść czwarty pasażer, ale nie zdążył i przekazał wiadomość, że dołączy w Liskeard. Ponieważ tu też się nie pojawił, ten dżentelmen, pan… – pan Rose, dziękuję, sir – pan Rose chciałby zająć miejsce w kabinie i wydaje się, że nic nie stoi na przeszkodzie!

– Pan Jewell na pewno przybędzie – odparł ze złością Stephen. – Powiedział…

– Zostały tylko dwie minuty, sir. A ponieważ nigdzie go nie widać…

– Pan Jewell zapłacił za bilet? – spytał Jeremy.

– O tak, sir, to warunek rezerwacji, trzeba zapłacić z góry.

– W takim razie uważam, że nie mogę sprzedać jego biletu innej osobie.

Pan Rose, który miał fioletową twarz kontrastującą ze srebrzystymi włosami, spojrzał znad półkolistych okularów.

– Przepraszam, wielebny pastorze, przepraszam, madame. Ponieważ miejsce wydaje się wolne, pomyślałem, że z niego skorzystam. Normalnie nie przejmowałbym się styczniowym chłodem, ale dokucza mi podagra i miejsce w kabinie z pewnością jest warte kilku szylingów. Mam nadzieję, że nie będę niemiłym gościem ani nie sprawię państwu kłopotów. Naturalnie, gdyby oczekiwany pasażer

jednak się pojawił…

Sześćdziesiąt kilka lat. Skórzane bryczesy, wysokie buty, granatowy surdut, biała kamizelka, niewykrochmalony biały halsztuk, cylinder z szerokim rondem. Jeremy'emu zaschło w ustach. Jeśli ten człowiek wsiądzie do dyliżansu, cały skomplikowany plan legnie w gruzach. Nie dałoby się powtórzyć próby kradzieży, ponieważ w chwili wyjmowania kaset z pieniędzmi strażnik na pewno zauważy otwory. Wszyscy zrozumieją, że usiłowano dokonać włamania, lecz zakończyło się ono fiaskiem. To koniec. Stojący przed nimi człowiek okazał się niespodziewaną przeszkodą, która mogła pomieszać im szyki. Uśmiechał się promiennie, ważył przeszło sto kilogramów, był masywny, uparty, sympatyczny – wszystko to zapowiadało pecha. Oczekiwany pasażer oczywiście nigdy się nie pojawi, ponieważ nie istnieje. Uznali, że ujawnienie planu kradzieży czwartej osobie byłoby zbyt ryzykowne. Nie znali nikogo w swoim wieku, kto miałby odpowiednie cechy i motywację. Teraz okazało się, że ta decyzja to poważny błąd.

– Powinien pan wiedzieć, sir, że moja żona jest w błogosławionym stanie i źle znosi podróż dyliżansem – rzekł Jeremy. – Jest w stanie wytrzymać tylko dlatego, że ma dużo miejsca, może leżeć, zajmując dwa siedzenia. Chętnie dopłaciłbym, by moja żona mogła w dalszym ciągu korzystać z tego udogodnienia – zwrócił się do Marshalla.

Marshall się zawahał i zakasłał, osłaniając dłonią usta, by ukryć zażenowanie. Gruby pan Rose wydawał się zdziwiony, gdyż było jasne, że od początku liczył na spełnienie prośby, traktując ją jedynie jako formalność. Nikt nie wiedział, co powiedzieć. Pani May przytuliła się do męża i wyglądała, jakby zrobiło się jej słabo.

– Kiedy pan Jewell zostawił wiadomość, że nie wsiądzie do dyliżansu w Torpoint, dał nam znać, że na pewno zrobi to albo w Liskeard, albo w Dobwalls – odezwał się Stephen. – Nie mógłby pan długo korzystać z miejsca w kabinie, sir, bo pan Jewell pojawi się na następnym przystanku.

Pan Rose znów uśmiechnął się promiennie, ukazując sztuczne zęby.

– Przecież jadę do Dobwalls, pastorze! Właśnie do Dobwalls! Jeśli pana małżonka byłaby tak łaskawa, pastorze… Gdyby nie podagra, w żadnym wypadku nie ośmieliłbym się inkomodować…

W ciągu następnych pięciu sekund Jeremy rozważał wszystkie implikacje i skutki następnych słów. Obrócił się w stronę Paula.

– Najdroższa, nie możemy być niegościnni wobec dżentelmena, który znalazł się w trudnej sytuacji. Może po odświeżeniu się i krótkim odpoczynku poczujesz się trochę lepiej? Spróbujmy spełnić życzenia woźnicy i nowego pasażera. Postarajmy się. Jeśli poczujesz się gorzej, będziemy musieli przerwać podróż i wznowić ją jutro.

Pochwycił wzrok Paula. Obaj wiedzieli, że po dotarciu do Dobwalls czekają ich dwie godziny jazdy do Lostwithiel. Stephen nie orientował się w geografii i miał ochotę dalej oponować, lecz Jeremy uciszył go wielkopańskim uniesieniem dłoni.

– Doceniamy pana troskę, poruczniku. Ale myślę, że musimy… podjąć tę decyzję.

Pasażerowie weszli do dyliżansu. Wielebny Arthur May pomógł żonie wejść po stopniach i podążył za nią. Zajęła miejsce, którego oparcie zasłaniało narzędzia, a pastor usiadł obok niej.

– Proszę iść przodem, sir – rzekł ponuro porucznik Morgan Lean, a gruby pan Rose wsiadł do dyliżansu i zajął miejsce naprzeciwko Paula. Pojazd zaskrzypiał pod jego ciężarem. Kiedy Stephen znalazł się w środku, Marshall złożył schodki, po czym wspiął się na kozioł, gdzie Stevens już strzelał z bata. Stajenni puścili uzdy koni i dyliżans wyjechał z dziedzińca, kołysząc się na pełnej kolein drodze.

Rozdział ósmy

I

Pan Rose, z zawodu adwokat, nie był bynajmniej delikatny. Chociaż zapewniał, że nie chce przeszkadzać damie, nie zwracał na nią uwagi. Wyjaśnił, że mieszka w Liskeard i że wstał o piątej rano, po czym rozmawiał ze świadkami obrony w sprawie mężczyzny niedawno oskarżonego o stawianie oporu urzędnikowi służby celnej w trakcie wykonywania obowiązków służbowych – niebawem ma on stanąć przed sądem w Launceston. Bronił również dwóch chłopców oskarżonych o kradzież dwuletniego źrebaka o wartości dziesięciu funtów i dziesięciu szylingów oraz jednomiesięcznego cielęcia wycenionego na dwa funty, dwanaście szylingów i sześć pensów. W tej chwili jechał do Dobwalls, by porozmawiać z bogatą sześćdziesięciosiedmioletnią wdową, której sprawy prowadzi. Postanowiła poślubić jednego ze swoich lokai, młodzieńca w wieku dwudziestu dwóch lat.

Miał roziskrzone oczka błyskające nad sierpowatymi soczewkami okularów, emanował dobrą wolą, lecz na szczęście nie wydawał się zbytnio zainteresowany towarzyszami podróży. Najczęściej odzywał się do Jeremy'ego; Paul leżał z zamkniętymi oczami, przysłonięty woalką, a Stephen ponuro gapił się przez okno.

Jeremy odpowiadał monosylabami i myślał: Pojawiło się nowe, nieprzewidziane niebezpieczeństwo, spostrzegawczy człowiek o prawniczym doświadczeniu będzie nam towarzyszył aż do Dobwalls, dobrze nas zapamięta i opisze. Zapamięta nie tylko ubrania, jak woźnice, ale też kolor oczu, rysy twarzy, ręce, niedoskonałości uzębienia.

A jednak, czy on sam nie jest zbyt głęboko zaangażowany, by teraz zrezygnować… Jak daleko jest Dobwalls? Ile czasu zajmuje podróż z Dobwalls do Lostwithiel? Czy istnieje ryzyko, że w Dobwalls pojawi się kolejny głupkowaty intruz chcący podróżować w kabinie? A jeśli tak, jak go zniechęcić? W ułamku sekundy, gdy stał niezdecydowany na dziedzińcu gospody, zastanawiał się gorączkowo, czy lepiej pozwolić grubemu staruchowi przerwać ich pracę na trzy kwadranse, czy zwrócić uwagę pasażerów albo zaniepokoić woźniców i strażnika. Nie byłyby to jeszcze podejrzenia, lecz świadkowie mogliby się zacząć zastanawiać, dlaczego troje ludzi jadących w kabinie nie chce do niej nikogo wpuścić i stale unosi żaluzje.

– …bankructwa tych wszystkich banków – mówił pan Rose. – Bank Tamar w Launceston, Cudlipp i Spółka, Hill i Spółka, Pearce, Hambly i Spółka. Spowodowały wielką nędzę w okolicy. Ubodzy nie mają co jeść. Wielu innych ludzi, jak dotąd szacownych, którzy dzięki oszczędności i odmawianiu sobie najprostszych przyjemności zdołali zgromadzić kilka funtów, żyje o chlebie i wodzie, chlebie i wodzie, sir, ponieważ całe ich zasoby nagle przepadły, więc znaleźli się w tej samej sytuacji co rozrzutnicy, pijacy, ludzie skłonni do obżarstwa, leniwi, pozbawieni przezorności, nieostrożni. Winię za to pana Pitta, sir, wie pan? Gdyby żył, zobaczyłby skutki swoich machinacji finansowych!

Z Dobwalls do Lostwithiel. Około czternastu kilometrów. Dwie godziny pracy? Znacznie mniej z powodu postojów. Ale przy odrobinie szczęścia godzina powinna wystarczyć. Wszystko zależy od solidności kaset z pieniędzmi. Kaset z pieniędzmi należących do banku Warleggana i Willyamsa, co dawało Jeremy'emu dodatkową motywację – motywację o charakterze emocjonalnym – by nierozważnie wdać się w tę niebezpieczną awanturę.

Tego ranka obserwował zza zasłony sypialni kasety umieszczane w skrzyni pod kozłem dyliżansu, nim wsiedli do niego pasażerowie i załadowano resztę bagażu. Kasety nie wyglądały na wyjątkowo mocne, ale jeśli nie da się ich szybko otworzyć, może da się je zabrać. Byłoby to bardzo ryzykowne mimo koców, płaszczy i sukni.

Naturalnie nic nie stoi na przeszkodzie, by pojechali do St Austell, a nawet dalej – jednak nie zgadzało się to ze starannie przygotowanym planem. Wielebny Arthur May i jego małżonka powinni wysiąść z dyliżansu w Lostwithiel pod pretekstem, że dama czuje się coraz gorzej. Poinformują woźniców, że zamierzają przenocować w gospodzie Talbota i kontynuować podróż nazajutrz. Późnym

popołudniem, po dłuższym odpoczynku w gospodzie, mieli się wybrać na przechadzkę w zapadającym zmroku i nie wrócić. Powinni podążyć wolnym krokiem wzdłuż lewego brzegu rzeki Fowey i po przejściu kilku kilometrów w dół jej biegu dotrzeć do Lantyan Wood położonego prawie naprzeciwko St Winnow. Znajdowała się tam fantazyjna budowla ogrodowa wzniesiona w poprzednim stuleciu, w której mogli przeczekać resztę wieczoru. Tymczasem porucznik Morgan Lean miał zgodnie z planem wysiąść z dyliżansu w St Austell. Przeszedłszy kilkaset metrów od przystanku, dotarłby do gospody Kellowa, gdzie przedwczoraj zostawił w stajni trzy konie. Po ich odebraniu opuściłby małe miasteczko i rozpłynął się w mroku nocy.

Miał ruszyć na wschód, minąć St Blazey Gate i Tywardreath, a następnie dotrzeć do Golant. Tuż przed wioską powinien skręcić w prawo i po kilku kilometrach dojechać do budowli ogrodowej w Lantyan Wood. Nie musiałby się śpieszyć, choć kiedy przebyli tę drogę w ciągu dnia, zajęło to aż cztery godziny. Nawet gdyby Stephen się spóźnił, powinien dotrzeć na miejsce przed dziesiątą wieczorem. Mieliby całą noc na dojechanie bocznymi drogami do stróżówki – w pelerynach, by nie zauważono ich dziwnych strojów. W domu zamierzali zmienić ubrania na własne i do świtu spalić przebrania, peruki oraz pozostałe rekwizyty.

– Sir? – odezwał się Jeremy, zdawszy sobie sprawę, że niespodziewanie zadano mu pytanie.

– Wraca pan do swojego beneficjum, pastorze?

– Nie, nie, mieszkamy w Devonshire. Zamierzamy spędzić miesiąc z moją siostrą w Falmouth. Może nie powinniśmy się wybierać w długą podróż, ale jeszcze tydzień temu moja małżonka dobrze się czuła.

Pan Rose cmoknął ze współczuciem.

– Ma pan dzieci, pastorze?

– Pięcioletniego syna.

– Z pewnością piękny brzdąc. Sam nie mam dzieci. Moja żona zmarła na ospę dwa lata po ślubie i nie zawarłem nowego związku. Jednak los sprawił, że odwiedziłem wiele ciekawych miejsc… – Znów zaczął ględzić.

Stephen, siedzący obok pana Rose'a, naprzeciwko Paula, zauważył na podłodze trociny. Było ich więcej, niż się spodziewali. Postępowali nieostrożnie. Trociny wydawały się świeże, nie szare i zabłocone, jakby leżały w kabinie od dłuższego czasu. A jednak… Kto mógłby to uznać za podejrzane? Chyba tylko jasnowidz albo człowiek potrafiący czytać w myślach. Kto byłby w stanie się domyślić, co działo się wcześniej w dyliżansie i co nastąpi, gdy opuści kabinę? Najniebezpieczniejsza będzie chwila, kiedy pan Rose wyjdzie z dyliżansu. Jeden z woźniców opuści schodek i może zauważyć trociny. Stephen poruszył stopą, udając, że wyciąga nogę, po czym potarł obcasem podłogę, by pobrudzić trociny i choć nieco je ukryć.

– Wie pan, pastorze, prowadzę w tej chwili bardzo interesującą sprawę. Niejaki William Allen, wytwórca kart do gry, zmarły przed siedemdziesięciu kilku laty, zawarł w swoim testamencie postanowienie, by po wsze czasy na Boże Narodzenie przekazywano pięć szylingów ubogim wdowom; pieniądze miały pochodzić z czynszu jego domu przy Fore Street. Obecnie wniesiono pozew z żądaniem, by wstrzymać wypłaty jako sprzeczne z ustawą o prawie martwej ręki. Zna pan jej postanowienia?

– Nie, sir.

– Pozwolę sobie wytłumaczyć…

Na litość boską, gdzie jest to cholerne Dobwalls?! – pomyślał Stephen. Nie był pewny, czy akceptuje wszystkie plany Jeremy'ego: były zbyt skomplikowane, zbyt podobne do rabunku w Brighton. Najlepiej, by wysiedli w St Austell, a później, po odjeździe dyliżansu, poszli ulicą do gospody Kellowa, wzięli konie i odjechali. Skoro nie rozpoznano ich w dyliżansie, istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że zostaną rozpoznani w St Austell. Tuż po ich wyjściu zapadnie zmrok, skutecznie roztopią się w ciemności. Mogliby nawet odjechać na wschód, zmylić ludzi, którzy ewentualnie by ich obserwowali. Stephen uważał, że najprostsze metody są zawsze najlepsze.

Jeremy wolał znacznie staranniej zacierać ślady. Jeśli wysiądą z dyliżansu w różnych miejscowościach, konstablom trudniej będzie połączyć fakty. Nikt się nie domyśli, kogo podejrzewać,

gdzie szukać śladów – wszystko wyda się kompletną zagadką, podobnie jak w przypadku, o którym czytał wraz z przyjaciółmi w „Morning Post". Poza tym Jeremy uważał, że jeśli banki znają szczegóły pierwszej kradzieży – a nawet banki działające w odległych miastach, jak bank Couttsów oraz bank Warleggana i Willyamsa, mogły wymieniać informacje na temat napadów – prawie identyczny charakter obu przestępstw sprawi, że uznają je za robotę tego samego gangu. Gdyby schwytano ludzi odpowiedzialnych za pierwsze włamanie, nikt nie uwierzy, że nie mają nic wspólnego z drugim. Tak czy inaczej, za takie przestępstwo grozi kara śmierci, a sprawców nie można powiesić dwukrotnie.

– Powinien pan odpocząć w czasie podróży, pastorze, przenocować w gospodzie, zobaczyć Liskeard. Warto je odwiedzić – powiedział pan Rose.

– Niewątpliwie.

– Kościół Świętego Marcina to bardzo ładna budowla. Podobno druga co do wielkości świątynia w hrabstwie. Proboszcz nazywa się John Hony. Pracuje tam od trzydziestu lat. Wspaniały, dobry człowiek. Jestem pewien, że z radością pozna innego duchownego. Gdzie znajduje się pańska parafia, pastorze?

– W Sidmouth. – Jeremy wymienił pierwsze miasto, jakie przyszło mu do głowy.

– Tak. Tak, rzeczywiście. Wie pan, że Edward Gibbon, słynny historyk, był przed niespełna czterdziestu laty posłem do Izby Gmin z Liskeard? Zdaje się, że nigdy nawet nie odwiedził miasta. Reprezentował interesy Eliota. Chyba niczym się nie odznaczył w parlamencie…

Niech diabli porwą tego człowieka! – pomyślał Paul. Stoi między nami a… a mnóstwem pieniędzy. Stephen niewątpliwie kupi za swój udział statek korsarski i zostanie jego kapitanem w nadziei, że zdobędzie bogaty pryz, dopóki trwa wojna. Jeremy również toczy w swoim sercu prywatną wojnę. Miała ona związek z dziewczyną o nazwisku Cuby Trevanion. Paul nie mógł zrozumieć, dlaczego stary przyjaciel jest tak rozgoryczony i wściekły. W wojnie Jeremy'ego nie chodziło jedynie o Cuby, dotyczyła ona także Warlegganów. Gdyby kradzież się udała, Jeremy żałowałby tylko tego, że zrabowana kwota okazała się zbyt mała, by doprowadzić bank do bankructwa.

Paul uważał, że jego motywy są naprawdę usprawiedliwione. Brał udział w napadzie, by ocalić ojca przed więzieniem dla dłużników. (Naturalnie, podobnie jak wszyscy młodzi ludzie w jego wieku, marzył o bogactwie i pięknych strojach, ale przynajmniej nie uganiał się za młodą kobietą, która go odrzuciła. „Wysoki Sądzie – powiedziałby na rozprawie sądowej przed wysłuchaniem wyroku śmierci – moje motywy były uczciwe. Próbowałem ratować rodzinę przed nędzą i głodem").

– Jego dzieła literackie oczywiście nie są pozbawione wad – ciągnął pan Rose, mrugając nad soczewkami okularów. – Moim zdaniem charakter Gibbona sprawiał, że duchowość była dla niego czymś obcym, niemożliwym do pojęcia. Podkopywał wiarę chrześcijańską, posługując się szyderstwami i pomówieniami, choć nie ośmielał się otwarcie jej atakować. Brakowało mu intuicji pozwalającej rozumieć ludzkie uczucia. Zgadza się pan ze mną, pastorze?

– Całkowicie.

– Jak pan niewątpliwie wie, źle skończył. Jako młody człowiek nabawił się przepukliny, a później uporczywie ją lekceważył. W ostatnich latach życia był niezmiernie gruby i cierpiał na podagrę – pan Rose spoglądał przez chwilę na własny ogromny brzuch – oraz żylaki. Ubierał się rano i rozbierał wieczorem, załatwiając wszystkie potrzeby natury w fotelu. Podobno tak śmierdział, że nikt nie był w stanie wytrzymać jego towarzystwa. W końcu pojawiła się puchlina…

– Proszę, sir, moja żona… – powiedział Jeremy.

– Oczywiście. Przepraszam, madame.

Dyliżans zwalniał.

– Dobwalls – powiedział Stephen.

– Rzeczywiście. – Pan Rose znowu się rozpromienił. – Niestety muszę tu państwa opuścić. Pastorze, madame, poruczniku, rzadko mi się zdarzało, by podróż upływała tak szybko i tak miło w eleganckim, przyzwoitym towarzystwie. Życzę państwu miłego dnia.

Był to krótki przystanek, na którym wsiadali i wysiadali pasażerowie podróżujący na dachu, toteż obyło się bez dęcia w trąbkę lub innych ceremonii. Gruby pan Rose z trudem przecisnął się przez drzwi;

poza tym wysiadł jeszcze jeden spośród pasażer podróżujących na dachu. Po ich odejściu przez chwilę panował spokój, po czym Marshall wsadził głowę do kabiny.

– Przepraszam, kapitanie, pan Jewell, pana przyjaciel, kapitanie, pan Jewell znowu się nie pojawił.

– Zdaje się, że nie – odparł Stephen, przygotowując się do kolejnej kłótni o wolne miejsce.

– Tak to bywa, kapitanie, tak to bywa. Niektórzy ludzie dziwnie się zachowują, marnują pieniądze. Wygląda na to, madame, że nikt więcej nie będzie pani przeszkadzał.

Zamknął drzwiczki i wdrapał się na kozioł. Dyliżans ruszył.

II

Niewielkie piły okazały się prawie bezużyteczne. Mimo nieustannego oliwienia zgrzytały i nie dawało się pracować w równym rytmie, ponieważ dźwięk mógł być słyszalny na zewnątrz.

Drewniany krąg wycięto w całości, najpierw od góry w prawo, a później od dołu w lewo. Drewno się poruszało, uginało pod naciskiem. Należało je wciągnąć do kabiny, bo gdyby wpadło do skrzyni pod kozłem, mogłoby zagrzechotać. Jeremy wsunął palce w otwory w dolnej części kręgu i szarpnął. Rozległ się trzask. Natychmiast zwolnił nacisk i pracę przerwano na całą minutę. Paul powinien obserwować otoczenie, lecz przyglądał się operacji usuwania kręgu i nie patrzył przez okno. Dyliżans powoli się zatrzymał.

Trzej młodzi mężczyźni szybko umieścili obicie i siedzenia na właściwych miejscach, po czym schowali narzędzia. Nabrali w tych czynnościach takiej wprawy, że wnętrze dyliżansu doprowadzono do porządku, nim woźnice zeszli na ziemię. Paul opuścił żaluzję i – zapominając o rzekomej niedyspozycji żony pastora – otworzył okno i wyjrzał.

Szybko cofnął głowę.

– To chyba przewrócone drzewo – powiedział z ulgą. Usiadł w rogu i zasłonił ręką oczy. Nikt inny się nie poruszył.

Po chwili Stephen wyjrzał przez okno.

– Tak. Chwała Bogu, to tylko konar. Siedźcie! Podnoszą go… To cholerstwo jest ciągle połączone z pniem, muszą odgiąć konar… Chyba wszystko w porządku… Ci durnie usuwają mniejsze gałęzie! Co oni robią, zamierzają sprzątać gościniec?! Która godzina, Jeremy?!

– Cicho! – mruknął Jeremy. – Uspokój się!

Przez półotwarte okno słychać było głosy woźniców i pasażerów. Wydawało się, że o coś się sprzeczają, lecz po chwili rozmowy ucichły. Stephen zamknął okno i uniósł żaluzję, po czym woźnice weszli na kozioł, parsknęły konie i dyliżans znów ruszył.

– Teraz! – szepnął Jeremy.

Stephen wywiercił dwie następne dziury, a Jeremy znów wsunął palce do otworów i pociągnął. Drewniana tarcza ustępowała, nie wydając żadnego dźwięku. W końcu przekrzywiła mu się w dłoni i łączyły ją ze ścianą tylko trzy cienkie kawałki drewna. Paul wyjął piłę. Pracowała prawie bezgłośnie. Jeremy trzymał w ręku okrągły kawałek mahoniu z półkolistymi wgłębieniami na obwodzie, nieco podobny do koła zębatego.

Podał go Paulowi, wsunął drżącą dłoń do otworu i natychmiast chwycił jedną z kaset.

Była ciężka, więc musiał pomóc sobie drugą ręką. Przyciągnął ją do siebie, uniósł i kaseta znalazła się w kabinie.

Prostokątna stalowa skrzynka o wymiarach trzydzieści na piętnaście centymetrów, z rączką na wierzchu, zamknięta na mocną kłódkę. Wydawała się niezwykle ciężka. Jeremy znów przysunął się do ściany i włożył dłoń do otworu. Wkrótce wyczuł drugą kasetę i zdołał ją wyjąć. Była nieco mniejsza – trzydzieści na dwadzieścia trzy na dziesięć centymetrów – i znacznie lżejsza. Ona również miała rączkę, lecz była zamknięta na zwykły klucz. Wydawało się, że jest ze stali, podobnie jak pierwsza skrzynka.

Gdyby dyliżans się teraz zatrzymał, mogliby szybko umieścić obicie i siedzenia na właściwych miejscach, ale należałoby ukryć kasety pod suknią Paula i schować gdzieś drewniany okrąg.

Wyjęli składane łomy, zmontowali je, po czym Stephen wsunął koniec jednego z nich pod skobel i napiął mięśnie. Naciskał z całych sił, aż nabrzmiały mu żyły na skroniach, a po twarzy ściekał pot. Po chwili skapitulował i wydał z siebie gniewny pomruk. Miał wrażenie, że pod koniec coś się rusza, lecz może wyginała się stalowa ściana kasety przy skoblu. Tymczasem Paul wyjął pęk kluczy i usiłował dopasować któryś z nich do zamka mniejszej kasety.

– Zaczekaj, teraz ja – powiedział Jeremy. Wziął od Stephena łom i wsunął go z drugiej strony pod skobel. Chociaż był szczupły, odznaczał się dużą siłą fizyczną. Łom z hartowanej stali znów naparł na skobel. Rozległo się kilka dziwnych trzasków, ale skobel nie puścił. Jeremy rozluźnił mięśnie, opadł na siedzenie i odetchnął.

– Ile czasu zajmie przepiłowanie kłódki? – spytał Stephen.

– Moim zdaniem za długo. Kaseta jest za wielka, żeby ją wynieść z dyliżansu.

Stephen potrząsnął metalową skrzynką. Rozległ się obiecujący grzechot.

– Na Boga, musimy się tam włamać! – Podjął kolejną próbę. Przekrzywiła mu się peruka, a dłonie miał już śliskie od potu. W końcu skapitulował.

– Spokojnie – powiedział Jeremy. Wziął łom i wsunął go pod skobel. Tym razem umieścił jego koniec bliżej, by mocniej naciskał. Wydawało się, że w końcu coś pęka, po czym łom wyślizgnął mu się z ręki i Jeremy boleśnie uderzył knykciami w boczną ściankę kasety. Odłożył łom, przeklinając, i zaczął wysysać krew, która zalała trzy palce.

– Doskonale! – warknął Stephen. – Jeśli pobrudzimy dyliżans krwią, pomyślą, że kogoś zabiliśmy!

Nie okazał żadnego współczucia. Jeremy usiłował obandażować rękę chusteczką, a Stephen znów zabrał się do pracy…

– Wielkie nieba! – wykrzyknął Paul.

Znieruchomieli, obrócili głowy i zobaczyli, że mniejsza kaseta jest otwarta. Paul szeroko się uśmiechnął.

– Pasował siódmy klucz! Wiedziałem, że te zamki są robione według jednego wzoru!

Spoglądali na cztery grube paczki banknotów przewiązane czerwonym sznurkiem. Paul wyjął je i ułożył na siedzeniu. Pod banknotami znajdowały się inne papiery: akty własności, umowy, dokumenty.

Dyliżans spokojnie jechał naprzód.

– Schowaj pieniądze, szybko! – rzucił Jeremy. Ręka ciągle krwawiła, lecz włożył czarne rękawiczki, by ukryć ranę.

Paul wepchnął paczki banknotów do kieszeni przyszytej wewnątrz sukni. Zawahał się, czy zabrać resztę papierów.

– To też – powiedział Jeremy. – Przysporzymy bankowi Warlegganów więcej kłopotów.

Papiery zniknęły. Jeremy chwycił kasetę, zamknął i wepchnął z powrotem pod kozioł. Odetchnął głęboko, zadowolony, że jeden z dowodów kradzieży zniknął z pola widzenia.

– Zdobyliśmy okrągłą sumkę, na Boga! – szepnął Paul. – Ciekawe ile. Zastanawiam się, czy…

– Zapomnij o tym. Posłuchaj: czy któryś z twoich kluczy może pasować do kłódki?

– Wątpię. W kłódce zapadki są zwykle w innych miejscach.

Dwaj kompani z ponurymi minami obserwowali, jak Paul po kolei wypróbowuje klucze. Pęk składał się z około dwudziestu kluczy; niektóre były wyraźnie za duże albo za małe.

Dyliżans zwalniał. Jeremy zerknął przez żaluzję.

– Wygląda jak wzgórze, ale… Są tu jakieś wzgórza, Paul?

– Chyba niezbyt strome. Wyższe znajdują się zaraz za Lostwithiel. Która godzina?

Jeremy wyjął zegarek.

– Dwadzieścia pięć po pierwszej. Powinniśmy dotrzeć do Lostwithiel za pół godziny.

– Nie mogę otworzyć tej przeklętej kłódki – powiedział Paul, chowając klucze do kieszeni. – Trzeba ją wyłamać.

Dyliżans posuwał się do przodu w ślimaczym tempie, ale żaden z pasażerów nie zszedł na ziemię.

– Miej oczy otwarte, Paul – odezwał się Jeremy. – Możemy się zbliżać do przystanku, o którym

nic nie wiemy. W tej chwili nie wolno ryzykować…

Po kolei mocowali się z kłódką. Zatrzeszczała, stalowa płyta kasety się wygięła, jednak kłódka i skobel nie puszczały.

– Przydałby się oskard – powiedział Stephen. – Wyłamałbym kłódkę w mgnieniu oka.

– Zgodnie z planem zostało co najwyżej dwadzieścia minut – zauważył Paul. – Oczywiście możemy się zadowolić jedną kasetą.

Stephen przestał napierać na kłódkę i otarł pot z czoła.

– Orientujesz się, ile mamy pieniędzy?

– Banknoty pięciofuntowe, dwudziestofuntowe banknoty Banku Anglii, trochę biletów pocztowych – spora kwota.

– W drugiej kasecie mogą być miedziaki i drobne srebrne monety – powiedział Stephen. – Bankom zawsze brakuje drobnych.

Jeremy wziął łom i zważył go w dłoniach. Rękawiczki pozwalały go dobrze chwycić.

– Nie wiemy, ile z tych papierów da się spieniężyć. Byłbym rozczarowany i zdziwiony, gdyby w tej kasecie były tylko miedziaki.

– Nie wiadomo, czy się kiedykolwiek dowiemy.

– Dlaczego nie jechać do St Austell? – spytał Paul. – Przez godzinę przepiłowalibyśmy kłódkę.

– Możemy iść na całość i wynieść kasetę – zaproponował Stephen.

– Przykryłbym ją szalem. Kto będzie pamiętał, jakie mieliśmy bagaże?

– I tak muszę wynieść mnóstwo rzeczy! – warknął Paul. – Narzędzia i całą resztę.

Jeremy przerwał pracę.

– Nie wolno wpadać w panikę. W tej chwili nikt niczego nie podejrzewa. Niech tak zostanie! Nawet jeśli oznacza to zdobycie tylko jednej kasety.

– Niech Stephen spróbuje po naszym odejściu – zasugerował Paul. – Kiedy zostanie sam, ma duże szanse. Możemy zostawić mu łom i pilnik…

Konie znowu szły truchtem. Nagle rozległ się ostry trzask.

– Na Boga, chyba puszcza! – szepnął Jeremy. – Cofnął łom i spojrzał na kłódkę.

– Daj, spróbuję – powiedział Stephen, ale Jeremy się nie odsunął. Podłożył łom z drugiej strony i nacisnął. Skobel nie puszczał. Wsunął łom w poprzednie miejsce. Koła dyliżansu nagle zaturkotały.

– Co to takiego?

– Most – wyjaśnił Paul. – Nad doliną, nie rzeką. Poznaję go; do Lostwithiel zostało jakieś dwanaście minut.

Zamek znów szczęknął. Jeremy odłożył łom na siedzenie i dotknął stalowego kółka kłódki, które zostało mu w ręku.

Przejechali przez wioskę: szczekanie psów, dzieci biegnące z krzykiem obok dyliżansu, kobiety w chustach siedzące w drzwiach. Jeremy odłożył kłódkę, otworzył kasetę. W środku znajdowały się cztery ciężkie worki z monetami, pęk kluczy, spinka do krawata z dużym rubinem, duży pierścień z brylantami, dwa złote sygnety i pieczęć banku Warleggana z wizerunkiem skorpiona.

Uzgodnili, że ponieważ Stephen będzie dalej podróżował dyliżansem, nie powinien mieć przy sobie żadnych obciążających dowodów, więc Jeremy schował worki z monetami do wewnętrznych kieszeni długiego czarnego płaszcza pastora. Klucze wsunął do kieszeni spodni.

Kolejna wioska.

– To Sandylake – szepnął Paul. – Jesteśmy prawie na miejscu. – Zamknął kasetę i ostrożnie wsunął ją przez otwór do skrzyni pod kozłem. W ścianie ziała wielka okrągła dziura.

Jeremy wziął drewniany okrąg i próbował ostrożnie umieścić go z powrotem w ścianie, kiedy dyliżans znów zwolnił. Udało mu się to zrobić. Okrąg był mniejszy od otworu, ale miał lekko owalny kształt i Jeremy go zaklinował.

Piskliwy dźwięk trąbki. Paul był zajęty narzędziami, owijał je w miękkie lniane płótno i chował pod suknią.

Dojeżdżali. Jeremy gwałtownie pchnął drewnianą tarczę, która wpadła do skrzyni pod kozłem

i uderzyła z trzaskiem w jedną z kaset.

– Odsuń się! – warknął Stephen. Jeremy cofnął się w ciasnej kabinie i o mało nie wylądował na kolanach Paula. Stephen chwycił gruby filc, ujął jedną z mocujących go śrub, lecz wypadła mu z palców. Klnąc pod nosem, szukał jej między poduszkami, znalazł i bardzo ostrożnie umieścił ją w otworze. Wkręcił ją w drewno, po czym zabrał się do drugiej.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Paul. Dyliżans jechał z turkotem po kocich łbach, znów zabrzmiał dźwięk trąbki, a woźnice popędzili konie, by biegły truchtem, co miało zrobić dobre wrażenie na mieszkańcach Lostwithiel.

Stephen wkręcił drugą śrubę i podał śrubokręt Paulowi, który schował go do kieszeni. Wszyscy trzej gorączkowo oglądali wnętrze kabiny. Na jednej ze ścian obicie było wyraźnie pofałdowane, prawie zagięte, gdyż w czasie podróży nieustannie unoszono filc. Część fałdy dawało się zasłonić poduszkami i siedzeniami, ale reszta była widoczna. Dopóki Stephen znajdował się w rogu, zasłaniał ją własnym ciałem. Jednak woźnica musiałby być bardzo spostrzegawczy, by czegoś się domyślić. Prawdopodobnie zauważy ją dopiero, gdy przyjdzie zapalić latarnię, a do tego czasu trzej przyjaciele już się ulotnią.

Dyliżans skręcił na dziedziniec gospody Talbota, kołysząc się jak okręt na falach. Kolejne hałasy i krzątanina jak w czasie postoju w Liskeard. Rżenie koni, krzyki stajennych, pasażerowie schodzący z dachu, pomarańczarka zachwalająca swój towar, garbaty półgłówek próbujący pomagać w noszeniu kuferków, zapach końskiego łajna, kawy, suchego siana i dymu.

Do drzwi dyliżansu podszedł Stevens, drugi woźnica. Pierwszy wysiadł porucznik Morgan Lean.

– Moim zdaniem dama jest poważnie niedysponowana – powiedział. Wyprostował barczyste plecy i powoli ruszył w stronę gospody.

Następnie pojawił się wielebny Arthur May. Miał bardzo poważną minę i patrzył z ukosa na Stevensa.

– Ogromnie żałuję, ale moja żona bardzo źle się czuje. Chyba musimy odłożyć dalszą podróż do jutra.

– Och, przykro mi to słyszeć, sir – odparł Stevens. – Pana małżonka nie wyglądała dobrze już w Liskeard. Powiem Bobowi.

Wezwano Marshalla. Wielebny pastor May powtórzył nowiny.

– Niestety, obawiam się, że nie możemy kontynuować podróży dzisiaj – rzekł. – Możliwe, że po dłuższym odpoczynku moja żona odzyska siły i jutro będziemy w stanie jechać dalej. Znacie właściciela gospody?

– Tak, nazywa się Roberts, sir. Mam go zapytać, czy ma odpowiednią kwaterę?

– Dla duchownego – odparł May. – Pokój dla duchownego. Byłbym bardzo wdzięczny, gdybyście zechcieli to zrobić.

Marshall szybko się oddalił.

– Pozwól za mną, moja droga – powiedział pastor May, wsadzając rękę do kabiny i starając się nie zaczepić o nic płaszczem. – Mam nadzieję, że nocleg w gospodzie pozwoli ci odzyskać siły. Jeśli poczujesz się lepiej, jutro będziemy mogli ruszyć w dalszą drogę.

Rozdział dziewiąty

I

Wtorek dwudziestego szóstego stycznia początkowo był bardzo podobny do poniedziałku dwudziestego piątego, choć chłodny północno-zachodni wiatr prawie całkowicie ucichł. Jak to określiła Demelza, pogoda zastanawiała się, czy się popsuć, czy poprawić. Nazajutrz można się było spodziewać wszystkiego: silnej wichury z zachodu albo lodowatego mrozu i lekkich północnych wiatrów niosących śnieg i grad. Tymczasem dzień okazał się piękny. Świeciło słońce, niebo miało bladoniebieską barwę, zupełnie inną od wczorajszej, morze się uspokoiło, Czarny Klif wydawał się jasny, w żywopłotach kwitły pierwiosnki, a spomiędzy zaschniętej zimowej trawy wyglądały niewielkie puchate pędy przyszłych dzwonków. Ptaki nie dały się nabrać, że nadeszła wiosna, a mimo to ćwierkały wokół domu i nad strumieniem.

Demelza zdecydowała, że rodzina powinna się wybrać na spacer. Zewsząd nadchodziły dobre wieści, zwłaszcza od Geoffreya Charlesa. Po Bożym Narodzeniu odzyskała zdrowie i energię; czuła się jak sucha ziemia polana wodą. Ani jednej nocy nie miała gorączki i tylko przez jeden dzień czuła się nieco osłabiona.

Poszli na plażę. Na przedzie kroczyły Clowance i Isabella-Rose. Clowance mogłaby iść w tym samym tempie co rodzice, lecz Bella zawsze musiała być pierwsza. Żyła w biegu. Dlatego znajdowały się osiemset metrów z przodu na ogromnej, gładkiej powierzchni plaży Hendrawna. Bella skakała jak młody źrebak i nieustannie popędzała siostrę. Jeremy w dalszym ciągu przebywał poza domem. Nie było go już od dwóch dni; obiecał dziś wrócić.

– Minął mniej więcej rok, odkąd wyładowano maszyny dla Wheal Leisure – powiedziała Demelza. – Nie pamiętam daty, ale to bez znaczenia. Był piękny, choć nudny dzień. Rok temu w ogóle nie myśleliśmy o Henrym! Życie stale się zmienia. Cudownie czuć, że ma się drugiego syna, drugie dziecko! Jest taki podobny do ciebie! Jak nazywała to ciotka Agatha? Skóra zdarta z matki. Mówiła to o Julii. Henry to skóra zdarta z ojca, prawda?

– Musimy zadrapać mu policzek szpilką – powiedział Ross. – Wtedy nikt nas nie odróżni.

– Nie jesteś szczęśliwy, Ross? Nie jesteś zadowolony?

– Nie wiem, gdzie się kończy zadowolenie i zaczyna szczęście. Myślę, że jestem szczęśliwy. Wiem, że jestem zadowolony. I czuję ogromną ulgę.

– Zupełnie odwrotnie niż ja. Zawsze byłeś przekorny. Ulga to drobnostka…

– Nie dla mnie. Byłaś taka osowiała… Tak łatwo się irytowałaś…

– Łatwo się irytowałam? Tak, naturalnie. Wiem, że nie dawało się ze mną wytrzymać. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Nie mogłam nad sobą zapanować. Teraz to minęło. Teraz czuję się jak Bella! – Zaczęła podskakiwać jak młodsza córka, wybiegać przed Rossa z błyszczącymi oczami i rozwianymi włosami.

– Pamiętasz, jak pewnego dnia wracaliśmy z Trenwith – w czasie świąt Bożego Narodzenia, gdy spodziewałam się Julii – i śpiewaliśmy piosenkę Juda?

Baba stara i dziad stary,
Razem biedę klepali.O, ho, ho, o, ho, ho…

– Boże, wydaje się, że to było tak dawno… Czy naprawdę jesteśmy tymi samymi ludźmi, Ross? Wszystkie nasze doświadczenia, wysiłki, życie i miłość… Niepokoje, napięcia, radość, przyjemności. – Przestała skakać, by złapać oddech. – Tylu ludzi umarło: Francis, Elizabeth, ciotka Agatha, Mark Daniel, doktor Choake, sir John Trevaunance, kuzyn William-Alfred i… Julia. Tyle się wydarzyło: dwoje naszych dzieci dorosło, romansuje. Dwight i Caroline się pobrali, Geoffrey Charles, wtedy maleńki, jest teraz dzielnym oficerem. Tyle, tyle rzeczy… Czy jesteśmy tacy sami jak dawniej? Czy poznałbyś siebie, gdybyś zobaczył się idącego po plaży takiego, jaki byłeś w tamtych czasach? Czy ja poznałabym siebie? Wątpię. Nie jestem bardziej inteligentna, ale na pewno mądrzejsza. Mimo to dalej mnie kochasz,

prawda? Czy nie kochaliśmy się zeszłej nocy? Może mimo wszystko w jakiś sposób ciągle jesteśmy tacy sami?

– Mówisz o tym tak głośno, że na pewno usłyszą cię mewy – powiedział Ross.

– Baba stara i dziad stary! – krzyknęła na całe gardło Demelza. – Razem biedę klepali! O, ho, ho! O, ho, ho!

Dziewczęta usłyszały matkę, obróciły głowy i jej pomachały. Uniosła obie ręce nad głowę. Zatrzymały się, myśląc, że czegoś chce, lecz kiwnęła dłonią, by szły dalej.

– Chodź – rzekł Ross. – Uspokój się. Idźmy razem. Weź mnie za rękę.

Spełniła polecenie.

II

Zawrócili, a Clowance i Bella ruszyły naprzód, aż stały się dwiema maleńkimi kropkami na widnokręgu.

Czasem mówimy prawdę pod wpływem impulsu, pomyślał Ross. Przed chwilą to zrobiłem. Myślę, że jestem szczęśliwy, wiem, że jestem zadowolony. W końcu wszystko dobrze się układa. (W końcu? Cóż, przynajmniej na razie). Dzięki odkryciu starych wyrobisk Trevorgie za kwartał kopalnia wypłaci sporą dywidendę. Nie majątek jak Wheal Grace, lecz rozsądną kwotę jak na początek. (Grace się kończy, ale to nieważne, może obie kopalnie mogą działać razem i w ogólnym rozrachunku przynosić zyski). Muszę szybko namówić Bena, by wrócił do pracy. W końcu to on odkrył Trevorgie. Trzeba traktować jego rezygnację jako symboliczny gest buntu. Za jakiś tydzień, gdy jego dziadek poczuje się lepiej, porozmawiam z Benem. Skoro Clowance i Stephen się nie pogodzili, odmowa powrotu do kopalni wydaje się jeszcze głupsza. Przyczyną zerwania zaręczyn musiało być coś głębszego, bardziej fundamentalnego niż prymitywna kłótnia i bójka w Wheal Leisure.

Tom Guildford: czy coś znaczy dla Clowance? Może jest po prostu miłym, sympatycznym młodym człowiekiem, którego Clowance, prawie nie zdając sobie z tego sprawy, uważa za dowód, że jej zauroczenie Stephenem należy do przeszłości? Czy w przyszłym roku Tom Guildford zostanie zięciem Rossa?

A Jeremy? To poważniejszy problem, bo syn jest w jakiejś mierze zagadką. Z pozoru wszystko mu się układa. Uruchomienie kopalni okazało się mądrą decyzją, trwa budowa nowej, niewielkiej maszyny parowej do wyciągania rudy, pogodził się z córką Trevanionów. A po całkowitej klęsce armii francuskiej w śniegach Rosji ma znacznie mniej powodów, by wstąpić do wojska. Demelza będzie zadowolona. Poza tym Geoffrey Charles…

Ale co ze mną? – pomyślał. Może jestem w jakiś sposób skazany (chyba że to błogosławieństwo, kto wie?), by znajdować przyjemność w sprawianiu przyjemności własnej rodzinie. Przypuszczam, że odbijam szczęście jak lustro, sam go nie tworzę. Szczególnie odnosi się to do moich relacji z Demelzą. Również z dziećmi. Nie chodzi o to, że nie dążę do szczęścia, lecz najczęściej otrzymuję je od innych. Mimo to jestem z natury egoistą. Poldarkowie nie potrafią żyć na wysokiej stopie. Jakie to szczęście, że mam żonę, która z całego serca kocha życie, ceni drobnostki, kolekcjonuje je jak zbieracz poszukujący nowych gatunków motyli i nigdy jej się to nie nudzi. Podążam za Demelzą, rozumiejąc dzięki niej, że jestem szczęśliwy.

Egoista z natury. To prawda. Bo chociaż żona i dzieci całkowicie mnie absorbują, wiem, że w przyszłym miesiącu pojadę do Londynu. Kiedy nadejdzie ten dzień, będę odczuwał perwersyjne niezadowolenie, że ich opuszczam, a jednocześnie perwersyjną radość z powrotu do miejsca, którym pogardzam. Chociaż nie odgrywam ważnej roli w Izbie Gmin, ciekawi mnie nowy układ sił w parlamencie. Podobno Liverpool, i tak dysponujący większością głosów, zyska dodatkowych czterdziestu posłów. Mówi się również, że pięciu lub sześciu najbardziej lojalnych stronników Canninga straciło mandaty z powodu poparcia dla jego polityki. Posłowie będą przechodzić z obozu do obozu, nastąpią przetasowania. Człowiek, który nie liczy na objęcie żadnych stanowisk, może to obserwować nie bez przyjemności.

Jednak najważniejsza jest wojna z Francją. Nawet jeśli Napoleon poniósł klęskę w Rosji, nie

możemy spocząć na laurach i uznać, że to koniec wysiłków. W ten sposób stracimy wszystko, co zyskaliśmy…

– Kto schodzi z klifu koło Wheal Leisure? – spytała Demelza.

Egoista z natury.

– Słucham? – spytał Ross.

– To Jeremy. Poznaję po szczupłych nogach. Więc wrócił. Kazałam przygotować dla niego kolację.

Jeremy pomachał ręką, a Ross i Demelza odwzajemnili pozdrowienie. Szybko się do siebie zbliżali. Kiedy się spotkali, Jeremy pocałował matkę, wymienił uścisk dłoni z ojcem, po czym ruszyli w stronę domu.

– Kiedy będzie obiad? Umieram z głodu!

– Och, za dwadzieścia minut. Jak się miewa Harvey?

– Harvey?

– Tak, pojechałeś…

– Naturalnie. Dobrze. Ciągle ma kłopoty finansowe. Dopóki nie spłaci wspólników…

– Chodzi o dużą sumę?

– O tak… Owszem, sporą. Ale uważam, że wytrzyma i odbuduje firmę, bo ma taką naturę… – Jeremy spojrzał ze zmarszczonymi brwiami na plażę. – To Clowance i Bella?

– Tak, chyba wracają.

– Widziałeś się z Trevithickiem? – spytał Ross.

– Nie, ojcze. Pojechał do Bridgnorth.

– Bridgnorth?

– Pewne… eee… odlewy, które miano wykonać w Hayle, powinny zostać przygotowane w Bridgnorth z powodu nakazu sądowego… – Ach, mamo, świetnie wyglądasz! – rzekł z wysiłkiem Jeremy.

– Czuję się świetnie i chyba zjem na obiad tyle samo co ty! – odpowiedziała Demelza.

Zauważyła, że Jeremy dziwnie się zmienił. Poprzednio nie wyglądał na swoje dwadzieścia dwa lata, teraz sprawiał wrażenie kogoś znacznie starszego. Miał woskową cerę i podkrążone oczy, jakby czymś się martwił albo nie dosypiał. Demelza odznaczała się niezwykłą intuicją w sprawach dotyczących własnej rodziny i niespodziewanie ogarnął ją niepokój, wręcz panika. Zdała sobie sprawę, że doszło do kryzysu. Coś ostrzegało ją o niebezpieczeństwie, które niedawno minęło lub miało wkrótce nadejść. Znów spojrzała na Jeremy'ego, próbując sobie wmówić, że to tylko nawrót gorączki.

– Wiadomości z Leisure brzmią zachęcająco – powiedział Ross.

– Cieszę się. Zaraz po powrocie poszedłem do kopalni.

– Manny Bice i Toby Martin znaleźli kolejne dobre miejsce. Zarobią sporo pieniędzy, nim zawrzemy następne umowy co do podziału zysków z wyrobisk.

– Więc kopalnia stała się dochodowa?

– Zdecydowanie.

A więc… jesteśmy bogatsi, pomyślał Jeremy, w dalszym ciągu patrząc na morze. Dwa różne rodzaje zysku, lecz tylko jeden zgodny z prawem. Udało się. Po początkowych kłopotach wszystko poszło zgodnie z planem. Jesteśmy bezpieczni, to znaczy w miarę bezpieczni. Przed świtem spalili wszystkie przebrania i peruki, w których dokonali kradzieży. Przejrzeli zawartość dwóch stalowych kaset, przeliczyli walory i starannie je ukryli. Jeśli będą postępować inteligentnie i ostrożnie, ryzyko wydaje się niewielkie. Nikt nie może ich rozpoznać. Opisy powinny być mało konkretne i niezbyt wiarygodne. Kto mógłby się domyślić, skąd przybyli albo dokąd odjechali?

Zysk. Mimo to Jeremy nie miał poczucia, że coś zyskał. Wściekłość i gorycz, które skłoniły go do zorganizowania kradzieży, wypaliły się w czasie dokonywania samego czynu. Gniew i frustracja sprawiły, że zatracił normalne wyczucie ryzyka oraz dobra i zła. Teraz wszystko się skończyło, odnieśli sukces, jednak w sercu Jeremy'ego został tylko popiół. Miał wrażenie, że jego miłość do Cuby umarła w dyliżansie, uśmiercona przez napad. W przyszłości uczucie mogło się odrodzić, ale w tej chwili Cuby

w ogóle go nie obchodziła i zadawał sobie pytanie, jak mógł mieć obsesję na jej punkcie, tak idiotyczną obsesję, by narażać się na śmiertelne niebezpieczeństwo w nadziei, że zdobędzie młodą kobietę, która zupełnie na to nie zasługuje. Nie miało to żadnego znaczenia. Cuby nie miała żadnego znaczenia. Czuł tylko niesmak.

Może za kilka dni – albo miesięcy – przestanie odczuwać niesmak; emocje staną się łatwiejsze do zniesienia. W tej chwili miał wrażenie, że obudził się z koszmarnego snu, i odkrył, że nie był to sen. Ale wszystko mija. Z czasem na pewno zacznie czuć i myśleć normalnie.

Zastanawiał się, jak zareagowaliby rodzice, gdyby powiedział, co zrobił. Poldarkowie często popadali w konflikt z prawem, tak mu się zdawało. Lecz nie w taki sposób. Potrafili przestrzegać biblijnych przykazań i praw obowiązujących w Anglii, umieli kroczyć wąską ścieżką, nie naruszając obowiązujących zasad. Jeremy miał świadomość, że do uczestnictwa w kradzieży popchnęły go pierwotne emocje, silniejsze od zdrowego rozsądku. Wściekłość i determinacja nigdy go nie opuściły, nawet w czasie długich godzin przed wejściem do dyliżansu. To, że teraz straciły swoją siłę, nie zmniejszało ich potęgi w chwili, gdy je odczuwał. Czy wśród przodków Jeremy'ego byli ludzie skłonni do szaleństw, bezprawia? Zresztą, czy podobieństwo do przodków cokolwiek tłumaczy, usprawiedliwia? Czy człowiek nie odpowiada za samego siebie?

Och, nonsens. To wszystko minie. Wzruszył ramionami, jakby chciał strząsnąć z barków nieprzyjemny ciężar.

– Ach! – zawołała Demelza. – Prawie zapomniałam, gdy cię zobaczyłam! Wczoraj dostaliśmy list od Geoffreya Charlesa! Napisał… Cóż, sam zobacz. Masz go, Ross?

Ross wyjął z kieszeni arkusz papieru ze złamaną czerwoną pieczęcią. Wręczył go Jeremy'emu, który zaczął czytać:

Ciudad Rodrigo,20 grudnia 1812 roku

Drodzy Kuzyni!Wiecie, co mi się przytrafiło? Coś niezwykłego, fantastycznego! Potraficie zgadnąć? Na pewno nie!Nie, nie zostałem mianowany adiutantem naczelnego dowódcy wojsk brytyjskich na Półwyspie Iberyjskim. Nie otrzymałem tytułu szlacheckiego za odwagę okazaną pod Salamanką. Lord Wellington nie mianował mnie szefem swojego sztabu. Nic z tych rzeczy. Ale dzięki cudownemu przypadkowi stałem się żonatym mężczyzną!Jak zapewne pamiętacie, w ostatnim liście napisałem, że kwateruję w domu señora de Bertendony. Czy pamiętacie, że ma żonę, syna i córkę? W ciągu ostatnich sześciu tygodni zakochałem się w jego córce Amadorze – ona zaś zakochała się we mnie (rzecz doprawdy zdumiewająca). Skończyła dziewiętnaście lat, jest wyjątkowo piękna i czarująca, ma w sobie hiszpańską godność i dumę, a także elegancję wysoko urodzonej damy! Nie napiszę nic więcej, bo inaczej pomyślicie, że zachowuję się jak sztubak i postradałem rozum. To nieprawda. Amadora jest wszystkim, o czym mogłem marzyć.Nie mogę pisać obszernie, ponieważ mam w tym tygodniu służbę w mundurze galowym. Powiem po prostu, że wzięliśmy ślub we wtorek rano. Najpierw pobłogosławił nas nasz kapelan, wielebny Mark Foster, a później odbyła się ceremonia w gotyckiej katedrze, odprawiana przez ojca Antonia Carrerosa. Señora de Bertendona bardzo przeżywa to, że jej córka poślubiła heretyka, podobnie starszy brat Amadory, Martin, ale ojciec jest wielkim przyjacielem Anglików i akceptuje mnie jako swojego zięcia! Sama Amadora, choć wychowana jako katoliczka, przysięga mi w sekrecie… Nie ośmielam się napisać, co przysięga mi w sekrecie, bym nie został uznany za zarozumialca, ale wierzę, że miłość, tolerancja i zdrowy rozsądek pozwolą przezwyciężyć trudności, jakie mogą się pojawić.Nie wiem jeszcze, co zrobimy w przyszłości. Na razie mieszkamy w domu rodziców Amadory wraz z Davidem Hamiltonem, ojcem Antoniem Carrerosem, siedmioma hiszpańskimi partyzantami, portugalskim pastuszkiem i mnóstwem lokai! Na nasze plany wpłynie to – przynajmniej dla mnie – jakie decyzje w sprawie kampanii wiosennej podejmie nowy książę Ciudad Rodrigo, naczelny dowódca wojsk hiszpańskich i brytyjskich, markiz Wellington.Wspaniałe nowiny z frontu rosyjskiego! Może wojna szybko się skończy?Przesyłamy Wam życzenia Szczęśliwego Nowego Roku i najserdeczniejsze pozdrowieniaGeoffrey Charles i Amadora Poldarkowie

– Cóż za nowiny! – zawołał Jeremy, znów starając się mówić wesołym tonem. – Cóż za

zaskakujące nowiny! A więc któregoś dnia, może niedługo, będziemy mieć w Trenwith hiszpańską kuzynkę!

– Geoffrey Charles nie wspomina, czy zamierzają zamieszkać w Anglii, jakby celowo – powiedziała Demelza. – Ciekawe, czy jest bogata.

– Słucham? – spytał zaskoczony Jeremy.

– Zastanawiam się, czy ta panna ma posag.

– Och, tak, rozumiem.

– Byłoby wspaniale, gdyby pomogła Geoffreyowi Charlesowi odremontować Trenwith. Majątek przynosi niewielkie dochody.

– Znam nazwisko de Bertendona – wtrącił Ross. – Nie pamiętam, gdzie je słyszałem, ale to wpływowa rodzina.

– Mam nadzieję, że wkrótce przyjadą – odparła Demelza. – Cieszę się, że Amadora trochę zna angielski, bo wątpię, czy zdołałabym się nauczyć hiszpańskiego. – Urwała. – Zraniłeś się w rękę?

– Słucham? – Jeremy spojrzał na swoje poranione knykcie. – Och, to… Łom się obsunął, gdy próbowałem coś podważyć.

– Kiedy to się stało?

– Wczoraj.

– Wygląda, jakbyś wcale nie oczyścił rany! Posmarowałeś ją balsamem albo maścią?

– Nie… Wyssałem do czysta, ale zabrudziła się w czasie jazdy do domu.

– Kiedy wyjechałeś?

– Skąd? Och, z Hayle. Zaraz po świcie.

– Gdy wrócimy do Nampary, dokładnie umyj rękę i zabandażuj ranę.

– Nie ma się czym przejmować, mamo – odparł z irytacją Jeremy. – Prawie mnie nie boli. Natura ma własne lekarstwa.

Dotarli do furtki oddzielającej posiadłość od plaży. Demelza znów spojrzała na syna, zapominając o miłym cieple słońca.

– Widziałeś się z Cuby? – spytała.

Uniósł wzrok.

– Słucham? Nie, o nie. Nie spotkałem jej.

– Nic się nie zmieniło?

– Nic.

– Wcale?

– Wcale – odparł Jeremy, spoglądając ponad głową matki na dalekie morze.

Clowance i Isabella-Rose szybko się zbliżały i zawołały, by na nie zaczekali. Stali przy furtce, a później wszyscy poszli na obiad, śmiejąc się i żartując, weseli, jako jedna rodzina.

przypisy końcowe

Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, przeł. Jakub Wujek, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa (bez roku wydania; przedruk edycji krakowskiej z 1599 roku), Exodus, XX, 12, s. 77. Clowance posługuje się numeracją przykazań stosowaną w Kościele anglikańskim. Według numeracji używanej w Kościele rzymskokatolickim byłyby to przykazania szóste i czwarte (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [wróć]

Modlitewnik powszechny oraz sprawowanie sakramentów świętych i innych obrzędów i ceremonij kościelnych według rytuału kościoła anglikańskiego w Polsce, Zakł. Graf. B. Pardecki i S-ka, Warszawa 1931, s. 160. [wróć]

William Szekspir, *Wieczór Trzech Króli albo co chcecie*, przeł. Stanisław Dygat, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958, s. 55. [wróć]

Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit., Ewangelia według Łukasza, XV, 4–5, s. 87. [wróć]

Modlitewnik powszechny…, *op.cit*., s. 175. [wróć]

Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, op.cit., Księgi V Mojżeszowe, XIX, 14, s. 192. [wróć]

Ibid., Księgi Psalmów, Psalm I, 1, s. 524. [wróć]

Nawiązanie do piosenki Charlesa Dibdina (1745–1814) *Captain Wattle and Miss Rose*. W oryginalnym tekście piosenki mowa o kapitanie, nie pułkowniku. [wróć]

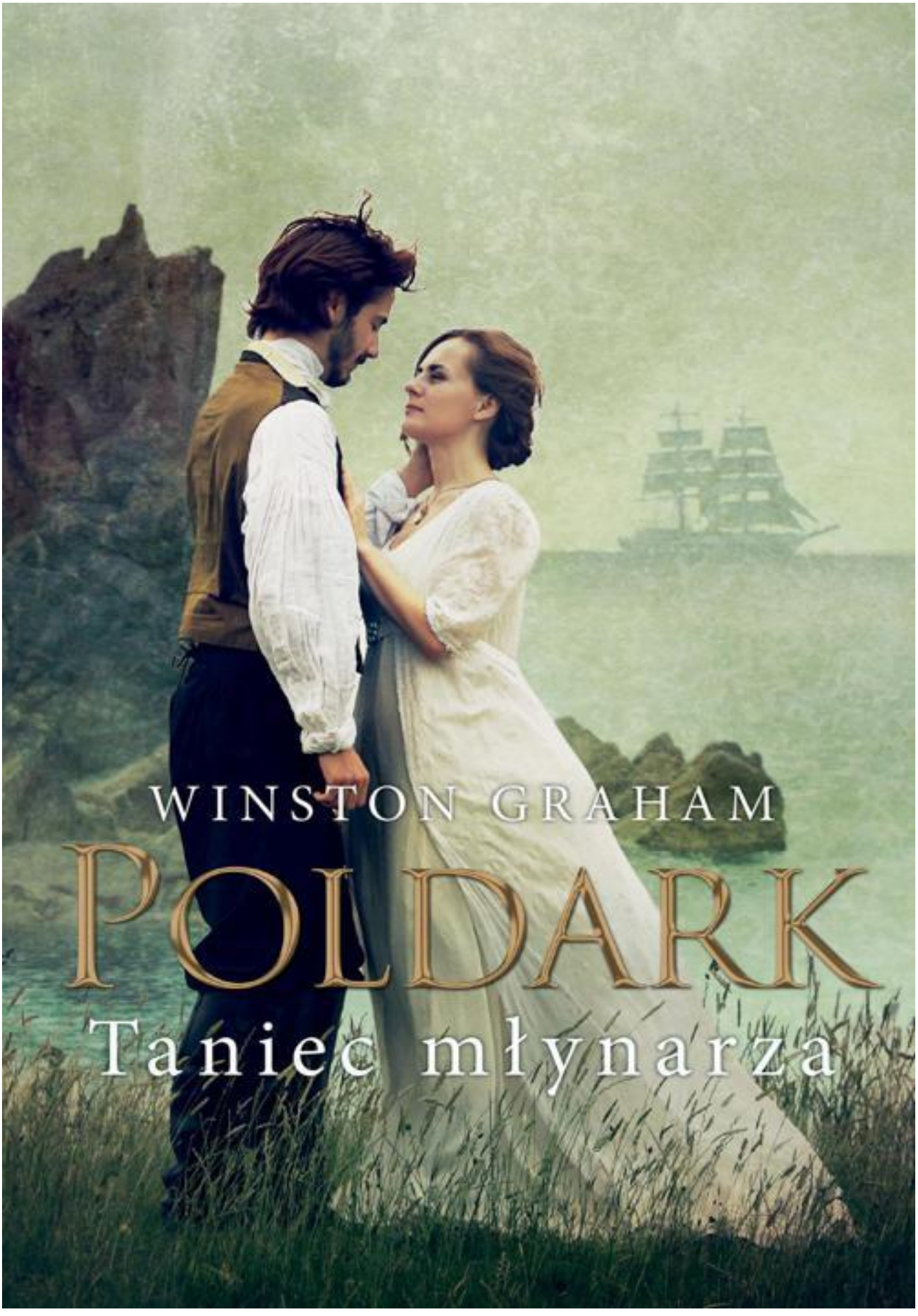
WINSTON GRAHAM
POLDARK
Taniec młynarza